

Jonathan Kellerman

Cicha Wspólniczka

(Silent Partner)

Przełożyła Urszula Gutowska

*Gdyby bogacze mogli opłacać biedaków,
by umierali za nich,
biedakom całkiem nieźle by się żyło.*

Rozdział 1

Nigdy nie znosiłem przyjęć i zazwyczaj nie uczestniczyłem w owej sobotniej imprezie.

Ale w moim życiu panował chaos. Odstąpiłem od wyznawanych zasad. I poszedłem, wdepnąłem w ten koszmar.

W czwartek rano byłem solidnym lekarzem skupionym na pacjentach, zawsze uważającym, by nie przenosić na nich własnych humorów. Nie spuszczałem chłopca z oczu.

Nie doszedł jeszcze do etapu ukręcania główek lalkom. Obserwowałem, jak doprowadził do nieuchronnego czołowego zderzenia dwóch samochodów.

– Buch!

Głośny dźwięk metalu zagłuszył szmer kamery. Chłopiec odrzucił, samochodziki, jakby parzyły mu palce. Jeden wylądował na dachu i wyglądał jak żółw leżący na wznak. Chłopiec wskazał nań palcem, a potem spojrzał na mnie pytająco.

Skinałem głową, więc chwycił oba pojazdy. Przekładał je z rączki do rączki, wpatrywał się w maleńkie podwozia, obracał koła, buczał, naśladowując odgłos pracującego silnika.

– Uuu-uuu – buch!

Miał więcej niż dwa lata – duży i silny jak na swój wiek, poruszał się w sposób, który zapowiadał sylwetkę atlety. Włoski blond, buzia jak u mopsa, oczki jak rodziny – kojarzyło mi się to nieodmiennie z bałwanem – nosek obsypany piegami, pyzate policzki.

Każdy prawdziwy Amerykanin byłby dumny z takiego synka.

Rdzawa plama krwi z ciała jego ojca widniała na jednym z poboczy centralnej autostrady Ventura.

– Babach...

Po sześciu seansach zrobił nikłe postępy w sztuce mówienia. Zastanawiałem się nad tym, zastanawiał mnie również jakiś tępy wyraz jego oczu.

Następna kraksa wydarzyła się nagle i była znacznie groźniejsza w skutkach. Chłopiec działał z coraz większą determinacją. Niebawem przyjdzie czas na lalki.

Siedząca w kącie pokoju matka uniosła brwi. Przez dziesięć minut czytała wciąż tę samą stronę książki pod tytułem „Dąż do sukcesu”. Jej napięta sylwetka i sposób bycia zadawały kłam pozornemu spokojowi. Siedziała na krześle sztywno wyprostowana, drapała się po głowie, poruszała dłońmi w ciemnych włosach jakby przewijała przedzę. Stopą wybijała nieprzerwanie czterotaktowy rytm, który ożywiał jej nieruchomą naga, białą łydkę i znikał pod rąbkiem letniej sukni.

Gdy doszło do trzeciej kraksy, drgnęła. Położyła książkę na kolanach i spojrzała na mnie mrugając powiekami. Szybko przemijająca uroda – pomyślałem. Była z rodzaju kobiet, które rozkwitają w szkole średniej, a potem szybko więdną. Uśmiechnąłem się. Błyskawicznie opuściła głowę i wróciła do lektury.

– Babach! – wymamrotał chłopiec, wziął samochodziki w obie dłonie, stuknął nimi o siebie jak cymbałkami i cisnął na ziemię. Potoczyły się po dywanie w różnych kierunkach. Oddychając ciężko, chłopiec ruszył za nimi drobnym kroczkiem.

– Buch! – Podniósł samochodziki i z całych sił rzucił je na ziemię. – Babach!

Powtarzał to jeszcze kilka razy, po czym nagle odepchnął samochodziki na bok i z błyskiem w oku zaczął czegoś szukać po całym pokoju. Szukał lalek, choć zawsze trzymałem je w jednym miejscu.

Problem z pamięcią albo niezgoda na coś. Gdy ma się do czynienia z dwulatkiem, można tylko wyciągać wnioski.

To właśnie oświadczyłem Malowi Worthy, gdy opowiedział mi o wszystkim i poprosił o konsultację.

– Nie licz na niezbite dowody.

– Nie mam takiego zamiaru, Alex. Daj mi tylko jakieś dane, żebym mógł w swojej pracy na czymś się oprzeć.

– A co z matką?

– Jak się domyślasz, jest kompletnie skołowana.

– Ktoś się nią zajmuje?

– Na razie nikt. Chciałem jej kogoś przysłać, ale odmówiła. Pracuj nad Darrenem, a jeśli przy okazji uda się trochę pomóc matce, nie będę miał nic przeciwko temu. Bóg świadkiem, jak bardzo tego potrzebuje – że też coś takiego przydarzyło się komuś w jej wieku.

– Jak właściwie doszło do tego, że zajmujesz się tą sprawą?

– Drugie małżeństwo. Ojciec był moją „złotą rączką”. Załatwiłem mu rozwód gratis. Ona była tą drugą kobietą i mnie lubiła. Na początku zajmowałem się takimi sprawami. Cieszę się, że teraz do tego wróciłem. Powiedz mi, jak ci idzie z małym?

– Miałem do czynienia z jeszcze młodszymi dziećmi. Jak on się wysławia?

– Nigdy nie słyszałem, by mówił. Ona twierdzi, że przed wypadkiem składał do kupy kilka słów, ale nie sądzę, by ciułał forszę do Kalifornijskiej Szkoły Technicznej. Jeśli dowiedziesz upośledzenie inteligencji jako skutek urazu, będzie można to wymienić na dolary.

– Mal...

Roześmiał się do słuchawki.

– Wiem, wiem, proszę mi wybaczyć, doktorze... Konserwatywny. Ja też jestem jak najdalszy od...

– Miło się z tobą gadało, Mal. Niech matka zadzwoni do mnie i poda termin spotkania.

– ...Od wywierania nacisku na biegłego. Ale gdy dokonasz głębszej analizy sytuacji, to z pewnością szybko zrozumiesz, co ją czeka: samotne wychowywanie dziecka, bez perspektyw, bez pieniędzy... I żyj tu, człowieku, z takimi wspomnieniami. Mam zdjęcia z wypadku – prawie straciłem przez to ochotę na lunch... Widzę tu wiele niejasności, Alex, które należy wyświecić.

– Buch!

Znalazł lalki. Trzej mężczyźni, kobieta i chłopiec. Małe, zrobione z miękkiego plastiku – różowe, o delikatnych szczyrych buziach, anatomicznie bez zarzutu, kończyny ruchome. Potem jeszcze dwa samochodziki, większe od tamtych – jeden czerwony, drugi niebieski. W niebieskim na tylnym siedzeniu przymocowano miniaturowy dziecięcy fotelik.

Ustawiłem kamerę, kierując jej oko na stół, i usiadłem na podłodze przy chłopcu.

Sięgnął po niebieski samochodzik i zgodnie z logiką porozsadzał w nim lalki: kierowca przy kółku, obok drugi mężczyzna, za kierowcą na tylnym siedzeniu kobieta, dziecko obok, w foteliku. Czerwony samochód pozostał pusty. Jedna lalka rodzaju męskiego wciąż leżała na stole.

Chłopiec klasnął w dłonie, pociągnął noskiem. Trzymając niebieski samochodzik w wyprostowanej lewej ręce, patrzył w bok.

Poklepałem go po ramieniu.

– W porządku, Darren.

Nabrał powietrza, wypuścił je, wziął do ręki czerwony samochodzik i oba postawił na podłodze, w odległości dwóch stóp, jeden naprzeciw drugiego. Znowu głęboki wdech, nadał policzki, wrzasnął przenikliwie i z całej siły pchnął pojazdy na siebie.

Pasażer oraz kobieta wylądowali na dywanie, dziecko ugrzęzło w foteliku, główką do dołu.

Uwagę chłopca przykuł kierowca – leżał w poprzek siedzenia, z nogą zablokowaną kierownicą, co uniemożliwiało mu ucieczkę. Ciężko dysząc, i chłopiec usiłował uwolnić nogę kierowcy. Ciągnął, szarpał, prychał ze złości, ale w końcu się udało. Potem wyrwał nogę z tułowia kierowcy; przyglądał się chwilę uważnie plastikowej twarzy, i ukręcił lalce głowę. Tak okaleczonego posadził obok dziecka.

Usłyszałem ciężkie westchnienie i odwróciłem się w kierunku skąd dobiegało. Denise Burkhalter

ukryła twarz za książką.

Nie zważając na jej reakcję, chłopiec upuścił bezgłowy tułów na podłogę, podniósł natomiast lalkę rodzaju żeńskiego, przytulił ją i odłożył. Znow sięgnął po lalki męskie – bezgłowego kierowcę i pasażera z przedniego siedzenia. Uniósł je wysoko nad głowę i rzucił nimi o ścianę, patrzył jak wala w mur i spadają.

Spojrzał na dziecko uwięzione w foteliku i po chwili oderwał mu główkę. Obrócił ją kilkakrotnie w rączce, po czym odrzucił w kąt.

Skierował się teraz ku mężczyźnie, który nie poniósł szwanku w katastrofie – kierowcy drugiego samochodzika – zrobił następny krok, znieruchomiał na chwilę i zawrócił.

W pokoju panowała cisza, słychać było tylko szum pracującej kamery. Szelest przewracanej strony. Chłopiec stał chwilę nieruchomo i nagle się zaktywizował – wpadł w taki szal, że zelektryzował cały pokój.

Chichocąc miotał się to w tę, to w drugą stronę, wykręcał sobie rączki, wymachiwał ramionkami, pluł, charczał. Biegał z jednego końca pokoju w drugi, kopał półki z książkami, krzesła i biurko, porysował boazerię, podrapał ściany, zostawiając na tynku brudne smugi. Śmiech jego osiągnął najwyższe tony, zanim przeszedł w bulgoczące gardłowe wycie; wreszcie z oczu dziecka trysnął strumień łez. Chłopiec rzucił się na podłogę, a potem skulił w pozycji embrionalnej i tak został cicho ssąc kciuk.

Jego matka siedziała dalej – nieruchoma, z nosem w książce.

Podszedłem do chłopca – przygarnąłem go, utuliłem w ramionach.

Był spięty i wciąż ssął kciuk. Trzymałem go w objęciach, mówiłem, że wszystko jest okay, że dobry chłopiec... Otworzył na chwilę oczy. Pachnący mlekiem oddech mieszał się z wonią dziecięcego potu.

– Chcesz do mamusi?

A ona wciąż trwała nieruchoma, w tej samej pozycji. Powiedziałem:

– Denise. – Cisza. Powtórzyłem jej imię.

Schowała książkę do torby, zarzuciła ją na ramię, wstała i zabrała chłopca.

Wyszliśmy z gabinetu i ruszyliśmy w stronę wyjścia. Zanim doszliśmy do drzwi, on już spał. Otworzyłem drzwi. Wdarło się do środka chłodne powietrze. Łagodny początek lata – zapowiedź upałów. Z dala dobiegał szum silnika kosiarki.

– Masz do mnie jakieś pytania, Denise?

– Nie.

– Jak spał w tym tygodniu?

– Bez zmian.

– Sześć czy siedem koszmarów sennych?

– Mniej więcej. Nie liczyłam. A powinnam?

– Pomogłoby mi to w diagnozie ogólnego stanu chłopca.

Brak odpowiedzi.

– Prawnikom wystarczy tyle, ile mam – powiedziałem. – Zebrałem dla Worthy'ego sporo informacji. Ale Darren wciąż się szamoce – nic dziwnego... po takich przeżyciach.

Brak odpowiedzi.

– Przebył długą drogę – ciągnąłem. – Lecz wciąż nie jest w stanie wyjść z roli... tego drugiego kierowcy. Pełno w nim lęku, złości. Trzeba mu pomóc wyrzucić to z siebie. Chciałbym go jeszcze parę razy zobaczyć.

Spojrzała w sufit.

– Te lalki.

– Wiem, trudno to znieść.

Przygryzła wargę.

– To mu bardzo pomaga, Denise. Następnym razem możesz zostać w drugim pokoju.

– Mam daleko do ciebie – powiedziała.

– Zły dojazd?

Góry i doły.

– Ile ta podróż zabiera ci czasu?

– Godzinę i trzy kwadransy.

– Z Tujunga do Beverly Glen. Czterdzieści minut autostradą. Jeśli jedziesz Autostradą...

– Duży tu ruch na ulicach?

– No tak. I dużo zakrętów.

– Wiem. Czasami, gdy...

Nagle się odwróciła.

– Dlaczego mieszkasz w takim miejscu? Jeśli zależy ci na ludziach, to dlaczego sam stwarzasz im takie cholerne trudności?

Chwilę milczałem.

– Rozumiem, Denise. Jeśli wolałabyś spotkać się u pana Wbrthy'ego...

– Ojej, zapomnij o tym! – I drzwi się za nią zamknęły.

Obserwowałem ją, jak z synem na ręku schodziła po schodach. Ugiwała się pod ciężarem dziecka, kołysząc się z boku na bok jak kaczka. Widząc tę jej nieporadność, powinienem pospieszyć z pomocą. Zamiast tego stałem i przyglądałem się jej zmaganiom. W końcu dotarła do wypożyczonego samochodu, z widocznym wysiłkiem otworzyła drzwi jedną ręką. Pochyliła się, upychając bezwładne ciało Darrena na tylnym siedzeniu. Zatrzęsnęła drzwi, obeszła wóz i wsiadła od strony kierowcy.

Włożyła kluczyk do stacyjki i chwilę siedziała nieruchomo, z głową opuszczoną na kierownicę. Dopiero po chwili uruchomiła silnik.

Wróciłem do gabinetu i wyłączyłem kamerę. Wyjąłem kasetę, opisałem ją i przystąpiłem do sporządzania raportu; pracowałem powoli, z większą niż zazwyczaj precyzją.

Starłem się przewidzieć nieuchronność wydarzeń.

Po paru godzinach skończyłem. Nareszcie poczułem się zwolniony z roli udzielającego pomocy, stałem się znów kimś, kto tej pomocy potrzebuje. Czuję się jak sparaliżowany, jakby zawisło nade mną jakieś fatum.

Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do Robin, ale pomyślałem, że lepiej nie. Nasza ostatnia rozmowa była żartobliwą, uprzejmą wymianą zdań, po której pozostała tylko głęboka uraza i gniew.

– ...Wolność, perspektywa, sądziłem, że mamy to już za sobą.

– Nigdy nie mamy za sobą wolności, Alex.

– Wiesz przecież, co przez to rozumiem.

– Nie, nie wiem.

– Usiłuję po prostu dociec, o co ci chodzi, Robin.

– Tłumaczyłam ci to już setki razy. Co jeszcze mogę dodać?

– Jeżeli chodzi ci o dystans, to dzieli nas dwieście mil. Masz uczucie niespełnienia?

– Nie o to chodzi.

– Więc o co!

– Przestań, Alex, proszę cię.

– Co mam przestać? Mam nie dociekać przyczyny?

– Przestań mnie przesłuchiwać. I nie mów do mnie takim tonem.

– A jakim? Skoro tydzień wydłuża się w miesiąc. Do czego to zmierza?

– Chciałabym... móc ci na to odpowiedzieć.

– Straszne... Wieczna huśtawka. I na czym polega ten mój największy grzech? Za bardzo się zaangażowałem? Okay. To można zmienić. Wierz mi, potrafię być zimny jak gład. To łatwe, zwłaszcza w moim zawodzie. Ale jeśli zniknę ci z oczu, to gotów jestem się założyć, że oskarżysz mnie o męską obojętność.

– Dość tego, Alex! Całą noc spędziłam przy Aaronie. Nie mogę teraz tego znieść.

– Czego nie możesz znieść?

– Tych twoich słów. Po prostu mnie ranisz.

– Jak można bez słów wyjaśnić sytuację?

– W tej chwili nie musimy niczego wyjaśniać, dajmy sobie spokój. Do widzenia.

– Robin...

– Powiedziałam do widzenia. Proszę cię. Nie chcę odkładać słuchawki.

To nie odkładaj.

Cisza.

– Do widzenia, Robin.

– Do widzenia. Wciąż cię kocham.

Szewc bez butów chodzi.

Słowa uwięzły mi w gardle.

Mój nastrój przygnębienia wciąż się pogłębiał, czułem się zdruzgotany.

Gdybym miał z kim porozmawiać...

Lista moich powierników jest cholernie krótka.

Na pierwszym miejscu Robin.

Potem Milo.

Wyjechał na ryby z Rickiem, do Sierras.

Ale nawet gdyby był gdzieś blisko, i tak nie wypłakałbym mu się w kamizelkę.

Przez wszystkie te lata nasza przyjaźń toczyła się pewnym ustalonym nurtem. Przy piwie i precelkach rozmawialiśmy o morderstwach, obłędzie. Z pewnością siebie antropologów obserwujących stado pawianów analizowaliśmy ludzkie losy.

Czasem za dużo już było tych okropności i Milo zaczynał kląć, a ja słuchałem. A gdy przebrał miarę w picciu, przywoływałem go do porządku, podawałem pomocną dłoń.

Gliniarz-oferma, mięczak. Wolałbym nie być w jego skórze.

Na stole w jadalni czekał na mnie plik listów. Niechętnie je zazwyczaj otwierałem w obawie przed tanią reklamą, kuponami, ofertami niezliczonych firm mamiących szybkim sukcesem i zyskiem. Choć tego właśnie potrzebowałem – błahych drobiazgów, by uciec przed groźbą introspekcji.

Zniosłem stertę listów do sypialni, przysunąłem do łóżka kosz na śmieci, usiadłem i zacząłem je przeglądać. Moje oko spoczęło na ciemnożółtej kopercie. Gruby, dobry gatunkowo papier, adres zwrotny Holmby Hills, tłoczony srebrny napis na odwrocie.

Za wysokie progi... Elity schodzą do maluczkich... Odwróciłem kopertę spodziewając się wydruku komputerowego i ujrzałem swoje nazwisko i adres wykaligrafowane srebrnymi literami. Ktoś się musiał porządnie napracować, by uzyskać taki efekt.

Spojrzałem na pieczętkę na znaczku – wysłany dziesięć dni temu. Rozciąłem kopertę i zobaczyłem zaproszenie na ciemnożółtym kartoniku, w srebrnej otoczce, starannie wykaligrafowane:

„Drogi Doktorze Delaware,

zapraszam Pana serdecznie na garden-party, w którym wezmą

udział znakomici wychowankowie oraz profesorowie naszego

uniwersytetu.

Doktor Paul Peter Kruse

Fundacja Blalock

Profesor psychologii i nauk o rozwoju ludzkości

Uroczystość odbędzie się z okazji mianowania Profesora na
dziekana wydziału psychologii.

Sobota, trzynastego czerwca 1987 roku, godzina czwarta po południu.

Skylark

La Mar Road

Los Angeles, California 900 77”

Kruse jako dziekan! Ciepły fotelik, godziwa nagroda za wyjątkową erudycję.

Bez sensu. Był raczej miernotą. I choć przez całe lata nie miałem z nim do czynienia, nie sądzę, by mógł stać się człowiekiem godnym szacunku.

Gdy go znałem, był felietonistą udzielającym porad pospółstwu i ulubieńcom cyklicznych talk-show, posługującym się sztuczkami rodem z Beverly Hills, repertuarem truizmów wygłaszanych pseudonaukowym żargonem.

Jego felietony ukazywały się raz na miesiąc w rozprawdzanym w supermarketach kobiecym magazynie – był to rodzaj ulotki reklamowej, w której podaje się ostatnie rewelacje na temat diety-cud, a zaraz potem przepisy na tort czekoladowy, napomnienia, by „zawsze być sobą”, testy oceniające sprawność seksualną, które bezbłędnie wywołują u czytelników kompleks niższości.

Uhonorowany profesor pozorujący „uczoność”. Jego dorobek stanowiło jakieś dziełko na temat seksualizmu człowieka, o którym to utworze nawet nikt nigdy słowem nie wspomniał.

Tyle że nie wymagano od niego prac o charakterze ściśle akademickim, bo nie był etatowym pracownikiem wydziału, tylko współpracownikiem kliniki. Jeden z wielu praktykujących lekarzy zabiegających o szlify akademickie.

Miał prawo do wykładów. Mówił zwykle o hipnozie i manipulacyjnej formie psychoterapii, co nazywał „dynamiką wzajemnego oddziaływania” – opiekował się studentami przed absolutorium i udzielał im pomocy lekarskiej.

I raptem profesor. Nie do wiary.

Pamiętam, kiedy po raz ostatni widziałem Kruse’a – jakieś dwa lata temu. Minęliśmy się w kampusie – ja udawałem, że go nie zauważyłem, on zresztą też.

Szedł w stronę gmachu wydziału psychologii – tweedowy garnitur, łatki skórzane na łokciach, zapach dzikiej róży, po lewicy i prawicy młode studentki. Krocząc trochę zadumany, czyhał tylko na każde przelotne dotknięcie.

Patrzyłem na tę srebrną pisaninę. Zaproszenie na koktajl ku czci szefa.

Ma to prawdopodobnie jakiś związek z klientelą Holmby Hills, ale – tak czy owak – to mianowanie nie mieści mi się w głowie.

Jeszcze raz sprawdziłem datę uroczystości – za dwa dni – i znów przeczytałem adres wpisany po formule zaproszenia. *Skylark*. Skowronek. Bogacze mają zwyczaj nazywać swoje posesje, jakby to były dzieci...

La Mar, bez numeru. Czytaj: władamy wszystkim, łącznie z ludźmi.

Wyobraziłem sobie, co będzie się tam działo za dwa dni. Opasłe samochody, cienkie drinki i nużące słowne przepychanki wśród dolarowozielonych trawników.

To nie dla mnie. Wrzuciłem zaproszenie do kosza i zapomniałem o panu Kruse. I o dawnych czasach.

Ale nie na długo.

Rozdział 2

Kiepsko spałem i w piątek rano obudziłem się o wschodzie słońca. Nie miałem umówionych pacjentów, więc zająłem się pracą organizacyjną: wysłałem Malowi taśmę wideo z Darrenem, skończyłem pisanie raportów, zapłaciłem rachunki na pocztę, nakarmiłem rybki i oczyściłem im ocean, wysprzątałem dom, aż wszystko lśniło. Zajął mi to czas do południa – potem mogłem już tylko pławić się we własnych smutkach.

Nie miałem apetytu, wyszedłem więc, żeby sobie pobiegać, ale nie dałem rady z oddechem i po przebiegnięciu mili zrezygnowałem. W domu jednym haustem wypiliśmy piwo i rozboleła mnie przepona, więc jeszcze jedna puszka, a potem cały karton zabrałem ze sobą do sypialni. Siedziałem w samej bieliźnie i gapiłem się w telewizor. Opera mydlana. Ludzie, których spotykają same nieszczęścia. Gry telewizyjne: tym razem przeciętne typy.

Błądziłem myślami gdzieś daleko. Spojrzałem na telefon, sięgnąłem po słuchawkę. Odłożyłem ją z powrotem na widełki.

Szewc bez butów...

Z początku myślałem, że ma to związek z pracą – z odrzuceniem świata wielkiej techniki na rzecz stłamszonego, kiepsko wynagradzanego życia rzemieślnika.

Muzycy tokijscy zaproponowali Robin, by kilka z jej gitar wprowadzić do masowej produkcji. Ma przygotować szczegółowy opis, a armia komputerów zrobi resztę.

Złatwili jej przelot do Tokio pierwszą klasą, ulokowali w apartamencie hotelu Okura, kłaniali się bez końca, prawili grzeczności, a potem wysłali do domu obładowaną kosztownymi podarunkami, arkuszami umów wydrukowanych na ryżowym papierze, obietnicami...

Mimo tych wszystkich zabiegów odesłała umowy nie podając nawet przyczyny, choć osobiście podejrzewałem, że chodzi w tym wypadku o jej korzenie. Była jedyną córką bezwzględnie perfekcyjnego, producenta mebli ogromnie szanującego rzemiosło, oraz eks-aktoreczki, która gorzkiała grając Betty Crocker i nie była już zdolna, by szanować cokolwiek.

Nieodrodna córka i uczennica swego ojca pracą własnych rąk chciała nadać sens światu. Gdy żył, brnęła uparcie przez college, a po jego śmierci, na jego cześć, rzuciła naukę i zabrała się za meble. W końcu jednak uznała, że jej powołaniem jest lutnictwo, więc nadawała kształt i wystrój gitarom i mandolinom.

Dwa lata byliśmy kochankami, zanim zdecydowała się ze mną zamieszkać. Ale nawet wtedy nie zlikwidowała swojej pracowni w Venice. Po powrocie z Japonii coraz częściej tam uciekała. Gdy zapytałem ją o przyczynę, powiedziała, że musi nadrobić zaległości.

Zgodziłem się. Niewiele czasu spędzaliśmy wówczas razem. Dwoje upartych ludzi, walczących

zaciekle o niezależność, żyjących w różnych światach, popadających niekiedy – czasem całkiem przypadkowo – w pełne dramatyizmu kolizje.

Lecz owe kolizje zdarzały się nam coraz rzadziej. Zaczęła nocować w swojej pracowni, jako powód podając zmęczenie; odrzucała moje propozycje, że będę po nią przyjeżdżał. Na szczęście byłem na tyle pochłonięty pracą, że udawało mi się o tym nie myśleć.

W wieku trzydziestu trzech lat, po przedawkowaniu ludzkich nieszczęść, odszedłem od zawodu psychologa dziecięcego i rozpocząłem wygodne życie, odcinając kupony z inwestycji, jaką poczyniłem nabywając nieruchomości w Południowej Kalifornii. W końcu jednak opanowała mnie tęsknota do pracy w klinice, choć długo się opierałem, by zaangażować się ponownie w długoterminową psychoterapię. Przyjąłem więc wyjście kompromisowe – zostałem konsultantem sądowym. Moja praca to ocena nadzorów prawnych, sprawy dziecięcych urazów... Niedawno uczestniczyłem w procesie, z którego dowiedziałem się trochę o genezie obłędu.

Dobra praca, która nie wymaga szczególnego zaangażowania, a jeśli już, to w stopniu minimalnym. Chirurgia psychologii. Lecz i to wystarczyło, żebym poczuł się jak uzdrowiciel.

Powielkanocny okres spokoju dał mi mnóstwo czasu – czasu spędzonego samotnie. Uświadomiłem sobie, jak bardzo nasze – moja i Robin – drogi się rozeszły, i zadałem sobie w duchu pytanie, czy odczuwam jakiś brak. Licząc na spontaniczny odruch, czekałem, aż ona się zjawi. Skoro się nie zjawiała, później, gdy przyszła, przyparłem ją do muru.

Zbyła mnie, zlekceważyła wszystkie moje wątpliwości i nagle przypomniała sobie, że zostawiła coś w pracowni, i poszła. Toteż coraz rzadziej ją widywałem. Moje telefony do Venice przyjmowała sekretarka automatyczna. Wpadanie bez uprzedzenia było absolutnie bezsensowne. Wszędzie kręcili się smętnoocy muzycy z pokiereszowanymi gitarami, nucący różne odmiany bluesa. Gdy udało mi się wreszcie zastać ją samą, słyszałem tylko zgrzyt piły lub tokarki, szum pistoletu ze sprayem, a to skutecznie eliminowało wszelką rozmowę.

Zacisnąłem zęby i wziąłem nogi za pas, powtarzając sobie w duchu, że muszę być cierpliwy. Bo przecież i ja byłem specjalistą od ładowania sobie na barki licznych obowiązków. Przez całą wiosnę przeprowadzałem analizy, pisałem raporty, świadczyłem w sądzie, orałem jak wół. Lunch z adwokatami, potem tkwienie w korkach ulicznych. Zarabiałem moc forsy, tylko że nie miałem z kim jej wydawać.

Zbliżało się lato, a my byliśmy już jak uprzejmi nieznajomi. Coś musiało się wydarzyć. I wydarzyło się, na początku maja.

Niedzielny, optymistyczny poranek. W sobotę pod wieczór przyszła do mnie po jakieś zapomniane szkice. Została na noc i kochała się ze mną z jakąś precyzyjną determinacją, która mnie przeraziła, ale lepszy rydz niż nic.

Obudziłem się i wyciągnąłem rękę w jej stronę, lecz natrafiłem na pustkę. Z saloniku dobiegały jakieś odgłosy. Zerwałem się na równe nogi – była już ubrana, torba na ramieniu, szła ku drzwiom wyjściowym.

– Cześć, dziecinko.

– Cześć, Alex.

– Wychodzisz już?

Skinęła głową.

– Skąd ten pośpiech?

– Mam dużo roboty.

– W niedzielę?

– Niedziela, poniedziałek, co to ma za znaczenie. – Położyła dłoń na klamce. – Zrobiłam sok, dzbanek jest w lodówce.

Podszedłem do niej, ująłem ją za przegub.

– Zostań trochę dłużej.

Uwolniła rękę.

– Naprawdę muszę iść.

– Przestań! Daj sobie trochę luzu.

– Luz nie jest mi do niczego potrzebny, Alex.

– Zostań chwilę, chcę porozmawiać.

– O czym?

– O nas.

– Co tu jest do mówienia?

Powiedziała to z wymuszonym spokojem, a we mnie miarka się przebrała. Długie miesiące frustracji zaowocowały kilkoma minutami płomiennego monologu.

Egoistka. Nawiedzona. Czy ona wie, jak czuje się człowiek, który żyje jak pustelnik? Czym sobie zasłużyłem na takie traktowanie?

A potem zasypałem ją stertą moich zalet, przypomniałem jej wszystkie moje szlachetne porywy, wszystko, co dla niej uczyniłem od pierwszego dnia naszego związku.

Gdy moja mowa dobiegła końca, zdjęła z ramienia torebkę i usiadła na kanapie.

– Masz rację. Musimy porozmawiać. – Wyjrzała przez okno.

– Słucham – powiedziałem.

– Muszę zebrać myśli. Słowa to twoja specjalność. Pod tym względem nie mogę z tobą konkurować.

– Kto mówi o konkurencji? Po prostu porozmawiaj ze mną. Powiedz szczerze, co myślisz.

Potrząsnęła głową.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć, żeby cię nie urazić.

– Tym się nie przejmuj. Po prostu powiedz.

– A więc, szanowny doktorze... – I po chwili: – Przepraszam, ale to będzie przykre.

Czekałem.

Splotła dłonie, wyprostowała ręce i wyciągnęła je do przodu. – Rozejrzyj się po tym pokoju – meble, dzieła sztuki, nic się tu nie zmieniło, wszystko jest tak jak było, kiedy przyszedłem do ciebie po raz pierwszy. Wspaniałe obrazy – masz świetny gust. Przez pięć lat byłem tu gościem.

– Jak możesz tak mówić? To twój dom.

Mruknęła coś, potrząsnęła głową i odwróciła się.

Starłem się przyjąć jej punkt widzenia, wskazałem na stół z sękami, oparty na krzyżaku.

– To jedyny mebel, który coś dla mnie znaczy. Bo ty go zrobiłaś!

Cisza.

– Powiedz słowo, a porąbię wszystko na kawałki. Zaczniemy od stołka. Razem

Ukryła twarz w dłoniach i chwilę siedziała tak bez ruchu, w końcu spojrzała na mnie, ze łzami w oczach.

– Nie o to chodzi, Alex.

– Więc o co?

– O ciebie. O twoją osobowość. Dominującą. Przytłaczającą. Prawda wygląda tak, że nigdy ci nawet nie przyszło do głowy, żeby zapytać, czy może mam ochotę na coś innego, czy może tym razem to ja mam pomysł...

– Nie przypuszczałem, że to może mieć dla ciebie znaczenie.

– Nigdy ci o tym nie wspominałam, to fakt. Zawsze akceptowałam twoje decyzje, szłam krok w krok za tobą, dopasowywałam się do twoich poczynań. A tak naprawdę tkwiłam w kłamstwie, bo myślałam, że jestem kobietą silną i niezależną.

– Jesteś silna.

Roześmiała się z goryczą.

– Tata tak uważał. „Jesteś silną dziewczynką, piękną i silną”. Wściekał się na mnie, kiedy traciłam pewność siebie, krzyczał i powtarzał w kółko, że jestem inna niż wszystkie dziewczyny. Silniejsza. A dla niego siła to były ręce – jak twórczo je wykorzystywać... Gdy inne dziewczyny bawiły się lalkami Barbie, on mnie uczył, jak posługiwać się piłą mechaniczną. Palce miałam poobcierane do krwi. Skonstruowałam wspianą ukośnicę. Byłam silna. Długo pracowałam na taką opinię. Tymczasem teraz, gdy przeglądam się w lustrze, widzę zupełnie inną kobietę, kobietę, która jest przypisana do mężczyzny.

– Czy tokijska historia ma z tym jakiś związek?

– Po tokijskiej historii powiedziałam sobie: dość, i zaczęłam się zastanawiać, czego właściwie chcę; uświadomiłam sobie wtedy, jak daleko odeszłam od moich planów, jak bardzo byłam zawsze od kogoś uzależniona.

– Dziecinko, nigdy w niczym cię nie ograniczałem...

– Otóż to właśnie! Jestem dziecinka, cholerna dziecinka! Bezradna, gotowa w każdej chwili przyjąć opiekę doktora Alexa!

– Nigdy nie traktowałem cię jak pacjentki – rzekłem. – Przecież kocham cię, na litość boską!

– Miłość. Co to, do cholery, znaczy?

– Wiem, co znaczy dla mnie.

– Wobec tego jesteś lepszym człowiekiem niż ja, zgoda? I to jest problem. Doktor Doskonały. Ratownik dusz. Prezencja, mądrość, urok osobisty, pieniądze... i ci twoi pacjenci, dla których jesteś guru.

Wstała, przeszła kilka kroków tam i z powrotem.

– Niech to szlag, Alex. Kiedy cię poznałam, miałeś problemy – byłeś załamany, pełen niewiary w siebie. Ot, przeciętny facet i mogłam się o ciebie zatroszczyć. Pomogłam ci przez to przejść. Głównie dzięki mnie wyszedłeś z dołka, z całą pewnością.

– Tak, i wciąż jesteś mi potrzebna.

Uśmiechnęła się. – Nie, kochanie. Teraz jesteś doskonale ustawiony, wszystko gra. A ja już nic nie mam do roboty.

– Kompletny idiotyzm. Jestem nieszczęśliwy bez ciebie.

– Chwilowa reakcja. Poradzisz sobie.

– Uważasz mnie widocznie za płytkiego człowieka.

Przechadzając się, potrząsnęła głową.

– Mój Boże, gdy tak siebie słucham, dochodzę do wniosku, że wszystko sprowadza się do zazdrości. Głupiej, dziecinnej zazdrości. Podobnie myślałam o życiu popularnych gwiazd. Ale nic na to nie poradzę – jesteście tacy sami. Świetna organizacja, doskonała rutyna: trzy mile biegu, prysznic, trochę pracy, inkasowanie czeków, gra na gitarze, lektura magazynów. Pieprzysz mnie, gdy jestem w domu, i zadowolony zasypiasz. Kupujesz bilety na Hawaje – jedziemy na urlop. Pojawiasz się z koszem na piknik – jemy lunch. Taśma montażowa, Alex, a ty tylko naciskasz guziki. A historia tokijska uświadomiła mi, że to nie dla mnie. To bzdura, że takie życie jest wspaniałe. Gdybym na to poszła, zaopiekowałbyś się mną raz na zawsze, uczyniłbyś z mojego życia doskonały mechanizm, przesłodzone marzenie senne. Wiem, że mnóstwo kobiet wiele by dało za takie szczęście, ale nie ja.

Patrzyliśmy sobie w oczy. Czułem się głęboko dotknięty, odwróciłem wzrok.

– O Boże, zraniłam cię. Nie cierpię zadawać bólu...

– Nic z tych rzeczy. Mów dalej.

– To by było wszystko. Jesteś wspaniałym człowiekiem, Alex, ale życie z tobą zaczęło mnie przerażać. Czuję groźbę samounicestwienia. Wspomniałeś o małżeństwie. Gdybym wyszła za męża, moja osobowość ucierpiałaby na tym jeszcze bardziej. Nasze dzieci widziałyby we mnie nudne, ospałe, zgorzkniałe babsko. A ich tatuś uosabiałby wielki świat, w którym dokonuje się bohaterskich wyczynów. Potrzebuję trochę czasu, Alex, dystansu. Żeby się w tym wszystkim połapać.

Ruszyła ku drzwiom.

– Muszę już iść.

– Masz tyle czasu, ile tylko chcesz – powiedziałem. – I właściwy dystans. Tylko mnie nic rzucaj.

Stała w progu wyraźnie poruszona. Podbiegła do mnie, pocałowała w czoło i zniknęła za sobą drzwi.

Po dwóch dniach, gdy wróciłem do domu, zastałem na stole kartkę:

Drogi Alexie!

Pojechałam do San Luis. Moja kuzynka Terry urodziła dziecko.

Chcę jej pomóc, wracam za tydzień.

Nie myśl o mnie z nienawiścią,

Twoja R.

Rozdział 3

Jedną ze spraw, którą właśnie skończyłem, dotyczyła pięcioletniej dziewczynki; o opiekę nad nią trwała zaciekle, nieprzebierająca w środkach walka między producentem filmowym i jego czwartą żoną.

Przez cztery lata jej rodzice, dopingowani przez adwokatów do kosztownej wojny, nie doszli do żadnego porozumienia. W końcu bezradny sędzia zwrócił się do mnie, bym wydał fachowe orzeczenie. Poddałem dziewczynkę badaniu i poradziłem sędziemu, żeby inny psycholog zajął się rodzicami.

Konsultant, którego zarekomendowałem, nazywał się Larry Daschoff i był moim dawnym kolegą; świetny diagnosta i uczciwy człowiek, za co bardzo go ceniłem. Przyjaźniliśmy się od lat, polecaliśmy wzajemnie swoje usługi, od czasu do czasu jedliśmy razem lunch bądź graliśmy w piłkę ręczną. Zaliczał się do kategorii przyjaciół dorywczych, toteż szczerze się zdziwiłem, gdy w piątek o dziesiątej wieczorem zadzwonił do mnie.

– Doktor Di? Czy doktor Di przy aparacie? – wykrzyknął jak zwykle radośnie. Jego głos zagłuszał potworny hałas – piski opon, strzały z telewizora połączone z jednostajnym wrzaskiem, jaki rozlega się na szkolnym boisku podczas przerwy.

– Cześć, Larry. Co się dzieje?

– Tylko tyle, że Brenda chłonie wiedzę w bibliotece prawniczej, a ja mam na głowie całą piątkę potworów.

– Rozkosze ojcostwa.

– O, tak. – Poziom hałasu wzrastał. Dobiegał przeraźliwy cienki pisk: –Tato, tato, tato!

– Chwileczkę, Alex. – Przesłonił dłonią słuchawkę, ale i tak słyszałem jego słowa: – Zaczekajcie, aż skończę. Nie, nie teraz! Jeśli ci dokuczają, to trzymaj się od niego z daleka. Nie, nie teraz, Jeremy! Nie chcę o tym słyszeć. Rozmawiam przez telefon. Jeśli nie przestaniecie, to nie ma mowy o cieście kakaowym i za dwadzieścia minut pójście do łóżka!

Podjął rozmowę:

– Ni stąd, ni zowąd stałem się fanem terapii szokowej. Niech szlag trafi Annę Freud i Brunona Bettelheima. Siedzieli w swoich gabinetach i pisali książki, a ktoś wychowywał ich dzieci. Czy staruszka Anna w ogóle miała dzieci? Chyba od zawsze była żoną tatusia. W każdym razie pierwsza rzecz, jaką zrobię w poniedziałek, to pošlę po sześć strzykawek ze środkiem usypiającym dla bydła. Po jednej dla każdego bachora, a szósta dla mnie – za to, że zachęcałem Brendę, by wróciła do nauki. Jeżeli Robin wpadnie kiedyś do głowy taki twórczy pomysł, szybko zmień obiekt swoich pożądań.

– Nie omieszka.

– Coś nie tak, Di?

– Jestem po prostu trochę zmęczony.

Był za dobrym psychologiem, by się nie domyślić, że coś ukrywam. I za dobrym psychologiem, by ciągnąć ten wątek.

– Czytałem twój raport na temat rodziny Featherbaugh i całkowicie się z lubą zgadzam. Czy przy takich rodzicach sieroctwo byłoby dla dziecka bardziej wskazane? Sprzeciwiłem się i orzekłem, że ustanowienie wspólnego nadzoru byłoby zdecydowanie mniejszym złem. Chcesz się założyć, czy są szanse, by się udało?

– Założyłbym się o coś wręcz przeciwnego.

– Nie opowiadaj. – Znowu mnie przeprosił. Krzyknął do któregoś dziecka, by wyłączyło telewizor. Bezskutecznie. – Ludzie są rozpaskudzeni, nie uważasz? I co z tą cudowną intuicją wyspecjalizowaną po trzynastu latach pracy jako badacz osobowości? Nikt już nie chce do niczego się przyłożyć. Bóg mi świadkiem, że nie urwałem się nawet na dzień, tak samo Brenda. Jeśli wytrzymaliśmy ze sobą przez te wszystkie lata, to inni też mogliby się postarać.

– Uważałem was zawsze za idealnie dobraną parę.

– Co rok to prorok. – Zachichotał. – My jak włoskie małżeństwa: *mucho passione, mucho screamo*, szaleństwo. Godzi się na mnie z powodu mojej perwersji seksualnej.

– Naprawdę?

– Naprawdę! – przedrzeźniał mnie. – Di, to zabrzmiało cholernie sucho, nijak się to ma do twoich błyskotliwych ripost. Naprawdę dobrze się czujesz?

– Świetnie, wierz mi.

– Skoro tak twierdzisz... Ale wracam do rzeczy. Dostałeś zaproszenie na wielką balangę do Kruse'a?

– Zdobi dno mojego kosza na śmieci. Błyskotliwa riposta?

– W żadnym wypadku. Nie zamierzasz iść?

– Chyba żartujesz, Larry.

– Bo ja wiem. Może być całkiem zabawnie, w stylu *mondo bizarro*. Człowiek zobaczy, jak żyją inni; stanie sobie z boku i tłumiąc burżuazyjną zawiść, będzie dociekał tego i owego...

Coś mi się przypomniało.

– Larry, czy ty nie byłeś przez krótki okres asystentem Kruse'a?

- Przez cały semestr! I zgadza się, stosowałem taktykę obronną. To nieciekawy facet. Na moje usprawiedliwienie mam tylko tyle, że byłem wówczas załamany – właśnie się ożeniłem i zacząłem doktorat, toteż w połowie semestru cofnięto mi stypendium.
- Daj spokój, Larry, nie przesadzaj. Trafiło ci się z tą pracą. Całymi dniami oglądaliście wtedy świńskie filmy.
- Niesłusznie rozumujesz, Delaware. Badaliśmy granice seksualizmu człowieka. – Roześmiał się.
- Teraz zresztą też całymi dniami oglądamy studentów ślęczących nad świńskimi filmami. Och, a co do tych frywolnych siedemdziesięciolatków – czy dzisiaj dałbyś sobie radę z tym problemem?
- Tragiczna strata dla nauki.
- Katastrofalna. Prawdę mówiąc, Di, było to jedno wielkie gówno. Kruse’owi uszło to na sucho, bo włożył w to forszę – prywatna fundacja; badanie wpływu pornografii na potencję seksualną.
- Doszedł do jakiegoś wniosku?
- Główna teza: filmy porno podniecają studentów college’u.
- Wiem to z własnego doświadczenia.
- Ty byłeś opóźniony.
- Czy on publikował?
- Gdzie? W „Penthouse”’? Nie, wyniki swych badań prezentował w różnych talk-showach. Propagował porno jako zdrowe wyżycie się w seksie, i tak dalej, i tak dalej. Po czym, na początku lat osiemdziesiątych, kompletnie zmienił stanowisko. Przeanalizował uprzednio stawianą tezę. I zaczął głosić, że porno zachęca do stosowania przemocy wobec kobiet.
- Nasz nowy dziekan ma po prostu niezależny umysł.
- O, tak.
- Jakim cudem on się wdrapał na ten szczyt, Larry? Pracował przecież jako techniczny w niepełnym wymiarze godzin.
- Techniczny w niepełnym wymiarze godzin, ale jak ustawiony...
- Fundacja nazywa się Blalock?
- A, już wiesz. Stary mułła – stał, koleje – jedna z tych rodzin, do których zawsze płynie forsa gdzieś z zachodniego Missisipi.
- Co Kruse ma z nimi wspólnego?

– Podobno pani Blalock miała kłopoty z dzieckiem, a Kruse je leczył. Widocznie pomógł, bo mamusia od lat słała pieniądze do wydziału – pod warunkiem, że Kruse będzie nimi zarządzał. Awansowano go i dostawał wszystko, czego zapragnął. Ostatnie jego życzenie to dziekanat i *voilà*, stąd przyjęcie.

– Handel urzędem – powiedziałem. – Nie miałem pojęcia, że jest aż tak źle.

– I będzie coraz gorzej, Alex. Mam jeszcze te wykłady na temat terapii rodzinnej, więc dobrze wiem, że sytuacja finansowa wydziału jest kiepska. Pamiętasz, jak nawet najprostsze badania na nas zwalali, jak patrzyli z góry na wszystko, i prawie nic nie robili. Jak „Szczurek” Frazier zwykł powtarzać, że zwrot „ważne dla sprawy” jest nieprzyzwoity. Nikt nie chce dawać pieniędzy na badanie odbicia oka w wyłuszczonej homarze. A najważniejsze, że spada procent studentów zabiegających o stopień naukowy – zawód psychologa nie ma najwyższych notowań. Wszyscy teraz, nawet mój najstarszy syn, chcą prowadzić biznes – to da im zdrowie, szczęście i bogactwo. A dla nas znaczy obcięcie budżetu, zwolnienia z pracy, puste sale wykładowe. Na dziewiętnaście miesięcy wypożyczyli zamrażarkę – wtedy nawet profesorowie zwyczajni spuścili nos na kwintę. I oto Kruse przynosi forszę pani Blalock, więc stanowisko podano mu na talerzu. Jak mówi mój najstarszy chłopak: pieniądz ma głos, tato, a duppek pusty trzos. Cholera, nawet Frazier skoczył do góry. Słyszałem ostatnio, że drogą korespondencyjną rozprowadzał taśmy propagujące walkę z paleniem.

– Bujasz!

– Nie bujam.

– A co Frazier może wiedzieć o rzuceniu palenia? O jakiegokolwiek ludzkiej sprawie?

– Skoro stała się ważna, to wie. Krótko mówiąc, tak wygląda sytuacja. Ale teraz w kwestii soboty. Wydierżawiam jutro na trzy godziny całą piątkę moich cukiereczków. Mógłbym robić pompki, oglądać mecz lub zająć się czymkolwiek równie ekscytującym, jednak myśl, że mogę się wystroić i wlewać w siebie darmowe drinki oraz przeżuwać chrupki w pewnej pięknej rezydencji w Holmby Hills, nie sprawia mi przykrości.

– Drinki będą na pewno podłe, Larry.

– Lepsze niż ten, który teraz piję. Rozrzedzony sok jabłkowy. Wygląda jak siuśki. Jedyne napój, jaki jest w domu; zapomniałem zrobić zakupy. Przez dwa dni będę ładował w dzieci osłodzone płatki zbożowe. – Westchnął ciężko. – Jestem jak w potrzasku, Di. Myślę o ostrej formie klaustrofobii. Przyjdź na to cholerne przyjęcie – sprzedajmy tym cynicznym barbarzyńcom kilka godzin. Dla nas obu murowane stanowiska prodziekanów. Przyrowadź Robin, przejdź się z nią przed ich nosem, niech te nadziane pierdoły wiedzą, że nie wszystko można kupić za pieniądze.

– Robin nie przyjdzie. Wyjechała.

– Służbowo?

– Uhum.

Cisza.

– Jeśli jesteś umówiony, Di, rozumiem, nie ma sprawy.

– Nie, jestem wolny – odrzekłem po chwili.

Rozłączyłem się.

Rozdział 4

Holmby Hills to najdroższa dzielnica Los Angeles, mały skrawek bogactwa wciśnięty między Beverly Hills a Bel Air. Finansowo oddalony ode mnie o całe lata świetlne, a terytorialnie – około mili na południe.

Według mojej mapy La Mar Road znajduje się w samym sercu okręgu, kawałek krętej, ślepej uliczki, kończącej się wśród pagórków, z których widać Country Club Los Angeles. Niedaleko rezydencji „Playboya”, ale nie przypuszczam, by Hef został zaproszony na tę imprezę.

O czwartej piętnaście włożyłem letni garnitur i ruszyłem na piechotę. O tej porze jezdnie były zatłoczone – amatorzy jazdy na nartach wodnych i amatorzy słońca wracali właśnie z plaży, a gamonie z mapą przed nosem jechali w kierunku wschodnim, by odszukać rezydencje znanych gwiazd. Pięćdziesiąt jardów w głąb Holmby Hills zgiełk ucichł – zapanowała sielska atmosfera.

Rezydencje były olbrzymie, ukryte za wysokimi murami, zabezpieczone systemami alarmowymi, a w tle – zieleń lasków. Tylko wąskie odcinki dachówki lub wieżyczka w stylu hiszpańskim wyłaniająca się z zieleń świadczyły, że gdzieś tam ktoś mieszka. I jeszcze dostojne i groźne szczekanie niewidzialnych psów obronnych.

La Mar pojawiło się za łagodnym zakrętem; prowadząca w górę asfaltowa dróżka kończyła się przed murem wysokich eukaliptusów. Zamiast znaku drogowego do jednego z drzew przybity był krążek sosny, nad sztyldami towarzystw ubezpieczeniowych i czerwono-białą odznaką straży powietrznej. Rustykalne litery ryte w krążku układały się w słowa: „La Mar, posiadłość prywatna, wstęp wzbroniony”. Jadąc czterdzieści mil na godzinę, łatwo było go przeoczyć, choć rolls-royce corniche, który przemknął obok mnie, zatrzymał się przed wejściem bez wahania.

Ruszyłem ledwie widocznym tropem royce’a. Dwadzieścia stóp w kierunku posesji i dwa bliźniacze kamienie polne po obu stronach bramy, z kolejnym ostrzeżeniem, że to droga prywatna, wbudowane w mur wysokości ośmiu stóp, którego szczyt zwieńczały trzy stopy połączanego kutego żelaza. Owo żelazo oplatały rozmaite gatunki winnej latorośli, angielskiego bluszczu, passiflory, róży jerychońskiej, wistarii. Dzięki obfitości zieleni środki zabezpieczające wyglądały całkiem naturalnie.

Za murem droga była wysadzana wysokimi na prawie siedem pięter, szarozielonymi eukaliptusami. Ćwierć mili dalej liście tworzyły coraz grubszą przesłonę, robiło się coraz ciemniej i chłodniej. Plamy mchu i innej roślinności zdobiły polne kamienie. Powietrze było wilgotne i mentolowo czyste. Ćwierkające nieśmiało ptaki odzywały się coraz rzadziej.

Droga skręciła, wyprostowała się i dobiegła kresu. Zaokrąglony łukowato kamienny mur znaczyły pieczęcie bram z kutego żelaza. Stały tu liczne samochody – dwa rzędy chromu i lakieru.

Gdy podszedłem bliżej zorientowałem się, że podział nie był przypadkowy; błyszczące auta w jednym rzędzie; w drugim – wozy combi oraz inne, o plebejskim rodowodzie. Jako pierwszy samochód-marzenie stał biały mercedes coupe, zrobiony na zamówienie, o zwiększonej mocy silnika, odpowiednio zabezpieczonych zderzakach i połączanych częściach metalowych, i oczywiście jeszcze

z tabliczką z inicjałami nazwiska i tytułu naukowego.

Przystrojoni w czerwone surduty kamerdynerzy kręcili się wokół podjeżdżających wozów niczym muchy na końskim grzbiecie, rzucali się, by otworzyć drzwiczki samochodów i odebrać kluczyki. Ruszyłem ku bramie i stwierdziłem, że jest zamknięta. Po jednej jej stronie przyczepiony był domofon, słuchawka telefonu i guziki systemu alarmowego.

Któryś z czerwonych surdutów dostrzegł mnie i wyciągnął rękę w moim kierunku.

– Kluczyki – oznajmił.

– Nie mam kluczyków. Przyszedłem pieszo.

Oczy mu się zwężyły. W rękę trzymał olbrzymi klucz przymocowany łańcuchem do politurowanej płytki drewna. Na owej płytce wyryte były litery: Brama fr.

Zajmujemy się parkowaniem – nalegał. Był gruby, miał ciemną cerę, okrągłą twarz, kędzierzawą brodę, mówił z akcentem śródziemnomorskim, słowom towarzyszyła ożywiona gestykulacja.

– Nie przyjechałem samochodem – oświadczyłem. – Przyszedłem pieszo. – Patrzył na mnie z kamienną twarzą, więc poruszyłem palcami, by pokazać na migi proces chodzenia.

Obrócił się do drugiego kamerdynera, niskiego, chudego czarnego chłopaka, i coś mu szepnął. Obaj wytrzeszczyli na mnie oczy.

Spojrzałem na zwieńczenie bramy i zobaczyłem złote litery: Skylark.

– To jest posiadłość pani Blalock, tak?

Milczenie.

– Przyjęcie uniwersyteckie? Doktor Kruse?

Brodaty wzruszył ramionami i pospieszył ku perłowoszaremu cadillacowi. Czarny chłopak postąpił krok w moją stronę.

– Ma pan zaproszenie?

– Nie. A jest potrzebne?

– Hmmm. – Uśmiechnął się i na jego twarzy odmalowała się męka myślenia. – Nie przyjechał pan samochodem, nie ma pan zaproszenia.

– Nie wiedziałem, że muszę mieć przy sobie zaproszenie.

Mlasnął językiem.

– Czy tak samo jak zaproszenie potrzebny jest panu samochód? – zapytałem.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Całą drogę przeszedł pan na pieszo?

– Tak.

– A gdzie pan mieszka?

– Niedaleko stąd.

– W sąsiedztwie?

– Jestem zaproszony. Nazywam się Alex Delaware.

– Chwileczkę. – Podeszedł do głośnika, podniósł słuchawkę, przemówił.

Odkładając słuchawkę, powtórzył: – Chwileczkę – i pobiegł otwierać drzwi długiego, białego lincolna.

Rozglądałem się. Coś brązowego i bliskiego sercu przykuło mój wzrok: prawdziwie wzruszający pojazd zatrzymał się przy krawężniku, z dala od innych wozów. Osamotniony.

Łatwo było odgadnąć przyczynę. Chropowaty wehikuł starego rocznika marki Chevy, typu combi, z plamami rdzy na karoserii i łatami dawnego lakieru. Opony wyraźnie potrzebowały powietrza. Tylne siedzenia zawalone były zwiniętymi ubraniami, butami, jakimiś kartonami, puszkami z żywnością i pogniecionymi kubkami jednorazowego użytku. Na tylnej szybie widniała żółta nalepka, a na niej napis kursywą: Mutanty na pokładzie.

Uśmiechnąłem się. Zauważyłem, że ten stary gruchot ustawił się tak, że nie będzie go można wycofać. Kilkanaście aut musiałyby odjechać, by umożliwić mu opuszczenie stanowiska.

Z białego lincolna wysiadła modnie ubrana para w średnim wieku – brodaty kamerdyner odprowadził ich do bramy. Włożył do zamka swój ogromny klucz, nacisnął guziki systemu kodowego i żelazna brama stanęła otworem. Wśliznąłem się przy okazji i ruszyłem za ową parą wspinającą się po podjeździe wyłożonym, metodą rybiej łuski, czarnym klinkierem. Gdy mijałem kamerdynera, kiwnął mi głową, ale bez entuzjazmu, i nie próbował mnie zatrzymać.

Wskazałem mu chevy i rzekłem:

– Ten brązowy wóz combi, coś panu o nim powiem.

– Co takiego?

– Jego właściciel to najbogatszy facet na tym przyjęciu. Traktujcie go jak należy, słynie z dużych napiwków.

Pokiwał głową i popatrzył na starego grata. Odszedłem. Gdy po chwili obejrzałem się, stwierdziłem, że dyryguje samochodami, tak by kierowca brązowego chevy miał możliwość manewrowania.

Sto jardów za bramą eukaliptusy rozwarły się, ukazując niebo nad wypielęgnowanym polem golfowym. Strzegły je uformowane w kolumny włoskie cyprysy wśród gazonów z bylinami. Dalej wznosiły się sztucznie usypane pagórki i doliny. Najwyższy kurhan dotykał chyba granicy posiadłości, a na jego szczycie rosły czarne sosny; jałowce kalifornijskie były idealnie przycięte, tak by mogły stawić opór podmuchom wiatru.

Droga dojazdowa wyłożona rybią łuską wznosiła się pod górę. Zza jej wierzchołka dobiegały dźwięki muzyki. Zespół smyczkowy grał jakiś barokowy utwór. Gdy doszedłem do szczytu, zobaczyłem idącego ku mnie starszego faceta w liberii majordomusa.

– Czy pan doktor Delaware?

Jego akcent lokował go gdzieś między Londynem a Bostonem; rysy twarzy miał delikatne, szlachetne, policzki nieco obwisłe; cerę koloru łososia z puszki. Pęczki trzciniowatych włosów okalały twarz. Biały goździk zdobił butonierkę.

– Tak.

– Jestem Ramey, będę dalej panu towarzyszył. Proszę wybaczyć wcześniejsze niedogodności.

– Drobiazg. Kamerdynerzy nie mają widać do czynienia z piechurami.

Przekroczyliśmy już najwyższy punkt podjazdu. Powędrowałem wzrokiem ku horyzontowi. Spojrzałem na zielone, pokryte miedzią daszki, dwa piętra białego stiuku, zielone żaluzje, kolumnadę portyków, balkony z balustradami, werandy, łukowato sklepione drzwi i okna w kształcie wachlarza. Monumentalny tort weselny wśród akrów zielonego lukru.

Przed rezydencją rozciągał się park – utrzymany wedle obowiązującej konwencji; zwirowane ścieżki, cyprysy, gmatwanina żywopłotów z bukszpanu, fontanny, sadzawki dekoracyjne, setki klombów róż o tak lśniących płatkach, jakby emanowały fluoryzacyjnym blaskiem. Goście, dzierżąc w garści szklance o podłużnym kształcie, przechadzali się po ogrodzie, podziwiając rośliny i podziwiając siebie w lustrzanych taflach sadzawek.

Szedłem w milczeniu, ugniatając stopami żwir. Słońce prażyło, powietrze było gorące i gęste jak rozpuszczone masło. W cieniu największej fontanny zasiadał zespół filharmoników w pełnej obsadzie – mieli ponure twarze i przepisowe stroje. Dyrygent, młody długowłosa Azjata, podniósł batutę i rozległy się tony szacownej muzyki Bacha.

Z dźwiękami instrumentów mieszał się dźwięk szkła i utrzymany w tonacji basowej szmer rozmów. Po lewej stronie parku znajdowało się duże, wyłożone płytami kamiennymi patio – pod osłoną żółtych parasoli stały tam białe okrągłe stoliki. Na każdym lilie, purpurowe irysy i białe goździki. W namiocie w biało-żółte pasy, takich rozmiarów, że zmieściłby się w nim cyrk, ustawiono

długi, biało lakierowany bar, obsługiwany przez dwojących się i trojących barmanów. Około trzystu ludzi siedziało przy stolikach i piło. Połowa z nich oblegała bar. Kelnerzy z tacami drinków i kanapek lawirowali wśród gości.

– Czy mogę służyć panu drinkiem?

– Wystarczy woda sodowa.

– Proszę mi wybaczyć. – Ramey przyspieszył kroku, wyprzedził mnie i zniknął w tłumie przy barze; po chwili wyłonił się niosąc szklankę z zamrożonym napojem wraz z żółtą płócienną serwetką. Wręczył mi je, gdy właśnie wchodziłem do patio.

– O, jest pan tutaj. Jeszcze raz przepraszam za wszelkie niedogodności.

– Nieważne. Dziękuję.

– Życzy pan sobie coś do zjedzenia?

– Nie, na razie nie.

Uklonił się z godnością i odmaszerował. Zostałem sam, sączyłem wodę sodową i szukałem wzrokiem jakiejś znajomej twarzy.

Jak się niebawem zorientowałem, towarzystwo było podzielone na dwie odrębne grupy – podział społeczny odpowiadający dwu rzędom zaparkowanych aut.

Scenę centralną zdominowali wielcy bogacze, stado królewskich łabędzi. Opaleni i smukli w konserwatywnych *haute couture*, witali się muśnięciem w policzek, śmiali się cicho i dyskretnie, pili ostro i nie tak dyskretnie i nie zwracali najmniejszej uwagi na obcych etnicznie ludzi siedzących w pobliżu.

Środowisko uniwersyteckie to gaduły, zapaleńcy, niezmordowani dyskutanci. Skupiali się najchętniej w niewielkich grupkach; obgadywali jeden drugiego, rozglądając się uważnie wokół. Niektórzy byli w zwracających uwagę, nieskazitelnym, prosto ze sklepu strojach, w sukniach i garniturach na specjalną okazję; inni postawili sobie za punkt honoru, by wyglądać niedbale. I niemal wszyscy, z mieszaniną bolesnego łaknienia i wzdargy, obserwowali rytuał królewskich łabędzi.

Kończyłem właśnie wodę sodową, gdy szmer poprzedzający pojawienie się samego Paula Kruse przebiegł przez patio, przez obie strefy. Kroczył z wdziękiem wśród „gawiedzi i luminarzy nauki”. U jego ramienia wisiała drobna, ładna srebrzysta blondynka w czarnej sukni bez ramiączek i na wysokich, chyba dziesięciocentymetrowych obcasach. Była już po trzydziestce, ale włosy miała upięte jak królowa studenckiej potańcówki – opadały poniżej ramion, ekstrawagancko zakręcone na końcach. Suknia opinała jej ciało jak skóra jaszczurki. Szyję zdobiła brylantowa kolia. Nie odrywała wzroku od Kruse’a, który uśmiechał się, obracając głowę ku gościom.

Dobrze się przyjrzałem nowemu dziekanowi. Na pewno dobiegał sześćdziesiątki – wciąż jednak był przystojny, dzięki chemii i diecie. W dalszym ciągu miał długie włosy o wątpliwym żółtawym

odcieniu, modnie ostrzyżone, opadające falą na jedno oko. Niegdyś przypominał modela – reprezentował ten typ pospolitej urody, która świetnie wypada na fotografii; traci natomiast w zestawieniu z rzeczywistością. Na twarzy znać jednak było upływ czasu; dolna szczęka jak gdyby trochę opadła, ostre dawniej rysy zwiotczały, co nadawało mu wyraz znudzenia i zblazowania. Był tak mocno opalony, że wyglądał, jakby się spiekł. Upodobniło go to do jego forsiastych gości, podobnie jak szyty na zamówienie garnitur. A garnitur był lekki niczym puch, choć niewątpliwie tweedowy, z wywatowanymi ramionami – śmieszne ustępstwo na rzecz akademików. Obserwowałem, jak uśmiecha się promiennie do kolegów naukowców, wymienia uścisk dłoni z mężczyznami, panie całuje, po czym rusza do następnego zestawu swoich sympatyków.

– Gładki, prawda? – odezwał się ktoś za moimi plecami.

Rozejrzałem się, spojrzałem w dół na dwieście funtów faceta o złamanym nosie i krzaczastych wąsach, przyodzianego w brązowy garnitur w kratkę, różową koszulę, czarny krawat z dzianiny i tanie, sfatygowane mokasy.

– Czołem, Larry. – Wyciągnąłem do niego rękę, ale spostrzegłem, że on ma obie zajęte: w lewej trzymał kufel piwa, w prawej – talerz z kurzymi skrzydełkami, jajkami w szynce i częściowo obgryzionym żeberkiem.

– Byłem przy różach – powiedział Daschoff. – Usiłowałem dociec, jak im się udało tak je wyhodować. Użyźniają chyba glebę starymi banknotami. – Uniósł brwi, obracając głowę w stronę rezydencji. – Całkiem przyjemna chałupka.

– Owszem, przytulna.

Skierował wzrok ku dyrygentowi.

– To Narahara, *wunderkind*. Wyobrażam sobie, ile kosztuje taki występ. – Upił nieco piwa. Dolną partię jego wąsów ozdobiła piana. – *Budweiser* – oznajmił. – Liczyłem na coś bardziej egzotycznego. Ale przynajmniej jest mocne.

Usiedliśmy przy wolnym stoliku. Larry z widocznym wysiłkiem założył nogę na nogę i znów łyknął spory haust piwa. Jego klatka piersiowa niebezpiecznie napeęczała, zagrażając guzikom marynarki. Rozpiął ją i usiadł wygodniej. Do paska przyczepiony miał pager.

Larry mierzy prawie tyle samo wszerej co wzdłuż i chodzi jak kaczka; typowe dla grubasów. Lecz w spodenkach kąpielowych wygląda krzepko, jak kawał zamrożonej wołowiny – interesujące połączenie mięśni poprzerastanych łojem. To jedyny facet o wzroście poniżej sześciu stóp, który był obrońcą w drużynie Uniwersytetu Arizona. Kiedyś, jeszcze w szkole, obserwowałem, jak na zajęciach gimnastycznych podnosił ciężar dwukrotnie cięższy niż on sam i nawet specjalnie się nie zasapał, po czym pchnięciem jednej ręki uniósł go do góry.

Krótkimi palcami przejechał po swojej stalowo-welnistej czuprynie, wytarł wąsy, nie przestając obserwować Kruse'a, który z wdziękiem przeciskał się przez tłum. Trasa nowego dziekana przebiegała w pobliżu naszego stolika – na tyle blisko, że mogliśmy śledzić mechanizm błyskotliwej

wymiany zdań, lecz za daleko, by słyszeć co mówią. Pewien typ gry towarzyskiej.

– Twój mentor jest w dobrej formie – powiedziałem.

Larry napił się piwa, a potem wyciągnął przed siebie obie dłonie.

– Mówiłem ci już, Di, że jestem absolutnie załatwiony. Pracowałbym dla samego diabła. Ubiłbym interes jak Faust.

– Nie musisz mi tłumaczyć, doktorze.

– Czemu nie? Stale mnie to dręczy, że jestem takim gównianym towarem. – Jeszcze łyk piwa. – Ostatni semestr przepadł. Właściwie to nie mam z Kruse'em wiele do czynienia – od dawna nie zamieniłem z nim chyba nawet dziesięciu zdań. Nie lubię go, bo to płytki i fałszywy facet. A on też nie ma do mnie przekonania, bo jestem mężczyzną – jego załoga to same asystentki.

– To dlaczego cię zatrudnił?

– Ponieważ przedmiotem jego badań są mężczyźni, którzy w towarzystwie pilnych studentek nie rozluźniliby się w pełni. I przypuszczalnie nie chcieliby udzielić odpowiedzi na pytania, jak często na przykład im staje, jakie przedkładają rodzaje masturbacji. Czy robią to w publicznych toaletach. Jak często i z kim się pieprzą i ile czasu im potrzeba do wytrysku. I jaki mają naprawdę stosunek do wątróbki w puszcze.

– Granice seksualizmu człowieka – zacytowałem.

– A mogłoby to przynieść pożytek – ciągnął potrząsając głową. – Popatrz na wyniki Mastersa i Johnsona. Ale Kruse nie przywiązuje wagi do gromadzenia danych klinicznych. Jak gdyby zależało mu tylko na dobrnięciu do końca.

– A sponsorzy nie wykazują zainteresowania?

– Nie. To gnojki, bogaci amatorzy pornosów. A on po prostu temu hobby nadał akademicką rangę.

Odwróciłem się i spojrzałem na Kruse'a. Blondynka w czarnej sukni chybotwała się przy nim na tych swoich wysokich szpilkach.

– Co to za babka u jego boku?

– Pani K. Nie pamiętasz Suzanne?

Potrząsnąłem przecząco głową.

– Suzy Straddle. Cały wydział o niej plotkował.

– Jakoś mi to umknęło.

– Poważna luka, Di. Sławna w kampusie osoba. Eks-aktoreczka porno. Nosila przezwisko nawiązujące, powiedzmy, do jej... giętkości. Kruse poznał ją na jakimś przyjęciu w Hollywood, na którym był „służbowo”. Miała wówczas najwyżej osiemnaście albo dziewiętnaście lat. Porzucił dla niej swoją drugą żonę... czy może trzecią, kto się w tym połapie. Zapisał ją na uniwersytet, na anglistykę. Wytrzymała chyba trzy tygodnie. Zaskoczyłeś teraz?

– Nie. Kiedy to było?

– W siedemdziesiątym czwartym.

– Byłem wtedy w San Francisco. W Langley Porter.

– Prawda, jesteś niezły as – absolutorium i dysertacja w tym samym roku. Twój przedwczesny rozwój dał ci szansę wkroczenia na rynek pracy dwanaście miesięcy przed nami, ale za to ominęła cię Suzy. Naprawdę dobrze się zapowiadała. Pracowałem z nią – przez cały tydzień. Kruse zatrudnił ją jako sekretarkę. Tylko że nie umiała pisać na maszynie i narobiła bałaganu w teczkach z dokumentami. Słodkie dziecko. Lecz w pewnym sensie prymitywne.

Szacowny gospodarz wraz z małżonką zbliżali się do naszego stolika. Suzanne Kruse dreptała tuż za mężem jakby prowadził ją na sznurku. Była wątła – stawy ramion wyraźnie się zaznaczały, szyja ściśnięta obrozą brylantowego naszyjnika, prawie płaska pierś, zapadnięte policzki, ostro zarysowany podbródek. Przedramiona miała kształtne, choć zbyt muskularne; kościste dłonie, cienkie palce. Długie paznokcie polakierowane na czerwono. Uczepiła się nimi mężowskiego rękawa, wpijając się niemal w tweed.

– Wygląda mi to na wielką miłość – powiedziałem. – Tyle lat jej się trzyma.

– Nie dałbym głowy za jego monogamię. Kruse ma opinię pierwszoligowego jebaki, a Suzy jest znana z tolerancji. – Odchrząknął. – Uległa niewiasta.

– W sensie dosłownym?

– Skinął głową. – Pamiętasz te przyjęcia u Kruse’a w Mandeville Canyon, tego roku, kiedy tu przyszedł? Ach prawda, byłeś wtedy we Frisco. – Zamilkł, jadł jajko w szynce, przeżuwał dokładnie. – Czekał, zdaje się, że w siedemdziesiątym piątym te przyjęcia jeszcze się odbywały. Wróciłeś w siedemdziesiątym piątym, tak?

–Po dyplomie – odparłem. – Dostałem pracę w szpitalu. Wtedy go poznałem. Nie przypadliśmy sobie do gustu. Więc mnie nie zapraszał,

– On nikogo nie zapraszał, Alex. Prowadził tak zwany dom otwarty. Pod każdym względem. – Chwycił mnie za podbródek. – Ty byś prawdopodobnie tam nie poszedł, bo byłeś porządnym chłopcem, poważnym. Szczerze mówiąc, to ja dalej niż za próg nie doszedłem. Brenda tylko rzuciła okiem i wyciągnęła mnie stamtąd za kołnierz. Ale ci, co tam chodzili, opowiadali, że byli na kilku orgiach, jeśli można sobie wyobrazić pieprzenie innych psycholi. Chłosta, co za okropny pomysł, nie sądzisz? A Suzy Straddle – główna atrakcja – związana i zakneblowana.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Wydziałowe plotki. Wszyscy o tym wiedzieli – żadna tajemnica. Wówczas nikomu nie przyszło do głowy, że to po prostu koszmar. Premikrobowe czasy – swoboda seksualna, uwolnione *id*, poszerzenie granic świadomości, *et caetera*. Nawet radykalne feministki w naszej grupie uważały, że Kruse jest o krok od czegoś bardzo znaczącego. Albo może dawało im to asumpt do dominacji. Tak czy owak, chłostanie Suzy było z egzystencjalnego punktu widzenia do zaakceptowania, ponieważ zaspokajało jej wewnętrzną potrzebę.

– Kruse też ją chłostał?

– Wszyscy. Było to prawdziwie gangsterskie widowisko – każdy miał wobec niej równe szanse. I popatrz tylko na nią, jak przywarła do niego. Co za uległość! Prawdopodobnie jest osobowością pasywnie uzależnioną – doskonale dopasowaną do takiego żądnego władzy byka jak Kruse.

Według mnie wyglądała na zalęknioną. Tak, stała tuż przy mężu, ale jakby trochę z tyłu. Widziałem, jak stawiała krok do przodu i uśmiechała się, gdy ktoś coś do niej mówił, lecz zaraz się cofała. Ruchem głowy odrzuciła do tyłu długie włosy, spojrzała na paznokcie. Uśmiech jej był sztuczny, bez wyrazu, oczy nienaturalnie błyszczące.

Stała pod takim kątem, że słońce zapaliło brylanty w jej naszyjniku, aż posypały się iskry. Pomyślałem o obroży.

Kruse obrócił się gwałtownie, aby ucisnąć czyjąś dłoń, i małżonka straciła równowagę. Nieoczekiwanie pozbawiona oparcia chwyciła męża za rękaw, owijając się niemal wokół niego. Nie przestawał masować jej nagiego ramienia, choć uwaga, jaką jej poświęcał, była raczej bezosobowa.

„Miłość! Obojętne, do cholery, jak się ona przejawia!”

– Niedowartościowanie – powiedział Larry. – Można trafić na siebie nawet w takim kurewskim pornosie.

– Właśnie.

Przytknął kufel do ust.

– Idę dolać. Przynieść ci coś?

Wyciągnąłem ku niemu rękę ze szklanką.

– To samo.

Wzruszył ramionami i poszedł do baru.

Kruse'owie zawrócili od naszego stolika i skierowali ku temu, przy którym siedziały same gaduły. Smer krótkiej wymiany zdań; po czym gospodarz się roześmiał – z głębi serca płynący, pełen samozadowolenia śmiech. Powiedział coś do abiturienta, ucisnął mu zamaszycie dłoń, a jego oczy

powędrowały ku jego ładnej młodej żonie. Suzanne Kruse nie przestawała się uśmiechać.

Wrócił Larry.

– Jak ci leci? – zapytał sadowiąc się obok.

– Wspaniale.

– Hm. Mnie też. Właśnie dlatego, że jesteśmy tu bez naszych pań, prawda? Sączyłem wodę i patrzyłem na niego. Wytrzymał moje spojrzenie, a potem zajął się skwapliwie skrzydełkiem kurczęcia.

Spojrzenie terapeuty. Pełne troski.

Szczerej troski. Ale ja nie chciałem być jej przedmiotem. Nagle poczułem pragnienie ucieczki. Szybki krok w stronę sklepionej, kamiennej bramy i żegnaj, Gatsbylandzie!

Zamiast tego wykonałem ruch psychologa – odrzuciłem piłeczkę.

– Jak idzie Brendzie na uczelni?

Wyczuł pismo nosem, ale odpowiedział:

– Dziesięć procent czołówki zaliczyło rok.

– Musisz być z niej dumny.

– Oczywiście. Z wyjątkiem tego, że zajmie jej to cały przyszły rok. Wpadnij do mnie czasem i sprawdź, czy jeszcze funkcjonuję.

– Słyszałem, że to drański wydział.

Jego uśmiech stracił całe swoje ciepło.

– Każda instytucja produkująca prawników jest drańska, zgodzisz się ze mną? Coś jak przetwarzanie polędwicy w gówno. Najbardziej lubię, jak po powrocie do domu Brenda bierze mnie w krzyżowy ogień pytań na temat domu i dzieciaków. – Wytarł usta i przysunął się do mnie. – Połowa mojej osoby wykazuje w tej kwestii pełne zrozumienie – ona jest inteligentna, inteligentniejsza ode mnie, zawsze podejrzewałem, że praca w domu jej nie wystarczy. Tymczasem ona sama powiedziała – nie; jej matka pracowała na pełnym etacie, a Brendą zajmowały się opiekunki. I potem miała żal. Zaszła w ciążę podczas naszego miodowego miesiąca, dziewięć miesięcy później przyszedł na świat Steven, potem reszta, co rok prorok. I teraz nagle, ni stąd, ni zowąd poczuła potrzebę odnalezienia się. – Potrząsnął ze smutkiem głową. – Problem tkwi w synchronizacji. Mogę dziś tu być, bo doszedłem do punktu, w którym nie muszę się spieszyć, lecieć wszędzie na złamanie karku. Mam rzetelnych współpracowników, w istocie rzeczy, tylko odcinam kupony... W przyszłym roku najmłodsze idzie do szkoły, moglibyśmy mieć dla siebie trochę wolnego czasu, podróżować. Tymczasem ona dwadzieścia godzin na dobę jest poza domem, a ja odgrywam rolę przykładowej

mamusi. – Wykrzywił się. – Uważaj, przyjacielu, choć z Robin jest pewnie inaczej, ona już zrobiła karierę, teraz może śmiało się ustatkować.

– Rozeszliśmy się – powiedziałem.

Wytrzeszczył na mnie oczy, znów potrząsnął głową. Potarł brodę z cichym westchnieniem.

– Cholera, przepraszam. Kiedy to się stało?

– Przed pięcioma tygodniami. Czasowa rozłaka, która ma tendencję przedłużania się.

Ciągnął piwo.

– Naprawdę bardzo mi przykro. Uważałem was zawsze za doskonałą parę.

– Ja też tak sądziłem, Larry. – W gardle mi zaschło, w piersi czułem dojmujący ciężar. Byłem pewien, że wszyscy mi się przyglądają, choć gdy rozejrzałem się wokół, zobaczyłem tylko zajętych sobą ludzi. Jeden Larry patrzył na mnie oczami pocziwego spaniela.

– Mam nadzieję, że da się to naprawić – powiedział.

Zajrzałem do szklanki. Lód całkiem się rozpuścił.

– Może bym spróbował coś mocniejszego?

Utorowałem sobie łokciami drogę do baru i zamówiłem podwójny džin z tonikiem, co w efekcie dało umiarkowaną moc. Gdy wracałem spotkałem się, twarzą w twarz z Kruse'em. Spojrzał na mnie. Oczy miał jasnobrażowe w zielone cętki, tęczówki nienaturalnie powiększone. Rozszerzyły się jeszcze bardziej, kiedy mnie zobaczył. Poznał mnie niewątpliwie. Stał bokiem i utkwiał wzrok gdzieś poza moimi plecami. Jednocześnie wyciągnął ku mnie rękę, mocno uściśnął mi dłoń, nakrył ją drugą ręką i machając moją jedną, a swoimi dwiema, z góry na dół, wykrzyknął:

– Jak to miło, że przyszedłeś!

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, przepchnął się za mną, wykorzystując siłę uścisku naszych dłoni, obrócił mnie dookoła, a dopiero potem puścił moją rękę i odszedł.

Pośpiech polityka. Zręczne.

Znów.

Obejrzałem się i zobaczyłem oddalające się plecy w świetnie skrojonej marynarce, a tuż za nimi połyskująca srebrem fala włosów małżonki, kołysząca się rytmicznie na jej małej, jędrnej *derričre*.

Zrobili kilka kroków, gdy rzuciła się na nich wysoka pani w średnim wieku.

Szczupła, nienagannie zbudowana, w jasnożółtej jedwabnej koktajlowej sukni, bukiet białych

róż i strategicznie porozmieszczane brylanty – śmiało mogłaby być pierwszą damą kraju. Włosy o kasztanowym odcieniu z połyskiem stali miała zaczesane do tyłu, upięte w kok, twarz podłużną o wydatnych szczękach. Usta wąskie, uchylone w półuśmiechu.

Uśmiech wystudiowany. Ogląda zakodowana w genach.

Usłyszałem Kruse’a.

– Jak się masz, Hope. Piękna w każdym calu.

– Dziękuję, Paul. Jeśli masz chwilkę czasu, to jest tutaj kilka osób, które powinieneś poznać.

– Oczywiście, kochanie.

Jakby recytowali kwestie z marnej sztuki. Suzanne Kruse była wyłączona z ich spektaklu. Cała trójka skierowała się do patio, Kruse z pierwszą damą ramię w ramię, a Suzy z tyłu, jak służąca. Podeszli do grupy królewskich łabędzi wygrzewających się w odbitym świetle jednego z basenów. Ich nadejście poprzedziło nagłe wyciszenie gwaru pogawędek oraz brzęk odstawianych szklanek. Lekkie poruszenie i w ciągu sekundy wszystkie łabędzie słuchały Kruse’a z zapartym tchem. Dama w żółci miała natomiast znudzoną, wręcz urażoną minę.

Wróciłem do stolika i wypilem spory haust dzinu. Larry uniósł szklankę, trącił się ze mną.

– Za zdrowie staroświeckich dziewczyn, Di. Niechaj żyją nam cholernie długo.

Wysączyłem resztkę dzinu. Przez cały dzień nic nie jadłem, zaszumiało mi trochę w głowie, potrząsałem nią, żeby pozbyć się tego nieprzyjemnego uczucia. W tej chwili w polu mego widzenia pojawiła się kremowa żółć.

Pierwsza dama u boku Kruse’a. Szła rozglądając się dokoła, ale po kilku krokach zatrzymała się i popatrzyła na żółtą plamkę na trawniku. Zużyta serwetka. W mgnieniu oka zjawił się kelner. Niczym kapitan na dziobie fregaty kobieta o kasztanowych włosach przesłoniła oczy dłonią i uważnie lustrowała teren. Podpłynęła do klombu z różami, pochyliła się nad jedną i bacznie jej się przyglądała. Kelner z sekatorem w ręku stał już przy niej. Po chwili różę miała we włosach. Odeszła.

– Czy to jest gospodyni? – zapytałem. – Ta w jasnożółtej sukni?

– Nie mam pojęcia, Di. W każdym razie nikt, kogo mógłbym znać.

Kruse mówił do niej Hope.

– No to ona. Hope Blalock. Niewyczerpane źródło. – Po chwili dodał: – W pewnym sensie pani domu. Zauważ, że wszyscy goście są na zewnątrz, nikogo nie wpuszcza się do rezydencji.

– Jesteśmy jak niewytresowane psy obrończe trzymane na dworze.

Roześmiał się. Przesunął się na krześle, usiadł bokiem i wydał z siebie jakiś nieartykułowany

dźwięk. Następnie położył niemal głowę na blacie stolika. – Skoro mowa o tresurze zwierząt, to obserwuj tę ludzką gmatwaninę.

Ośmiu lub dziewięciu studentów otaczało mężczyznę pod sześćdziesiątkę. Chłopcy mieli na sobie sztruksowe spodnie bądź džinsy i zwykłe bawełniane podkoszulki; włosy długie, okulary w drucianych oprawkach. Ich mentor był człowiekiem zgarbionym, łysym i nosił białą, podstrzyżoną brodę. Był ubrany w szare workowate ubranie, o parę numerów za duże. Spowijało go jak zakonny habit. Bez przerwy mówił, dźgając palcem powietrze. Studenci wyglądali, jakby byli na rauszu.

– To „Szczurek” we własnej osobie – powiedział Larry. – I jego wesoła banda rakieterów. Prawdopodobnie rzecz idzie o coś bardzo seksy, jak na przykład korelacja między nakłonieniem przez wstrząs elektryczny do defraudacji a stymulacją woltażem, czego następstwem jest wprowadzona eksperymentalnie frustracja z powodu częściowego uchylania się od odpowiedzialności. Siedzi po uszy w takich wariactwach.

Roześmiałem się.

– Wygląda na to, że schudł. Może między innymi opracowuje program walki z otyłością?

– Nie. W zeszłym roku przeszedł zawał serca i dlatego zrezygnował z funkcji dziekana, przekazując ją Kruse’owi. Taśmami wideo zajął się zaraz potem. Pieprzony hipokryta. Pamiętam, jak załatwił kilku asystentów, bo jego zdaniem nie powinniśmy traktować doktoratów jak legitymacji związkowej, uprawniającej do prywatnej praktyki. Co za dupek! Żebyś zobaczył ogłoszenia, jakie zamieszcza, uprawiając tę swoją hałaśliwą kampanię antynikotynową.

– Gdzie się ukazują?

– W brukowych piśmidłach. Jeden cal kwadratowy, czarnobiały druk, na ostatniej stronie, obok szkół wojskowych, rupieci i korespondencyjnych porad jak-szybko-zdobyć-fortunę i wyznań orientalnych kumpli po piórze. A wiem o tym od jednego z moich pacjentów. „Wypracuj pozytywny stosunek do rzucenia palenia i zachęcaj do tego innych”, a na plastiku po prawej stronie nazwisko „Szczurka” i jeszcze marna broszurka odbita na powielaczu z listą jego akademickich uwierzytelnień. A teraz opowiada o tych cholernych bzdurach pompatyczno-monotonnym głosem. Usiłuje być ciepły i przyjacielski, jakby przez te wszystkie lata pracował z ludźmi, a nie z gryzoniami. – Popatrzył na niego z niesmakiem. – Legitymacja związkowa!

– Czy on zarabia jakąś forszę?

– Jeśli zarabia, to na pewno nie wydaje jej na ubranie.

Odezwał się pager Larry’ego. Wyciągnął go zza paska, popatrzył. – Służba nie drużba, wybacz.

Zatrzymał kelnera, zapytał, skąd może zadzwonić, i kelner wskazał mu dłonią wielki biały dom. Obserwowałem jego kaczy chód, gdy grubas przemierzał park, po czym wstałem, zamówiłem następny dzin z tonikiem i sączyłem go powolutku, rad z własnej anonimowości. Zacząłem już odczuwać przyjemny szmerek w głowie, gdy nagle uszu moich dobiegło coś, co wstrząsnęło mną do

głębi.

Znane dźwięki, ta sama modulacja.

Głos z przeszłości.

Pomyślałem, że to gra wyobraźni. I wówczas znów usłyszałem. Szukałem jej wzrokiem wśród tłumu.

Zobaczyłem ją – za kilkoma rzędami ramion.

Wehikuł czasu cofnął mnie o ileś tam lat. Usiłowałem patrzeć w inną stronę, ale nie mogłem.

Sharon. Wytworna jak zwykle.

Bez problemu wyliczyłem jej wiek. Trzydzieści cztery. Urodziny w maju. Piętnastego, aż dziw, że to pamiętam...

Podszedłem parę kroków w jej stronę, żeby się przyjrzeć; dojrzałość, ale piękna jak zwykle.

Twarz jak kamea.

Owalna, idealny kształt głowy, piękne rysy. Włosy gęste, układające się w fale, czarne, o połysku kawioru, zaczesane do tyłu i opadające na ramiona, czoło wysokie, bez jednej zmarszczki. Mlecznobiała karnacja, ani śladu modnej opalenizny. Wyraźnie, lecz delikatnie zarysowane kości policzkowe, naturalne, jakby z lekka przydymione rumieńce. Małe kształtne uszy ozdobione dwiema perłami. Łuki czarnych brwi nad szeroko rozstawionymi, intensywnie niebieskimi oczami. Wąski prosty nos o wzdętych chrapkach.

Pamiętam dotyk jej skóry, jasna jak porcelana, ale ciepła, zawsze ciepła. Wyciągnąłem szyję, by lepiej jej się przyjrzeć.

Była ubrana w płócienną jasnogranatową suknię do kolan, z krótkim rękawem. Nieudany kamuflaż: kształt jej ciała walczył z materią i wygrał. Pełne piersi, talia cienka jak u osy, kształtne biodra, długie nogi, kostki nad stopami jak wyrzeźbione. Ramiona białe, gładkie. Nie zdobiły ich bransoletki, nie zauważyłem pierścionków na palcach. Tylko perłowe kolczyki i taki sam sznur owalnych pereł, który spływał ukosem na wydatne piersi. Niebieskie buciki na średnim obcasie dodawały cal do pięciu i pół stóp, bo tyle miała wzrostu. W jednej dłoni trzymała niebieską torebkę, drugą ją gładziła.

Nie miała obrączki.

Cóż z tego?

Gdybym był tu z Robin, zwróciłbym na nią przelotną uwagę.

Ale tylko tak myślałem.

Nie mogłem oderwać od niej wzroku.

Ona natomiast wzrok miała utkwiony w mężczyźnie – jednym z tych królewskich łabędzi, starszym panu, który śmiało mógłby być jej ojcem. Dużą, Kwadratową, smagłą twarz żłobiły głębokie bruzdy. Wąskie wodniste oczy, włosy ostrzyżone na jeża miały barwę metalowych opiłków. Jak na swoje lata był dobrze zbudowany i doskonale się prezentował w dwurzędowej niebieskiej marynarce i szarych flanelowych spodniach.

Zadziwiająco chłopięcy – zaliczał się do tych młodzieżowych starszych panów, którzy zaludniają co lepsze kluby i lokale, i bez specjalnego ryzyka mogą sypiać z młodymi kobietami.

Kochanek?

Co to mnie obchodzi?

Wciąż się w nią wpatrywałem. Nie wyglądało mi to na romans. Stali z boku i ona wyraźnie o coś się z nim spierała, usiłowała go przekonać. Robiła to bardzo dyskretnie, nie poruszała niemal ustami, czyniła wysiłki, by nie zwracać na siebie uwagi. A on tylko stał i słuchał.

Sharon na przyjęciu. Coś mi tu nie gra. Nienawidziła przyjęć tak samo jak ja.

Ale to było dawno. Ludzie się zmieniają. Może ona też...

Podniosłem szklankę do ust, patrząc, jak pociąga się za ucho – pewne gesty pozostają niezmiennione.

Przesunąłem się jeszcze bliżej, potrącając rozłożyste biodro jakiejś matrony – spojrzała na mnie znacząco. Wymamrotałem słowa przeprosin i parłem do przodu. Tłum niełatwo dawał się sforsować. Z trudem torowałem sobie drogę w poszukiwaniu dogodnego punktu obserwacji – chciałem być blisko, ale tak, żeby mnie nie zauważyła. Wmawiałem sobie, że powoduje mną tylko ciekawość, nic więcej.

Nagle odwróciła głowę i spojrzała na mnie. Zarumieniła się, uchyliła usta. Popatrzyliśmy sobie w oczy. Jak w tańcu...

„Taniec na tarasie. Światła w oddali, bezkształtne, ulotne...”

Byłem oszołomiony i znowu na kogoś wpadłem. Znowu to przeproszanie.

A Sharon nie spuszczała ze mnie oczu. Jej towarzysz patrzył w innym kierunku i wyglądał na zamyślonego.

Cofnąłem się, wchłonał mnie tłum i prawie bez tchu wróciłem do stolika; ścisnąłem szklankę tak mocno, że poczułem ból w palcach.

– Dzieci – powiedział Larry. – Pobiły się. Moja córeczka ma napad złego humoru i chce wracać do domu. Matka jej koleżanki mówi, że obie wpadły w histerię – są przemęczone. Muszę moją

zabrać. Przepraszam, Di.

– Nie ma sprawy. Ja też wolałbym już pójść.

– Dlaczego jesteś taki nadęty? A ja obejrzałem sobie hol La Grandę Maison – wielki, można jeździć na wrotkach. Zrobiliśmy kiepski biznes, Di?

– A co byłoby dobrym biznesem?

– Należało ożenić się z nim za młodu i do końca życia mieć wszystko w dupie.

Popatrzyłem na białe domostwo, objąłem wzrokiem park.

– Bardzo się cieszę, Alex, że się spotkaliśmy; łączy nas męskie kumplostwo bez wzajemnej wrogości. Co ty na to, żebyśmy za parę tygodni pograli sobie w bilard w klubie fakultetu i zwiększyli zawartość cholesterolu we krwi?

– Wspaniały pomysł!

– Fantastyczny. Zadzwoń do ciebie.

– Będę czekał, Larry.

Podtrzymani na duchu odrobiną niewinnego kłamstwa opuściliśmy przyjęcie. Spieszyło mu się, ale zaproponował, że mnie podrzuci. Powiedziałem, że wolę się przejść – odczekałem aż brodaty kamerdyner wręczy mu kluczyki. Jego wóz stał na swoim miejscu, ale wokół było pusto, by właściciel bez problemu mógł się wycofać. I był umyty. Kamerdyner przytrzymał otwarte drzwiczki, szafując szczerze słowem „*sir*”; czekał, aż Larry zasiądzie wygodnie za kierownicą. Kiedy ten ostatni włożył kluczyk do stacyjki, kamerdyner zamknął drzwiczki z wyczuciem i uśmiechając się wyciągnął rękę.

Larry spojrział na mnie. Pomachałem mu na pożegnanie. Uśmiechnął się, opuścił szybę i uruchomił silnik. Szedłem powoli wzdłuż zaparkowanych wozów, gdy usłyszałem sapanie silnika i po chwili przekleństwa miotane w jakimś śródziemnomorskim języku. Brzęk i pisk, i Larry przemknął z wigorem obok mnie, wystawił przez okno lewą rękę i pomachał mi całym ramieniem.

Przeszedłem kilka jardów, gdy usłyszałem, że ktoś kogoś woła. Nie podejrzewając, że to o mnie chodzi, szedłem dalej.

– Alex!

Obejrzałem się. Jasnogranatowa suknia. Czarne włosy. Długie nogi poruszające się w przyspieszonym tempie.

Dopadła mnie, zasapana, kropelki potu nad górną wargą.

– Alex! To naprawdę ty? Nie mogę w to uwierzyć!

– Cześć, Sharon. Jak się miewa pani doktor Dowcipna?

– Świetnie. – Dotknęła małżowiny usznej, potrząsnęła głową. – Nie, jesteś jedyną osobą, przed którą nie muszę udawać. Nie, nie miewam się Świetnie, absolutnie nie.

Łatwość, z jaką zdobyła się na poufały ton, i to, że bez najmniejszego wysiłku przeszła do porządku dziennego nad tym, co stało się między nami, wzmogło moją czujność.

Zbliżyła się. Poczulem zapach jej perfum – mydło z wodą zmieszaną ze świeżą trawą i wiosennymi kwiatami.

– Przykro mi – powiedziałem.

– Och, Alex! – Położyła dwa palce na przegubie mojej dłoni. – Niech tam, co mi to szkodzi.

Poczulem ciepło jej ciała, a także gwałtowny przyływ energii w moich dolnych rejonach. Nagle twardy jak skała. Byłem na niego wściekły. Od dłuższego czasu tak się nie zachowywał.

– Cieszę się, że cię spotkałam, Alex. – Głos miała słodki, śmietankowy. Ciemnoniebieskie oczy błyszczały.

– Też się cieszę – powiedziałem zdławionym głosem. Nie wypadło to zdawkowo, jak chciałem. Jej palce wypaliły dziurę w mojej dłoni. Odsunąłem je, włożyłem rękę do kieszeni.

Jeśli nawet poczuła się urażona, nie okazała tego po sobie, tyle że jej ramię upadło, ale uśmiech nie zniknął.

– Czy to nie zabawne, Alex, że wpadliśmy tak na siebie, niesamowita historia. Chciałam do ciebie zadzwonić.

– Po co?

Trójkącik języka wysunął się z ust i zlizzał pot z górnej wargi. – Wydarzyło się coś... pewne sprawy... Ale to nie jest odpowiednia chwila. Jeśli znajdziesz dla mnie trochę czasu, będę ci wdzięczna.

– Jakie sprawy mielibyśmy omawiać po tylu latach?

Jej uśmiech był blady, jak światło księżycy w nowiu. Zbyt nagłe, zbyt bezpośrednio.

– Miałam nadzieję, że właśnie dlatego, że po tylu latach...

– Nie jestem zły, Sharon. Po prostu zakłopotany.

Chwyciła się za koleczyk. Potem wyciągnęła rękę i musnęła mnie delikatnie po policzku. – Porządny z ciebie chłopak, Delaware. Zawsze taki byłeś. Wszystkiego dobrego.

Odwróciła się by odejść. Wziąłem ją za rękę, zatrzymała się.

– Przykro mi, Sharon, że masz problemy.

Roześmiała się, przygryzła wargę.

– Rzeczywiście mam. Ale to chyba nie twoja sprawa.

Mówiąc to, zbliżała się do mnie – coraz bardziej. I wtedy uświadomiłem sobie, że to ja ją przyciągam, ale jakby mimo woli, a ona nie stawia oporu.

Wiedziałem, że jest gotowa zrobić wszystko, czego bym tylko zażądał, i ta jej bierność pogmatwała moje uczucia. Litość. Wdzięczność. Radość, że ktoś mnie potrzebuje, nareszcie. Ciężar między moimi nogami stawał się nie do zniesienia. Puściłem jej rękę.

Staliśmy blisko siebie, twarzą w twarz. Język napierał mi na zęby niczym rozjuszony wąż.

Jakiś facet powiedział moim głosem: – Jeśli tak bardzo ci na tym zależy, to możemy się spotkać i pogadać.

– Bardzo zależy.

Umówiliśmy się na kolację w poniedziałek.

Rozdział 5

W chwili gdy przekraczała bramę, wiedziałem, że popełniłem błąd. Lecz nie jestem pewny, czy tego żałowałem. Po powrocie do domu zadzwoniłem do centrali, licząc na telefon od Robin, co utwierdziłoby mnie w przekonaniu, że postąpiłem niesłusznie.

– Nikt do pana nie dzwonił – powiedziała telefonistka. Wydało mi się, że usłyszałem w jej głosie cień współczucia. Pomyślałem zaraz, że chyba dostaję bzika.

Tego wieczoru położyłem się do łóżka wypełniony erotycznymi wizjami. W godzinach rannych – mokry sen. Obudziłem się lepki i roztrzęsiony; wiedziałem już, że nie pójdę na randkę z Sharon. Nie myśląc o przyszłości przystąpiłem do zwykłych porannych czynności – prysznic, golenie się, łyk kawy, dyktowanie raportów; i kilka godzin zmarnowanych na przerzucanie prasy. W południe zadzwonił Mal Worthy, poprosił, żebym zarezerwował sobie środę – będzie sprawa Darrena Burkhaltera.

– Pracujesz w niedzielę, Mal?

– Prawie już godzina zero – powiedział. – A zło nie śpi, więc porządni ludzie też nie powinni. Strona przeciwna będzie miała siedmiu rzeczników. Czy masz już wszystko dograne?

– Dlaczego aż tylu?

– To sobie policz. Towarzystwo ubezpieczeniowe tamtego kierowcy wyznaczyło dwóch cwaniaków ze śródmieścia. Agent przysłała jednego. Pijak, który ich potrafił, jest zamożnym przedsiębiorcą budowlanym i włożył w to parę ładnych dolców. I jeszcze mamy rzecznika producenta wozu i faceta reprezentującego dealera, który miał pieczę nad samochodem. No i restaurator, ten, który serwował drinki. Razem szóstka. Dodaj do tego adwokata okręgowego, ponieważ my składamy zażalenie na złe oświetlenie i niedostateczną liczbę pacholków przy kanale. I już masz w sumie siedmiu. Strach cię obleciał?

– A powinien?

– Nie. Ważna jest jakość, nie ilość, prawda? Przeprowadzimy to w moim biurze, liczy się atmosfera domowa. Zacznę od odczytania twoich kwalifikacji i jak zwykle ktoś mi przerwie, żebyś nie wypadł za dobrze i zgłosi zastrzeżenie do twojej ekspertyzy. Już ją zrobiłeś? Wiesz, że cała sprawa oparta jest na faktach, jasna, a ja będę na miejscu, by w razie czego cię chronić, jak zacznie się robić nieklawo. Faceci z zakładu ubezpieczeń strzelą pewno z grubej rury – mają wiele do stracenia. Przewiduję, że zamiast zaatakować *per se* twoje informacje, będą cię pytać, czy koncepcja skutków urazu we wczesnym dzieciństwie jest słuszna, czy to potwierdzone przez naukę, czy tylko głupoty psychologów. A jeśli to pierwsze, to jak długo owe skutki będą się utrzymywać. Czy będziesz mógł udowodnić, że półtoraroczne dziecko może być po takim urazie niesprawne umysłowo do końca życia?

– Nigdy tego nie mówiłem.

– Ja o tym wiem i ty wiesz, ale proszę cię, bądź w srodę bardziej przebiegły. Najważniejsze jest to, że oni nie mogą dowieść czegoś wręcz przeciwnego. I to się liczy na rozprawie, wierz mi. Wykażę niezbiecie, niech mnie szlag, że nasze dowody obciążają właśnie ich. Ława przysięgłych będzie roniła łzy nad tym miłym małym brzdącem, który obudził się w samochodzie tylko po to, by zobaczyć głowę ojca przelatującą na tylne siedzenie i lądującą tuż koło niego. Twoje nagranie z zajęć z chłopcem to strzał w dziesiątkę, Alex. Chłopiec wykazuje ogromną wrażliwość. Podczas procesu wykorzystam każdą sekundę tego nagrania – cały ten świetny materiał, łącznie z migawkami po wypadku. Nic bardziej niż ta ucięta głowa nie podziała na ramoli, nie wyciśnie im łez z oczu, mam rację?

– Masz.

– Sędziowie przysięgli nie będą mieć wątpliwości, Alex. Bo nie potrafią sobie wyobrazić, że po tym wszystkim dziecko może być kiedykolwiek normalne... I tak naprawdę, czy ktokolwiek może zagwarantować, że mały wróci do zdrowia? I oni dobrze o tym wiedzą. Odrzucili propozycję zadośćuczynienia finansowego – skurwysyńskie dusigrosze! Więc pozostaje kwestia, ile i kiedy. Twoim zadaniem będzie powiedzieć, jak to wygląda, ale nie rób z siebie mądrali. Po prostu mów tylko „na podstawie całej mojej wiedzy z dziedziny psychologii” – i wystarczy. Dostałem z zakładu ubezpieczeń odpowiednie wyliczenia i zamierzam tak przyszpilić tych skurwieli, że będą musieli płacić Darrenowi rentę nawet w domu starców. – Po chwili milczenia dodał: – To jedynie słuszna droga, Alex. Denise ma zrujnowane życie. I tylko w ten sposób ktoś taki jak ona może coś uzyskać...

– Jesteś białym rycerzem, Mal.

– Coś cię gryzie? – zapytał i w jego głosie zabrzmiał szczery niepokój.

– Nie, wszystko gra. Jestem tylko trochę zmęczony.

– Nie zalewasz?

– Nie.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Jest dobrze dopóty – powiedział – dopóki potrafimy się ze sobą porozumieć.

– Porozumiewamy się bez zarzutu, Mal. Liczy się jakość, nie ilość.

Znowu cisza. A potem jego głos:

– Wypocznij i zadbaj o siebie, doktorze. Gdy będziemy się użerać z tymi siedmioma mydłkami, chcę cię widzieć w szczytowej formie.

Po południu zatelefonowałem do Sharon. Odebrała sekretarka automatyczna, niech ją szlag trafi! „Tu doktor Ransom, nie ma mnie w tej chwili w domu, ale bardzo proszę zostawić wiadomość”.

Nawet brzmienie jej głosu na taśmie przywołało wspomnienia... dotyk jej palców na moim

policzku.

I nagle myśl: muszę wyzwolić się od niej, i to zaraz.

Czekałem na brzęczyk, jaki terapeuci włączają zazwyczaj pod koniec nagrywania. Brzęczyk.

– Sharon, tu Alex – powiedziałem. – Nie przyjdę w poniedziałek. Wszystkiego dobrego.

Krótko i przyjemnie.

Doktor Łamacz serc.

Minęła godzina, a ja wciąż widziałem jej bladą twarz...

Usiłowałem przepędzić ten obraz, co dało odwrotny skutek: stał się jeszcze bardziej wyrazisty. Wyrzekałem się wspomnień, wmawiałem sobie, że chuć padła mi na mózg i odebrała zdolność jasnego rozumowania. Mimo to pograżałem się coraz bardziej w nękających rozpamiętywaniach, w końcu zacząłem się zastanawiać, czy postąpiłem słusznie odwołując randkę.

Po kwadransie, łudząc się, że bliska osoba zdoła mi pomóc odegnąć niechciane myśli, zadzwoniłem do San Luis Obispo. Matka Robin odebrała telefon.

– Słucham?

– Dzień dobry, Rosalie, mówi Alex.

– Jak się masz.

– Jest Robin?

– Nie ma jej.

– Nie wiesz, kiedy wróci?

– Wyszła na dłużej. Umówiła się z przyjaciółmi.

– Rozumiem.

Cisza.

– Jak się czuje maleństwo?

– Świetnie.

– Okay. Powiedz jej, że dzwoniłem.

– Oczywiście.

– Do widzenia.

– Do widzenia.

Trzask odkładanej słuchawki.

Rozkosze posiadania nieformalnej teściowej.

Poniedziałek – poranne gazety. Miałem nadzieję, że przekupstwo i niski poziom międzynarodowych polityków uprzytomnia mi dobitnie błahość drażącego mnie problemu. I tak się też stało, póki nie skończyłem czytać. Potem wszystko zaczęło się od nowa.

Nakarmiłem rybki, umyłem się i zszedłem na dół, do garażu; uruchomiłem seville i pojechałem do South Westwood, by kupić coś do jedzenia. Gdzieś pomiędzy mrożonkami a puszkami stwierdziłem, że mam pusty koszyk; wyszedłem z supermarketu bez niczego. Za targowiskiem, w górę ulicy, znajdowało się kino o kilku salach. Na chybił trafił wybrałem film, zapłaciłem niższą z racji pory dnia cenę i usiadłem między chichoczącą parą nastolatków i takim samym jak ja samotnikiem. Szedł okropny thriller, którego nie ratowały ani sensowne dialogi, ani treść. Wyszedłem w trakcie mydlano-ckliwej sceny miłosnej między bohaterką a miotającym się psychopata, który zamierzał ją poćwiartować i zjeść na postkopulacyjny deser.

Było już ciemno. Jeszcze jeden dzień z głowy. Zmusiłem się do przełknięcia jakiegoś burgera i ruszyłem w stronę domu, konotując sobie w myśli, że lektura prasy ma czasem terapeutyczne działanie.

Wieczór. Wieczorne wydanie. Przy Willshire stał ślepy sprzedawca gazet. Zahamowałem, kupiłem, zapłaciłem dolara nie czekając na resztę.

W domu zadzwoniłem do centrali. Żadnego anonimowego telefonu z automatu do starego Alexa, żadnej wiadomości od nikogo.

Rozebrałem się do spodenek i zabrałem do łóżka „Timesa” oraz filiżankę kawy rozpuszczalnej.

Wiadomości dnia – na ogół przeróbki prasy porannej. Skoncentrowałem się na oszustwach i wyłudzeniach. Oczy zaczęły mi się kleić. Świetnie.

I nagle ten tekst na strone dwudziestej.

Była to właściwie notatka, dwie wąskie szpalty obok korespondencji na temat struktury socjologicznej południowoamerykańskich czerwonych mrówek.

Tytuł przykuł mój wzrok:

ŚMIERĆ DOKTORA PSYCHOLOGII PRAWDOPODOBNIIE

W WYNIKU SAMOBÓJSTWA (LOS ANGELES)

Według policyjnych danych śmierć tutejszej lekarki-psychologa, której zwłoki znaleziono dziś rano w jej mieszkaniu w Hollywood Hills, nastąpiła prawdopodobnie w wyniku samobójczego strzału. Ciało Sharon Ransom, lat 34, zamieszkałej przy Nichols Canyon, znaleziono dziś rano w jej sypialni. Zmarła prawdopodobnie w niedzielę wieczorem. Pani Ransom mieszkała sama w domu Jalmia Drive, w którym przyjmowała również pacjentów. Pochodziła z Nowego Jorku, uczyła się i praktykowała w Los Angeles. W 1981 roku otrzymała tytuł doktora psychologii. Nie ustalono, czy miała jakichś krewnych bądź rodzinę.

red. Maura Bannon

Niedziela wieczór. Parę godzin po moim telefonie do niej. Stos obrzydliwości narastał w moich kiszkach, podchodził do gardła. Zmusiłem się do przeczytania tej wiadomości jeszcze raz. I jeszcze raz.

Dwie wąskie szpalty. Notatka, żeby wypełnić stronę... Myślałem o jej czarnych włosach, niebieskich oczach, jasnogrnatowej sukni, perłach. Przykuwająca uwagę twarz, pełna życia, pełna ciepła.

„Nie, jesteś jedyną osobą, przed którą nie muszę udawać. Nie, nie miewam się świetnie, absolutnie nie”.

„Przykro mi”.

Mechaniczna empatia automatu z napojami.

A co mogło to znaczyć dla niej? Po prostu nic. Cieszyło mnie poczucie siły, gdy tak szła ku mnie, taka zrezygnowana.

„Jeśli tak bardzo ci na tym zależy, to możemy się spotkać i pogadać...” I powiem ci do słuchu – pomyślałem wówczas.

„Bardzo zależy”.

Wyjąłem tę stronę z gazety, zmiąłem w garści i przeszedłem w drugi koniec pokoju.

Zamknąłem oczy. Chciałem pozwolić sobie na płacz. Z powodu jej, siebie, Robin. Rodzin, które nie są razem, świat się wali... Małych chłopców, którzy patrzą na śmierć swoich ojców. Każdego człowieka, który, do jasnej cholery, sobie na to zasłużył.

Łzy nie chciały płynąć.

Czekała.

Naciskala spust.

Rozdział 6

Później, gdy pozbierałem się już trochę po tym szoku, uświadomiłem sobie, że kiedyś wyratowałem ją z opresji. Może o tym pamiętała i dlatego...

Jesień roku siedemdziesiątego czwartego. Miałem dwadzieścia cztery lata – świeżo upieczony doktor filozofii, dumny z sukcesu, ale wciąż biedny jak student.

Wróciłem właśnie do Los Angeles z instytutu Langley Porter w San Francisco, by rozpocząć praktykę w Zachodnim Szpitalu Pediatrycznym. Lepsze stanowisko dostałem w klinice o nazwie, na której można by sobie połamać język: Państwowy Instytut Zdrowia Psychicznego Zrzeszający Naukowców Specjalistów Psychologii Klinicznej i Rozwoju Człowieka, połączony ze szpitalem i afiliowanymi przy nim szkołami medycznymi. Miałem leczyć dzieci, prowadzić wykłady dla studentów, kontynuować pracę badawczą oraz pisać referaty naukowe, których współautorem był szef kliniki.

Moja pensja wynosiła pięćset dolarów miesięcznie z podatkiem. Ledwie starczało na opłacenie czynszu i innych świadczeń związanych z wynajmowaniem nędznej kawalerki przy Overland Avenue, skromne jedzenie, ubrania z przeceny, książki wyszukiwane w tanich księgarniach i wsparcie mojego dogorywającego ramblera. Nie starczało już na spłacenie kredytu za studia oraz rozmaitych bankowych zaległości. Bank wyżywał się na mnie, śląc co miesiąc upomnienia.

By zarobić dodatkowe pieniądze, grałem po nocach na gitarze w orkiestrze tanecznej, w taki sam sposób radziłem sobie jakoś w San Francisco. Nieuregulowany czas pracy, mało pieniędzy, odżywianie się w barach, to wszystko niechybnie by mnie wykończyło. Powiadomiłem więc wydział psychologii na uniwersytecie, że ich wybitny absolwent chętnie podejmie się dodatkowych zajęć dydaktycznych.

Długo nie dostawałem odpowiedzi, aż wreszcie – listopadowego popołudnia – jedna z sekretarek zadzwoniła do mnie do szpitala:

– Doktor Delaware?

– Przy aparacie, słucham.

– Alice Delaware?

– Alex.

– Och, tu mam napisane Alice. Myślałam, że jest pan kobietą.

– Ostatnio nie sprawdzałem...

– Właśnie, szkoda... Wiem, że termin jest krótki, ale jeśli pan może dziś wieczór o ósmej, to skorzystamy z pana oferty.

– Jestem do usług.

– Nie zapyta pan, w jakim charakterze?

– Już pytam.

– Potrzebujemy kogoś, kto będzie nadzorował kurs trzysta pięć A pod kątem praktyki klinicznej oraz drugi rocznik kandydatów do stopnia naukowego. Profesor, który się tym zajmował, musiał wyjechać i żaden z jego zastępców nie jest osiągalny.

O tej porze, cholera, mam knajpę...

– Dobrze, to mi odpowiada.

– Okay. Ma pan licencję, prawda?

– Dopiero w przyszłym roku...

– Ooo, to komplikuje sprawę... Proszę poczekać. – I po chwili: – Okay.

– Ponieważ, nie ma pan licencji, otrzyma pan osiem dolarów za godziną zamiast piętnastu i umowę czasową. Ale najpierw trochę roboty papierkowej, musi pan to i owo powypełniać.

– Ostra jest pani.

– Słucham?

– Zgłoszę się.

Praktyka lekarska jest teoretycznie ogniwem spinającym wiedzę książkową z rzeczywistością – przygotowuje przyszłych terapeutów do pracy z pacjentami.

W mojej Alma Mater proces ów rozpoczynał się wcześniej: w trakcie pierwszego semestru studentom psychologii kandydującym do stopnia naukowego przyznawano prawo udzielania porad – toteż zgłaszali się do nich studenci niższych roczników oraz ludzie biedni, korzystający z darmowego leczenia w klinice uniwersyteckiej. Studenci stawiali diagnozę i leczyli pod ścisłym nadzorem członków fakultetu.

Raz na tydzień prezentowali swoje osiągnięcia lub ich brak asystentom bądź wykładowcom. Niekiedy stan prezentacji był na wysokim intelektualnie poziomie. Kiedy indziej dostawali upomnienia.

Psych/305 A mieścił się na antresoli bez okien, na drugim piętrze tudorowskiej rezydencji, gdzie zajmowano się programem klinicznym. Żadnych mebli, ściany pomalowane na szaroniebieski kolor, na podłodze gruba, niechlujna wykładzina. W jednym kącie stały dwa plastikowe kijki, w drugim – części powielacza.

Spóźniłem się pięć minut: na „papierkową robotę” składał się cały stos formularzy do wypełnienia.

W pokoju na antresoli zastałem już siedmiu lub ośmiu studentów. Byli bez butów, siedzieli pod ścianami – jedni coś czytali, inni rozmawiali, palili papierosy, drzemali. Ignorowali mnie kompletnie. Smród brudnych skarpet, dymu papierosowego, pleśni. W większości starsi, wieloletni studenci – uciekinierzy z lat sześćdziesiątych, serafiny w powycieranych dżinsach, długich swetrach, obwieszeni indiańską biżuterią. Kilku w roboczych kombinezonach. Wszyscy mieli poważne miny, ospały wyraz twarzy, studenci kursu A podający w wątpliwość sens wkuwania.

– Czołem, jestem doktor Delaware. – Wyrecytowałem mój tytuł z lubością, a zarazem z niejakim poczuciem winy, jakbym się pod kogoś podszywał. Zainteresowanie zerowe. – Mam na imię Alex – dodałem. – Doktor Kruse jest nieobecny, więc dziś wieczór zajmę się wami.

– A gdzie jest Paul? – zapytała dziewczyna około trzydziestki. Nieduża, w staromodnych okularach, o przedwcześnie posiwiałych włosach i zaciętych w ironicznym grymasie ustach.

– Wyjechał z miasta.

– Do Hollywood, to nie znaczy, że z miasta – powiedział wysoki brodaty chłopak w kraciastej koszuli i kombinezonie, palący duńską fajkę o nietypowym kształcie.

– Jest pan jednym z jego asystentów? – zapytała Siwa. Była atrakcyjna, ale sprawiała wrażenie złośliwej – złe, rozbiegane nerwowo oczy; purytanka w niebieskim kombinezonie z góry wrogo nastawiona. Przy pierwszej okazji nie zostawiłaby na mnie suchej nitki.

– Nie, nigdy się z nim nie zetknąłem. Jestem...

– Nowym członkiem fakultetu! – obwieścił brodac, jak gdyby dekonspirując mnie.

Potrząsnąłem głową.

– Dopiero w czerwcu otrzymałem tytuł doktora.

– Moje gratulacje. – Brodac klasnął w dłonie, nic już na szczęście nie dodając. Kilku innych poszło w jego ślady.

Przykucnąłem w pozycji lotosu obok drzwi i uśmiechnąłem się.

– Jaką zwykle stosujecie procedurę?

– Opis przypadku – powiedziała czarna dziewczyna. – Chyba że ktoś przechodzi kryzys i chce to z siebie wyrzucić.

– A jest ktoś taki?

Cisza. Ziewanie.

– W porządku. Na kogo kolej?

– Na mnie – odparła Murzynka. Krępa, z rozjaśnioną henną afrofryzurą okalającą czekoladową twarz. Była w czarnym poncho, niebieskich džinsach i czerwonych butach. Na kolanach trzymała wielką torbę podróżną. – Aurora Bogardus, drugi rok. W ubiegłym tygodniu mówiłam o dziewięcioletnim chłopcu z wielokrotnym tikiem. Paul podsunął mi pewne metody. Niektóre zastosowałam.

– Mów dalej.

– Na początku nie było poprawy, przeciwnie – stan chłopca się pogarszał. – Wyjęła z torby kartę, przerzuciła ją szybko wzrokiem i przedstawiła w skrócie całą sprawę; następnie zreferowała plan, który wydał mi się dobrze przemyślany, choć mało skuteczny.

– Tak to wygląda na dziś – powiedziała. – Macie jakieś pytania?

Po czym nastąpiła dwudziestominutowa dyskusja. Mówili przede wszystkim o czynnikach społecznych – bieda w domu, częste przeprowadzki, stresy, jakie dziecko prawdopodobnie przeżywało z powodu braku przyjaciół. Ktoś wyraził pogląd, że dla czarnego dziecka największym stresem jest rasizm.

Aurora Bogardus spojrzała na tego kogoś z niesmakiem.

– Ja chyba najwięcej mogę powiedzieć na ten temat. W tym wypadku mam do czynienia z cholernymi tikami typu czynnościowego. Im bardziej go szarpie, tym bardziej ludzie się na niego złością.

– Ci ludzie powinni trochę nad sobą panować...

– Nic ująć, nic dodać, Julien – powiedziała Aurora. – Ale nim dzieciak spłonie na stosie, muszę działać.

– System odruchu warunkowego...

– Gdybyś choć trochę słuchał, Julien, wiedziałbyś, że ten system nie dał wyniku. Ani metoda manipulacji, o której mówił Paul.

– Jaki rodzaj manipulacji? – zapytałem.

– Oddziaływanie na rodzinę – trzeba ich zmusić, by nie działali z pozycji siły, muszą zmienić sposób bycia i zachowania.

– Ale jak ich do tego zmusić?

Spojrzała na mnie z niechęcią.

– Paul polecił mi, żebym pouczyła rodziców chłopca, by przejęli jego odruchy – zaczęli się

wykrzywiać, mrugać i jąkać. Przesadnie. Zdaniem Paula chłopiec poczuje się wtedy bezpiecznie i uzna swoje reakcje za naturalne. A to pomoże w przewyciężeniu stresu...

– Jakim cudem?

– To jego teoria, nie moja – wzruszyła ramionami.

Milczałem, wyraz zaciekawienia nie zniknął najpewniej z mojej twarzy.

– Paul wyznaje pogląd – ciągnęła – że objawy są informacją. Ponieważ informacja tikowa przestanie być czymś wyjątkowym, chłopiec znajdzie inny sposób, by uporać się ze swoimi problemami.

Ten cały pomysł wydał mi się poroniony, potencjalnie okrutny, i wprowadził mnie w zadumę nad doktorem Kruse'em.

– Rozumiem – rzekłem.

– Hm, ja też uważam, że to gównie warte – powiedziała Aurora. – I w przyszłym tygodniu obwieszczę to Paulowi.

– Już to widzę – ktoś mruknął.

– Przekonasz się. – Schowała kartę do torby. – Tymczasem tym biednym małym chłopcem szarpie na wszystkie strony i jego samopoczucie fatalnie się pogarsza, krzywa leci w dół.

– Myślałaś o syndromie Tourette'a? – zapytałem.

Moją uwagę skwitowała gniewnym ściągnięciem brwi. – Oczywiście. Ale on nie przeklina.

– Nie wszyscy pacjenci Tourette'a przeklinają.

– Paul powiedział, że objawy mojego pacjenta nie mieszczą się w modelu Tourette'a.

– W jakim sensie?

Znów niechętnie spojrzenie. Odpowiedź zajęła jej pięć minut i zawierała poważne błędy. A moje wątpliwości co do kompetencji Kruse'a pogłębiały się z każdą chwilą.

– Powinnaś zastanowić się nad Tourette'em – powiedziałem. – Nie możemy z góry wykluczyć nietypowych przypadków. Radzę ci, skieruj chłopca do pediatry-neurologa. Proponuję Haldola.

– Staroświeckie medyczne podejście – powiedział Julien. Zapalił fajkę.

Aurora poruszała szczękami, jakby żuła gumę.

– Co teraz czujesz? – zapytał inny chłopak. Miał wąskie, chude ramiona, rude włosy związane w

kucyk i długie, niepielegnowane wąsy. Wymięte brązowe ubranie ze sztruksu, koszula zapięta od góry do dołu na guziki, superszeroki rypсовy czerwony krawat, a na nogach brudne tenisówki. Mówił natomiast głosem ciepłym, melodyjnym, jak spowiednik albo aktor z przedstawienia dla dzieci. – Podziel się z nami.

– O Chryste Panie... – zwróciła się do mnie. – Zrobię, co mi proponujesz. Jeśli twoje konserwatywne podejście jest uzasadnione... niech tak będzie.

– Sprawiasz wrażenie zawiedzionej – powiedziała Siwa.

Aurora obróciła się ku niej.

– Przestańcie pieprzyć i jedziemy dalej, okay?

Zanim Siwa zdążyła odpowiedzieć, otworzyły się drzwi. Wszyscy unieśli wzrok i zastygli w milczeniu.

W progu stała piękna czarnowłosa dziewczyna ze stosem książek pod pachą. Wyglądała bardzo młodo, może z pierwszego roku, i przez chwilę pomyślałem, że pewno się pomyliła.

Ale weszła do pokoju.

W pierwszej chwili mnie zatkało. Była przerażająco piękna, wyglądała jak aktorka z jednego z tych starych czarno-białych filmów, „films noirs”, w których nie wiadomo co jest dobrem, a co złem, obrazy rywalizują z falującymi dźwiękami jazzu, zakończenie zaś jest co najmniej niejasne.

Miała na sobie przylegającą do ciała różową sukienkę z dzianiny, z plamkami białej wełny, biały skórzany pasek i różowe pantofelki na średnio wysokim obcasie. Włosy zwinięte w węzeł, gładko zaczesane, lśniące. Twarz upudrowana, tusz na brwiach i rzęsach, wargi pokryte różową, błyszczącą szminką. Noga, którą ukazała przekraczając próg, była zgrabna, opięta cienką pończochą. Złota biżuteria, paznokcie długie, polakierowane – kolor identyczny jak barwa sukienki, może o ton ciemniejszy.

I perfumy – ich zapach w jednej chwili wypełnił cały pokój: mydło, woda, świeża trawa, kwiaty wiosenne.

Zaokrąglenia i krągłości, porcelanowa biel, przymgłona różowość – harmonijna całość bez skazy. Bolesny kontrast w tym morzu zgrzebności i zamierzonej abnegacji.

– Suzy Creamcheese – ktoś mruknął.

Usłyszała, pomachała dłonią, rozejrzała się dookoła za jakimś miejscem, gdzie mogłaby usiąść. Nikt się nie ruszył. Przesunąłem się i powiedziałem:

– Siadaj.

– To pan doktor Delaware – oznajmił Julien. – Wytrzymuje wszystkie nasze obrządki i rytuały i

zdaje się, że wychodzi z tego bez szczególnych obrażeń.

Uśmiechnęła się do mnie i podciągnawszy nogi usiadła obok, odsłaniając przy tym kawałek białego uda. Obciągnęła sukienkę, przykryła kolana. W efekcie materiał przylgnął ściśle do jej piersi, podkreślając ich bujność. Oczy miała szeroko rozwarte i błyszczące, ciemnoniebieskie, takiej barwy, że źrenice można by porównać z irysami.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała.

Ciepły, melodyjny głos.

– Nic nowego – rzekła Siwa.

– Czy ktoś chciałby coś dodać? – zapytałem.

Cisza.

– Wobec tego weźmy się za nowy materiał.

– A ty, Sharon? – wtrącił Kucyk, wyszczerzając zęby do dziewczyny. – Przez cały semestr nic nie mówiłaś.

Czarnowłosa dziewczyna potrząsnęła głową.

– Nic nie przygotowałam, Walterze.

– Co tu jest do przygotowania? Weź jakikolwiek przypadek i podziel się z nami swoją wiedzą.

– Albo przynajmniej wiedzą Paula.

Chichoty, skwapliwe potakiwania.

Trzymając się za ucho Sharon zwróciła ku mnie twarz, jakby szukając wsparcia.

Imię Kruse'a wyjaśniało napięcie towarzyszące przybyciu dziewczyny. Jakikolwiek byłyby te jego terapeutyczne ćwiczenia i zabiegi manipulacyjne, wyraźnie nie cieszył się popularnością u swoich studentów. Lecz mnie zatrudniono do pomocy i nie miałem tu nic do powiedzenia.

Zapytałem ją:

– Przedstawiłaś jakiś przypadek w tym semestrze?

– Nie – wpadła w popłoch.

– Może jednak zajmowałaś się jakimś ciekawym przypadkiem?

– Chyba... chyba tak. – Spojrzała na mnie bardziej z żalnością niż z wyrzutem: „Robisz mi krzywdę, ale to nie twoja wina”.

– Proszę cię, weź się w garść i mów.

– Mogę opowiedzieć o dziewczynie, z którą widywałam się przez dwa miesiące. Ma dziewiętnaście lat, jest studentką drugiego roku. Testy wskazują, że pod każdym względem mieści się w granicach normy, z trochę zawyżoną skłonnością do depresji. Ma przyjaciela, starszego pana. Poznali się w pierwszym tygodniu semestru i od tej pory są razem. Sama się zgłosiła do centralnej poradni, bo powstał między nimi problem...

– Jaki? – zapytała Siwa.

– Załamanie wzajemnego kontaktu. Na początku rozmawiali ze sobą. Później zaczęło się coś zmieniać. Teraz jest całkiem źle.

– Mów bardziej konkretnie – powiedziała Siwa.

Sharon milczała chwilę.

– Nie mam pewności, czy wy...

– Czy oni się pieprzą? – zapytał Kucyk-Walter.

Sharon zaczerwieniła się i spuściła oczy. Staroświecki rumieniec – nie przypuszczałem, że ktoś jeszcze to potrafi. Kilkoro spośród słuchaczy miało zakłopotane miny. Inni byli wyraźnie ubawieni.

– Powiedz, czy oni się pieprzą – naciskał Walter.

– Tak, współżyją ze sobą – przygryzła wargę.

– Jak często?

– Doprawdy nie prowadzę rejestru...

– Szkoda, byłby to interesujący wskaźnik...

– Przestań – powiedziałem. – Pozwól jej skończyć.

– Ona nigdy nie skończy – wtrąciła Siwa. – Już to przerabialiśmy – krańcowa defensywność. Jeśli nie stawimy temu czoła, nie wyrwiemy problemu z korzeniami, będziemy dreptać w miejscu.

– Nie ma czemu stawiać czoła – oświadczyłem. – Niech opíše przypadek.

– Słusznie – zgodziła się Siwa. – Co powiedział twój nowy obrońca: przedstaw fakty, księżniczko Sharon.

– Przestań, Maddy – upomniała ją Aurora Bogardus. – Pozwól jej mówić.

– Oczywiście, oczywiście. – Siwa skrzyżowała ramiona na piersi, odchyliła się do tyłu, czekała wpatrując się uporczywie w Sharon.

– Mów dalej, Sharon – powiedziałem.

Siedziała jakiś czas w milczeniu. Wycofała się, niczym matka lub ojciec, który czeka, aż dzieciaki przestaną się bić. I podjęła opowieść w punkcie, w którym ją przerwała. Spokojna, a może zdenerwowana?

– Załamanie się wzajemnego kontaktu. Pacjentka twierdzi, że kocha swego przyjaciela, czuje jednak pogłębiający się między nimi dystans. Nie potrafią już rozmawiać o sprawach, o jakich dawniej rozmawiali.

– A o czym rozmawiali? – zapytał Julien w kłębach tytoniowego dymu.

– O wszystkim.

– O wszystkim? Co zjeść na śniadanie? Co kupić?

– O tym też. I nastąpiło kompletne załamanie...

– Załamanie – powtórzyła Maddy. – Użyłaś tego słowa trzy razy, nie wyjaśniając, co konkretnie nasz na myśli. Staraj się raczej wyjaśniać niż w kółko powtarzać to samo.

– Świat się zawalił? – powiedziała Sharon tonem pytającym.

– Doskonale. To wyjaśnia sytuację – Maddy roześmiała się.

– Nie wiem, o co ci właściwie chodzi – odezwała się Sharon przytłumionym głosem.

– Tylko niepotrzebnie tracimy czas na to gówno – rzuciła w przestrzeń Maddy.

– Popieram wniosek – ktoś dodał.

– Trzymajmy się tej sprawy – powiedziałem stanowczo. – Sharon, dlaczego ta dziewczyna czuje się tak, jakby świat się jej zawalił?

– Omawialiśmy to kilkakrotnie. Twierdzi, że nie wie. Najpierw myślała, że przestała mu się podobać i on rozgląda się za inną. Jednak temu zaprzeczył – cały wolny czas spędza z nią, więc jej zdaniem mówi prawdę. Ale kiedy są razem, nie chce z nią rozmawiać i zachowuje się tak, jakby był na nią zły, przynajmniej ona tak to odbiera. Stało się to nagle i jest coraz gorzej.

– Czy coś się w tym czasie wydarzyło? – zapytałem. – Coś, co go zestresowało?

Znowu rumieniec.

– Czy w tym czasie współżyli ze sobą?

– Tak, przez cały czas.

– Czy mieli problemy natury seksualnej?

– Trudno powiedzieć.

– Kurczę – jęknęła Maddy. – Nie byłoby „trudno powiedzieć”, gdybyś znała się na rzeczy.

– W jaki sposób ty uzyskałabyś tego typu informację? – obróciłem się w jej stronę i zapytałem.

– Trzeba być realistą, sporządzać raporty. – Odliczała na palcach. – Znać strategię obrony

pacjenta, być przygotowanym na defensywne uniki i umieć sobie z nimi poradzić. A jeśli się nie uda – pozostaje konfrontacją i trwanie przy niej, dopóki pacjent nie zrozumie, że jest się dobrym fachowcem. I wtedy ma się już wszystko podane na tacy, cały problem. Na litość boską, ona przecież była z tą dziewczyną przez dwa miesiące. Powinna to wszystko zrobić.

Popatrzyłem na Sharon.

– Zrobiłam – zarumieniła się jeszcze bardziej. – Rozmawialiśmy o postawie defensywnej. Trzeba na to dużo czasu. Są to... poważne problemy.

– Na pewno – zgodził się Julien.

– Szek-szu-alne – przedrzeźniała Maddy. – Powiedz słowo na „s”, kochanie. Następnym razem pójdzie ci łatwiej.

Wybuch śmiechu. Wydawało się, że Sharon przyjęła to spokojnie. Nie puszczałem z niej oka.

– Opowiedz o tych problemach – naciskał Walter z szerokim uśmiechem, bawiąc się swoim kucykiem.

– Oni... ona nie ma zadowolenia – powiedziała Sharon.

– Ma orgazm? – zapytał Julien.

– Chyba nie.

– Chyba?

– Nie, nie ma.

– I co robisz, żeby jej pomóc?

Przygryzła wargę.

– Mów głośniej – powiedziała Maddy.

Sharon zaczęły drżeć ręce. Splotła palce, by to ukryć.

– Myśmy... rozmawialiśmy o... wyciszeniu jej niepokoju, żeby się rozluźniła.

– O Boże, ześlij karę na tę kobietę! – zawołała Maddy. – Kto ci powiedział, że to jej problem. A może to jego problem? Może to stary pierdoła albo dominant.

– Ona mówi, że on jest... w porządku. To ona jest nerwowa.

– Czy przeprowadziłaś ćwiczenia rozluźniające mięśnie? – zapytała Aurora. – Systematyczne zmniejszanie napięcia poprzez rozmowę?

– Nie, nie dało rady. Wciąż trudno jej o tym mówić.

– Ciekawe, dlaczego? – wtrącił Julien.

– Jesteśmy na etapie nakazywania sobie spokoju – powiedziała Sharon. – Pracujemy nad tym. – Zabrzmiało to bardzo osobiście.

– Niełatwo zachować spokój, gdy idzie o takie sprawy – powiedział Walter aksamitnym głosem. – Czy uprawiali seks oralny?

– Uhum. Tak.

– Uhum, w jaki sposób?

– W zwyczajny – wbiła oczy w podłogę.

– Nie wiem, na czym polega ten zwyczajny sposób – rozejrzał się. – Czy ktoś to wie?

Uśmiechy jak na komendę i przeczący ruch głowami. A to dranie! Pomyślałem sobie, że za parę lat będą świeżo upieczonymi terapeutami. Strach pomyśleć!

Sharon wciąż wpatrywała się w ziemię, tocząc z góry przegraną walkę ze swymi dłońmi.

Zastanawiałem się, czy nie interweniować, ale jeśli to zrobię, to czy nie pogwałcę norm obowiązujących w grupie? Postanowiłem, że nie będę się przejmował. A z drugiej strony, jeżeli wykażę nadmierną opiekuńczość, to na dłuższą metę mogę jej tylko zaszkodzić.

Gdy tak sobie rozważałem, Walter zapytał:

– Co to za rodzaj seksu – seks oralny?

– Wydaje mi się, że wszyscy wiemy, na czym polega – powiedziałem.

– Czyżby? – uniósł brwi. – Ja na przykład mam wątpliwości. Czy ktoś z was ma wątpliwości?

– Cholerne świństwo – powiedziała Aurora. – Praca mnie goni, szkoda mi czasu. – Wstała, wzięła torbę i wypłynęła z pokoju. Parę osób również się zerwało i szybko ruszyło za nią.

Trzasnęły drzwi. Zaległa martwa cisza. Sharon miała oczy pełne łez, a koniuszki jej uszu zrobiły się purpurowe.

– Zajmijmy się innym przypadkiem – powiedziałem.

– Nie! – wykrzyknęła Maddy. – Paul mówi, że nie wolno się wycofywać! Dlaczego, do cholery, ona miałaby być wyjątkiem? – Wydawało się, że wściekłość unosi ją z podłogi. – Dlaczego, do jasnej cholery, cały czas, jaki na nią przypada, wykorzystuje w ten typowy dla niej defensywny sposób i robi z nas balona?! – I do Sharon: – Taka jest rzeczywistość, kwiatuszku, to nie zabawa w korporację pieprzących się studentek.

– Korporacja pieprzących się studentek – to wcale niezła myśl – oznajmił Julien z zadumą. Aluzjnie lizał ostentacyjnie fajkę.

– Przestań! – powiedziałem.

Uśmiechnął się, udając, że mnie nie słyszy. Wyciągnął nogi i rozłożył je szeroko.

– Przykro mi, Alex, nie ma „przestań” – poinformował mnie Walter. – Takie są reguły Paula.

Po policzkach Sharon spływały strużki łez. Wytarła je dłonią.

– Zawsze się tak zachowują – powiedziała.

– Co masz na myśli?

– To lizanie.

– No – powiedział Walter. – Teraz jesteśmy w domu. – Wyciągnął ręce, uniósł do góry dłonie ze zgiętymi jak szpony palcami. – Dalej, mów.

Ów gest wydał mi się sprośny. Sharon też tak to odebrała. Odwróciła się od niego i powiedziała:

– Nic już nie mam do dodania, Walter.

– Cisza, proszę państwa – Julien uniósł do góry profesorską fajkę. – Zanalizujmy rzecz całą. Czy ona lizała jego? A może on lizał ją? Albo osiągnęli poziom wzajemnego lizania się, kłębuszek sześćdziesiąt dziewięć?

Sharon zakryła twarz dłońmi. Kaszłała, żeby ukryć płacz.

– Ale kurestwo – powiedziała Maddy.

– Dość tego! – warknąłem.

Twarc Maddy pociemniała z gniewu.

– Mamy nowego dyrektora!

– Dajcie spokój – odezwał się ktoś. – Zmięknijcie, jak każdy z nich.

Sharon wstała, zbierała książki z podłogi, wypadały jej z rąk; długie białe uda, szelest pończoch.

– Przepraszam, proszę mi wybaczyć. – Dotarła do drzwi, sięgnęła do klamki, nacisnęła ją i wybiegła z pokoju.

– Katharsis – powiedział Walter. – Zakładam możliwość przełomu.

Popatrzyłem na niego, na nich wszystkich. Sępie uśmiechy, zadowolenie z siebie. Ale dostrzegłem również coś jeszcze – jakby lęk.

– Jesteście wolni – oznajmiłem.

Dogoniłem ją, gdy szła już chodnikiem.

– Sharon!

Zaczęła biec.

– Poczekaj, proszę cię!

Stała, ale się nie odwróciła. Zaszedłem ją z przodu. Patrzyła w ziemię, potem uniosła wzrok ku niebu. Noc była bezgwiezdna. Jej włosy stopiły się z ciemnością, tylko twarz była widoczna. Biała, unosząca się w powietrzu maska.

– Przepraszam – powiedziałem.

– Nie, to moja wina – potrząsnęła głową. – Zachowałam się jak smarkacz, zupełnie niewłaściwie.

– Nie ma nic złego w tym, że uciekłaś przed ciosami na odlew. To zgraja łobuzów. Powinienem zareagować, przewidzieć co się stanie.

Spojrzała mi wreszcie w oczy. Uśmiechnęła się.

– Nieważne. Nikt by nie przewidział.

– I tak jest za każdym razem?

– Od czasu do czasu.

– Doktor Kruse to aprobuje?

– Doktor Kruse twierdzi, że musimy przetestować nasze własne systemy obronne, zanim będziemy mogli pomóc innym. – Zaśmiała się cicho. – Ja już chyba to wiem...

– Z pewnością będziesz świetna. Na dłuższą metę takie gładzenie jest nie do zaakceptowania.

– Miło to słyszeć, doktorze.

– Alex.

– Dzięki, że na mnie stawiasz, Alex – uśmiechnęła się szeroko. – Chyba jednak będzie lepiej, jak do nich wrócisz.

– Skończyliśmy sesję. Dobrze się czujesz?

– Oczywiście. – Przystąpiła z nogi na nogę, mocując się ze swoimi książkami.

– Pozwól, że ci pomogę.

Było w niej coś, co wyzwalało we mnie instynkt opiekuńczy i rycerskość.

– Nie, poradzę sobie – powiedziała.

Nie pohamowało to moich zapędów i wziąłem od niej książki.

– Gdzie masz samochód?

– Przyszłam pieszo. Mieszkam w akademiku. Curtis Hall.

– Podrzucę cię.

– To naprawdę zbyteczne.

– Zrób mi tę przyjemność.

– No dobrze – zgodziła się. – Dzięki.

Podwiozłem ją do akademika i umówiliśmy się na najbliższą sobotę.

Czekała na krawężniku, ubrana w żółty kaszmirowy sweter, spódnicę w czarno-żółtą kratę, czarne podkolanówki i mokasyny na płaskim obcasie. Wysiadłem i otworzyłem przed nią drzwiczki. Gdy tylko dotknąłem kierownicy, położyła dłoń na mojej ręce, ciepłą, silną.

Zjedliśmy kolację w jednej z tych zadymionych hałaśliwych knajpek z piwem i pizzą, których jest zawsze sporo przy kampusach – najlepsza, na jaką było mnie stać. Upatrzyliśmy sobie stolik w rogu i patrząc na widoczki przedstawiające pustynne ptaki jedliśmy, piliśmy i uśmiechaliśmy się do siebie.

Nie mogłem oderwać od niej oczu, chciałem wiedzieć o niej wszystko, stworzyć błyskawicznie nastrój intymności, co było raczej niemożliwe.

Informacje o sobie sączyła kropla po kropli; miała dwadzieścia jeden lat, wychowała się na

Wschodnim Wybrzeżu, skończyła college dla dziewcząt, przyjechała na Zachód, by studiować. I zaraz skierowała rozmowę na temat uczelni. Problemy akademickie.

Od razu zapytałem ją o Kruse'a. Odparła, że jest jej doradcą na wydziale, a lekki ton świadczył, że jego osoba nie ma dla niej najmniejszego znaczenia. Gdy zadałem jej pytanie, jakim jest człowiekiem, powiedziała, że jest dynamiczny, ma twórczy umysł – i znowu zmieniła temat.

Dałem spokój, ale wciąż dręczyła mnie ciekawość. Po tej obrzydliwej sesji rozpytywałem tu i ówdzie o Kruse'a i dowiedziałem się, że jest profesorem w klinice, od niedawna, lecz zdążył już zasłużyć na opinię uwodziciela i dziwkarza.

Pomyślałem, że nie jest odpowiednim opiekunem dla takiej dziewczyny jak Sharon. No, ale co ja o niej wiem? Co mogę wiedzieć o tym, kto byłby dla niej odpowiedni?

Usiłowałem dowiedzieć się czegoś więcej. Robiła zwinne uniki i zadawała mi pytania dotyczące mojej osoby.

Była chwila, że zrozumiałem wściekłość jej kolegów, i zrobiło mi się głupio. I zaraz uświadomiłem sobie, że przecież widzę ją dopiero drugi raz w życiu! Jej sposób bycia świadczył o pochodzeniu – zamożna rodzina, solidne, konserwatywne zaplecze. Ściślej mówiąc, była produktem wychowania, które wzmacnia w dziewczynie poczucie zagrożenia i lęku przed szybkim nawiązaniem intymnych stosunków.

Ale ta jej dłoń na mojej, uśmiech świadczący o jawnej sympatii. Nie udawała niedostępnej.

Rozmawialiśmy o psychologii. Wiedziała sporo, lecz od razu zaakceptowała moją przewagę. Pod powierzchownym wizerunkiem Suzy Creamcheese wyczuwałem niekłamana głębię. I jeszcze coś: była bardzo sympatyczna, układność prawdziwej damy, co było dla mnie miłą niespodzianką w epoce szalejącego feminizmu.

Jak głosił mój dyplom byłem doktorem serca i umysłu, mędrce w wieku dwudziestu czterech lat, wielkim arbitrem od stosunków międzyludzkich. Lecz stosunki międzyludzkie wciąż budziły we mnie lęk. Od wczesnej młodości byłem podporządkowany regułom życia na uczelni, w pracy... znowu na uczelni, brnąc wciąż wyżej i wyżej przez czyściec studiów, i łudząc się nadzieją, że moje problemy i problemy innych ludzi będą odpowiadać kolejnym szczeblom mojej kariery. Choć wstępowałem coraz wyżej i w wieku dwudziestu czterech lat wciąż posuwałem się do góry, moje życie towarzyskie ograniczało się do przypadkowych znajomości i niemal narzuconego sobie, uprawianego jak gimnastyka seksu.

Ostatnią randkę miałem przeszło dwa miesiące temu – krótka, niefortunna przygoda z ładną blondynką z neonatologii z Kansas, która gdy staliśmy w kolejce w szpitalnym barze, zaproponowała mi spotkanie. Sama wybrała restaurację, sama zapłaciła rachunek, zaprosiła się do mnie, od razu padła na kanapę, wyciągnęła *quaalude* i miała mi za złe, że się nie poczęstowałem. Po chwili przestała się dąsać i leżała goła jak ją Pan Bóg stworzył, wskazując z uśmiechem na swoje krocze: – To jest Los Angeles, Nieśmiałku. Częstuj się moją cipką.

Dwa miesiące.

Teraz jestem tutaj, siedzę obok dziewczyny pięknej, skromnej, dobrze ułożonej, która wyciera usta serwetką, nawet gdy nie ma takiej potrzeby, i przy której czuję się tak, jakbym był Einsteinem. Nie mogłem oderwać od niej oczu. W blasku świecy, umocowanej w butelce po chianti, wszystko, co robiła, wydawało mi się nadzwyczajne; nie życzyła sobie piwa, wołała 7-up, śmiała się jak dziecko z przygód Wile'a Coyote'a, który owijał na palcu gorące pasma sera, zanim włożył je między śnieżnobiałe zęby.

Skrawek różowego języka.

Konstruowałem jej przeszłość, którą tworzyła moja wysublimowana wyobraźnia: letni dom, kotyliny, pierwszy bal, polowania. Tłumy wielbicieli...

Racjonalizm naukowca powściągnął fantazje – czcze domysły, urojenia bez pokrycia. Dała ci pole do popisów wyobraźni, a ty je zapełniasz wymyślonymi faktami. Przypuściłem jeszcze jeden atak, by czegoś się o niej dowiedzieć. Odpowiedziała wymijająco, i znów skierowała rozmowę na temat mojej osoby.

Przedstawiłem jej kilka żalonych fragmentów mojej biografii. Wyzwalała chęć zwierzeń. Umiała fantastycznie słuchać – wsparła brodę na dłoniach i wpatrywała się we mnie tymi swoimi ogromnymi niebieskimi oczami, a ja byłem przekonany, że każde moje słowo ma wręcz niewyobrażalną wartość. Bawiła się moimi palcami, śmiała się z moich żartów, odrzucała włosy do tyłu – i blask świecy zapalił isierki w jej kolczykach.

Byłem teraz dla Sharon Ransom darem niebios. To nie ulegało wątpliwości.

Inaczej czułbym się przy niej nieswojo. Nawet w tej knajpce, w której aż się roiło od bujnych młodych ciał i przyprawiających o zawrót głowy pięknych twarzy, jej uroda przykuwała wzrok jak magnes. Oczywiście, każdy przechodzący obok mężczyzna pieścił ją wzrokiem, a kobiety patrzyły podejrzliwie. Nie była tego świadoma, całą swą uwagę skupiając na mnie.

Otworzyłem się przed nią, mówiłem o rzeczach, które już dawno uleciały mi z pamięci.

Już wiedziałem, że bez względu na problemy na uczelni doskonale sobie poradzi jako praktyk-terapeuta.

Od samego początku pragnąłem jej tak gwałtownie, że aż mnie to przerażało. Lecz miała w sobie coś – może z racji tej jej kruchości, rzeczywistej czy przeze mnie wyimaginowanej – co trzymało mnie na dystans.

Kilka randek mieliśmy za sobą, a nic się nie zmieniło – trzymanie się za ręce, muśnięcie w policzek na dobranoc, i te jej delikatne, orzeźwiające perfumy...

Wracałem do domu podniecony, oszołomiony, ale dziwnie szczęśliwy.

Gdy po siódmym spotkaniu jechaliśmy w stronę akademika, powiedziała: – Nie wysiadam, Alex. Zatrzymaj się za rogiem.

Wskazała mroczną stronę ulicy przylegającą do boiska sportowego. Zaparkowałem wóz. Pochyliła się, wyłączyła silnik, zdjęła buty i prześliznęła się na tylne siedzenie mojego ramblera.

– Chodź – powiedziała.

Zrobiłem to bez wahania, ciesząc się w duchu, że w wozie jest porządek. Usiadłem przy niej, objąłem ją i całowałem w usta, oczy, słodki dołek poniżej szyi. Drżała, wiła się. Dotknąłem piersi. Wyczułem bicie jej serca. Całowaliśmy się coraz bardziej zachłannie. Położyłem dłoń na jej kolanie. Drżała, spojrzała na mnie – pomyślałem, że z lękiem. Cofnąłem dłoń, ale ona wzięła moją rękę i wsunęła między swoje kolana; poczułem gorący, miękki ucisk. Rozsunęła nogi. Wędrowałem dłońmi wzdłuż kolumn białego marmuru. Głowę odrzuciła do tyłu, oczy zamknięte, usta uchylone. Była bez majtek. Uniosłem spódnicę i zobaczyłem cudowną delkę, miękką i czarną jak sobole futro.

– O Boże – jęknąłem i zacząłem ją pieścić.

Jedną ręką przytrzymała mnie, drugą odsunęła zamek błyskawiczny. Byłem wolny, szybowałem ku niebu.

– Wejdz we mnie – powiedziała.

Tak też zrobiłem.

Rozdział 7

Skoro Milo wyjechał, moim jedynym kontaktem z policją był Delano Hardy – elegancki czarny detektyw, który od czasu do czasu współpracował z Milem. Przed kilkoma laty uratował mi życie. Podarowałem mu gitarę, klasycznego Fendera Stratocostera, którego odrestaurowała Robin. Nie ulegało kwestii, kto komu jest winien wdzięczność; w każdym razie zadzwoniłem do niego.

Urzędnik w Zachodnim Los Angeles powiedział, że detektyw Hardy będzie dopiero jutro rano. Rozważałem, czy nie próbować złapać go w domu. Wiedziałem jednak, że ma liczną rodzinę i pewnie stara się uszczknąć jak najwięcej czasu dla dzieciaków. Zostawiłem mu więc wiadomość z prośbą, żeby do mnie zadzwonił.

Zastanawiałem się, kto nie miałby mi za złe telefonu do domu. Ned Biondi był jednym z tych dziennikarzy, którzy swoją pracę przedkładają nad wszystko inne. Gdy go poznałem, był miejskim reporterem. Od tamtej pory awansował na zastępcę redaktora, ale zawsze węszył za materiałem na reportaże.

Ned był mi coś winien. Pomogłem wyciągnąć jego córkę z zaawansowanej, zagrażającej życiu anoreksji. Spłacał mnie przez półtora roku, po czym znów został moim dłużnikiem, bo napisał kilka dających profit obszernych reportaży, do których podsunąłem mu temat.

Tuż po dziewiątej zadzwoniłem do niego do domu w Woodland Hills.

– Miałem do ciebie dzwonić, doktorze.

– O?

– Wróciłem właśnie z Bostonu. Anne-Marie przesyła ci pozdrowienia.

– Jak ona się miewa?

– Wolelibyśmy, żeby nie była taka chuda, ale poza tym ma się świetnie. Jesienią zapisze się na wydział socjologii pracy, i znalazła sobie nowego chłopaka, a nie tego drania, który ją rzucił.

– Pozdrów ją ode mnie.

– Nie omieszkam. Co masz do mnie?

– Chciałbym cię zapytać o notatkę w dzisiejszej prasie. Samobójstwo psycholożki, strona...

– Dwudziesta. Co chcesz wiedzieć?

– Znałem tę kobietę, Ned.

– Ach tak... Paskudna sprawa.

– Czy wiesz coś więcej?

– Nie było powodu, żebym cokolwiek zatajał. Żadna sensacja. Dowiedzieliśmy się o tym z komunikatu policji – nikt z nas nie pojechał na miejsce wypadku. Czy wiesz coś, o czym ja powinienem wiedzieć?

– Nie, nic. Kto to jest Maura Bannon?

– Właściwie dzieciak – studentka, praktykantka. Przyjaźni się z Anne-Marie, trochę studiuje, trochę pracuje. Walczy o pokój – naiwny dzieciak. Jej zdaniem samobójstwo psycholożki warte było notatki w prasie. Bardziej doświadczeni mniej się tym przejęli..., no, ale zrobiliśmy jej przyjemność i wprowadziliśmy materiał do komputera. Skończyło się na tym, że sekcja pierwsza potraktowała to jako uzupełnienie szpalty. Dziewczyna była bardzo poruszona. Mam jej powiedzieć, żeby do ciebie zadzwoniła?

– Jeśli ma mi coś do powiedzenia.

– Wątpię. – Chwila ciszy. – Doktorze, ta dama, o której mowa, dobrze ją znałeś?

Moje kłamstwo miało charakter względny.

– Nie za dobrze. Po prostu... no, kiedyś ją poznałem. Byłem wstrząśnięty.

– Niewątpliwie – powiedział Ned i usłyszałem nutę dociekliwości w jego głosie. – Zdaje się, że dzwoniłeś najpierw do Strugisa?

– Tak, ale wyjechał.

– Właśnie, doktorze... Nie chcę być niedyskretny, ale jeśli wiesz coś o ofierze, coś co rzuciłoby trochę światła na całą tę historię, chętnie cię wysłucham.

– Nic nie wiem, Ned.

– Okay. Przepraszam, że wścibiam nos w cudze sprawy – siła przyzwyczajenia, skrzywienie zawodowe.

– Drobiazg. Do rychłego usłyszenia.

O wpół do dwunastej wyszedłem na spacer. Ruszyłem wznoszącą się doliną w stronę Mulhalland. Słuchałem trel i świerszczy i śpiewu nocnych ptaków. Gdy po godzinie wróciłem do domu, usłyszałem dzwonek telefonu.

– Halo?

– Mówi Yvette z centrali. Cieszę się, że pan już jest. Przed dwudziestoma minutami dzwoniła pańska żona z San Luis Obispo. Zostawiła wiadomość.

„Pańska żona”. Jak kulą w płot. Zresztą od lat popełniają tę samą omyłkę. Kiedyś sprawiało mi to nawet przyjemność.

– Co chciała mi przekazać?

– Że jest w rozjazdach, praktycznie nieosiągalna. Jak tylko będzie mogła, skontaktuje się z panem.

– Podała jakiś numer telefonu?

– Nie... Jest pan chyba zmęczony, doktorze. Przeciążony pracą?

– Coś w tym sensie.

– Życzę zdrowia.

– Wzajemnie.

„W rozjazdach, nieosiągalna”. Jeszcze wczoraj sprawiłoby mi to ból. Ale dziś poczułem ulgę, byłem nawet rad.

Od soboty prawie nie pomyślałem o Robin. Wszystkie moje myśli skupiły się na Sharon.

Czułem się jak cudzołóżnik. Trochę zawstydzony, ale i pełen emocji.

Wgramoliłem się do łóżka i usiłowałem zasnąć. Obudziłem się za piętnaście trzecia, niespokojny, zdenerwowany. Wrzuciłem na siebie jakieś ciuchy i zszedłem niepewnym krokiem na parking. Uruchomiłem seville. Pojechałem na południe, w stronę Bulwaru Zachodzącego Słońca, potem skręciłem na wschód, do Beverly Hills i Boystown, w kierunku zachodniego cypla Hollywood i Nichols Canyon.

O tej porze nawet deptak świecił pustkami. Opuściłem szybę – niech ostre, chłodne powietrze smaga mi twarz. W Fairfax skręciłem w lewo, jechałem teraz na północ i znalazłem się na Bulwarze Hollywoodzkim.

Większość ludzi wiąże z tym bulwarem jakieś wspomnienia, więc oczywiście i moja pamięć przywołała obrazy z przeszłości: dobre dawne czasy Promenady Gwiazd, uroczyste premiery, nocna scena tonąca w neonowym świetle. I ulica, którą teraz widzę – brudna, cuchnąca występkiem, gdzie każdy może stać się ofiarą przemocy.

Lecz już trochę na zachód, za La Brea, Bulwar Hollywoodzki pokazuje drugą twarz: ciągnący się milę rząd przyzwoicie utrzymanych budynków mieszkalnych otoczonych drzewami – stanowiących sąsiedztwo rezydencji – dalej stare, okazałe kościoły i jednopiętrowe domki okolone wypielęgnowanymi trawnikami. Patrząc z góry na tę podmiejską plamę, można zobaczyć podobny do powyginanego grzbietu dzikiego zwierzęcia fragment gór Santa Monica, które wiją się meandrami przez całe Los Angeles. W tej części Hollywood góry wydają się groźne i odporne na wątpy bastion cywilizacji.

Nichols Canyon zaczyna się parę bloków na wschód od Fairfax, uliczka z fragmentem czarnych nieregularnych szczytów, podziwianych z północnej strony bulwaru – biegnących dalej, równoległe do kanału, zawsze wysychającego w lecie. Małe wiejskie domki skryte w płątaninie zarośli rozsiadły się tuż za kanałem. Dostać się tam można było tylko po kładkach zrobionych domowym sposobem.

Minąłem końcową stację wydziału hydrologiczno-energetycznego oświetloną lampami łukowymi, dającymi ostry, przenikliwy blask. Tuż za stacją znajdował się punkt kontroli przeciwpożarowej, ogrodzony łańcuchem – dalej większe już domy na płaskim terenie, w sporej od siebie odległości.

Jakieś dzikie stworzenie przemknęło szybko przez drogę i zniknęło w krzakach. Kojot? Kiedyś Sharon opowiadała, że widywała kojoty, choć ja nigdy się na nie nie natknąłem.

Kiedyś.

Czego do cholery oczekiwałem? Przejechałem przed jej domem jak jakiś sentymentalny nastolatek liczący na to, że jego ukochana wyjrzy zza zasłonki...

To głupie. Neurotyczne.

Ale pragnąłem czegoś dotknąć, czegoś, co by mnie upewniło, że ona kiedyś istniała naprawdę. Że ja istniałem naprawdę.

Pojechałem dalej.

Szosa skręcała w prawo. Prowadziła do Jalmii i zwężała się w małą uliczkę – ciemną, biegnącą pod baldachimem drzew. Jakieś nierówności, lekki spadek terenu i uliczka kończyła się ślepo, bez znaku ostrzegawczego na płocie z bambusu. Widać stąd było wznoszący się w górę podjazd. Zatrzymałem wzrok na słupie z białą skrzynką pocztową i po chwili na tak samo białej okratowanej, pochyłej bramie.

Zjechałem na pobocze, zaparkowałem, wyłączyłem silnik, wysiadłem. Przenikliwy chłód. Odgłosy nocy. Brama była otwarta, ledwie trzymała się na zawiasach, nie stanowiła żadnego zabezpieczenia. Uniosłem z lekka drzwi, by uniknąć chrobotu o cement, i rozejrzałem się wokół. Pusto. Otworzyłem furtkę i wszedłem do środka. Zamknąłem ją za sobą i ruszyłem pod górę.

Po obu stronach podjazdu rosły wachlarzowate palmy, yukki i olbrzymie bananowce. Typowy dla lat pięćdziesiątych krajobraz Kalifornii. Nic się nie zmieniło.

Szedłem dalej pod górę, przez nikogo nienagabywany, dziwiąc się w duchu, że nie ma tu nawet śladu policji. Oficjalnie komenda policji w Los Angeles traktuje samobójstwo jak zabójstwo, ale biurokracja działa w ślimaczym tempie. Od razu po śmierci należy wszcząć dochodzenie, tymczasem ledwo chyba ruszyli z pracą papierkową.

Powinny tu stać posterunki, miejsce samobójstwa powinno być zabezpieczone, jakaś kontrola, do licha.

Nic takiego.

I wówczas usłyszałem odgłos zapalnego silnika i szum ruszającego auta, bez wątplenia wysokiej marki. Coraz bliżej. Ukryłem się za palmą, przywarłem do pnia.

Niemal na szczycie podjazdu pojawił się biały porsche-carrera i z zapalonymi światłami toczył się wolno na drugim biegu. Przejechał blisko mnie i zobaczyłem twarz kierowcy: ostre rysy, szparki oczu i pokryta dziwnymi plamkami cera; musiał mieć około czterdziestki. Bujne czarne wąsy nad wąskimi wargami kontrastowały z rozwianymi, śnieżnobiałymi włosami i tegoż koloru szerokimi brwiami.

Twarz, której się nie zapomina.

Cyril Trapp. Cyril Trapp: wydział zabójstw w Zachodnim Los Angeles. Szef Mila, swego czasu pijący tęgo lew salonowy o dość giętkim kręgosłupie, odmłodzony obecnie w religijnej dewocji i pełen nienawiści do wszystkiego, co odbiega od normy.

Przez cały ubiegły rok Trapp robił wszystko, by zadrzeć na śmierć Mila – ten wesoły gliniarz pod każdym względem odbiegał od normy. Trapp nie był inteligentny ponad normę, ale też nie był głupi, i przebiegle znęcał się nad Milem; mianował go „specjalistą od morderstw na tle seksualnym” i przydzielał mu każdy mord homoseksualny, jaki wydarzył się w Zachodnim Los Angeles. Wyłącznie.

A to okazało się zgubne dla mojego przyjaciela – zanurzył się w mętnej kipieli krwi i występku; młodzi wykolejeńcy wyniszczeni i niszczący. Rozkładające się ciała, bo kierowcy transportujący zwłoki nie chcą ich zabierać w obawie przed AIDS.

Gdy Milo próbował się z tego wyplątać, Trapp niezmiennie odpowiadał, że po prostu wykorzystuje jego specjalizację, czyni użytek z głębokiej wiedzy Mila o „dewiacji subkulturowej”. Kolejna rozmowa na ten temat zaowocowała wpisem do akt podwładnego zarzutu niesubordynacji.

Gdyby Milo obstawał przy swoim, czekałoby go rozprawa, a co za tym idzie, musiałby wziąć sobie adwokata – Stowarzyszenie Policjantów nie ruszyłoby nawet palcem. A mass media zrobiłyby z Mila nawiedzonego gliniarza-pedała. Na to by nigdy nie poszedł. Więc skulił uszy po sobie, rzucił się w wir pracy i znów zaczął pić.

Porsche zniknęło z mojego pola widzenia, ale wciąż słyszałem szumiący na biegu jałowym silnik. Potem trzask otwieranych drzwi, kroki, skrzyp bramy... W końcu Trapp odjechał cichutko.

Odczekałem parę minut i wyszedłem zza pnia, rozmyślając o tym, co właściwie zobaczyłem.

Kapitan kontrolujący rutynowo samobójstwo? Kapitan z Zachodniego Los Angeles kontroluje samobójstwo popełnione na terenie podległym komendzie hollywoodzkiej? Wszystko to nie trzyma się kupy.

Albo może ta wizyta miała charakter osobisty? Przyjechał przecież porsche, a nie zwykłym autem policyjnym...

Co Trapp mógł mieć wspólnego z Sharon? Zbyt groteskowe, by się nad tym zastanawiać.

Ale i zbyt logiczne, by przejść nad tym do porządku.

Podjąłem wędrówkę, dotarłem do drzwi domu i starałem się nie myśleć o tym wszystkim.

Nic się tu nie zmieniło. Te same wysokie ściany bluszczu, tak gęste, że przesłaniały cały dom. Ta sama okrągła cementowa płyta zamiast trawnika. W środku płyty, otoczony wulkanicznymi głazami, puszył się równie okrągły klomb, na którym pięły się do góry wzniosłe palmy kakaowe.

Za palmami niskie parterowe domostwo – szary stiuk, od frontu bez okien, płaski, otoczony fasadą z drewnianych pionowych desek, na której widniały adres i numer o nietypowo wielkich rozmiarach. Dach prawie płaski, pokryty warstwą otoczków. Po jednej stronie znajdował się parking pod dachem. Żadnego samochodu, żadnego śladu życia.

Na pierwszy rzut oka – paskudna budowla. Jeden z tych nowoczesnych domów, typowych w powojennym Los Angeles, tych, które tak biednie się starzeją.

Wiedziałem jednak, że w środku jest pięknie. Wyszukany kształt basenu, który wił się wokół północnej części domu i wywoływał iluzję, że rozplywa się gdzieś w oddali. Szklane ściany sprawiały, że widok, jaki rozciągał się stąd na kanion, zapierał dech w piersi.

Byłem kiedyś pod silnym wrażeniem tego domu, choć zdałem sobie z tego sprawę dopiero po latach, kiedy sam musiałem kupić dom, i nagle zrozumiałem, że podświadomie chcę mieć taki sam górzysty teren, drewno i szkło, część zewnętrzna i wewnętrzna tworzące jedną komponującą się wzajemnie całość; ta zmienność geologiczna tak typowa dla kanionów w Los Angeles.

Drzwi frontowe wyglądały skromnie – jak część drewnianej fasady. Nacisnąłem klamkę. Zamknięte. Rozejrzałem się i oto, co zobaczyłem – do pnia jednej z palm przymocowana była drabinka z napisem. Gwiazdy świeciły tak jasno, że łatwo rozróżniłem litery:

NA SPRZEDAŻ

Biuro obrotu nieruchomościami, North Vermont, okręg Los Feliz.

Poniżej jeszcze jeden napis, mniejszy. Nazwisko i numer telefonu osoby sprzedającej: Mickey Mehrabian.

Szybko sprzedać, zanim jeszcze ostygła.

I choć był to oczywisty przypadek samobójstwa, postępowanie spadkowe przeprowadzono błyskawicznie, bez precedensu w całej historii stanu Kalifornia.

Chyba że ten dom do niej nie należał. Ale mówiła, że to jej dom.

Mówiła mi mnóstwo rzeczy.

Zapamiętałem numer Mickey Mehrabian. W samochodzie wpisałem go sobie do notesu.

Rozdział 8

Nazajutrz rano zadzwoniłem do biura obrotu nieruchomości. Mickey Mehrabian miała głos podobny do Lauren Bacale i trochę podobnie akcentowała wyrazy. Umówiłem się z nią na obejrzenie domu o godzinie jedenastej, i następną godzinę poświęciłem rozmyśleniom o tym, kiedy po raz pierwszy znalazłem się w tym miejscu.

– Chcę ci coś pokazać, Alex.

Niespodzianka, niespodzianka. Wciąż była jakaś niespodzianka.

Przypuszczałem, że jest otoczona rojem wielbicieli. Zawsze jednak miała dla mnie czas, była wolna, kiedy proponowałem spotkanie, nawet jeśli decydowałem się w ostatniej chwili. A gdy z powodu przeżywającego kryzys pacjenta musiałem odwołać randkę, nie miała mi tego za złe. Nigdy nie wywierała na mnie żadnego nacisku – najmniej wymagające stworzenie, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia.

Kochaliśmy się, ilekroć byliśmy razem, choć nigdy nie spędziliśmy wspólnej nocy.

Od samego początku wykręciła się od wizyty u mnie, chciała się kochać na tylnym siedzeniu samochodu. Po kilku miesiącach wreszcie uległa, ale nawet wtedy, gdy dzieliła ze mną łóżko, traktowała je tak, jakby to było tylne siedzenie auta – nigdy nie zrzuciła z siebie wszystkich szmatek, nigdy nie zasnęła przy mnie. Gdy zaś ja, odrętwiały po orgazmie, zapadałem w sen, to po przebudzeniu widziałem, jak siedzi na brzegu łóżka kompletnie ubrana, pociągając się za ucho. Zapytałem, co ją dręczy.

– Nic. Mam trudności z zasypianiem, od zawsze. Tylko we własnym łóżku udaje mi się zasnąć. Jesteś na mnie zły?

– Nie, oczywiście, że nie. Co mam teraz zrobić?

– Odwieź mnie do domu. Jak już będziesz gotów.

Przywykłem do jej stylu: w ciągłym biegu. Niektóre jej zachowania odbierały mi przyjemność, ale dawała mi jej tyle, że zawsze wracałem po więcej.

Jej przyjemność, a raczej brak tejże był moim ciągłym problemem. Wszystko w niej wskazywało na namiętność – była czynna, pełna energii... nigdy jednak nie osiągnęła szczytu.

Co wcale nie znaczy, że była chłodna – łatwo się podniecała, zawsze chętna, wilgotna, gotowa do stosunku. Lecz orgazm nigdy nie był jej udziałem. Kończyłem, ona też, szczęśliwa, że tyle mi dała, ale nie sobie.

Miałem tę cholerną świadomość, że coś tu nie gra, jednak jej słodycz i uroda, dreszcz emocji, że

posiadam taką kobietę, pożądaną, w co nie wątpię, przez wszystkich mężczyzn, oddalały moje skrupuły. Młodzieńcza fantazja – chciałem po prostu mieć pewność, bo w granie rzeczy wciąż daleko mi było do dojrzałości.

Wystarczyło, że mnie objęła, a już byłem gotów. W chwilach beczynności na samą myśl o niej czułem podniecenie, działała na wszystkie moje zmysły. Wszelkie wątpliwości odłożyłem więc na bok.

Lecz w końcu zaczęło mnie to dręczyć. Dręczyć ustawicznie. Chciałem dać jej tyle, ile dostawałem od niej, bo naprawdę mi zależało.

A przede wszystkim moje męskie ego domagało się akceptacji. Czyżbym był za szybki? Starłem się być w niej jak najdłużej. Dotrzymywała mi tempa, niestrudzona, jakbyśmy brali udział w dziwnych zapasach. Starłem się być superdelikatny, niczego się nie domagać, gasiłem światło i zachowywałem się trochę jak troglodyta. Próbowałem różnych pozycji, nastrojałem ją jak gitarę, pracowałem na niej i pod nią, aż cały byłem spocony i zbolący, w końcu wracałem do tradycyjnej metody.

Nic nie dawało rezultatu.

Wiedziałem o seksualnym zablokowaniu – Sharon była podręcznikowym przykładem. Problem blokujący: załamanie się wzajemnego kontaktu. „Doktor Kruse jest zdania, że zanim będziemy w stanie pomóc innym, musimy stawić czoło własnym systemom obronnym”.

Zaatakowanie jej systemu obronnego doprowadziło ją do łez. Próbowałem znaleźć inną drogę, bez wywoływania negatywnej reakcji. Kilka podbudowanych naukowo, rozluźniających kwestii nie powinno jej urazić.

Wybrałem chwilę, gdy leżeliśmy na tylnym siedzeniu mojego ramblera, wciąż nierozłączeni – moja głowa na jej cudownych piersiach, jej palce wplątane w moje włosy. Nie zmieniając pozycji, słuchała uważnie, a potem pocałowała mnie i powiedziała:

– Nie przejmuj się, Alex. Naprawdę nie masz powodu.

– Chcę, żebyś ty też czuła rozkosz.

– Czuję, Alex. Ubóstwiam to robić.

Zaczęła poruszać biodrami, członek mi nabrzmiał, objęła mnie mocno, a ja coraz bardziej twardniałem wewnątrz niej. Przyciągnęła moją głowę ku swojej twarzy, pieściła moje usta swoimi, nacierała na mnie biodrami, mocniej ścisnęła ramiona, atakowała, zniewalała. Prężąc się, biorąc ją z boku i od tyłu, zwalniając i przyspieszając aż do utraty tchu, poczułem wielką gorącą falę rozkoszy. Krzyknąłem, cudownie bezwolny, wyzwolony, czułem trzask własnego kręgosłupa, jakby wszystkie kości wysunęły się ze stawów. Leżałem, a ona znów przebierała palcami w moich włosach.

Wciąż miałem erekcję, gotów byłem do działania. Wyśliznęła się spode mnie, poprawiła spódnicę, wyjęła puderniczkę, poprawiła makijaż.

– Sharon...

Położyła mi palec na ustach. – Jesteś dla mnie taki dobry – powiedziała. – Wspaniały.

Zamknąłem oczy, dryfowałem parę chwil gdzieś daleko. Gdy uchyliłem powieki, stwierdziłem, że ona patrzy gdzieś w dał, jakby mnie w ogóle tu nie było.

Tego wieczoru dałem spokój dążeniom do doskonałej miłości i zacząłem ją traktować z męskim egoizmem. Nagrodziła to moje ustępstwo pełną oddania uległością, choć to ja byłem tym, który uległ.

Tkwiały we mnie psycholog zdawał sobie sprawę z błędu w sztuce. Sięgnąłem do mojej wiedzy, by rozwiązać wszelkie wątpliwości.

Nie powinienem wywierać na nią nacisku. Byłaby inna, gdybym ją odpowiednio przygotował.

Nadeszło lato, zaczęły się wakacje. Sharon zaliczyła pierwszy rok, zdając wszystkie egzaminy z najwyższymi ocenami. Ja natomiast zdałem egzamin licencyjny i od jesieni miałem zapewnioną pracę w Zachodnim Szpitalu Pediatrycznym. Należałoby to uczcić, ale póki co nie miałem żadnych dochodów. W listach od moich wierzycieli wyczułem ton groźby. Gdy tylko pojawiła się szansa jakiegoś zarobku, natychmiast ją wykorzystywałem: przez osiem tygodni grałem w zespole tanecznym w San Francisco u Marka Hopkinsa, trzy kawałki w ciągu wieczora, sześć razy tygodniowo. Cztery tysiące dolarów plus wyżywienie i mieszkanie w motelu „Lombard Street”.

Prosiłem, by pojechała ze mną na północ, snułem wizję śniadania w Sansalito, teatru, Pałacu Sztuk Pięknych, wyprawy na górę Tamalpais.

– Bardzo bym chciała, Alex – powiedziała. – Ale mam kilka spraw do załatwienia.

– Co to za sprawy?

– Rodzinne.

– Jedziesz do domu?

– Nie, nie – odparła szybko. – To co zazwyczaj.

– Nic mi to nie mówi – powiedziałem. – Nie wiem, co znaczy „to co zazwyczaj”, bo nigdy mi nie opowiadałaś o swojej rodzinie.

Pocałunek. Wzruszenie ramionami.

– Rodzina jak każda inna.

– Będę zgadywał: chcą cię przywrócić cywilizacji, byś zajęła godne siebie miejsce wśród lokalnej, eleganckiej młodzieży.

Roześmiała się, kolejny pocałunek.

– Eleganckiej młodzieży? Skądże!

Objąłem ją, przytuliłem.

– Tak, teraz już wiem. Za parę tygodni zobaczę w gazecie, w kronice towarzyskiej, twoje zdjęcie z narzeczoną, facetem o potrójnym nazwisku robiącym błyskawiczną karierę w bankowości.

– Nie sądzę, kochanie – zachichotała.

– Dlaczego?

– Bo moje serce należy do ciebie.

Obiema dłońmi ująłem jej twarz, spojrzałem głęboko w oczy. – Naprawdę?

– Oczywiście. Co ty sobie w ogóle myślisz?

– Myślę, że mało cię znam.

– Znasz mnie lepiej niż ktokolwiek inny.

– Ale mimo to za mało.

Pociągnęła się za ucho.

– Naprawdę mi na tobie zależy, Alex.

– No to zamieszkaż ze mną po wakacjach. Wynajmę większe mieszkanie, bardziej komfortowe.

Pocałowała mnie tak namiętnie, że pomyślałem, iż się zgadza. Zaraz się jednak odsunęła.

– Nie takie to proste – powiedziała.

– Dlaczego?

– Sprawy są dość... skomplikowane. Proszę cię, nie mówmy teraz o tym.

– W porządku – rzekłem. – Ale weź to pod uwagę.

Polizała mnie w podbródek.

– Uhum – mruknęła. – Wezmę.

Całowaliśmy się. Przycisnąłem ją mocno do siebie, wtuliłem twarz w jej włosy, szyję. Jakbym zanurzył się w słodkim kremie. Odpiąłem jej bluzkę.

– Naprawdę będę za tobą tęsknił – szepnąłem. – Już tęsknię.

– Cieszę się – powiedziała. – We wrześniu będzie nam fajnie. I zabrała się za mój rozparek.

Za dwadzieścia jedenasta wyszedłem z domu, na spotkanie z agentem obrotu nieruchomości. Łagodne lato miało się już ku końcowi, zaczęły się upały, powietrze ziało żarem jak z gorącego pieca. Lecz Nichols Canyon zachowała jeszcze świeżość – dużo słońca, wiejskie odgłosy. Aż nie do wiary, że do hałaśliwego, jarmarcznego Hollywood jest stąd zaledwie parę kroków.

Gdy dojechałem do domu Sharon, okratowana brama była już otwarta. Zaparkowałem wóz obok dużego broughama, o kołach ze stali chromowanej, z anteną telefoniczną z tyłu i tabliczką z napisem: „Sprzedaż domów”.

Z samochodu wysiadła brunetka o ciemnej karnacji. Czterdzieści parę lat, zgrabna, o figurze kobiety uprawiającej aerobic, w obcisłych dżinsach, butach na wysokich obcasach i czarnej luźnej bluzie ozdobionej błyskotkami. Torba z wężowej skóry, komplet biżuterii z onyksu i okulary przeciwsłoneczne o niebieskim odcieniu.

– Pan doktor? Jestem Mickey. – Usta rozciągnięte w szerokim uśmiechu.

– Alex Delaware.

– Doktor Delaware?

– Tak.

Przesunęła okulary na czoło, popatrzyła na warstwę kurzu na mojej seville i na to, co miałem na sobie – stare sztruksowe spodnie, wypłowiała robocza koszula, sandały.

Dokonując owej lustracji myślała zapewne: powiada, że jest lekarzem, ale w tym mieście aż się roi od różnych pieprzonych magików. Jeździ cadillakiem, tyle że to ośmioletni rzech. Jeszcze jeden kombinator udający ważniaka. Albo ktoś, kto był ważniakiem i przestał nim być.

– Piękny mamy dzień – powiedziała z ręką na klamce, mierząc mnie wciąż nieufnym spojrzeniem. Rozmowa z obcym mężczyzną na takim odludziu nakazuje ostrożność.

Uśmiechnąłem się, starając się wyglądać na człowieka nieszkodliwego. – Piękny – spojrzałem na dom. W świetle dziennym *déjà vu* było jeszcze silniejsze. Mój własny skrawek miasta duchów. Nawiedzany przez upiory.

Źle odczytała moje milczenie – sądziła pewnie, że dom mi się nie podoba, bo pospieszyła z zapewnieniem:

– Po drugiej stronie jest fantastyczny widok. Naprawdę uroczy, wspaniałe położenie; moim zdaniem teren wybrał jeden z uczniów samego Neutry.

– Interesujące.

– Dopiero wszedł na rynek, panie doktorze. Nie zdążyliśmy nawet dać ogłoszenie do prasy; właśnie, skąd się pan dowiedział?...

– Zawsze lubiłem Nichols Canyon – odparłem. – A dowiedziałem się od przyjaciela, który mieszka w pobliżu.

– Aha. Pan jest doktorem...?

– Psychologii.

– Ma pan wolny dzień?

– Pół dnia. Jeden z nielicznych wolnych poranków.

Zerknąłem na zegarek, udając człowieka liczącego się z każdą minutą. To ją chyba uspokoiło. Nawet się uśmiechnęła.

– Moja siostrzenica chce zostać psychologiem. Bardzo inteligentna dziewczyna.

– Życzę jej powodzenia.

– Mam nadzieję, że nam też się powiedzie, prawda, doktorze?

Wyjęła z torby klucze i podeszliśmy do drzwi, obitych deseczkami jak cała fasada. Po drugiej stronie był mały dziedziniec – kilka roślin w doniczkach, szklane dzwonki wietrzne, które pamiętałem, dzwoniące u progu, nieme w czasie bezwietrznego, upalnego dnia.

Weszliśmy do środka, a ona rozpoczęła z wigorem dobrze przygotowaną mowę.

Udawałem, że słucham, kiwałem głową i przytakiwałem kiedy było trzeba. Wciąż pamiętałem, by podążać za nią, a nie prowadzić – przecież znałem ten dom lepiej niż ona.

Pachniało płynem do czyszczenia dywanów i sosnowym środkiem dezynfekującym. Było czysto i schludnie. Jednak w moim odczuciu wewnątrz to tchnęło grozą – posępne muzeum.

Cały front domu zajmowało jedno pomieszczenie, które było zarazem pokojem dziennym, jadalnią, gabinetem i kuchnią. Kuchnia była kiedyś koszmar: zielony, koloru avocado, zestaw półek, koralowo-czerwone, o zaokrąglonych kantach blaty i plastikowe stołki – kącik do śniadań – wszystko w jednym rogu. Inne meble były z jasnego drewna – pastelowe obicia, pająkowate, z kutego żelaza nogi – coś w rodzaju powojennej taśmowej produkcji, rzeczy, których łatwo się pozbyć. Beżowe ściany obwieszane były marnymi obrazami – jakieś arlekiny i morskie widoki. Na regałach stały książki z dziedziny psychologii. Te same co dawniej.

Nijaki pokój. I ta nijakość kazała patrzeć ku wschodowi, ku ścianie ze szkła tak czystego, jakby go wcale nie było. Tafla szkła z rozsuwanymi drzwiami.

Po drugiej stronie owej szklanej ściany znajdował się wąski, wyłożony terakotą taras z balustradą z białego metalu; a za balustradą kanion – w oczach i w sercu – szczyty gór, niebieskie niebo, bujna zieloność lata.

– To jest coś – powiedziała Mickey Mehrabian wyciągając ramię, tak jakby ta panorama była dziełem jej pędzla.

– Tak, to jest coś.

Wyszliśmy na taras. Aż w głowie mi się zakręciło na wspomnienie tańca owego wieczoru, dźwięku brazylijskich gitar.

„Chcę ci Coś pokazać, Alex”.

W końcu września wróciłem do Los Angeles. Bogatszy o cztery tysiące dolarów, ale samotny jak cholera. Sharon nie było. Pojechała nie zostawiając ani adresu, ani numeru telefonu; nie wysłaliśmy sobie nawet pocztówki. Musiałem być rozgoryczony, i w czasie całej podróży z Zachodu myślałem tylko o niej.

Pojechałem prosto do Curtis Hall. Kierowniczką powiedziała mi, że Sharon wypisała się z akademika i nie wróci na następny semestr. Tu także nie zostawiła ani adresu, ani telefonu.

Odjechałem wściekły i nieszczęśliwy. Oczywiście miałem rację, znęciło ją „słodkie życie”, używała sobie z bogatymi chłopakami, nowymi zabawkami. Nigdy już nie wróci.

Moje mieszkanie wydało mi się jeszcze bardziej obskurne niż zwykle. Unikałem go, starałem się jak najwięcej czasu spędzać w szpitalu, gdzie wciąż nowe zadania pozwalały mi nie myśleć o tamtych sprawach. Wybrałem cały zestaw przypadków, zgłaszałem się na ochotnika na dyżury w Izbie Przyjęć. Trzeciego dnia pojawiła się w moim gabinecie, rozpromieniona i szczęśliwa.

Zamknęła za sobą drzwi. Namiętne pocałunki, pieszczoty. Mruczała, że tak jej było do mnie tęskno, nie wzbraniała się, gdy moje dłonie sięgnęły dalej. I raptem odsunęła się zarumieniona, uśmiechnięta.

– Idziemy na lunch, doktorze?

Zaprowadziła mnie na parking przyszpitalny. Ruszyła w kierunku lśniącego, czerwonego kabrioletu – prosto z taśmy alfa romeo spider.

– Jak ci się podoba?

– Wspaniały.

Wcisnęła mi kluczyki do ręki.

– Prowadź.

Zjedliśmy lunch we włoskiej restauracji przy Los Feliz, słuchaliśmy jakiejś opery i jedliśmy na

deser cannoii. Gdy siedzieliśmy już w samochodzie, powiedziała:

– Chcę ci coś pokazać, Alex – i kazała mi jechać w kierunku zachodnim, do Nichols Canyon.

Wspinaliśmy się podjazdem i po chwili zobaczyłem szary dom, pokryty dachem z otoczków. – Co o tym sądzisz, doktorze?

– Kto tu mieszka?

– Niżej podpisana.

– Wynajęłaś?

– Nie, to mój dom. – Wsiadła z auta i pobiegła w podskokach do drzwi frontowych.

Zdziwiło mnie, że dom jest umeblowany, a jeszcze bardziej, że meble są jakby z poprzedniej epoki – z lat pięćdziesiątych. Obecnie panuje moda na rzeczy naturalne, ekologiczne. Całe to aluminium i plastik, zimne przygaszone kolory są *déclassé*, wyglądają wręcz groteskowo.

Rozglądała się wokół, promieniejąc dumą posiadaczki, czegoś dotykała, coś poprawiała, wreszcie rozsunęła zasłony, za którymi rozciągała się ściana ze szkła. To, co zobaczyłem, pozwoliło mi zapomnieć o aluminium.

W żadnym razie nie była to garsoniera studenta. Pomyślałem: chwileczkę, ktoś urządził ten dom dla niej. Ktoś na tyle stary, że kupił meble z lat pięćdziesiątych.

Kruse? W gruncie rzeczy wciąż nie wiedziałem, jakie ich łączą stosunki...

– Co o tym myślisz, doktorze?

– To jest coś. Jak to podłapałaś?

Była w kuchni, nalewała 7-up do dwóch szklanek. Nadąsała się.

– Nie podoba ci się dom?

– Podoba. Jest fantastyczny.

– W twoim tonie słyszę co innego.

Zastanawiam się po prostu, jak do tego doszłaś. Mówię o pieniądzach. Spojrzała na mnie spode łba, teatralne pochylenie głowy, i odparła głosem Maty Hari:

– Prowadzę podwójne życie.

– Aha.

– Och, Alex, nie miej takiej skwaszonej miny. To wcale nie znaczy, że się z kimś przespałam, i

dlatego dostałam dom.

– Nie posądzam cię o to – powiedziałem chłodno.

– Ale przyszło ci to do głowy, słodki książę?

– Nie. – Patrzyłem na góry. Nad różowo-brązowym horyzontem niebo było blade, wodniste, harmonizowało z kolorami urządzenia domu. – Nie przyszło mi to nawet do głowy. Zaskoczyłaś mnie po prostu. Przez całe lato cię nie widziałem, nie dałaś żadnego znaku życia...

Podowała mi szklankę, położyła dłoń na moim ramieniu.

– Wspaniały dom – powiedziałem. – Nie dorównuje tobie, ale mimo to wspaniały.

Powinnaś się cieszyć.

– Dzięki, Alex. Jesteś taki kochany.

Staliśmy chwilę sącząc napój. Potem rozsunęła drzwi i weszliśmy na taras, biały, wąski, podtrzymywany szklanym uciosem. Jakbyśmy wkroczyli w chmury. Z kanionów unosił się zapach uschniętych krzewów róży. W dali widniał napis HOLLYWOOD, uginający się, kolebiący na wietrze kierunkowskaz dla rujnujących marzeń.

– Jest tu też basen – powiedziała. – Po drugiej stronie.

– Brodzik?

Uśmiechnęła się, oparła o poręcz. Dotknąłem jej włosów, wsunąłem dłoń pod sweterek i masowałem jej ramiona.

Pojękiwała z zadowoleniem, przywarła do mnie i pogładziła mnie po twarzy.

– Tak, powinnam ci chyba wyjaśnić – powiedziała. – Ale to nie takie proste.

– Mam czas – odparłem.

– Naprawdę? – zapytała, nagle podniecona. Odwróciła się, ujęła w dłoń moją twarz. – Nie musisz zaraz wracać do szpitala?

– Do szóstej są same zebrania. Muszę być o ósmej.

– Fantastycznie! Posiedzimy tu trochę i obejrzymy zachód słońca. A potem cię odwiozę.

– Miałaś mi coś wyjaśnić – przypomniałem.

Ale ona już była w pokoju. Po chwili rozległa się powolna brazylijska muzyka – delikatne brzmienie gitar i dyskretna perkusja.

– Zatańczmy – powiedziała. Oplotła mnie ramionami. – W tańcu mężczyzna prowadzi.

Kołysaliśmy się, brzuch przywarł do brzucha, język do języka. Gdy muzyka przestała grać, wzięła mnie za rękę i przez mały hol weszliśmy do sypialni.

Białe meble, blaty ze szkła, lampka w kształcie słupka i niskie, szerokie łóże z czworobocznym, także białym podglówkiem. Nad łóżem dwa wąskie okna pod sam sufit.

Zdjęła buty. Zrzucając swoje zauważyłem coś na ścianach: jabłuszka w ramach narysowane niewprawną, dziecięcą ręką. Ołówek i kredka w kolorowym opakowaniu po płatkach owsianych. Ale wszystko na kosztownym *passe-partout*, za szkłem.

Dziwne, ale nie miałem czasu, by się nad tym zastanowić. Sharon zaciągnęła czarne zasłony i pokój zatonął w mroku. Czułem jej perfumy, czułem jej dłoń na moim kroczu.

– Chodź – powiedziała jakimś dziwnym, nieludzkim głosem i z niesamowitą siłą przywarła do mnie. Padłem na łóżko, a ona usiadła mi na brzuchu i zaczęła mnie z pasją całować.

Obejmowaliśmy się i obracali na wszystkie strony. Usiadła z głową opartą o tył łóżka, z rozłożonymi, wyprężonymi jak struny nogami, ściskając rękoma kolana. Klęczałem przed nią jak w modlitwie i trzymając się ramy łóżka, wbijałem się w nią.

Niewygodna pozycja. Kiedy już było po wszystkim, wysliznęła się spode mnie i powiedziała:

– Teraz ci wszystko wyjaśnię. Jestem sierotą. Moi rodzice nie żyją od ubiegłego roku.

Serce wciąż waliło mi młotem.

– Przykro mi – powiedziałem.

– To byli wspaniali ludzie, Alex. Czarujący, szlachetni i *au'courant*.

Dziwnie beznamiętnie opowiadała o śmierci swoich rodziców, ale wiedziałem, że smutek przybiera różne formy. Najważniejsze, że zaczęła mówić – otworzyła się.

– Ojciec był dyrektorem artystycznym jednego z większych wydawnictw w Nowym Jorku. Mama – dekoratorką wnętrz. Mieszkaliśmy na Manhattanie, przy Park Avenue, mieliśmy dom w Palm Beach, drugi w Long Island, Southampton. Byłam jedynaczką.

Ostatnie zdanie wypowiedziała z naciskiem, uroczyście, jak gdyby brak rodzeństwa był szczególnym powodem do chwały.

– Prowadzili bardzo czynne życie, dużo podróżowali... Ale nie miałam im tego za złe, bo wiedziałam, że mnie kochali. Ostatniego roku wyjechali do Hiszpanii, gdzieś niedaleko Majorki. Wrócili z przyjęcia i ich samochód rozbił się o skały.

Wzięłem ją w ramiona. Była spokojna, rozluźniona, jakbyśmy przed chwilą rozmawiali o

pogodzie. W mroku nie widziałem jej twarzy – wsłuchiwałem się w jej głos, czekałem na jakieś drgnienie, szybszy oddech, jakąkolwiek oznakę smutku... Nic.

– Tak mi cię żal, Sharon.

– Dzięki. Bardzo ciężko to przeżyłam. Dlatego wolałam nic nie mówić – trudno mi było się z tym uporać. Teraz, gdy to racjonalizuję, wiem, że zamykanie się w sobie to najgorszy sposób – prowadzi do nastrojów patologicznych i wywołuje różne objawy. Ale nie mogłam o tym mówić. Próbowałam, ale nie mogłam.

– Nie zadawaj sobie gwałtu. Każdy człowiek ma własny system obronny.

– Tak. To prawda. Tłumaczę ci tylko, dlaczego nie chciałam o tym mówić. I dlaczego w gruncie rzeczy wciąż nie mam na to ochoty.

– Rozumiem.

– Wiem, że rozumiesz. – Pocałunek. – Zachowujesz się wobec mnie bardzo fair.

Pomyślałem o akrobatycznej pozycji, w jakiej uprawialiśmy miłość.

– Naprawdę?

– O Boże, tak. Paul... – urwała.

– Paul?...

– Nie, nic ważnego.

– Paul mnie aprobuje?

– To nie jest tak, Alex. Masz rację, aprobuje. Zawsze mu mówię, jakim jesteś wspaniałym człowiekiem, i on bardzo się cieszy, że znalazłam kogoś odpowiedniego. Lubi cię.

– Przecież on mnie nie zna...

Cisza.

– Lubi cię na podstawie tego, co mu o tobie mówię.

– Rozumiem.

– O co chodzi, Alex?

– Wygląda na to, że dużo rozmawiacie.

Czułem, że wyciąga rękę, szukając mojej. Odnalazła ją, pogładziła i lekko ścisnęła. Tym razem nie zareagowałem. Opuściła dłoń niżej, ujęła mnie za jądra.

– On jest moim doradcą na wydziale. Nadzoruje moje prace seminaryjne. Więc musimy rozmawiać. – Delikatny ruch dłoni. – Nie mówmy o nim więcej, i o nikim innym, dobrze?

– Dobrze. Ale wciąż nie wiem, skąd się wziął ten dom.

– Dom? – powtórzyła zdziwiona. – A, dom. Oczywiście, po prostu go odziedziczyłam. Należał do nich. Do moich rodziców. Oboje urodzili się w Kalifornii, mieszkali tutaj, zanim przenieśli się na Wschód, zanim ja się urodziłam. Byłam jedynaczką, więc dom jest mój. Trzeba było załatwić formalności, mnóstwo papierkowej roboty. Dlatego nie mogłam jechać z tobą do San Francisco – musiałam wszystkiego dopilnować. W każdym razie teraz mam dom i trochę pieniędzy – fundusz powierniczy z lokatą na Wschodzie. Stąd to alfa romeo. Wiem, że wóz jest może zbyt okazały, ale taki wygodny, nie uważasz?

– Fantastyczny.

Mówiła dalej o samochodzie, planowała dokąd moglibyśmy nim pojechać.

A ja myślałem tylko o jednym: o domu. Moglibyśmy zamieszkać tu razem. Zarabiałem teraz sporo, płaciłbym wszystkie należności, pokrywałbym wszystkie wydatki.

– Masz teraz mnóstwo miejsca – powiedziałem pieszcząc jej ucho. – Starczyłoby na dwoje.

– O, tak. Po akademiku trochę się rozluźnię. A ty, kiedy tylko zechcesz, możesz do mnie przyjeżdżać. Będzie nam bardzo fajnie.

– ...Ma odpowiedni metraż, odpowiada dzisiejszym standardom – ciągnęła Mickey Mehrabian. – Wspaniałe możliwości urządzenia wnętrza, kapitalny nabytek, a w cenę wchodzi jeszcze meble. Choć niektóre rzeczywiście już niemodne... może je pan zatrzymać albo sprzedać. Prawdziwa perełka, doktorze.

Przeszliśmy przez kuchnię i mijając niewielki hol, skierowaliśmy się w stronę sypialni. Drzwi do pierwszej były zamknięte. Mickey szła dalej. Ja zaś je otworzyłem i wszedłem do środka.

– Tak, to główna sypialnia.

Zapach środków dezynfekcyjnych był tu jeszcze silniejszy, pomieszany z wonią innych chemikaliów: amoniaku do mycia szyb, płynu owadobójczego, ługu, tworzył toksyczny koktajl. Nie było zasłon, zostały tylko linki i krążki. Ani śladu mebli. Dywan zwinięty – odsłonięta podłoga ze śladami po gwoździach. Za oknami widać było wierzchołki drzew i przewody elektryczne. Żadnego przewiewu, który rozpuściłby tę chemię.

Nie było jabłuszek w ramkach.

Usłyszałem bzyczenie. Ona też. Zaniepokojeni rozejrzeliśmy się wokół.

W samym środku pokoju wirował rój muszek, poruszająca się mgiełka, zmieniająca kształt niczym

ameba.

Określająca miejsce.

Wbrew wysiłkom ludzi, by unicestwić aurę śmierci, owady wiedziały, wyczuwały swoimi prymitywnymi zmysłami, co stało się w tym pokoju. W tym właśnie miejscu.

Przypomniałem sobie słowa Mila: „Kobiety zabijają w kuchni, a umierają w sypialni”.

Mickey Mehrabian uchwyciła moje spojrzenie i źle je zinterpretowała: najwyraźniej sądziła, że po prostu nie lubię owadów w zamkniętym pomieszczeniu.

– Otwarte okna o tej porze roku – powiedziała. – Zajmiemy się tym. Sprzedający ma jak najlepsze chęci, pójdzie na ustępstwa. Nie będzie miał pan na pewno żadnych problemów przy podpisywaniu umowy.

– Dlaczego on czy ona sprzedaje ten dom?

Znowu szeroki uśmiech rozjaśnił jej twarz.

– Ani on, ani ona, mówiąc dokładnie: ono, zrzeczenie. Jest właścicielem wielu dóbr, obraca nimi.

– Spekulanci?

Uśmiech zamarł.

– To brzydkie słowo, doktorze. Inwestorzy.

– Kto tu teraz mieszka?

– Nikt. Najemca niedawno się wyprowadził.

– I zabrał łóżko.

– Tak. Tylko umeblowanie sypialni należało do niej – zdaje się, że to była kobieta. – Zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu: – Zna pan Los Angeles. Ludzie przyjeżdżają, odjeżdżają. Przejdźmy do innych sypialni.

Wyszliśmy z pokoju śmierci.

– Mieszka pan sam, doktorze? – zapytała.

Musiałem się zastanowić nad odpowiedzią.

– Tak.

– A więc jedną sypialnię może pan przeznaczyć na gabinet, nawet gabinet dla pacjentów.

Pacjenci. Wedle notatki w gazecie Sharon przyjmowała pacjentów właśnie tutaj.

Pomyślałem o ludziach, których leczyła. Jej gwałtowna śmierć musiała być dla nich silnym przeżyciem.

I wtedy sobie uświadomiłem, że w jej życiu był ktoś inny. Ktoś, kto przeżył prawdziwy wstrząs.

Poczułem zamęt w głowie. Chciałem jak najszybciej wyjść z tego domu. Oczekałem jednak trochę, pozwoliłem Mickey, by jeszcze parę chwil trzepała językiem, aż wreszcie spojrzałem na zegarek i rzekłem:

– Ohoho, na mnie już czas.

– Zamierza pan złożyć ofertę, doktorze?

– Muszę to przemyśleć. Dzięki za pokazanie mi domu.

– Jeśli nie odpowiada panu lokalizacja, chętnie pokażę panu coś innego. Znów spojrzałem na zegarek.

– Z przyjemnością bym obejrzał, ale nie teraz.

– Możemy się umówić na jakiś inny dzień.

– Jestem bardzo zajęty – powiedziałem. – Zadzwoń, jak znajdę chwilę czasu.

– Dobrze – odparła chłodno.

Wyszliśmy, zamknęła drzwi na klucz. Szliśmy w milczeniu do naszych samochodów. Nim otworzyła drzwi swojego fleetwooda, jakiś szmer zwrócił naszą uwagę – szelest liści, przedzierające się w gąszczu zieleni zwierzęta?

Z krzewów wyskoczył jakiś mężczyzna i biegiem ruszył przed siebie.

– Hej tam! – wykrzyknęła Mickey, starając się zachować spokój; jej poprzednia przesadna ostrożność znalazła teraz potwierdzenie.

Uciekający mężczyzna obejrzał się, spojrzał na nas, potknął się, upadł, wstał.

Młody. Rozczochrany. Dziki wzrok. Usta otwarte jak do krzyku.

Przerażony albo wariat. Albo i to i to.

Pacjenci...

– Brama... – powiedziała Mickey. – Trzeba naprawić. Lepsze zabezpieczenie. Żaden problem.

Popatrzyłem na faceta.

– Nie uciekaj! – zawołałem.

– Co jest? Zna go pan?

Pognał dalej i zniknął za zakrętem. Usłyszałem odgłos włączanego silnika. Pobiegłem na dół. Na końcu podjazdu znalazłem się w chwili, gdy stara zielona furgonetka ruszyła z pobocza. Włączane biegi zgrzytały niebezpiecznie, a od za szybkiej jazdy cały wóz się kołysał. Na drzwiach były jakieś białe litery, ale nie mogłem odczytać napisu.

Wróciłem do swojego samochodu, wsiadłem.

– Kto to? Zna go pan? – zapytała Mickey.

– Jeszcze nie.

Rozdział 9

Staralem się go dopaść, zapaliłem światła i nacisnąłem klakson. Ignorował mnie, blokował całą jezdnię, z prawa na lewo, na pełnym gazie. Gdy próbował zmienić bieg, rozległ się trzask, cała skrzynia zagruchotała. Samochód jechał już na jałowym biegu, zbliżając się ku poboczu, silnik pracował, a facet naciskał gaz z włączonym sprzęgłem. Nagle gwałtownie zahamował i zatrzymał się. Stałem za nim, widziałem go w jego lusterku wstecznym – mocował się z biegami.

Wóz ugrzązał, buksował. Już, już miał ruszyć i znowu nic. Skręt w prawo, udało się, nabrał trochę prędkości z górki, znów hamowanie, lekki poślizg, utrzymał się na prostej.

Przy płotku odgradzającym teren bagnisty chłopak uniósł ręce nad kierownicą. Furgonetka zaczęła się staczać zmieniając kierunek, runęła prosto na ogrodzenie.

Uderzenie nie było silne, nawet błotnik nie doznał uszczerbku. Zahamowałem tuż za nim. Przez chwilę koła mojego samochodu buksowały, silnik zgasł.

Wysiadł z wozu, zanim ja miałem szansę zrobić to samo; chwiał się na nogach, ramiona opuszczone jak u goryla, w jednej ręce butelka.

Zamknąłem, samochód. Chłopak był już przy mnie, kopał w opony mojej sevilli, obiema rękami napierał na drzwiczki. Butelka była pusta. Zamachnął się nią, jakby chciał wybić mi szybę, ale śliskie szkło upadło na ziemię. Schylił się, by ją podnieść, zrezygnował jednak i spojrzał na mnie. Oczy wodniste, podpuchnięte, zaczerwienione.

– Zabiję cię, skurwielu... – Język mu się plątał. Twarz nienaturalnie wykrzywiona. – Na cholere mnie ścigałeś?

Zamknął oczy i zataczając się, uderzył czołem o dach mego samochodu.

Stał przede mną zaawansowany alkoholik z widocznymi objawami wieloletniej choroby. Długoletniej? Ile on mógł mieć lat? Dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy?

Kopał mój wóz, sięgał do klamki, nie trafiał, ledwo trzymał się na nogach. Głupi smarkacz. Gęba młodego buldoga. Niski, ale o silnej budowie, szeroki w barach, opalone ramiona. Włosy rude, sięgające ramion, niechlujne, potargane. Kłaki wąsów i brody nijakiego koloru. Pryszcze na czole i policzkach. Miał na sobie koszulkę bawełnianą, ucięte szorty i tenisówki na gołe nogi.

– Odpieprz się, człowieku – powiedział drapiąc się pod pachą. Ręce miał szorstkie, poznaczone bliznami, brud aż wżarty się w skórę.

Obrócił się na pięcie i ostatecznie tracąc równowagę, wylądował na masce mojego wozu.

Trwał chwilę nieruchomy. Przesunąłem się i wysiadłem z sevilli od strony pasażera. Obserwował mnie, ale nie zmienił pozycji, zamknął oczy, jakby nie miał siły unieść powiek.

Podszedłem do furgonetki. Trzydziestoletni ford, w fatalnym stanie. Nierówny biały napis na drzwiach: DJ. Rasmussen, Stolarka i Oprawa Obrazów. Niżej numer skrzynki pocztowej w Newhall. Z tyłu dwie drabiny, skrzynka na narzędzia i kilka zwiniętych koców.

Wszędzie puste butelki – głównie po gatorade, southern comfort, kilka rodzajów wiaderek do lodu.

Schowałem do kieszeni jego kluczyki, korek paliwa, i stanąłem przy nim.

– Jesteś DiJot?

Lodowate spojrzenie. Śmierdział sfermentowanym jedzeniem i rzygowiną.

– Co tam robiłeś?

Milczenie.

– Składałeś ostatni hołd pani doktor Ransom?

Dobry strzał.

– Ja też – powiedziałem.

– Spierdalaj! – Zionął takim smrodem, że musiałem się cofnąć. Beknął, usiłował poruszyć ręką, ale nie mógł. Zamknął oczy, sprawiał wrażenie człowieka cierpiącego.

– Byłem jej przyjacielem – oznajmiłem.

Znowu beknęcie. Zbierało mu się na wymioty. Cofnąłem się kilka kroków. Czekałem.

Skurcz wymiotny i nic. Otworzył oczy, spojrzał tępym wzrokiem przed siebie.

– Byłem jej przyjacielem – powtórzyłem. – A ty?

Jęknął. Znowu nim szarpnęło i znowu nie zwymiotował.

– DiJot?

– Och, człowieku... przestań... – Rzygnął.

– Co mam przestać?

– Przestań... wciskać mi... kit.

– Nie zamierzam – powiedziałem. – Chcę się tylko dowiedzieć, dlaczego umarła.

Głośniejszy jęk. Zwilżył wargi językiem, chciał splunąć i ślina pociekła mu z ust.

– Jeśli była dla ciebie kimś więcej niż przyjaciółką, to jest ci jeszcze ciężiej – powiedziałem. –

Smierć terapeuty, to jak strata matki.

– Odwal się!

– Była twoją lekarką, DiJot?

– Odpieprz się. – Próbował stanąć na nogi, uwalił się na mnie. Obrzydliwie miękki jak kupa lachmanów, kawał chłopca, ale pijacko bezwładny, ani odrobiny siły. Wziąłem go za podbródek i bez trudu odsunąłem. Przytrzymując za ramię posadziłem go na ziemi.

Pokazałem mu kluczyki i korek paliwa.

– Co, do cholery...

– Nie jesteś w stanie prowadzić. Nie oddam ci, póki nie potrafisz tego założyć.

– Odczep się ode mnie... – wyraźnie spuścił z tonu.

– Pogadaj ze mną, DiJot, i zniknę ci z oczu.

– O czym?

– O tym, jak doktor Ransom cię leczyła.

– Ooo... ja nie wariat – gwałtowny ruch głową.

– Co cię z nią łączyło?

– Złe czasy.

– Ból?

– No... niech to szlag! – przygryzł wargę na samo wspomnienie.

– Doktor Ransom pomogła ci zwalczyć ból?

Skinął głową. – I później... – Uczynił słaby wysiłek, by odebrać mi kluczyki. – Dawaj!

– I co później?

– Dawaj mi to cholerstwo, powiedziałem!

– Pomogła ci, i co później?

– Ty gnojku! – wrzasnął. Postronki żył nabrzmiały mu na szyi, z dzikim wyrazem twarzy zamierzył się na mnie, próbował wstać, ale nie mógł oderwać tyłka od ziemi.

Nacisnąłem właściwy guzik. To dało mi do myślenia.

– Do jasnej cholery, nie „później”! Nie, kapujesz? – Ramiona mu opadły, zaklął, znowu próbował wstać, przygięło go do ziemi.

– Kto cię polecił pani doktor Ransom?

Cisza.

Powtórzyłem pytanie.

– Odpieprz się!

– Jest pewno więcej pacjentów, którzy czują się tak samo jak ty.

Wykrzywił się w uśmiechu i ledwo zauważalnie potrząsnął głową.

– Uhuum.

– Jeśli ustalimy, kto ich polecił, dotrzemy do nich. Będziemy mogli im pomóc.

– Nie... Kurwa... Olewam to...

– Ktoś powinien się z nimi skontaktować, DiJot.

– Ja... Ty dymałeś Robin Hood?

– Byłem jej przyjacielem – powiedziałem. – Jestem psychologiem, tak jak ona.

Rozejrzał się dokoła, jakby po raz pierwszy zainteresowało go miejsce, w którym właśnie się znajdował.

– Gdzie ja jestem?

– Na poboczu drogi. Niedaleko od domu doktor Ransom.

– A co ty za jeden? Dymałeś... Robin Hood?

– Byłem jej przyjacielem. Kto cię do niej skierował?

– Doktor.

– Jaki doktor?

– Carmen.

– Doktor Carmen?

Zachichotał. – Carmeny... doktor.

– Doktor pani Carmen?

Skinienie głową.

– Kim jest Carmen?

– Odpieprz się.

– Jak brzmi nazwisko doktora pani Carmen? Jeszcze parę uników i powiedział:

– Bev... Hills... Żyd... Wein?

Nie wiedziałem, czy podaje nazwisko, czy prosi o drinka. – Wein?

– Doktor Weinpierdolnicki.

– Wein i dalej? Weinstein? Weinberg?

– Ogród, garden, gdzie rośnie, rośnie, rośnie.

– Weingarden? Doktor Weingarden?

– Wielki pyskaty Żyd.

Zgiął się wpół i upadł, leżał na boku.

Traciłem go. Ani drgnął. Zapisałem numer skrzynki pocztowej widniejący na drzwiach furgonetki, a potem wszedłem do środka i zacząłem przerzucać butelki; w jednej był jeszcze alkohol, więc go wylałem. Następnie wypuściłem powietrze z dwóch opon, wyciągnąłem koc z tylnego siedzenia, i między dwa pozostałe wsunąłem kluczyki. Korek paliwa umieściłem na samym dnie skrzynki z narzędziami. Pomyślałem, że jeśli się w tym wszystkim połapie, będzie znaczyło, że jest na tyle trzeźwy, by prowadzić. Przykryłem go kocem, niech się wyśpi.

Miałem zamiar odszukać go za kilka dni. Chciałem go namówić, by zgłosił się do jakiegoś terapeuty i rozpoczął leczenie.

Jak mi Bóg miły, potrzebował pomocy. Trwając w alkoholowym transie, zdolny jest do wszystkiego – tacy jak on szybko tracą kontrolę nad sobą, po czym wyładowują agresję za pomocą pięści, metalowych kastetów, żyłek, łańcuchów i broni.

Nie był typowym pacjentem zgłaszającym się po poradę do psychologa. Skąd Sharon go wytrzasnęła? Ilu leczyła jemu podobnych? I jak wielu z nich, ludzi o słabej konstrukcji psychicznej, stanęło na skraju przepaści, ponieważ ona nie mogła już im pomóc?

Przypomniałem sobie nagłą wściekłość Rasmussena, gdy zapytałem go, co się wydarzyło po kuracji uśmierzającej ból.

Brzydkie podejrzenie, którego nie mogłem niczym uzasadnić, które jednak z uporem wracało: że jego stosunki z Sharon wykraczały poza rutynowy układ między lekarzem a pacjentem. Że nie bez kozery ciągnęło go do tego domu. Szukał czegoś? W jakim celu?

Idąc śladem Trappa...?

Czyżby spała z jednym i drugim? Uświadomiłem sobie, że na owym przyjęciu pomyślałem to samo o starym szejku. A Kruse?

Może mnie poniosło – bujna wyobraźnia? Zakładając, że prawdziwe więzi emocjonalne nie istnieją, wszystko sprowadza się do seksu.

Milo by powiedział: myśli natrętne, chłopie.

Natrętne czy nie, nie mogłem się od nich opędzić.

Wróciłem do domu o wpół do drugiej i zastałem wiadomość od Maury Barman, owej reporterki-praktykantki, oraz od detektywa Delano Hardy'ego. Telefon do niego był zajęty, więc wziąłem książkę telefoniczną, by znaleźć numer doktora Weingardena z Beverly Hills.

Było dwóch Weingardenów, Isaac przy Bedford Drive, i Leslie – przy Roxbury.

Isaac Weingarden odebrał telefon osobiście. Głos miał starczy, o miękkim, uprzejmym brzmieniu i wiedeńskim akcencie. Gdy dowiedziałem się, że jest psychiatrą, nie miałem wątpliwości, że chodziło mi o tego właśnie człowieka, oznajmił jednak, że nie zna ani Sharon, ani Rasmussena.

– Jest pan czymś wyraźnie zdenerwowany, młody człowieku. Może mógłbym coś dla pana zrobić?

– Nie, dziękuję.

Zatelefonowałem do gabinetu Leslie Weingardena. Recepcjonistka powiedziała:

– Doktor przyjmuje właśnie pacjenta.

– Proszę mu łaskawie powiedzieć, że dzwonię w sprawie doktor Sharon Ransom.

– Nie jemu, tylko jej. Proszę zaczekać.

Przez parę minut słuchałem Mantowanego.

– Pani doktor jest bardzo zajęta – usłyszałem. – Prosi o numer i zadzwoni do pana.

– Mogłaby mi pani powiedzieć, czy doktor Weingarden kierowała pacjentów do doktor Ransom?

Chwila wahania.

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko tyle, co pani doktor mi mówi.

Kwadrans po drugiej zadzwoniłem do Dela Hardy'ego.

– Czołem, Del. Jak leci?

– Huk pracy. Im większy upał, tym więcej. Masz coś do mnie?

Opowiedziałem mu o Sharon, o tym, że widziałem, i gdzie, Cyrila Trappa. O tempie, w jakim chcą sprzedać dom.

– Trapp? To interesujące. – Lecz w jego głosie nie brzmiała nawet nuta zainteresowania. Mimo iż był jednym z kilku detektywów obdarzających Mila sympatią, owa życzliwość nie przerodziła się w przyjaźń. Trapp to było brzemie, którego nie chciał dźwigać razem z innymi.

– Nichols Canyon to dzielnica Hollywoodu – powiedział. – Więc nawet nie wiem, kto się nią zajmuje. W tym natłoku pracy trzeba szybko załatwiać sprawy; często wystarcza rozmowa telefoniczna.

– Do tego stopnia?

– Nie zawsze tak się dzieje – powiedział. – Różnie bywa.

Milczałem.

– Mówisz, że byłeś jej przyjacielem?

– Tak.

– Mogę popytać ludzi.

– Bardzo ci będę zobowiązany, Del. Według doniesień prasy nie odnaleziono nikogo z członków jej rodziny. Wiem, że miała siostrę-bliźniaczkę. Zetknąłem się z nią przed sześcioma laty.

„Byłam ich ukochaną jedynaczką”. Kolejna niespodzianka.

– Jak miała na imię?

– Shirlee, przez dwa „e”. Była niepełnosprawna, przebywała w Glendale, ośrodku opiekuńczym. South Brand, około mili za Galerią.

– Jak się nazywa ta miejscowość?

– Byłem tam tylko raz, nie zauważyłem tablicy.

– Sprawdzę to. – Zniżył głos. – Powiem ci coś na temat Trappa. Nie angażowałby się w zwykłe samobójstwo. Był tam prawdopodobnie w jakichś sprawach osobistych, może chce kupić dom.

Niektórzy faceci od nas, wprowadzeni w handel nieruchomościami, próbują kupować posiadłości po zaniżonej cenie. Niezbyt to ładne, ale wiesz, jakie jest życie.

– Donald Trump miejsca zbrodni – stwierdziłem.

– Ty to powiedziałaś. – Roześmiał się. – Jeszcze jest jedna możliwość – czy ona była bogata?

– Pochodziła z zamożnej rodziny.

– A więc jest to możliwe. Ktoś nacisnął kilka guzików. Wysoko postawiona osoba wyrzekła jedno słowo, by rzecz jak najszybciej i bez rozgłosu zatuszować. Trapp jest w kontakcie z komendą Hollywood, może ktoś o tym wiedział i poszedł mu na rękę.

– Kumoterstwo?

– Wszystko się może zdarzyć. A bogacze bardzo uważają, by różne ich problemy nie ujrzały światła dziennego. Dziś każdy może kupić na spłaty mercedesa. Narkotyki, ciuchy i tak dalej. Ale prywatność – to w tym mieście tabu.

– Okay – rzekłem. I cały czas się zastanawiałem, kto też mógł nacisnąć te guziki. I nagle myśl o tym starym szejku na przyjęciu. Nie była to sprawa, którą chciałbym podzielić się z Delem, więc podziękowałem mu za rozmowę.

– Niech to zostanie między nami – powiedział. – Rozmawiałaś ostatnio z Milem?

– Nie. A ty? Zdaje się, że powinien wrócić w poniedziałek.

– Nie rozmawiałem. Według służbowego grafiku – w poniedziałek powinien być w biurze. Jak go znam, to będzie w mieście już w sobotę albo w niedzielę; połazi, powęszy. Im szybciej, tym lepiej. Hołota grasuje po ulicach.

Gdy odłożyłem słuchawkę, przejrzałem mapkę okolicy w poszukiwaniu ośrodka opiekuńczego w South Brand; nic takiego jednak nie znalazłem. Po chwili zatelefonował Mal Worthy, przypominając mi o jutrzejszym przesłuchaniu. Wyraźnie zaniepokoił się stanem mojego ducha i zapytał, czy wszystko jest ze mną w porządku.

– Jestem w świetnej formie, bracie, na pewno lepszej niż Mason.

– Peny Mason był mięczakiem. Miej się na baczności przed takimi typami. *Ř propos*. Denise oświadczyła stanowczo, że koniec z sesjami Darrena. Chce wziąć sprawę w swoje ręce. Ale to wbrew zasadom. Zdaniem specjalistów dziecko wymaga opieki lekarskiej do końca życia.

– A jak wygląda sytuacja z Darrenem?

– Bez zmian.

– Wy tłumacz jej, żeby kontynuowała leczenie. Mal. Jeśli chce zmienić lekarza, polecę jej kogoś.

– Uparła się, ale spróbuję. Osobiście bardziej mnie interesuje to, czy ona ma co włożyć do garnka.
Ciao.

Przez następnych parę godzin przygotowywałem się do składania zeznań. Przerwał mi dzwonek telefonu.

– Doktor Delaware? Tu Maura Bannon. Z „Los Angeles Times”.

Miała głos trzynastoletniej dziewczynki, a akcent Nowej Anglii sprawiał, że każde zdanie kończyła znakiem zapytania

– Dzień dobry pani.

– Dostałam pański telefon od Neda Biondiego. Tak się cieszę, że pana zastałam. Moglibyśmy się spotkać?

– W jakim celu?

– Czy pan dobrze znał panią doktor Ransom? Pomyślałam sobie, że mógłby mi pan coś powiedzieć o jej przeszłości.

– Obawiam się, że nic z tego.

– Ojej! – Wyglądało na to, że jest kompletnie załamana.

– Pani doktor Ransom nie widziałem już od wielu lat.

– Ojej, a ja sądziłam... Zamierzałam przedstawić możliwie pełny obraz jej osoby, ustalić pewne zależności. Dla przybliżenia jej sylwetki. To bardzo dziwna historia – psycholog odbiera sobie życie, wydarzenie z gatunku człowiek gryzie psa, nieprawdaż? Ludzie chcieliby się dowiedzieć, dlaczego to zrobiła.

– Czy wiadomo pani coś więcej niż to, co zamieściła pani w swoim pierwszym artykule?

– Nie, panie doktorze. A czy jest coś więcej? Bo jeśli tak, to bardzo bym chciała się o tym dowiedzieć. Wydaje mi się, że policja trzyma mnie na dystans. Dzwoniłam do nich kilkakrotnie, prosiłam o telefon i cisza. – Chwilę milczała. – Chyba nie traktują mnie poważnie. „Prywatność – nienaruszalne tabu”.

– Chętnie bym pani pomógł – powiedziałem. – Ale naprawdę nie mam nic do dodania.

– Pan Biondi mówił...

– Jeśli pan Biondi wysnuł fałszywy wniosek z moich słów, to bardzo mi przykro.

– Trudno. Ale gdyby pan o czymś się dowiedział, proszę dać mi znać.

– Dobrze.

– Dziękuję panu, doktorze.

Koniec rozmowy. Bezmyślnie wyglądałem przez okno i czułem się przeraźliwie samotny.

Smutek lubi towarzystwo – im bardziej odczuwa go ktoś inny, tym lepszym jest kompanem. Zadzwoiłem do informacji i poprosiłem o podanie numeru DJ. Rasmussena. Nie było go wśród abonentów. Jedyna osoba, która mogłaby mnie skontaktować z tym młodym pijakiem to doktor Leslie Weingarden, więc zatelefonowałem do jej gabinetu.

– Właśnie miałam do pana dzwonić – powiedziała recepcjonistka. – Pani doktor przyjmie pana po ostatnim pacjencie, około szóstej.

– Właściwie nie chodzi mi o wizytę – wyjaśniłem. – Chciałem porozmawiać z nią przez telefon.

– Powtarzam tylko jej słowa, panie doktorze.

– Dobrze, będę o szóstej.

Rozdział 10

Gabinet Leslie Weingarden mieścił się w dwupiętrowym budynku, zbudowanym z czerwonej klinkierowej cegły. Architektura typowa dla Kalifornii: wapienny gzyms, jaskrawozielone zasłony w oknach. Lokalizacja – w samym centrum obwodu medycznego Beverly Hills. Wnętrze obudowane dębową boazerią, wykładzina podłogowa w kolorze zielono-różowym. Na liście lokatorów mnóstwo lekarzy-dentystów, a także sporo psychologów.

Jedna tabliczka przykuła mój wzrok: „Kruse, numer mieszkania 300”. Zrozumiałe – świetny punkt.

Gabinet Leslie znajdował się na parterze, w tylnej części budynku. Tabliczka informowała o jej specjalizacjach. Poczekalnię miała niewielką, ale przytulnie urządzone – szarobiała tapeta, krzesła o miękkich, wyściełanych siedzeniach i nowoczesne duńskie stoliki; reprodukcje na ścianach, kwiat doniczkowy w koszu ze słomy. Pusto, lecz niedawna obecność pacjentów pozostawiła liczne ślady: papierki po gumie do żucia, na stoliku pusta buteleczka po aspirynie i kawałek zużytej tekturki do piłowania paznokci; otwarte pisma rozrzucone na krzesłach.

Zapukałem w szklane przepierzenie i po paru sekundach szyba się rozsunęła. Pięćdziesięcioletnia kobieta o hiszpańskiej urodzie zapytała:

– Słucham pana?

– Jestem doktor Delaware. Umówiłem się z doktor Weingarden.

– Powiem jej, że pan czeka.

Czekałem pół godziny, przerzucając magazyny, zastanawiając się, czy do któregoś z nich pisywał Paul Kruse. O wpół do siódmej drzwi gabinetu otworzyły się i wyszła z nich przystojna kobieta około trzydziestki.

Drobna, bardzo szczupła, o popielatych krótkich włosach, pociągłej twarzy i badawczym spojrzeniu. Długie srebrne kolczyki. Miała na sobie białą jedwabną bluzkę, luźne szare spodnie, na nogach – szare zamszowe pantofelki. Na szyi – fonendoskop. Pod nim ciężki złoty łańcuch. Rysy miała regularne, delikatne, migdałowe oczy. Jak oczy Robin. Dyskretny makijaż. Niepotrzebnie.

Wstałem.

– Pan Delaware? Jestem doktor Weingarden. – Wyciągnęła do mnie rękę. Dłoń miała suchą, drobną, ale uścisk mocny. Ujęła się pod boki. – Czym mogę panu służyć?

– Pani kierowała pacjentów do psychologa, pani Sharon Ransom. Nie wiem, czy pani słyszała... ale ona nie żyje. W niedzielę popełniła samobójstwo. Chciałbym z panią o niej porozmawiać. Chcę, by pomogła mi pani nawiązać kontakt z jej pacjentami.

Ani śladu zaskoczenia.

– Tak, czytałam w gazetach. A co pana łączyło z nią i z jej pacjentami?

– Znałem Sharon, a poza tym... jestem psychologiem. – Wręczyłem jej swoją wizytówkę.

Uważnie się jej przyjrzała.

– A więc pan doktor Delaware. Bea nic o tym nie wspominała. – Włożyła wizytówkę do kieszeni.

– Czy pan leczył doktor Ransom?

To pytanie zdziwiło mnie.

– Nie.

– Bo na pewno wymagała leczenia. – Zmarszczyła brwi. – Skąd to zainteresowanie jej pacjentami?

– Dzisiaj natknąłem się na jednego z nich, D J. Rasmussena. Podał mi pani nazwisko.

Drgnęła lekko, ale nic nie powiedziała.

– Był pijany – rzekłem. – W sztok. Właściwie nieprzytomny. Podejrzewam, że nie da sobie rady ze sobą, może się kompletnie załamać. Niewykluczone, że dopuści się jakiegoś przestępstwa. Utrata terapeuty to jak utrata któregoś z rodziców. Ciekawi mnie, ilu innych jej...

– Tak, tak, oczywiście. Rozumiem. Ale wciąż nie wiem, co pan ma do tego. Dlaczego pan się tak angażuje.

Szukałem w myślach wiarygodnej wersji odpowiedzi.

– Prawdopodobnie wynika to z mojego poczucia winy. Znaliśmy się z Sharon bardzo dobrze, jeszcze z uczelni. Nie widziałem jej całe lata i ubiegłej soboty spotkaliśmy się przez przypadek na przyjęciu. Wyglądało, że jest czymś bardzo wzburzona, i prosiła mnie o rozmowę. Umówiliśmy się. Po głębszym zastanowieniu następnego ranka odwołałem spotkanie. I właśnie tej nocy odebrała sobie życie. Wciąż mi się wydaje, że może mogłem ją powstrzymać... A teraz, w miarę moich sił, chciałbym zapobiec innym nieszczęściom.

Bawiła się fonendoskopem, przyglądając mi się uważnie.

– Mam nadzieję, że mówi pan szczerze. Nie pracuje pan dla jakiegoś adwokata-hieny?

– Niby dlaczego miałbym to robić?

Uśmiechnęła się.

– Chce pan zatem, żebym skontaktowała pana z tymi pacjentami, których do niej kierowałam?

– I jeszcze... chciałbym, żeby podała mi pani wszelkie informacje...

Uśmiech zastygł na jej twarzy.

– Z tym będą trudności, doktorze. To kiepski pomysł – nie dlatego, że było dużo tego typu skierowań. Po prostu nie mam pojęcia, który z lekarzy jeszcze ją polecał swoim pacjentom. Choć istotnie jest mi ich żal... – Urwała, jakby szukała stów. – Sharon Ransom była... My obie... Ale proszę mi przedtem powiedzieć, dlaczego odwołał pan to spotkanie?

– Nie chciałem się angażować... Była kobietą... skomplikowaną.

– To prawda. – Spojrzała na zegarek, zdjęła z szyi fonendoskop. – Dobrze, zadzwonię i sprawdzę pana wiarygodność. Jeśli wszystko co pan mówi jest prawdą, to możemy porozmawiać. Ale najpierw muszę coś zjeść.

Zostawiła mnie samego w poczekalni.

– Okay – powiedziała po powrocie, nie zaszczycając mnie spojrzeniem.

Poszliśmy do pobliskiej kawiarni przy Brighton. Zamówiła sandwicza z tuńczykiem z rusztu i herbatę ziołową. Ja natomiast mocowałem się z gąbczastą jajecznicą.

Jadła szybko, nie celebrując tej czynności. Na deser zamówiła gorącą leguminę z owocami – zjadła połowę i odstawiła talerz. Wytarła usta i odezwała się po chwili.

– Gdy powiedziano mi, że ktoś dzwonił w sprawie Sharon, byłam, szczerze mówiąc, zaniepokojona. Miałam z nią problemy. Od dawna już nie pracujemy razem.

– Jakie problemy?

– Sekundę. – Wezwała kelnerkę i zamówiła kolejną herbatę. Ja – kawę. Wziąłem od kelnerki rachunek.

– Płacę za wszystko – powiedziałem.

– Zakup informacji.

Uśmiechnąłem się.

– Mówiliśmy o problemach, jakie pani z nią miała.

Potrząsnęła głową.

– Człowieku. Nie wiem, czy powinnam o tym mówić.

– Dyskrecja zapewniona – obiecałem.

– Prawnie? Jakby co, to pan jest moim terapeutą.

– Jeśli tak pani wygodniej.

– Mówi pan jak prawdziwy psychol. Tak, tak jest mi wygodniej. Rozmawialiśmy tu o sprawach ogólnych – problemach natury etycznej. – Na chwilę zawiesiła głos.

– Nie miałam możliwości temu przeciwdziałać, ale niech pan wytłumaczy ławie przysięgłych, że lekarz niczego nie zaniedbał. Gdy adwokat-krętacz dorwie coś takiego, trafi do każdego lekarza, który kiedykolwiek wyprawił pacjenta na tamten świat.

– Ostatnia rzecz, jaka by mi przyszła do głowy, to montowanie procesu.

– Też tak uważam, gdy o mnie chodzi – tak energicznie położyła ręce na stole, że aż solniczka podskoczyła do góry. – Cholera jasna! Omotała mnie! Na samą myśl o niej dostaję szału. Przykro mi, że umarła, ale nie mogę zmusić się do rozpaczki z tego powodu. Po prostu mnie wykorzystała.

Łyknęła herbatę.

– Poznałam ją w zeszłym roku. Weszła, przedstawiła się i zaprosiła mnie na lunch. Wiedziałam o co jej chodzi – chciała, żebym napędzała jej pacjentów. W końcu nie ma w tym nic złego. Miałam wówczas za sobą rok z hakiem praktyki i spory udział w zabieganiu o względy różnych ludzi. Moje pierwsze wrażenie było pozytywne. Inteligentna, bystra... same plusy. Rekomendacje – bez zarzutu. W dodatku przyjmowała tutaj, w tym samym gmachu, a to zawsze bardzo ułatwia kierowanie pacjentów do odpowiednich lekarzy. Moi pacjenci to przeważnie kobiety, a większość z nich wolała mieć do czynienia z terapeutką niż z terapeutą, więc postanowiłam spróbować. Miała tylko jedną wadę – była za ładna. Zastanawiałam się, czy kobiety nie czują się zagrożone. Ale orzekłam w duchu, że myślę w kategoriach seksu, i zaczęłam kierować do niej pacjentów, dzięki Bogu, niewielu. Mam małą praktykę.

– Czy jej gabinet znajdował się na drugim piętrze? Obok gabinetu doktora Kruse'a?

– Mieli wspólny gabinet. Tylko że jego nigdy nie było, przyjmowała sama. Zaciągnęła mnie kiedyś do siebie – mała poczekalnia i poradnia. Była asystentką psychologiczną Kruse'a, czy coś w tym rodzaju, miała licencję.

– Certyfikat asystenta.

– Tak czy siak. Wszystko koszerne.

Asystentka psychologiczna. Stanowisko tymczasowe, obliczone na wzbogacenie doświadczeń nowego doktora filozofii pod nadzorem licencjonowanego psychologa. Sharon obroniła doktorat sześć lat temu, miała więc sporo czasu na uzyskanie pełnych uprawnień. Zastanawiałem się, dlaczego ich nie otrzymała. Co robiła przez te sześć lat?

– Kruse napisał jej wspólną rekomendację – powiedziała doktor Weingarden. – Był członkiem fakultetu na uniwersytecie, więc wyobrażałam sobie, że ma to jakieś znaczenie. Naprawdę sądziłam, że wszystko jest w porządku. Zdębiałam, gdy stało się inaczej.

– Ma pani jeszcze to *résumé*!

– Nie, nie mam.

– Pamięta pani może jakieś szczegóły?

– Tylko to, co panu powiedziałam. Dlaczego pan pyta?

– Chciałbym wiedzieć, jak ona panią omotała?

Spojrzała na mnie ostro.

– Mam rozumieć, że nie wie pan, o co chodzi?

– Pomyślałbym, że chodzi o złe prowadzenie się – czyżby spała ze swoimi pacjentami? Ale przecież większość pani pacjentów to kobiety. Czy była lesbijką?

– Lesbijką? – Roześmiała się. – Że też coś podobnego mogło panu przyjść do głowy. Szczerze mówiąc, nie wiem, jaka ona była. Ja wychowałam się w Chicago. I nic w tym mieście nie może mnie zdziwić. Ale co to, to nie – nie spała z kobietami. O ile mi wiadomo. Chodzi o mężczyzn. Mężów pacjentek. Kochanków. Mężczyzna z własnej woli nie pójdzie do lekarza, ktoś musi mu wszystko załatwić. Więc to kobieta stara się o skierowanie, umawia z lekarzem... Moje pacjentki prosiły mnie o takie skierowania, polecałam wtedy Sharon. Z wdzięczności dla mnie przesyiała się z ich mężami.

– Jak pani do tego doszła?

Popatrzyła na mnie z niesmakiem.

– Sprawdzalam nieuregulowane rachunki i stwierdziłam, że większość kobiet, których mężów wysłałam do niej, nie płaci i w dodatku nie odpowiada na upomnienia. Nastąpiło wyraźne załamanie linii prostej, bo poza tym wszystko się zgadzało, saldo bliskie ideału. Zaczęłam więc wydzwaniać do dłużników, żeby się dowiedzieć, o co chodzi. Te kobiety nie chciały nawet ze mną rozmawiać. Ale dwie się zgodziły. Pierwsza wyłożyła kawę na ławę. Jej mąż odbył z Sharon kilka sesji – miał stesy związane z pracą. Przeprowadzała terapię relaksacyjną. O to właśnie chodziło. Po paru tygodniach zadzwoniła do niego proponując kolejną sesję. Bezpłatnie. Kiedy stwierdził, co ona planuje – ostro wzięła się do rzeczy, zaczęła się rozbierać, na litość boską, tu, w gabinecie – wziął nogi za pas, wrócił do domu i opowiedział o wszystkim żonie. Była na mnie wściekła, krzyczała, że wstydu nie mam, polecając pacjentom taką wredną kurwę jak tamta. Z drugą poszło mi gorzej. Bez przerwy płakała.

Potarła skronie, wyjęła z torebki aspirynę i popiła ją herbatą.

– Aż nie do wiary, prawda? Darmowe kolejne wizyty. Czekam tylko na jeszcze jeden kamyk do tego ogródka, kie-dy-zo-ba-czę-pa-na-w-są-dzie. Wiele nocy przez to nie przespałam.

– Przykro mi.

– Mnie bardziej. A teraz pan mi tu opowiada, że Rasmussen to strzęp człowieka. Coś wspaniałego!

– Był jednym z nich?

– O, tak, prawdziwy książe. To właśnie jego dziewczyna płakała w słuchawkę. Moja pacjentka, bliżej nieokreślone dolegliwości na tle psychosomatycznym – wymagała opieki. Staralam się lepiej ją poznać. Rozmawialiśmy o jej mężu – opowiedziała mi o nim szczerze – że pije, zażywa narkotyki, pomiata nią. Wiele czasu jej poświęciłam, próbując jej uświadomić, że stoi na przegranej pozycji, że powinna od niego odejść. Oczywiście nie odeszła. Jednostka pasywna, wychowana przez ojca brutalą, która lgnie do takich samych mężczyzn... Potem powiedziała mi, że ten drań miał jakiś wypadek i wróciły mu bóle, i myśli o wniesieniu sprawy do sądu. Jego adwokat zasugerował mu, że powinien udać się do psychologa. Pytała, czy znam kogoś takiego. Doszłam do wniosku, że jest szansa, by pomóc mu na tę jego głowę, i skierowałam go do Sharon; opisałam jej uprzednio wszystkie jego problemy. Człowieku, ona mu pomogła! W jaki sposób pan go znalazł?

– Dziś rano kręcił się koło jej domu.

– Koło jej domu? Dała swój adres takiemu świrowi? Co za idiotka!

Przyjmowała tam pacjentów.

– Prawda, była o tym wzmianka w prasie. Tak, to by się nawet zgadzało, bo jak tylko naraiłam jej kilku tych facetów, wyprowadziła się stąd. Jak brzmi pańska diagnoza Rasmussena?

– Pewien rodzaj zaburzeń osobowości. Ze skłonnościami do przemocy.

– Innymi słowy facet przysparzający kłopotów. Świetnie. Emocjonalnie zaburzony, wróg kobiet, bez autokontroli. I już ma adwokata. Fantastyczna historia.

– Nie wniesie sprawy o seksualne napastowanie – powiedziałem. – Rzadko który mężczyzna decyduje się na coś takiego. Zbyt krępujące.

– Ucierpiałby na tym wizerunek silnego mężczyzny? Może pan ma i rację. Jak na razie nikt nie zrobił żadnego ruchu. Co nie znaczy, że to się nie stanie. A nawet jeśli oszczędzone mi będzie demonstrowanie żalu po niej w sądzie, to i tak mam zepsutą opinię, co ma znaczne finansowe reperkusje – jeden pacjent szepnął coś drugiemu i fama poszła w świat. W dodatku żadna osoba, która zrezygnowała z moich usług, nie zapłaciła ani grosza za konsultacje – całkiem poważna kwota. Nie stoję jeszcze tak mocno na nogach, by takie pieniądze mnie nie obeszły – na West Side lekarzy jest w bród. A gdzie pan przyjmuje?

– Tu, na West Side, ale ja zajmuję się dziećmi.

– Aha. – Zabębniła palcami o krawędź filizanki. – Uważa pan pewno, że jestem cholernie zachłanna, prawda? Pan, uosobienie altruizmu i bezinteresowności... Doktor z powołania. A ja dbam tylko o własną skórę. I wcale nie mam sobie tego za złe, bo jak sama o siebie nie zadbam, to nikt nawet palcem nie kiwnie w mojej obronie. Przyjechałam z Północnego Zachodu, by w Harbor General zrobić internę, i poznałam najwspanialszego faceta na świecie, a po trzech tygodniach

wyszłam za niego za męż. Autor scenariuszy filmowych, zbierał w szpitalu materiał do miniseriale. Miłość od pierwszego wejrzenia. I w jednej chwili stałam się właścicielką domu w Playa Del Rey. Zawsze razem, póki śmierć nie rozłączy... Powiedział, że zaimponowało mu to, że jestem lekarką. Przysięgał, że nigdy mnie nie opuści. A po dwóch latach mnie opuścił. Wyczyścił do połysku nasze konto bankowe i pojechał do Santa Fe z jakąś cizią. Dwa lata trwało, zanim się z tego wykaraskałam. – Wzrok miała utkwiony w filizance, jakby próbowała odgadnąć przyszłość z wzoru herbacianych płatków. – Harowałam jak dziki osioł, by osiągnąć to, co mam. Ale nie po to, by jakaś nimfomanka wszystko zepsuła. Nie, nikt mnie nie namówi do troszczenia się o mężczyzn, których ona młóciła. Są dorośli, dadzą sobie radę. Zresztą na pewno są z siebie teraz szalenie dumni – utwierdziła ich w przekonaniu, że twarde z nich ogiery. Niech pan się także w to nie miesza, doktorze. A ona niech spoczywa w spokoju.

Podniosła głos. Ludzie zerkali na nasz stolik. Zauważyła to i dalej mówiła już ciszej.

– Jakim cudem ktoś taki jak ona mógł zostać terapeutą? Czy na waszej uczelni nie przeprowadzacie weryfikacji?

– Z rzadka – powiedziałem. – Jaka była jej reakcja, gdy wszystko wyszło na jaw? I stanęła z panią twarzą w twarz?

– Niesamowita. Popatrzyła na mnie tymi swoimi niebieskimi oczyma jak pierwsza naiwna, jakby nie wiedziała, o co mi właściwie chodzi, a potem zaczęła te swoje uhum, uhum, jakbym to ja była jej pacjentem. Kiedy jej przerwałam, powiedziała przepraszam, i wyszła. Ani słowa wyjaśnień, nic. Nazajutrz zobaczyłam, jak wynosi z gabinetu swoje rzeczy.

– Kruse jako jej opiekun ponosi za nią prawną odpowiedzialność. Rozmawiała pani z nim o tym?

– Usiłowałam. Dzwoniłam do niego chyba ze dwadzieścia razy. Nawet wsuwałam mu kartki pod drzwi. Bezskutecznie. Byłam bardzo zdenerwowana, myślałam o wniesieniu oskarżenia. W końcu postanowiłam się nie przejmować, machnęłam ręką.

– Tabliczka z nazwiskiem wciąż wisi. Praktykuje tu?

– Tak jak już mówiłam, nigdy go tu nie widziałam. A kiedy go tak usilnie poszukiwałam, zapytałam portiera, i on też nigdy go nie widział. Głowę daję, że Kruse wynajął ten gabinet z myślą o niej. Na pewno też go młóciła.

– Dlaczego pani tak mówi?

– Ponieważ to była jej funkcja. Ona ich, nie oni ją. Prawdopodobnie wymłóciła sobie również doktorat.

Zamyśliłem się. Miałem mętlik w głowie.

– Nie zamierza pan już chyba zbierać dowodów – zapytała.

– Nie – odparłem, podejmując w tej chwili decyzję. – To, co od pani usłyszałem, rzuca na sprawę

całkiem inne światło. Ale trzeba coś zrobić z tym Rasmussenem. To bomba z opóźnionym zapłonem.

– Niech sam się wysadzi w powietrze.

– A jeśli komuś zrobi krzywdę?

– Jak pan temu zapobiegnie?

Nie znałem odpowiedzi.

– Stawiam sprawę jasno – powiedziała. – Mnie to nie dotyczy, odcinam się od tego całego świństwa, nie moje zmartwienie. Rozumie pan?

– Rozumiem.

– Mam nadzieję. Jeśli to, co pan usłyszał, spróbuje pan wykorzystać, by ujawnić moje z nią kontakty, wyprę się w żywy kamień. Karty wszystkich pacjentów, których do niej kierowałam, zostały zniszczone. Jeśli wymieni pan moje nazwisko, oskarżę pana o naruszenie zaufania.

– Proszę się nie przejmować. Przyjąłem do wiadomości pani stanowisko w tej materii.

– Cieszę się. – Wyrwała mi z ręki rachunek, wstała. – Zapłacę za siebie, dziękuję.

Rozdział 11

Kolejne darmowe wizyty. Wróciło to, o czym tak bardzo starałem się zapomnieć.

W drodze do domu zastanawiałem się, ilu też mężczyzn padło ofiarą Sharon i jak długo trwał ten proceder. Nie potrafiłem sobie teraz wyobrazić, by istniał w jej życiu mężczyzna, który nie uprawiał z nią seksu.

Trapp. Szejk. D.J. Rasmussen. Czy to ofiary?

Szpecially ciekawił mnie Rasmussen. Był z nią bardzo związany, nawet po jej śmierci. To tłumaczy, dlaczego tak boleśnie przeżył jej stratę. Dlaczego upił się do nieprzytomności i odbył pielgrzymkę do jej domu.

„Jakim cudem ktoś taki jak ona mógł zostać terapeutą? Czy nie weryfikujecie kandydatów?”

Próbowałem to wszystko zweryfikować. Związałem się z nią, bo byłem młody, naiwny, nie znałem kobiet. Jednak przed trzema dniami już mnie gnało, już chciałem ją znowu zobaczyć. Gotów do ponownego startu... Właśnie...

Fakt, że odwołałem spotkanie, był małym pocieszeniem. Co by się stało, gdyby potem zadzwoniła i ciepłym uwodzicielskim głosem powiedziała, jaki to jestem fantastyczny? Czy potrafiłbym się oprzeć? Odrzucić szansę wysłuchania o jej problemie, który być może potrafiłbym rozwiązać?

Nie znałem uczciwej odpowiedzi. Co źle świadczy o mojej zdolności klasyfikowania zjawisk. Także o sprawności mego umysłu. Pograżyłem się w wątpliwościach dotyczących mojej osoby, z czego, jak sądziłem, zdołałem się wyzwolić za pomocą treningów terapeutycznych. Jakim prawem mam kształtować życie innych, skoro własnego nie potrafię? Jak mogę być autorytetem dla dzieci, skoro nie mam i nie wychowuję własnych?

Doktor Ekspert. Na jaką cholereę ta cała blaga?

Pamiętam ciepły, macierzyński uśmiech kobiety przeprowadzającej ze mną ćwiczenia. Ada Small. Łagodne brzmienie głosu. Brooklyński akcent. Dobre oczy. Bezwarunkowa akceptacja; nawet surowe upomnienia osładzała tym swoim ciepłem.

„...Wymagasz stałej kontroli, Alex. To nie jest nieszczęście, ale na pewnym etapie trzeba będzie to przeanalizować...”

Wiele jej zawdzięczam; byłem zadowolony, że przydzielono mnie do niej. Teraz jesteśmy kolegami, polecamy sobie wzajemnie pacjentów, dyskutujemy o nich. Tyle że minęło sporo czasu, odkąd przestałem być jej pacjentem. A może powinienem zgłosić się do Ady?

Sharon nie miała tyle szczęścia co ja. Ją przydzielono Paulowi Kruse. Twardziel-narkoman uprawiający pornografię. Przy sprzyjających okolicznościach sadysta-biczownik. Mogę sobie tylko

wyobrazić, jak wyglądały ich ćwiczenia terapeutyczne. Trwała przy nim długo, już po uzyskaniu stopnia, zrezygnowała z licencji, by zostać jego asystentką.

Uprawiała swój proceder w gabinecie, który on jej wynajął. Wiele to mówi zarówno o nim, jak i o niej, i ciekawi mnie, kto w ich wzajemnych stosunkach nadawał ton, kto rządził.

Wyzyskiwacze. Ofiary.

Ale ostatnią ofiarą była ona sama. Dlaczego?

Zmuszałem się, by przestać o tym myśleć, przywoływałem w pamięci twarz Robin. Nieważne, że ostatnio sprawy przybrały taki obrót, liczy się to, co kiedyś łączyło nas naprawdę.

Po powrocie do domu zadzwoniłem natychmiast do San Luis Obispo.

– Halo?

– Cześć, Robin.

– Cześć, Alex. Mama mówiła mi o twoim telefonie. Kilka razy próbowałam się do ciebie dodzwonić.

– Ja się dodzwoniłem. Ucieliśmy sobie miłą pogawędkę.

– Ojej, bardzo cię umęczyła?

– Wszystko odbyło się w normie. Najważniejsze, jak ona odnosi się do ciebie.

– Da radę wytrzymać – roześmiała się.

– Czy aby na pewno? Sądząc po głosie, jesteś wykończona.

– Owszem, ale ona nie ma z tym nic wspólnego. Z Aarona zrobił się niezły krzykacz. Terry całe noce jest na nogach. Wymieniamy się. Nigdy w życiu nie byłam tak zmęczona.

– Hm. Może zatęskniłaś do dawnych dobrych czasów i wrócisz?

Cisza.

– Tak czy owak – zacząłem – pomyślałem, że zadzwonię i dowiem się, co się u ciebie dzieje.

– Trwam w zawieszaniu. A u ciebie, Alex?

– Pierwszorzędnie.

– Naprawdę?

– A uwierzysz, że pół na pół?

– Co z tobą, Alex?

– Nic.

– Sprawiasz wrażenie, jakby coś się na ciebie zważyło.

– Nic takiego. Ten tydzień jest dla mnie ciężki.

– Przykro mi. Tak cierpliwie znosisz...

– Nie – zaprzeczyłem. – To nie ma nic wspólnego z tobą.

– O? – powiedziała i nie wyczułem w jej głosie ulgi, raczej urazę.

– Moja koleżanka ze studiów popełniła samobójstwo.

– Straszne!

– Tak.

– Dobrze ją znałeś?

– Nie – odrzekłem po chwili. – Nie za dobrze.

– Taka wiadomość zawsze człowiekiem wstrząsa.

– Co powiesz na zmianę tematu?

– Oczywiście. Powiedziałam coś nie tak?

– Nie, w żadnym razie. Po prostu nie chcę o tym mówić.

– Rozumiem.

– Chyba już cię uwolnię od siebie.

– Nigdzie mi nie spieszo.

– Okay.

Okazało się jednak, że nie mamy już więcej o czym mówić i po odłożeniu słuchawki czułem wewnętrzną pustkę. Wypełniłem ją wspomnieniami o Sharon.

Mijała druga jesień i wciąż byliśmy kochankami, w pewnym sensie. Gdy udawało mi się ją dopaść, zawsze mówiła tak, zawsze miała mi do powiedzenia mnóstwo miłych rzeczy, zawsze starała się czegoś ode mnie nauczyć. Szeptała mi coś do ucha, masowała kark, rozkładała nogi przede mną z taką swobodą, jakby poprawiała makijaż, powtarzając, że jestem jej chłopakiem, jedynym mężczyzną

w jej życiu. Ale spotkać ją nie było łatwo. Rzadko bywała w domu i nigdy nie zostawiała żadnych o sobie wiadomości, co wcale nie oznaczało, że stawałem na głowie, żeby ją odnaleźć. W szpitalu pracowałem pięćdziesiąt godzin tygodniowo, a wieczorami przyjmowałem prywatnych pacjentów, by uzyskać pieniądze na dom. Stale byłem zajęty, rozwiązując problemy bliźnich, ignorując własne.

Parę razy wpadłem do niej niezapowiedziany, jadąc od strony Jalmii, po to tylko, by pocałować klamkę – szary dom zamknięty, parking pusty. Dałem spokój tym próżnym wysiłkom i przez kilka tygodni nie widzieliśmy się w ogóle. Lecz którejś soboty późnym wieczorem, stojąc na światłach przy Bulwarze Zachodzącego Słońca, po pełnych udręki godzinach spędzonych z rodzicami potwornie zniekształconego noworodka, zapragnąłem nagle wypłakać się na czyimś ramieniu. Niczym gołąb domowy zawróciłem na północ, w stronę Bulwaru Hollywoodzkiego, skąd skręciłem na Nichols Canyon. Wjechałem podjazdem na górę i oczy moje ujrzały czerwone alfa-romeo.

Drzwi od frontu były otwarte. Wszedłem.

W salonie paliły się światła, ale było pusto. Zawołałem ją po imieniu. Cisza. Powtórzyłem. To samo.

Zajrzałem do sypialni, bo przebiegł mi przez głowę cień podejrzenia, może ona jest z mężczyzną? Prawie tego chciałem.

Ale była sama. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, kompletnie naga, oczy zamknięte, jakby medytowała.

Tyle razy wchodziłem w jej ciało, lecz po raz pierwszy ujrzałem je niczym nieprzystłonięte. Była bez skazy, niewiarygodnie piękna. Powstrzymałem się przed dotknięciem jej, szepnąłem: – Sharon...

Nie drgnęła.

Przyszło mi na myśl, że może zastosowała autohipnozę. Słyszałem, że Kruse był doskonałym hipnotyzerem. Czy udzielał jej prywatnych lekcji?

Sprawiała jednak wrażenie raczej nawiedzanej niż wprawionej w trans – zmarszczone brwi, przyspieszony, płytki oddech. Ręce jej drżały. Zauważyłem, że w prawej coś trzyma.

Mała czarno-biała fotografia, model staroświecki, o ząbkowanych brzegach.

Podszedłem bliżej, żeby zobaczyć zdjęcie. Dwie małe, ładne czarnowłose dziewczynki, dwu-, może trzyletnie. Identyczne bliźniaczki o kędziorach Shirley Temple siedziały obok siebie na drewnianej ogrodowej ławce – błękit nieba i czarne jak granit góry w tle. Góry jak z pocztówki, doskonałe tło dla fotografa.

Bliźniaczki były upozowane, miały uroczyście miny. Zbyt uroczyście jak na swoje lata. Ubrane w identyczne kowbojskie ubranka – skórzane spodnie, frędzle, błyskotki, a w rączkach – identyczne stożki z lodami. Dokładna kalka, z tą tylko różnicą, że jedna trzymała lody w prawej rączce, druga – w lewej.

Lustrzane bliźniaczki.

Rysy miały wyraziste, buzie dojrzałych kobiet.

Sharon razy dwa.

„Byłam jedynaczką swoich rodziców”.

Kolejna niespodzianka.

Spojrzałem na nią, dotknąłem jej nagiego ramienia, spodziewając się zwykłej w takich wypadkach żarliwej gotowości. Lecz była zimna, oschła, zadziwiająco niematerialna.

Pochyliłem się i pocałowałem ją w kark. Podskoczyła, krzyknęła, jakby coś ją ukąsiło. Waląc na oślep pięściami padła na łóżko, nogi rozłożone szeroko – karykatura seksualnego przyzwolenia – dyszała ciężko, wpatrywała się we mnie szeroko rozwartymi oczyma.

– Sharon...

Patrzyła na mnie jak na wampira. Usta miała uchylone w bezgłośnym krzyku.

Fotografia upadła na podłogę. Podniosłem ją i zobaczyłem napis na odwrocie. Męski charakter pisma:

„Ciche współpracownicy. S i S”.

Znowu spojrzałem na bliźniaczki.

– Nie! – wrzasnęła, podrywając się z miejsca. – Nie, nie! Dawaj! To moje! Dawaj!

Wyciągnęła rękę. Jej wściekłość była niepohamowana, piekielna transformacja. Oszołomiony rzuciłem zdjęcie na łóżko.

Chwyliła je, przycisnęła do piersi, uniosła się na czworakach, zrobiła kilka ruchów w stronę zagłówek i wyprostowała się. Wolną ręką zakresliła symboliczną granicę między nami, włosy miała splecione. Mitologiczna Meduza. Opadła na kolana, kołysząc się z boku na bok, jej wielkie piersi huśtały się tym samym rytmem.

– Sharon, co się dzieje...?

– Zostaw mnie! Zmiataj stąd!

– Kochanie...

– Idź już! Wynoś się! Zostaw mnie!

Pot spływał strumieniami po jej ciele. Na śnieżnobiałej skórze pojawiły się czerwone plamy,

jakby płonęła od wewnątrz.

– Sharon...

Syknęła na mnie, a potem zaczęła kwilić i skuliła się w pozycji embrionalnej; przez cały czas przyciskała do piersi zdjęcie; unosiło się wraz z jej ciężkim oddechem. Postąpiłem krok do przodu.

– Nie! Odejdź! Wynoś się stąd!

W jej oczach czaiła się zbrodnia.

Wyszedłem z pokoju, wybiegłem z domu, wstrząśnięty, upokorzony, oszołomiony.

Nie ulegało wątpliwości, że to, co było między nami, już nie wróci. Nie wiedziałem, czy to dobrze, czy źle.

Rozdział 12

W środę rano byłem już w Beverly Hills, na ostatnim piętrze wysokościowca, w biurach Trentona, Worthy'ego i La Rosy, gdzie miałem złożyć zeznanie. Siedziałem w sali konferencyjnej obudowanej boazerią z różanego drzewa, ozdobionej abstrakcyjnymi obrazami, z rzędami foteli wyściełanych kremowo-żółtą skórą i stołem w kształcie piłki futbolowej.

Obok mnie Mał, prezentujący się fatalnie w źle skrojonym, srebrzystym, jedwabnym ubraniu, z pięciodniowym zarostem i włosami opadającymi na ramiona. Za nami, na sztalugach z różanego drewna, stała tablica, obok na półce z bydlęcej skóry – pojemnik Mała na teczkę. Po drugiej stronie stołu siedziała protokolantka sądowa, przed nią maszyna do stenografowania, dalej siedmiu, nie, ośmiu adwokatów.

– Towarzystwo ubezpieczeniowe przysłało trzech – szepnął mi Mał do ucha. – To ci trzej...

Spojrzałem na nich. Młodzi, ponurzy, w garniturach w prążki.

Ich rzecznikiem był wysoki mężczyzna tuż po trzydziestce, przedwcześnie wyłysiały, o nazwisku Moretti. Miał wysuniętą dolną szczękę z dołkiem pośrodku, szerokie bary, wdzięk kaprała. Jedna z sekretarek Mała podała kawę i roladę w czekoladzie. Przełykając kęs ciasta Moretti uznał za wskazane poinformować mnie, że w Stanford specjalizował się w psychologii. Rzucił nazwiskami sławnych profesorów, usiłował bezskutecznie nawiązać fachową dyskusję, obserwując mnie bacznie znad filiżanki.

Gdy odczytywałem swój raport, przesunął się na sam brzeg fotela. A kiedy skończyłem, od razu zabrał głos. Nikt nie miał nic przeciwko temu. Niczym stado wilków wybrali przywódcę i czekali, aż zada pierwszy cios.

Przypomniał mi, że jestem zobowiązany mówić prawdę, tak jak w sądzie, że za fałszywe zeznania grozi mi kara. Następnie wyjął z teczek gruby jak książka telefoniczna plik fotokopii artykułów i zademonstrował prawdziwy show – rozłożył papiery na stole, po czym przesuwając je, sortował, zaginał rogi. Podniósł do góry jakąś kartę i powiedział:

– Chciałbym panu coś przeczytać, doktorze.

– Proszę bardzo.

– Ja nie pytam o pozwolenie – uśmiechnął się.

– Tak tego nie odebrałem.

Uśmiech zniknął. Mał kopnął mnie pod stołem. Ktoś zakaszłał. Moretti spojrzał na mnie znacząco, po czym włożył oktagonalne okulary bez oprawek, odchrząknął i zaczął czytać. Gdy skończył, zwrócił się do mnie:

– Zna pan to, doktorze?

– Znam.

– Pamięta pan, co to takiego?

– Wstęp do artykułu, jaki opublikowałem w „The Journal of Pediatrics” w osiemdziesiątym pierwszym roku. Chyba latem, w sierpniu

Sprawdził datę, bez komentarza.

– A czy pamięta pan treść tego artykułu?

– Owszem.

– Może pan powiedzieć kilka słów?

– Opisuję badania, jakie przeprowadziłem od siedemdziesiątego siódmego do osiemdziesiątego roku w Zachodnim Szpitalu Pediatricznym, Były sponsorowane przez Państwowy Instytut Zdrowia Psychicznego i miały na celu analizę psychologicznego przystosowania dzieci obciążonych stresem jaki przynosi przewlekła choroba.

– Czy pańskie badania miały uzasadnienie?

– Moim zdaniem tak.

– Pańskim zdaniem. Proszę nam coś opowiedzieć o owych uzasadnionych badaniach, kładąc szczególny nacisk na metodologię.

– Przeprowadziłem kilka testów na grupie chorych dzieci i kontrolnej grupie dzieci zdrowych. Obie grupy były porównywalne, jeśli idzie o pochodzenie społeczne, stan materialny rodziców, liczbę osób w rodzinie. Między obiema grupami nie stwierdziłem zasadniczej różnicy.

– Nie stwierdził pan zasadniczej różnicy pod względem psychologicznego przystosowania?

– Tak jest.

Moretti spojrzał na protokółantkę.

– Doktor mówi szybko. Czy pani za nim nadaża?

Skinęła głową.

I znowu do mnie:

– Mając na uwadze tych spośród nas, którzy nie rozumieją psychologicznego żargonu, prosiłbym o wyjaśnienie, co oznacza owa „zasadnicza różnica”?

– Grupy były statystycznie niewyróżnialne. Przeciętny wynik okazał się zbieżny.

– Przeciętny?

– Średni, pięćdziesiąt procent. Matematycznie rzecz ujmując – najlepszy wskaźnik typowości.

– Tak, oczywiście, ale co to właściwie oznacza?

– Dzieci przewlekłe chore mogą mieć pewne problemy, ale choroba nie musi powodować trwałych zaburzeń psychologicznych.

– Chwileczkę – powiedział Moretti kładąc dłoń na stosie dokumentów. – Nie zauważyłem tu wzmianki o jakichkolwiek problemach, panie doktorze. Zacytujmy pana konkluzję – chore dzieci nie wykazują odstępstw od normy.

– Tak, jednakże...

– Stwierdził to pan wyraźnie. – Uniósł w górę kilka kartek, odnalazł tę właściwą, zaznaczył palcem odpowiednie miejsce. – Tutaj, tabela numer trzy. „Skala pobudliwości według Spielbergera, skala pewności siebie według Rosenberga, skala przystosowania według Achenbacha, wszystko – cytuję jeszcze raz – mieści się w granicach normy”. A to znaczy: chore dzieci nie są bardziej znerwicowane, niedostosowane i neurotyczne, nie mają większego poczucia zagrożenia niż ich zdrowi koledzy czy koleżanki, tak to się przedstawia, doktorze?

– Brzmi to jak polemika – powiedział Mal. – A my zmierzamy do ustalenia faktów.

– Quasi-fakty w najlepszym wypadku – rzekł Moretti. – To jest psychologia, a nie matematyka.

– To pan zacytował artykuł, panie mecenasie – przypomniał Mal.

– Raport pańskiego świadka, panie mecenasie, wydaje się sprzeczny z opublikowaną przez niego pracą.

– Życzy pan sobie, bym uzasadnił swoje stanowisko? – zapytałem Morettiego.

Zdjął okulary, odchylił się na krześle i powiedział z półuśmiechem:

– Jeżeli pan raczy...

– Proszę przeczytać fragment polemiczny – powiedziałem. – Szczególnie trzy ostatnie akapity. Wyliczyłem kilka problemów dotyczących chorych przewlekłe dzieci – muszą się zmagać z życiem, bólem, niedogodnościami dnia codziennego, muszą przerywać naukę, muszą uporać się z odrzuceniem ich przez społeczeństwo oraz nadopiekuńczością rodziców. Generalnie jednak rzecz ujmując, dzieci te dobrze dają sobie radę, co nie znaczy, że problemy te nie istnieją.

– Fragment polemiczny – powiedział Moretti. – Aha. To ten, gdzie badacze bawią się w domysły. Ale z pańskiego założenia, z pańskiej statystyki wynika coś innego. Doprawdy, doktorze...

– Innymi słowy – przerwał mu Mal, zwracając się do mnie – pana teza, doktorze, da się następująco streścić: chore dzieci, po przebytych urazach, stoją przed ogromem wyzwań – życie nie szczędzi im okrucieństwa, ale niektóre z nich potrafią sobie poradzić.

– Zgadza się.

Mal prześliznął się wzrokiem po stole, unikając spojrzenia Morettiego. – Nie ma powodu, żeby karać dziecko za to, że dobrze sobie radzi w życiu, prawda, panowie?

– Kto jest tutaj świadkiem? – warknął Moretti wymachując kserokopią.

– Nie ma powodu, by karać dziecko za to, że radzi sobie ze swoim furazem – ciągnął Mal.

– Uraz? – zapytał Moretti. – W artykule nie ma nawet wzmianki o dzieciach z urazem. Pisze pan o dzieciach przewlekłe chorych, chronicznie. Darren Burkhalter to zupełnie inny przypadek. Nie ma postępujących bólów ani zniekształconego ciała, odpada więc wiele stresujących czynników.

Pozwolił sobie na szeroki uśmiech.

Dla niego była to gra. Pomyślałem o małych chłopcach szalejących po zaułkach i powiedziałem:

– Słusznie pan zauważył. Istnieje różnica pomiędzy dziećmi przewlekłe chorymi i dziećmi po urazie. Dlatego też zastanawiałem się, z jakiego powodu ten fragment z mojego artykułu raczył pan zacytować.

Na twarzach kilku adwokatów pojawił się uśmiech.

– *Touché* – szepnął mi Mal do ucha.

Jeden z adwokatów towarzystwa ubezpieczeniowego szeptał coś do Morettiego. Ten wyraźnie nie był zadowolony, ale słuchał dalej z udaną obojętnością, po czym odsunął na bok kserokopię.

– W porządku, doktorze, porozmawiajmy o wczesnodziecięcym urazie. Pański wniosek, o ile rozumiem, sprowadza się do tego, że Darren Burkhalter, ponieważ przeżył wypadek samochodowy, do końca życia nie pozbędzie się lęku.

– Źle mnie pan zrozumiał – powiedziałem.

Moretti zaczerwienił się, uniósł w górę brwi i cicho gwizdnął.

– Doktorze...

– Oto jak brzmi moja diagnoza: podczas całego okresu obserwacji chłopca wykazywał on klasyczne symptomy pourazowe, typowe dla dziecka w jego wieku. Kłopoty ze snem, nocne koszmary, fobie, agresja, nadaktywność, napady złego humoru, okresy wzmożonej nieakceptacji. Jak twierdzą jego matka i opiekunka, żadne z tych zachowań nie zdarzały się wcześniej. Zdrowy rozum podpowiada więc, że wymienione problemy mają związek z wypadkiem, choć nie mogę tego wprost

udowodnić. Czy problemy te przerodzą się w przewlekły uraz, trudno wyrokować, choć zagrożenie jest wielkie, jeśli psychoterapia nie będzie kontynuowana. W dodatku Darren jest opóźniony w mówieniu – parę miesięcy poniżej średniej. W jakim stopniu to wynik urazu, nie sposób stwierdzić, ale to sprawa godna zastanowienia w związku z przyszłością chłopca.

– Istotnie, wszelkie diagnozy ostateczne są wręcz niemożliwe – powiedział Moretti. – W fachowej literaturze podkreśla się, że inteligencja jest zdeterminowana genetycznie. Iloraz inteligencji ojca określa iloraz inteligencji dziecka – Katz, Dash i Ellenberg, 1981 rok.

– Jego ojciec nie może już być testowany na IQ – powiedział Mal.

– Domagałem się zatem, by owemu testowi została poddana matka, pani Burkhalter, ale pan, panie Worthy, odmówił mojej prośbie.

– Przeżyła głęboki wstrząs, panie mecenasie.

– Nieważne – powiedział Moretti. – Zawsze możemy wyciągać wnioski na podstawie faktów. Jak wiemy, państwo Burkhalter nie ukończyli szkoły średniej. Pracowali dorywczo. To by świadczyło, że jakość kodu genetycznego tej rodziny jest znacznie poniżej przeciętnej. Nie przypuszczam zatem, by Darren wyrósł ponad przeciętność. A pańskim zdaniem, doktorze?

– Nie jest to takie proste – powiedziałem. – Iloraz inteligencji rodziców lepiej niż inne czynniki określa IQ dziecka, jednakże ta metoda pozostawia sporo do życzenia. Dopuszcza się około dwudziestu procent wyników zaprzeczających owej tezie, Katz, Dash i Ellenberg piszą o tym w oparciu o badania z roku osiemdziesiątego trzeciego. Jeden do pięciu, panie Moretti.

– Jest pan hazardzistą, doktorze?

– Nie. I dlatego wziąłem tę sprawę.

Protokółantka uśmiechnęła się.

Moretti zwrócił się do Mala:

– Domagam się, panie mecenasie, by przypomniał pan swemu świadkowi o właściwym zachowaniu się.

– Proszę uznać, doktorze, że został pan pouczony – powiedział Mal, starając się ukryć uśmiech. Błysnął białą mankietów i spojrzął na zegarek. – Lecimy dalej?

Moretti włożył okulary i przebiegł wzrokiem kilka dokumentów.

– Doktorze... – zaczął i urwał, jakby w przewidywaniu kontrataku. – Nie chce pan chyba powiedzieć, że gdyby nie ten wypadek, Darren Burkhalter zostałby fizykiem nuklearnym?

– Nie sposób powiedzieć, kim mógłby zostać, ani kim zostanie – odparłem. – Obecnie zaś fakty przedstawiają się następująco: w wyniku ciężkiego psychicznego urazu ma zakłócenia w mowie

poniżej średniej jego równolatków i przeżywa ciężki stres.

– A jak wyglądała sytuacja z jego mówieniem przed wypadkiem?

– Jak twierdzi matka chłopca, zaczynał właśnie mówić. Jednak po urazie...

– Jego matka – powiedział Moretti. – A pan, doktorze, opiera się na jej relacji.

– W powiązaniu z innymi danymi.

– Takimi jak wywiad z opiekunką chłopca?

– Owszem.

– Ta opiekunka jest dla pana wiarygodnym świadkiem?

– Sprawia wrażenie takiej osoby i ma dobry kontakt z Darrenem. Mówiła, że to rodzina bardzo zgrana, kochająca się. Szczególnie ojciec interesował się...

– Dobrze, porozmawiajmy o ojcu. Gregory Joe Burkhalter miał kryminalną przeszłość. Wiedział pan o tym, doktorze?

– Tak, wiedziałem. Skazany za drobną kradzież, przed kilkoma laty.

– Drobną kradzież, i większą, doktorze. Siedział w więzieniu.

– Jaki to ma związek? – zapytał Mal Worthy.

– Taki, mecenasie, że pana ekspert, opierając się na opiniach kogoś, kto nie byłby uznany w sądzie za godnego eksperta, usiłuje stworzyć wrażenie, że ojciec chłopca przyczynił się w ogromnej mierze do rozwoju intelektualnego syna – dlatego jego śmierć jest niepowetowaną stratą w sensie duchowym i materialnym. A tak naprawdę był kryminalistą bez wykształcenia...

– Czy według pana, mecenasie, dzieci oplakują tylko wykształconych rodziców?

Zignorował moje pytanie.

– ...W gruncie rzeczy liczne dane wskazują na ubóstwo emocjonalne i socjalne w tym domu.

Mówił jeszcze chwilę, podnosząc głos, zwiększając tempo – wyraźnie płonął żądzą walki. Mal podjął wyzwanie.

Przelewanie z pustego w próżne. A prawdę niech szlag trafi. Zaczynało to do mnie docierać, i przerwałem im, podniosłem głos, by się przedrzeć przez ten ich prawniczy bełkot.

– Mecenasie Moretti, jest pan klasycznym przykładem tego, jak niedostatek wiedzy może okazać się niebezpieczny.

Moretti uniósł się z fotela zaskoczony, po czym rozsiadł się na nim wygodnie i ukazując zęby w uśmiechu, zapytał: – Przechodzi pan do ofensywy, doktorze?

– Mieliśmy się na tym spotkaniu skoncentrować na faktach. Jeśli życzy pan sobie wysłuchać, co mam do powiedzenia, proszę bardzo, Jeśli natomiast upaja się pan swoim krasomównstwem, to szkoda mojego czasu.

Moretti cmoknął głośno.

– Panie mecenasie Worthy, jeśli to jest przedsmak jego zachowania w sądzie, to będzie pan miał kupę kłopotów.

Mal nic nie odpowiedział. Zapisał na kartce: „Czyżbym stworzył potwora?”

Nie uszło to uwagi Morettiego.

– Czy tę kartkę należy wciągnąć do rejestru, panie mecenasie?

– Tak sobie gryzmołę – odparł Mal i zaczął rysować gołą niewiastę.

– Rozmawialiśmy o urazach dzieciństwa – powiedziałem do Morettiego. – Czy jeszcze raz mam przedstawić swoje stanowisko w tej sprawie?

Moretti postarał się o minę szczerze ubawionego człowieka. – Może pan przedstawić, jeśli ma pan coś jeszcze do dodania.

– Mam mnóstwo do dodania wobec fałszywych wniosków, jakie wyciągnął pan z mego raportu. Darren Burkhalter tkwi w głębokim pourazowym stresie, który z łatwością może przejść w stan chroniczny, co wywoła spustoszenie w osobowości chłopca. Krótkie seanse terapii zabawowej oraz udzielane matce konsultacje dają pewne efekty, ale wskazane jest dłuższe leczenie. – Tu zwróciłem się do innych adwokatów: – Nie twierdzę, że konsekwencje są nieuniknione, lecz nie mogę tego wykluczyć. Żaden ekspert by sobie na to nie pozwolił.

– Na litość boską! – wykrzyknął Moretti. – Przecież to dziecko ma dwa i pół roku!

– Dwadzieścia sześć miesięcy.

– Co za różnica! Gdy zdarzył się wypadek, miało osiemnaście miesięcy. I pan twierdzi, że zezna pan pod przysięgą, iż dwudziestosześcioletni chłopak może być psychicznie chory z powodu wypadku samochodowego, który przeżył w niemowlęctwie?

– Otóż właśnie, tak zamierzam zeznawać. Sceneria wypadku, który spowodował uraz, była tak wyrazista, tak krwawa, że wniknęła do podświadomości dziecka.

Moretti parsknął śmiechem.

– Co to jest podświadomość, doktorze? Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– Mimo to pan też ją ma, mecenasie. Tak jak ja i wszyscy tu zgromadzeni. Mówiąc najprościej – podświadomość jest przechowalnią przeżyć i doświadczeń człowieka, tych, których nie chcemy ujawniać. Kiedy zaburza się nasz system obronny, wieko skrzyni przechowalni się otwiera i wysypują się z niej głęboko skrywane marzenia, fantazje, irracjonalne, a nawet autodestrukcyjne zachowania, nazywane przez nas objawami. Podświadomość jest konkretem, panie mecenasie. To to, dzięki czemu pan marzy o wygranej. Znaczna część motywacji, jakie panem kierowały, gdy wybierał pan zawód adwokata.

Nie wiedział co powiedzieć. Udawał obojętność, ale oczy miał rozbiegane, nozdrza wzdęte, a usta zaciśnięte tak mocno, że zmarszczki pojawiły mu się nad wargami.

– Dziękuję za tę wnikliwą analizę, doktorze. Proszę przysłać mi rachunek – choć sądząc po kwocie, jaką pan obciążył pana Worthy’ego, nie wiem, czy będę w stanie go uregulować. A na razie przejdźmy do wypadku...

– Określenie „wypadek” nie nazywa tego, co przeżył Darren Burkhalter. Słowo „nieszczęście” byłoby bardziej stosowne. W chwili zdarzenia dziecko spało w samochodzie. Pierwsze, co zobaczyło po obudzeniu, była odcięta od tułowia głowa ojca o nie zastygłych jeszcze rysach – przeleciała przez oparcie przedniego siedzenia i wylądowała tuż przy chłopcu.

Kilku adwokatów wstrząsnęło się ze zgrozą.

– Zabrakło parę cali, a upadłaby prosto na chłopczyka – ciągnąłem. – Darren pomyślał widocznie, że to jakaś zabawka, bo jej dotknął. Gdy cofnął rączkę i zobaczył, że jest cała we krwi, dotarło do niego, co to jest – dostał napadu hysterii. I trwał w tym przez pięć pełnych dni i nocy, panie mecenasie, wrzeszcząc „tata”, i nic nie mogło go uspokoić.

Przerwałem, żeby ten obraz zapadł w świadomość słuchaczy.

– Wiedział, co się stało – ciągnąłem. – Odgrywał tę scenę, ilekroć był w moim gabinecie. Jest już na tyle duży, że zapamiętuje. Jeśli pan sobie życzy, mecenasie, mogę zacytować dane statystyczne na ten temat. I nie przestanie pamiętać tylko dlatego, że pan sobie tego życzy.

– Utrwała pan w nim pamięć o wypadku, każąc mu wciąż przeżywać to na nowo – powiedział Moretti.

– Pan twierdzi, że psychoterapia pogarsza jego stan. Że należy po prostu zapomnieć o wszystkim albo udawać, iż nic się nie wydarzyło?

– Podwójne *touché* – szepnął Mal.

W oczach Morettiego zapaliły się iskierki.

– Pana ocena wymaga dokładnego uzasadnienia. Chciałbym, żeby pan wszystkie tezy dotyczące urazu we wczesnym dzieciństwie poparł wynikami badań.

– Bardzo chętnie.

Miałem również stos artykułów, wyciągnąłem je, przytoczyłem bibliografię, wymieniłem liczby i wygłosiłem nieco maniacki wykład na temat rozwoju pamięci u dzieci i ich reakcji na nieszczęśliwe wypadki i urazy. Dane podsumowujące moje twierdzenia umieściłem na tablicy.

– Same ogólniki – orzekł Moretti. – Impresje kliniczne.

– Wolałby pan coś bardziej konkretnego?

– Byłbym wdzięczny – uśmiechnął się.

– Świetnie.

Sekretarka odsłoniła monitor, wsunęła taśmę, zgasiła światło i nacisnęła odpowiedni guzik.

Po zakończeniu projekcji zapadła w sali martwa cisza. W końcu Moretti powiedział z głupim uśmiechem:

– Zamierza pan zrobić karierę w filmie, doktorze?

– Wystarczy mi to, co zobaczyłem i usłyszałem – oświadczył jeden z adwokatów. Zamknął teczkę, odsunął się z krzesłem od stołu. Kilku innych zrobiło to samo.

– Są jeszcze jakieś pytania? – zapytał Mal.

– Nie mam pytań – powiedział Moretti. Wyglądał jednak na zadowolone go i poczułem ukłucie niepokoju. – Do zobaczenia w sądzie, doktorze – rzekł kiwnąwszy dłonią w moją stronę.

Kiedy wszyscy wyszli, Mal poklepał się po kolanie i zawirował w triumfalnym tańcu.

– Prawidłowo, absolutnie doskonale. Jeszcze dziś po południu powinni złożyć mi oferty.

– Wypadło mocniej, niż zamierzałem – powiedziałem. – Wkurzył mnie ten skurczybyk.

– Byłeś wspaniały. – Mal zbierał papiery ze stołu.

– A co powiesz o ostatnim strzale Morettiego? – zapytałem. – Wygląda, że cieszy go perspektywa sądu.

– Zwykły blef. Chciał zachować twarz przed współnikami. Może piętrzyć trudności, ale wierz mi, pójdzie na ugodę. Gnojek z niego, no nie? Ma opinię nieustępliwego prawnika, ale dobrze go zażyłeś – tym wykładem o podświadomości trafiłeś w dziesiątkę, bracie. – Pokręcił głową z zachwytem. – Jeden Bóg wie, jak mocno musiał się trzymać, żeby nie pęknąć tu i ówdzie. „Znaczna część motywacji, jakie panem kierowały, gdy wybierał pan zawód adwokata”. Nie mówiłem ci o tym, ale ojciec Morettiego był sławnym psychiatrą w Milwaukee i często występował w sądzie jako biegły. Moretti musiał go szczerze nie cierpieć, bo ma awersję do psycholi – dlatego dano mu tę sprawę.

– W Stanford specjalizował się w psychologii, ple, ple, ple – powiedziałem.

Mał podniósł ramię z udanym przerażeniem. – Chłopie, co za wredny typ zrobił się z siebie!

– Zmęczył mnie ten skurwiel. – Ruszyłem ku drzwiom. – Nie dzwoń do mnie choć przez chwilę, okay?

– Źle mnie zrozumiałeś, Alex. Nie miałem nic złego na myśli. Bardzo mi się podobałeś, naprawdę!

– Czuję się zaszczycony – powiedziałem, zostawiając go sam na sam z jego dywagacjami i kalkulacjami.

Gdy wszedłem do domu, dzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę w tej samej chwili co telefonistka i usłyszałem głos Dela Hardy'ego pytającego o pana Delaware'a. Po chwili go usłyszałem:

– Trochę udało mi się dowiedzieć – powiedział. – W Hollywood niewiele zwojowałem, ale uciałem sobie pogawędkę z pewnym koronerem. Jesteś w nastroju, żeby tego posłuchać?

– Wal.

– Zgon nastąpił między ósmą wieczorem a trzecią nad ranem w niedzielę. Przyczyną zgonu był pocisk kalibru dwadzieścia dwa wystrzelony prosto w mózg. Przeszedł przez korę mózgową i uczynił w czaszce takie spustoszenie, jakie powoduje małokalibrowy pocisk. Analiza jej krwi wykazała ogromne ilości alkoholu i barbituranów, dawki prawie śmiertelne. Koroner stwierdził również jakieś stare blizny między palcami u nóg. Nie wiesz, czy była narkomanką?

– Nie, nie była – odparłem. – Ale od dawna nie miałem z nią kontaktu.

– No tak. Ludzie się zmieniają. To właśnie musimy rozpracować.

– Środki oszałamiające i kulka – powiedziałem.

– Traktowała rzecz serio – rzekł Del. – Jak na kobietę. Chociaż gdyby naprawdę chciała mieć pewność, strzeliłaby sobie w usta, prosto w rdzeń, co wyłącza cały organizm, system oddychania. Lecz ludzie o tym nie wiedzą, oglądają w telewizji samobójcę przykładającego sobie lufę do skroni... – Urwał. – Bardzo cię przepraszam.

– W porządku – powiedziałem. – Czy po takiej dawce środków oszałamiających była w stanie operować bronią?

– Nie za bardzo – odparł. – I tu następuje najbardziej interesująca część: koroner powiedział mi, że szybko uwinęli się z tą sprawą, na polecenie szefa. Średnia o tej porze roku to sześć do ośmiu tygodni... Otrzymali także rozkaz, by o tym nie rozmawiać.

– Po co ta cała konspiracja?

– Dla patologa nie ulegało kwestii, że sprawa dotyczy kręgu bogaczy, więc trzeba wszystko

zatuszować, przykryć całunem milczenia.

– Wydział przekazał prasie informacje.

– Przesiane przez sito – rzekł Del. – Strategia. Jeżeli nic nie powiesz i ktoś się dowie, że wszystko zataiłeś, zaraz podnosi się szum, plotki, spekulacje... Bezpieczniej jest podać do wiadomości to, co uznasz za stosowne, wtedy nikt nic nie podejrzewa. Co nie znaczy, że wiele na ten konkretny temat można powiedzieć – samobójstwo, i tyle. A w kwestii połączenia narkotyki-broń, patolog ma dwa warianty: A – wypija koktajl narkotykowo-alkoholowy, po czym zmieniła zdanie, i może chciała, żeby stało się to szybciej albo bardziej dramatycznie i sięgnęła po broń. Według mnie to całkiem logiczne. Wy, psycholodzy, określacie to jako ostatnie przesłanie. A każdy przecież może wybrać środek ekspresji, jaki chce...

– Zgadza się. A wariant B?

– Wypiła ten koktajl, by wyhamować instynkt samoobrony, dodać sobie kurażu przed strzałem. I kiedy już była dostatecznie oszołomiona, nacisnęła spust. Jakkolwiek by na to spojrzeć, efekt ten sam.

– Zostawiła jakąś kartkę?

– Nie. Większość ludzi nic nie zostawia. Mam rację?

– Masz.

– Ten Kanadyjczyk Mejakmutam powiada, że już metoda jest informacją.

– Któremu detektywowi powierzono tę sprawę? – zapytałem.

– Nazywa się Pinckley. Nie dalej jak wczoraj wyjechał na urlop na Hawaje.

– Bardzo wygodne.

– Nie przykładałbym do tego wagi – powiedział Del. – Urlopy są wcześniej zaplanowane. Pinckley uprawia surfing. Jeździ tam każdego roku, by trafić na największe zawody we Wiamei. Dzwoniłem do Hollywood, żeby się upewnić – lista urlopów była gotowa przed kilkoma miesiącami.

– Kto przejmie po nim sprawę?

– Nikt, doktorze. Sprawa jest zamknięta.

– Więc co Trapp robił w jej domu?

– Pamiętasz, co ci powiedziałem? Że udało mi się „trochę” dowiedzieć? Nie chodziłem do biura pana Trappa i nie poddałem go przesłuchaniu trzeciego stopnia.

– Okay. Przepraszam.

– Nie musisz przeproszać. Tylko nie przesadzaj.

– Masz coś jeszcze w zanadru?

Chwila ciszy.

– Jak dobrze ją znałeś? – zapytał w końcu.

– Ostatnio widziałem ją przed sześciu laty.

– Na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie była zakonnica?

– Dość dobrze.

– Okay. Gdybyś był jej bliskim krewnym albo mężem, nie powiedziałbym ci tego. To absolutnie poufne. Według moich źródeł z Hollywood na posterunku plotkują, że w jej domu jeden z sierżantów znalazł schowane pod materacem taśmy z pornosami – nic wymyślnego, zwykły kit. Tyle że z nią w roli głównej. Pewno i była doktorem, ale miała też inne talenty.

Wstrzymałem oddech.

– Halo?

– Czy te taśmy znajdują się jeszcze w materiale dowodowym? – zapytałem.

– Nie wszystko włącza się do materiału dowodowego.

– Rozumiem.

– Powinna się tym zająć kobieta. No, bo jak takie gówno znajdzie się w szufladzie z bielizną jakiegoś gliniarza, który od czasu do czasu coś sobie przegra albo udostępni prasie... Wiesz, jak oni mogą narozrabiać. To nie są scenki z filmu Disneya.

– Co jest na tych taśmach?

– Wszystko, co można sobie wyobrazić.

– Nie możesz być bardziej konkretny?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Wal.

Westchnął.

– No dobra. Podobno są tam scenki z lekarką i pacjentem w rolach głównych. Wiesz, najpierw wywiad, badanie, potem seks. Ona jako pacjentka, facet jako lekarz. – Urwał na moment. – Tyle mi wiadomo. Ja tego nie widziałem.

– Czy znalezione tam coś jeszcze, na przykład karty pacjentów?

– Nie pytałem.

– A co sądzisz o pośpiechu, z jakim wystawiono na sprzedaż ten dom?

– Skoro sprawa jest zamknięta, to nie ma powodu wstrzymywać sprzedaży.

– Czy ona była właścicielką?

– Tego nie sprawdzałem.

– A co wiesz o jej siostrze-bliźniaczce? Czy ktoś do niej dotarł?

– Shirlee Ransom nie jest u nas notowana, więc nie jest kryminalistką. W drogówce też nie figuruje.

– To jasne. Ona przecież nie może prowadzić samochodu.

– Aha. Ale my się nie zajmujemy poszukiwaniem spadkobierców, doktorze. Adwokat od spraw spadkowych będzie musiał zatrudnić prywatnego detektywa. A uprzedzając twoje pytanie, nie wiem, kto nim będzie.

– Okay – powiedziałem. – Dzięki, że poświęciłeś mi tyle czasu.

– Nie ma sprawy. Zrobiłem, co mogłem.

W uprzejmy sposób dał mi do zrozumienia, żebym więcej nie zawracał mu głowy.

Rozdział 13

Pornosy. Przedmiot „badań” Kruse’a.

Badanie „granic seksualizmu człowieka”.

Larry śmiał się z tego. Praca u Kruse’a była znaczącym etapem w jego karierze, o czym wyraźnie wolał nie pamiętać. Postanowiłem mu o tym przypomnieć. Zadzwoiłem do jego gabinetu w Brentwood, korzystając z prywatnego połączenia.

– Mam pacjenta – powiedział *sotto voce*. Za kwadrans do ciebie za dzwonię.

Zadzwoił, dokładnie za piętnaście trzecia. Coś przeżuwał, i z trudem artykułował słowa między jednym kęsem a drugim.

– Już się za mną stęskniłeś, Di? Co masz na wątrobie?

– Chodzi o Sharon Ransom.

– Tak, czytałem. O Boże, wyleciało mi z głowy. Zanosilo się, że wrócicie do siebie, prawda?

– Była na tym przyjęciu. Rozmawiałem z nią, kiedy ty dzwoniłeś do domu. Nazajutrz już nie żyła.

– Jezu Chryste! Sprawiała wrażenie przygnębionej?

– Trochę. Powiedziała, że nie dzieje się u niej za dobrze. Ale nic groźnego. Nic, co by zwiastowało katastrofę. Choć obaj dobrze wiemy, ile są warte takie sygnały ostrzegawcze.

– Ha! Stara jak świat profesjonalna intuicja. Z równym skutkiem można zasiąść do stolika i wywoływać duchy, tyle samo ci powiedzą.

Cisza.

– Sharon Ransom – powiedział. – Aż nie do wiary. Zawsze była z niej wspaniała babka.

– Do końca.

– Nie do wiary – powtórzył. – Nie widziałem jej od czasów studiów. Nie spotkałem jej nigdy na żadnym zebraniu czy zjeździe.

– Mieszkała w Los Angeles.

– Tajemnicza dama. Zgrywała się trochę na tajemniczość.

– Czy pracowała nad pornosami, Larry?

– Nie za moich czasów. A bo co?

Opowiedziałem mu, że była asystentką Kruse’a. I o tych taśmach.

– Niech żyje Hollybrud! – rzekł. Nie wyglądał na zaskoczonego. Powiedziałem mu o tym.

– Bo naprawdę mnie to nie dziwi, Di. Gdyby chodziło o kogoś innego, to może, ale nie o nią.

– Dlaczego?

– Mówiąc szczerze, uważałem ją za dziwną osobę.

– Pod jakim względem?

– Trudno to określić, lecz było w niej coś niedobrego, jakby piękny obraz źle zawieszony.

– Nigdy mi o tym nie wspomniałeś.

– Gdybym ci nagle oznajmił, że cechy osobowości twojej dziewczyny pozostawiają wiele do życzenia, wysłuchałbyś mnie spokojnie i powiedział: „Dzięki, Lar”?

– Nie.

– No właśnie. Wręcz przeciwnie, byłbyś wściekły i prawdopodobnie przestałbyś się do mnie odzywać. Nie, mój kochany, Larry umie trzymać buzię na kłódkę. Główna zasada psychologiczna: kiedy nie jesteś czegoś pewny, lepiej siedź cicho. A ja nie byłem pewny. Przecież nie postawiłem jej diagnozy – opierałem się tylko na własnych odczuciach. Poza tym wyglądałeś na szczęśliwego, choć nie sądziłem, że dojdzie do małżeństwa.

– Dlaczego?

– Nie zaliczała się do typu dziewcząt, które wychodzą za mąż.

– A do jakiego typu dziewcząt byś ją zaliczył?

– Do takiego, co trzymają cię przy sobie po to, by zmarnować ci życie. Przypuszczałem jednak, że jesteś za sprytny na takie zagrywki. I miałem rację, prawda?

Chwila milczenia.

– Pozwól, że zadam ci pewne pytanie, i nie obrażaj się – powiedział. – Czy ona była dobra w łóżku?

– Nie za bardzo – odparłem.

– Prawidłowe ruchy, ale bez przeżywania.

– Na jakiej podstawie tak sądzisz? – spytałem zdumiony.

– Gdy mówiliśmy o tych taśmach, uświadomiłem sobie, kogo mi ona przypomina: aktoreczki pornosów, które Kruse wybierał do tych swoich filmów. Widziałem je, kiedy dla niego pracowałem. Z tych dziewczyn seks aż paruje, tak się poruszają, że w każdym facecie krew by się zagotowała. A jednocześnie człowiek ma uczucie, że to tylko powłoka, coś, co się zmywa razem z makijażem. Zmysłowość nie jest integralną cechą ich charakteru, wiedzą, jak chronić uczucia.

– Chronić... – powtórzyłem. – Coś w rodzaju osobowości borderline?

– Owszem. Lecz nie zrozum mnie źle. Nie twierdzę, że Sharon była typowym przykładem borderline, ani nawet te aktoreczki. Ale zarówno ona jak i one były w pewnym sensie dotknięte tą chorobą. Nie sądzisz?

– Trafiłeś w dziesiątkę – powiedziałem. – Niektóre jej cechy były charakterystyczne. Że też przez wszystkie te lata nigdy na to nie wpadłem.

– Nie gryź się tym, Di. Spałeś z nią. Byłeś porażony sromową ślepotą. I byłeś ostatnią osobą, która mogłaby postawić jej diagnozę. Ale wcale mnie nie zdziwiło, że występowała w tym pierdolniku.

Osobowość borderline. Gdyby ta diagnoza była słuszna, oznaczałoby to, że miałem romans z tragedią.

Pacjent z tym typem osobowości stanowi dla terapeuty prawdziwy koszmar. W ciągu lat mojej praktyki, zanim jeszcze postanowiłem specjalizować się w psychologii pediatrycznej, leczyłem mnóstwo takich ludzi i wiem, jaki o ciężki kawałek chleba.

Albo raczej starałem się ich leczyć. Ponieważ, prawdę mówiąc, osobnicy borderline nigdy z tego nie wychodzą. Jedyne, co można dla nich zrobić, to pomóc im trwać, broniąc się przed ich patologią. Na pierwszy rzut oka wyglądają normalnie, czasem nawet supernormalnie, radzą sobie ze stresującą pracą i miewają lepsze wyniki niż inni. Lecz wciąż lawirują na pograniczu szaleństwa i normalności, niezdolni do zawierania przyjaźni, autodestrukcyjni, dręczeni bez ustanku niszczącym poczuciem własnej bezwartościowości i wszechogarniającego szaleństwa. A koniec tej drogi to autoagresja i samozniszczenie.

Trawi ich chroniczna depresja, są zdeterminowanymi nałogowcami, rozwiedzionymi z przymusu, żyją od jednego krachu emocjonalnego do drugiego. Nocują gdzie się da, płucze się im żołądki, skaczą pod koła samochodu. Smutnoocy wysiadywacze ławek – ze szwami na ramionach jak piłkarze i ranami duszy, których zaszyć już się nie da. Ich psychika jest krucha jak wata cukrowa, beznadziejnie potrzaskana, niczym składanka, w której brakuje głównych elementów. Odgrywają cudze role, za wszelką cenę, chcą być obojętnie kim, byle nie sobą, pragną intymności, lecz gdy ją zdobędą, wyrzekają się jej. Niektórych ciągnie scena lub ekran, inni uprawiają działalność bardziej kameralną.

Nikt nie wie, jak i dlaczego powstaje osobowość borderline. Wedle zwolenników Freuda jej przyczyną jest emocjonalny wstrząs, przeżyty w pierwszym lub drugim roku życia. Biochemia szuka przyczyn w zaburzonych procesach mózgowych. Tyle że nikt nie jest w stanie pomóc tym ludziom.

Chodzą od terapeuty do terapeuty, bo bardzo pragną, by zdarzył się cud, który uwolni ich od uczucia przerażającej pustki. Szukają ratunku w tabletkach, alkoholu i kokainie. Poddają się bez wahania różnym guru i frymarczącym Niebem cwaniakom, charyzmatycznym hochsztaplerom obiecującym szybkie pozbycie się bólu. Kończy się to na ogół krótkim urlopem na oddziale psychiatrycznym lub w więziennej celi – wychodzą stamtąd w dobrym stanie, dobrze rokującym na przyszłość. Aż do następnej zapaści, faktycznej lub wyimaginowanej, aż do kolejnej próby zamachu na własną osobowość.

Nie stać ich na wewnętrzną przemianę.

Ada Smali opowiadała mi kiedyś o takich ludziach i wtedy po raz pierwszy usłyszałem w jej głosie nutę gniewu.

„Jeśli nie chcesz stracić wiary we własne możliwości, Alex, trzymaj się od nich z daleka. Ogłupia cię doszczętnie. Będziesz nad nimi pracował miesiące, nawet lata, już ci się będzie zdawało, że złapałeś byka za rogi, że zapanowałeś nad ich wnętrzem, może istotnie zaszła w nich jakaś zmiana na lepsze, i potem w jednej sekundzie wszystko się zawali. Będziesz zachodził w głowę, kiedy popełniłeś błąd, i zadasz sobie pytanie, czy nie powinieneś zmienić zawodu. Ale to nie twoja wina – tylko ich. Wyglądają wspaniale, a minutę później już są «za burtą»”.

Za burtą. To samobójcy.

– Trochę się kręciłem koło tych aktoreczek – mówił Larry. – Kilka poznałem i nawet zacząłem je rozumieć, ich swobodę seksualną, jak to robią i co robią. Jeśli idzie o borderline, owa rozwiązłość może się w pewnej mierze przyczynić do przystosowania – doskonały podział, jeden mężczyzna do przyjaźnienia się, drugi do rozmów intelektualnych, trzeci do seksu. Jedno, drugie, trzecie i tak się plecie. Skoro nie jesteś zdolny do uczuć intymnych, jesteś skazany na samotność. Taki podział pomaga odciąć się psychicznie od pieprzenia się przed kamerą, od facetów robiących minetę. Praca jak praca. No bo inaczej nie da rady – wracają do domu, szykują sobie makaron z serem i bawią się w układanki. Mówiły, że kiedy robią te rzeczy przed kamerą, to jakby patrzyły na kogoś innego.

– Rozdwojenie osobowości.

– *Par excellence.*

Pomyślałem o połamanym życiu Sharon. Kochała się ze mną rutynowo, bez odrobiny namiętności. Nie chciała zamieszkać ani ze mną, ani z nikim innym. Obojętna relacja o śmierci rodziców. Wybrała zawód polegający na niesieniu pomocy i wykorzystywała seksualnie swoich pacjentów. Zdobyła stopień naukowy, ale nie uzyskała licencji. I ta koszmarna noc, kiedy zastałem ją wpatrującą się w zdjęcie swojej siostry-bliźniaczki.

„Byłam ich ukochaną jedynaczką”.

Kłamstwa.

Taśma porno.

I związek z tą kreaturą Kruse'em.

– Czy Krusę filmował swoje studentki, Larry?

– Uważasz, że zmusił ją do udziału w filmie?

– Byłoby to logiczne. Był jej opiekunem na wydziale. I zajmował się pornografią.

– Bardzo możliwe. Ale on nie robił byle czego – półgodzinne filmy, kolorowe, z dźwiękiem. Być może pomagały małżeństwom z dysfunkcją seksualną; taki niby dokument, z czołówką bez nazwiska autora i narratorem o głosie podobnym do Orsona Wellesa, rozbrzmiewającym na tle buczenia kamery. Poza tym zatrudniał aktorów i aktorki. Zawodowców. Nigdy w jego filmach nie widziałem studentów czy studentek.

– Może nie widziałeś wszystkich?

– Na pewno nie. Ale czy istnieją jakieś przesłanki, że filmował właśnie ją?

– Nie. Przeczucie.

– Co wiesz jeszcze o tej taśmie?

– Zdaje się, że rzecz tyczy seksu między lekarzem a pacjentem. Osoba, która mi o tym mówiła, nie oglądała filmu, a taśma przepadła.

– Innymi słowy masz informacje z trzeciej ręki – zabawa w głuchy telefon. Znasz mechanizm powstawania plotki. Może to wcale nie była ona.

– Może.

Chwila ciszy.

– Spróbuję to ustalić.

– W jaki sposób?

– Może zdołam zdobyć kopię. Dawne kontakty z firmą...

– Bo ja wiem... – powiedziałem.

– No tak, to byłaby patologia. Zapomnij o tym. O, zapaliło się światelko, mam pacjenta w poczekalni. Chcesz coś jeszcze dodać?

Walczyłem ze sobą. Ciekawość – nie, przyznaj się, Delaware: popatrzysz z rozkoszą na kopulację innych – zmagając się ze strachem, że poznasz prawdę jeszcze bardziej odrażającą. Więc powiedziałem:

– Jeśli możesz, to zdobądź ten film.

– Jesteś pewien, że chcesz to obejrzeć?

Nie byłem pewien, ale usłyszałem swój głos:

– Tak.

– Okay. Dam ci znać, jak będę coś wiedział.

Wczorajsza rozmowa z Robin, rozdrażnienie w jakie wpadłem z powodu jej jałowości – wszystko to razem nie dawało mi spokoju. O czwartej zatelefonowałem do niej. Słuchawkę podniosła ostatnia osoba, jaką pragnąłem usłyszeć.

– Słucham.

– To ja, Rosalie.

– Nie ma jej.

– Wiesz, kiedy wróci?

– Nic mi nie mówiła.

– W porządku. Mogłabyś jej powiedzieć...

– Nic jej nie powiem. Dlaczego nie odczepisz się od niej? Nie chce z tobą być. Czy nie jest to dla ciebie jasne?

– Byłoby jasne, gdybym usłyszał to od niej.

– Uważasz, że jesteś inteligentny, bystry i tak dalej, ale nie jesteś znowu taki mądry, jak sobie wyobrażasz. I ty, i ona myślicie, że jesteście dorośli, wszystko wiecie i nie przyjmujecie od nikogo żadnych rad. Ale Robin to moje dziecko i nie życzę sobie, żeby ktoś nią pomiatał.

– Twoim zdaniem ja nią pomiatam?

– Czyżbyś nie poczuwał się do winy? Po wczorajszej rozmowie z tobą przez cały dzień chodziła naburmuszona, osowiała. Zawsze się tak zachowywała, kiedy nie mogła postawić na swoim. Dzięki Bogu zadzwonili do niej jacyś przyjaciele i może w końcu rozerwie się trochę. To dobre dziecko, nie zasługuje na takie traktowanie. Dlatego o niej zapomnij.

– Nie chcę o niej zapomnieć. Kocham ją.

– Czczą gadanina. Zacisnąłem zęby.

– Przekaż jej tylko, że dzwoniłem.

– Lepiej zajmij się własnymi brudnymi sprawami.

Trzask.

Aż mnie zamurowało z wściekłości, czułem się odtrącony, bezradny. Byłem zły na Robin, że pozwala traktować się jak dziecko.

Kiedy trochę ochłonąłem, doszedłem do wniosku, iż Robin nie ma pojęcia, że matka strzeże jej jak Cerber. Dlaczego miałaby tak sądzić? Te dwie kobiety nigdy nie były sobie bliskie. Liczył się ojciec, który o nią dbał. A teraz Rosalie usiłuje uwolnić swoje macierzyńskie prawa.

Zrobiło mi się jej żal, co częściowo złagodziło mój gniew. Chciałem za wszelką cenę porozmawiać z Robin i rozwikłać wreszcie ten nasz problem. Dlaczego, do diabła, to takie trudne?

Przez telefon nie sposób. Musimy osobiście wszystko porządnie omówić.

Zatelefonowałem do dwóch biur podróży, by zarezerwować miejsce w samolocie do San Luis. W obydwu głos z taśmy kazał mi czekać. Gdy usłyszałem dzwonek u drzwi, odłożyłem słuchawkę.

Znowu dzwonek. Poszedłem otworzyć, spojrzałem przez szybkę i zobaczyłem znajomą twarz: dużą, szeroką, prawie chłopięcą, gdyby nie te pory po trądziku na policzkach. Szorstkie czarne włosy przyprószone siwizną, niemodnie ostrzyżone za uszami i wysoko na karku, a na czubku głowy długie, na modłę Kennedy’ego, opadały strzechą na niskie kwadratowe czoło, do tego baczki sięgające niemal mięsistych małżowin usznych. Duży, haczykowaty nos, a pod krzaczastymi czarnymi brwiami zdumiewająco zielone oczy. Błada cera, ale teraz zaróżowiona od promieni słońca. Nos czerwony, widoczna złuszczająca się skóra. Zdecydowanie brzydki montaż. I w dodatku nachmurzona mina.

Otworzyłem drzwi.

– Całe cztery dni wcześniej, Milo? Przygnała cię tęsknota za cywilizacją?

– Ryby – powiedział ignorując moje pytanie i wyciągając metalowy pojemnik z lodem. Popatrzył na mnie. – Okropnie wyglądasz.

– Tak? Dziękuję ci bardzo. Ty za to jak jogurt truskawkowy.

– Wszystko mnie swędzi – wykrzywił się. – Masz to. Muszę się podrapać.

Podał mi pojemnik. Ugiąłem się pod jego ciężarem. Zaniósłem do kuchni i postawiłem na blacie. Podążył za mną i opadł na krzesło, wyciągając przed siebie długie nogi; przetarł dłonią twarz, jak gdyby mył się bez wody.

– No – powiedział rozkładając ramiona. – I co o tym sądzisz?

Miał na sobie koszulę w czerwono-czarną kratę, workowate spodnie koloru khaki, sznurowane

buty na gumowych podszewkach i rybacką kamizelkę z mnóstwem kieszeni zasuwanych na zamki błyskawiczne. Z jednej zwisały przynęty na pstrąga. U pasa dyndał rybacki nóż w pochwie. Wyraźnie przytył – a powinien zgubić paręnaście kilogramów – koszula ciasno opinała mu pierś, guziki ledwo się trzymały.

– Super – odrzekłem.

Pomrukując rozluźnił sznurowadła.

– Zasługa Ricka – powiedział. – Zmusił mnie, żebym to kupił.

– Odniosłeś sukces?

– Oczywiście. Byłem tak cholernie zaciekły, że ryby srały ze strachu. Małe wyskakiwały z rzeki i lądowały prosto w pojemniku, z plasterkami cytryny w pyszczkach.

Roześmiałem się.

– Człowiek jeszcze pamięta, jak to się robi. Co się stało, chłopie? Ktoś ci umarł?

Zanim zdołałem odpowiedzieć, wstał i wyjął z pojemnika dwa duże pstrągi zawinięte w plastik.

– Daj mi patelnię, masło, czosnek i cebulę, nie, przepraszam, to jest porządny dom, lepiej szalotki. Masz piwo?

Wyjąłem z lodówki grolscha, otworzyłem i wręczyłem mu butelkę.

– Chcesz, żebym sobie spokojnie posiedział? – zapytał przechylając głowę i pijąc prosto z butelki.

– Nie teraz. – Dałem mu patelnię i nóż i znów zacząłem grzebać w prawie pustej lodówce. – Tu masz masło. Nie ma szalotek ani czosnku, tylko to.

Spojrzał na połówkę przywiedłej cebuli. – Nadpsuta – orzekł. – Doniosę na ciebie do sanepidu. – Przeciął cebulę na dwie ćwiartki i momentalnie zaszklily mu się oczy. Odsuwając się i ocierając łzy, ciągnął: – Zagrajmy w marynarza. Ja wygrywam, ty szykujesz jedzenie.

Usiadł i zabrał się do piwa. Przyjrzałem się dokładnie pstrągowi. Był fachowo wypatroszony i czysty.

– Ładna sztuka, co? – zapytał. – Warto wziąć ze sobą chirurga.

– Gdzie jest Rick?

– Przy każdej okazji uderza w kimono. Dwadzieścia cztery godziny dyżuru, potem doba wolna i znowu nocny dyżur w sobotę – ranni w strzelaninie i różne takie. Później na łapu capu do kliniki, gdzie udziela porad pacjentom z AIDS. Co za facet, nie uważasz? Nagle się okazuje, że mieszkam ze Schweitzerem.

Uśmiechał się, ale w jego głosie brzmiała irytacja, i pomyślałem z powątpiewaniem, czy on i Rick przebrną przez kolejny trudny okres. Raczej nie. Ale nie miałem ani energii, ani ochoty na podejmowanie tego tematu.

– Jak się udały wielkie ćwiczenia na wolnym powietrzu? – zapytałem.

– Co tu dużo gadać! Urządziliśmy skautom całe obozowisko; ojciec byłby ze mnie cholernie dumny. Znalazłem fantastyczne miejsce nad rzeką. Ostatniego dnia przyplłynęło czółno z ważniakami: bankierzy, kombinatorzy komputerowi, znasz te typki. Przez okrągły rok z takim namaszczeniem odgrywają swoją rolę, że kiedy wyrwą się z domu, wyglądają się i gędzą jak skończeni idioci. No i te bydlaki toczyli się z prądem rzeki – schlani, śmierdzący wodą i wrzeszczący na całe gardło. Zobaczyli nas – wtedy spuścili portki i pokazali nam gołe dupy. – Wykrzywił usta w uśmiechu. – Żeby wiedzieli, komu... dobre, co? Na konwencie Republikanów powstałaby panika.

Roześmiałem się i przystąpiłem do smażenia cebuli. Miło wyjął z lodówki jeszcze jedno piwo i podszedł do mnie z zafrasowaną miną.

– Tam już nic nie ma – powiedział. – Co się dzieje?

– Muszę zrobić zakupy.

– Uhum. – Włożył rękę za koszulę i podrapał się po piersi. Spacerując po kuchni, zapytał:

– Co słyhać u uroczej pani Castagnii?

– Ciężko pracuje.

– Hm, hm – mruknął nie przerywając spaceru.

Cebula była już przezroczysta. Dodałem więcej masła i położyłem pstrągi na patelni. Zaskwierczało, zapryskało i cała kuchnia wypełniła się zapachem świeżej ryby.

– Ach – westchnął. – Nie ma to jak przyjaciel w domu i w kuchni. Czy to ty myjesz okna?

– Dlaczego wróciłeś tak szybko? – zapytałem.

– Za dużo tam nietkniętego, pierwotnego piękna, nie mogłem tego znieść. Ciekawe, że o swoim żalonym wnętrzu człowiek najczęściej się dowiaduje na łonie dzikiej natury. Wydawałoby się, że obaj jesteśmy wydelikacjami mieszcuchami. Tymczasem wystarczy trochę czystego powietrza i spokoju – i możemy góry przenosić! – Łyknął piwa, potrząsnął głową. – Wiesz, jak to jest, małżeństwo to istny raj, byle tylko za często nie przebywać razem. Jak tam pstrągi?

– Prawie gotowe.

– Uważaj, żebyś nie smażył za długo.

– To sam przypilnuj.

– Dobra, dobra.

Położyłem na jego talerzu trzy połówki ryby, sam wziąłem jedną; nalałem do szklanek zimnej wody i postawiłem na stole. Miałem gdzieś butelkę białego wina, tyle że nieschlodzonego. Poza tym nie czułem potrzeby alkoholu, i była to też ostatnia rzecz, jakiej potrzebował Milo.

Popatrzył na wodę takim wzrokiem, jakby stała przed nim trucizna, ale mimo to wypił. Błyskawicznie pochłoniął pstrąga i spojrzał na mój nietknięty talerz.

– Chcesz? – zapytałem.

– Nie jesteś głodny?

Potrząsnąłem głową.

– Jadłem przed twoim przyjściem.

Spojrzał na mnie wymownie.

– Dobra, dawaj.

Kiedy znikła z jego talerza ostatnia połówka, zapytał:

– Powiedz, u licha, co cię dręczy?

Zastanawiałem się, czy powiedzieć mu o Robin. Zamiast tego opowiedziałem o Sharon; dotrzymałem słowa danego Leslie Weingarden, pominąłem wątek wykorzystywania pacjentów.

Słuchał w milczeniu. Wstał i przeszukał lodówkę pod kątem deseru, znalazł jabłko i unicestwił je czterema kęsami. Przecierając dłonią twarz powiedział:

– Trapp, tak? Jesteś pewien, że to był on?

– Te jego białe włosy i cera – trudno go z kimś pomylić.

– Tak, ta cera. Objaw pewnej dziwacznej choroby. Rick powiedział nawet jak się nazywa, ale zapomniałem. Zaburzenie układu immunologicznego – organizm sam siebie atakuje, wytracając pigmenty. Przyczyny są nieznane, lecz gdy idzie o Trappa, to mam własną teorię. Skurwiel ma w sobie tyle jadu, że organizm nie może go zwalczyć. Jeśli dopisze nam szczęście, to w końcu zniknie, rozwieje się.

– A co sądzisz o jego wizycie w tym domu?

– Bo ja wiem? O niczym innym nie marzę, jak coś na niego nadać, ale dalibóg, nie wygląda mi to na czyn przestępczy. Może on i twoja zmarła przyjaciółka kochali się tamtego wieczoru i on potem wrócił, żeby się upewnić, czy czegoś nie zostawił? Nie bardzo to się trzyma kupy, ale nie należy wykluczać takiej możliwości. – Potrząsnął głową. – Jeśli ona się z nim kochała, to musiała mieć nie

po kolei w głowie.

– Dlaczego twoim zdaniem tak szybko wystawiono dom na sprzedaż? – zapytałem. – No i ta siostra-bliźniaczka. Wiem, że istnieje, w każdym razie istniała, bo widziałem ją przed sześcioma laty. Jeśli żyje, to przecież ona, powinna dziedziczyć po Sharon.

– Sześć lat to kupa czasu, Alex. I kto ci powiedział, że jej nie odnaleziono? Del miał rację – sprawami spadkowymi zajmują się adwokaci. Oczywiście, oczywiście, to pachnie kryciem, co wcale nie znaczy, chłopie, że kryty obiekt może coś wniesć do sprawy. To w pewnym sensie czynność rutynowa, szczególnie gdy ma się do czynienia z ludźmi nadzianymi. W ubiegłym miesiącu mieliśmy kradzież dzieł sztuki w Bel Air. Francuscy impresjoniści, trzynaście milionów dolców. A co było dalej? – Prztyknął palcami. – Sypnął ich prywatny kucharz, trop: Monaco. Wciągnęliśmy sprawę do ewidencji, rodzina zatrudniła detektywów. Odzyskali obrazy. Po paru miesiącach kucharz zginął w wypadku – oparzenie wrzątkiem.

Skoro mowa o wypadkach, to w kwietniu tego roku pewna nastolatka, córka prominentnego fabrykanta z Palisades rzuciła się na służącą, bo ta wyrzuciła jakiś jej magazyn; wcisnęła dłoń biednej niewiasty do urządzenia mielącego śmieci. Pięć palców po-o-oszło, ale służąca zmieniła zdanie i nie wniosła skargi. Przeszła na wcześniejszą emeryturę – dziesięć tysięcy za palec – i wróciła statkiem do Gwatemali.

Albo coś takiego: prowadzący talk-show, powszechnie znany, bystry i czarujący gość. Jego gra polega na upijaniu kobiet i odstawianiu ich do szpitala. Telewizja dodaje mu do pensji dwa miliony rocznie, forma odszkodowania. Czy ktokolwiek czytał o czymś takim? Albo oglądał w wiadomościach o szóstej? Bogacze są w niezręcznej sytuacji. Tak, Alex. Schowaj to na samo dno kufra i nie chodź z tym do sądu. Różne rzeczy zdarzają się na tym świecie.

– Mówisz, żeby zapomnieć o całej sprawie?

– Wolnego, Samotny Jeźdźcu. Nie powiedziałem, że ja o tej sprawie zapomnę, będę ją ciągnął. Ale z powodów czysto osobistych – żeby znaleźć haczyk na Trappa. W tej całej filmowej historii jest jednak mały problem – Harvey Pinckley, gość, który przejął sprawę. W Hollywood był jednym z chłopców Trappa. Wazeliniarz, aż się robi niedobrze.

– Del dawał mi do zrozumienia, że chłop jest w porządku.

– Nie zna go. Ale ja go znam. Poza tym Del to dusza człowiek, ale ostatnio stosunki między nami trochę oziębły.

– Problemy zawodowe?

– Małżeńskie. Żona przysparza mu zmartwień. Jest pewny, że włóczy się z facetami. Z tego powodu zrobił się aspołeczny.

– Przykre.

– Jeszcze jak! Był jedynym w oddziale, który traktował mnie po ludzku. Ale nie zrozum mnie źle –

nie skaczemy tam sobie do gardła. Wszystko raczej gra. A on się teraz zamknął w sobie i nikomu nie pójdzie ni rękę... No, wystarczy tych pozasłużbowych informacji. Do poniedziałku jestem wolny, a Rick albo przepracuje, albo prześpi cały weekend.

Wstał, przeszedł się tam i z powrotem.

– Jak człowiek nic nie robi, to szatan tańczy, chłopie. Nie zamierzam kusić szatana. Ale nie spodziewaj się po mnie żadnych rewelacji, okay?

Skinąłem głową, zebrałem naczynia i zabrałem się do zmywania. Podszedł do mnie i położył mi na ramieniu tę swoją wielką, miękką jak poducha rękę.

– Kiepsko wyglądasz. Weź się w garść, doktorze. Ta twoja przyjaciółka... to było coś więcej niż przyjaźń, prawda?

– Stare dzieje, Milo.

– Kiedy tylko zaczynasz o niej mówić, mienisz się na twarzy, więc nie są to dzieje aż tak zamierzchłe. Albo może jest jeszcze coś więcej w tej makabrycznej historii?

– Nie, Milo, nic nie ma.

Opuścił rękę.

– Przemyśl sobie dokładnie jedno, Alex. Czy jesteś psychicznie gotów na to, by usłyszeć o niej rozmaite inne plugastwa? No, bo chyba już wiemy, że na tym nie koniec...

– Nie ma sprawy – powiedziałem, siląc się na nonszalancję.

– Hm, hm – mruknął i udał się po kolejne piwo.

Rozdział 14

Poszedł, a ja zrzuciłem maskę obojętności. O ilu jeszcze brudach chcę się naprawdę dowiedzieć, skoro jeszcze do mnie nie dotarło to, co już wiem?

„Trzy kolejne wizyty”.

Ja też byłem na liście.

Tamta scena z fotografią kompletnie wytrąciła mnie z równowagi. Po trzech dniach starałem się dodzwonić do Sharon. Na próżno. Po czterech dniach zebrałem się w sobie i postanowiłem pojechać do domu w Jalmii. Pocałowałem kłamkę. Zapytałem na wydziale psychologii – poinformowano mnie, że jest na krótkim urlopie i mało to kogo obchodziło. Już wcześniej planowała ten urlop – „sprawy rodzinne” – zawsze była przepracowaną, przodującą studentką. Poradzono mi, bym zwrócił się do jej opiekuna, doktora Kruse’a.

Nie odpowiedział na żaden mój telefon, a dzwoniłem przez cały tydzień, odnalazłem więc adres jego gabinetu i pojechałem tam. Czteropiętrowy budynek ze stali i brązowego szkła, przy Bulwarze Zachodzącego Słońca, w pobliżu Doheny; hol wyłożony granitem, dywan w kolorze kasztana, a obok hałaśliwa francuska restauracja, której boczne drzwi prowadziły do kawiarnianego ogródka. Na tablicy mnóstwo wizytówek – dziwaczna mieszanina najemców: co trzeci psycholog lub psychiatra, pozostali to właściciele różnych firm związanych z przemysłem filmowym – zrzeczenia producentów, agenci, publicyści, menadżerowie...

Apartament Kruse’a znajdował się na ostatnim piętrze. Drzwi były zamknięte. Ukląknę, uchyliłem zapadnię i przez szparę na listy zajrzałem do środka. Ciemno. Wstałem, rozejrzałem się. Na tym samym piętrze był jeszcze jeden apartament. Na drzwiach widniał szyld: Stowarzyszenie Twórców Wyobrażeń. Podwójne drzwi tego apartamentu także były zamknięte.

Za wizytówkę Kruse’a wsunąłem kartkę z nazwiskiem i numerem telefonu, i prośbą, by możliwie szybko skontaktował się ze mną. Następnie znów pojechałem do Jalmii.

Plama po oleju w garażu już wyschła, zwiędłe liście szeleściły pod nogami. Skrzynka pocztowa była pełna korespondencji z ubiegłego tygodnia. Przebiegłem wzrokiem po adresach zwrotnych. Same rupiecie. Żadnego śladu...

Nazajutrz rano przed udaniem się do szpitala skręciłem znowu na wydział psychologii i dostałem prywatny adres Kruse’a. Pacific Palisades. Tego wieczoru już tam byłem; siedziałem w wozie i czekałem.

Koniec listopada, tuż przed świętem Dziękczynienia, to w Los Angeles najpiękniejsza pora roku. Niebo traci błękit El Greca, nabiera głębi – jest lśniaco-szare, nabrzmiałe deszczowymi chmurami, i rozjaśnione światłem elektrycznym.

Dom Kruse'a był duży i różowy. W hiszpańskim stylu. Stał przy prywatnej drodze wiodącej z Mandeville Canyon, zaraz za nim widoczny był krótki zjazd na autostradę przybrzeżną ku wysokim jesiennym przyptywom i odpływowom. Uliczka była wąska i spokojna, sąsiednie posesje dostosowane do stanu majątkowego właścicieli. Teren, na którym stało domostwo Kruse'a, był tylko symbolicznie ogrodzony, żadnych wysokich murów, żadnych bram.

Widać było, że mieszka tu psycholog. Dom był pełen uroku, z parkiem krajobrazowym po obu stronach, wszędzie werandy, daszki typu „Monterey”, drewniane, rozsuwane kraty, pociągnięte lakierem ramy okienne. Przysłaniając cieniem trawnik od południa, wznosiła się czarna sosna, pięknie otulona gałęziami – *giant bonsai*. Dwie orchidee brazylijskie obsypały świeżo zasiany trawnik fioletowymi kwiatuśkami. Półokrągły wjazd wyłożony klinkierem tworzył wśród trawy odwróconą literę U.

O zmierzchu blask kolorowych lamp przed domem unosił się w górę i oświetlał cały krajobraz. Ani jednego samochodu, martwa cisza i głęboka samotność.

Siedząc tak, rozmyślałem o domu w Jalmii – wpływ mistrza? O opowieści Sharon, że otrzymała go w spadku. I kolejne pytanie: czy to naprawdę Kruse?

Zastanawiałem się także, co stało się z drugą dziewczynką z fotografii.

Pojawił się parę minut po ósmej, prowadząc czarnego, złoto połyskującego mercedesa, dwuosobowego, z opuszczanym dachem. Nie zmniejszając prędkości podjechał do samego ogrodzenia. Zamiast otworzyć furtkę dał susa przez nią prosto z wozu. Długie żółte włosy miał starannie potargane; lustrzane okulary przeciwsłoneczne zwisały mu z szyi na grubym złotym łańcuchu. Przez ramię przewieszoną miał małą skórzaną torebkę dobraną kolorem do butów. Ubrany był w szarą sportową marynarkę z kaszmiru, biały jedwabny golf i czarne luźne spodnie. Z bocznej kieszeni wystawała czarna, ozdobiona czerwienią chusteczka.

Podczas gdy on kierował się ku domowi, ja wysiadłem ze swego ramblera. Słyszając trzaśnięcie drzwiczek, obejrzał się. Spojrzał ze zdziwieniem w moją stronę. Ruszyłem ku niemu i niebawem wstąpiłem w krąg światła.

– Alex Delaware, panie doktorze – przedstawiłem się.

Sprawił wrażenie, że nie wie kim jestem.

– Jestem przyjacielem Sharon Ransom.

– Cześć, Alex. Na imię mi Paul. – Półuśmiech. Głos niski, dobywający się z piersi, starannie modulowany.

– Próbuję ustalić, gdzie ona jest – rzekłem.

Skinął głową, lecz nie odpowiedział. Milczenie przedłużało się. Czuję, że powinienem dodać jakieś wyjaśnienie.

– Od dwóch tygodni nie ma jej w domu, panie doktorze. Pomyślałem, że może pan wie, gdzie mogę ją znaleźć.

– Zależy panu na niej – stwierdził, jakby odpowiadając na pytanie, którego nie zadałem.

– Tak, zależy.

– Alex Delaware – rzekł.

– Dzwoniłem do pana kilkakrotnie. Wszędzie zostawiałem wiadomości.

Szeroki uśmiech. Odrzucił głowę do tyłu. Żółte włosy poleciały do tyłu, po czym spoczęły na czole. Wyjął klucze z portmonetki.

– Chętnie bym ci pomógł, Alex, ale nie mogę. – Ruszył ku drzwiom.

– Bardzo proszę, panie doktorze...

Zatrzymał się, obejrzał, popatrzył przez ramię, zmierzył mnie wzrokiem i znów się uśmiechnął. Lecz wyglądało to tak, jakby właśnie zjadł coś kwaśnego, jakby mój widok przyprawił go o mdłości.

„Paul cię lubi... Podobają mu się, co o tobie opowiadają”.

– Gdzie ona jest, panie doktorze?

– Fakt, że sama cię o tym nie powiadomiła, chyba o czymś świadczy, prawda?

– Proszę mi tylko powiedzieć, czy nic jej się nie stało. Czy wróci do Los Angeles, czy może wyjechała na stałe?

– Przykro mi – odparł. – Nie mogę ci udzielić żadnej informacji. Tajemnica lekarska.

– Pan jest jej terapeutą?

– Nadzoruję tok jej studiów. Zażyłość między opiekunem a studentką to trochę więcej niż mała psychoterapia.

Potrząsnął głową. I coś dziwnego zaczęło się dziać z jego twarzą. Górna jej część była spięta, sprawiała nieprzyjemne wrażenie – pod gęstymi, jasnymi brwiami wyblakłe brązowe oczy w zielone cętki wpijały się we mnie z intensywnością Svengalego. Ale gdzieś na wysokości nosa rysy mu się rozłaziły, a usta układały w głupi, niemal błazeński grymas.

Dwie osobowości – jedna twarz. Było w tym coś niezwykłego – sztuczna przymilność, pod którą kryła się wrogość, chęć ośmieszenia, dominacji.

– Proszę jej powiedzieć, że się o nią martwię – powiedziałem. – I bez względu na to, jak postępuje, zależy mi na niej.

– Życzę miłego wieczoru – odwrócił się i wszedł do domu.

Po godzinie, gdy byłem już u siebie, ogarnęła mnie wściekłość, i postanowiłem wykreślić Sharon ze swego życia, razem z tym jej cholernym kręceniem. Po miesiącu okrzepłem już w samotności, tyrałem jak wół i tak długo wmawiałem w siebie zadowolenie z takiego stanu rzeczy, aż wreszcie w to uwierzyłem.

I wtedy ona zadzwoniła. O jedenastej wieczorem. Wróciłem właśnie do domu, nieludzko zmęczony i głodny. Gdy usłyszałem jej głos, moją decyzję diabli wzięli, stopiła się jak resztki śniegu pod promieniami wiosennego słońca.

– Wróciłam. Przepraszam. Wszystko ci wyjaśnię – powiedziała. – Przyjedź do mnie za godzinę. Przygotuję dom na twoje przyjęcie. Zobaczysz.

Wziąłem prysznic, zmieniłem bieliznę i pojechałem do Nichols Canyon z niezłomnym postanowieniem, że pytaniami przyprę ją do muru. Czekala na mnie przed drzwiami w płomiennoczerwonej, krótkiej dżersejowej sukience, która ledwie ją przykrywała. Trzymała w ręku kieliszek z czymś różowym, pachnącym poziomkami. Ów zapach tłumił jej perfumy – ani śladu po „kwiatkach wiosny”.

Dom był jasno oświetlony. Zanim zdołałem coś powiedzieć, pchnęła mnie do środka i przywarła ustami do moich ust, lawirując językiem między moimi zębami. Przywarła do mnie z całych sił. Jej oddech przesycony był alkoholem. Wówczas stwierdziłem po raz pierwszy, że pije nie tylko 7-up. Gdy o tym powiedziałem, roześmiała się i cisnęła szklanekę do kominka. Szkło się rozprysło, a trunek zostawił różowe plamy na ścianie.

– Daiquiri, kochanie. Jestem chyba w tropikalnym nastroju. – Głos miała zachrypnięty, jak po przepiciu. Znowu mnie pocałowała, jeszcze mocniej, jeszcze bardziej zachłannie. Zamknąłem oczy, poddałem się oszalamiającej słodyczy tego pocałunku. Nagle się odsunęła. Otworzyłem oczy, zobaczyłem, jak wyślizguje się z czerwonych łasek, poruszając się w rytm tańca, oblizując wargi. Materiał opiął jej biodra, mocne szarpnięcie i sukienka leżała na podłodze. Krok do tyłu, co pozwoliło mi ogarnąć ją wzrokiem: bez bielizny, tylko czarny pas z podwiązkami, ażurowe pończochy i pantofle na wysokich obcasach.

Przesunęła dłońmi po ciele.

Była to komedia do kwadratu. Frederica z Hollywoodu, pamflet. Tylko Sharon była prawdziwa. Stałem jak wryty.

Szybko i wprawnie zerwała ze mnie ubranie. Podniecało mnie to, ale i przerażało.

Za gwałtownie.

Za profesjonalnie.

Jak często to robiła?

Z kim? Ilu ich było? Kto ją tego nauczył...?

Do diabła! Co to mnie obchodzi – pragnąłem jej.

Była górą, miała mnie w ręku, atakowała.

Całkiem już nadzy przywarliśmy do siebie. Jej palce wędrowały po moim ciele, paznokcie wbijały się w skórę zostawiając czerwone pręgi. Chwyła moją rękę, włożyła ją sobie między uda. Bawiąc się moimi palcami, wcisnęła je w głąb.

Jęknęła i odsunęła się ode mnie. Skręciła ciało, bym mógł się napatrzeć.

Chciałem zgasić światło.

– Nie – powiedziała. – Niech się pali. Chcę widzieć! Wszystko dokładnie!

Zauważyłem, że okna są odsłonięte. Staliśmy przed ścianą ze szkła, w pełnym świetle żarówek, na oczach całego Hollywoodu.

Zgasilem światło.

– Psujesz zabawę – powiedziała i uklękła przede mną, uśmiechając się. Przebierałem palcami w jej włosach, nic już nie było ważne, uczucie szczęścia owładnęło mną znowu. Odchyliła głowę, by złapać oddech, i szepnęła:

– Daj spokój. Chcę światła. Chcę to widzieć!

– W sypialni. – Wziąłem ją na ręce. Niosłem ją przez hol, a ona nie przestawała mnie całować i pieścić.

W sypialni też paliło się światło, ale wysoko usytuowane okna dawały poczucie bezpieczeństwa.

Położyłem ją na łóżku. Otworzyła się jak książka na ulubionej stronie. Byłem już na niej.

Wygięła się i rozwarła nogi, unosząc je ku górze. Włożyła mnie w siebie i kołysząc pośladkami, trzymając mnie na odległość ramienia, patrzyła na rytmiczne ruchy naszych ciał.

A jeszcze tak niedawno była uosobieniem skromności...

– Jesteś we mnie... O Boże! – Dotykała brodawek, sięgnęła dłonią lechtaczki, śledząc pilnie, czy widzę ruchy jej rąk.

Galopowała na mnie, to znów wyjmowała go z siebie, brała do ręki, przytulała do twarzy, kładła między piersi, owijała miękkim puklem swoich włosów. Potem wcisnęła się pode mnie, trzymała mocno, manipulując językiem przy odbytnicy.

Po chwili staliśmy szepieni, ona oparta o ścianę. Zmiana pozycji; ja blisko łóżka, ona na mnie,

wpatrzona w lustro nad komodą. Nie zaznawszy pełni satysfakcji, zsunęła się i pchnęła mnie do łazienki. Od razu wiedziałem, dlaczego. Szafy na dwóch ścianach, lustrzane drzwi, które można obracać pod takim lub innym kątem, widzieć siebie z boku, od tyłu. Zastanawiała się przez chwilę, po czym usiadła na zimnym podeście z glazury i drząc, chybotając pośladkami, znowu wsunęła mnie w siebie, wpatrzona w lustro.

Stoczyliśmy się na podłogę – jeździła na mnie, dotykała lechtaczki, manewrowała pochwą po mojej piersi, z góry na dół i z dołu do góry, i znowu wbijała się na mnie.

Kiedy zamknąłem oczy, krzyknęła: – Nie! – i rozwarła mi powieki. W końcu zatraciła się w rozkoszy, usta szeroko otwarte – dyszała, sapała. Szloch, i ukryła twarz w dłoniach.

Koniec.

Ja – po chwili. Odprężyła się, ale znowu zaczęła nade mną pracować, ruszała biodrami, opadła na posadzkę i szarpiąc mnie egoistycznie, szczytowała po raz drugi.

Chwiejnym krokiem dowlekliśmy się do sypialni i obejmując się czule zapadliśmy w sen – w pełnym oświetleniu. Spałem, a gdy się obudziłem, czułem się jak po narkotykach.

Nie było jej przy mnie. Zastałem ją w salonie. Włosy upięte, obcisłe dzinsy, bluzka – kolejny wizerunek. Siedziała na fotelu, popijała daiquiri i czytała magazyn psychologiczny. Nie widziała, że wszedłem.

Wsadziła palec do szklanki, wyjęła i zlizwała pianę.

– Cześć – powiedziałem z uśmiechem.

Spojrzała na mnie. Miała dziwny wyraz twarzy – tępy i znudzony. Gwałtowna zmiana. Brzydki wyraz twarzy.

Pełen pogardy.

– Sharon!

Odstawiła szklankę i wstała.

– Okay – rzekła. – Dostałeś, czego chciałeś, ty podły chuju! A teraz spierdalaj stąd! Dupę w troki i won z mego domu! Wynoś się!

Szybko się ubrałem, byle prędej. Czułem się sponiewierany jak pies. Minąłem ją, wybiegłem z domu i wskoczyłem do mojego ramblera. Ręce mi się trzęsły, gdy uruchamiałem silnik i wyjeżdżałem z Jalmii.

Dopiero na Bulwarze Hollywoodzkim doszedłem jako tako do siebie. Ale wciąż oddychałem z trudem, jakbym się czymś zatrul. I nagle zapragnąłem ją zniszczyć. Oczyszczyć własną krew z trucizny.

Krzyczałem.

Upajając się pięknymi myślami o morderstwie, pędziłem ciemnymi ulicami na złamanie karku.

Wjechałem na Bulwar Zachodzącego Słońca, mijałem nocne kluby, dyskoteki, a roześmiane twarze ludzi naigrawały się ze mnie. Gdy dojechałem do Doheny czułem już tylko dojmujący smutek. Odrazę.

Otóż to – nie będzie mi już robiła wody z mózgu.

Koniec.

Na to wspomnienie oblewa mnie zimny pot.

Kolejne zaplanowane wizyty.

I sobie też zapewniła kolejność. Pigułki i broń.

Rozdział 15

W czwartek rano zadzwoniłem na uniwersytet, do gabinetu Paula Kruse'a, choć właściwie nie wiedziałem, co mam mu do powiedzenia. Nie było go. Sekretarka nie miała pojęcia, kiedy wróci. Wyszukałem w książce telefonicznej numer jego prywatnego gabinetu. Były dwa: jeden przy Bulwarze Zachodzącego Słońca i drugi ten, który wynajął dla Sharon. Nikt nie odbierał. Ta sama śpiewka – stałem się, można powiedzieć, wirtuozem w tej grze. Pomyślałem, że może znów pojedę do niego do domu, bo wydzwanianie mi zbrzydło. W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi – posłaniec z czekiem od Trentona, Worthy'ego i La Rosy oraz dwie ładnie opakowane paczki, również z firmy prawniczej.

Dałem mu napiwek, a gdy poszedł, rozpakowałem przesyłki. W jednej chivas regal, w drugiej moët i chandon.

Napiwek dla mnie. Gdy zastanawiałem się nad przyczyną tej hojności, zadzwonił telefon.

– Dotarło? – zapytał Mal.

– Przed minutą.

– Świetnie trafione, może nie? Tylko nie wypij wszystkiego od razu.

– Z jakiego to tytułu, Mal?

– Wola siedmioosobowego zespołu. Wszyscy wytrawni prawnicy zebrali się i podjęli taką właśnie decyzję.

– Moretti też?

– Zwłaszcza on. Towarzystwo ubezpieczeniowe ma w tym największy udział. Po twoim zeznaniu tkwił parę godzin przy telefonie, ale nawet się specjalnie nie wysiłał. Kiedy skapitulował, reszta rozsypała się jak pionki na szachownicy. Denise i mały Darren wygrali los na loterii, doktorze.

– Bardzo się cieszę. Przypilnuj, żeby oboje otrzymali jakąś pomoc.

– Bogaci powinni pomóc, ale, oczywiście, będę na nią naciskał, żeby się upominała. *R'propos*, po tym wszystkim Moretti poprosił mnie o twój numer telefonu. Był pod silnym wrażeniem.

– Czuję się zaszczycony.

– Dałem mu.

– Straci tylko czas.

– Tak sądziłem. Ale nie mogłem mu powiedzieć, żeby się wypchał. Sam to zrób. Przypuszczałem, że ta wiadomość cię ucieszy.

O pierwszej wyszedłem, podejmując trud zrobienia zakupów. W dziale warzywnym nastąpiło zderzenie mojego wózka z wózkiem pchanym przez wysoką kobietę o kasztanowych włosach.

– Och, przepraszam. – Rozczepiłem wózki, odsunąłem się i ruszyłem w stronę pomidorów.

– To ja przepraszam – powiedziała wesoło. – Tłoczno tu jak na obwodnicy, prawda?

Sklep był prawie pusty, ale przyznałem jej rację.

– Owszem.

Uśmiechnęła się, pokazując rząd równych, białych zębów, i przyjrzałem się jej dokładniej. Trzydzieści z dobrym hakiem, ale może i po czterdzieście; gęste ciemne włosy okalały jej okrągłą, ładną buzię. Perkaty nosok, piegi, oczy koloru wzburzonego morza. Miała na sobie krótkie bawełniane szorty, dzięki czemu widać było w całej okazałości opalone, dobrze umięśnione nogi biegaczki; koszulkę bawełnianą o barwie lawendy, która podkreślała walory innej części ciała, a mianowicie wysokich, spiczastych piersi. Cienki złoty łańcuszek zdobił przegub jej dłoni. Paznokcie miała długie i srebrne – ale te na palcach wskazujących pokrywały diamentowo-lśniące nakładki.

– Co pan o tym sądzi? – zapytała wręczając mi melon. – Niezbyt dojrzały, bo za twardy, prawda?

– Nie, chyba dojrzały.

– Jest w sam raz, pańskim zdaniem? – Szeroki uśmiech, jedna noga zgięta w kolanie, wsparta na drugiej. Wyprostowała się, koszulka uniosła się do góry, ukazując płaski brązowy brzuch.

Obracałem melon w dłoni, opukałem go parę razy. – W sam raz – oświadczyłem. Gdy zwracałem jej owoc, nasze palce zetknęły się.

– Mam na imię Julie.

– Ja Alex.

– Już cię tu widziałam. Kupujesz mnóstwo chińskich warzyw, mam rację? Strzał w ciemno i niewypał, ale dlaczego miałbym jej sprawić przykrość?

– Faktycznie – powiedziałem.

– Przepadam za chińszczyzną – oświadczyła kładąc melon na wagę. Gdy włożyła go już do koszyka, zainteresowała się połówką ananasa. Zawinęła ją w plastik. – Wszystko dziś wygląda tak apetycznie. Aż ślinka leci.

Włożyłem do torby trochę pomidorów, wybrałem główkę sałaty, pęczek szalotek i pchnąłem wózek w stronę wyjścia.

– Jesteś adwokatem, tak?

Uśmiechnąłem się i potrząsnąłem przecząco głową.

– Hm, będziemy zgadywać... Architekt?

– Nie, jestem psychologiem.

– Naprawdę? Uwielbiam psychologów. Mój tak bardzo mi pomógł.

– To świetnie, Julie. – Pchnąłem wózek oddalając się od niej. – Miło nam się rozmawiało.

– Słuchaj – zaczęła. – Jestem na diecie oczyszczającej – jeden posiłek dziennie, lunch, mnóstwo węglowodanów... i nic jeszcze nie jadłam. Jestem głodna jak wilk. Tu obok jest bar dietetyczny. Nie miałbyś ochoty pójść ze mną?

– Wielką, Julie, ale nie mogę. Dziękuję za zaproszenie.

Czekała teraz na mój ruch. Nie doczekała się i mina jej zrzedła.

– Tak się złożyło – powiedziałem.

– Nie ma sprawy – rzekła i poszła swoją drogą.

Wychodząc ze sklepu usłyszałem mamrotanie:

– Każdy ładny to pedał.

O szóstej zjawił się Milo. I choć dopiero w poniedziałek miał być w komendzie, ubrany był na roboczo – luźny bawełniany garnitur, sprana koszula, koszmaryny krawat, znoszone buty.

– Cały dzień odwalałem śledczą robotę – powiedział, ale przedtem wyjął z lodówki piwo i stwierdził, że porządny ze mnie chłop, bo wreszcie zrobiłem zakupy. – Oddział Hollywoodzki, Archiwum Koronera, Budownictwo i Bezpieczeństwo. Przekłęte widmo twojej pani doktor. Chciałbym się wreszcie dowiedzieć, jakie diabelstwo kryje się za tym wszystkim.

Usiadł przy stole kuchennym. Zająłem miejsce naprzeciwko niego i czekałem, aż skończy pić.

– Wygląda, jakby nigdy nie miała do czynienia z żadnym urzędem – mówił dalej. – Czaiłem się, udawałem, że szukam kogoś innego, a tymczasem robiłem wszystko, by odnaleźć jakieś jej akta. Nic. Ani świstka, ani słowa w centralnym komputerze. Nie mogłem nawet ustalić, kto dzwonił do niej tej nocy, kiedy umarła, ani kto odbierał telefon. To samo u koronera. Żadnego raportu z autopsji, dokumentu z kostnicy, świadectwa zgonu, komunikatu do prasy. Nic. Krycie na wszystkich frontach, ponura historia. – Przetarł ręką twarz. – Jeden z patologów – ciągnął – to facet, którego Rick zna ze studiów. Zwykle jak z nim pogadałem, podawał mi wyniki przed ostatecznym napisaniem raportu, mówił mi o danych, których nie może zamieścić. Sądziłem, że teraz da mi chociaż kopię. Nic z tego. Wysilał się, jak mógł żeby mnie przekonać, że nie było żadnego raportu. Szybko się zorientowałem, że w tej sprawie nie mam co na niego liczyć.

– Czy to ten sam patolog, z którym rozmawiał Del?

– Nie. Tamten jest Włochem. Najpierw poszedłem do niego – skutek ten sam. Dyrektywy przyszły z góry, i to ostre. Przyznaję, że mnie to zaintrygowało.

– A może nie było to samobójstwo?

– Dlaczego tak uważasz?

– Paskudnie się naraziła wielu osobom.

– Na przykład?

Opowiedziałem mu o wykorzystywaniu seksualnym pacjentów, nie wymieniając nazwiska Leslie Weingarden.

– Piękna historia. Dlaczego nic nie mówiłeś?

– Źródło poufne. Nie mogę ci podać więcej szczegółów.

– Chryste Panie! – Wstał, zrobił rundę dokoła kuchni, usiadł, – Chcesz, żebym wykopał ci dół, a nie dajesz mi łopaty. O rany, Alex. – Poszedł po kolejne piwo. – Głupio kręcić kółkiem i stać w miejscu.

– Nie chciałem cię wpuszczać w maliny.

– Fiu, fiuuuu! – Machnął ręką. – Powiem ci teraz, że nie robię tego dla ciebie. Tylko dla siebie. Trapp. Ale według mnie to żadna kryminałka. Ransom odebrała sobie życie. Była mocno zaburzona, a ty potwierdzasz moją diagnozę.

– „Na krawędzi”.

Skinąłem głową. – Masz jakieś wiadomości o tej siostrze-bliźniaczce?

– Kolejne widmo. Żadnego śladu Shirlee Ransom ani u nas, ani nigdzie. Gdybyś chociaż przypomniał sobie nazwę szpitala, w którym ją odwiedziłeś, doszlibyśmy może po nitce do kłębka. A tak to robota głupiego.

– Nie przypomnę sobie tej nazwy, bo nigdy jej nie znałem. A gdyby tak przewertować teczki ośrodków opiekuńczych?

– Mówiłeś, że Ransom była bogata. Dlaczego jej siostra miałaby być w przytułku?

– Rodzice byli bogaci, wiele lat temu. Pieniądze się rozeszły, więc...

– Więc przy tych wszystkich jej kłamstwach już nie wiadomo, w co wierzyć.

Skinałem głową.

– Łgała jak z nut, chłopie. Tak jak z tym jej domem w Jalmii. Jest własnością korporacji, tak twierdzi agent obrotu nieruchomości Zrzeszenie o nazwie Posiadłości Zachodnie podlega Towarzystwu Dzierżawców, które z kolei podlega firmie oszczędnościowo-pożyczkowej, a ta Korporacji Magna. I na tym się kończy, ale nie dałbym za to głowy.

– Magna – powiedziałem. – Czy to nie jest firma Lelanda Beldinga?

– Była, póki żył. Nie mam pojęcia, kto jest teraz jej właścicielem. – Łyknał piwa. – Stary sknera, multimilioner. Dziś faceci tacy jak on idą na całego, najwyższe obroty. Ale on poszedł do piachu... Kiedy? Przed pięcioma laty?

– Mniej więcej. Czy nie kwestionowano przyczyny jego śmierci?

– Niby kto miałby to zrobić? Gość, który napisał tę bzdurną książkę? Zabił się po jej wydaniu, co tylko świadczy o tym, że miał coś na sumieniu. Nikt nie uwierzył w te brednie, nawet ci najbardziej podejrzliwi. Tak czy owak, ktokolwiek jest właścicielem korporacji, ona istnieje – podobno posiada największe dobra na zachód od Missisipi, tysiące parceli – słyszałem od ich urzędnika. Dom Sharon Ransom to jedna z wielu posesji. Teraz już rozumiesz ten pośpiech ze sprzedażą.

Skończył piwo, wstał i poszedł po następne.

– Jak się miewa twoja wątroba? – zapytałem.

– Wspaniale, mamusku. – Wypił spory haust. – Okay, na czym stanęliśmy? Magna. Rejestr ośrodków opiekuńczych, czy nie ma tam siostry. Tak, nie zaszkodzi spróbować, możliwe, że trafimy na jej ślad, tylko nie wiem, na jaką cholerę ona nam potrzebna, co nam to da. W jakim stopniu jest niepełnosprawna?

– W dużym.

– Może mówić?

– Nie.

– Kapitalne. Tyle że jeśli chcę pogadać z jarzynami, to idę do baru, gdzie podają sałatki. Zamierzam natomiast zrobić rzecz następującą: pojedę do Jalmii i przepytam sąsiadów. Może któryś coś o niej wie. Mam na myśli Sharon.

– O niej i o Trappie?

– To byłoby wspaniale!

Poszedł do pokoju, włączył telewizor, położył nogi na stoliku i zaczął oglądać wiadomości. Po minucie już spał. A ja wciąż rozmyślałem o tym czarnobiałym zdjęciu i o Shirlee, bo, inaczej niż Milo, przypuszczałem, że jest ona kimś ważnym. Zamknąłem za sobą drzwi gabinetu i zadzwoniłem

do Olivii Brickerman.

– Cześć, kochanie – powiedziała. – Niedawno wróciłam i zaczęłam właśnie obsługiwać księcia Alberta.

– Jeżeli odrywam cię od czegoś...

– To coś to szykowanie płatków owsianych ze śliwkami. Chwileczkę. – Wróciła po minucie. – Już jestem. Al się zajmie kolacją.

– Niezmiennie rozmowny.

Jej mążzonek, słynny mistrz szachowy i były redaktor kącika dla szachistów w „Time”, siwowłosy i siwobrody pan, o wyglądzie proroka ze Starego Testamentu, znany był z tego, że potrafił całymi dniami nie wypowiedzieć słowa.

– Odpowiada moim zapotrzebowaniom na gorący seks – dodała. – No dobrze, a co u ciebie, przystojniaczku?

– Wszystko gra, Olivio. A u ciebie? Wciąż jesteś zadowolona z pracy w sekcji?

– W gruncie rzeczy to trochę się pokomplikowało. Pamiętasz, jak się dostałam do pogotowia, prawda? Syn mojej siostry, Steve, psychiatra, chciał mnie wyratować z piekła służby miejskiej i załatwił mi u siebie posadę koordynatora świadczeń. Na krótką metę było fajnie – żadnych stresów, dobra pensja, nikt mi nie wymiotował na biurko, podczas przerwy na lunch mogłam sobie iść na plażę. I raptem Stevie przenosi się do Utah, do szpitala dla przedawkowanych narkomanów. Znęciła go możliwość jazdy na nartach. To fanatyk. „Dorwałem się do śniegu, ciociu Liwy”. Tak mówi doktor medycyny, Yale! Facet, który zajął jego miejsce, to typowy komputer, zimny drań, uważa, że pracownicy socjalni są o klasę niżej od sekretarek. Wszyscyśmy się już z nim ścięli. Nie bądź więc zdziwiony, kiedy dowiesz się pewnego dnia, że przeszałam na emeryturę. Ale dość na mój temat. Powiedz, co u ciebie.

– Świetnie.

– A u Robin?

– Wspaniale – powiedziałem. – Jest zapracowana.

– Czekam na zaproszenie, Alex.

– W najbliższym czasie.

– W najbliższym czasie, powiadasz? Dla pewności zawiąż sobie supełek na chusteczce, żebyś pamiętał, że jeszcze żyję i chętnie cię zobaczę. Powiedzieć ci makabryczny dowcip? Jaką zaletę ma choroba Alzheimera?

– No?

– Że codziennie spotykasz nowych ludzi. Czy to nie makabra? Ten nasz „komputer” to powiedział. Nie sądzisz, że miał w tym jakiś ukryty cel?

– Możliwe.

– Ja też tak uważam. S.O.B. Chrońmy nasze ciała.

– Mam do ciebie prośbę, Olivio.

– A już myślałam, że zabiegasz o moje.

Pomyślałem o łudzącym podobieństwie Olivii do Alfreda Hitchcocka i uśmiechnąłem się.

– Jedno drugiego nie wyklucza.

– No więc czego się po mnie spodziewasz, przystojniaczku?

– Czy wciąż masz dostęp do rejestrów ośrodków opiekuńczych?

– Chyba żartujesz. Mamy Ośrodki Opieki Społecznej, Opiekę Medyczną, Domy Dziennego Pobytu, Stowarzyszenia Pracowników Służby Zdrowia i jeszcze sto innych...

– Muszę zlokalizować byłą pacjentkę. Jest niepełnosprawna, wymaga stałej opieki i była hospitalizowana w małym ośrodku rehabilitacyjnym w Glendale, South Brand. Ten szpital już nie istnieje, a ja zapomniałem, jak się nazywał. Czy coś ci to mówi?

– Brand Boulevard? Nie. Wiele takich małych szpitali polikwidowano. Powstają korporacje – ci spryciarze sprzedają swoje udziały potentatowi z Minneapolis. Jeśli ona jest głęboko upośledzona, może się znajdować w ATD. Jeśli częściowo i jest zdolna do pracy – to może w FDI.

– ATD – powtórzyłem. – A nie mogła trafić do jakiegoś ośrodka opieki lekarskiej?

– Oczywiście. Jak ona się nazywa?

– Shirlee Ransom, przez dwa e. Trzydzieści cztery lata, urodzona piętnastego maja 1953 roku.

– Jaka diagnoza?

– Ma liczne problemy. Główna diagnoza to prawdopodobnie zaburzenia neurologiczne.

– Prawdopodobnie? Mówiłeś, zdaje się, że była twoją pacjentką?

– To skomplikowana historia, Olivio – powiedziałem z wahaniem.

– Rozumiem. Chyba nie popadłeś znowu w tarapaty, mam nadzieję?

– Nic podobnego. Chodzi o to, że wiążą się z tym pewne sprawy poufne. Głupio mi, że nie mogę sam się z tym uporać, ale jeśli ma to sprawić ci zbyt wiele kłopotu...

– Nie bądź taką mimozą. Przecież nie namawiasz mnie do zbrodni. – Chwila ciszy. – Prawda?

– Prawda.

– No więc, jeśli idzie o zebranie tych danych, to wiesz, że nasza działalność ogranicza się do pacjentów z terenu Kalifornii. Jeśli ta twoja Ransom jest leczona w naszym stanie, to będziesz miał szybko informacje. Ale jeśli jest gdzie indziej, będę musiała dotrzeć do głównego rejestru w Minnesocie, i to potrwa, może nawet tydzień. Gdyby natomiast otrzymywała jakąś rentę od rządu, to tak czy owak zdobędę jej adres.

– To takie proste?

– Oczywiście, wszystko jest w komputerze. Wszyscy jesteśmy na jakiejś liście. Komputer o gigantycznej pamięci powie ci, co jadłeś dzisiaj na śniadanie. Tak to wygląda, kochanie.

– Prywatność, ostatni nasz luksus – powiedziałem.

– Uwierz w to. Dobrze opakuj i wystaw na sprzedaż. Zarób miliard dolców.

Rozdział 16

W piątek rano zamówiłem na sobotę lot do San Luis, samolotem linii Sky West. O dziewiątej zatelefonował Larry Daschoff, by mi powiedzieć, że już wie, gdzie jest kopia tej taśmy porno.

– Myliłem się. Autorem jest Kruse – taka uciecha na własny użytek. Jeśli nie zmieniłeś zdania i chcesz ją obejrzyć, to mam półtorej godziny przerwy między pacjentami. Od dwunastej do wpół do drugiej. Spotkamy się na miejscu i obejrzymy to dzieło.

Podał mi adres w Beverly Hills. Chwila zastanowienia przed skokiem ze skały. Czuję się paskudnie, miałem wstręt do samego siebie.

– Di?

– Przyjadę.

Beverly Hills Flats przy North Crescent Drive – kosztowna preria ciągnąca się od Bulwaru Santa Monica do Bulwaru Zachodzącego Słońca i potem z Doheny na zachód, do hotelu Beverly Hilton. Standard domów we Flats był bardzo zróżnicowany – od skromnych, z dwiema sypialniami, podobnych do tych przy robotniczym trakcie, do luksusowych rezydencji, na tyle dużych, by ego polityka czuło się swobodnie. Te skromne kosztowały półtora miliona.

Z racji spokojnego, miłego sąsiedztwa lekarzy, ludzi show-biznesu, Flats stało się przechowalnią atrakcyjnej obcej waluty podejrzanego pochodzenia. Ów łatwy pieniądz sprowokował manię monumentalnego budownictwa, uwolnionego z więzów tradycji i dobrego gustu; więc gdy jechałem wzdłuż Crescent, połowa domków wyglądała tak, jakby każdy z nich ilustrował inną modę w architekturze. Z efektu finalnego dumny byłby sam Disney: ozdobiony wieżyczkami, bez fosy, ale za to z kortami tenisowymi, pseudomauretański minimeczet, włosko-holenderskie trufle, olbrzymie pierniki, domostwa nawiedzane przez duchy oraz postmodernistyczne konstrukcje o dyktowanych przez bujną fantazję kształtach.

Samochód Larry'ego był zaparkowany przed zieloniutkim domem w stylu pseudofrancuskim-pseudoregencyjnym, z akcentami hotelu Ramada: upstrzone błyskotkami ściany ze stiuku, mnogość mansard, markizy w zielonoszare paski, okna opatrzone zewnętrznymi żaluzjami, części drewniane w kolorze oliwki. Trawnik składał się z dwóch kwadratów bluszczu rozdzielonych cementową ścieżką. Spośród bluszczu wyłaniały się śnieżnobiałe gipsowe posążki – nagie cherubiny. Ślepa sprawiedliwość w agonii, kopia Piety. Na podjeździe stała cała fabryka aut: jaskraworóżowy 57 T-bird; dwa rolls-royce'y, silver shadows, jeden srebrny, drugi złoty; lincoln town-car w kolorze kasztana z czerwonym plastikowym dachem i ze słynnym znaczkiem fabrycznym na przydymionych szybach.

Zaparkowałem swój wóz. Larry, machając ręką, wysiadł z chevroleta.

Widząc moje utkwione w domu spojrzenie, powiedział:

– Ładne *recherche*, prawda, Di?

– Kim są ci ludzie?

– Nazywają się Gordon i Chantal Fontaine. Dorobili się na meblach ogrodowych gdzieś na środkowym wschodzie – plastik i rurki z aluminium. Przed paroma laty zarobili kupę pieniędzy, przeprowadzili się do Beverly Hills i osiedli na laurach. Dają moc forsy na cele dobroczynne, przed Świętem Dziękczynienia zaopatrują dzielnice nędzy w indyki; kreują się na hojnych dobroczyńców, którymi zresztą faktycznie są. Ale kochają porno. Co graniczy niemal z kultem. Są sponsorami, mówiłem ci o tym, oni właśnie sponsorują badania Kruse’a.

– Ludzie całkiem prości, tak?

– Zgadza się. Nie interesuje ich żaden sadomasochizm czy pedofilia. Po prostu porządny staroświecki seks w łóżku. Twierdzą, że to ich odmładza, cementuje ich małżeństwo, mają do tego prawdziwie ewangeliczny stosunek. Gdy Kruse rozpoczynał tę swoją pracę badawczą, dowiedział się o ich istnieniu i namówił ich na pieniądze. Byli uszczęśliwieni, że ktoś w końcu podjął się edukacji społeczeństwa na temat terapeutycznych właściwości erotyki. Wyłożyli więc forszę – musiało tego być ładnych parę tysięcy dolców. Możesz sobie wyobrazić, jak się poczuli, kiedy Kruse zmienił kurs i zaczął robić filmy pod pruderyjną publiczność. Starzy nie mogą dojsć do siebie. Wciąż są tym zemocjonowani. Gdy zadzwoniłem, Gordon przypomniał sobie, że współpracowałem z Kruse’em, i powiedział, co o nim sądzi, że to mianowicie skończone bydlę i zakała ludzkości. Zdaje mi się, że sprawiło mu to ulgę. Powiedziałem od razu, że nigdy nie zaliczałem się do fanów Kruse’a, i wyłuszczyłem, na czym nam zależy. Uspokoił się i od razu zgodził. Chyba perspektywa przyjscia nam z pomocą podziałała nań ożywczo. Wszyscy fanatycy lubią się popisywać.

– Jaki podałeś mu powód? Niby dlaczego chcemy obejrzeć ten film?

– Gwiazda nie żyje, byliśmy jej dawnymi przyjaciółmi i chcemy wiedzieć o niej wszystko, zapamiętać każdy szczegół życia. Czytali o tym wypadku i ich zdaniem ten film to jej wspaniały pomnik.

Znów poczułem się jak prymitywny podglądacz.

Larry wyczytał to z mojej twarzy, zapytał:

– Łamiesz się?

– To jakby... zerowanie na czymś...

– Racja. Lecz to samo dotyczy panegiryków. Może chcesz się wycofać? Pójdę i odwołam wizytę.

– Nie – powiedziałem. – Idziemy.

– Tylko nie miej takiej udręczonej miny – zgodzili się na ten pokaz między innymi dlatego, że przedstawiłem cię jako sympatyka ich hobby.

Przymknąłem oczy, zrobiłem głęboki wdech.

– Jaki rozmiar? – zapytałem.

– Jak na Oskara.

Doszliśmy do drzwi. Solidna płyta, błyszcząca, w kolorze oliwki.

– Od strony mieszkania są zielone – powiedział Larry. – Bardzo subtelny odcień.

– Jesteś pewien, że mają tę taśmę?

– Gordon powiedział, że tak. Dodał, że dysponują jeszcze czymś innym, co mogłoby nas zainteresować.

Nacisnął dzwonek, rozległy się pierwsze tony „Bolera” i drzwi się otworzyły. W progu stała pokojówka z Filipin, w białym uniformie, drobna trzydziestolatka w okularach, włosy upięte w kok.

– Słucham?

– Doktor Daschoff i doktor Delaware przyszli z wizytą do państwa Fontaine.

– Proszę do środka – powiedziała pokojówka.

Wkroczyliśmy do wysokiej na dwa piętra rotundy, ozdobionej freskami ściennymi o tematyce sielankowej: błękit nieba, zieleń trawy, kudłate owieczki, kopy siana, pastuszek grający na fujarce w cieniu rozłożystego plątanu.

Na tle tej rustykalnej niebiańskości siedziała na leżaku naga tęga kobieta w średnim wieku, siwa, z grubymi nogami. W jednej ręce trzymała ołówek, w drugiej pismo z krzyżówkami; nie zauważyła naszego przybycia.

Pokojówka, widząc nasze zdziwienie, poklepała siwą głowę kobiety.

Głuchy dźwięk.

Rzeźba.

– Oryginał. Lombardo – powiedziała. – Bardzo drogi. Podobnie jak tamto. – Spojrzała w górę. Z sufitu zwisało coś w rodzaju ruchomej rzeźby Caldera. Otaczał ją łańcuszek bombek na choinkę – taki żyrandol własnego wyrobu.

– Mnóstwo pieniędzy – oznajmiła pokojówka.

Dokładnie przed nami – spirala skręcających w lewo schodów wysłanych szmaragdowym dywanem. Przestrzeń pod schodami przesłaniały grube chińskie kotary. Takie same strzegły progów komnat.

– Proszę za mną – powiedziała. Ten jej uniform odsłaniał nagie plecy, był króciutki, ledwo przykrywał pośladki. Moc brązowej skóry. Wymieniliśmy z Larrym spojrzenia. Wzruszył ramionami.

Pokojówka, odsłoniwszy chińską kotarę, poprowadziła nas dalej, jeszcze dwadzieścia stóp, jeszcze jedno pomieszczenie. Szła posuwistym krokiem, my za nią w pewnej odległości, przez hol, ku zielonym metalowym drzwiom. Przykrywając dłoń jedną ręką, wcisnęła na tabliczce pięciocyfrowy kod, włożyła klucz, przekręciła go i drzwi się otworzyły. Weszliśmy do małej windy, której ściany były obite złotym brokatem, obwieszane miniaturkami z kości słoniowej – sceny z Kamasutry. Nacisnęła przycisk. Ruszyliśmy w dół. Staliśmy ramię przy ramieniu. Pokojówka pachniała talkiem dla dzieci. Miała znudzoną minę.

Znaleźliśmy się w małym, ciemnym przedpokoju, i prowadzeni przez dziewczynę przekroczyliśmy japońskie podwójne drzwi.

Okazało się, że jesteśmy w ogromnym, wysokim pokoju bez okien, wielkości co najmniej trzech tysięcy stóp kwadratowych, wyłożonym czarną boazerią. Było tu mroczno, chłodno i cicho.

Gdy moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, zdołałem odróżnić parę szczegółów: mosiężne stelaże półek na książki, niskie stoliki, katalogi, gabloty, biblioteczne drabinki, wszystko pociągnięte ciemnobrązową politurą. Nad nami płaski sufit z czarnego dębu korkowego. Podłoga przykryta ciemnym dywanem. Jedyne źródło światła to przysłonięte zielonymi abażurami lampki na stolikach. Słychać było szum klimatyzacji. Dojrzałem na suficie czujniki alarmowe, sygnalizujące pojawienie się ognia lub dymu. Na ścianie – wielki barometr.

Skarbiec tego domu.

– Dziękuję, Roso – usłyszeliśmy głęboki, niski, męski głos.

Przymrużyłem oczy i zauważyłem ludzkie sylwetki: przy jednym z dalszych stolików siedzieli blisko siebie mężczyzna i kobieta.

Pokojówka skłoniła się, odwróciła i odpłynęła. Wówczas rozległ się ten sam głos:

– Mała Rosie Ramos w latach sześćdziesiątych była prawdziwą gwiazdą. „Px Mamas”, „Ginza Girls”, „Choose One From Column X”.

– Trudno dziś o dobrą pokojówkę – szepnął Larry. A pełnym głosem i rzucił: – Jak się macie, moi drodzy.

Para wstała i ruszyła ku nam. Z odległości dziesięciu stóp można już było rozróżnić ich twarze: wyłaniający się z cienia bohaterowie filmu.

Mężczyzna był starszy niż przypuszczałem – siedemdziesiątka lub coś koło tego, niski i krępy, gęste, proste, siwe włosy zaczesane do tyłu, twarz o wydatnych szczękach, w typie Xaviera Cugata. Nosił okulary w czarnej oprawce, ubrany był w białą koszulę, brązowe spodnie i mokasyny z garbowanej skóry.

Nawet bez butów kobieta była przynajmniej o piętnaście centymetrów wyższa od męża. Jakieś pięćdziesiąt siedem, osiem lat, szczupła, o ładnych rysach twarzy, eleganckiej sylwetce, rudych, krótko obciętych włosach, delikatnie zaondulowanych, jakby same się kręciły; miała ten rodzaj jasnej, piegowatej skóry, na której znać każdy, najmniejszy siniak. Miała na sobie tajwańską jedwabną suknię koloru jasnobeżowego z motywem smoków i kołnierzem *à la* mandaryn. Biżuteria z nefrytu, na nogach ażurowe czarne pończochy i czarne baletki.

– Dzięki za zaproszenie – powiedział Larry.

– Cała przyjemność po naszej stronie – odparł mężczyzna. – Dawnośmy się nie widzieli... Przepraszam, obecnie już doktor Daschoff, prawda?

– Dr fil. – dodał Larry. – Czyli drąż i filuj.

– Nie, nie – zaprotestował gospodarz. – Nie żartuj. Powinieneś być z tego dumny. – Potrząsnął dłonią Larry'ego. – Wielu terapeutów czuwa nad Los Angeles. A jak tobie się wiedzie?

– Gordie, nie bądź taki niedyskretny – powiedziała pani domu.

– Nie narzekam, Gordon. – I zwracając się do niej: – Cieszę się, że cię widzę, Chantal.

Dygnęła i wyciągnęła dłoń.

– Ja też, Lawrence.

– Przedstawiam wam doktora Alexa Delaware, mojego kolegę i przyjaciela. Alex, państwo Chantal i Gordon Fontaine.

– Alex – rzekła Chantal i znowu dygnęła. – Bardzo mi miło. – Ujęła moją dłoń obiema rękami. Były miękkie, gorące i wilgotne. Miała duże oczy koloru orzecha i mocno pofałdowaną linię podbródka. Gruba warstwa makijażu, niemal kredowa powłoka, nie zdołała jednak zamaskować zmarszczek. A w oczach czaił się ból – kiedyś musiała być świetna i nie potrafiła pogodzić się z myślą, że to już przeszłość.

– Miło mi cię poznać, Chantal – powiedziałem.

Uścisnęła mi mocno dłoń. Jej mąż zlustrował mnie wzrokiem i rzekł:

– Masz fotogeniczną twarz, doktorze. Występowałeś kiedyś?

– Nie.

– Pytam dlatego, bo człowiek odnosi wrażenie, że wszyscy mieszkańcy Los Angeles gdzieś kiedyś występowali. – Otoczył żonę ramieniem. – W twoim typie, prawda?

Uśmiechnęła się lodowato.

– Ma słabość do mężczyzn o kędzierzawej czuprynie – ciągnął Gordon. – Położył rękę na swojej, nie kędzierzawej, i uniósł ją w górę, ukazując goły czerep. – A ja mam taką. Prawda, kochanie? – Umieścił perukę z powrotem na czaszce, przyklepał. – Czy Larry mówił ci o naszej małej kolekcji?

– Ogólnie.

Skinał głową.

– Wiesz, co się mówi o kolekcjonowaniu dzieł z dziedziny czystej sztuki? To wszystko brednie, ale rzecz wymaga pewnego ustalenia i *panache*, by zyskało znaczący wymiar. Pracujemy więc w pocie czoła, by uzasadnić nasze stanowisko. – Rozłożył ramiona w geście błogosławieństwa. – To, co tu widzisz, zajęło nam dwadzieścia lat i nie powiem, ile wpakowałem w to dolarów.

Wiedziałem, co mam mówić.

– Chętnie obejrzę.

Następne pół godziny spędziliśmy na zwiedzaniu czarnego pokoju. Wszystkie rodzaje pornografii w zdumiewającej wprost ilości i różnorodności – skatalogowane i opisane. Gordon Fontaine, podskakując, oprowadzał nas z werwą; używając zdalnie sterowanego regulatora zapalał i gasił światła, zamykał i otwierał szafki. Małżonka dotrzymywała mu kroku, wciskając się między mnie i Larry'ego.

– Spójrzcie. – Gordon otworzył szufladę i rozwiązał kilka teczek z erotycznymi litografiami. Podpisy mówiły same za siebie: Dali, Beardsley, Grosz, Picasso.

Stanęliśmy przed szklaną gablotą zaopatrzoną w system alarmowy, w której znajdowały się stare angielskie manuskrypty na pergaminie, iluminowane scenkami wieśniaków kopulujących ze zwierzętami domowymi.

– Okres pregutenberski – powiedział Gordon. – Chaucerowskie apokryfy. – Chaucer był pisarzem zdecydowanie seksualnym. Tego was w szkole nie uczyli.

W innych szufladach były rozmaite szkice erotyczne – od włoskiego renesansu po sztukę japońską – akwarele przedstawiające kurtyzany w kimonach splecione z mężczyznami o minach stoików, szarpiącymi nadgorliwie seksualny ekwipunek obojga.

– Nadkompensacja – powiedziała Chantal. Trąciła mnie lekko w ramię.

Obejrzelśmy zestaw talizmanów płodności, erotycznych drzeworytów, przedmiotów wspomagających, antycznej damskiej bielizny. Po pewnym czasie w oczach zaczęło mi się mącić.

– Używały jej dziewczyny Brendy Allen – powiedział Gordon, wskazując na komplety jedwabnej żółtej bielizny. – A ta czerwona pochodzi z nowoorleańskiego burdelu, gdzie Scott Joplin grał na fortepianie. – Uderzył palcem w szkło. – Gdyby te szatki potrafiły mówić, co?

– Rzeczy do jedzenia też mamy – wtrąciła Chantal. – W gablocie-chłodziarce.

Mijaliśmy rozmaite przedmioty służące seksualnym podnietom; zbiór obscenicznych dowcipów, różnych nowinek, rejestr sprośnych albumów oraz to, co Gordon określił jako „najwspanialszy na świecie zbiór sztucznych penisów”. Sześćset pięćdziesiąt trzy sztuki, moi panowie, z całego świata. Każdy rozmiar, jaki można sobie tylko wyobrazić – od małego strączka z drewna po ozdobną kość słoniową.

Muśnięcie ręki po karku. Obróciłem z lekka głowę, Chantal patrzyła na mnie z uśmiechem.

– Nasza biblioteka – ciągnął Gordon, wskazując na półki z książkami.

Opasłe tomy o pozłacanych grzbietach, oprawne w skórę; książki współczesne w miękkiej i twardej oprawie; tysiące magazynów, niektóre zwinięte w rulon, z opaską opatrzoną pieczęcią; okładki innych nie zostawiały pola wyobraźni – wielcy panowie o obrzękłych twarzach, skąpane w spermie kobiety o oczach szeroko rozwartych. Tytuły jak na przykład: „Podwójnie dymana stewardesa” lub „Oprzrzyządowanie do dziurek”.

Państwo Fontaine musieli znać osobiście wielu modeli i wiele modelek i wypowiedali się o nich z niemal rodzicielską troską: – To Johnny Strong, parę lat temu przeszedł na emeryturę i teraz sprzedaje w Tilburn papiery wartościowe. Patrz, Gordie, to Laurie Ruth Sloan, mleczna królowa we własnej osobie:

– Wyszła za mąż dla pieniędzy. Jej mąż to istny faszysta, nie pozwolił jej uprawiać sztuki.

– Idźmy dalej – powiedział Gordon – do *pièce de résistance*.

Trzask przełącznika pilota i jedna z szafek na książki obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni. Zobaczyliśmy matowo-czarne drzwi, które otworzyły się na rozkaz Gordona. W środku znajdował się duży pokój z ekranem aż pod sufit. Całe dwie ściany były obwieszane metalowymi pojemnikami z taśmami filmowymi i kasetami.

Trzy rzędy czarnych, skórzanych głębokich foteli – w każdym rzędzie po trzy. Na ścianie przeciwległej do ekranu wisiał na samej górze lśniący metalem projektor.

– Najczystsze obrazy, jakie kiedykolwiek przyszło wam widzieć – oznajmił Gordon. – Wszystko na najwyższym filmowym poziomie, i duplikaty przebrane na taśmę wideo. Oczywiście zachowujemy oryginał. Mamy fachowca najwyższej klasy – dwadzieścia lat przepracował w studio archiwalnym, następne dziesięć w Amerykańskim Instytucie Filmowym. A nasz kustosz to dobrze znany krytyk filmowy, którego nazwiska nie mogę wymienić. – Od chrząknął. – Bo ma zbyt giętki kręgosłup.

– Niesamowite – powiedziałem.

– Wszystko przekazemy w darze największemu amerykańskiemu uniwersytetowi – rzekła Chantal. – We właściwym czasie.

– Ten właściwy czas – dorzucił Gordon – to po mojej śmierci.

– Przestań, Gordie. Ja umrę pierwsza.

– W żadnym wypadku, skarbie. Nie zostawisz mnie samego z moimi wspomnieniami i z tą ręką. – Pomachał pulchną dłonią.

– Spokojna głowa, świetnie dasz sobie sam radę.

Poklepał żonę po ręce. Wymienili czułe spojrzenia.

Larry popatrzył na zegarek.

– Och, prawda! – powiedział Gordon. – Jestem na emeryturze i zapominam, że czas mija. Chcieliście obejrzeć taśmę Shawny.

– Shawny? – zapytałem.

– Shawna Blue. Pod takim imieniem piękna Sharon występuje w tym filmie.

– Zawsze nazywaliśmy ją „Piękna Sharon” – dodała Chantal. – Bo była taka urocza, bez skazy. Niebieska Shawna to było jej imię miłosne. – Potrząsnęła głową. – Jakie to smutne, że umarła. W dodatku śmiercią samobójczą.

– Jak to odebrałaś? Byłaś tym zaskoczona? – zapytałem.

– Oczywiście – odparła. – Podnieść na siebie rękę... jakie to straszne.

– Dobrze ją znałaś?

– Niezbyt. Spotkaliśmy się chyba raz, prawda, Gordie?

– Tak, raz.

– Ile nakręciła filmów?

– Ta sama odpowiedź – rzekł Gordon. – Jeden. I nie było to przedsięwzięcie komercyjne. Przedsięwzięcie edukacyjne. Przynajmniej tak miało być.

To „przynajmniej tak miało być” kazało mi zadać następne pytanie.

– A masz wątpliwości?

Zmarszczył brwi. – Łożymy pieniądze z myślą o edukacji społeczeństwa. Produkcją zajmował się ten wredny karaluch Kruse.

– Podglądacz – dorzuciła Chantal. – Bardzo *à propos*.

– Twierdził, że jest to część programu jego badań naukowych – ciągnął Gordon. – Kiedyś nam powiedział, że jedna z jego studentek zgodziła się zagrać w filmie erotycznym; miała to być jej praca semestralna.

– Kiedy to było?

– W siedemdziesiątym czwartym – odparł. – Październik lub listopad. Tuż po wstąpieniu Sharon na uniwersytet. Szybki skurwysyn.

– Miało to wchodzić w zakres jego pracy naukowej – mówił dalej. – Nie urodziliśmy się wczoraj, czuliśmy, że coś tu śmierdzi, ale Kruse zapewniał nas, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, pokazywał nam pisma z pieczętką uniwersytetu. Przyprowadził nawet Sharon, tu, do nas, i to był ten jedyny raz, kiedyśmy się widzieli. Była bardzo ożywiona, bardzo w typie Marilyn.

– Marilyn – powiedziałem. – Masz na myśli Monroe?

– Tak. Reprezentowała ten sam niewinny erotyzm.

– Czy była blondynką?

– Platynową – odparła Chantal. – Jak promień słońca odbity w tafli jeziora.

– Przecież Sharon miała czarne włosy – powiedział Larry.

– Nic mi o tym nie wiadomo – rzekł Gordon. – Może Kruse kłamał zawsze i wszędzie. Przyjęliśmy go w naszym domu, pokazaliśmy mu kolekcję, a on nas oszukał i opowiadał tym kołtunom, że uprawiamy stręczycielstwo.

– Wygłaszał mowy przed kościołem – powiedziała Chantal, tupnąwszy nogą. – Stał tam i opowiadał o nas straszne rzeczy, że jesteśmy zwyrodnialcami, zбочeńcami. Mój Gordie jest ostatnim człowiekiem, który by zasługiwał na takie określenie. Nie wymieniał naszego nazwiska – dodała. – Ale wiadomo, że o nas myślał.

– Jego własna żona była gwiazdą pornosów – wtrąciłem. – O tym też mówił przed kościołem?

– Suzy? – spytał Gordon. – Nie nazwałbym jej gwiazdą. Podrzędna aktoreczka. Zawsze mógł powiedzieć, że wyrwał ją z pęt grzechu. Przypuszczalnie jednak nie potrzebował się tłumaczyć. Ludzie mają krótką pamięć. Przestała pracować i zniknęła. Uczynił z niej prawdopodobnie małą, potulną hausfrau, wiesz, jaki on jest. Ma bzika na punkcie władzy.

Przypomniały mi się słowa Larry'ego na przyjęciu: „Żadny władzy byk”.

– Idziemy – powiedział Gordon. Wszedł w czerń pokoju i zaczął manipulować przy aparacie.

– Kruse dostał nominację na dziekana wydziału psychologii – powiedziałem.

– To skandal – orzekła Chantal. – Ktoś na pewno lepiej się do tego nadaje.

– Na pewno – zgodziłem się.

– Gotowe! – krzyknął Gordon z drugiego końca pokoju. – Siedzicie wygodnie?

My z Larrym usiedliśmy w pierwszym rzędzie, między nami Chantal. W pokoju było ciemno, tylko ekran lśnił martwą bielą.

– Zaczynamy – obwieścił. – Występują nieżyjąca już panna Shawna Blue oraz nieżyjący już pan Michael Starbuck.

Na ekranie pojawiły się skaczące smugi, a zaraz potem błyszczące cyfry, odliczane od góry. Siedziałem sztywno wyprostowany, wstrzymując oddech, i pytałem sam siebie: na jaką cholere, idioto, tu przylazłeś?! Potem zawirowały przede mną biało-czarne obrazy i już nie wiedziałem, co się ze mną dzieje.

Szum projektora zakłócał ciszę. Białe litery przypominające pismo maszynowe na czarnym tle obwieszczały:

BADANIE LEKARSKIE

występują:

Shawna Blue

oraz

Mickey Starbuck

Produkcja: Stowarzyszenie Twórców Wyobrażeń

Twórcy wyobrażeń. Tabliczka na drzwiach. Sąsiedzi Kruse'a w budynku przy Bulwarze Zachodzącego Słońca...

Reżyseria:

Pierre le Voyeur

Biało-czarne smugi ogarnęły doktora dokonującego przeglądu pokoju – staromodny, obramowany emaliowanym metalem fotel ginekologiczny, tablica z wykresami, perkalowe zasłony i sześć oprawionych dyplomów zawieszonych na ścianie.

Otworzyły się drzwi. Weszła kobieta. Kamera nie spuszczała z niej oka, szczególnie długo zatrzymała się na jej pośladkach.

Młoda, piękna, hojnie przez naturę wyposażona, o długich, falujących, platynowo-jasnych włosach. Miała na sobie obcisłą, krótką dżersejową sukienkę, która ledwie ją osłaniała.

Film był czarnobiały, ale ja wiedziałem, że ta suknia jest czerwona.

Szybkie zbliżenie i jej twarz wydała się jeszcze piękniejsza. Twarz Sharon. Pomimo peruki nie miałem co do tego wątpliwości. Czuję się chory, rozbity, i żałowałem, że tu przyszedłem. Patrzyłem na ekran wzrokiem dziecka obserwującego egzekucję pluskwy.

Kamera zmieniła kierunek. Sharon podskoczyła w piruetach do lustra, zmierzwiła włosy. Buczenie projektora i szybka zmiana – wielkie oczy patrzyły z ekranu.

Przebijały mnie na wskroś.

Rzut na całe ciało, niżej, na pośladki, seria szybkich zbliżeń – usta, ręce, piersi.

Tandeta, najtańsza z najtańszych. Ale magia. Perwersyjna magia – oto ona znowu żyje, jest tam, śmieje się, daje znak dłonią – nieśmiertelność ukryta w świetle i cieniu. Całą siłą woli powstrzymałem się, by nie wyciągnąć do niej ręki, nie dotknąć jej. Poczułem nagłą potrzebę wyrwania jej z ekranu, wtłoczenia w nasz ziemski czas. Ocalić ją!

Chwyciłem się mocno za łokcie. Serce waliło mi młotem, szumiało w uszach niczym zimowy sztorm.

Przeciągnęła się ruchem omdlewającym, zwilżyła wargi. Kamera była tak blisko jej języka, że wyglądał jak jakiś wielki, morski stwór. Kolejne zbliżenie: wilgotne, białe zęby pochylenie się do przodu, błysk kamery na rozwarte pośladki. Nabrzmiące brodawki jak księżycowe kraterzy. Dłonie szarpiące piersi, ugniatające brodawki.

Kręciła biodrami, pokazując samą siebie, szczęśliwa, że jest obiektem spojrzeń.

„Nie gaś światła. Chcę to widzieć. Wszystko chcę widzieć”.

Przypomniały mi się lustra w jej łazience i aż się spociłem.

W końcu te ustawiczne zmiany zbliżeń i nieustanne buczenie kamery pomogły mi przywrócić Sharon tylko dwa wymiary.

Nabrałem powietrza w płuca, przymknąłem oczy, próbując za wszelką cenę zachować pozory obojętności. Zanim zdołałem wypuścić powietrze, poczułem coś na kolanie. Ręka Chantal. Spojrzałem na nią kątem oka. Patrzyła prosto przed siebie, usta miała lekko uchylone.

Milczałem licząc na to, że nie posunie się dalej. Znów wpatrzyłem się w ekran.

Sharon demonstrowała taneczny striptiz – zrzucała łańcuszki powoli, po chwili miała już na sobie tylko pas, siatkowe pończochy i pantofle na wysokim obcasie – parodia Frederiki z Hollywoodu – przesuwiała dłońmi po ciele, wyginała się, prężyła, grała przed kamerą.

Ale coś było nie tak, tkwił w tym wszystkim jakiś fałsz.

Im bardziej usiłowałem dociec, na czym ów fałsz polegał, tym mniej wiedziałem, gubiłem się. Chińska łamigłówka. Dałem sobie spokój, samo wpadnie mi do głowy.

Kamera zajęła się ginekologią, coraz wyżej, cal po calu.

Sharon na fotelu ginekologicznym pieściła się, oglądała własne krocze.

Oko kamery przeniosło się na klamkę drzwi. Drgnęła. Drzwi się otworzyły. Wszedł barczysty, wysoki, śniady mężczyzna z notatnikiem w dłoni. Trzydzieści parę lat, długi biały kitel, latarka na czole, stetoskop. Wąska zmysłowa twarz, krzywy nos, cienkie szerokie usta, lekko skośne oczy.

Wzrok miał rozbiegany jak oszust dokonujący transakcji, włosy błyszczące niczym buty wyczyszczone do połysku, z przedziałkiem pośrodku. Kreska wąsów nad górną wargą.

Klasyczny żigolo i piękna, głupia blondynka.

Patrzył na Sharon, unosił brwi, mrugał do kamery.

Sharon wskazuje palcem krocze, wykrzywia się boleśnie.

Facet drapie się po skroni, zerka do notatnika i sięga po stetoskop. Stoi nad nią na zgiętych kolanach, z głową wsuniętą między uda, zagłada, bada. Unosi wzrok, wzrusza ramionami.

A ona robi minę do kamery i wcisnąwszy jego głowę głębiej, aż się zwija z rozkoszy.

On unosi twarz, że niby chce zaczerpnąć powietrza. Ona znowu jednym gestem głowę między uda. Co dalej – wiadomo. Zbliżenie: spodnie wzniesione erekcją, ona napiera na niego, wsadza sobie palce do rozchylonych ust, ssie.

Odsuwa mężczyznę i zabiera się za rozporek. Spodnie opadają aż do kostek. Zrywa z niego kitel. Jest bez koszuli, tylko krawat na szyi. Szarpie krawat, a jemu sztywnieje coraz bardziej. Bierze go w usta, żarłocznie, oczy szeroko rozwarte.

Gdy wsunął się w nią na fotelu, poczułem, że palce Chantal wędrują coraz wyżej po moim udzie. Przytrzymałem je dłonią, przerywając dalszą akcję, poklepałem po przyjacielsku i łagodnym ruchem przeniosłem rękę pani domu na jej własne kolano. Nie powiedziała ani słowa, nie drgnął żaden mięsień.

Raptem komiczna wręcz zmiana układu. Zbliżenie obydwu twarzy bohaterów – wykrzywionych. Coś mówi, o czymś ją uprzedza, kilka gwałtownych ruchów lędźwi i cudowna aura orgazmu wypełnia pokój.

Odnalazła coś na brzuchu, polizała palce. I znowu mrugnięcie do kamery.

Biały ekran.

Badanie lekarskie przechodzi w seks. Kolejne wizyty...

Gardło miałem zaciśnięte. Byłem zły, smutny...

Pokój tonął w łaskawych dla mnie ciemnościach.

– No tak – powiedział w końcu Gordon. – Tak to się przedstawia.

Chantal szybko wstała, poprawiła sukienkę. – Przepraszam, ale muszę czegoś dopilnować.

– Wszystko w porządku, kochanie?

– Jak najbardziej, skarbie. – Pocałowała go w policzek, dygnęła i powiedziała: – Było mi przyjemnie cię gościć, Lawrence, jak również doktora Delaware. – Wyszła z krypty.

– Nieboszczyk Mickey Starbruck... – powiedziałem. – Jak to się stało, że umarł?

Gordon odprowadzał żonę wzrokiem. Nie słuchał mnie, musiałem powtórzyć pytanie.

– Przedawkowanie kokainy, kilka lat temu. Biedny Mickey, chciał się przebić do prawdziwego filmu, ale nic z tego nie wyszło – dyskryminuje się tam takie gwiazdy. Umarł podczas jazdy samochodem. Miał wrażliwą duszę, naprawdę fajny młody człowiek.

– Dwoje aktorów i dwa samobójstwa po przedawkowaniu – powiedział Larry. Czyżby to przynosiło pecha?

– Nonsens – zaprotestował ostro Gordon. – Filmy porno są częścią show-biznesu. Ludzie słabi psychicznie, destabilizacja, wielkie wzloty i wielkie upadki, niektórzy nie dają sobie z tym rady.

– Stowarzyszenie producentów? – zapytałem. – Twórców wyobrażeń? Parasol ochronny Kruse'a?

Skinął głową.

– Osłona. Byłem głupi, że nie wywąchałem, co się święci, gdy rozkręcał ten interes, ale on naprawdę miał poparcie uniwersytetu, więc po co miałby się zabezpieczać? Gdy obejrzałem produkt finalny, wszystko stało się jasne, nie domagałem się jednak wyjaśnień, był przecież doktorem, ekspertem. W owym czasie uważałem go za człowieka wybitnego, wizjonera. Przypuszczałem, że ma ważny powód.

– I co on zrobił?

– Wracaj na fotel, to ci zademonstruję.

Pokój znowu pogrążył się w ciemności, a na ekranie pojawił się inny film.

Nie było tytułu ani nazwisk aktorów, kamerę prowadzono bardziej po amatorsku, ale intencja była oczywista.

Miejsce akcji: gabinet lekarski, te same co poprzednio meble, te same oprawione w ramki

dyplomy.

Aktorzy: wspaniała kobieta o bujnych blond włosach, długie nogi, zgrabna, ale o parę cali niższa od Sharon, drobniejsza budowa, twarz pełniejsza. Ale tak podobna, że mogłaby uchodzić za jej siostrę-bliźniaczkę.

Bliźniaczka. Shirlee. Nie, to niemożliwe. Ta Shirlee, którą poznałem, była kaleką od wczesnego dzieciństwa.

Jeśli Sharon mówiła prawdę.

Właśnie: jeśli.

Film numer dwa utrzymany był w podobnej konwencji: striptiz, fala włosów, otwierają się drzwi i wchodzi wysoki, śniady mężczyzna.

Zbliżenie: koło czterdziestki, lśniące włosy, wąsiki jak pociągnięte ołówkiem. Biały kitel, stetoskop, notatnik. Pewne podobieństwo do zmarłego Mickeya Starbucka, ale nieuderzające.

Inna koncepcja. Ten doktor okazuje szczerze zdziwienie na widok gołej blondynki leżącej z rozłożonymi nogami na fotelu ginekologicznym.

Technika ta sama. Nieprzenośna kamera, ujęcie całości i od czasu do czasu zbliżenia, lecz głównym celem nie jest tu erotyzm, lecz twarze aktorów.

Jego twarz.

Blondynka wstaje i zgrabnym ruchem ociera się o doktora. Pokazuje się w całości, dotyka ręką brodawek, staje na palcach i liże jego szyję.

On potrząsa głową, wskazuje na zegarek.

Ona przyciska go do siebie, do bioder.

On znów próbuje się uwolnić, ale daje spokój, rozluźnia się. Pozwala się pieścić.

A potem to samo co w filmie Sharon.

Lecz jednak inaczej. To nie był film. Doktor nie odgrywał roli.

Żadne tam mruganie do kamery, bo nie wiedział o jej istnieniu.

Ona przed nim klęczy.

Oko kamery na jej twarzy.

Niekłamana namiętność.

Znów na fotelu.

Zbliżenie jego twarzy.

On się zatracą – ona panuje nad sytuacją.

Zbliżenie jego twarzy.

Ukryta kamera.

Dokument. Podglądanie-przez-zasłonę-w-oknie. Zamknąłem oczy, starając się myśleć o czymś innym.

Blond piękność pracowała jak zawodowa prostytutka.

Bliźniaczka Sharon – ale ze starego filmu... A on – przylizane włosy i cienki wąsik – identyczne.

Czyżby to niedawno...

– Kiedy wyprodukowano ten film? – zapytałem Gordona.

– W pięćdziesiątym drugim – odparł zdławionym głosem, jakby był wściekły, że mu przerywam.

Doktor brykał i zgrzytał zębami. Blondyna powiewała nim jak flagą. Mrugnęła do kamery. Biały ekran.

– Matka Sharon – powiedziałem.

– Nie mogę tego potwierdzić z całą pewnością – powiedział Gordon kierując się ku drzwiom. – Ale takie podobieństwo chyba to potwierdza, prawda? Gdy zobaczyłem piękną Sharon po raz pierwszy, kogoś mi przypominała. Nie mogłem sobie przypomnieć kogo; nie oglądałem tego filmu od lat. To prawdziwy rarytas, ważna pozycja w moich zbiorach. Staramy się oszczędzać taśmę i rzadko go wyświetlamy.

Zamilkł wyczekująco.

– Bardzo ci dziękujemy.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Kiedy Kruse skończył tamten film, uświadomiłem sobie, kogo przypomina mi Sharon. Kruse chyba też na to wpadł. Miał dostęp do wszystkich naszych ostatnich zbiorów i w tej krypcie spędził sporo czasu. Odszukał film z Lindą i zamierzał zrobić podobny. Matka i córka, frapujący temat, ale powinien wprost o tym powiedzieć.

– Czy Sharon wiedziała o pierwszym filmie

– Nie wiem. Jak wspominałem, widziałem ją tylko raz.

– Linda, a nazwisko? – zapytał Larry.

– Linda Lanier. Była aktorką, albo przynajmniej chciała nią być. Jedna z tych pięknych młodych dziewcząt, które masowo przybywały wtedy do Hollywood, i chyba wciąż przybywają. Możliwe, że dostała kontrakt w studio, lecz faktycznie nigdzie nie pracowała.

– Nie ta klasa talentu? – zapytał Larry.

– Trudno powiedzieć. Nie postarała się o kogoś, kto by jej pomógł się ustawić. Właścicielem tego studia był Leland Belding. Skończyło się na tym, że została jedną z jego dziewczyn do towarzystwa.

– Miliarder – powiedziałem. – Korporacja Magna.

– Jesteście za młodzi, żeby to pamiętać – rzekł Gordon – ale w swoim czasie to był fantastyczny gość, człowiek renesansu – przestrzeń kosmiczna, broń, flota morska, kopalnie. I filmy. Wynalazł kamerę, której używają po dziś dzień. I pas przeciwwstrząsowy, modyfikowany zależnie od typu samolotu.

– Czy mówiąc „dziewczyna do towarzystwa” masz na myśli kurwę?

– Nie, raczej coś w rodzaju hostessy. Wydawał mnóstwo przyjęć. Jako właściciel studia miał łatwy dostęp do pięknych dziewczyn i zatrudniał je w charakterze takich właśnie hostess. Oszłołomy chciały mu tę sprawę rozdmuchać, ale nikt nic mu nie mógł udowodnić.

– A ten lekarz z filmu?

– To był najprawdziwszy lekarz. Film był prawdziwy, i cała prawda w nim zawarta była porażająca, nie uważasz? Oryginalna taśma, mój jedyny egzemplarz.

– Jak ją zdobyłeś?

Potrząsnął głową. – Tajemnica służbowa, doktorze. Mogę powiedzieć tylko tyle, że mam ją od dawna, i to za ciężkie pieniądze. Mógłbym zrobić kopie i zwróciłyby się wszystkie moje oryginalne inwestycje, ale skutek byłby taki, że reprodukcje mnożyłyby się jak grzyby po deszczu, co oczywiście obniżyłoby wartość oryginału, toteż nie odstąpiłem od wyznawanych przez siebie zasad.

– Jak brzmi nazwisko tego lekarza?

– Nie wiem.

Kłamał. Taki jak on fanatyk i zamiłowany obserwator kopulacji nie spocznie, póki nie dowie się najdrobniejszego szczegółu o nabytym przez siebie skarbie.

– Ten film był czymś w rodzaju szantażu, prawda? – zapytałem. – Ofiarą był lekarz.

– Komiczne, co mówisz.

– To jak to wytłumaczysz? On nie wiedział o kamerze.

– Taki hollywoodzki żart – odparł. – Stary Errol Flynn wyświdrował dziury w ścianach łazienki i ukrytą kamerą filmował swoje przyjaciółki podczas intymnych czynności.

– Ohyda – mruknął Larry.

Twarz Gordona wykrzywił gniew. – Przykro mi, że tak to odebrałeś, doktorze Daschoff. Wszystko to tylko żarty.

Larry nie odpowiedział.

– Nie ma sprawy – rzekł Gordon, podchodząc do drzwi krypty i otwierając je na oścież. – Przypuszczam, że panowie śpieszą się do pacjentów.

Przeprowadził nas przez ciemny pokój i do windy.

– Co się stało z Lindą Lanier? – zapytałem.

– Nie wiadomo – odparł. Potem zaczął paplać o związkach między normami kultury a erotyką, i nie mógł przerwać, dopóki nie opuściliśmy jego domu.

Rozdział 17

Nigdy go takim nie widziałem – powiedział Larry, gdy już szliśmy chodnikiem.

– Jego poglądy nie podlegają krytyce, są nietykalne – rzekłem. – Przepada za swoim hobby i uważa je za coś wspaniałego, jak na przykład kolekcjonowanie znaczków. Tyle że znaczkami nie sposób kogoś szantażować.

– Już obserwując Sharon czułem się niesamowicie, ale chodzi mi o coś innego – o prawdziwe zło, jakie kryje się za tym wszystkim – potrząsnął głową. – Przez cały czas tego swojego filmowego debiutu nieszczęsny facet był wyraźnie zgnębiony. – Znowu przeczący ruch głową. – Szantaż. Cholera, to się robi coraz ciekawsze, Di. W dodatku dziś rano zadzwonił do mnie dawny kumpel z korporacji. Znaliśmy z Brendą pewnego gościa jeszcze z college’u, też skończył jako psychol – terapeuta – praktyk. Był znany w Phoenix. Przeleciał swoją sekretarkę i złapał trypra, a potem zaraził żonę; żona wyrzuciła go na zbity pysk i zaczęła obgadywać po mieście. Koniec z praktyką. Przed paroma dniami przyszedł do domu, palnął w łeb żonie, potem sobie. Fakt bardzo znaczący, nie sądzisz? Wiemy, jak przeprowadzać testy, piszemy dysertacje, dostajemy doktoraty... Kontrolują cię, odnawiasz licencję. Ciekawe, że nikt nie bada twojego zdrowia psychicznego.

– Może więc psychoanalitycy wiedzą co robią – powiedziałem. – Zanim kandydat zostanie zakwalifikowany, długo się go obserwuje.

– Daj spokój, Di. Pomyśl tylko, że ci wszyscy psychoanalitycy, z którymi się zetknąłeś, to kompletne dziwaki. A każdy z nas ma zaliczony trening interpersonalny. Oczywiście, ktoś może być poddawany terapii od najmłodszych lat i efekt żaden, jaki był zgniłek, taki pozostał. Kto wie, może jesteśmy jednostkami podejrzanymi od zarania. Czytałem niedawno artykuł: „Studium historii rodzin psychologów i psychiatrów”. Wielu z naszych kolegów po fachu miało matki z poważnymi zaburzeniami depresyjnymi.

– Też to czytałem.

– Przemawia do mnie. A co ty o tym sądzisz?

Skinąłem głową.

– Otóż właśnie. Jako smarkacze musieliśmy się troszczyć o nasze mamuśki, więc nauczyliśmy się być superdojrzałi. A kiedy dorośliśmy, zaczęliśmy się rozglądać za innymi depresyjnymi osobnikami, by nimi także się zaopiekować – co samo w sobie nie byłoby złe, gdybyśmy potrafili radzić sobie z własnym gównianym życiem. Bo jeśli nie... Cholera, Di, nie takie to proste, jakby się mogło wydawać. Lepiej niech delikwent ma się na baczności.

Odprowadziłem go do jego pickupa.

– Jak sądzisz, Larry, czy ten film z Sharon ma coś wspólnego z pracą badawczą Kruse’a?

– Wątpię.

– A co myślisz o tych dokumentach z uniwersytetu, które widział Gordon?

– Fałszywki – odparł. – To bzdura. Żaden uniwersytet nie złożyłby pod czymś takim podpisu. Kruse podsunął mu pod nos jakiś gówniany świstek, a Gordon uwierzył, bo chciał uwierzyć. Co więcej, Kruse nigdy nie przykładął wagi do formalności – on i jego wydział przejawiali pod tym względem absolutny indyferentyzm. Brali to, co im dostarczył, dawali mu laboratorium w suterenie, z którego nikt nie korzystał, i nic o tym nie chcieli wiedzieć. W porównaniu z eksperymentami, jakie czasem przeprowadzali psychologowie społeczni, te jego były nieszkodliwą zabawą.

Zatrzymał się nagle, miał zafrasowaną minę.

– Czego on, do diabła, oczekiwał, produkując takie filmy?

– Kto wie? Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to to, że może usiłował wprowadzić jakąś unikalną terapię. Wyzwolenie z poczucia winy za grzech matki...

Zastanawiał się nad tym, co powiedziałem.

– Hm... Możliwe. To by do niego pasowało. Całkowita kontrola życia pacjentów, maratońskie sesje, hipnozy regresywne – załamanie się systemu obronnego... Jeśli podczas tego całego procesu uświadomiła sobie, kim była jej matka, on zyskał przewagę, poznał jej piętę Achillesa.

– A jeżeli Kruse to wszystko na niej wymusił? – zapytałem. – Miał dostęp do krypty Fontaine'ów, przejrzał filmy i odkrył ten z Lindą Lanier. Jej podobieństwo do Sharon było uderzające – i dało mu to do myślenia. Odszukał Lindę i dowiedział się kilku paskudnych szczegółów – być może jakiś szantaż... Sharon opowiedziała mi kiedyś bajeczkę o swoich bogatych i bywałych w świecie rodzicach. Wygląda na to, że uciekała od rzeczywistości. Kruse mógł jej pokazać ten film, kiedy była w transie hipnotycznym. Doprowadził ją do kompletnego załamania i całkowicie sobie podporządkował. A potem podsunął jej sposób, w jaki mogłaby pozbyć się dręczącej ją obsesji – musi sama wystąpić w podobnym filmie; oczyszczenie przez powtórzenie.

– Pieprzony gnojek – powiedział Larry i dodał: – Przecież to była bystra dziewczyna, Di. Jak mogła dać się na to nabrać?

– Bystra, ale niezrównoważona psychicznie, osobowość borderline; rozmawialiśmy kiedyś o ludziach tym dotkniętych. Sam kiedyś mówiłeś, jak bardzo przekonujący potrafił być Kruse – niektórzy jego zwolennicy, radykalni „femiści”, wierzą głęboko, że chłostanie żony jest czymś ze wszech miar szlachetnym. A w sprawie Sharon... Był jej opiekunem na studiach i jej terapeutą, a po zrobieniu doktoratu pozostała przy nim jako jego asystentka. W istocie rzeczy nigdy nie mogłem pojąć, co ich łączyło, ale wiedziałem, że było to coś bardzo silnego. Zrobił ten film wkrótce po jej powrocie do Los Angeles, co znaczy, że od razu wziął się do rzeczy.

– Albo też znał ją już przedtem – zastrzegł Larry.

– Możliwe.

– Terapia plus strzały spermą. – Larry miał ponurą minę. – Nasz wielce szanowany dziekan to prawdziwy ksiądz.

– Nie uważasz, że uniwersytet powinien się dowiedzieć o jego metodach?

– Szepnąć parę słów o wyczynach szefa? – Przygryzł wąsa. – Brenda mówiła mi, że paragraf, pod który podpada oszczerstwo, jest cholernie niejednoznaczny. Kruse ma forszę – będzie nas całe lata ciągał po sądach i w końcu tak czy owak przegramy, bez względu na okoliczności. Jesteś gotów stanąć do walki?

– Nie wiem.

– Ja nie. Niech uniwersytet sam się babrze w tym gównie.

– A delikwent niech ma się na baczności, co?

Ze strapioną miną położył rękę na klamce.

– Ty, chłopie, jesteś prawie jak emeryt, sam sobie panem i władcą, masz mnóstwo czasu na szperanie i oglądanie pornosów. A ja mam pięcioro dzieci, żonę, która studiuje prawo, wysokie ciśnienie i hipotekę do spłacenia. Wybacz, że nie dotrzymam ci kroku w tej wyprawie krzyżowej.

– W porządku – powiedziałem. – Nie przejmuj się.

– Robię, co mogę, wierz mi, ale rzeczywistość trzyma mnie za jaja.

Wsiadł do samochodu.

– Jeżeli mi się powiedzie, to cię wyzwolę – rzekłem.

– Świetnie! – Spojrzał na zegarek. – Muszę pędzić. Nie powiem, że miło spędziłem czas, ale na pewno ciekawie.

Dwa filmy. Kolejne ogniwo historii zmarłego miliardera.

I pewnego amatora-producenta filmów, który przywdział maskę terapeuty.

Wracałem do domu z mocnym postanowieniem dotarcia do Kruse'a jeszcze przed odlotem do San Luis. Czy chce, czy nie, będzie musiał ze mną porozmawiać. Taką podjąłem decyzję. Zadzwoiłem do jego biura. Znowu nikt nie podniósł słuchawki. Już miałem nakręcać numer centrali uniwersytetu, gdy zadzwonił telefon.

– Halo?

– Proszę z doktorem Delaware.

– Jestem przy aparacie.

– Mówi Leslie Weingarden. Mam pewien problem i pomyślałam sobie, że może pan mógłby mi pomóc.

W jej głosie od razu wyczułem zdenerwowanie.

– Co to za problem, pani doktor?

– Chodzi o naszą ostatnią rozmowę – odparła. – Wolałabym nie mówić o tym przez telefon. Czy mógłby pan dziś po południu wstąpić do mnie do gabinetu?

– Będę za dwadzieścia minut – rzekłem.

Zmieniłem koszulę, włożyłem krawat. Sprawdziłem telefony w centrali i dowiedziałem się, że dzwoniła do mnie pani Olivia Brickerman.

– Prosiła, bym panu powtórzyła, że system nie działa, panie doktorze – powiedziała telefonistka. – Cokolwiek by to miało znaczyć. Jeśli znów zacznie działać, postara się dostarczyć panu to, o co pan prosił.

Podziękowałem i odłożyłem słuchawkę. I z powrotem do Beverly Hills.

W poczekalni siedziały dwie zatopione w lekturze kobiety. Obie miały naburmuszone miny.

Zastukałem w szklaną ściankę. Recepcjonistka wpuściła mnie do środka. Minęliśmy kilka gabinetów i zatrzymaliśmy się przed drzwiami z napisem: Pokój prywatny. Zapukałem. Po sekundzie drzwi się uchyliły i Leslie przecisnęła się przez szparę. Staranny makijaż, nienaganne uczesanie, każdy włoszek na swoim miejscu, a mimo to wyglądała na zmordowaną i przerażoną.

– Ilu mamy pacjentów, Beo?

– Tylko dwie panie. Ale jedna jest wyjątkowo natrętna.

– Powiedz, że przyjechało pogotowie, jak tylko się wyrwę, będę do ich dyspozycji.

Bea wyszła.

– Odejdźmy od tych drzwi – powiedziała Leslie.

Szliśmy przez hall. Oparła się o ścianę, odetchnęła głęboko, splotła dłonie.

– Szkoda, że rzuciłam palenie. Dzięki, że pan przyszedł.

– Coś się stało?

– DJ. Rasmussen. Nie żyje. Jest u mnie jego dziewczyna, kompletnie roztrzęsiona. Przyszła pół godziny temu. Wracalam z lunchu, a ona w poczekalni prawie zwała się z nóg na mój widok. Wepchnęłam ją do gabinetu. Ciągle tam siedzi. Zaaplikowałam jej solidną dawkę valium – dziesięć miligramów. Uspokoiła się na chwilę, ale potem znów wpadła w histerię. Potrzebna jej pomoc. Może pan do niej jakoś przemówi.

– Jak doszło do jego śmierci?

– Carmen, ta jego dziewczyna, powiedziała, że przez ostatnie kilka dni ostro pił. Więcej niż zwykle. Bała się awantur, bo tak się to zazwyczaj kończyło. Ale tym razem było inaczej – był płaczliwy, depresyjny, coś bredził, jaki to z niego zły człowiek, jakich strasznych czynów się dopuścił. Dziś rano obudziła się i zobaczyła kasetkę na jego poduszce. Znalazła w niej tysiąc dolarów, kilka ich wspólnych zdjęć i kartkę z napisem „Żegnaj”. Wskoczyła z łóżka, sprawdziła, czy w domu jest broń, ale nie było i jego zresztą też. Usłyszała, że uruchamia silnik swojej furgonetki i wybiegła za nim. W samochodzie było ileś tam sztuk broni, a on już wypił parę drinków, czuła smród alkoholu. Próbowwała go zatrzymać, ale ją odepchnął i pojechał. Wsiadła do swego wozu i ruszyła za nim. Oni mieszkają w Newhall – tam jest sporo kanionów i drogi są kręte. Klucząc pędził ponad dziewięćdziesiątką. Przegapiła zakręt. Zawróciła i wtedy zobaczyła, że furgonetka jedzie po nasypie. Stoczyła się, wylądowała na dole i eksplodowała. Według słów Carmen wyglądało to jak w telewizji.

Leslie obgryzała paznokcie.

– Czy policja jest powiadomiona?

– Tak. Zadzwoiła po policję. Zadali jej kilka pytań i kazali iść do domu. Jak twierdzi, zbytnio się nie przejęli. Rasmussen przysparzał im zawsze kłopotów – jazda po pijanemu. Podobno usłyszała, jak jeden z nich mruknął: „Drogi będą teraz bezpieczniejsze”. Tyle wiem. Pomoże mi pan?

– Spróbuję.

Weszliśmy do jej gabinetu. Niewielki rząd półek z książkami, sosnowe biurko i dwa krzesła. Ładne afisze, rośliny w doniczkach, pamiątkowe drobiazgi, fotografie. Na krześle siedziała puciołowata młoda dziewczyna o brzydkiej cerze. Była ubrana w białą bluzkę wepchniętą do spodni i sandały. Włosy długie, czarne, z blond pasemkami, potargane; oczy w czerwonych obwódkach, podpuchnięte. Na mój widok odwróciła się i ukryła twarz w dłoniach.

– Carmen – powiedziała Leslie – to doktor Delaware. Doktorze, to Carmen Seeber.

Usiadłem naprzeciwko.

– Jak się masz, Carmen.

– Doktor Delaware jest psychologiem – rzekła Leslie. – Porozmawiaj z nim.

Leslie szybko się odwróciła i wyszła z pokoju.

Dziewczyna wciąż siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach, nie poruszyła się, niepowiedziała ani słowa. Przerwałem milczenie.

– Doktor Weingarden powiedziała mi o DiJot. Bardzo ci współczuję.

Zaczęła szlochać, ramiona jej podrygiwały.

– Może mógłbym coś dla ciebie zrobić, Carmen? Może czegoś potrzebujesz?

Rozszlochała się jeszcze bardziej.

– Tylko raz miałem okazję spotkać DiJota. Był bardzo wzburzony.

Potok łez.

– Musiałaś ciężko przeżywać to jego picie. Ale tak czy owak, spotkał cię straszny cios. Trudno wprost uwierzyć, że chłopak nie żyje.

Podtrzymując dłońmi głowę, kiwała się z boku na bok.

– O Boże! – krzyczała. – Boże! Boże! Pomóż mi!

Położyłem dłoń na jej ramieniu. Drgnęła, ale nie odsunęła się.

Siedzieliśmy tak chwilę, ona wzywała boskiej pomocy, ja – przejęty jej smutkiem – karmiłem ją małymi dawkami empatii. Podałem jej chusteczki kosmetyczne, szklanek wody, mówiłem, że to nie jej wina, że robiła co mogła, że nikogo innego nie byłoby na to stać. Że rozumiem, co czuje, rozumiem jej ból.

W końcu spojrzała na mnie, wytarła nos i powiedziała:

– Pan jest dobrym człowiekiem.

– Dzięki.

– Mój ojciec też był dobrym człowiekiem. On, wie pan, nie żyje.

– Przykro mi.

– Umarł dawno temu. Byłam wtedy jeszcze, wie pan, w przedszkolu. Wróciłam do domu z różnymi rzeczami, które zrobiliśmy na Dziękczynienie, wie pan, papierowe indyki, kapelusze Ojców Purytanów – i zobaczyłam, że zabiera go karetka.

Milczenie.

– Ile masz lat, Carmen?

– Dwadzieścia.

– Dużo przeżyłaś przez te dwadzieścia lat.

Uśmiechnęła się. – Chyba tak. A teraz Danny. On, wie pan, też był dobry, choć robił się podły, kiedy pił. Ale w głębi duszy był człowiekiem porządnym. Wie pan, nigdy mi nie ubliżał, zabierał mnie wszędzie, przynosił mi, wie pan, różne rzeczy.

– Jak długo trwała wasza znajomość?

Zastanawiała się chwilę.

– Coś około dwóch lat. Dowoziłam ciężarówką żarcie na różne place budowy, a Danny też jeździł – on zajmował się oprawianiem obrazów.

Skinąłem głową zachęcając ją, by mówiła dalej.

– Lubił burritos – powiedziała. – Wie pan, mięso z kartoflami, bez fasoli – po fasoli chciało mu się wypić, no i wie pan. Pomyślałam, że to fajny chłopak, i dałam mu jeść na koszt firmy. Szef nic nie wiedział, wie pan. I wtedy zamieszkaliśmy razem.

Popatrzyła na mnie wzrokiem dziecka.

Uśmiechnąłem się.

– Nigdy nie przypuszczałam, że on to zrobi.

– Że się zabije?

Skinęła głową. Łzy potoczyły się po jej pyzatych policzkach.

– A czy mówił kiedyś o samobójstwie?

– Jak się upił i coś go napadło, to wyrzekał, wie pan, że życie jest podłe, że lepiej umrzeć, że pewnego dnia się zabije... i przeklinał. A kiedy uszkodził sobie kręgosłup, strasznie go bolało, wie pan, to stracił pracę i był naprawdę okropnie załamany. Ale nigdy nie myślałam...

Znowu płacz.

– Nie sposób tego przewidzieć, Carmen. Kiedy człowiek nosi się z zamiarem odebrania sobie życia, nic go nie powstrzyma.

– Taaa – wykrztusiła, chwytając powietrze. – Kiedy Danny coś sobie postanowił, żadna siła nie mogła go powstrzymać... to pewne. Był twardzielem, wie pan, uparty jak osioł. Rano próbowałam go zatrzymać, ale on pruł do przodu, jakby w ogóle mnie nie słyszał, wściekły, wie pan, i strzelał przed siebie, istne pioruny z nieba...

– Doktor Weingarden mówiła mi, że coś miał na sumieniu.

Kiwnęła głową.

– Był zupełnie załamany. Powiedział, że jest, wie pan, ciężkim grzesznikiem.

– Nie wiesz, o co mu chodziło?

Wzruszyła ramionami. – On, wie pan, wdawał się często w bójki, bił ludzi w barach, nic poważnego, ale kilku poturbował. – Uśmiechnęła się. – Był niski, ale, wie pan, mocny. Zadziorny. I lubił palić trawkę i pić – i robił się wtedy jeszcze bardziej zadziorny. Ale był fajny, wie pan. Nic naprawdę złego nie zrobił.

By się czegoś więcej o niej dowiedzieć, zapytałem o rodzinę, przyjaciół.

– Nie mam rodziny – odparła. – Danny też nie miał. I, wie pan, nie mieliśmy też żadnych przyjaciół. Ja bym nawet chciała, ale Danny nie lubił ludzi, może dlatego, że tata go bił, i dlatego, wie pan, wściekł się na cały świat. Dlatego on...

– Co on?

– Załatwił go.

– Zabił swego ojca?

– Jak był mały. Samoobrona. Ale skończył w poprawczaku; wypuścili go, jak skończył osiemnaście. Wyszedł, zaczął żyć na własną rękę, ale nie chciał mieć żadnych przyjaciół. Lubił tylko mnie i psy – mieliśmy dwa mieszańce rottweilery, Dandy i Paco. Strasznie za nim przepadały. Jak czuły, że dzieje się z nim coś złego, to szczekały cały dzień.

Znów się rozplakała.

– Carmen – powiedziałem. – Czekają cię ciężkie chwile. Gdybyś mogła z kimś porozmawiać, sprawiłoby ci to ulgę. Skontaktuję cię z pewnym lekarzem, takim samym psychologiem jak ja.

Popatrzyła na mnie.

– Mogłabym rozmawiać z panem.

– Ja jestem... Ja... Nie zajmuję się tego typu sprawami.

Odeła wargi.

– Chodzi o forszę, tak? Niech pan mnie nie umieszcza w ośrodku opieki medycznej, dobrze?

– Nie, Carmen. Tylko że ja jestem psychologiem dziecięcym. Pracuję z dziećmi.

– Aha, rozumiem – powiedziała bardziej ze smutkiem niż z gniewem. Kolejna niesprawiedliwość, którą trzeba przyjąć z pokorą.

– Osoba, którą ci polecę, to ktoś bardzo miły, bardzo doświadczony.

Wciąż nadąsana wytarła oczy.

– Jeśli z nią porozmawiam i dam ci jej numer, zadzwonisz?

– Jej? – Potrząsnęła gwałtownie głową. – Nic z tego. Nie chcę doktorki.

– Dlaczego?

– Danny miał doktorkę, wykorzystywała go.

– Wykorzystywała?

Tupnęła nogą.

– No, wie pan, pieprzyła go. Zawsze do mnie mówił: „Carmen, kurwa, myśmy nigdy tak nie robili”. Ale jak wracał, wie pan, od niej, to miał coś takiego, wie pan, w oczach, i cały śmierdział obrzydliwie... od tego pieprzenia. Nie chcę o tym mówić. I żadna doktorka nie wchodzi w grę.

– Doktor Weingarden jest kobietą

– To całkiem co innego.

– Pani doktor Small, z którą zamierzam cię umówić, to też całkiem co innego, Carmen. Ma pięćdziesiąt parę lat, jest bardzo sympatyczna, i nie stać by jej było na żadną nieuczciwość.

Nie dawała się przekonać.

– Sam do niej chodziłem, Carmen.

Nie rozumiała.

– Była moją lekarką.

– Pana? Dlaczego?

– I mnie czasem potrzebna jest rozmowa. Każdemu jest potrzebna. A teraz obiecaj mi, że do niej zadzwonisz. Jeżeli ci się nie spodoba, znajdę kogoś innego.

Dałem jej wizytówkę z numerem mojej centrali. Wzięła.

– Nie uważam tego za słuszne – powiedziała.

– Czego?

– Że go pieprzyła. Lekarz powinien wiedzieć, co jest słuszne, a co nie.

– Masz absolutną rację.

Zdziwiła się, jakby po raz pierwszy ktoś przyznał jej rację.

– Niektórzy lekarze nie powinni być lekarzami – dodałem.

– Wydaje mi się, że mogłabym zaskarżyć, czy coś w tym sensie.

– Nie ma kogo zaskarżyć, Carmen. Jeśli to masz na myśli, to pani doktor Ransom nie żyje. Też popełniła samobójstwo.

Uniosła rękę do ust.

– O Boże, ja nie... To znaczy, wie pan, chciałam, żeby tak się stało, ale ja nie... A teraz... O Boże!

Przeżegnała się, przycisnęła palcami skronie, spojrzała w sufit.

– To nie twoja wina, Carmen. Jesteś ofiarą.

Potrząsnęła głową.

– Jesteś ofiarą – powtórzyłem. – Musisz to zrozumieć.

– Ja nic nie rozumiem. – Łzy. – Wszystko jest za bardzo, wie pan... Nie rozumiem.

Pochyliłem się ku niej, wczuwając się w jej cierpienie. – Zostanę tutaj z tobą tak długo, jak długo będziesz mnie potrzebowała. Zgoda?

Skinienie głową.

Minęło pół godziny, zanim się pozbierała; a gdy oczy miała już suche, wyglądało na to, że powróciło jej także poczucie godności.

– Dobry człowiek z pana – powiedziała. – Już jestem okay. Może pan iść.

– A co z panią doktor Small, tą terapeutką, o której mówiłem?

– Nie wiem.

– Spróbuj.

– Okay – blady uśmiech.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Wziąłem ją za rękę, przytrzymałem przez chwilę, po czym wyszedłem i poprosiłem Beę, by się nią

zajęła. Z pustego gabinetu zatelefonowałem do Ady. Telefonistka w jej centrali powiedziała, że pani doktor wybiera się właśnie na sesję.

– To pilne – powiedziałem i Ada podniosła słuchawkę.

– Co się dzieje, Alex? – zapytała.

– Mam tutaj dziewczynę w głębokiej depresji i dobrze by było, żebyś jak najszybciej mogła ją zobaczyć. Nie polecam ci jej prywatnie, jest pod opieką społecznej służby zdrowia i przeżywa załamanie. Gdy podam ci parę szczegółów, zgodzisz się ze mną, że nie można z tym czekać.

– Mów.

Kiedy skończyłem, powiedziała:

– Dobrze, że do mnie zadzwoniłeś. Niech przyjdzie o siódmej. Będzie miała gdzie zaczekać?

– Sądzę, że tak. Dziękuję ci, Ado.

– Drobiazg. Muszę już iść, czeka na mnie pacjent.

– Oczywiście. Jeszcze raz ci dziękuję.

– Nie ma za co. Zadzwonię do ciebie po jej wizycie.

Wróciłem do Carmen.

– Wszystko załatwione. O godzinie siódmej masz się zgłosić do doktor Small.

– Okay.

Uścisnąłem jej rękę i wyszedłem. Na korytarzu spotkałem Leslie i powiedziałem jej, co załatwiłem.

– Jak ją pan ocenia? – zapytała.

– Słaba psychicznie i wciąż w szoku. Następne dni mogą być jeszcze gorsze. Nie ma żadnego wsparcia. Musi mieć fachową pomoc.

– Tak też sądzę. Gdzie przyjmuje ów terapeuta?

– Brentwood. San Vincente koło Barrington. – Podąłem jej adres i wyznaczoną przez Adę godzinę.

– Doskonale. Mieszkam w Santa Monica. Wyjeżdżam stąd około wpół do siódmej. Zawiozę ją. A teraz zaopiekujemy się nią tutaj.

Chwila wahania. – Czy lekarz, do którego ją pan skierował, jest dobrym fachowcem?

– Bardzo dobrym. Sam do niej chodziłem.

Owa odrobina szczerości z mojej strony przekonała Carmen, ale panią doktor zirytowała.

– Kalifornijska prawość – powiedziała. I zaraz: – Przepraszam, doktorze. Jestem panu wdzięczna, że od razu pan przyszedł... To wszystko dlatego, że zrobiłam się cholernie cyniczna. Wiem, że to szkodliwe. Muszę nad sobą popracować... zwalczyć tę podejrzliwość.

– Nie takie to łatwe – powiedziałem, myśląc o swoich własnych zwątpieniach.

Bawiła się kolczykiem.

– Naprawdę jestem panu wdzięczna, że pan tu przyszedł. Proszę wymienić kwotę honorarium, zaraz wypiszę czek.

– Nic z tych rzeczy – powiedziałem.

– Nie, bardzo proszę. Chcę uregulować należność.

– Nie ma mowy, Leslie. Nie liczyłem na żadną zapłatę.

– Naprawdę? Niech pan nie myśli, że jestem wyzyskiwaczką.

– Nigdy tak nie pomyślałem.

Miała niewyraźną minę. Przekładała stetoskop z ręki do ręki.

– Kiedy widzieliśmy się ostatnio, rzeczywiście sprawiałam wrażenie osoby działającej wyłącznie z pobudek merkantylnych. Ale tak nie jest. Chciałam zadzwonić do wszystkich tamtych pacjentów, rozważałam ten problem ze wszystkich stron, zastanawiałam się, co powinnam począć. Nie obwiniam się o śmierć Rasmussena – to była bomba z opóźnionym zapłonem. Kwestia tylko, kiedy wybuchnie... Ale jego śmierć uświadomiła mi, jak ogromna odpowiedzialność na mnie ciąży, że muszę postępować w myśl etyki lekarskiej. Gdy zostawiłam pana sam na sam z Carmen, zaczęłam wydzwaniać. Rozmawiałam z kilkoma kobietami. Powiedziały mi, że wszystko jest w porządku, z ich mężami też... Mam nadzieję, że to prawda. Poszło mi lepiej niż przypuszczałam – nie były tak wrogo nastawione jak poprzednio. Może mi się udało osiągnąć cel, nie wiem. Ale przynajmniej nawiązałam kontakt. Nie spocznę, póki nie dotrę do wszystkich, niech wreszcie ta cholerna sprawa się wyjaśni.

– Bez względu na to, czy to jest warte zachodu, postępuje pani słusznie.

– Jest warte zachodu – powiedziała z nagłą determinacją. Popatrzyła z zakłopotaniem na drzwi gabinetów. – Muszę już iść, pacjenci na mnie czekają. Jeszcze raz wielkie dzięki.

Chwila wahania.

Wspięła się na palce i pocałowała mnie w policzek. Zaskoczony poruszyłem głową i nasze usta spotkały się na sekundę.

– Głupio się zachowałam – stwierdziła.

Wyszła, zanim zdołałam powiedzieć, że wcale niegłupio.

Rozdział 18

Dochodziła już piąta, gdy zajechałem pod uniwersytet. Gmach wydziału psychologii już opustoszał, w biurze została jedna sekretarka. Ruszyłem prosto do rejestru psychologów i przejrzałem go od góry do dołu bez najmniejszego sprzeciwu ze strony sekretarki. Może dlatego, że byłem w sztruksowej marynarce. Kruse figurował tam jako dziekan; numer jego gabinetu – 4302. Zanotowałem też jego prywatny adres, ten sam, w Pacific Palisades.

Wbiegłem brawurowo na drugie piętro, uświadamiając sobie nagle, że wróciła mi dawna energia; po raz pierwszy od dłuższego czasu, pałając sprawiedliwym gniewem, dążyłem do celu z taką bezwzględną determinacją.

Nic tak nie oczyszcza człowieka jak walka z wrogiem.

Gabinet Kruse'a mieścił się na końcu długiego białego korytarza. Rzeźbione w mahoniu podwójne drzwi zastępowały zwykłą w takim wypadku sklejkę. Na podłodze przed wejściem stał worek brezentowy pełen trocin. Z wewnątrz dobiegały odgłosy piłowania, stuk młotka.

Drzwi nie były zamknięte. Wszedłem do przedpokoju i zobaczyłem robotników wykładających podłogę terakotą i przybijających mahoniowe listwy; inni, na drabinach, malowali ściany na błyszczącą czerwień. Mosiężne kinkiety zamiast górnego oświetlenia. Skórzany fotel przykryty szczelnie folią. Unosiła się woń przypalanego drewna, kleju, farby. Ustawione na podłodze radio grzmiało muzyką country.

Jeden z robotników zobaczył mnie, odwrócił się od piły mechanicznej, zszedł ze stołka. Dobiegał trzydziestki, średniego wzrostu, ale krzepki, szeroki w barach. Z tylnej kieszeni brudnych dżinsów wystawała mu kolorowa chustka; na czarnych kręconych włosach miał baseballową czapkę z pogiętym daszkiem. Czarna broda posiwiiała od kurzu. Tak samo owłosione ramiona. Roboczy pas wokół bioder wypchany był narzędziami i zjeżdżał mu na pośladki, dźwięcząc przy każdym ruchu.

– Profesor Kruse? – zapytał wysokim, chłopięcym głosem.

– Nie. Szukam go.

– Cholera, też go szukamy. Jak pan go dorwie, niech pan powie, żeby tu przyszedł, *pronto*. Okazało się, że przyszły pewne urządzenia, których nie da się dopasować. Znowu zmienili zdanie czy co, ale robota stoi. Ktoś tu musi przyjść i powiedzieć, co i jak; a majstra nie ma. Szuka innej pracy.

– Kiedy ostatnio pan go widział? – zapytałem.

Wyciągnął chustkę, przetarł twarz.

– W ubiegłym tygodniu, kiedy ustalaliśmy plan pracy, kuliśmy ściany i robiliśmy łazienkę. A do wczoraj był przestój, bo nie było materiału. Każdy się zwijał, bo to miało być na wczoraj. No i teraz są problemy. Ciągłe zmieniają zdanie, sami nie wiedzą, czego chcą.

– Jacy oni?

– Kruse i jego żona. Miała przyjść godzinę temu i ustalić wszystko ostatecznie, ale się nie pokazała. I nikt u nich nie odbiera telefonu. Majster wróci z Palm Springs i szlag go trafi; kurde, co to za robota, jak klient nawet nie raczy się pofatygować.

– Jesteście pracownikami uniwersytetu?

– My? Nic podobnego. Firma Chalmers, Dekoracja Wnętrz, Pasadena. Praca na zamówienie. Kładziemy glazurę w łazience, kasetony na sufitach, sporo roboty w drewnie i przy odnawianiu antyków, odświeżamy perskie dywany, obudowujemy marmurem gzymsy kominkowe. – Strzelił palcami. – Duża forsa.

– Kto za to płaci?

– Oni, Kruse'owie. Koszty plus od godziny. Myśli pan, że się pojawią?

– Powinni.

Wcisnął chustkę z powrotem do kieszeni. – Łatwo przyszło, łatwo poszło, co? Nie wiedziałem, że profesorom tak się wie. Pan też jest profesorem?

– Tak, ale nie tu. Crosstown.

– Macie tam dobrą drużynę piłki nożnej – powiedział. Zdjął czapkę, podrapał się po głowie, uśmiechnął od ucha do ucha. – Bada pan grunt, chce pan tu przeskoczyć?

Uśmiechnąłem się.

– Nie, szukam po prostu doktora Kruse'a.

– No to jak pan go już znajdzie, niech mu pan powie, żeby się z nami skontaktował, bo jutro może nas tu już nie być. Mamy tylko pół dnia roboty, dla dwóch ludzi. Majster się nie zgodzi na obijanie.

– Dobrze, powiem mu, jak go spotkam, panie...

– Rodriguez, Gil Rodriguez. – Podniósł z podłogi kawałek drewnianej płytki i skrawkiem ołówka wypisał na niej swoje nazwisko i numer telefonu. – Robię też na własny rachunek – murarka, malowanie, gipsowanie. Potrafię wszystko naprawić, byleby komputer nie wchodził mi w drogę. A jak będzie pan miał jakieś wolne bilety na mecz, to chętnie skorzystam.

Na Bulwarze Zachodzącego Słońca już tworzył się korek. Wjazd ze Stone Canyon do Bel Air zatarasowały roboty drogowe, co znacznie pogarszało, sytuację. Gdy więc dojechałem do Palisades, przed dom Kruse'a, słońce miało się już ku zachodowi. Za pierwszym razem byłem tu o tej samej porze, ale wówczas niebo wyglądało inaczej; dziś blady błękit wtapiał się w naciągające nad morza chmury.

Po tym, czego dowiedziałem się od Rodrigueza, sądziłem, że podjazd będzie pusty. Tymczasem stały przed domem trzy samochody: biały mercedes z tablicą rejestracyjną PPK PHD, którego wtedy także widziałem, odrestaurowany niebieski jaguar, typ E, litery na tablicy SSK, oraz stara toyota koloru zupy z zielonego groszku. Minałem auta, zapukałem do drzwi, odczekałem chwilę. Znow zapukałem, głośniejsze, wreszcie nacisnąłem dzwonek.

Słyszałem, jak dzwoni, więc ktoś w domu też musiał go słyszeć. Ale żadnej reakcji. Spojrzałem w dół i zobaczyłem plik poczty na stopniach – wszystko mokre i pogniecione. Skrzynka w kutego żelaza zapchana była magazynami i listami.

Znowu zadzwoniłem i rozejrzałem się wokół. Po jednej stronie teren był ogrodzony – rosły tam różne byliny i pnącza, rośliny tropikalne. Na końcu zwieńczona łukiem furka z desek.

Zbliżyłem się do furki, pchnąłem. Była otwarta. Wszedłem do środka i ruszyłem na tyły posesji, wzdłuż południowej ściany domu; minąłem drewnianą altankę i znalazłem się w obszernym ogrodzie – łagodny owal trawnika, rząd wysokich drzew, różnokształtne klomby z kwiatami, basen skalny z tryskającym źródłem, a za nim wodospad rozpryskujący się na płycie ze szkła.

Usłyszałem jakiś trzask. Cały ogród skąpany był w łagodnym, kolorowym świetle, a wody basenu lśniły jak szafir. Samowyzwalacz – pomyślałem.

W domu panował mrok, tylko różowy lampion przymocowany do brzozy oświetlał patio przysłonięte markizą. Zauważyłem podłogę z meksykańskiej terakoty i trochę szykownych mebli z drewna tekowego. Na stole krem do opalania, na jednym z krzeseł rzucone niedbale ręczniki kąpielowe – odnosiło się wrażenie, jakby ktoś dopiero co je tu zostawił. Wyczułem zapach pleśni. I jakiś znacznie silniejszy. Coś zaczęło mi świtać.

Jedne ze szklanych drzwi były otwarte. Na tyle szeroko, by stamtąd mogła napływać owa woń. I na tyle szeroko, by dostać się do środka.

Zawiązałem sobie chustą nos i usta i wetknąłem głowę do środka. W bladuróżowym świetle zamajaczyło coś potwornego. Ręką owiniętą chustką macałem ścianę w poszukiwaniu kontaktu, znalazłem.

Dwa ciała leżące w poprzek wielkiego berberyjskiego dywanu i gdyby nie ubranie, trudno byłoby się zorientować, czy to naprawdę ludzkie szczątki.

Zrobiło mi się niedobrze, odwróciłem wzrok, spojrzałem w górę na belkowany sufit, potem na meble – dużo, w dobrym guście. Świetny dekorator.

I znow na podłogę... na ten horror...

Wpatrywałem się w dywan. Próbowałem się rozluźnić. Doskonała robota. Bezbłędna. Tylko te ciemniejące plamy...

Jedna osoba miała na sobie różowy kostium kąpielowy. Druga – kiedyś białe szorty i gołębiego koloru hawańską koszulę w czerwone orchidee.

Jasne kolory ubrania silnie kontrastowały z rozkładającymi się, brązowo-zielonymi zwłokami. Zamiast twarzy bryły oleistego, pobrużdżonego mięsa. Przysłonięte włosami blond. Obie. Włosy należące do kobiety – jaśniejsze, znacznie dłuższe. Zbrązowiałe na końcach.

Znów mnie zemdliło, przycisnąłem chustkę do ust i nosa, wstrzymałem oddech, czułem, że się duszę, odwróciłem głowę.

Wyszedłem, stanąłem w patio.

Gdy się odwracałem, moje oczy bezwiednie uciekały do szklanych drzwi, na koniec pokoju, ku schodom wyłożonym terakotą.

Kręte schody. Metalowa poręcz.

Na szczycie schodów kolejny koszmar.

Różowa podomka. Coś, co wyglądało na czarne włosy. Większy stopień rozkładu, więcej ciemnych plam znaczących kolejne stopnie, pełznące w dół niczym potworny pająk.

Odwróciłem się i wybiegłem. Minąłem basen, potem dalej, przez wilgotną trawę, do klombu kwiatów nieziemsko wręcz błękitnych i jasnofioletowych. Nachyliłem się i powąchałem.

Słodki zapach. Poczulem żołądek w gardle. Próbowałem zwymiotować, ale nie mogłem.

Przebiegłem przez trawnik od frontu, stanąłem przed domem. Pustka, cisza. Horror, i nikogo, kto pomógłby mi to przeżyć.

Wsiadłem do swojej sevilla. Czułem odór śmierci. Wdychałem go.

Wreszcie, choć wciąż zatruty trupim smrodem, zdecydowałem się ruszyć. Pojechałem w stronę Mandeville, na wschód od Bulwaru Zachodzącego Słońca. Pragnąłem znaleźć się w Wehikule Czasu, który zawiózłby mnie w przeszłość, cofnąłby zegary...

Żeby można było cofnąć czas...

Na razie marzyłem o mocnym cygarze i jakimś przyjaznym głosie.

Rozdział 19

W Brentwood od razu spełniły się moje marzenia. Milo natychmiast podniósł słuchawkę, wysłuchał, co miałem do powiedzenia, i rzekł:

– Czuję, że muszę dziś wcześniej wrócić.

Po dwudziestu minutach jechał za mną aleją Mandeville i Bulwarem, ku domowi zbrodni.

– Zostań w samochodzie – powiedział.

Siedziałem więc w seville, zaciągając się tanią cygaretką, podczas gdy on zniknął za domem. Po chwili wrócił, wyjął z mojej kieszeni cygaretkę, zapalił.

Wypuścił kilka kółek dymu i z chłodem profesjonalisty zaczął mnie przesłuchiwać. Gdy moja opowieść dobiegła końca, odłożył notatnik i zapytał:

– Po co tu przyjechałeś, Alex?

Opowiedziałem mu o filmie porno, o samobójstwie Rasmussena, i o tym, co się kryło za nazwiskiem Lelanda Beldinga.

– I w większości tych spraw Kruse maczał palce – dodałem.

– Niewiele z tego wynika – powiedział. – Ciała leżą tu już dość długo. – Schował notatnik. – Może masz jakąś roboczą teorię w tej kwestii?

– Rasmussen był człowiekiem nieobliczalnym, do tego nałogowym alkoholikiem – powiedziałem. – Zabił swego ojca. Kilka dni przed śmiercią mówił, że jest grzesznikiem, że ma na sumieniu jakąś straszną rzecz. Może właśnie to.

– Dlaczego miałby załatwiać Kruse'a?

– Nie wiem. Może oskarżał go o śmierć Sharon; był patologicznie do niej przywiązany, silna więź seksualna.

Milo zastanawiał się kilka sekund.

– Czego ty tam dotykałeś?

– Kontaktu, ale przez chustkę.

– Czego jeszcze?

– Furtki... Chyba tak.

– Przypomnij sobie.

– Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Po kolei. Co robiłeś, odkąd się tu znalazłeś?

Gdy zanalizowaliśmy każdy mój krok, rzekł:

– Jedź do domu, Alex.

– Tak uważasz?

Spojrzał na zegarek.

– Za chwilę będą tu chłopcy z wydziału zabójstw. Jedź. Zniknij, zanim cała heca się rozpocznie.

– Milo...

– Zmiataj stąd, Alex. Nie utrudniaj mi tej mojej choliernej roboty.

Odjechałem, ale mimo papierosa wciąż miałem w nozdrzach ten okropny smród.

Wszystko, czego tknęła się Sharon, kończyło się śmiercią.

Jak każdy dociekliwy badacz ludzkich umysłów zacząłem się zastanawiać, co było powodem ukształtowania się takiej osobowości. Jaki rodzaj dziecięcego urazu? I wtedy pewna myśl przebiegła mi przez głowę: a mianowicie – jej zachowanie tamtej strasznej nocy, gdy zastałem ją w sypialni z fotografią bliźniaczek. Miotła się, krzyczała, płakała i w końcu zwinęła się w kłębek, przyjmując pozycję embrionalną. Podobnie zachowywał się w moim gabinecie Darren Burkhalter. Pourazowe reakcje dziecka. Udało mi się to nawet uchwycić na taśmie, ale zebrani na sali adwokaci nie raczyli dostrzec związku między skutkiem a przyczyną.

Uraz we wczesnym dzieciństwie.

Dawno temu opowiedziała mi o tym. I zaraz potem wybuch czułości, serdeczności, miłości. Sięgając myślą wstecz, stwierdziłem, że było to dobrze zagrane. Kolejny akt?

Działo się to latem roku osiemdziesiątego pierwszego, hotel w Newport Beach pełen był uczestników zjazdu psychologów. Koktajl-bar z widokiem na port – przydymione szyby w oknach, ściany wyłożone czerwoną tapetą, przesuwane na kółkach fotele. Ciemno, pusto, ale nastrój poprzedniego wieczora pozostał.

Siedziałem przy barze. Patrzyłem na morze i sączyłem powoli piwo, przegryzając wyschniętą klubową kanapkę. Jednym uchem słuchałem narzekań barmana.

– Był małym brzuchatym Latynosem o szybkich dłoniach i indiańskiej twarzy koloru miedzi.

Obserwowałem, jak wyciera szklanki – pracował jak maszyna.

– Gorzej już nie było, może mi pan wierzyć. Teraz tylko pośrednicy – od ubezpieczeń, komputerów i czego tam jeszcze – potrafią pić. Piloci też.

– Poczieszająca wiadomość – rzekłem.

– Tak. Sprzedawcy, pośrednicy i piloci. A wy, psychole? Szkoda słów. Nawet nauczyciele, cośmy ich tu mieli ostatniej zimy, byli lepsi, ale to żadne szychy. Niech pan spojrzysz na ten hotel. Jak wymarły.

Otworzył słoik z małą cebulką, odsączył zalewę i wysypał na tacę perliste kulki.

– Ilu was tu się zjechało?

– Pięć tysięcy osób.

– Pięć tysięcy. – Pokręcił głową. – Niech się pan rozejrzy. O co tu chodzi? Czy jesteście tak pochłonięci podglądaniem rozrywek innych ludzi, że sami nie potraficie się już zabawić?

– Możliwe – powiedziałem uświadamiając sobie, jak nudny był ten zjazd. Ale zjazdy są zawsze nudne. I tylko dlatego zgodziłem się wziąć w nim udział, bo poproszono mnie, bym zapoznał zgromadzonych z problemem stresu u dzieci...

Wygłosiłem referat, potem padło kilka mało istotnych pytań i na szczęście udało mi się wygospodarować trochę samotności przed powrotem do Los Angeles i czekającym mnie nocnym dyżurem.

– Może wy, psychole, powinniście sami siebie przeanalizować. Dowiedzieć się, dlaczego nie potraficie się zabawić.

– Dobra myśl – powiedziałem, zostawiając pieniądze na barze i dodałem: – Wypij na moje konto.

– Rzecz jasna. Dzięki – popatrzył na rachunek. Zapalił papierosa, nalał sobie piwa i pochylił się ku mnie. – Ja wyznaję zasadę: żyj i pozwól żyć innym. Ktoś może nie mieć ochoty się zabawić. No to przynajmniej przyjdź, człowieku, i zamów coś, wie pan, co mam na myśli? Nie pijesz, dobrze, ale, do cholery, przynajmniej sobie popatrz. Zamów coś i zostaw napiwek. Daj zarobić człowiekowi pracy.

– Zdrowie człowieka pracy – powiedziałem podnosząc szklankę. Wypiłem do dna.

– Powtórzyć, doktorze? Na koszt gospodarza.

– Wolalbym colę.

– Gra. Cola z rumem pasuje. Gdzie rum się leje, tam człowiek się śmieje.

Postawił szklankę na kontuarze i już miał kontynuować swoją mowę, gdy drzwi do baru nagle się

otworzyły i usłyszeliśmy gwar głosów.

– Coś takiego! – powiedział zdumiony.

Popatrzyłem przez ramię i zobaczyłem kobietę w bieli. Długonoga, zgrabna, chmura ciemnych włosów. Stojąc przy automacie z papierosami, poruszała głową z boku na bok, jakby lustrowała nieznany teren.

Uderzyło mnie coś znajomego w tej sylwetce. Obejrzałem się.

Sharon. Oczywiście, że Sharon. W długiej płóciennej sukni, idealnie dobrane buty i torebka.

Pomachała do mnie, jakbyśmy byli umówieni.

– Alex!

I już była obok. Pachnąca wodą i mydłem, świeżą trawą...

Usiadła na stołku, założyła nogę na nogę, podciągnęła suknię powyżej kolan.

Barman mrugnął do mnie. – Coś do picia, madame?

– Proszę o 7-up.

– Już się robi.

Przyniósł drinka, a kiedy odszedł, powiedziała:

– Wspaniale wyglądasz, Alex. Podobasz mi się z tą brodą.

– Poranna oszczędność czasu.

– Ładnie ci. – Popijała trunek, bawiła się słomką. – Same dobre rzeczy o tobie słyszę. Tak szybko dostałeś pracę, i wszystkie te publikacje. Czytałam kilka twoich artykułów. Sporo się z nich dowiedziałam.

– Miło mi to słyszeć.

Milczenie.

– Właśnie obroniłam pracę doktorską – powiedziała. – W ubiegłym miesiącu.

– Moje gratulacje, pani doktor.

– Dziękuję. Zabrało mi to więcej czasu niż myślałam. Ale byłam zajęta w klinice i nie przyłożyłam się do tego, tak jak powinnam.

Siedzieliśmy obok siebie w milczeniu. Dwa metry dalej barman gwizdał „Bambę”, potrząsając

shakerem.

– Cieszę się, że cię widzę – powiedziała.

Pominałem to milczeniem.

Dotknęła rękawa mojej kurtki. Patrzyłem na jej palce, póki nie cofnęła dłoni.

– Chciałam się z tobą zobaczyć.

– Po co?

– Chciałam ci wyjaśnić...

– Nie ma co wyjaśniać, Sharon. To stare dzieje.

– Nie dla mnie.

– Różnica poglądów.

Przysunęła się bliżej.

– Wiem, że pokpiłam sprawę, wszystko zniszczyłam – wyszeptała zdławionym głosem. – Uwierz mi, ja to wiem. Ale ty wciąż jesteś ze mną. Piękne wspomnienia, wyjątkowe. Energia pozytywna.

– Selektywna percepcja – dodałam.

– Nie. – Jeszcze bardziej się zbliżyła, znów dotknęła mego rękawa. – Przeżyliśmy cudowne chwile, Alex. Nigdy o tym nie zapomnę.

Milczałem.

– Tak to się okropnie... skończyło. To było straszne. Musiałeś sobie pomyśleć, że jestem nienormalna... To, co się stało, było nienormalne. Żebyś wiedział, ile razy chciałam do ciebie zadzwonić, wszystko ci wytłumaczyć...

– To dlaczego nie zadzwoniłaś?

– Dlatego, że jestem tchórzem. Po prostu uciekam. Pamiętasz, jak spotkaliśmy się po raz pierwszy na ćwiczeniach? – Opuściła bezradnie ramiona. – Pewne rzeczy nie mogą się zmienić.

– Zapomnij o tym. Powiedz sobie po prostu: to stare dzieje.

– To, co nas łączyło, było wręcz niesamowite. A ja pozwoliłam, żeby wszystko zostało zburzone.

Nie podnosiła głosu, ale mimo to brzmiał bardzo dobitnie. Barman zerknął w naszą stronę. Pod wpływem mojego spojrzenia odwrócił wzrok.

– Pozwoliłaś? A ty nie miałaś z tym nic wspólnego?

– Wzdrygnęła się, jakbym uderzył ją w twarz. – Zgoda – powiedziała. – Ja sama wszystko zburzyłam. Byłam wariatką. To był wariacki okres w moim życiu. Żałowałam tego, setki, tysiące razy. Nie mogłam sobie darować. – Pociągnęła kolczyk. Ręce miała gładkie i białe. – Alex, to nie przypadek, że się spotkaliśmy. Nigdy nie przyjeżdżam na takie zjazdy. Ale kiedy zobaczyłam twoje nazwisko w programie, nagle zapragnęłam być tu z tobą. Słyszałam twój referat, stałam na samym końcu sali. Sposób, w jaki mówiłeś, twój humanitaryzm... Pomyślałam, że może mam szansę.

– Szansę? Na co?

– Na przyjaźń z tobą. Żebyśmy pogrzebali złe uczucia.

– Możesz je uważać za pogrzebane. Misja została spełniona.

Pochyliła się ku mnie, tak że nasze usta niemal się stykały, i szeptała uczepiona mego ramienia:

– Proszę cię, Alex, nie bądź mściwy. Pozwól mi pokazać... Miała łzy w oczach.

– Co pokazać?

– ...Pokazać się z innej strony. Chcę, żebyś zobaczył mnie taką, jakiej nikt nigdy nie oglądał.

Wyszliśmy przed hotel i czekaliśmy na obsługujących parking chłopców.

– Każde z nas jedzie swoim autem – powiedziała z uśmiechem. – Żebyś w dowolnej chwili mógł uciec.

Jechałem pod wskazany przez nią adres. Skręciłem do Glendale od strony południowej, jechałem wzdłuż miasta, jezdnią, której pobocza zapchane były parkingami z używanymi samochodami, tanimi sklepikami i knajpami. Pół mili na północ, przy Brand, wznoszono gmach galerii Glendale – cegła klinkierowa miała podkreślić jej narodowy charakter, ale tuż obok był *boutique*, nazwa francuska.

Przyjechała pierwsza, siedziała w swoim małym, czerwonym alfa romeo, przed parterowym budynkiem, pokrytym brązowym stiukiem. Dom wyglądał jak więzienie – wąskie, posrebrzane okna, okratowane i zaryglowane, z widokiem na samotne, wyschnięte na słońcu drzewo ambrowcowe, rzucające pasma cienia na pokryty papą dach.

Podziękowała mi, że przyjechałem. Nacisnęła brzęczyk znajdujący się w samym środku metalowych drzwi. Po paru chwilach otworzyły się i ujrzałem krępego, czarnego jak węgiel mężczyznę, ostrzyżonego krótko, z kędzierzawym zarostem na podbródku. Jedno ucho ozdobił mu błyszczący kolczyk; był w dżinsach, a na trykotową koszulkę zarzuconą miał lekką niebieską bluzę. Na widok Sharon rozpląnął się w uśmiechu.

– Witam panią, doktor Ransom. – Głos miał wysoki, o łagodnym brzmieniu.

– Dzień dobry, Elmo. To jest pan doktor Delaware, mój przyjaciel.

– Milo mi pana poznać. – I do Sharon: – Jest już przygotowana do spotkania z panią.

– Doskonale.

Weszliśmy do poczekalni wyłożonej szarym linoleum. Przy plastikowych zielonych stolikach stały pomarańczowe plastikowe krzesła. Po jednej stronie pomieszczenie biurowe z napisem „Recepcja”, niżej okienko obramowane żółtym plastikiem. Minęliśmy je i doszliśmy do metalowych drzwi, tym razem opatrzonych tabliczką „Wstęp wzbroniony”. Elmo z ciężkiego zwoju kluczy wybrał jeden i drzwi się przed nami otworzyły.

Wkroczyliśmy w jasność i piekło: długa, wysoka sala, okna zasłonięte metalowymi żaluzjami, a z wbudowanych pod sufitem jarzeniówek padał zimny blask imitujący światło dzienne. Ściany były wyłożone szmaragdowozielonym winylem. Żar i zaduch.

I nieustanny ruch. Żywiołowy balet.

Ciała, mnóstwo ciał – miotające się, poskręcane, potykające o siebie wzajemnie – brutalne dzieło natury i ślepego losu. Szttywne, powyginane spazmatycznie członki. Na wpół otwarte, śliniące się usta. Zgarbione plecy, uszkodzone kręgosłupy. Upośledzone kończyny albo ich brak. Twarze wykrzywione, zdeformowane... skutek uszkodzeń genetycznych i nieprawidłowych układów nerwowych. A było to tym straszliwsze, że wszyscy oni byli młodzi – kilkunastolatekowie lub trochę powyżej dwudziestki. I nigdy nie dostąpią młodzieńczego szczęścia, jakie daje ułuda nieśmiertelności...

Niektórzy, uczeplieni balkoników, odmierzali kroki milimetr po milimetrze. Inni, sztywni niczym gipsowe rzeźby, mocowali się z wózkami inwalidzkimi. Najbardziej żałośnie wyglądali ci, którzy siedzieli wpatrzeni w jeden punkt, osowiali, o zwiotczałych tkankach bezkręgowców – tkwili w metalowych głębokich wózkach przypominających powiększone wózki dziecięce.

Przeciskaliśmy się przez tłum szklistych pozbawionych wyrazu oczu i martwych, pustych twarzy nienaznaczonych najmniejszym błyskiem świadomości.

Galeria ułomności i szpetoty – suma wszystkich błędów natury popełnionych na ciele człowieka.

W rogu sali, na konsoli w kształcie głowy królika huczał telewizor. Dobywające się zeń wrzaski mieszały się z nieartykułowanym jazgotem i wyciem pacjentów. Jedynymi obserwatorami akcji na ekranie była szóstka pielęgniarzy w niebieskich bluzach. Na nas, przechodzących obok, nie zwrócili najmniejszej uwagi.

Ale pacjenci nas zauważyli. Jakby ożywieni siłą przyciągania ruszyli hurmem ku Sharon – i ci na kółkach, i ci kulejący. Znaleźliśmy się oboje w samym środku tłumu. Pielęgniarze ani drgnęli.

Sharon sięgnęła do torebki, wyjęła pudełko cukierków i zaczęła je rozdawać. Gdy jedno pudełko było już puste, wyjęła drugie. I następne.

Rozdawała cukierki, całując w głowę tych nieszczęśników, przytulając ich do siebie. Zwracała się do nich po imieniu, mówiła, że świetnie wyglądają. Pragnęli usłyszeć od niej dobre słowo, prosili o

cukierki, wykrzykiwali coś ożywni, dotykali jej, jakby była czarodziejską zjawą.

Nigdy nie widziałem takiego szczęścia na jej twarzy. Pełni szczęścia. Księżniczka z bajki w królestwie ludzkiej poniewierki.

Zapasy cukierków się wyczerpały.

– Nie mam nic więcej, kochani – powiedziała. – Muszę iść.

Jęki, żalosne okrzyki, jeszcze kilka minut, jeszcze trochę czułości... Nadeszli pielęgniarze i zaczęli odciągać od nas pacjentów. W końcu udało nam się wysliznąć z kręgu. Podniósł się straszliwy wrzask.

– Oni naprawdę panią kochają – powiedział Elmo.

Sharon jakby tego nie słyszała.

Szliśmy we trójkę aż do samego końca sali, ku drzwiom z napisem: „Oddział pacjentów leżących”. Elmo otworzył żelazną, rozsuwaną kratę. Kolejny zwój kluczy, drzwi się rozwarły i zamknęły za nami. Cisza i spokój.

Szliśmy korytarzem wysłanym tym samym jaskrawozielonym winylem, minęliśmy parę pustych sal cuchnących chorobą i rozpaczą, w połowie oszklone drzwi, przez które widać było dużą kuchnię i krzątające się przy kotłach grube Meksykanki. Znów zielony pasaż i wreszcie metalowa tabliczka z napisem: „Mieszkanie prywatne”.

Tutaj – inny świat: puszyste dywany, łagodne oświetlenie, tapety na ścianach, piękny zapach, spokojna muzyka...

Cztery pokoje – mieszkanie prywatne. Dębowe drzwi z mosiężnymi judaszami. Elmo otworzył jedno z nich i powiedział: – Okay.

Pokój był utrzymany w tonacji beżu, ściany zdobiły litografie francuskich impresjonistów, wspaniałe dywany i przyjemne oświetlenie. Dębowa boazeria i dębowe gzymsy wokół sufitu. Ładne meble: antyczna szyfonierka, masywne dębowe fotele. Dwa piękne, o łukowym sklepieniu zakratowane okna, szyby z matowego szkła, szczelnie zasłonięte firanką. Wazony ze świeżymi kwiatami ustawione w odpowiednich miejscach. Pachniało łąką. Ale prawie nie zwróciłem na to uwagi.

Na środku pokoju stało łóżko szpitalne przykryte perłoworóżową kołdrą, zaciągniętą po samą szyję kogoś, kto w nim leżał – kobiety o ciemnych włosach.

Cerę miała szarobiałą, duże, intensywnie niebieskie oczy, tego samego koloru co oczy Sharon, tylko nieruchome, zamglone, wpatrzone w sufit. Włosy, gęste, okalające głowę na miękkiej, lamowanej koronką poduszce. Twarz przypominająca odlew z gipsu. Usta na wpół otwarte – czarna dziura z kikutami zębów.

Kołdra poruszyła się nieznacznie. Płytki oddech i nic, i potem pisk jaki wydaje gumowa zabawka – znak rozpoznania.

Wpatrywałem się w jej twarz. Nie tyle w twarz, ile w zarysy twarzy – w kościec pozbawiony niemal cielesnej obudowy.

Ale w tym spustoszeniu dokonany przez naturę – jakiś cień podobieństwa. Coś, co przypominało Sharon.

Sharon przytuliła ją do siebie, kołysała, całowała.

Pisk.

Na obrotowym stoliku przy łóżku stał dzbanek, szklanki, leżały przybory kosmetyczne – grzebień, szczotka, komplet do manicure, szminka, krem.

Sharon wskazała na dzbanek, Elmo nalał wody, podał szklankę Sharon i wyszedł z pokoju.

Przytknęła krawędź szklanki do ust leżącej. Wyciekło trochę płynu. Sharon wytarła bladą twarz siostry i pocałowała.

– Tak się cieszę, że cię widzę, kochana – rzekła. – Elmo mówił, że dobrze się czujesz.

Twarz dziewczyny była pusta. Sharon szeptała coś pieszczotliwie, tuliła i kołysała bezwładne ciało. Kołdra ześliznęła się na podłogę, ukazując owinięty w różową flanelową koszulę nocną strzęp ludzki – zbyt kruchy, by mogło kołatać się w nim życie. Ale dziewczyna oddychała.

– Shirlee, mamy gościa. Pana doktora Alexa Delaware. To porządny człowiek. Alex, poznaj pannę Shirlee Ransom. Moją siostrę. Bliźniaczą siostrę. Moje drugie ciche ja.

Stałem bez ruchu.

Sharon przebierała palcami we włosach siostry. – Ujmując rzecz klinicznie, jest głucha i ślepa – minimum funkcji mózgowych. Ale ja wiem, że ona wyczuwa ludzi – podświadoma percepcja otoczenia. Wychwytyję nieznaczne vibracje jej ciała. Trzeba je odczuć, nawiązać z nią kontakt, by móc to stwierdzić z całą pewnością.

Wzięła moją rękę i położyła na chłodnym, suchym czole dziewczyny.

– Prawda, kochanie? Wiesz, co się wokół ciebie dzieje, prawda? – Mówiła do siostry. – Dziś bardzo ładnie brzęczy twoje ciało. Powiedz coś do niej, Alex.

– Czołem, Shirlee.

Nic.

– Tu – powiedziała Sharon. – Tu brzęczy wyraźnie.

Nie przestawała się uśmiechać, lecz oczy już miała pełne łez. Puściła moją rękę.

– Alex Delaware, kochanie – ciągnęła. – Ten, o którym ci opowiadałam. Przystojny, nie uważasz?

Stałem i słuchałem, jak przemawia do dziewczyny, która nie słyszy. Śpiewała, szczebiotała o modzie, muzyce, przepisach kulinarnych, bieżących wydarzeniach.

Podniosła kołdrę, podwinęła różową koszulę nocną, pod którą był szkielet niemal kurczęcia, patyki nóg, spiczaste kolana, obwisła, szara skóra – mizerny ślad kobiecych kształtów tak straszliwie wyniszczonych, że nie mogłem na to patrzeć.

Obróciła siostrę delikatnie, szukając bolesnych miejsc. Masowała ją, uciskała, zginała i odginała nogi i ręce, wprawiała w ruch mięśnie szczęk, zajrzała za uszy. Wreszcie opuściła koszulę. Poprawiła poduszkę i przykryła kołdrą.

Długo i dokładnie szczotkowała jej włosy. Wytarła twarz wilgotną ściereczką. Potem makijaż i trochę pudru na zapadnięte policzki.

– Chcę, żeby w miarę możliwości wyglądała na damę. Dla jej lepszego samopoczucia. Żeby czuła się jak kobieta.

Podniosła jej bezwładną rękę, obejrzała paznokcie – zadziwiająco długie i o zdrowym wyglądzie.

– Piękne, Shirlee. – I do mnie: – Popatrz, jakie ma ładne paznokcie, Alex. Rosną szybciej niż moje. Czy to nie komiczne?

Gdy wsiedliśmy do alfa romeo, Sharon się rozplakała. Odezwała się dopiero po dłuższej chwili i mówiła takim samym bezbarwnym tonem jak przed laty, gdy opowiadała mi o śmierci rodziców.

– Po urodzeniu byliśmy absolutnie identyczne. Dokładna kopia, chyba nikt nie potrafił nas rozróżnić. – Roześmiała się. – Czasem nie wiedziałyśmy same, która jest która.

Pamiętając fotografię dwóch małych dziewczynek, powiedziałem:

– Jest jedna różnica: identyczne odbicie w lustrze.

– Tak – przytaknęła poruszona. – Ona jest leworęczna, ja prawo. I włosy nam się układają w przeciwnych kierunkach. – Odwróciła ode mnie wzrok, poklepała drewnianą kierownicę samochodu. – Z punktu widzenia nauki ciekawy fenomen – odbicie w lustrze daje wrażenie monozygoty. Patrząc z punktu widzenia biochemii, wydaje się to bezsensowne. Przy identycznej strukturze genów dwóch osobników nie powinno być między nimi żadnej różnicy, prawda? Dajmy już spokój odwrotności półkul mózgowych.

Oczy miała senne, jakby zamglone, opuściła powieki.

– Dziękuję, że przyjechałeś. To było dla mnie naprawdę bardzo ważne.

– Cieszę się.

Ujęła moją dłoń. Jej ręka lekko drżała.

– Nie denerwuj się – powiedziałem. – Rozmawialiśmy po prostu o niesamowitym wręcz podobieństwie dwóch dziewczynek.

– Idealna kopia – rzekła. – I byliśmy nierozłączne. Kochaliśmy się bardzo. Żyliśmy jedna dla drugiej, robiłyśmy wszystko razem, szlochałyśmy histerycznie, kiedy ktoś chciał nas rozdzielić, aż w końcu nikt już nawet nie podejmował takich prób. Byłyśmy dla siebie kimś więcej niż siostry, kimś więcej niż bliźniaczki. Wspólniczki, psychiczne wspólniczki – o jednej świadomości. Jakby każda z nas mogła istnieć samodzielnie tylko w powiązaniu z drugą. Miałyśmy swój własny język, właściwie dwa języki: jeden mówiony, a drugi migowy; gesty, spojrzenia, mimika... Nigdy nie zrywałyśmy łączności – nawet we śnie wyciągałyśmy ręce i dotykałyśmy się nawzajem. Miałyśmy tę samą intuicję, identycznie odbierałyśmy otaczający świat. – Milczała chwilę. – To wszystko może ci się wydać dziwne – ciągnęła. – Nie sposób wytłumaczyć tego komuś, kto nie miał bliźniaczego rodzeństwa. Uwierz mi jednak, Alex, te wszystkie historie o synchronizmie uczuć są prawdziwe. Myśmy tego doświadczyły. Nawet teraz budzę się czasami w środku nocy z bólem brzucha lub skurczem mięśni. I dzwonię do Elma, żeby się dowiedzieć, jak tę noc przeżyła Shirlee.

– Wcale nie wydaje mi się to takie dziwne. Słyszałem o takich przypadkach.

– Dzięki, Alex. – Pocałowała mnie w policzek. Szarpnęła kolczyk. – W dzieciństwie spędzałyśmy razem cudowne chwile. Mama i tata, duże mieszkanie przy Park Avenue, pokoje, kredensy, różne zakamarki. Lubiliśmy się chować, chować przed światem. Ale najbardziej lubiliśmy nasz letni dom w Southampton. Ta posiadłość należała do naszej rodziny od pokoleń. Akry trawy i piasku. Ogromne, stare, kryte białym gontem potworne domostwo ze skrzypiącymi podłogami. W środku trzcinowe meble, które zaczynały się rozpadać, stare, zakurzone dywany udziergane szydełkiem, kamienny kominek. Dom stał na wzniesieniu, z okien był piękny widok na ocean. Żadna elegancka posesja – kilka powykrzywianych sosen i wydmy. Plaża wyginała się w kształcie półksiężyca – szeroka i wilgotna, zawsze było tam pełno muszli po mięczakach. Niedaleko znajdowała się przystań z przycumowanymi do niej łodziami na wiosła – przy dużej fali łodzie tańczyły, obijały się o wypaczone, drewniane słupy. Bałyśmy się, ale my lubiliśmy się bać, ja i Shirl.

Jesienią, w miejscach, gdzie słońce przebijało się przez chmury, niebo było bajecznie kolorowe, nabierało cudownego odcienia z szaro-srebrno-żółtymi plamkami. A cała plaża była usiana krabami, meduzami i olbrzymimi zwojami splątanych wodorostów wyrzucanych na brzeg. Skakałyśmy na nie, wwiercałyśmy się w oślizłe z wilgoci kłęby i wyobrażałyśmy sobie, że jesteśmy małymi syrenimi księżniczkami w jedwabnych szatach i naszyjnikach z pereł. – Zamilkła na chwilę, przygryzła wargę. – Od południowej strony naszej posesji był basen. Duży, prostokątny, niebieskie kafelki, na dnie malowidła koników morskich. Mama i tata nie mogli się zdecydować, czy lepszy będzie basen kryty w domu, czy odsłonięty na świeżym powietrzu. Poszli na kompromis i obudowali basen od góry – biała krata, ruchomy dach, który można było zasuwac i odsuwac, i bluszcz wpleciony między okienka kraty. W lecie ciągle kąpaliśmy się w basenie, sól oceanu zmywaliśmy ze skóry słodką wodą. Tata nauczył nas pływać i obie szybko posiadłyśmy tę umiejętność – traktujcie wodę tak, jakbyście były małymi kijankami – tak mówił...

Znowu przerwa, dla zaczerpnięcia oddechu. Milczenie przeciągnęło się, myślałam, że skończyła, ale podjęła temat. Mówiła teraz ciszej, jakby z wahaniem.

– Gdy lato minęło, nikt się już basenem nie interesował. Służba nie zawsze właściwie go czyściła i woda zieleniała od glonów, pachniała nieprzyjemnie. Zabraniano nam tam chodzić, więc wyprawy nad basen były dla nas największą przyjemnością. W każdej wolnej chwili biegłyśmy tam, zaglądałyśmy przez kratę, wpatrywałyśmy się w zmętniała wodę i wyobrażałyśmy sobie, że jest to laguna pełna potworów. Ohydnych potworów, które lada chwila wyłonią się z mułu i rzucą na nas. Ustaliłyśmy, że te potwory załatwiają się w wodzie i stąd ten smród, z gówna potworów. – Uśmiechnęła się, potrząsnęła głową. – Obrzydlistwo, co? Dzieci wymyślają takie brednie, żeby zapanować nad własnymi lękami, prawda?

Skinąłem głową.

– Tyle tylko Alex, że nasze potwory się zmaterializowały. Wytarła oczy i chwytając powietrze, wychyliła głowę przez okno.

– Przepraszam – powiedziała.

– Nieważne – mruknąłem.

– Ważne. Bo obiecałam sobie, że będę spokojna. – Znowu zaczerpnęła powietrza. – Było wtedy zimno. Ponury dzień, sobota. Późna jesień. Miałyśmy po trzy lata. Wełniane ubranka, trykotowe legginsy i nowe lakierki – mama pozwoliła nam je włożyć pod warunkiem, że nie będziemy biegać po piasku, bo się zniszczą. To był ostatni przed zimą weekend w Island. Zostaliśmy dłużej, niż należało – dom był źle ogrzewany, a z oceanu zawiewało przenikliwym chłodem, ziąb typowy dla Wschodniego Wybrzeża, przenikający do szpiku kości. Niebo tak szczelnie przesłaniały chmury deszczowe, że było ciemno jak w nocy, a w powietrzu unosiła się woń stęchlizny – tak czasem bywa na wybrzeżu, gdy zbliża się burza.

Nasz kierowca pojechał do miasta zatankować benzynę i oddać samochód do przeglądu silnika. Służba była zajęta przygotowaniami do podróży. Mama i tata, owinięci szalami, siedzieli w oszklonym salonie i popijali martini. My z Shirl wędrowałyśmy z pokoju do pokoju, rozpakowywałyśmy to, co było zapakowane, rozwiązywałyśmy to, co było zawiązane, chichotałyśmy, dokuczałyśmy wszystkim i generalnie mówiąc, byłyśmy kompletnie zagubione. I oczywiście głęboko nieszczęśliwe, że rozstajemy się z tym domem na długo, więc postanowiłyśmy odpowiednio wykorzystać każdą godzinę tego dnia. W końcu i służba, i mama mieli nas dość. Włóczyli nas w ciężkie palta, na nowe buciki włożyli kalosze i wysłali pod opieką niani na plażę.

Biegałyśmy po plaży i zbierałyśmy muszelki, szybko jednak przyptyw zmył muszle, a morskie wodorosty były za zimne, żeby się nimi bawić. Tymczasem niania zaczęła flirtować z ogrodnikiem z sąsiedztwa. Uciekłyśmy i pobiegłyśmy w stronę basenu.

Furtka była zamknięta, ale nie na klucz. Dozorca zabrał się już do czyszczenia dna – na pomoście leżały różne szczotki, sieci, środki chemiczne, kupki glonów, ale nikogo nie było. Widocznie wyszedł i zapomniał przekręcić klucz w zamku. Wśliznęłyśmy się do środka. Ciemno. Przez kraty

widziałyśmy tak samo ciemne niebo. Szlauch ogrodowy wysysał brudną wodę i odprowadzał ją do zbiornika ze zwirom. Wody w basenie było jeszcze sporo – zielona, kipiąca burchlami i śmierdząca jak nigdy dotąd; siarka wymieszana ze wszystkimi tymi chemikaliami, jakie dozorca wpuścił do basenu. Oczy nas piekły, kaszlałyśmy i śmiałyśmy się na przemian. Było naprawdę strasznie – a my ubóstwialiśmy się bać.

Wyobraziłyśmy sobie, że potwory wynurzają się z kipieli. Zaczęłyśmy się gonić dookoła basenu wrzeszcząc i chichocząc, robiąc okropne miny; biegałyśmy coraz szybciej i w końcu wprowadziłyśmy się w stan niemal hipnotycznego transu. Wszystko migotało nam przed oczami, zamazywało się, widziałyśmy tylko siebie.

Cementowy pomost był śliski od glonów i mydlin. A nasze kalosze miały gładziesieńkie podeszwy, więc kilka razy pośliznęłyśmy się. To było fantastyczne, więc zaczęłyśmy udawać, że jesteśmy na prawdziwym lodowisku i już rozmyślnie zaczęłyśmy się ślizgać. Cudowna zabawa, zatraciłyśmy się w niej, zagubiły, czułyśmy, że stanowimy nierozłączoną jedność. Dokoła i dokoła – wrzeszczałyśmy dziko, ślizgając się tam i z powrotem. I nagle zobaczyłam, że Shirl stacza się, ześlizguje w dół, zobaczyłam jej przerażoną twarz, gdy wyciągnęła ramiona, by chwycić równowagę. Wołała o pomoc. Zdałam sobie sprawę, że dzieje się coś strasznego, złapałam ją za ramię, ale upadłam. Usłyszałam jej przeraźliwy krzyk i plusk wody. Podniosłam się, a ona wyciągała do mnie rękę, jej palce zginały się i odginały, rzuciłam się ku niej, nie mogłam jej dosięgnąć, podniosłam wrzask, krzyczałam wzywając pomocy. Znow się potknęłam, znow upadłam, zerwałam się, stanęłam na skraju basenu. Ręki już nie było. Darłam się, wykrzykiwałam jej imię, i wtedy pojawiła się niania. Miałam wciąż w oczach Shirl, jej znikającą twarz i krzyczałam wniebogłosy, a niania wciąż pytała, gdzie jest Shirl. Nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. W tej chwili byłam Shirl – czułam, że się duszę, brakło mi tchu, miałam w ustach obrzydliwy smak stęchłej wody, wlewała mi się do płuc, nosem, ustami. Niania potrząsała mną, uderzała mnie w twarz. Byłam w szoku, nie mogłam oddychać, ale jakimś cudem udało mi się wskazać ręką basen.

Później byli mama i tata, i ktoś ze służby. Niania wskoczyła do wody. Mama krzyczała: „Moje dziecko, moje dziecko!” i gryzła palce, krew spływała jej na sukienkę. Niania miotała się w wodzie, wreszcie wyszła, dyszała ciężko, cała umazana mułem. Tata zrzucił buty, zerwał z siebie marynarkę i dał nura do basenu. Chwała Bogu. Po chwili wynurzył się niosąc w ramionach Shirl. Ciało miała zwiotczałe, pokryte warstwą mulistego obrzydlistwa, była blada, jak nieżywa. Tata zrobił jej sztuczne oddychanie. Mama ciężko dyszała, miała zakrwawione palce. Niania leżała na ziemi i też wyglądała jak martwa. Służące szlochały. Dozorca stał nieruchomo i wpatrywał się w nas szeroko otwartymi oczami. We mnie – pomyślałam. Oni wszyscy obwiniają mnie. Z wrzaskiem rzuciłam się na nich. Ktoś powiedział: „Zabierzcie ją stąd”, i potem ogarnęła mnie ciemność.

Musiła przerwać, bo pot spływał po niej strugami. Dałam jej chusteczkę. Wzięła bez słowa, wytarła twarz i podjęła opowieść:

– Obudziłam się w mieszkaniu przy Park Avenue. Następnego ranka. Dali mi pewnie środki uspokajające. Powiedzieli mi, że Shirlee umarła, że została pochowana. Więcej już nikt o niej nie wspominał. Życie stało się teraz inne, pozbawione sensu i puste, ale nie chcę o tym mówić. Nawet teraz przychodzi mi to z trudem. Wystarczy, że powiem, że musiałam nauczyć się być kimś innym. Kimś pozbawionym części, bez której nie można już być całością. Zmusiłam się do zaakceptowania

siebie. Żyłam własnym życiem, uciekałam od świata. W końcu przestałam myśleć o Shirlee – zrobiłam to z rozmysłem. Byłam dobrą dziewczynką, w szkole miałam najlepsze stopnie, nigdy na nikogo nie podniosłam głosu, byłam posłuszna... Ale czegoś mi brakowało, wciąż czułam przejmującą pustkę. Zapisalam się na psychologię, chciałam się dowiedzieć, skąd ta pustka. Przeprowadziłam się tutaj, poznałam ciebie i zaczęłam żyć naprawdę. I wtedy wszystko się zmieniło – mama i tata zginęli w wypadku. Musiałam wrócić na Wschód, rozmawiać z ich adwokatem. Był sympatyczny, przystojny. Mężczyzna i taki opiekuńczy – przypominam go sobie trochę z przyjęć w naszym domu. Poszliśmy do restauracji, która się nazywała „Rosyjski Pokój Herbacyany”, tam mnie poinformował o funduszu powierniczym, o domu, mówił wiele o „nowych powinnościach”, ale nawet się nie zająknął, na czym miałyby one polegać. Kiedy go zapytałam, był wyraźnie zmieszany i poprosił o rachunek.

Szliśmy potem Piątą Avenue, mijaliśmy te wszystkie piękne magazyny, które mama tak lubiła. Jakiś czas milczeliśmy i wreszcie powiedział mi o Shirlee. Że wcale nie umarła. Kiedy tata wyciągnął ją z basenu, była w stanie śpiączki, i tak już zostało – odmóżdzenie. Przez cały ten czas, kiedy myślałam, że nie żyje, przebywała w pewnym instytucie w Connecticut.

Adwokat rozumiał, że to dla mnie szok, przykro mu, że byłam okłamywana, lecz mama i tata podobno uznali to za najlepsze wyjście z sytuacji. Teraz, skoro ich nie ma i skoro ja jestem najbliższą krewną Shirlee, to na mnie spoczywa prawna odpowiedzialność za jej losy. To nie znaczy, że jestem obciążona jakimiś materialnymi zobowiązaniami. On – jego firma prawna – zapewni jej właściwą opiekę, będzie czuwała nad jej finansami, zarządzała funduszem powierniczym, a wszelkie wydatki na leczenie będą również z tej puli. Nie ma więc żadnej potrzeby, żebym wprowadzała jakiegokolwiek zmiany w swoim życiu. Trzeba tylko podpisać pewne dokumenty.

Wpadłam w furję. Wrzeszczałam, że żądam widzenia z siostrą. Usiłował mi to wyperswadować, przekonywał, że powinnam zaczekać, aż minie szok. Ale ja nie ustępowałam. Musiałam ją zobaczyć natychmiast. Wezwał taksówkę.

Przyjechaliśmy do Connecticut. Dom był duży i ładny, stara kamienna budowa, dobrze utrzymane trawniki, wielka słoneczna weranda, pielęgniarki w wykrochmalonych mundurkach, lekarze mówiący z niemieckim akcentem. Lecz ona potrzebowała czegoś więcej, potrzebowała swojego drugiego ja. Oświadczyłam adwokatowi, że zabieram ją do Kalifornii i w ciągu tygodnia ma być gotowa do podróży.

Znów próbował mi to wyperswadować. Mówił, że zdarzały mu się podobne przypadki – poczucie winy osoby, która przeżyła. Im dłużej mówił, tym większa ogarniała mnie wściekłość i tym bardziej na niego napadałam. A ponieważ byłam już pełnoletnia, musiał ulec. Wróciłam do Los Angeles w poczuciu słuszności swojej decyzji – żaden student nie będzie się nią zajmował w ramach ćwiczeń, to moja sprawa, ja mam misję do spełnienia. Ale w chwili, gdy przekroczyłam próg mego pokoju w akademiku, przeraziłam się. Zdałam sobie sprawę, że moje życie nigdy już nie będzie takie jak było, nigdy już nie będzie normalne.

Staralam się dojść jakoś z sobą do ładu. Ciężko pracowałam, załatwiałam sprawy z adwokatem, przeprowadzkę do nowego domu, podpisywałam stosy dokumentów. Przez cały czas wmawiałam sobie, że panuję nad sytuacją. Znalazłam tamten zakład, ten w którym byliśmy, Alex. Z zewnątrz nie

wygląda nadzwyczajnie, ale ona ma tam cudowną opiekę. Elmo jest fantastyczny, świetnie zorientowany we wszelkich odmianach indywidualnego podejścia do pacjenta.

Przyłożyła moją rękę do swego policzka, a potem położyła ją sobie na udach i mocno przycisnęła.

– I teraz co do ciebie, Alex. Niechący wdepnąłeś w to wszystko. Tego wieczoru, kiedy wszedłeś do sypialni, a ja siedziałam na łóżku z tą fotografią – to było wkrótce po odlocie Shirl. Przenosiny z samolotu do furgonetki... Nie spałam wtedy kilka nocy i byłam u kresu sił, wykończona psychicznie. Zdjęcie dostarczono mi razem z innymi dokumentami rodziców, było w portfelu mamy.

Patrzyłam na fotografię, wszystko wróciło – zapadałam się, tak jak ona tamtego jesiennego poranka... Próbowałam to wszystko uporządkować, przywołać z pamięci najlepsze dni. Byłam tak wściekła, że mnie oszukano, że całe moje życie było jednym wielkim kłamstwem. Czułam się chora, Alex. Mdlilo mnie. Żołądek podchodził mi do gardła. Zupełnie jakby to zdjęcie mną zawładnęło, pożarło mnie, tak jak basen pożarł Shirlee. Byłam bliska obłędu, miałam halucynacje, i trwało to kilka dni. Kiedy przyszedłeś – nie wiedziałam, czy w ogóle potrafię jeszcze żyć.

Nie słyszałam cię, Alex. Dopiero gdy przy mnie stanąłeś. Byłeś zły, osądzałeś mnie. Potępiałeś. A gdy podniosłeś z podłogi zdjęcie i przyjrzałeś mu się dokładnie – to tak, jakbyś mnie zniewalał. Wdarłeś się do mojego prywatnego bólu, a ja chciałam mieć to tylko dla siebie, mieć coś tylko dla siebie. Wybuchłam. Wybacz mi.

Poruszyłem dłoń, którą ona wciąż przyciskała do swoich ud. – Nieważne – powiedziałem.

Następne tygodnie były straszne, istny koszmar. Żałowałam, że zachowałam się tak wobec ciebie, że zepsułam to, co było między nami, ale mówiąc szczerze, byłam zbyt wykończona, by próbować to jakoś naprawić; tak bardzo czułam się winna, że wszystko nagle przestało mnie obchodzić. Z tyloma problemami musiałam się uporać: wściekłość na rodziców, że mnie okłamywali; na Shirlee, że jest rośliną, która nie jest w stanie odwzajemnić mojej miłości. Nie wiedziałam wówczas, że coś w niej wibruje, i w ten sposób próbuje się ze mną porozumieć. Tyle zmian w tak krótkim czasie, Alex. Jakby splot przewodów elektrycznych przypiekał mi mózg. I wtedy ktoś przyszedł mi z pomocą.

– Kruse.

– Cokolwiek byś o nim myślał, on mi pomógł, Alex. Pomógł mi wziąć się w garść. Powiedział, że mnie szukałeś, i pomyślałam sobie, że jednak ci na mnie zależy. Mnie na tobie bardzo, dlatego zmusiłam się w końcu, by się z tobą spotkać, choć Paul twierdził, że jeszcze za wcześnie, że nie jestem jeszcze przygotowana. I miał rację. Zachowywałam się jak nimfomanka, brak mi było poczucia własnej godności, samokontroli. Uprawianie seksu pomaga mi uwierzyć w siebie, jakbym w ten sposób dokonywała zmiany własnej osobowości, wchodziła w inną skórę. Ale tylko na krótko. Później, kiedy już spałeś, czułam do siebie pogardę za to, co zrobiłam, żywiłam pogardę również wobec ciebie. Znienawidziłam cię, bo byłeś ze mną. – Spojrzała w bok. – I dlatego, że byłeś dobry. Zburzyłam to, co było między nami, bo nie mogłam znieść dobroci. Lecz po tych wszystkich latach, które minęły, teraz żałuję...

Siedziałem nieruchomo, usiłując uporządkować jakoś własne myśli i zrozumieć to, co usłyszałem.

Pochyliła się i pocałowała mnie. Powoli pocałunki stawały się coraz gorętsze, przytuliliśmy się do siebie, szukaliśmy się po omacku, nasze języki wariowały. I nagle odsunęliśmy się od siebie.

– Sharon...

– Tak, wiem – powiedziała. – Nie zaczynajmy od nowa. Skąd możesz mieć pewność, że nie grozi ci to samo?

– Ja...

Położyła mi palec na ustach.

– Nie ma sensu się tłumaczyć, Alex. To już stare dzieje. Chciałam ci tylko udowodnić, że nie jestem aż tak bardzo zła.

Milczałem. Nie wypowiedziałem słów, które przychodziły mi do głowy. Że może, powoli, moglibyśmy zacząć od nowa. Ostrożnie. Teraz, kiedy jesteśmy bardziej dojrzałi.

– Jedź już – powiedziała.

Odjechaliśmy. Każde w swoim samochodzie.

Gdy wróciłem od Kruse'a, siedziałem w moim saloniku, po ciemku, i rozważałem wszystko od początku i jeszcze raz, i jeszcze raz... Park Avenue, letnie miesiące w Southampton. Mama i tata. Piją martini w oszklonym salonie. Wielkopańskie obrazki prosto z magazynu.

Lecz tamten wąski pasek taśmy świadczył o tym, że mamie daleko było do damy z towarzystwa. Dziwka bogatego faceta, która produkowała się w filmach pornograficznych, kto wie, czy niewykorzystywanych do szantażu.

„Całe moje życie było jednym wielkim kłamstwem”.

Pomyślałem o Shirlee Ransom. Osobnik wegetatywny. Piski. Zastanawiałem się, czy w tej całej historii tkwi jakieś źdźbło prawdy.

Gdyby Sharon kochała swoją bliźniaczą siostrę, nie popełniłaby samobójstwa, zostawiając na łaskę losu bezbronną kalekę.

Chyba że Shirlee wcześniej umarła.

Dwie małe śliczne czarnowłose dziewczynki. W tle – góry. Rożki z lodami w rączkach.

Bliźniaczki lustrzanego odbicia. „Ona jest leworęczna, ja prawo”. – Nagle uświadomiłem sobie, co mnie w tym pornosie tak bardzo zaniepokoiło.

Sharon była praworęczna, ale na tym filmie dotykała partnera i pieściła – lewą ręką!

„Uprawianie seksu pomaga mi uwierzyć w siebie, jakbym w ten sposób dokonywała zmiany własnej osobowości, wchodziła w inną skórę”.

Przeobrażenie się? Próba odnalezienia innej osobowości?

Lewa ręka. Sinestra. Lewa. Wśród niektórych prymitywnych kultur jest uosobieniem zła.

Włożyła blond perukę i stała się dziewczyną... leworęczną, lewą dziewczyną.

Nagle coś mnie uderzyło w jej opowieści o wypadku, coś, na co nie wpadłem przed sześciu laty, bo bardzo chciałem jej uwierzyć.

Szczegóły. Dokładny opis wydarzeń.

Zbyt to skomplikowane jak na trzyletnią dziewczynkę. Trzyletnie dziecko nie mogłoby tego wszystkiego zapamiętać.

Wyuczone szczegóły? Czy też często powtarzane kłamstwa?

Czy była przez kogoś ćwiczona? Czy poszerzono jej pamięć?

Jak podczas hipnozy.

Z udziałem Paula Kruse'a, mistrza w tej dziedzinie. Filmowca amatora. Miernoty zawodowej.

Byłem już teraz pewien, że wiedział bardzo dużo i mógł wypełnić większość białych plam. Ale zabrał to wszystko do grobu. Straszna, krwawa śmierć, która oprócz niego zabrała jeszcze dwie osoby.

Za wszelką cenę pragnąłem wiedzieć dlaczego.

Rozdział 20

Źle się czułem, dopadł mnie jakiś paskudny wirus, więc odwołałem lot do San Luis. Włączyłem telewizor, mojego najwierniejszego elektronicznego kompana.

W wiadomościach o godzinie jedenastej głównym tematem było morderstwo Kruse'a; uzupełniały go migawki na żywo z domu zamordowanego oraz wstawki ze zdjęciami Paula i Suzanne z dawnych dobrych czasów. Zidentyfikowano trzecią ofiarę; była nią Lourdes Escobar, lat dwadzieścia dwa, pochodząca z El Salvador. Pracowała u Kruse'ów jako pokojówka. Zdjęcie przedstawiało młodą dziewczynę o szczerym spojrzeniu; czarne włosy, splecione w warkocz, i czarne wilgotne oczy.

Niewinna ofiara – stwierdził reporter przytłumionym głosem, z którego przebijała nuta ironii. „Gnana marzeniami o lepszym życiu uciekła od zamieszek i nędzy własnego kraju i oto zginęła śmiercią tragiczną wśród zbytku i luksusu Los Angeles...”

Ten refleksyjny komentarz świadczył oczywiście o tym, że niewiele wie.

Przeskakiwałem z kanału na kanał, chcąc usłyszeć coś więcej. Wszystkie trzy ostatnie przeglądy wiadomości były zdawkowe, pozbawione konkretów. Dziennikarze, adresując te słowa nie tyle do widowni, co do osób strzegących poufności, zastanawiali się, czy może któryś z pacjentów Kruse'a nie jest sprawcą zabójstwa, czy też może to kolejne przypadkowe morderstwo w Los Angeles.

Wysłuchałem prognozy w kwestii popytu na broń i na tresowane psy obronne. W pewnym momencie dziennikarz przysłonił ręką jedno ucho i powiedział:

– Chwileczkę. Wkrótce podamy państwu oświadczenie policji.

Na ekranie pojawił się Cyril Trapp. Odchrząknął głośno. W telewizyjno-niebieskiej koszuli, z siwą czupryną lśniąca jak stalowy hełm. W świetle reflektorów jego pokryta plamami twarz wyglądała jak brudne prześcieradło. Wąsy mu drgały, jakby coś żuł. Odczytał krótkie oświadczenie: departament policji w Los Angeles dołoży wszelkich starań i uruchomi wszelkie możliwe rezerwy, by wykryć sprawców tego ohydneho morderstwa. Wymuszony uśmiech, zdawkowy ukłon.

– To tyle, co na razie miałbym państwu do przekazania – zakończył i zniknął z ekranu.

– Usłyszeli państwo... Relacja na żywo z miejsca zbrodni...

Wyłączyłem telewizor. Byłem ciekaw, co może oznaczać włącznie Trappa w tę sprawę. Czekałem na telefon od Mila. Miałem nadzieję, że powie coś więcej. Nie dzwonił, więc rozebrałem się i wśliznąłem do łóżka. Czułem nieprzyjemną suchość w ustach, aż bolało mnie podniebienie. Starłem się głęboko oddychać, tymczasem nie przyniosło mi to ulgi, a w dodatku wprowadziłem się w stan wzmożonej czujności. Obejmując poduszkę niczym kochankę, usiłowałem przywołać z pamięci przyjemne strony z mego życia. Ale się nie udało. W końcu, niedługo przed świtem, zasnąłem.

Nazajutrz zadzwoniłem do Mila na komendę policji. Usłyszałem, że jest wciąż na urlopie. W domu

nikt nie odbierał.

Sięgnąłem po poranną prasę. W przeciwieństwie do skąpych informacji w sprawie śmierci Sharon morderstwo Kruse'a potraktowano bardzo poważnie. Na trzeciej stronie wielkie czcionki tytułu obwieszczały: „Doktor Kruse i jego małżonka zostali zamordowani”. Autorem relacji był dziennikarz Dale Conrad. Znałem to nazwisko, kiedyś pisywał behawiorystyczne, naukowe opowiadania, a w ogóle to raczej odwalał robotę.

Jego relacja w sprawie Kruse'a potwierdzała moją ocenę. Na wielospaltowej kolumnie nie napisał o morderstwie nic ponadto, co podały wczorajsze wiadomości. Głównym wątkiem artykułu była biografia doktora. Miał lat sześćdziesiąt, dwa razy tyle co żona, o której Conrad raczył napisać, że dawniej była aktorką. Kruse urodził się w Nowym Jorku, w zamożnej rodzinie. Pełnił służbę jako oficer-psycholog oddziału w Korei; doktorat obronił na uniwersytecie południowej Florydy i dzięki towarzyskim powiązaniom oraz felietonom w prasie podjął praktykę w Palm Beach, która okazała się bardzo lukratywna. Potem przeniósł się do Kalifornii. Conrad skrupulatnie odnotował jego awans na dziekana i zacytował słowa jego poprzednika, profesora Milтона Frazier, który powiedział, że jest wstrząśnięty bezsensowną śmiercią wielce szanowanego kolegi.

W sprawie śmierci Lourdes Escobar znalazłem tylko: „Znaleziono również ciało pokojówki...”

Odłożyłem gazetę. Nowy Jork, bogaci rodzice, powiązania towarzyskie – tak bardzo przypominało to konfabulację Sharon...

Czyżby to wszystko było fałszem? Ale bez względu na to, kim była jej matka – kiepską aktoreczką, której się nie powiodło – standard życia Sharon świadczył o zamożności: stroje, samochód, dom. Może Linda Lanier wyszła bogato za mąż i marzenie dziewczyny na telefon ziściło się?

Albo też jakoś inaczej zdobyła pieniądze. I przekazała córce kawał ziemi należącej niegdyś do zmarłego miliardera, u którego pracowała? Majątkiem tym nadal zarządzała korporacja owego miliardera i natychmiast po śmierci Sharon wystawiła dom na sprzedaż.

Zbyt wiele znaków zapytania. Rozboliła mnie głowa.

Ubrałem się, wziąłem notatnik i kilka długopisów, i wyszedłem z domu. Przekroczyłem jezdnię Bulwaru Zachodzącego Słońca i od strony północnej wszedłem na teren kampusu. W bibliotece znalazłem się o wpół do dwunastej.

Skierowałem się prosto do działu informacji. Posługując się indeksem komputerowym, odnalazłem tytuły dwóch książek o Lelandzie Beldingu.

Pierwsza, wydana w 1949 roku, nosiła tytuł „Dziesięciu szogunów”. Druga to „Przypadki miliardera” pióra Seamana Grossa. Zdziwiłem się, bo byłem przekonany, że wszystkie egzemplarze tej książki zostały wycofane. Zanotowałem numery i zacząłem szukać nazwiska Lanier, Linda Lanier. Nic nie znalazłem.

Zrezygnowałem z pomocy komputera i zabrałem się do poszukiwania metodą staroświecką – spędziłem dwie godziny wertując strona po stronie, tom po tomie indeksu czasopism. Tu też nic o Lindzie Lanier, za to ponad setka wzmianek o Lelandzie Beldingu od połowy lat pięćdziesiątych do połowy siedemdziesiątych. Skompletowałem, jak sądziłem, niezłą bibliografię i pojechałem windą na górę, do sali bibliotecznej, gdzie rozpocząłem poszukiwanie materiału. Zaszyłem się wśród powiązanych w sterty magazynów i trwałem tam aż do wpół do trzeciej.

Najważniejsze wzmianki o Beldingu znalazłem w pismach poświęconych przemysłowi lotniczemu – wtedy „szogun” przekroczył zaledwie lat dwadzieścia. Pisano o Lelandzie Beldingu jak o technicznym i finansowym talencie, genialnym konstruktorze samolotów – w ciągu trzech kolejnych lat otrzymał trzy patenty. Na każdym była ta sama fotografia – zdjęcie migawkowe dla Zakładów Przemysłowych Beldinga: młody wynalazca siedzi w kabinie jednej ze swych maszyn, w hełmie i goglach, ze wzrokiem wbitym w tablicę rozdzielczą. Przystojny mężczyzna, choć o chłodnym wyrazie twarzy.

Niezmierzone bogactwo, talent, ładna, chłopięca twarz, skromność: wszystko to sprawiło, że stał się bohaterem mediów, a ton najwcześniejszych o nim wypowiedzi prasowych był pełen uwielbienia. W jednym z artykułów określono go jako najlepszą partię roku 1937. W innym znów napisano, że Ameryka winna mu jest tytuł Wielkiego Księcia.

W przedwojennym numerze „Collier” znalazłem jego krótką biografię: urodził się już do bogactwa, w 1910 roku, jako jedyne dziecko posiadaczki dóbr w Newport, Rhode Island, oraz nacierza z Teksasu, który przeistoczył się w wytwornego właściciela rancha.

Kolejne zdjęcie. Belding sprawia wrażenie przerażonego techniką – stoi, rękawy zawinięte do łokci, w jednej ręce trzyma duży klucz, drugą kieruje ku olbrzymiej, żeliwnej maszynerii. W wieku trzydziestu lat przypominał mnicha: wysokie czoło, wydatne usta, grube szkła okularów, zza których spozierają wyraziste, okrągłe ciemne oczy. Jak sugerował artykuł, współczesny Midas który łączy wspaniałą amerykańską pomysłowość i inwencję z zamiłowaniem do rozumianej po staroświecku ciężkiej pracy. W czepku urodzony, wychowany w blasku złota nie dopuszczał do tego, by ów blask zmatowiał. Jak było trzeba, potrafił pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę i nie bał się ubrudzić sobie rąk. Cechowała go fotograficzna pamięć, znał nazwiska setek swoich pracowników, ale nie cierpiał błazenady i pozerstwa i nie miał cierpliwości do pustego gadulstwa „koktajlowych tłumków”.

Sielankowe życie jedynaka skończyło się w jednej chwili – jego oboje rodzice zginęli w katastrofie samochodowej. Spędzali wakacje na hiszpańskiej wyspie Ibiza, leżącej na południe od Majorki, a tego tragicznego wieczora wracali z przyjęcia.

Jeszcze jedna szpalta. Przerwałem czytanie, starając się skleić w całość strzępy informacji. Nie dało rady, więc wróciłem do lektury.

Gdy zdarzył się ów wypadek, Belding miał lat dziewiętnaście, był studentem ostatniego roku w Stanford, specjalizował się w fizyce i inżynierii. Porzucił naukę, wrócił do Houston, by zająć się rodzinną firmą naftową, która pod jego kierownictwem natychmiast się powiększyła i zamieniła w fabrykę sprzętu wiertniczego; wykorzystywano w niej projekty, które sam opracował podczas

studiów.

Po roku przerzucił się na ciężkie maszyny rolnicze; wówczas zaczął się uczyć latać. Okazało się, że ma zdolności w tym kierunku i bez trudu uzyskał stopień pilota. Poświęcił się konstrukcji samolotów. W ciągu pięciu lat był już potentatem w przemyśle lotniczym.

W 1939 roku połączył przedsiębiorstwa, tworząc korporację Magna (z komunikatu prasowego korporacji: gdyby pan Belding ukończył Stanford, otrzymałby stopień magna cum laude”) i przeniósł się z Teksasu do Los Angeles, gdzie wybudował kwaterę główną korporacji, fabrykę samolotów i prywatny pas startowy na przedmieściach El Segundo, długości tysiąca pięciuset jardów.

Pogłoski o darowiznach na cele publiczne podbijały kursy na giełdzie i spekulanci mieli pole do popisu. Lecz owe darowizny nigdy się nie zmaterializowały i Wall Street wyraził żal z tego powodu – nazwał Lee Beldinga kowbojem, który wpycha do ust więcej jedzenia, niż mógłby przełknąć. Belding puszczał to mimo uszu i w dalszym ciągu rozwijał swoje przedsiębiorstwa, wciąż powstawały nowe stocznie, koleje, farmy, wielkie budowy.

Załatwił sobie kontrakt z Departamentu Pracy w Waszyngtonie na budowę tanich domków w Kentucky oraz bazy wojskowej w Nevadzie, po czym, sypnąwszy dolarami, stworzył Cashbah, największe i najbardziej reprezentacyjne kasyno gry, które przyćmiło nawet blask słońca w Las Vegas.

Gdy kończył trzydzieści lat, stan jego posiadania był trzydziestokrotnie większy niż dziesięć lat wcześniej; stał się jednym z pięciu najbogatszych ludzi w Ameryce i zdecydowanie najbardziej z nich tajemniczym – unikał wywiadów i jakichkolwiek występów publicznych. Prasa mu wybaczyła, dokładając wszelkich starań, by dawał im lepsze odbitki zdjęć i umożliwiał większą swobodę działania.

Prywatność, ostatni luksus...

Już podczas drugiej wojny światowej miłosne dotąd stosunki między Ameryką a Lelandem Beldingiem uległy pewnemu ochłodzeniu. Naród grzebał swoich poległych, przyszłość robotników jawiła się w czarnych barwach – wówczas to lewicujący dziennikarze zaczęli wytykać Beldingowi, że zbił kapitał na wojnie, siedząc bezpiecznie w swoim luksusowym apartamencie w kwaterze głównej korporacji Magna.

Szybko ustalono, że między 1942 a 1945 rokiem aktywa korporacji Magna, dzięki tysiącom lukratywnych kontraktów, uległy czterokrotnemu powiększeniu. Magna była głównym dostawcą sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych – zaopatrywała je w bombowce, lotnicze systemy naprowadzania, działa przeciwlotnicze, czołgi, transportery opancerzone, ekwipunek i mundury.

W prasie zaczęły się pojawiać epitety w rodzaju: „Baron rozbójnik, spekulant, wyzyskiwacz klasy robotniczej”; komentatorzy podkreślali z całym naciskiem, że Lee Belding jest obsesyjnym egoistą, sknerą bez krzty patriotyzmu. Jeden z dziennikarzy przypomniał, że Belding nigdy nic nie dał na cele dobroczynne, ani pensa dla ofiar wojny.

Coraz głośniej mówiono o korupcji – napomykano, że oferty Beldinga wcale nie były najbardziej korzystne, a jednak to on zawierał kontrakt z kontrahentem. Na początku roku 1947 pogłoski przemieniły się w oskarżenia i miały już tak mocne podstawy, że całą sprawą zainteresował się Senat. Stworzono senacką podkomisję do zbadania źródeł dochodów wojennych Lelanda Beldinga. Umowy wewnętrzne korporacji Magna miały być szczegółowo zbadane. Belding zignorował te rewelacje i cały swój czas poświęcił produkcji filmów. Kupił studio, opatentował ręczną kamerę, która jego zdaniem miała zrewolucjonizować przemysł filmowy.

W listopadzie 1947 roku podkomisja senacka przeprowadziła publiczne przesłuchania.

W magazynie biznesmenów znalazłem sprawozdanie z owego przesłuchania – konserwatywny punkt widzenia, żadnych zdjęć, drobny druk, suche streszczenie.

Lecz nie na tyle suche, by nie można było się zorientować, o co tak naprawdę chodziło. O to mianowicie, że był nie tyle królem przemysłu, ile wysokiej klasy sutenerem. Członkowie komisji oskarżali Beldinga o faworyzowanie określonych osób i instytucji w przydzielaniu intratnych umów na broń. Układy owe zawierano na imprezach, jakie się odbywały w kilku stojących na uboczu domach w Hollywood Hills, własności korporacji Magna. Organizowano tam „spotkania towarzyskie gwiazd filmowych” – a tak naprawdę były to orgie z alkoholem, narkotykami i wynajętymi prostytutkami, które popisywały się tańcami na golasa i brały udział w zawodach pływackich.

Dziewczeta te, określane jako „zawodowe hostessy”, pragnęły zrobić karierę w filmie. Wybierał je facet, który prowadził studio Beldinga, były „doradca w interesach”, o nazwisku William Houck Vidal.

Przesłuchania komisji trwały przeszło pół roku, po czym cała historia, która zapowiadała się na bardzo pikantną, zaczęła stopniowo się rozmywać. Okazało się, że podkomisja nie mogła znaleźć wiarygodnych świadków, zeznawali ci, do których docierały zaledwie pogłoski o słynnych przyjęciach Beldinga, i w krzyżowym ogniu pytań łamali się jeden po drugim. Natomiast sam Belding, powołując się na ustawę o naruszeniu bezpieczeństwa kraju, odmówił zeznań, zdobywając tym samym poparcie Departamentu Obrony.

Billy Vidal pojawił się na przesłuchaniach w towarzystwie uznanych prawników. Zaprzeczył, jakoby jego główną pracą było stręczenie kobiet dla Lelanda Beldinga; oznajmił, że jeszcze zanim zetknął się powtórnie z Beldingiem, odnosił w Beverly Hills znaczne sukcesy jako konsultant do spraw przemysłu filmowego i przedłożył dokumenty potwierdzające ów fakt. Przyjaźnił się z młodym Beldingiem jeszcze w czasach studenckich (obaj byli na uniwersytecie w Stanford) i już wtedy szczerze go podziwiał. Stanowczo jednak zaprzeczył posądzeniom o jakiegokolwiek sprzeczne z prawem i niemoralne czyny. Poparli go świadkowie o znaczących nazwiskach. Na tym skończyły się przesłuchania Vidala.

Gdy korporacja Magna odmówiła także przedłożenia sprawozdań finansowych, powołując się po raz kolejny na bezpieczeństwo kraju, co znów poparł Departament Obrony i Stanu, podkomisja znalazła się w impasie i umarła śmiercią naturalną.

Senatorowie, by wyjść z honorem, udzielili łagodnej nagany Lelandowi Beldingowi podkreślając jednocześnie jego bezcenne zasługi dla obrony narodowej. Zasugerowano, by w przyszłości bardziej dbał o dokumentację finansową. Następnie zlecono sporządzenie raportu i wysunięto wniosek o rozwiązanie się podkomisji. Niektórzy napomykali później, że wobec takiego obrotu spraw można przypuszczać, że członkowie Kongresu bywali na liście gości Beldinga, a całe to przesłuchanie wygląda na typowy przykład ochrony kurnika przez lisy. Lecz w gruncie rzeczy nikogo już ta sprawa nie obchodziła. Ameryka weszła w okres powojennego entuzjazmu, wszyscy myśleli o odbudowie dobrobytu i osiągnięciu sukcesu w bieżącej dekadzie. Jeśli kilku bezczelnych łobuzów coś przy okazji zyskało, no to trudno.

Przyjęcia. Powiązania z filmowcami. Kręcenie filmów okolicznościowych. Chciałem się dowiedzieć czegoś więcej o rozwiązłym życiu tajemniczego pana Beldinga.

Już zamierzałem wrócić do działu informacji i poszukać jakichś danych o Williamie Houcku Vidalu, gdy zapowiedziano przez głośnik, że za piętnaście minut zamyka się bibliotekę. Wziąłem dwie książki i stos nieprzejrzaných jeszcze czasopism i pospieszyłem do fotokopiarki, którą przez następne dziesięć minut karmiłem dziesięciocentówkami. Zszedłem na dół i wypożyczyłem książki. Trzymając pod pachą wszystkie te skarby, powędrowałem do domu.

Rozdział 21

Na moim parkingu, tuż za sevilla, stał biały volkswagen rabbit. Młoda dziewczyna, oparta o karoserię, czytała książkę. Na mój widok aż podskoczyła.

– Dzień dobry. Doktor Delaware?

– We własnej osobie.

– Jestem Maura Bannon. Z „Timesa”. Sprawa pani doktor Ransom. Mogłabym z panem porozmawiać? Zajmę panu tylko minutę.

Wysoka, chuda, około dwudziestki, twarz podłużna, usiana piegami, z gatunku tych, którym przydałby się makijaż. Miała na sobie żółty sweter i białe sportowe buty. Chłopięca czupryna w kolorze pomarańczowym z przebłyskiem różu i tej samej barwy cienie wokół jasnobrązowych oczu. Wyraźnie nieprawidłowy zgryz i szpara grubości wykałaczki między dwoma górnymi zębami.

Trzymała w dłoni książkę Wambaugh „Echa w ciemności”, z żółtymi zakładkami wystającymi spośród kartek. Paznokcie krótkie, ogryzione.

– Skąd się pani dowiedziała, gdzie mieszkam?

– My, dziennikarze, mamy swoje sposoby. – Uśmiechnęła się.

Wyglądała teraz na jakieś dwanaście lat. Widząc, że uśmiechnąłem się również, rzekła: – Czytałam o panu w gazecie. Sprzed kilku lat. Kiedy zaangażował się pan w sprawę schwywania tych typów molestujących seksualnie dzieci. „Prywatność, ostatni luksus”.

– Aha. – Ned Biondi działał ślamazarnie i w końcu przegrał.

– Gdy to wszystko czytałam, doszłam do wniosku, że jest pan człowiekiem zdolnym do poświęceń – powiedziała. – Kimś, kto nie lubi draństwa.

– Kto pani wciska draństwo?

– Moi szefowie. Wszyscy. Po pierwsze, oznajmili mi, żebym zapomniała o sprawie Ransom. Kiedy poprosiłam o sprawę Kruse’a, to dali ją temu ofermie Dalowi Conradowi, który nigdy nie odrywa się od swojego biurka. Skończony leń. Próbowałam złapać pana Biondi, ale sekretarka powiedziała mi, że wyjechał do Argentyny. Hiszpański trop. A potem przydzieliła mi robotę. Sprawozdanie z tresury koni w Anaheim.

Łagodna, ciepła bryza napływała z doliny; przewróciła założone paskami papieru kartki w jej książce.

– Ciekawa? – zapytałem, trzymając swoje pod pachą tak, by dziewczyna nie mogła odczytać tytułów.

Fascynująca. Zamierzam pisać powieści kryminalne, dotrzeć do istoty dobra i zła. Dlatego wnikam w problemy życia i śmierci. Sądzę, że mi się uda. Bohaterem tej książki jest policjant o dużym doświadczeniu, a ludzie są niesamowici, pozornie godni szacunku, ale zupełnie zwariowani. Tak jak ci w tej sprawie.

– W jakiej sprawie?

– Teraz już: w sprawach. Doktor Ransom. Doktor Kruse. Dwoje psychologów umiera w tym samym tygodniu, dwoje ludzi powiązanych ze sobą. Jeśli łączyło ich coś za życia, to może te nagłe śmierci też mają ze sobą coś wspólnego? A to by znaczyło, że pani Ransom również została zamordowana, nie uważa pan?

– Co ich łączyło?

Uczyniła gest raczej frywolny.

– Niech pan przestanie, doktorze, wie pan przecież, co mam na myśli. Sharon Ransom była studentką Kruse'a. Co więcej, studentką wyróżniającą się. Był przewodniczącym komisji, gdy broniła pracę doktorską.

– Skąd pani o tym wie?

– Ma się te źródła. Niech pan już przestanie się zgrywać, doktorze. Pan też jest psychologiem. Pan znał Sharon Ransom, więc wszystko wskazuje na to, że znał pan także jego, mam rację?

– Absolutną.

– No to przejdźmy do rzeczy. Proszę mi wszystko opowiedzieć. Nie zamierzam się wycofać.

Zastanawiałem się, co też ona może wiedzieć i co w ogóle z nią począć.

– Napije się pani kawy?

– A ma pan herbatę?

– Poproszę o rumiankową, jeśli pan ma – powiedziała już w domu i zaraz zaczęła przyglądać się wystrojowi mieszkania. – Ładnie tutaj. Bardzo w stylu Los Angeles.

– Dzięki za uznanie.

Przeniosła wzrok na stolik, gdzie leżało sporo różnych dokumentów i nierozpieczętowanych listów. Pociągnęła nosem. Powietrze nie było za dobre, pachniało domem niezamieszkanym.

– Mieszka pan sam? – zapytała.

– Chwilowo. – Poszedłem do kuchni i schowałem do szafy dokumenty, nad którymi ślęczałem w bibliotece. Zrobiłem dla niej herbatę, dla siebie kawę, postawiłem na tacy dwie filiżanki, śmietankę,

cukier, i przyniosłem do saloniku. Siedziała na sofie w pozycji półleżącej. Usiadłem naprzeciwko niej.

– No więc, kiedy doktor Kruse rozpoczął pracę na uniwersytecie, mnie tam już nie było. Rok wcześniej uzyskałem stopień doktora.

– Dwa miesiące wcześniej – powiedziała. – W czerwcu siedemdziesiątego czwartego. Dotarłam również do pańskiej dysertacji. – Zarumieniła się, bo zdała sobie sprawę, że zdradziła owe „źródła”, i zaczęła nadrabiać miną. – Ale mimo to mogę się założyć, że pan go znał.

– Czytała pani dysertację pani doktor Ransom?

– Przeglądałam.

– Co było jej przedmiotem?

Poruszała torebką w filiżance, czekając, aż woda nabierze barwy.

– Dlaczego najpierw nie odpowie pan na moje pytanie.

Stanął mi przed oczami widok małżeństwa Kruse'ów po śmierci. Lourdes Escobar. DJ. Rasmussen. Coraz więcej trupów. A za tym wszystkim wielkie pieniądze. Szybko poszło.

– Moim zdaniem dla własnego dobra powinna pani z tej sprawy zrezygnować.

Postawiła filiżankę na spodeczku.

– Co to ma znaczyć?

– Zadawanie niewłaściwych pytań może się okazać niebezpieczne.

– Aha! – powiedziała, przewracając oczami. – Nie wierzę w to. Chodzi o to, że jestem kobietą?

– Płeć nie ma tu nic do rzeczy. Ile pani ma lat?

– Nieważne.

– Ważne. Chodzi o doświadczenie.

– Panie doktorze – powiedziała wstając. – Jeśli zamierza mi pan matkować, to się zmywam.

Czekałem na dalszy rozwój wydarzeń. Usiadła.

– Do pańskiej wiadomości: jestem dziennikarką od czterech już lat.

– Z dyplomem?

Zaczerwieniła się, tym razem na purpurowo. Po piegach ani śladu.

– Musi pan wiedzieć, że po odejściu z college’u miałam sporo trudnych spraw. Doprowadziłam do tego, że dwóch księgarzy wyrzucono z pracy z powodu defraudacji.

– Moje gratulacje. Ale reprezentujemy teraz całkiem różne stanowiska. A moje jest jasne – odesłać panią ciupasem do domu.

– Niech pan przestanie – powiedziała, lecz w jej oczach dostrzegłem lęk. Maskowała go oburzeniem. – Widocznie pomyliłam się co do pana.

– Widocznie.

Podeszła do drzwi. Zatrzymała się.

– Fatalnie się stało, ale trudno – powiedziała.

Teraz mój ruch. Trzeba zaostrzyć jej apetyt.

– Może pani ma i rację – pokiwałem głową. – I rzeczywiście między tymi śmierciami istnieje pewien związek. Na razie jednak są to tylko domysły, nic, co by było warte dyskusji.

– Domysły? Pan też docieka prawdy? Dlaczego?

– Sprawa osobista.

– Pan się w niej kochał?

– Jest pani bardzo wścibską młodą damą.

– Jedźmy dalej, doktorze. Jeśli jest to tak niebezpieczne, to dlaczego pan się w to miesza?

– Mam kontakty z policją, więc wiem trochę więcej.

– Kontakty z policją? Śmiechu warte! Policja tylko o tym marzy, żeby sprawę zatuszować. Dowiedziałam się – dzięki moim kontaktom – że ze sprawy Ransom zrobili totalną Watergate. Nie ma żadnych raportów sądowych, tak jakby Sharon Ransom w ogóle nie istniała.

– Ja mam inne kontakty. Spoza głównego nurtu. Można na nich polegać.

– Ten pedał ze sprawy o molestowanie?

Wzięła mnie przez zaskoczenie.

Oczy jej się śmiały. Była bardzo z siebie zadowolona. Płotka przepłynęła szczęśliwie wśród ławicy drapieżników.

– Być może zgodzę się z panią współpracować – powiedziałem.

Uśmiechnęła się i miał to być uśmiech chłodny. Uśmiech człowieka znającego swoją wartość.

– Aha, wycofywanie się rakiem. Ale dlaczego ja miałabym z panem współpracować?

– Bo inaczej nic pani nie wskóra – obiecuję to pani. Zdobyłem pewne informacje, do których nigdy nie miałyby pani dostępu, ale w obecnym kształcie nie przedstawiają one dla pani żadnej wartości. Zamierzam iść dalej tym tropem. Będzie pani miała wyłączne prawa druku tego, co uda mi się wyszperać, pod warunkiem, że nie zagrozi to naszemu zdrowiu.

Wyglądała na głęboko urażoną.

– Coś podobnego! Świetnie! Duży, silny i odważny polować, a słaba Indianka siedzieć w wigwamie.

– Przyjmujesz albo nie, Mauro.

Zacząłem zbierać filiżanki.

– Śmierdzi mi to.

Pomachałem jej na do widzenia.

– No to idź swoją drogą. Zobaczymy co zwojujesz.

– Pan chce, żebym tańczyła, jak pan mi zagra.

– Chcesz pisać powieści kryminalne? No to daję ci szansę – bez gwarancji – na zdobycie dobrego tematu. I życzę ci, żebyś się doczekała chwili, kiedy zobaczysz to wydrukowane. W przeciwnym razie będziesz pędzić na złamanie karku jak Nancy Drew – i wtedy albo cię wyleją i odeślą w trybie przyspieszonym do domu, albo załadują na bagaż w takim samym stanie, w jakim znaleźli się Kruse'owie i ich służąca.

– Służąca? – zapytała. – Nie było o niej mowy.

– Bo ona się nie liczy, Mauro. Bez pieniędzy, bez koneksji – ludzki śmieć, prosto na kupę kompostu.

– Okrutne stwierdzenie.

– Przekraczające wyobraźnię szczeniackiego detektywa?

Tupnęła nogą, ogryzając paznokieć kciuka.

– Daj mi to na piśmie – powiedziała.

– Co mam ci dać na piśmie?

– Że ubiliśmy interes. Umowa. Że mam wyłączne prawa do twoich informacji.

– Myślałem, że jesteś dziennikarką, nie prawnikiem.

– Prawo numer jeden: dbaj o własne interesy.

– Mylisz się, Mauro. Prawo numer jeden brzmi: nie zostawiaj po sobie śladów.

Zaniosłem naczynia do kuchni. Zadzwoił telefon. Zanim zdążyłem go odebrać, Maura podniosła słuchawkę w saloniku. Gdy wróciłem, uśmiechała się, trzymając słuchawkę w ręku.

– Rozłączyła się – powiedziała.

– Kto?

– Kobieta. Powiedziała jej, żeby poczekała, zaraz cię poproszę. A ona na to: „Nieważne”, ze złością. – Chytry uśmieszek. – Zazdrosna. – Wzruszenie ramionami. – Przepraszam.

Kobieta. Wskazałem dłonią drzwi.

– Do widzenia, panno Mauro.

– Wiem, że zachowałam się po chamsku. Naprawdę jest mi przykro.

Podszedłem do drzwi.

– Powiedziała, że jest mi przykro, i przepraszam. – Chwila milczenia. – No dobrze. Zapomnij o umowie. Pomyślałam, że gdybym ci ufała, świstek papieru byłby niepotrzebny. Więc przyjmij do wiadomości, że ci ufam.

– Czuję się dotknięty. – Nacisnąłem kłamkę.

– Zastosuję się do ciebie.

– Wycofywanie się rakiem? – zapytałem.

– No dobrze już, dobrze. Jakie zadośćuczynienie jestem ci winna?

– Chodzi mi o trzy rzeczy. Po pierwsze, musisz mi obiecać, że będziesz się trzymała z daleka od tych spraw.

– Jak długo?

– Póki ci nie powiem, że jest bezpiecznie.

– Nie do przyjęcia.

– No to cześć, Mauro.

– Cholera! Czego ode mnie chcesz?

– Najpierw wyjaśnijmy sobie to i owo – powiedziałem. – Nie ma mowy o żadnych niezapowiedzianych odwiedzinach u mnie, podsłuchiwaniu, bezczelnych żądaniach.

– Wpadłam do ciebie po raz pierwszy.

– Jaki masz kontakt u koronera? Chodzi mi o osobę, która powiedziała ci o zniknięciu raportów sądowych.

Była wyraźnie zaskoczona.

– Dlaczego przypuszczasz, że on czy ona pracuje u koronera?

– Wspomniałaś o danych sądowych.

– Nie wyciągaj z tego zbyt pochopnych wniosków – rzekła tajemniczo. – Tak czy owak nie zamierzam wyjawiać swoich źródeł.

– Uprzedź tylko tę osobę, by nie puściła tego dalej. Dla własnego bezpieczeństwa.

– Dobrze.

– Obiecujesz?

– Tak! Czy to było „po drugie”?

– Pierwsze – B. Drugie brzmi tak: powiesz mi wszystko, czego się dowiedziałaś o powiązaniach pani Ransom z Kruse'em.

– Już ci mówiłam. Dysertacja. Był jej promotorem. Mieli wspólny gabinet przy Beverly Hills.

– To wszystko?

– Tak.

Pilnie jej się przyglądałem i doszedłem do wniosku, że mówi prawdę.

– A po trzecie? – zapytała.

– Co było tematem dysertacji?

– Mówiłam ci, że tylko ją przeglądałam.

– Czego się dowiedziałaś z tego przeglądania?

– Pisała coś o bliźniaczym rodzeństwie, o podwojeniu osobowości, nazywała to „zintegrowaniem ego”. Aż się tam roilo od naukowego żargonu.

– Po trzecie: zrób mi z tego fotokopię.

– Jakim cudem? A poza tym nie jestem twoją sekretarką.

– Sprawa jest prosta. Pójdź tam, gdzie odszukałaś tę pracę, prawdopodobnie do biblioteki psychologicznej uniwersytetu. Chcę mieć tę kopię.

Uniosła rękę. – Niech to szlag, jutro rano podrzucę ci ksero.

– Nic z tych rzeczy, żadnego podrzucania. Wyślesz pocztą, ekspresem.

Napisałem jej numer kodu. Włożyła kartkę do swojej książki.

– Kurczę – powiedziała. – Czy wobec swoich pacjentów też jesteś takim dyktatorem?

– Tak ma być. Dla dobra sprawy.

– Jak na razie, dla twego dobra. Bo ja jak dotąd nic nie skorzystałam. – Skrzywiła się. – Wiesz, może odsłoń rąbek tajemnicy, doktorze. Bo w ten czy inny sposób sama do tego dojdę.

– Jak tylko dowiem się czegoś konkretnego, będziesz pierwszą osobą, do której zadzwonię.

– I żebym nie zapomiała – mówiła stojąc już w drzwiach. – Nie jestem cholerną nastolatką. Skończyłam dwadzieścia jeden. Wczoraj.

– Życzę szczęścia z okazji urodzin. I setkę następnych.

Gdy odjechała, zadzwoniłem do San Luis Obispo. Robin przyjęła telefon.

– Czołem, to ja – rzekłem. – Czy dzwoniłaś do mnie kilka minut temu?

– Skąd to przypuszczenie?

– Osoba, która podniosła słuchawkę, powiedziała, że telefonowała jakaś zagniewana kobieta.

– Osoba?

– Smarkata reporterka, która zadręcza mnie, bym udzielił jej wywiadu.

– Smarkuła lat dwanaście?

– Smarkuła lat dwadzieścia jeden. Wystające zęby, piegowata, sepleni.

– Dlaczego mam ci uwierzyć?

– Bo jestem święty. Strasznie się cieszę, że cię słyszę. Ilekroć do ciebie dzwoniłem, to zawsze potem miałem podłe uczucie, że wyszło nie tak, jak powinno. Tyle ważnych rzeczy miałem ci do powiedzenia i potem już było za późno.

– Ja czułam to samo, Alex. Rozmowa z tobą to jak spacer po polu minowym. Zupełnie jakbyśmy nosili w sobie śmiertelny ładunek, który przy lada ruchu eksploduje.

– Właśnie – powiedziałem. – Ale wierzę, że będzie inaczej. Nie zawsze przecież tak było.

Milczenie.

– Robin, przecież było nam dobrze.

– Oczywiście. Bywało nawet wspaniale. Ale zawsze istniały jakieś problemy. Może tylko ja je czułam, i dusiłam w sobie. Szkoda.

– Nie ma co robić sobie wyrzutów. Już ja się postaram wszystko naprawić. Mam dobrą wolę, Robin.

Cisza.

– Wczoraj poszłam do sklepu taty. Mama zachowała go w takim stanie, w jakim był za jego życia. Każdy przedmiot na swoim miejscu. Pomnik Josepha Castagnii. Ona już taka jest – nigdy nie zmienia zdania, nie idzie na żadną ugodę. Zamknęłam się tam i siedziałam kilka godzin, wachając pokost i trociny – i myślałam o tobie. Jak bardzo jesteś do niego podobny. I ty i on zawsze pełni dobrych chęci, ciepła, ale tak bardzo żądni dominacji – takie to dla ciebie ważne, Alex. On by cię lubił. Oczywiście dochodziłoby do konfliktów – dwa atakujące się byki – ale też potrafilibyście się razem śmiać.

Roześmiała się i rozplakała.

– Tutaj, w domu, doszłam do przekonania, że właśnie to podobieństwo pociągało mnie w tobie. Tak bardzo jesteś podobny do mojego taty. Nawet fizycznie: kręcone włosy, niebieskie oczy. W młodości był wybitnie przystojny, ten sam typ urody co ty. Głębia przemyśleń, nie uważasz?

– Czasem nie dostrzegamy takich problemów. Bóg mi świadkiem, jak tęsknię do najzwyklejszych rzeczy na świecie.

– Wiem. A ja cały czas mam uczucie, że jestem idiotką. Mieszkam tutaj, cieszę się własną niezależnością, a tobie mam za złe, że jesteś silny, dominujący, i zarazem pragnę, żeby ktoś się o mnie troszczył, pragnę być otaczana opieką tatusia... Boże, tak do niego tęsknię, Alex. To wszystko tak bardzo się płacze i sprawia mi taki ból.

– Wróc do domu – powiedziałem. – Razem to sobie przemyślimy.

– Chciałabym, ale nie wrócę. Boję się, że nic się nie zmieni.

– Doprowadzimy do tego, że się zmieni.

Milczała.

Jeszcze tydzień wcześniej wywierałbym na nią nacisk. Teraz, choć serce podchodziło mi do gardła, powiedziałem tylko:

– Bardzo bym pragnął, żebyś już do mnie wróciła, ale kieruj się własnymi potrzebami. Nie spiesz się.

– Dziękuję ci, Alex. Kocham cię.

– Ja też cię kocham.

Skrzypnęły drzwi, obejrzałem się i zobaczyłem Mila. Pozdrowił mnie gestem dłoni i wszedł pospiesznie do pokoju.

– Jesteś tam jeszcze, Alex? – zapytała Robin.

– Ktoś właśnie do mnie przyszedł.

– Mała panna Zębalska?

– Duży pan Sturgis.

– Pozdrów go ode mnie. I poproś go w moim imieniu, by nie przysparzał ci kłopotów.

– Już to robię. Na razie.

– Na razie, Alex. Niedługo zadzwonię. Cześć.

– Cześć.

Milo był już w mojej bibliotece. Udając zainteresowanie przerzucał książki psychologiczne.

– Czołem, sierżancie.

– Wpadka – powiedział. – Przepraszam. Ale te cholerne drzwi znowu były otwarte. Ile-razy-mam-ci-pawtarzać-żebyś-zamykał-drzwi?

Przypominał starego owczarka, który nasiusiał na dywan. Zapragnąłem mu pomóc.

– Nie mam nic do ukrycia – uspokoiłem go. – Chwilowa separacja. Jest teraz w San Luis Obispo. Wybrniemy z tego. Zresztą chyba się czegoś domyślałeś, prawda?

– Żywiłem niejake podejrzenia. Bo wyglądałeś, jakby cię kto rozdeptał. I nigdy o niej nie mówiłeś tak jak przedtem.

– No tak, przecież jesteś detektywem. – Podeszedłem do biurka i zacząłem bez celu rozprostowywać papiery.

– Mam nadzieję, że dojdziecie ze sobą do ładu. Byliście bardzo fajni.

– Proszę cię, nie używaj czasu przeszłego.

– No i znowu wpadka. Mea culpa. Mia Farrow. – Uderzył się w pierś i wyglądał na autentycznie strapionego.

Podszedłem do niego i poklepałem go po plecach.

– Daj spokój, stary. Pogadajmy o czymś bardziej przyjemnym. Na przykład o morderstwie. Doszperałem się dziś do całkiem interesującego materiału.

– Doktor Szperalski? – powiedział tym samym protekcyjnym tonem, jakim ja mówiłem kilka minut wcześniej do Maury.

– W bibliotece. Szperanie bez narażania życia.

– Jesteś zdolny do wszystkiego. No więc powiedz, co masz w zanadrzu, a ja ci powiem, co zdziałałem. Ale nie na głodnego.

Poszliśmy do kuchni, otworzyliśmy kilka piw i pudełko z sezamkami. Opowiedziałem mu o konfabulacjach Sharon. Dzieciństwo – wyższe sfery Wschodniego Wybrzeża przypominające świętą Kruse'a, wypadek rodziców i sieroctwo – w tle przeżycia Lelanda Beldinga.

– Zupełnie jakby zbierała biografie innych ludzi, by skomponować z nich własną – powiedziałem.

– Tak. Poza tym, że była nałogową kłamczucha, co to może oznaczać?

– Prawdopodobnie poważne zaburzenia osobowości. Życie w świecie fikcji, ucieczka od rzeczywistości... Widocznie w dzieciństwie poniewierano ją, porzucano. Fakt, że urodziły się w tej rodzinie bliźniaczki, też miał pewne znaczenie. A powiązania z Beldingiem to jednak coś więcej niż zwykły przypadek.

Opowiedziałem mu o przyjęciach, w których brali udział wszyscy urzędnicy Departamentu Obrony.

– Stojące na uboczu domy Hollywood Hills. Ten w Jalmii do tego pasuje. Jej matka obsługiwała kolejno te balangi. Po trzydziestu pięciu latach Sharon zamieszkała w jednym z tych domów.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że stary Belding był jej tatusiem? – zapytał Milo.

– To by jakoś wyjaśniało jej konfabulacje na temat wyższych sfer, ale kto wie. Kłamała bez przerwy, więc mam powody, by wątpić we wszystko.

– Rozumujesz jak rasowy policjant – powiedział.

– Wypożyczyłem kilka książek o Beldingu, łącznie z „Przypadkami miliardera”. Może uda się coś z nich wyłowić.

– Ta książka to stek kłamstw, za taką ją uznano.

– Czasem z kłamstw da się wyłuskać ziarno prawdy.

– Może i masz rację. Jak do niej dotarłeś? Myślałem, że ta cholerna książka została wycofana.

– Zapytałem o nią bibliotekarkę. Bardzo możliwe, że duże biblioteki mają egzemplarze obowiązkowe; zakaz kolportażu obejmuje księgarnie i dystrybutorów. W każdym razie od siedemdziesiątego trzeciego roku mało kto do niej zaglądał. Bardzo mało rewersów.

– Wyjątkowy przejaw dobrego smaku naszej czytającej społeczności – stwierdził. – Masz coś jeszcze?

Opowiedziałem mu o moim spotkaniu z Maurą Bannon.

– Mam wrażenie, że przekonałem ją, by trzymała się z daleka od tej sprawy. Tyle że ona ma dojście do koronera.

– Wiem, przez kogo.

– Chyba żartujesz.

– Nie. To, co mi powiedziałeś, to i owo mi wyjaśniło. Przed kilku dniami spotkałem tam pewnego studenta prawa trzeciego roku, który w ramach praktyki przewinął się przez biuro koronera. Zadawał zbyt wiele pytań o ostatnich wypadkach samobójstw i chyba myszkował w teczkach z aktami. Poinformowało mnie o tym „moje źródło”. Ten ktoś po prostu się zaniepokoił, że jakiś facet z zewnątrz szpera w biurze.

– Jeszcze tam jest?

– Nie. Praktyka się skończyła i student sobie poszedł. Prawdopodobnie chłopak chciał się czegoś dowiedzieć o seksie uprawianym przez Lois Lane junior. Ale dobrze zrobiłeś, że zastopowałeś dziewczynę. Ta cała sprawa staje się z każdym dniem coraz bardziej niesamowita i tajemnicza. Trudno będzie coś ustalić. Wczoraj w domu Kruse’ów Trapp, zanim włączyła się policja, zademonstrował pod moim adresem całą gamę szatańskich uśmiechów, żeby tylko się dowiedzieć, kto złożył mi doniesienie, skoro oficjalnie jestem na urlopie. Powiedziałem mu, że miałem trochę zaległej roboty papierkowej i przyszedłem na komendę; siedziałem przy biurku, kiedy ktoś zadzwonił anonimowo, donosząc o morderstwie w domu Kruse’a. Totalna bzdura, nawet nowicjusz nie dałby się na to nabrać. Ale Trapp nie miał wątpliwości, podziękował mi za aktywność i oświadczył, że przejmuje sprawę. – Zaciskając pięści, Milo warknął: – Ten dureń mnie dokooptował, kapujesz?

– Widziałem go w wiadomościach.

– Istny popis, no nie? I jeszcze jedno: Trapp zasugerował tło seksualne. Ale pozycja, w jakiej znaleziono te kobiety, nie wskazywała, że mordercą mógł być maniak seksualny. Zgodnie ze słowem mojego „koronerskiego źródła”, ciała nie nosiły także znamion duszenia czy okaleczenia.

– Jaka była bezpośrednia przyczyna zgonu?

– Bicie i strzały – nie wiadomo, co było najpierw. Ręce związane z tyłu, pojedyncza kula w tyle czaszki.

– Egzekucja.

– Taka też jest moja robocza hipoteza.

Wyładował złość na sezamce, miażdżąc ją zębami i energicznym gestem strząsając z koszuli okruszki. Skończył piwo i powędrował do lodówki po następne.

– Co dalej? – zapytałem.

Usiadł i odchyliwszy głowę do tyłu, przechylił butelkę i wlał połowę jej zawartości do gardła.

– Kiedy nastąpiła śmierć. Na podstawie zwłok w takim stadium rozkładu nie da się tego naukowo określić. Ale sądząc po zmianach, jakie zdążyły nastąpić... a weźmy jeszcze pod uwagę klimatyzowane pomieszczenie, szeroko otwarte drzwi... ciała musiały znajdować się tam od dłuższego już czasu. Biała barwa skóry, plamy, brak płynu w organizmie, wszystko to świadczyłoby o dniach nie o godzinach. Cztery do dziesięciu dni, taką hipotezę postawił mój informator. Ale przecież wiemy, że ubiegłej soboty, na przyjęciu, Kruse'owie byli cali i zdrowi, wobec tego może być mowa o czterech do sześciu dniach.

– Co oznacza, że mogli zostać zamordowani zarówno przed śmiercią Sharon, jak i po.

– Słusznie. A gdyby przed, to mój scenariusz bierze w łeb, i potwierdza się twoja teoria o Rasmussenie. Dzwoniłem do szeryfów w Newhall. Dobrze go znali: nałogowy pijak, bezustannie sprawiał kłopoty, choleryk, liczne bójkę, no i ma na sumieniu śmierć ojca – bił go, a potem zastrzelił. Teraz wiemy, że kombinował z Sharon, ale nie był jej partnerem. To głęboko nieprzystosowany facet, pozbawiony mózgu. Ona nim manipulowała, igrała z jego umysłem. Załóżmy, że żywiła jakąś poważną urazę do Kruse'a i wspomniała o tym Rasmussenowi. Nie musiała nawet powiedzieć wprost: idź i zabij skurwysyna. Wystarczyło lekkie napomknięcie, skarga, że Kruse zrobił jej krzywdę – może posłużyła się hipnozą? Mówiłeś kiedyś, że znała się na tym, prawda?

Skinąłem głową.

– A więc mogła przekonać Rasmussena za pomocą hipnozy. A on, zabiegając gorliwie o jej względy, poszedł i odegrał rolę jego wysokości kata.

– Tym samym jeszcze raz zabijając ojca – powiedziałem.

– Och, wy psychole. – Uśmiech znikł mu z ust. – Żona i pokojówka zginęły dlatego, że w niewłaściwym czasie znalazły się w niewłaściwym miejscu.

Milczałem zamyślony.

- Co jest? – zapytał Milo.
- Wyobraziłem ją sobie jako inspiratorkę mordy.
- Według scenariusza.
- Jeżeli działała tak racjonalnie, to dlaczego zabiła siebie?
- Miałem nadzieję, że ty mi to wyjaśnisz – wzruszył ramionami.
- Nie potrafię. Miała problemy ze sobą, ale nigdy nie była okrutna.
- Pieprzenia tych wszystkich pacjentów nie sposób zaliczyć do aktów miłosierdzia.
- Nigdy nie była rozmyślnie okrutna.
- Ludzie się zmieniają.
- Wiem, ale nie wyobrażam sobie jej jako zabójczyni. To się nie trzyma kupy, Milo.

– Więc daj sobie z tym spokój. Tak czy owak to tylko wydumane teorie. Mogę ci zaraz przytoczyć z dziesięć takich opowieści. Jak na razie to najzwyczajniej brakuje nam dowodów, prawie same znaki zapytania. Ba, gdybyśmy mieli taśmy z nagraniami rozmów telefonicznych Rasmussena i Sharon z okresu pomiędzy jej samobójstwem a śmiercią Kruse'ów. Między Newhall i Hollywood obowiązuje opłata międzymiastowa. Normalnie byłoby to proste, próbowałem dotrzeć do tych taśm, ale dzięki łaskawości moich przełożonych akurat właśnie wtedy zapieczętowano taśmy. Kto pierwszy, zawiadomił policję o śmierci doktor Ransom? Normalnie, gdybym chciał się tego dowiedzieć, zajrzałbym do teczki z jej aktami, tylko że nie było żadnej cholernej teczki. I to także dzięki łaskawości moich przełożonych.

Wstał, przetarł dłonią twarz i przeszedł się po kuchni.

– Tego ranka pojechałem tam. Chciałem pogadać z sąsiadami, zapytać, czy może ktoś dzwonił na policję. Próbowałem się zorientować, kto mieszka w kanionie, i chodziłem od jednego domu do drugiego, może coś widzieli, słyszeli, może jakiś podglądacz... Gówny. W dwóch spośród czterech domów w jej sąsiedztwie nie było nikogo. Właściciele wyjechali do miasta. W trzecim mieszka ta niezależna artystka, starsza babka, pisze książki dla dzieci, nigdzie nie wychodzi, zaawansowany artretyzm. Chciała mi pomóc. Sęk w tym, że z jej okien nie widać domu Sharon, tylko podjazd. Ale w gruncie rzeczy każdy z tych domów jest oddalony od sąsiada.

– Architekci planowali z myślą o balangach – powiedziałem.

– Hm... A jednak z ogrodu artystki widać było tych, którzy przyjeżdżali do Sharon i odjeżdżali. Kobiety i mężczyźni, nie wyłączając Rasmussena. Przychodzili i wychodzili mniej więcej po godzinie.

– Pacjenci.

– Tak też przypuszczała. Ale jakieś pół roku temu te wizyty nagle się skończyły.

– Wtedy, kiedy ją przyłapano, że sypia ze swoimi pacjentami.

– Może zlikwidowała praktykę? Wymówiła wszystkim z wyjątkiem Rasmussena. Z nim utrzymywała kontakt. Przyjeżdżał, nie za często, ostatnio sąsiadka widziała go przed miesiącem. Zapamiętała jego zieloną furgonetkę. Opisała mi również faceta, który miał głos podobny do głosu Kruse'a. On przyjeżdżał na dłużej, czasami na parę godzin, lecz widziała go zaledwie raz czy dwa. Wniosek z tego żaden. Artystka prawie nie chodzi, więc ten gość równie dobrze mógł przyjeżdżać częściej. Interesujące jest natomiast to, że zdjęcie Trappa nic jej nie mówiło. Co by znaczyło, że prawdopodobnie nie był jej kochankiem. Jeśli ten mydłek prowadzi śledztwo, to dlaczego się nie pofatygował i nie przepytał najbliższej sąsiadki, przecież to podstawowa rzecz? Podsumowując: temu palantowi zależy na zatuszowaniu sprawy. A ja mam się nie mieszać. Niech to jasny szlag trafi, Alex, poziom adrenaliny niebezpiecznie mi rośnie.

– Są jeszcze inne znaki zapytania – powiedziałem. – Twój scenariusz opiera się na jakiejś wrogości między Sharon a Kruse'em. Miała jakieś problemy – mówiła mi o tym na przyjęciu. Lecz nic nie wskazuje na to, że dotyczyły Kruse'a. Do końca była zarejestrowana jako jego asystentka. Zjawiała się na tym przyjęciu, by okazać mu szacunek. Widziałem, jak sprzeczała się z tym starszym typem, o którym ci mówiłem. Nie mam pojęcia, co za jeden.

– Mów dalej, słucham.

– Jest jeszcze wiele elementów tej łamigłówki: Belding, Linda Lanier, szantażowany lekarz, kimkolwiek był. I Shirlee, bliźniaczka, po której wszelki ślad zaginął; dzwoniłem do Olivii Brickerman, chciałem się dostać do rejestrów ośrodków opiekuńczych. Komputer nic nie powiedział. Ale liczę na jeszcze jedną możliwość.

– Dlaczego się przy tym uparłeś? Nawet jeśli ją wreszcie odszukasz, to przecież nic ci nie powie.

– Może znajdę kogoś, kto ją zna, kto znał je obie. Nigdy nie zrozumiemy Sharon bez informacji o Shirlee, o tym, co je łączyło, o ich wzajemnych kontaktach. Sharon twierdziła, że Shirlee jest dla niej kimś więcej niż siostrą, stanowią dwie połówki całości. Bliźniacze rodzeństwo miewa problemy z własną tożsamością. Sharon wybrała ten temat – albo jakiś bardzo podobny – do swojej pracy doktorskiej. Głowę daję, że pisała o sobie.

Zastanawiał się nad moim wywodem.

– Rusz tyłkiem i zdobądź tę dysertację. Uważasz, że napisała w niej prawdę o sobie?

– W żadnym wypadku. Ale można by sporo wywnioskować z faktów, jakie podała.

– No dobra, i szukaj dalej bliźniaczki. Ale nie licz na rewelacje.

– A ty? – zapytałem.

– Zostało mi półtora dnia, zanim Trapp przydzielili mi jakiś smakowity kąsek. Ponieważ rzecz

tyczyła trzydziestopięcioletniej laski, komuś przyszło do głowy, żeby dać mi nauczkę. Ten ktoś kręcił się tam wtedy. Sęk w tym, że to nieobliczalny facet i nie darzy mnie przyjaźnią. – Wstał, poklepał się po udach. – No, zobaczymy, rano do ciebie zadzwonię. Tymczasem czytaj sobie te książki i magazyny. Wujek Milo zrobi ci klasówkę, kiedy najmniej będziesz się tego spodziewał.

Rozdział 22

Przez resztę dnia pracowałem nad magisterium z Lelanda Beldinga. Zacząłem w punkcie, w którym przerwałem studia, czyli w momencie przesłuchań w senacie.

Natychmiast po aferze z kontraktami Belding rzucił się w wir filmowego biznesu. Przemianował swoje studio na „Magnafilm”, pisał scenariusze, zarządzał, produkował różne serie, w których zapoznani bohaterowie-indywidualiści godzą w zastane układy i odnoszą zwycięstwo. Krytycy miażdżyli piórem tę produkcję, uznając ją za stereotypową i przesłodzoną. Audytorium pozostawało obojętne.

W 1949 roku otrzymał z Hollywood licencję producenta. Zatrudnił własnego krytyka, który opiewał jego talent. Zakupił szereg kin i wyświetlał w nich swoją produkcję, ale nie osiągnął sukcesu. W roku 1950 zniknął z pola widzenia, zaszył się gdzieś, tak że przez kolejne dwa lata znalazłem tylko jedną o nim wzmiankę: wystąpienie o opatentowanie nowego modelu pasa do pończoch. Dodanie elementów aluminium tuszowało wprawdzie wszelkie wypukłości kobiecej figury, ale zmniejszało szansę utrzymania się w pionie. Wynalazek powstał z myślą o aktorkach mających skłonność do tycia i nosił nazwę „Magna-Korsarz”. Wśród kobiet amerykańskich się nie przyjął.

Pod koniec roku 1952 wyłonił się z niebytu jako całkiem nowy człowiek – dusza towarzystwa – Leland Belding, który nie opuścił żadnej premiery ani przyjęcia, bywalec „Ciro”, „Trocajero” i „Mocambo”. Znowu wyprodukował serię filmów – nudne komedie z fatalnym udźwiękowieniem.

Przeprowadził się ze swojego „mnisiego” apartamentu w kwaterze głównej „Magna” do posiadłości w Bel Air. Skonstruował dla siebie najnowocześniejszy na świecie odrzutowiec, którego wnętrze pokrywała skóra leoparda i boazeria z orzecha włoskiego, zdobiona ongiś zabytkowy francuski pałac, który amerykański milioner bez zmruczenia oka zamienił w ruinę.

Wykupywał na licytacjach starych mistrzów, a nawet przelicytował Watykan i stał się właścicielem skarbów religijnych, zagrabionych w Palestynie. Hodował rasowe konie, przekupił dzokejów i treserów, stał się właścicielem torów wyścigowych, drużyny baseballa, pociągu osobowego, w którym urządził huczne przyjęcia... Nabył jeszcze kolekcję robionych na zamówienie samochodów – duesie, ford, packard, rolls-royce’y, trzy największe w świecie brylanty, domy aukcyjne z antycznymi meblami, kasyna w Vegas i Reno, mieszkania na trasie Kalifornia – Nowy Jork...

Po raz pierwszy w życiu łożył na cele dobroczynne – ostentacyjnie duże sumy, wyposażał szpitale i naukowe instytuty badawcze. Stawiał tylko jeden warunek – musiały nosić jego imię i musieli pracować tam ludzie przez niego poleceni. Hojnie wspierał bale, sponsorował operę, balet, orkiestrę symfoniczną.

Przez cały czas gromadził wokół siebie harem: aktorki, dziedziczki ogromnych fortun, baletnice, królowe piękności. Najbardziej wybredny kawaler miał wreszcie to, czego pragnął.

Radykalna zmiana osobowości. Ale tylko pozornie. Pewien reporter z „Vogue” donoszący o jego dotacji na rzecz „Metropolitan Museum of Art.”, tak o nim napisał: „Siedzi w bocznym rzędzie foteli, bez uśmiechu, niespokojny, obserwuje raczej uroczystość niż bierze w niej udział. Przypatruje się wszystkiemu obojętnie – niczym mały chłopiec zamknięty w pokoju pełnym słodyczy, tyle że już stracił na nie apetyt”.

Miałem nadzieję, że w opisach wszystkich tych przyjęć znajdę coś o Williamie Houcku Vidalu. Nie znalazłem nic, nawet krótkiej wzmianki sugerującej, że były „konsultant do spraw zarządzania” miał jakiś udział w metamorfozie swego szefa. We wczesnych latach pięćdziesiątych w pewnym magazynie biznesu zacytowano tylko jego opinię o nowym typie bombowca. Cytat ów opatrzone zdaniem: „Są to słowa pana Houcka Vidala, pierwszego wiceprezesa i dyrektora działu operacyjnego Magny”.

Jeden z biznesmena zamienia się w playboya. Drugi – wręcz odwrotnie. Jakby Belding i Vidal zamienili się na osobowości.

Na początku roku 1955 wszystko się urwało.

Belding odwołał galę na rzecz „Towarzystwa Zwalczenia Raka” i kompletnie zniknął ze sceny. Jeden z dziennikarzy napisał: „Największa wyprzedaż w historii”. Domy, samochody, klejnoty i inne atrybuty książęcej władzy – zostały sprzedane z dużym zyskiem. Nawet studio filmowe nazywane powszechnie „Magnaknot” sprzedano jako nieruchomość za miliony.

Prasa spekulowała, w jaką też „nową fazę” wkroczy Belding. Ale nic się nie działo i kiedy stało się jasne, że Belding zniknął na dobre, po prostu przestano o nim pisać. W połowie lat sześćdziesiątych wzmianki o Beldingu ukazywały się tylko w prasie finansowej i technicznej.

Lata sześćdziesiąte: Oswald, Ruby. Hoffman i Rubin. Stokely i Rap. Brak zapotrzebowania na aktorki chętne do rozbierania się przed kamerą. Nikogo już nie obchodził bogacz-pustelnik produkujący ongiś kiepskie filmy.

W roku 1969 ukazała się w gazetach notatka: „Gdzieś w Kalifornii zmarł po długotrwałej chorobie...” Zgodnie z wolą miliardera, który nie zostawił dziedzica, grupa dawnych pracowników Magny miała przejąć kierownictwo korporacji, a prezesem rady nadzorczej miał zostać William Houck Vidal.

Tak też się stało. I trwało do roku 1972, kiedy to były dziennikarz i nikomu nie znany pisarzyna o nazwisku Seaman Cross opublikował książkę, która była nieautoryzowaną biografią Lelanda Beldinga. Zdaniem autora śmierć Beldinga była mistyfikacją; chciał mieć wreszcie „święty spokój”. Obecnie jednak, po 17 latach samotnych medytacji uznał, że ma coś jeszcze do powiedzenia światu. Wybrał Crossa, który miał przekazać jego przesłanie, udzielając mu trwających setki godzin wywiadów, z których miała powstać książka. A potem nagle zmienił zdanie i nie zgodził się na publikację.

Mimo to Cross nie zrezygnował i wydał jednak książkę, zatytułowaną „Przypadki miliardera”, za co otrzymał „znaczne sześciocyfrowe honorarium”. Książka zrobiła furorę.

Te plotkarskie wypociny nie były w moim guście. Gdy się ukazała, nie zwróciłem na nią najmniejszej uwagi. Ale teraz nie mogłem oderwać się od lektury, póki nie skończyłem ostatniej strony.

Cross utrzymywał, że w wyniku tragedii osobistej z początku lat pięćdziesiątych – Belding nie chciał o tym mówić, ale zdaniem Crossa była to romantyczna historia – młody miliarder rzucił się w wir życia towarzyskiego i związanych z nim uciech, po czym nastąpiło załamanie psychiczne i kilkuletni pobyt w prywatnej klinice dla nerwowo chorych. Wizyty Crossa u Beldinga miały dość dramatyczny przebieg. Przywożono go samochodem, zawsze z zawiązanymi oczami, zawsze w środku nocy, na lotnisko śmigłowców, jakąś godzinę jazdy z Los Angeles – przypuszczał, że było to El Segundo – potem spędzał około dwóch godzin w domu-kopule, i przed świtem odwożono go z powrotem.

Domostwo było zaopatrzone we wszystkie środki łączności komputerowej, dzięki temu Belding mógł sterować swoim międzynarodowym biznesem. Klimatyzacja, systemy oczyszczania powietrza (korporacja Magna otrzymała je od NASA), automatyczne wytwarzanie próżni i chemiczna dezynfekcja wszystkich przedmiotów, skomplikowana sieć rurek, zaworów, wrzutni i wyrzutni – to wszystko składało się na urządzenie tego niezwykłego sanktuarium.

Nikt poza Beldingiem nie miał prawa przebywania w tym domostwie; robienie zdjęć i szkiców było zabronione. Cross musiał przeprowadzać swoje wywiady zamknięty w specjalnej klatce na kołach, tak ustawionej, by sięgała tabliczki z domofonem.

Rozmawialiśmy – pisał – dzięki systemowi dwukierunkowych mikrofonów. Belding wszystko kontrolował. Mogłem go zobaczyć przez otwór przesłonięty przezroczystym plastikiem, ale tylko wtedy, gdy on się na to godził. Mógł nacisnąć odpowiedni przycisk i wtedy otwór ciemniał. Robił to rzadko, by mnie ukarać za nieprawidłowe pytanie. Przywracał mnie do łask, gdy go przeprosiłem i obiecałem, że będę grzeczny.

Wszystko to było dziwne, ale najdziwniejszy był opis wyglądu samego Beldinga:

Krańcowo wychudzony, prawie jak więzień Oświęcimia, długa broda, kółtun siwych włosów sięgający połowy pleców, płatanina kryształowych naszyjników zwisających z wychudłej szyi, duże kryształowe pierścienie na każdym palcu. Paznokcie polakierowane na czarno, spiczaste i długie na dwa cale. Skórę na rękach i twarzy miał niesamowitą, zielonkawobiałą. Wytrzeszczone oczy za mięsistymi, zaróżowionymi powiekami zdawały się nieustannie poruszać, miotają spojrzenia z prawa na lewo i błyszczały jak oczy żaby polującej na muchy. Lecz najbardziej wstrząsnął mną jego głos – płaski, mechaniczny, pozbawiony cienia emocji. Głos automatu. Do tej pory ciarki mnie przechodzą na samo wspomnienie.

Stan ducha Crossa, wyrażający się w każdym zdaniu, można by określić jako chorobliwą fascynację. Nie potrafił ukryć antypatii wobec miliardera, ale nie potrafił również oderwać się od

niego.

W regularnych odstępach czasu Belding przerywał rozmowę, by zjeść parę kęsków surowych warzyw i popić je mnóstwem wody destylowanej. Potem kucalby zrobić siusiu i kupę (wykonywał te czynności na oczach pisarza) do mosiężnego pojemnika, który stawiał potem na przypominającej ołtarz platformie. Pewnego razu naczynie owo stało na ołtarzu przez całe piętnaście minut, zanim je wypróżnił, wlewając zawartość do wyrzutni ewakuacyjnej. W trakcie wypróżniania się jego chuda twarz drapieżnika przybierała błogi, świadczący o zadowoleniu z siebie wyraz, bliski ekstazy religijnej, i choć nie chciał mówić o tym rytuale, mój wniosek brzmi następująco: samouwielbienie będące logiczną kulminacją życia fanatycznego narcyza, przekonanego o własnej wszechmocy.

Druga połowa książki była po prostu nudna; Cross rozwodził się nad słabością społeczeństwa, które wydało z siebie takiego potwora jak Belding, przytoczył skrupulatnie wszystkie wypowiedzi miliardera na temat sensu życia – ledwo zrozumiały bełkot o hinduizmie, nihilizmie, fizyce kwantowej, darwinizmie przeplatany oskarżeniami „umysłowych i moralnych karłów, które słabość czynią przedmiotem czci”.

Biografię kończył wybuch retoryki wydawcy.

Leland Belding reprezentuje całe zło systemu kapitalistycznego. Oto do jak żalonych konsekwencji prowadzi zbyt wielkie bogactwo i zbyt wielka moc dana jednemu człowiekowi, w tym wypadku człowiekowi niespełna władz umysłowych. Jest uosobieniem niepohamowanego fanatyzmu, człowiekiem, dla którego inne formy życia niż on sam stanowią wyłącznie źródło infekcji bakteryjnej czy wirusowej. Pochłania go tylko własne ciało w sensie elementarnym i o niczym innym nie marzy, jak dożyć końca swych dni na planecie ogołoconej ze zwierząt i roślin, poza tymi organizmami, które są niezbędne do utrzymywania przy życiu nędznych resztek powłoki cielesnej pana Lelanda Beldinga.

„Przypadki miliardera” były pilnie strzeżoną tajemnicą wydawniczą, zaskoczyły nawet korporację Magna, a po ukazaniu się wywołały niemałą sensację i znalazły się niebawem na pierwszym miejscu listy bestsellerów w dziedzinie literatury faktu. Sprzedano dodruk w miękkich okładkach. Magna nie traciła czasu – zaskarżyła do sądu Crossa i wydawców, twierdząc, że książka zawiera stek bzdur i oszczerstw; przedłożyła sądowi dokumenty lekarskie i prawne potwierdzające, że Belding umarł na długo przedtem, nim Cross rzekomo z nim rozmawiał. Poproszono dziennikarzy do kwatery głównej korporacji Magna, zaprowadzono do miejsca pochówku miliardera; ekshumowano ciało i uzyskano potwierdzenie, że zmarły to naprawdę Leland Belding. Wydawcy wpadli w popłoch i zażądali od autora, by przedstawił dokumenty, na jakich się oparł.

Cross zapewnił ich, że wszystko co napisał jest zgodne z prawdą, i zwołał konferencję prasową – przed publiczną przechowalnią w Long Beach w Kalifornii, gdzie schował swego czasu trzydzieści teczek notatek, wśród których liczne podpisane były i datowane rzekomo przez Lelanda Beldinga.

Kamery brzęczały, a on otwierał jedną skrzynkę po drugiej i wyciągał różne szpargały, niemające żadnego związku z Beldingiem. Z obłędem w oczach szukał i szukał, ale wciąż znajdował tylko stare prace seminaryjne z college'u, rachunki podatkowe, pliki starych gazet, spisy zakupów... Wiedział, że jest skończony.

Ani słowa o Beldingu. Przerażony Cross krzyczał, że padł ofiarą spisku, co zostało sfilmowane. Ale gdy w śledztwie ustalono, że nikt poza nim nie wchodził do pomieszczenia przechowalni, a wydawca książki oświadczył, że nigdy owych notatek nie widział, wiarygodność Crossa spadła do zera.

Wydawcy Crossa, w obliczu skandalu i pod groźbą adwersarzy prawnych na tyle bogatych, by zrujnować ich doszczętnie, zobowiązali się zamieścić w czołowych gazetach tekst na całą szpaltę, w którym przeproszą korporację Magna, czyniąc zadość pamięci Lelanda Beldinga. Natychmiast wycofano cały nakład i wypłacono odszkodowanie firmie drukującej miękkie okładki.

Następnie wydawcy podali do sądu Crossa, żądając zwrotu honorarium plus odsetki, plus koszty sądowe. Cross odmówił, wynajął adwokatów, złożył odwołanie. Z kolei wydawnictwo, już w nowojorskim sądzie okręgowym, oskarżyło go o oszustwo i poświadczenie nieprawdy. Cross został aresztowany, odesłano go z powrotem na Wschodnie Wybrzeże i przez pięć dni więziono w Riker's Island. W tym czasie wniósł skargę, że był bity i napastowany homoseksualnie. Próbował relację ze swojej udręki sprzedać kilku magazynom, ale nie wykazały zainteresowania.

Zwolniono go za kaucją, a po tygodniu znaleziono w wynajętym pokoju przy Ludlow Street – we wschodniej dzielnicy Nowego Jorku – z głową w piekarniku. Obok niego leżała kartka, na której napisał, że książka o Beldingu była fikcją, zuchwałym oszustwem. Zaryzykował sądząc, że korporacja Magna nie zechce sprawy tak wstydlivej wyciągać na światło dzienne; nie zamierzał nikogo krzywdzić i przeprosza za wszystko zło, jakie uczynił.

Jeszcze jedna śmierć.

Sięgnąłem do magazynów w poszukiwaniu omówienia tej dziennikarskiej sensacji. „Time” opublikował obszerny artykuł o Crossie. Zamieszczono jego zdjęcie – w areszcie, skutego kajdankami. Obok fotografia Williama Houcka Vidala.

Prezesa Magny sfotografowano na stopniach przed gmachem sądu, szeroki uśmiech, uniesiona dłoń, palce rozchylone, tworzące literę V.

Poznałem tę twarz. Duża, o kwadratowych szczękach, opalona na brąz. Małe wodniste oczy, kilka przyczepionych blond włosów na czaszce.

Twarz bywalca country-clubu.

Twarz człowieka – postarzała o kilka lat – którego widziałem w towarzystwie Sharon na przyjęciu u Kruse'a. Stary szejk, którego ona usiłowała o czymś przekonać.

Rozdział 23

Nazajutrz rano zadzwoniłem do Mila i opowiedziałem mu o wszystkim.

Milczał chwilę, po czym rzekł:

– O jedenastej coś dla nas załatwiłem. Może uda się nam uzyskać pewne szczegóły.

Dziesięć po dziesiątej był już u mnie. Wsiadliśmy do sevilla i kazał mi jechać na wschód od Bulwaru Zachodzącego Słońca. Był niedzielny poranek, puste ulice. Tylko nieliczna grupka amatorów późnego śniadania i rockowców z czubami na głowach kuliła się przy stolikach kawiarnianych w towarzystwie dziewczek za kokę, dziewczyn na telefon i chłopaków na telefon, orzeźwiających się po trudach nocy.

– Samo zdrowie – powiedział Milo. – Zmusiłeś mnie, bym znowu po nie sięgnął. – Zapalił i dmuchnął przez okno dymem o zapachu mydła.

– Panamskie?

– Transylwańskie. – Znow dmuchnął ochoczo. Tym razem w samochodzie zrobiło się szaro.

Minęliśmy La Brea, Western. Tu już żadnych kafejek, tylko kioski z gotowymi daniami, lombardy, małe sklepiki i ciemniejszy kolor skóry. Z okien dobiegał śmiech i głośnie hiszpańszczyzna, zagłuszane muzyką z tranzystorów. Całe rodziny wyległy na bulwar – rodzice, tacy młodzi, że sami wyglądają jak dzieci, prowadzą swoich małych czarnowłosych cherubinów.

– To dopiero samo zdrowie – powiedziałem.

Skinął głową.

– Sam kwiat, śmiałybym rzec – skinął głową. – Biedaczyska wyzbywają się wszystkiego, co mają, na rzecz tych drańskich coyotes, którzy znęcają się nad nimi i rabują, i okradają z rzeczy, jakie tamci chcieliby przerzucić przez granicę. A potem my traktujemy ich jak robactwo i odsyłamy z powrotem, jakby ten cholerny kraj nie bazował właśnie na imigracji; kurczę, gdyby moi przodkowie nie przepłynęli na gapę statkiem i nie przebrnęli przez Kanadę, kopałbym kartofle gdzieś w hrabstwie Cork. – Chwilę rozmyślał. – Widziałem pocztówki z hrabstwa Cork. Może byłoby i lepiej...

Minęliśmy teren szpitala, między Edgemont a Vermont, przejechaliśmy obok Western Peds, gdzie spędziłem kawał życia.

– Dokąd my właściwie jedziemy? – spytałem.

– Dobra, jedź dalej. – Odłożył cygaro do popielniczki. – Muszę ci najpierw coś powiedzieć. Kiedy wczoraj od ciebie wyszedłem, pojechałem do Newhall i rozmawiałem z tą Seeber od Rasmussena.

– Jakim cudem ją odnalazłeś? Nigdy ci nie podałem jej nazwiska.

– Spoko, twoja błona dziewicza jest nietknięta. Gliniarze z Newhall mieli jej oświadczenie. Dali mi adres.

– Jak ona się czuje?

– Całkiem nieźle, dochodzi do siebie. Ma już następnego faceta, z którym pomieszkuje. Chudy Casanova o ślepiach narkomana i brudnych łapach; myślał, że robię obławę i już miał dać nura przez okno, ale go uspokoiłem. – Przeciągnął się, ziewnął. – Zapytałem ją, czy Rasmussen dużo ostatnio pracował. Powiedziała, że nie, bo miał taki charakter, że ciągle z kimś zadzierał. Ludzie nie chcieli się z nim zadawać. Przez ostatnie pół roku utrzymywała ich oboje, sprzedając ryby na wózku. Potem zapytałem o te tysiąc dolców, jakie zostawił jej na poduszce, a ona o mało się nie posusiała. Choć szeryf nie miał nic do tych pieniędzy, przestraszyła się jednak, że może zechcę skonfiskować resztę, jaka jej została. Prawdopodobnie ten jej nowy typek położył łapę na tej forsie.

Uspokoilem ją, powiedziałem, że skóro z nami współpracuje, może pieniądze zatrzymać, całą resztę też. Popatrzyła na mnie i powiada: „Skąd pan wie o całej reszcie?” Bingo. „Ile tego było, Carmen? – zapytałem. Mniej więcej?” Wiła się i skręcała, żeby za wiele nie powiedzieć, ale w końcu wszystko wypaplała. Ostatnio DiJot wszedł w posiadanie wielkich pieniędzy, wydawał je na prawo i lewo, kupował kosztowne części do swojej furgonetki. Ona naprawdę nie wie, jak to była suma, wie pan. Ale w jego skarpetkach, wie pan, znalazła jeszcze cztery tysiące czterysta.

– Co to znaczy ostatnio?

– Kilka tygodni temu. Przynajmniej tydzień przed tymi wypadkami śmiertelnymi.

Jechaliśmy dalej, minęliśmy dzielnicę Siiverlane, Echo Park i skręciliśmy ku zachodniemu skrajowi przedmieścia, gdzie drapacze chmur wyrastają spośród płataniny autostrad, brudnych ulic i lśnią srebrem na tle zmętniałego nieba.

– Jeżeli to było honorarium za dokonanie zabójstwa – ciągnął – wiesz, co to znaczy. Premedytacja. Ktoś to zaplanował, umowa o dzieło.

Kazał mi skręcić w lewo, w ulicę nieoznaczoną tabliczką, która wiodła na północ od Bulwaru Zachodzącego Słońca i przecinała teren magazynów handlowych. Mijaliśmy wypełnione po brzegi śmietniki, mury zamazane graffiti, sterty połamanych ram okiennych, stopy ścinków sklejki, jakieś połamane skrzynie. Jeszcze ćwierć mili i wjechaliśmy na asfaltową szosę wśród zachwaszczonych działek. Na tyłach niektórych stały pochyłe budki, a wyglądały tak, jakby zaraz miały się rozpaść. Uliczka zataczała łuk i asfalt się kończył. Po pięćdziesięciu jardach dojechaliśmy do drewnianego ogrodzenia. Na lewo połąć uschniętej trawy, na prawo widok z góry na kawałek autostrady.

– Zaparkuj tutaj – powiedział Milo.

Wysiedliśmy. Nawet tu dochodził szum przejeżdżających samochodów.

Ogrodzenie wieńczył drut kolczasty. Furtka, na której mijający czas i warunki atmosferyczne

pozostawiły wyraźny ślad. Ani zamka, ani klamki. Tylko kawałek zardzewiałego metalu. Owiązanego rzemieniem. Do tego rzemienia przywiązany był stary, skorodowany dzwonek, jaki przywiązuje się do szyi krowom. Nad furtką napis: Rue de Oscar Wilde.

Spojrzałem na drut kolczasty i zapytałem:

– A gdzie są wieżyczki strzelnicze?

Milo zmarszczył brwi, podniósł z ziemi kamyk i uderzył w dzwonek, który zaklekotał tępo.

I natychmiast zza płotu dobiegło wzmagające się z każdą chwilą szczekanie, gdakanie, beczenie. Psy, koty, kury, kozy... – mnóstwo tego było. Hałas zagłuszył szum wozów na autostradzie. Najgłośniejsze były kozy. Pomyślałem o obrządkach rytualnych i skóra mi ścierpła na karku.

– Nie powiesz chyba, że nie dostarczam ci wrażeń – powiedział Milo.

Zwierzęta darły się wniebogłosy. Czuję typowy smrodek.

– Dzień dobry! – zawołał Milo.

Żadnej reakcji. Powtórzył dzień dobry, uderzył kilkakrotnie w dzwonek. W końcu rozległ się cichy, skrzeczący głos, nie wiadomo, mężczyzny czy kobiety.

– Co cię tak, kurwa mać, przypiliło? Kto tam?

– Milo.

– Czego ode mnie chcesz? Włamać się do pieprzonego Moutona Rothschiolda?

– Na początek mógłbyś otworzyć drzwi.

– Ani mi się śni.

Ale drzwi się otworzyły. W progu stał stary człowiek w workowatych białych szortach, czerwonym jedwabnym szaliku i długim naszyjniku z muszli zwisającym na bezwłosej piersi. Za nim cała sfera czworonogów podskakujących, piszczących i wzbijających tumany kurzu: psy niewiadomej rasy, kocury ze śladami stoczonej walki, a dalej – kurczaki, gęsi, kaczki, owce, kilka czarnych nubijskich kóz, wynędzniałych, usiłujących pożywić się mankietami naszych spodni.

– Weź je stąd – powiedział Milo, oganiając się przed nimi.

– Jazda – mruknął stary człowiek bez entuzjazmu.

Zamknął furtkę.

Był średniego wzrostu, chudy jak szczapa, o zwiotczalej skórze, żyłastych ramionach i gruzłowatych nogach, wąskiej, zapadniętej klatce piersiowej i sterczącym brzuchu. Był opalony na

barwę burbona i błyszczał jak posmarowany oliwą. Na głowie sterczały mu rzadkie białe kłaczkę, jakby swoją łysą pałę pomazał klejem i zanurzył w wełnie. Cofnięty podbródek, duży, zakrzywiony nos i blisko osadzone oczy; tak je mrużył, że sprawiały wrażenie zamkniętych na stałe. Białe krzaczaste wąsy *á la Fu Manchu* opadały mu na kąciki ust, sięgając dobry cal poza szczękę.

Zmierzył nas od stóp do głów, zmarszczył brwi, splunął.

Chory na żołądek Gandhi.

– Jak się masz, Ellston – powiedział Milo. – Cieszę się, że jak zawsze dopisuje ci humor. – Na dźwięk obcego głosu psy zaczęły wyć.

– Spokój! Zdenerwowałaś je, jak zawsze. – Stary podszedł do mnie i wlepił we mnie gały, wypychając językiem skórę policzka i drapiąc się po głowie. Wionął dziwną mieszaniną zapachów: ogród zoologiczny, francuska woda kolońska i maść miętowa.

– Niezły – powiedział w końcu. – Ale Rick był lepszy.

Dotknął mego ramienia. A ja aż cały zeszywniałem, mimo woli. Spojrzał na mnie ostro i znowu splunął.

Milo stanął przy mnie.

– To jest doktor Alex Delaware. Mój przyjaciel.

– Jeszcze jeden doktor? – Stary potrząsnął głową i zwrócił się do mnie z pytaniem: – Wyjaśnij mi jedną rzecz, Kędzierzawy. Co wy, znakomici uczeni, medycy, widzicie w takim paskudnym, nieokrzesanym drałalu jak on?

– Przyjaciela – powiedział Milo. – Po prostu przyjaciela. To równy gość, Ellston.

Stary uniósł wiotką dłoń, przybrał afektowaną pozę. – Na pewno, skarbie. – Chwycił mnie za ramię. – Jakim doktorem jesteś, panie Alex?

– Psychologii.

– Ooo! – Odsunął się szybko, wykrzywił z pogardą i pokazał mi język. – Nie lubię takich typów, mieszają się do wszystkiego i wszystko osądzają.

– Dostyc mi już nawciskałeś kitów przez telefon – rzekł Milo. – Nie mam ochoty dłużej tego słuchać. Jeżeli chcesz mi pomóc, dobrze, jeśli nie, drugie dobrze, i już nas nie ma.

– Straszny z ciebie ordynus. Kawał pieprzonego drania. I wścieka się – teraz mówił do mnie – bo nie przyjmuję do wiadomości faktu, kim jest. Myśli, że wszystko mu się uda, bo odgrywa po-li-ca-ja.

Milo błysnął białkami oczu.

A stary otworzył swoje. Lewe miał niebieskie, a prawe szare, zamglone kataraktą.

– Cicho sza, nasz biedaczyna zandarm się rozzłościł. Nadepnałem ci na odcisk, Drągalu? Dobra. Jak się wkurzasz, to robisz się trochę podobny do człowieka. Kiedy naprawdę szlag cię trafia.

– Nie lubię takich typów – powtórzył jego słowa Milo. – Mieszają się do wszystkiego, wszystko osądzają. – I do mnie: – Dość tej zabawy. Zmywamy się.

– Proszę bardzo – rzekł stary, ale w jego głosie wyczułem żal. Jak uparty smarkacz, który posunął się za daleko wobec rodziców.

Szliśmy w stronę samochodu. Z każdym naszym krokiem psy ujadły coraz głośniej.

– Głupi Drągal! – krzyknął za nami stary. – Krzty cierpliwości! Zawsze taki był!

Milo nie reagował.

– Tak się składa, Drągalu, że ten, kim się interesujesz, był ze mną za pan brat. Widziałem się ostatnio z tym drańskim skurczybykiem.

– Jasne! – rzucił przez ramię Milo. – I dymałeś Jean Harlow.

– Może i tak. – I po chwili: – Co z tego będę miał? – Podniósł głos, żeby przekrzyczeć te swoje zwierzaki.

Milo stanął, wzruszył ramionami, obejrzał się.

– Dobre słowo.

– Ha!

– Plus setka za stratę czasu. No i zgoda.

– Żebyś ty przynajmniej tak kurewsko się do mnie nie odnosił! – krzyczał stary. – Bardziej przyzwoicie.

– Staram się, Ellston. Robię co mogę.

Stary stał, trzymając się pod boki. Szerokie szorty powiewały wokół jego chudych nóg, włosy lśniły jak wata cukrowa.

– Widocznie nie za bardzo się starasz. A gdzie prezentacja? Porządna, kulturalna prezentacja? – Opuścił rękę, co wprawiło w ruch zwiotczałe mięśnie przedramienia.

– Jeżeli to ma cię uszczęśliwić... – mruknął Milo.

– Dupek jesteś, Sturgis. Od bardzo, bardzo dawna nie liczę na żadne szczęście. Ale taki fakt może

mnie, kurczę, zaspokoić.

Milo zaklął pod nosem.

– Dobra – powiedział do mnie. – Spróbujemy jeszcze raz.

Zawróciliśmy. Stary nie patrzył na nas, pracował szczękami, jakby coś żuł, starając się usilnie zachować godną postawę. Szerokie szorty nie przydawały mu godności.

– Ellstonie – zaczął Milo – mam przyjemność przedstawić ci doktora Alexa Delaware. Alex, pozwól, że ci przedstawię pana Ellstona Crotty’ego.

– Niekompletna prezentacja – prychnął stary.

– Detektywa Ellstona Crotty’ego.

– Detektyw pierwszego stopnia Ellston Crotty junior – stary wyciągnął do mnie rękę. – Komenda Policji w Los Angeles, Wydział Centralny. Obecnie na emeryturze. – Wymieniliśmy uścisk dłoni. Uderzył się w pierś. – Ma pan przed sobą asa centrali do spraw wykroczeń, doktorze Kędzierzawy. Bardzo mi miło zawrzeć z panem znajomość.

Wszystkie zwierzęta szły za nami krok w krok, jakbyśmy zmierzali do arki Noego. Ścieżka z podkładów kolejowych łączonych cementem prowadziła wzdłuż wałącego się płotu i usychających karłowatych drzewek cytrusowych.

Doszliśmy do małego domku o dachu z papy, z gankiem zawałonym pudłami i starymi częściami maszyn. Obok na drewnianych podkładach stał staroświecki samochód marki Dodge. Zajmował prawie całe półakrowe brudne podwórko ogrodzone siatką, po którym przechadzało się jeszcze więcej kóz i drobiu. Za posesją stał wałący się kurnik.

Śmierdziało tu jeszcze bardziej. Rozejrzałem się. Ani jednego sąsiada, tylko niebo i drzewa. Znajdowaliśmy się na szczycie wzniesienia. Na północy majaczyły w smogu zarysy gór. Tu również docierał szum samochodów pędzących autostradą – tonacja basowa uzupełniana sopranem pisków kurcząt.

Koło słupka stał worek z ziarnem. Crotty zanurzył w nim rękę i sypnął pełną garść na podwórko, obserwując kurczaki, które rzuciły się na karmę.

– Cholerne dranie – rzekł i sypnął jeszcze garść.

Na skraju miejskiej dżungli wałaca się farma McDonalda. Weszliśmy na ganek.

– Wszystko tu jest cholernie nielegalne – powiedział z dumą Crotty. Sprzeczne z kurewskim prawem zapisanym w książkach, ale *moi compadres* tam na dole też są nielegalni, bo mieszkają w niezarejestrowanych chałupach. Lubię świeże jajka moich kur i nienawidzę drańskiej władzy. – A jeśli ktoś z tamtych chciałby na mnie donieść... Płacę ich dzieciakom za oczyszczenie kurnika dwa

dolce za godzinę – tyle zielonych nigdzie by nie dostali. Uważają mnie za wspaniałego białego ojczulka.

– Wspaniały biały cwaniak – mruknął Milo.

– Co masz na myśli?

– Że niektóre z tych dzieciaków są sprytne.

– Nie moja rzecz. Te małe szkraby wiedzą, do czego służą im dupcie, więc im płacę. Uważają mnie za wspaniałego faceta z kupą szmalu. Ich *mamacitas* są tak wdzięczne, że przynoszą mi żarcie w folii aluminiowej. Dobre żarcie, nie żadne gówniane szybkie dania z baru – *menudo* i słodkie *tomales*, jakie można było kupić w Alvarado, zanim kurewska korporacja nie położyła na tym swoich brudnych łap.

Otworzył siatkowe drzwi i wszedł. My za nim.

Pomieszczenie było małe, ciemne i poniewierało się tam tyle rupieci, że z trudem się przeciskaliśmy. Torowaliśmy sobie drogę wśród stosów starych gazet, całych wież z pudełek kartonowych, skrzynek na owoce i jakichś łachów. Stał tam jeszcze fortepian o strunach wertykalnych pomalowany szarą farbą, walały się trzy deski do prasowania, a na nich cała kolekcja zegarów radiowych w różnym stadium demontażu. Meble zmuszone do koegzystencji z tym zbiorowiskiem rupieci były tanie – ciemne drewno, wyściełane krzesła osłonięte pokrowcami, a na pokrowcach serwetki. Tani sklep objazdowy.

Zniszczona sosnowa podłoga, rozłupana w kilku miejscach. Gzyms nad kominkiem obstawiony figurynkami z porcelany, niektóre nadłuczone, innym brakowało ręki lub nogi. Zegar ścienny głosił chwałę coca-coli. Zatrzymał się na godzinie siódmej piętnaście.

– Siadajcie – powiedział Crotty. Zrzucił z fotela gazety i zagłębił się w nim. Gdy siadał, uniosła się nad nim chmura kurzu.

My z Milem oczyściliśmy skrzypiącą sofę i mieliśmy już swoją własną chmurę kurzu.

Crotty odchrząknął. Milo wyciągnął portfel i wręczył mu kilka banknotów. Stary przeliczył, rozłożył je jak wachlarz i zacisnął w dłoni.

– Okay – powiedział. – A więc do rzeczy. Belding Leland. Kapitalistyczna świnią, za dużo szmalu, bez skrupułów, utajony pedzio.

– Co pan opowiada? – zapytałem i usłyszałem jęk Mila.

Crotty obrócił się ku mnie.

– Bo jestem cholernym ekspertem od rzeczy utajonych, panie doktorze psychologii. Pan ma dyplom, a ja doświadczenie. – Po chwili dodał z szerokim uśmiechem: – Osobiste.

– Przejdźmy do Beldinga – powiedział Milo.

Crotty zignorował jego słowa.

– Pozwól, że ci powiem, Kędzierzawy, iż jedyna rzecz, na jakiej się znam, to konspira. Trzydzieści pieprzonych lat żyłem w konspirze.

Miło ziewnął, zamknął oczy.

– Jest cholernie znudzony – rzekł Crotty. – Jeżeli ktokolwiek powinien tego wysłuchać, to właśnie on. Kurczę, aż nie do wiary, że ktoś taki ważny klęczał przede mną i błagałbym uszczknął mu trochę ze swojej mądrości. Zaraz, jak to było, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy? Leżałem jak nieżywy na pogotowiu, słodki Rick robił mi masaż serca, przywracał mi życie. Wtedy to pojawił się ten Drağal, byczysko w pełnej krasie, patrzy na zegarek i pyta, kiedy Rick kończy dyżur. „Piękny i bestia”, cholera! – Obrócił się do Mila i pogroził mu palcem. – Zawsze byłeś zimny drań. Życie ze mnie ulatywało, a ja o niczym innym nie mogłem myśleć, tylko o twoim kutasie.

– Mówisz tak, Ellston, jakby ci naprawdę groziła śmierć. To była zwykła niestrawność. Gazy. Za dużo *menudo*, za mało stawy duchowej.

– To ty tak mówisz. – I do mnie: – Nie miałeś łatwego zadania, psycholu. Odwaliłeś kawał cholernej roboty, żeby osiągnąć takie szczyty samozaparcia.

– Belding – powiedział Milo. – Albo zwracaj forszę.

– Belding – powtórzył Crotty. – Kapitalista. Zdeprawowany. Dlatego że się krył. Wiem co to znaczy dla człowieka. – Wstał, popatrzył na pudła stojące obok, padł na kolana przed jednym z nich i obydwoma dłońmi jął w nim grzebać.

– Zaczyna się – mruknął Milo.

Crotty wyciągnął brązowy, oprawny w skórę album, przerzucił kilka stron, potem usiadł przy mnie i wskazał palcem.

– Tu.

Palec spoczął na fotografii młodego mężczyzny w mundurze policyjnym. Czarnobiałej, z ząbkowanymi brzegami, tak jak zdjęcie Sharon i Shirlee.

Młody mężczyzna w mundurze policyjnym stał obok wozu patrolowego na ulicy wysadzonej palmami. Rysy miał delikatne, prawie dziewczęce, oczy duże, okrągłe. Niewinne. Gęste, falujące, ciemne włosy z przedziałką pośrodku, dołek w prawym policzku. Ładny chłopak – z wyrazu twarzy przypominał młodego Monty’ego Clifta.

– Spójrz na to – powiedział Crotty i wskazał inne zdjęcie na tej samej stronie.

Ten sam mężczyzna po cywilnemu – stoi przy dodge’u, którego widziałem na podwórku. Ubrany w

sportowy garnitur, obejmuje dziewczynę w opalaczu i szortach. Jej twarz ktoś zamazał długopisem.

– Był ze mnie wtedy chłop na schwał – ciągnął.

Wyrwał mi album, zamknął, rzucił na podłogę.

– Fotki z czterdziestego piątego – mówił dalej. – Służyłem wówczas w marynarce Wuja Sama, zarabiałem ordery na Pacyfiku, uważałem, że jestem dla kobiet darem niebios, i wmawiałem w siebie, że te drobne epizody z kucharzem okrętowym – stale spoconym szwedzkim chłopakiem – to tylko zły sen. Nieważne, że kiedy z nim to robiłem, czułem coś w rodzaju miłości, a z dziewczynami, to one zawsze miały frajdę, nie ja... – Poklepał się po piersi. – Byłem słodki jak Mary Pickford, a usiłowałem siebie przekonać, że jestem cholerny Gary Cooper. A co może być lepszego dla wspaniałego macho niż służba w marynarce i wielki kutas w portkach? – Roześmiał się. – W tym samym dniu, kiedy mnie zwolnili, zgłosiłem się do policji. A gdy ukończyłem akademię, czułem się jak król hetero. Zamierzałem rozwiązać wszystkie swoje problemy. Szef rzucił tylko na mnie okiem i już wiedział, gdzie mnie przydzielić. Służyłem za wabia w toalecie MacArthur Park, póki wszystkie lokalne cioty mnie nie przerznęły, potem pracowałem w barze gejów w Hollywood. Byłem wspaniały, doprowadziłem do ruiny tłumy pedałów. Awansowałem, przydzielono mnie do działu wykroczeń i przez kolejne dziesięć lat rujnowałem pedałów i rujnowałem siebie, zalewając robaka noc w noc. W przepisowym czasie zostałem detektywem, ale wciąż byłem tylko cholerną przynętą, ssałem taką masę smętnych chujów, że aż usta mi zrogowaciały. W oddziale kochano mnie. Byłem ich cholerną bronią – wypatrywałem ślepią, wkraczałem na prywatne przyjęcia w górach, penetrowałem środowiska kolorowych, a wszystko po to, by inne świnię mogły temu i owemu ukręcić kark.

Przechylił się, złapał mnie za kołnierz, otworzył to swoje zdrowe oko. Był spocony i chyba blady, choć w panującym mroku mogłem się tego tylko domyślać.

– Wiesz, Kędzierzawy, dlaczego byłem taki dobry pierdolnik? Bo się w to nie angażowałem. Bach-babach i po wszystkim, i przychodzą następne świntuchy ze swoimi chuciami i pałami. I kolejny transport pedałów odjeżdża do hrabstwa Podklucz, śmierdzące gnoje, rzygające krwią. Swego czasu jeden podobno powiesił się w celi. Chłopaki z oddziału powiadali: baba z wozu, koniom lżej, mniej papierkowej roboty. Ja śmiałem się najgłośniej i najszybciej dawałem w gaz. – Poruszył wąsami. – Przez dziesięć lat brałem udział w znęcaniu się nad gejami i w ich mordowaniu i za każdym razem dziwiłem się, że wracam na noc do domu, i rzygałem własnymi bebechami, i zapijałem się dżinem, aż mi wątroba skwierczała.

Oderwał rękę od mego kołnierza. Milo siedział ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń.

– Sam siebie pożerałem – mówił dalej Crotty. – I wreszcie wzięłem wolne i pojechałem na Południe, do Tijuany. Przekroczyłem granicę w poszukiwaniu rozrywki, upiłem się w trupa w kantynie, obserwując, jak osioł włazi na babę, wytoczyłem się na dwór i powiedziałem taksówkarzowi, żeby mnie zawiózł do burdelu. Ale on nie był głupi. Zawiózł mnie do takiego pieprzonego lokaliku na peryferiach. Ściany ze sklejki, pomalowane na turkusowo, młodziaki wewnątrz, młodziaki na zewnątrz, młodziaki w środku. Po dwudziestu czterech godzinach wiedziałem, kim jestem, i wiedziałem, że wpadłem w potrzask. Nie wiedziałem tylko, jak z tego wybrnąć.

Miętosił i rozprostowywał banknoty, w końcu zmiął je w garści.

– Nie byłem na tyle odważny, by się zabić, więc piłem dalej piwo, jakiego sobie nawarzyłem. Dopiero rok później, w lutym, nadarzyła się okazja. Ktoś dał cynk oddziałowi, że w Cahuenga szykuje się wielka impreza – picie absyntu, tańczący chłopcy, orkiestra jazzowa wygrywająca tęskne melodie, palenie trawki, stroje wieczorowe. Ja wmeldowałem się tam w koszulce marynarskiej i czerwonej chustce na szyi – w tej cholerniej chustce. Po minucie miałem już rybkę w sieci – ładny blondasek, grzeczny, rumieńce na buzi. Wywołałem go na zewnątrz, sprawdziłem, czy drzwi są otwarte, pozwoliłem mu się całować, a potem blondasek powstrzymywał się od krzyku, kiedy zacząłem go łać. Chłopaki z oddziału rozwalili całą tę cholerną imprezę, zrobił się szum, a ja tylko przyglądałem się z boku, z całym uznaniem dla dobrych manier blondaska. – Zamilkł, wytarł dłonią czoło. – Nazajutrz rano zjawiłem się w oddziale, by podpisać mi oświadczenie przeciwko blondaskowi, ale nie było ani ich, ani blondaska. Wkurzyłem się i zacząłem węszyć – okazało się, że blondasek jest synem radnego miejskiego, mistrzem lekkoatletyki, wzorowym uczniem, a obecnie studentem trzeciego roku w Harvardzie. Mocny. Zebrałem siły, by z honorem się wycofać – pełna pensja plus rzut gotówki. Blondasek wrócił do Bostonu, ożenił się z forszą, ma czwórkę dzieci, prowadzi bank. A ja kupiłem El Rancho Nielegalne i tutaj właśnie sporo się o sobie dowiedziałem. Starałem się unieważnić tamtych dziesięć lat pomagając innym, dzieląc się swoją mądrością z tymi, którzy jej potrzebują... Utkwił wzrok w Milu, który nie zareagował, więc znowu zwrócił się do mnie: – Szczęśliwe zakończenie, prawda, doktorze Psychologiczny?

– Myślę, że tak.

– I źle pan myśli, bo właśnie teraz blondasek leży w łóżku, w sanatorium w Altadenie i umiera na AIDS, jako cholerny szkielecik. Sam, ponieważ i żoneczka, i czworo dzieciaków odcięli się od niego, odłożyli słuchawkę, jak po obscenicznym telefonie. Dowiedziałem się o tym z kablówki, widziałem go. A wczoraj osobiście, i zmieniłem mu tę pieruńską pieluchę.

Milo chrząknął. Crotty zwrócił się teraz do niego:

– Niech Bóg cię broni przed oglądaniem kablówek, Draǵalu. Bo jeszcze coś cię skusi, żeby komuś pomóc. Nie dopuszczaj do siebie myśli, że powinieneś przyznać się do własnej, skwierczącej wątroby, bo nie wiesz, kim jesteś.

– Belding – powiedział Milo wyjmując notatnik. – Jesteśmy tu po to, żeby o nim rozmawiać.

– Hm – mruknął Crotty z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

– Panie Crotty – zacząłem – dlaczego pan twierdzi, że Belding się ukrywał?

Stary kaszlnął, machnął ręką. – Aaa, diabli wiedzą. Może się i nie ukrywał. Może to tylko w mojej głowie lęgną się takie gówniane myśli. Jedno, co mogę panu powiedzieć: nie był to żaden jebaka, wbrew temu, co wypisywały o nim gazety. Poznałem go. Na przyjęciu. Zatrudniał zazwyczaj ochroniarzy – bezrobotnych policjantów. A czasami i tych czynnych zawodowo, bo departament szedł

mu na rękę, lizał jego bogatą dupę, aż błyszczała.

– Przejdź do konkretów – powiedział Milo.

– Taa, słusznie. Więc pewnego razu, musiało to być w czterdziestym dziewiątym albo pięćdziesiątym, powiodło mi się w sprawie o molestowanie dziecka i wyznaczono mnie do ochrony jednej z jego imprez w Bel Air, ale zaszczyt, co? Wielki bal na cele dobroczynne, pełny skład orkiestry, ludzie z najwyższych sfer... Przechadzają się, tokują, pełno babskich ciał, garderoby załadowane. A Belding tylko obserwował. Taki już był – obserwator, podglądacz. Wszędzie kamery. Pamiętam, że zastanawiałem się, co to za podły skurwysyn – nic po sobie nie dał poznać. Krył się.

– I to pan miał na myśli mówiąc, że go poznał?

– Tak. Wymieniliśmy uścisk dłoni, to mało?

– Dlaczego twierdzi pan, że jest podły? – zapytałem.

– Bo uważam, że zabijanie jest podłe.

– Kogo on zabił? – zapytał Milo.

Crotty znów przetarł ręką czoło, kaszlnął. – Tysiące ludzi, Drągalu. Wszystkich tych, których rozszarpały na kawałki bomby jego cholernych samolotów.

Milo spojrzał na starego z niesmakiem.

– Dzięki za komentarz polityczny. Masz coś jeszcze do powiedzenia o Beldingu?

– A mało powiedziałem?

– Co wiesz o jego kumplu Vidalu?

– Billy-Rajfur? Też był na tym przyjęciu. Bardzo uprzejmy. Piękne zęby. Wspaniały rząd białych zębów.

– Czy poza opisem stanu uzębienia możesz coś dodać?

– Podobno dostarczał Beldingowi dziewczyny.

– A co ci wiadomo o dostawach wojennych? – zapytał Milo. – Myślę o tych kontraktach, które badała komisja senacka. Czy departament policji miał na to oko?

– Nie rozśmieszaj mnie. Policja była po jego stronie.

– Nazwiska – zażądał Milo, trzymając ołówek tuż nad notesem.

– Cholernie dawne dzieje, Drągalu.

– Uważaj, Ellston, nie dostałeś stówy za brednie, jakie znajdę w każdym archiwum.

Crotty uśmiechnął się.

– W twojej sytuacji, Drągalu, nie dostaniesz z archiwum żadnych danych.

Milo przesunął dłonią po twarzy. Szczęki mu chodziły.

– No dobra, dobra – powiedział Crotty. – Wiem o dwóch gnojkach, którzy siedzieli w kieszeni u Beldinga: Hummel i DeGranzfeld. Kiedy przyszedłem do oddziału wykroczeń, oni już tam byli, jako „pracze mózgów”. Wkrótce przeniesiono Hummla i został kierowcą szefa. Rok później awansował na porucznika w okręgu Newton, cholernie trafione, bo z niego była rasistowska świnią. Chodził na główną ulicę i bił kolorowe kurwy, aż krew się lała. Nosił rękawiczki ze świńskiej skóry – żeby się nie zarazić, jak powiadał.

– Skąd wiesz, że on i ten drugi byli na usługach Beldinga?

– To było jasne – szybko piełi się w górę, bez żadnego powodu. Mieli powiązania. Obaj zawsze świetnie ubrani, dobrze jedli. DeGranzfeld miał duży dom w Alhambrze, konie, sad. Nie potrzeba Sherlocka Holmesa, żeby się domyślić, że siedzą u kogoś w kieszeni.

– Poza kieszenią Beldinga jest jeszcze mnóstwo innych.

– Pozwól mi dokończyć, do jasnej cholery! Później obaj wynieśli się z policji i zaczęli pracować dla Beldinga, prawdopodobnie za sześciokrotnie wyższą płacę, i żarcie ile dusza zapragnie.

– Imiona – rzekł Milo notując.

– Royal Hummel i Victor DeGranzfeld. Nazywaliśmy go Lepki-Vicky. Był skryty i stuknięty, zbyt tchórzliwy, by wdawać się w bójkę, ale równie sadystyczny jak Hummel. Jak pracowaliśmy w obyczajówce, on był głównym inkasentem, miał pod swoją pieczę wszystkich bukmacherów i sutenerów ze śródmieścia. A kiedy przeniósł się do Newton, ściągnął tam DeGranzfelda, który został dowódcą warty dziennej. Przyjaciele od serca i prawdopodobnie obaj w konspirze. Później przeniesiono ich obydwu do Komendy Głównej Zwalczenia Narkotyków – było to we wczesnych latach pięćdziesiątych, wybuchła wtedy panika narkotykowa i departament policji dobrze wiedział, że urządzając wielkie naloty, zapewni sobie dotację od rządu.

– W porządku – rzekł Milo. – Porozmawiajmy teraz o domach Beldinga, o „przyjęciach kanapowych”. Wiesz, gdzie się odbywały?

– Przyjęcia kanapowe! – roześmiał się Crotty. – Jak to słodko brzmi. Skąd wytrzasnąłeś tę nazwę, Drągalu? Przyjęcia pierdolnikowe. Imprezy z pieprzeniem, tak je nazywano i w tym celu Belding je urządzał. Zapraszał na nie grube ryby, szychy, miał całe stada młodych, ładnych dziwek, każda musiała sprawdzić się najpierw w pieprzeniu, zanim zawarł z nią tę swoją kurewską umowę. Nie, nie wiem, gdzie były te domy. Nigdy nie zapraszano mnie na takie wielkie przyjęcia.

Wstał, odsunął ścianę pudeł i przekroczył próg drzwi, które chyba wiodły do kuchni.

– Przykro mi, że musiałeś tego wszystkiego słuchać – powiedział Milo.

– Okay. To było bardzo ciekawe.

– Nie po raz setny.

– Obgadujesz mnie? – Crotty wyszedł z kuchni, patrząc na nas badawczo; w jednej ręce trzymał szklankę wody, drugą miał zaciśniętą w pięść.

– Nie – powiedział Milo. – Po prostu podziwiamy urządzenie wnętrza.

– Ha! – Stary rozprostował dłoń, leżało na niej kilka, może kilkanaście pigułek. – Witaminy – powiedział i włożył je do ust. Zapił wodą, wykrzywił się, wziął następne i pomasaował się po brzuchu. – Jestem zmęczony. Wynoście się stąd do cholery i dajcie mi trochę odpocząć.

– Rachunek jeszcze niewyrównany – oświadczył Milo.

– No to mów szybciej.

– Mam jeszcze dla ciebie kilka nazwisk. Aktorka Linda Lanier, podobno jedna z dziewczyn Beldinga. I pewien lekarz, którego pieprzyła na amatorskim filmie. Opisz go nam, Alex.

Gdy to uczyniłem, Crotty zbladł i postawił szklankę na skrzyni. Otarł czoło, wydawało się, że stracił kontenans, oparł ręce na wyżartym przez mole oparciu kanapy.

– Słuchamy, Ellston – powiedział Milo.

– Dlaczego grzebiesz się w tych starociach, Drągalu?

– Znasz zasady – Milo potrząsnął głową.

– Znam, znam. Chodź tu, uściśnij mnie, a potem dodaj trochę szmalu.

– Za stówę można kupić mnóstwo uścisków – rzekł Milo, ale sięgnął do portfela i wyjął banknot.

Crotty miał zdziwioną minę.

– Linda Lanier – ciągnął Milo. – I ten lekarz z filmu.

– W powiązaniu z Beldingiem? – zapytał Crotty.

– W powiązaniu ze wszystkim. Wyduś to z siebie wreszcie. Wtedy damy ci spokój i będziesz mógł zasnąć i śnić o swoim Szwedzie.

– Powinieneś znać takie sny – powiedział Crotty. Utkwił spojrzenie w podłogę, pomasaował się po brzuchu, założył nogę na nogę. Linda Lanier. Tak, tak. Wszystko na tym świecie się łączy, prawda? Tak jak ten mój blondasek-bankier.

Wstał i ruszył w kierunku szarego fortepianu. Instrument był strasznie rozstrojony. Popłynęły zniekształcone dźwięki boogie-woogie. Równie nagle jak zaczął grać, przestał, i powiedział:

– To niesamowite, Drażalu. Jeszcze trochę, a zacznę używać takich słów jak los, przeznaczenie – nie, żebym chciał ciebie wplątać w mój los. – Zagrał kilka nutek powolnego bluesa, po czym ręce opadły mu wzdłuż ciała. – Linda Lanier i lekarz; powiadasz, że oni robili to na filmie?

Milo skinął głową i wskazał na mnie.

– On widział ten film.

– Była piękna, prawda?

– Tak, zgadza się – odrzekłem.

– No dalej – rzekł Milo. – Wyduś to z siebie.

Crotty uśmiechnął się smętnie.

– Cygańłem cię, Drażalu. Kiedy zapytałeś mnie o Beldinga, czy zabijał. Podlałem to wszystko politycznym sosem, bo nie wiedziałem, skąd wiatr wieje, teraz rozumiem to dosłownie, ale nie chcę się w to mieszać – niczego nie mógłbym udowodnić.

– Niczego, do cholery, nie musiałbyś udowadniać – rzekł Milo. – Powiedz nam tylko, co wiesz. – Odliczył jeszcze kilka banknotów.

Crotty w mig je pochwycił.

– Ten lekarz – zaczął – nazywa się jakoś tak... Neurath. Donald Neurath. Opisałeś go kropka w kropkę, Kędzierzawy. Linda i on mieli ze sobą coś wspólnego.

– Skąd wiesz? – zapytał Milo.

Crotty popatrzył nań z urazą.

– Przestań, Ellston.

– No dobrze. Jak już skończyłem z zastawianiem pułapek na pedałów, przydzielono mi robotę dotyczącą Klubu Skrobaczy – nielegalne aborcje. W tamtych latach, kiedy dziewczynie coś się przydarzyło, miała trzy wyjścia: albo powiesić się na suchej gałęzi, albo rzeźnik w białym fartuchu, albo lekarz dobroczyńca, cichcem, za ciężkie pieniądze. Neurath był jednym z tych dobroczyńców – bo wielu lekarzy tym się zajmowało. Ale tak czy owak było to przestępstwo klasy A, a wykrycie go oznaczało niezłe pieniądze dla departamentu policji.

Działała wtedy w mieście grupa lekarzy dokonujących aborcji – nazywaliśmy ich Klubem Skrobaczy – mniej więcej było ich dwudziestu, rozsianych po różnych miejscach. Faceci powszechnie szanowani, z długoletnią praktyką. Mieliśmy z nimi układ – odpalali pewien procent ze

swojego honorarium w zamian za naszą ochronę i gwarancję, że nikt nikomu nie będzie deptać po piętach. I ten system działał. Był taki jeden w Valley, który z nimi zadarł – zażądał za skrobaną pół ceny. Po tygodniu załatwiono go, posługując się policjantką, która akurat była w ciąży. Nie było zwolnienia za kaucją i facet przesiedział się pod celą okręgowego kicia razem z ciężkimi przestępcami. W tym czasie ktoś podpalił mu gabinet, a może ktoś inny napadł na córkę powracającą ze szkoły.

– Ładna historia.

– Tak to wtedy wyglądało, Drażalu. Uważasz, że teraz jest lepiej?

– Twierdzisz stanowczo, że Neurath był członkiem tego „klubu”?

– Z całą pewnością, bo kiedyś sam przyłapałem muzułmankę w jego gabinecie. Fantazyjny strój jak na Wilshire koło Western. – Zamilkł, spojrzał na Milo. – Racja, odgrywałem też rolę komiwojażera. Nie był to mój ulubiony przydział, ale wtedy miałem już dość problemów z zaległymi łapówkami za coś, co tak czy owak istnieje. Cholera, dziś każda małolata może iść do kliniki i po pół godzinie już jest wyskrobana. Więc żaden interes, no nie?

– Mów dalej – powiedział Milo.

Crotty obrzucił go niechętnym spojrzeniem.

– Robiliśmy nadgodziny na własną rękę. Podjeżdżałem windą do jego gabinetu, upewniałem się, że nikogo nie ma na schodach, i pukałem do drzwi. Jak już byłem w środku, on bez słowa wręczał mi kopertę; przeliczałem na oko i zmywałem się.

– Jaką miał specjalizację?

– Położnik. Dobry kawał, co? Neurath pomaga przyjść na świat i pomaga odejść ze świata.

– A co wiesz o nim i Lindzie Lanier?

– Pewnego wieczoru, po zagarnięciu łupu, poszedłem do chińskiej dzielnicy na *moo-goo* z winem ryżowym. Siedziałem z tyłu, patrzę, wchodzi Neurath z tą platynową seksbombą. Było dość mroczno, nie zauważył mnie. Trzymała go pod rękę, wyglądali na parę zakochanych. Usiedli przy środkowym stoliku, bliźniutko siebie, i o czymś z zapalem rozmawiali. Stary rutyniarz ze mnie i muszę stwierdzić, że ta seksbomba była naprawdę elegancka, żadna łachudra. Po paru minutach wstała i poszła do toalety, więc miałem okazję dobrze się jej przyjrzeć. Poznałem ją – była na imprezie u Beldinga. Miała wtedy na sobie czarną suknię, gołe plecy, prawie goły przód, etola z nerek. Z powodu tych nerek pomyślałem, że to bogata dziewczucha. Utkwiła mi w pamięci, bo była faktycznie wspaniała, fantastyczna. Twarz bez zarzutu, piękne ciało. I wytworna. Klasa babka. – Spojrzał w moją stronę. – Nie jestem nieczuły na kobiece wdzięki, doktorze psychologiczny. Może nawet bardziej mnie biorą niż niejednego hetero...

– Co dalej? – przerwał mu Milo.

– Nic dalej. Wypili kilka drinków, pomigdalili się i poszli – na pewno do jakiegoś motelu. Koniec kropka. A rok później fotka owej seksbomby była w każdej gazecie. A im więcej dowiaduję się o całej historii, tym bardziej mnie ona interesuje.

Kaszlnął, podrapał się po brzuchu.

– Nalot na imprezę narkotykową. Dziewczyna została zabita i jeszcze pewien gość, który okazał się jej bratem. Prasa zrobiła z nich wielkich aktorów. A ona była na kontrakcie w studio Beldinga i nigdy nie wystąpiła w żadnym prawdziwym filmie. I prawdopodobnie ów fakt był najmocniejszym dowodem na to, że cała ta wytwórnia to zasłona dymna. Oczywiście wielu aktorów nie miało stałej pracy, a ona była dziewczyną do towarzystwa – o tym ani słowa w gazetach. Jej brat pracował w studio jako operator. Oboje się nie liczyli, drobne płotki. Mimo to stać ich było na wynajmowanie eleganckiej chaty w Fountain – dziesięć pokoi – mieli fantastyczny samochód i żyli na cholernie wysokiej stopie. Dziennikarze policzyli jej futra i biżuterię... Opisywali, jak to zdolne rodzeństwo wydobycie się z teksańskiej nędzy – bo faktycznie takie były ich korzenie – i dotarło na szczyt. Naprawdę nazywała się Eulalie Johnson. Jej brat był obrzydliwym skurwielem, nazywano go Cable. Spekulował na drobnym bukmacherstwie, wyciągał forsy od prostytutek ulicznych, ale nigdy nie posuwał się za daleko, zawsze działał na małą skalę. Nie to, co twoje asy, prawda, Drągalu? Policja przekazała to wszystko prasie, a prasa pożarła ów łup. Pisano, że majątek Lanierów wart jest trzysta tysięcy dolców – kupa forsy w tamtych czasach. Publiczność kupiła to.

– Ale nie ty.

– Oczywiście, że nie. Na południe od Fresno nikt się tak nie obłowi bez powiązań z bandą Cohena czy Dragny. A już na pewno nie nędzarze z Teksasu, bez żadnego zaplecza. Sprawdziłem akta braciszka – pijak, awanturnik, kurwiarz, drobny złodziejasek, niestroniący przed przemocą. Żadnych liczących się powiązań. Nikt go nigdy nie widział przy forsie. Coś mi tu śmierdziało. Tym bardziej, że byli w to zamieszani Hummel i DeGranzfeld.

– Dlaczego zacząłeś szperać, Ellston?

Crotty uśmiechnął się.

– Zawsze szperam, jak poczuje łup, Drągalu. Ale tym razem wyglądało to zbyt niebezpiecznie. Nie chciałem się mieszać. Do tej pory nie mogę tego strawić. A teraz jeszcze wy, pięknie!

– Co dalej? – zapytał Milo.

– Prawdopodobnie ktoś zadzwonił do wydziału narkotyków, że w domu w Fountain jest niezły magazyn. Hummel i DeGranzfeld przyjęli telefon, wzięli paru gliniarzy po cywilnemu, paru mundurowych i pojechali; mundurowi stali przed domem, a tamci wkroczyli do akcji. Spokój, na zachodzie bez zmian, i raptem pach, pach. Gdy mundurowi znaleźli się w środku, zobaczyli Johnsona i jego siostrę leżących na podłodze w salonie. Podziurawieni jak sito. Hummel i DeGranzfeld uczciwie podzielili się zyskiem. A w wydziale przed stawili taką wersję: zapukali do drzwi, ktoś zaczął do nich strzelać, wyłamali więc drzwi i wskoczyli do środka, prosto pod kule. Odważni, co? Dziewczyna do towarzystwa i drobny hurtownik przyłapani na gorącym uczynku.

– I nie było śledztwa w sprawie strzelaniny? – zapytał Milo.

– Chyba żartujesz, Draǵalu.

– Przecież zastrzelono kobietę. John Q. jest bardzo na to uczulony.

– To był rok pięćdziesiąty trzeci, szalał maccarthyzm, a polityka jest ważniejsza niż narkotyki. John Q. miał bzika na punkcie ćpania, szukał dealerów na każdym boisku szkolnym. A Linda Lanier miała fatalne notowania w obyczajówce, istne diabelskie nasienie. Mało, że Hummel i Lepki-Vicky nie byli przesłuchiwani, to jeszcze zostali prawdziwymi bohaterami – burmistrz przypiął im order.

Pięćdziesiąty trzeci rok, pomyślałem. Wkrótce potem nastąpiła metamorfoza Lelanda Beldinga.

I w tym samym roku urodziły się Sharon i Shirlee.

– Czy Linda Lanier miała dzieci?

– Nie – odparł Crotty. – Wiedziałbym o tym. Wciąga się takie fakty do rejestru, aspekt humanitarny i tak dalej. Dlaczego pytasz? Znasz członków rodziny, którzy szukają zemsty?

– Zemsty? Na kim? – zapytał Milo.

– Na Beldingu. Tamten szarlatan odmieniał jego nazwisko we wszystkich przypadkach.

– Do czego pijesz?

– Hummel i DeGranzfeld byli jego ludźmi, Linda Lanier – dziewczyną do towarzystwa. Ten dom w Fountain to nie był lokal, do którego wyskakiwało się na lunch. Pytając tu i ówdzie dowiedziałem się, że Linda Lanier była dla Beldinga kimś więcej niż hostessą na przyjęciach. Widziano, jak wchodziła do jego biura, zostawała tam kilka godzin i bardzo zadowolona wychodziła. O tych plotkach chłopaki wiedziały, ale w prasie nie było ani słowa na ten temat. Moim zdaniem była jego kochanką, później ona musiała mu się czymś narazić i pozbył się jej.

– Czym mogła mu się narazić? – zapytał Milo.

– Bo ja wiem. Może czegoś chciała, a może braciszek zwrócił się o pożyczkę do niewłaściwej osoby.

– A ten lekarz, Neurath, nie był jej sponsorem?

Crotty potrząsnął głową.

– Neurath miał kłopoty finansowe. Jego żona była nałogową hazardzistką, był wplątany w różne machlojki i dlatego jako pierwszy zapisał się do Klubu Skrobaczy. I jeszcze jedno: dom Lindy Lanier był własnością Beldinga.

Wymieniliśmy z Milem spojrzenia.

– W swoim czasie ten skurwysyn rządził połową Los Angeles – powiedział Crotty.

– Neurath był położnikiem – powiedziałem. – Może Linda Lanier po prostu zasięgała u niego porady...

– Bo była w ciąży? – zapytał Crotty. – Szantażowała Beldinga, że zostanie tatuśkiem? Czemu nie? Możliwe.

– Czy po tej strzelaninie Hummel i ten Dejakmutam odeszli z policji? – zapytał Milo.

– Niedługo potem. Jakieś parę miesięcy. Awansowani i przeniesieni. A teraz ty mi powiedz o tym filmie, w którym występowali Linda Lanier i Neurath.

– Lekarz i pielęgniarka, skecz – powiedziałem. – Lekarz nie wiedział o kamerze.

– Szantaż? – zapytał Milo. – Robota braciszka?

– Możliwe – zgodził się Crotty.

– Czym mogli szantażować Neuratha?

– Kto wie. Może skrobanki, może żona-hazardzistka. A może chcieli mu po prostu zepsuć reputację – miał przecież dużą praktykę, ładne tłuściutkie babki z Hancock Park czekały na jego szpikulec.

– Jeszcze tam przyjmuje?

– Nie wiem.

– A co z Hummelem i DeGranzfeldem?

– DeGranzfeld umarł kilka lat temu, wkrótce po przeniesieniu do Nevady. Miał romans z mężatką, a mąż był gwałtownikiem... Hummel, o ile wiem, wciąż mieszka w Vegas. Jedno jest pewne, pracował dla wydziału, przynajmniej jeszcze kilka lat temu.

– Skąd wiesz? – zapytał Milo.

– Miał siostrzeńca, taką faszystowską dupę, który lubił pochłać, mało brakowało, a wywaliliby go z akademii. Skurwysyn-rozrabiaka, wypisz wymaluj jego cholerny wujaszek. Był zamieszany w ten skandaliczny rabunek w okręgu Hollywood, powinien stanąć przed Komisją Praw albo jeszcze gorzej. Tymczasem nic, przeniesiono go tylko do Ramparts. I raptem facet się odrodził, tym razem jako Christian, i został kapitanem w zachodnim Los Angeles. – Zamilkł, wbił wzrok w Mila i uśmiechnął się radośnie, jak dzieciak do prezentów pod choinką. – Tak to wygląda.

– Co wygląda? – zapytał Milo, udając naiwnego.

– Drągalu, ty chytry lisie. Dostałeś, co chciałeś, może nie? Wysił się w końcu na dobry uczynek.

Rozdział 24

Crotty był wyraźnie zaniepokojony; chciał nas poczęstować kawą i ciastem, ale podziękowaliśmy grzecznie. Gdy opuszczaliśmy jego posesję stał przy płocie, pod dzwonkiem dla krów, otoczony swoimi zwierzętami.

– Stuknięty staruch – powiedziałem już w samochodzie.

– Samochwała i gaduła – rzekł Milo. – Odkąd dowiedział się, że jest pozytywny, wylewa z siebie wszystkie żale.

– Aha.

– Tak. Te tabletki to żadne witaminy, tylko jakieś leki na wzmocnienie odporności organizmu. Kilka lat temu przeszedł wirusowe zapalenie wątroby i teraz sądzi, że jeżeli będzie o siebie dbał, to całkiem wyzdrowieje. – Chwila milczenia. – Dlatego toleruję jego wysoki i obracam wszystko w żart.

Minęło kilka minut, zanim udało mi się zawrócić seville i włączyć w ruch na szosie. Przejechaliśmy dobrych parę mil Bulwarem Zachodzącego Słońca. Wtedy Milo powiedział:

– Trapp. Mam wobec tego wujaszka stare długi do spłacenia. – I minutę później: – Ciekawe, co on kombinuje.

– Może to, żeby morderstwo wyglądało jak samobójstwo?

– Wciąż do tego wracasz, ale to mi nie pasuje. Gdzie dowody?

– Belding i ludzie Magny to stare wygi od kamuflażu.

– Belding nie żyje.

– Ale żyje Magna.

– I co z tego? Korporacja-konspiracja? Baba-Jaga uwięziona w gmachu z metalu i szkła?

– Nie – odparłem. – Mam na myśli ludzi. Zawsze wszystko sprowadza się do ludzi.

Kilka domów dalej znowu się odezwał.

– Zabójcy Kruse'ów nie wysilali się, by podsunąć policji podejrzenie samobójstwa.

– Nie było to łatwe. Zbiorowe samobójstwo? Więc Trapp wymyślił morderstwo na tle seksualnym. A może chodziło tylko o zabójstwo Kruse'a – jeżeli zrobił to Rasmussen, wedle naszej teorii.

Milo wyglądał na zaszępionego. Minęliśmy Vine. Hollywood budziło się właśnie ze snu. Pod kopułą Cineramy wyświetlano film Spielberga – kolejka ciągnęła się aż za sąsiadujący z kinem dom. Trochę dalej znajdowały się motele z pokojami na godziny, obok nich tanecznym krokiem spacerowały prostytutki, żyjące z ludzkiej samotności i niewinności.

Milo patrzył na nie, odwrócił się, oparł łokciem o siedzenie i powiedział: – Miałbym ochotę na drinka.

– Za wcześnie jak dla mnie.

– Nie powiedziałem, że chcę drinka, powiedziałem, że miałbym ochotę. Tryb warunkowy.

– Aha.

Gdy stanęliśmy na czerwonym świetle przy La Cienega, powiedział:

– Co myślisz o teorii Crotty’ego? Że Linda Lanier i jej braciszek szantażowali Beldinga i Neuratha?

– To, że chcieli załatwić Neuratha, nie ulega kwestii.

– Pornos... – zamyślił się. – Czy ci szurnięci miłośnicy pornosów mówili ci, skąd go mają?

– Nie. Tylko że drogo ich kosztował.

– Domyślam się. – A po chwili: – Zrobimy sobie wycieczkę i wpadniemy do nich, może będą bardziej wylewni.

Dojechałem do Beverly Hills i przy Crescent skręciłem na lewo. Ulice były puste; ci, którzy pozbyli się domów za dwa miliony dolarów po to, aby wybudować za pięć, chętnie siedzą u siebie i bawią się swoimi zabawkami.

Podjechaliśmy pod koszmarną zieloność Fontaine’ów i wysiedliśmy z wozu.

Spuszczone żaluzje. Podjazd pusty. Milo zadzwonił – cisza. Jeszcze raz. Odczekał kilka minut i ruszył w kierunku samochodu.

– Ostatnio stały tu cztery auta – powiedział. Nie wyskoczyli chyba na śniadanko.

Zanim zdążyliśmy odpowiedzieć, zwrócił naszą uwagę zgrzytliwy hałas dobiegający z sąsiedniego domu. Dobrze zbudowany, ciemnowłosy chłopak lat około jedenastu wykonywał skomplikowane ewolucje na deskorolce, lawirując między trzema mercedesami.

Milo kiwnął na niego. Chłopak zatrzymał się, wyłączył walkmana i spojrzał na nas uważnie.

Milo machnął mu swoją złotą odznaką i chłopak ruszył w naszą stronę. Nacisnął klamkę furtki, przejechał przez nią z łoskotem i przyspieszył.

– Cześć – powiedział Milo.

Chłopak zerknął na odznakę.

– Policjant z Beverly Hills? – zapytał z obcym akcentem. – Czołem.

Czarne włosy ułożone na żel, okrągła mała buzia. Na zębach plastikowy aparat korygujący zgryz. Twarz pokrywał mu rzadki, ciemny meszek. Ubrany był w nylonową panterkę, ozdobioną słynnym napisem: „Surfing albo śmierć”, i szorty w czerwone kwiaty sięgające niżej kolan. Deska była z czarnego grafitu, ozdobiona nalepkami. Uśmiechając się do nas przejechał kołami po bruku.

Milo schował odznakę.

– Jak się nazywasz, synku? – zapytał.

– Parvizkhad. Bijan. Szósta klasa.

– Cieszę się, że cię poznałem, Bijan. Przyjechaliśmy do tych państwa z sąsiedztwa. Widziałeś ich ostatnio?

– Państwo Gordon, oczywiście.

– Tak, pan Gordon i jego żona.

– Wyjechali.

– Dokąd?

– Na wycieczkę.

– Nie wiesz dokąd?

– Wzięli walizkę – chłopiec wzruszył ramionami.

– Kiedy to było?

– S-bota.

– W sobotę, znaczy wczoraj?

– Tak. Wyjechali i zabrali samochody. Załadowali na wielką ciężarówkę. Dwa rolls-royce’y, lincolna i T-birda.

– Te wszystkie samochody załadowali na ciężarówkę?

Skinął głową.

– Czy na ciężarówce był jakiś napis?

Nie rozumiał, o co chodzi.

– Litery – powiedział Milo. – Na drzwiach ciężarówki. Nazwa firmy transportowej.

– Ach tak. Czerwone litery.

– Pamiętasz, jakie to było słowo?

Potrząsnął głową przecząco.

– A co oni takiego zrobili? Wypalali cocę? Zabili kogoś?

Milo uśmiechnął się sztucznie, pochylił się ku twarzy chłopca. – Przykro mi, synu, ale nie mogę ci tego powiedzieć. Sprawa poufna.

To jeszcze bardziej wzbudziło jego ciekawość.

– Informacje poufne, Bijan. Tajemnica – powtórzył Milo.

– Aha, tajna policja. Walter PPK. Bond. James Bond...

Milo spojrzał na niego ponuro.

Chłopiec odwrócił wzrok w moją stronę. Przygryzłem wargę, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– Powiedz mi, Bijan – rzekł Milo – o której godzinie w sobotę wywieziono te samochody?

Chłopiec gestykulował z ożywieniem, widać było, że trudno mu się wysłowić.

– Siedem zero zero godzina.

– Siódma rano?

– Tak, rano. Ojciec szedł do biura, przyniosłem mu budeczkę.

– Budeczkę?

– Może teczkę – odpowiedziałem.

– Oczywiście – ucieszył się chłopak. – Piękna skóra, super gatunek.

– O siódmej rano przyniosłeś ojcu teczkę i zobaczyłeś wtedy, jak ładują na ciężarówki samochody pana Gordona. Twój ojciec też to widział?

– Tak. Widział.

– Jest teraz w domu?

– Nie, w biurze.

– Gdzie jest to biuro?

– Century City.

– Jak się nazywa to biuro?

– Przedsiębiorstwo budowlane Par-Cal – powiedział chłopiec i podał numer telefonu, który Milo skrzątnie zapisał.

– A matka?

– Nie, ona nie widzi. Śpi. Zawsze śpi.

– Czy ktoś inny poza tobą i ojcem to widział?

– Nie, nikt.

– Bijan, czy ładowania tych samochodów pilnowali państwo Gordon?

– Pan Gordon. Bardzo zły z powodu samochodów.

– Zły?

– On zawsze się złości z powodu samochodów. Kiedyś upadła mi tam rakietka, na tego rolls-royce'a... Złościł się i krzyczał. Zawsze się złości. Z powodu samochodów.

– Czy podczas załadunku ktoś mu uszkodził samochód?

– Nie, na pewno nie. Pan Gordon skakał wokół tych czerwonych ludzi, wrzeszczał na nich: ostrożnie, idioto, nie porysuj. Zawsze się złościł z powodu samochodów.

– Czerwoni ludzie? – zapytał Milo. – Czy ci mężczyźni, którzy ładowali samochody, byli w czerwonych ubraniach?

– Tak. Jak ci, co pracują na giełdzie. Indy pięćset.

Kombinezony – mruknął Milo gryzmołując coś w notesiku.

– Dwaj mężczyźni, wielka ciężarówka.

– Okay, świetnie. Bardzo nam pomogłeś, Bijan. A teraz powiedz mi, co się wydarzyło, jak ta ciężarówka z samochodami już odjechała.

– Pan Gordon poszedł do domu. Wyszedł potem z panią i Rosie.

– Kto to jest Rosie?

– Służąca – powiedziałem.

– Tak. I dużą torbę podróżną do samolotu. Nie od Vuittona, może od Gucciego.

– Okay. I co było dalej?

– Przyjechała taksówka.

– Pamiętasz, jakiego koloru?

– Oczywiście. Niebieska.

– Przedsiębiorstwo taksówkowe z Beverly Hills – powiedział Milo zapisując nazwę.

– Wszyscy wsiedli do taksówki – dodał chłopiec.

– Cała trójka?

– Tak, a te walizki poszły do ciężarówek. Wyszedłem i im pomachałem, ale oni nie zwrócili na mnie uwagi.

Milo podpisał się na jego deskorolce, dał mu wizytówkę i firmowy arkusz papieru z policyjnego notatnika z literami K.P.L.A. „Odmachnęliśmy” mu, a on wrócił do swoich sportowych wyczynów na pustym podjeździe.

Włączyłem się do ruchu od wschodniej strony Sunset Park. Park był pełen turystów krążących wokół fontann, i szukających chłodu w cieniu drzew.

– Sobota – powiedziałem. – Zmyli się dzień po tym, jak odnaleziono zwłoki Kruse’ów. Musieli dużo wiedzieć, skoro tak się przestraszyli.

Milo skinął głową.

– Zadzwoń do przedsiębiorstwa taksówkowego, postaram się dowiedzieć, kto przewoził samochody. Zobaczymy, może uda mi się natrafić na ich ślad. Sprawdź na poczcie, może podali adres do korespondencji, choć to mało prawdopodobne, ale nigdy nic nie wiadomo. I zadzwoń do ojca chłopaka. Wątpię jednak, by zauważył to, co nasz Bijan. Bystry chłopak, nie uważasz?

– Zupełnie jak twój Ralph Laurens – powiedziałem. I po raz pierwszy od dłuższego czasu roześmialiśmy się serdecznie.

Kiedy dojechaliśmy do domu, zapadał już zmrok.

– Śmierdząca sprawa – powiedział Milo. – Za dużo trupów i za bardzo to wszystko rozciągnięte w czasie.

– Vidal wciąż żyje – przypomniałem mu. – I chyba cholernie dobrze się miewa.

– Vidal – powtórzył Milo chrząkając. – Jak Crotty go nazwał? Billy-Rajfur. Od tego do prezesury. Stromo.

– Ostre picie dodało mu napędu – powiedziałem. – I po trupach.

Rozdział 25

Opracowałem plan działania: w poniedziałek rano pójde do biblioteki, by poszukać czegoś o Billym Vidalu i Lindzie Lanier. Ale o ósmej dwadzieścia listonosz przyniósł mi nadaną ekspresem paczkę. Była w niej książka o wymiarach mniej więcej słownika, oprawiona w ciemnozieloną skórę. Na kartce przywieszzonej do okładki przeczytałem: „Przesyłam ci jak chciałeś. Wyciągnęłam z tego wnioski dla siebie, czego i tobie życzę. M.B.”

Zabrałem książkę do biblioteki. Spojrzałem na tytuł:

„Cicha współniczka: kryzys tożsamości i dysfunkcja «ja» w wyniku podwojenia osobowości, utożsamianej błędnie z pseudo-bliźniaczym rodzeństwem. Poszerzone badania kliniczne”.

Sharon Jean Ransom

Dysertacja doktorska

czerwiec 1981

Spojrzałem na dedykację:

„Poświęcam tę książkę Shirlee i Jasperowi, którzy znaczą dla mnie o wiele więcej, niż mogą sobie wyobrazić, i Paulowi, który poprowadził mnie ku światłu.

Jasper?

Przyjaciel, kochanek, kolejna ofiara?

A w oddzielnej notatce Sharon jeszcze raz dziękuje Kruse'owi, po czym następują zdawkowe słowa uznania dla innych członków komisji: pani profesor Sandry Romansky i pana Milтона Frazier'a.

Nigdy nie słyszałem o profesor Romansky, możliwe, że zaczęła pracować na wydziale, kiedy mnie już tam nie było. Sięgnąłem do przewodnika „Amerykańskie stowarzyszenie psychologiczne” i znalazłem jej nazwisko – w amerykańskim szpitalu na Samoa pracowała jako konsultantka do spraw sanitarnych. W notatce biograficznej podano, że w roku akademickim 1981/82 prowadziła wykłady na uniwersytecie, ale poza wydziałem antropologii. W czerwcu 81 roku nadano jej tytuł doktora filozofii. Dwadzieścia sześć lat, dwa lata młodsza od Sharon.

„Członek spoza wydziału” może wejść w skład każdej komisji, a doktorant, który ma prawo wyboru, szuka na ogół naukowców przychylnie nastawionych, ale raczej ignorantów.

Mógłbym pokusić się o odnalezienie pani Romansky, ale mój przewodnik był wydany przed trzema

lata, więc informacje mogły być już nieaktualne.

Ponadto miałem lepsze źródło informacji, i bliżej.

Aż nie do wiary, że „Szczurek” zgodził się zasiadać w tej komisji. Frazier, zapalony eksperymentator, pogardzał wszystkimi nowatorskimi, niepopartymi rzetelnymi badaniami teoriami, a psychologię kliniczną określił jako „miękkie podbrzusze wiedzy behawiorystycznej”.

Za moich studenckich lat był dziekanem wydziału i pamiętam, jak forsował „szczurze prawo”, wedle którego wymagano od studentów zaliczenia całego roku doświadczeń na zwierzętach, zanim mogli ubiegać się o kandydowanie do stopnia naukowego. Wydział przegłosował ów wniosek, ale od tamtej pory pilnowano, by każdy doktorant zdobył pewien zakres wiedzy eksperymentalnej – grupy kontrolne, krzyżowanie gatunków. Studia niepoparte wiedzą empiryczną były absolutnie zakazane.

Tak to się właśnie przedstawiało.

Mój wzrok spoczął na ostatnim wersie na tej stronie:

Szczerze słowa wdzięczności kieruję do Alexa, który, nawet jeśli go nie ma, stale mnie inspiruje.

Przewróciłem kartkę z takim impetem, że mało brakowało, a przedarłbym ją na połowę. I zacząłem czytać rozprawę, dzięki której zyskała stopień doktorski.

Przez pierwszy rozdział przedzierałem się bardzo powoli – stan badań uzupełniony przepisami, odnośnikami. A wszystko w naukowym żargonie, o jakim wspomniała Maura Bannon. Jednak wydaje mi się, że ta młoda dziennikarka nie zdołała przez to przebrnąć.

W rozdziale drugim autorka relacjonowała sesje psychoterapeutyczne z pacjentką, którą nazywa Jot. Tę młodą dziewczynę leczyła siedem lat; jej „wyjątkowa patologia i procesy wyobrażeń cechuje strukturalizm i funkcjonalizm oraz ich wzajemne oddziaływanie na siebie, co jest tym bardziej znamienne, że wykracza poza granice wiedzy licznych diagnostyków, którzy wysoko sobie cenili heurystyczną i pedagogiczną wartość badań nad rozwojem osobowości, zamazując granicę ego, oraz korzystali z hipnotycznej i hipnagogicznej zacofanej techniki w leczeniu idiopatycznych zaburzeń”.

Mówiąc po prostu: Jot miała tak niezwykle problemy, że dostarczyłyby terapeutom sporo wiedzy o ludziach.

Jot była młodą, dwudziestoparoletnią dziewczyną z dobrej rodziny. Przyjechała do Kalifornii, by kontynuować karierę w bliżej nieokreślonym zawodzie. Wtedy zgłosiła się do Sharon: skarżyła się na zaburzone poczucie wartości, depresję, bezsenność i uczucie „pustki wewnętrznej”.

Lecz najbardziej męczące było to, co Jot nazywała luką w życiorysie. Od pewnego czasu miała wrażenie, że budzi się jakby z długiego snu, i okazywało się, że znajduje się w bardzo dziwnych miejscach – wędruje ulicami, podjeżdża swoim samochodem do krawężnika, kładzie się do łóżka w jakimś tanim hotelu albo siedzi przy barze jakiejś nędznej kawiarni.

W portfelu ma bilet i kwit z wypożyczalni wozów, ale nie pamięta, jak weszła w ich posiadanie. Nie pamięta, co robiła przez te trzy lub cztery dni, które wypadły z jej pamięci. Zupełnie, jakby ktoś kradł jej życie po kawałku.

Sharon postawiła wówczas prawidłową diagnozę: „reakcja uciezkowa”. Podobnie jak amnezja czy histeria, które są reakcjami dysocjacyjnymi. W wypadku Jot reakcja była dosłowna: dziewczyna naprawdę uciekała psychicznie od wszelkich trosk i konfliktów życia codziennego. Pacjent dysocjacyjny, w konfrontacji z rzeczywistością pełną czynników stresujących, odcina się od niej i po prostu ucieka.

W wypadku histerii konflikt ów daje czysto fizyczne objawy – pseudoparaliż, ślepotą – i pacjent często demonstruje „*belle indifférence*”: bierny stosunek do swojej przypadłości, jakby dotyczyła kogoś innego. Gdy zaś chodzi o amnezję i „stan fugi”, mamy do czynienia z uciezkami i utratą pamięci. Tyle że w wypadku fugi zaburzenia pamięci są krótkotrwałe, pacjent pamięta, kim był przed ucieczką i jest w pełni świadom wychodzenia z tego stanu. Nie wie tylko co zdarzyło się „w środku”, między tymi dwoma faktami.

Złe traktowane i zaniedbane dzieci wcześniej się uczą, jak odciąć się od okropności tego świata, a kiedy dorosną, są podatne na symptomy dysocjacyjne. To samo dotyczy pacjentów o okaleczonej lub zaburzonej osobowości. Narcyzm, borderline.

Niedługo przed tym, jak pojawiła się w gabinecie Sharon, ucieczki Jot zdarzały się już tak często – raz na miesiąc – że dziewczyna zaczęła się bać wychodzić z domu, a dla ukojenia nerwów zażywała środki uspokajające.

Sharon przeprowadziła z nią szczegółowy wywiad. Chciała dotrzeć do źródła, znaleźć jakiś uraz z dzieciństwa. Jot upierała się jednak, że lata dziecinne upłynęły jej jak w bajce – miała wszystko czego pragnęła – atrakcyjnych, bywałych w świecie rodziców, którzy ją ubóstwiali. Tak było do dnia, w którym zginęli w katastrofie samochodowej.

Wszystko było cudowne – wciąż obstawała przy swoim; nie ma żadnego racjonalnego powodu, który mógłby być przyczyną obecnych problemów. Wystarczy więc krótka kuracja – po prostu należy ją „dostroić” i będzie funkcjonowała normalnie.

Sharon odnotowała, że taki typ ekstremalnej odmowy jest charakterystyczny dla wzorca dysocjacyjnego. Uznała, że wysunięcie owej tezy wobec Jot byłoby rzeczą nierozsądną, i zaproponowała na próbę półroczną psychoterapię, a kiedy Jot nie wyraziła zgody, Sharon skróciła okres leczenia do trzech miesięcy.

Jot nie zgłosiła się na pierwszą wizytę ani na następną. Sharon próbowała się do niej dodzwonić, ale okazało się, że aparat jest wyłączony. Przez trzy miesiące nie miała z Jot żadnego kontaktu, więc uznała, że dziewczyna zrezygnowała z jej pomocy. Pewnego wieczoru, gdy od Sharon wyszedł właśnie ostatni pacjent, Jot wpadła z płaczem do gabinetu, odurzona środkami uspokajającymi; błagałaby Sharon zgodziła się ją przyjąć.

Minęło sporo czasu zanim doszła do siebie. Po czym zaczęła swoją opowieść: była przekonana, że potrzebuje jakiejś odmiany (świadoma ucieczka – skomentowała Sharon) i postanowiła polecieć do Rzymu. Robiła zakupy przy Via Veneto, jadła w dobrych restauracjach i było wspaniale, aż któregoś dnia, mniej więcej po tygodniu, ocknęła się na jakiejś bocznej uliczce w Wenecji w porwanej sukience, prawie naga, potłuczona, zboleła, twarz i całe ciało umazane zaschniętą spermą. Zdała sobie sprawę, że została zgwałcona, ale nie pamiętałaby ktoś na nią napadł. Wzięła prysznic, ubrała się i najbliższym samolotem wróciła do Stanów. Prosto z lotniska przyjechała do gabinetu Sharon.

Teraz wie, że popełniła błąd, że naprawdę potrzebuje pomocy. I zrobi wszystko, co trzeba.

Mimo to leczenie Jot nie przebiegało gładko. Do psychoterapii miała stosunek ambiwalentny i albo odnosiła się do Sharon z uwielbieniem, albo jej ubliżała. Po dwóch latach stało się jasne, że zachowania ambiwalentne stanowią „ważki element osobowości Jot, są fundamentalną cechą jej konstrukcji psychicznej”. Była jakby dwiema osobami: potrzebującą pomocy bierną istotą oczekującą wsparcia, przypisującą Sharon boskie niemal cechy, obsypującą ją pochlebstwami i prezentami; i agresywną, napastliwą, oskarżycielską smarkulą: „Gównu ci na mnie zależy, robisz to wszystko, żeby zyskać nade mną cholerną moc” – wykrzykiwała do Sharon.

Dobry pacjent, zły pacjent. Jot coraz zręczniejsz zmieniała zachowania, a pod koniec drugiego roku terapii, w czasie jednej wizyty potrafiła kilkakrotnie przechodzić z jednego stanu w drugi.

Sharon zrewidowała swoją poprzednią diagnozę i zaczęła się zastanawiać nad innymi możliwościami.

Syndrom podwójnej osobowości, najrzadziej występujący przypadek zaburzeń, krańcowa dysocjacja. I choć Jot nie była typowym przykładem rozdwojenia jaźni, jej gwałtowne przeskoki miały charakter „syndromu zwielokrotnionego utajnienia”. Wszystkie jej zachowania były więc w jakiś sposób spójne – dziewczyna uciekała od siebie samej i od otaczającego ją świata.

Sharon zasięgnęła rady swego promotora, cieszącego się powszechnym szacunkiem profesora Kruse’a, który zaproponował jej wykorzystanie hipnozy jako metody umożliwiającej postawienie właściwej diagnozy. Ale Jot nie zgodziła się na hipnozę, bała się utraty samokontroli. Poza tym, jak twierdziła, czuje się wspaniale, nie ulega dla niej kwestii, że jest absolutnie wyleczona.

Wyglądała również znacznie lepiej, „ucieczki” były coraz rzadsze, ostatnia miała miejsce przed trzema miesiącami. Sharon pogratulowała jej, lecz wciąż miała wątpliwości. Podzieliła się nimi z Kruse’em. Ten zaś poradził czekać i obserwować.

Dwa tygodnie później Jot przerwała terapię. Pięć tygodni później zjawiała się w gabinecie Sharon, schudła pięć kilogramów, znowu na środkach uspokajających, po siedmiodniowej „ucieczce”, po której wylądowała na pustyni Mojave, naga, z niesprawnym samochodem, bez portfela, z pustą fiolką w dłoni. Wyglądało na to, że ów nikły postęp w leczeniu poszedł na marne. Nie było w tym winy Sharon, ale, jak napisała, „czuła ogromny smutek z powodu takiego pogorszenia stanu zdrowia Jot”.

Ponownie zaproponowano jej hipnozę, na co zareagowała gniewem, oskarżając Sharon, że pragnie zapanować nad jej umysłem... „Gównu dla mnie zrobiłaś i jeszcze jesteś na tyle bezczelna, że chcesz

zawładnąć moim umysłem”.

Wyskoczyła z gabinetu oświadczając, że ma dość takiego pieprzenia i że poszuka innego psychologa.

Po trzech dniach wróciła, półprzytomna po lekach. Skóra pokryta strupami. Drapała się do krwi i płakała mówiąc, że „naprawdę popełniła błąd”, i zrobi wszystko, by pozbyć się tego bólu duszy.

Sharon rozpoczęła terapię hipnotyczną. Tak jak przypuszczała, Jot była świetnym medium – wszak sama hipnoza jest dysocjacją. Efekt był natychmiastowy – dramatyczny.

Jot rzeczywiście cierpiała – podwójna osobowość. Trans ujawnił dwie osoby: Jot i Janę, identyczne bliźnięta, w sensie fizycznym dokładna wzajemna replika, natomiast psychicznie – dwa bieguny.

Jot była osobą dobrze wychowaną, dbającą o wygląd zewnętrzny, ambitną, choć wykazującą tendencję do bierności. Zależało jej na otoczeniu i – wyłączwszy ucieczki – starała się wypaść jak najlepiej w „uprawianym przez siebie, służącym ludziom zawodzie”. Miała „staroświecki” pogląd na seks i romanse – wierzyła w prawdziwą miłość, małżeństwo, rodzinę i absolutną wierność. Przyznała, że łączy ją związek seksualny z człowiekiem, na którym jej ogromnie zależało. Ów związek rozpadł się z powodu wtargnięcia jej *alter ego*.

Jana była ekspresywna, Jot – opanowana. Jana lubiła peruki w różnych odcieniach, wyzywające stroje, mocny makijaż. Nie widziała nic zdrożnego w „narkotykowych balangach, w przeleceniu przygodnego faceta” i lubiła pić daiquiri. Mówiła o sobie z dumą, że była „kurwą za pieniądze, królową orgietek, totalną słodką cizią spętana paskiem, od którego to, co jest w środku, robi się jeszcze gorętsze”. Любиła seks bez ograniczeń, zaliczyła imprezę, podczas której odbyła stosunek z dziesięcioma mężczyznami, kolejno, w ciągu jednej nocy. „Mężczyźni – mówiła ze śmiechem – to słabe, prymitywne orangutany, owładnięte żądzą. Seksowna cipka jest najważniejsza, jedną zdobędę ich tyłu, ilu zechcę”.

Obie „bliźniaczki” nie wiedziały o swoim istnieniu. Sharon określała ich egzystencję jako nieustanną ostrą walkę o własne ego. I wbrew konfabulacyjnym skłonnościom Jany układna Jot zwyciężyła. Jot była osobą w dziewięćdziesięciu pięciu procentach – miała społeczną tożsamość, nazwisko. Lecz owe pięć procent przywłaszczone przez Janę stanowiły podstawowe źródło jej problemów.

Jana wkraczała wówczas – w myśl teorii Sharon – gdy system obronny Jot był osłabiony. Te „ucieczki” były przejawem dominacji osobowości Jany. W tym czasie zachowywała się w sposób, jakiego Jot, będąca w swoim mniemaniu „wielką damą”, nigdy by nie zaakceptowała.

Hipnoza prowokowała pojawianie się Jany i w końcu doszło do tego, że zaczęła opowiadać, co działo się podczas tych „zgubionych godzin”.

Przed każdą z uciezek odczuwała przemożną potrzebę fizycznego unicestwienia, zmysłową niemal presję, by zniknąć. I zaraz potem pojawiała się myśl o podróży. Pacjentka zakładała perukę, ubierała

się w suknię wieczorową, wskakiwała do samochodu i wyruszała w drogę – jechała bez celu, czasem setki mil nie wiadomo dokąd, „nie włączałam nawet muzyki, wsłuchiwałam się tylko w szum bużującej we mnie gorącej krwi”.

Czasem samochód zawoził ją na lotnisko; tam, posługując się kartą kredytową, kupowała sobie bilet „w byle jakim kierunku”. Innym razem zatrzymywała się gdzieś przy drodze. W obydwu wypadkach wyprawy kończyły się na ogół rozpustą; punktem kulminacyjnym wycieczki do San Francisco była trzydniowa orgia „wączaczy metanu i wyrzutek masturbujących się wzajemnie przed posągami Aniołów w Golden Gate Park”. Prochy na dyskotecę w Manhattanie, a przedtem, w strzelnicy w South Bronx, ładowanie się heroiną. Orgie w różnych miastach Europy, biwakowanie ze społecznymi mętami i „czołówką ulicznych podrywaczy”.

Jedno wielkie szaleństwo. Filmy pornograficzne „gdzieś na Florydzie. Pieprzenie się normalne i na waleta, życie super”.

„Przyjęcia kończą się zwykle utratą przytomności po zażyciu dużej dawki narkotyków i wtedy właśnie Jana wycofuje się i wraca Jot, nieświadoma tego, co robiła jej bliźniaczka”. Owa zdolność rozdwaniania się to najważniejszy problem pacjentki, stwierdziła Sharon, i za główny cel terapii uznała integrację osobowości. Ego Jot musi wrócić do jedności, „bliźniaczki” muszą się coraz bardziej do siebie zbliżać, w końcowej fazie powinno dojść do konfrontacji; w ten sposób wyzwoli się coś w rodzaju poczucia winy oraz fuzji dwóch jaźni w jedną, prawidłowo funkcjonującą.

Sharon zdawała sobie sprawę z potencjalnego zagrożenia, jakie pociąga za sobą ta metoda, nieoparta badaniami klinicznymi – może bowiem wywołać nieodwracalny uraz pacjentki. Zaledwie kilku terapeutom udało się faktycznie zintegrować zwielokrotnione osobowości, więc szansa na sukces była niewielka. Ale Kruse zachęcał ją, popierając jej teorię twierdzeniem, że w wypadku fizycznej identyzacji dwie oddzielne osobowości łączy „psychiczny rdzeń” sprzyjający fuzji.

Podczas seansów hipnotycznych Sharon krok po kroku wprowadzała Jot w szczegóły życia Jany: rzut oka na jazdę autostradą, drogowskaz, hotel. Gdyby niepokój pacjentki wzrósł niebezpiecznie, przerwanie wyświetlania slajdów nie nastęczałoby trudności.

Jot dobrze to znosiła – żadnych zewnętrznych objawów niepokoju, choć nie komentowała obrazów z życia Jany i nie poddała się posthipnotycznym sugestiom Sharon, by zachowała w pamięci te wszystkie szczegóły. Następny seans miał identyczny przebieg: nic nie zapamiętała, do niczego się nie odniosła. Kolejna próba. Nic. Jeden seans za drugim. Mur nie do przebicia. Mimo przejawianej uprzednio podatności pacjentka była nieugięta. Determinacja, aby do spotkania z „bliźniaczką” nigdy nie doszło.

Sharon, zaskoczona siłą oporu Jot, zaczęła podawać w wątpliwość teorię o łatwiejszej integracji osobowości fizycznie identycznych. Może jest wręcz przeciwnie. Może to, że Jot i Jana były fizycznie identyczne, natomiast psychicznie krańcowo różne, okazało się czynnikiem wzmagającym ich wzajemną rywalizację.

Sharon zagłębiła się w studia nad psychiką rodzeństwa bliźniaczego, szczególnie jednojajowego, konsultowała się z Kruse'em, i postanowiła przyjąć inną taktykę: w dalszym ciągu stosując hipnozę,

zarzuciła próby integracji. Stała się bardziej przyjacielska, bezpośrednia, gawędziła z pacjentką na tematy pozornie obojętne: o siostrach, bliźniaczkach, osobnikach identycznych. Spokojnym tonem prowadziła dyskusję o typie więzi łączącej rodzeństwa bliźniacze, zastanawiała się nad metodami wychowania bliźniaków, rozważała kwestie genetyczne.

Pokonałam opór – orzekła. Przez cały czas uważnie słuchała pacjentki, i zależnie od potrzeby modyfikowała własne poczynania, pamiętając o tym, czego uczył ją Kruse w kwestii dynamiki wzajemnego oddziaływania.

Tak sprawa się toczyła jeszcze przez kilka miesięcy; pozornie – dwie gawędzące ze sobą przyjaciółki. Lecz pacjentka, reagując na zmianę strategii, jeszcze bardziej pogrążyła się w hipnotycznym uśpieniu. Wykazała przy tym tak daleko posuniętą uległość, że straciła czucie w całym ciele – nie czuła zapalanej zapałki przytkniętej do skóry, w końcu kadencję swego oddechu dostosowała do oddechu Sharon. Wyglądało na to, że jest gotowa spełnić każde żądanie. Ale Sharon nie wydawała jej poleceń i przyjacielska pogawędka toczyła się dalej.

W czasie pięćdziesiątego czwartego seansu pacjentka przejęła spontanicznie rolę Jany i zaczęła opisywać pewne alkoholowo-narkotykowe przyjęcie w prywatnej willi w Wenecji, na którym było mnóstwo różnych dziwacznych typów.

Z początku opowiadanie pikantnych szczegółów sprawiało jej wyraźną przyjemność. I nagle, w połowie relacji, coś się zmieniło.

– Moja siostra tu jest – powiedziała Jana ze zdumieniem. – Ta cholerna pnąca roślina w kącie pokoju... Siedzi na tym brzydkim krześle bez polityry.

Sharon: – Co czujesz?

– Jestem przerażona. Cholernie wstrząśnięta. Jacyś mężczyźni przyssali się do jej piersi, goli, owłosieni. Pawiany, włożą na nią, wtykają w nią te rzeczy.

Sharon: – Te rzeczy?

– Ich rzeczy. Obrzydliwe. Robią jej krzywdę i śmieją się, jest tam kamera.

– Gdzie jest kamera?

– Tam, w drugim końcu pokoju. Ojej, nie ja trzymam kamerę, chcę wszystko widzieć, pałą się wszystkie światła. Ale jej się to nie podoba. A ja filmuję. Nie mogę się powstrzymać.

Gdy Jana opisywała tę scenę, głos jej drżał, załamywał się. Powiedziała o Jot: ...Ona wygląda zupełnie jak ja, tylko, wiesz, bardziej niewinnie. Zawsze była skromniejsza ode mnie. Oni naprawdę włożą na nią, czuję...

Sharon: – Co czujesz?

– Nic.

Sharon: – Co czujesz, Jano? Kiedy widzisz, co się dzieje z twoją siostrą?

– Nic. – Po chwili: Źle.

Sharon: – Bardzo źle się czujesz?

– Trochę... źle. – Gniewny wyraz twarzy. – Ale, do cholery, sama jest sobie winna. Nie pchaj palców między drzwi, mam rację? Jeśli wiedziała, że tak się będzie zachowywać, nie powinna tam przychodzić.

Sharon: – Czy miała wybór, Jano?

Milczenie.

– Co przez to rozumiesz?

Sharon: – Czy miała wybór, jeśli chodzi o udział w tym przyjęciu?

Przedłużające się milczenie.

Sharon: – Jano?

– Tak, słyszę. Najpierw pomyślałam, że tak, miała, każdy ma przecież wybór. Ale później...

Sharon: – Co później, Jano?

– Nie wiem... chyba naprawdę ja jej nie znam. To znaczy, my jesteśmy dokładnie takie same, ale jest w niej coś... Nie wiem. Jakbyśmy... nie wiem, były czymś więcej niż siostrami. Nie potrafię znaleźć właściwego słowa, może współ... Dajmy temu spokój.

Cisza.

Sharon: – Wspólniczki?

Jana, zaniepokojona: – Powiedziałam, dajmy temu spokój, dosyć tego gówna. Porozmawiajmy lepiej o tym, bo to jest naprawdę zabawne, jakim cudem ja się znalazłam na tej pieprzonej imprezie.

Sharon: – Dobrze. Co tam robiłaś?

Jana, zakłopotana: – Nie pamiętam. Aha... prawdopodobnie nudziłam się. Na każdym przyjęciu, na którym ona jest, musi być nudno.

Sharon zdecydowała zakończyć seans. Pozwoliła pacjentce się rozluźnić, zaczekała, aż minie jej gniew, i przerwała seans. Była przekonana, że nastąpił przełom. Po raz pierwszy Jot zaakceptowała współistnienie bliźniaczki i nawet ją nazwała. Wspólniczki. W tym słowie wyczuwało się duży ładunek emocjonalny. Sharon postanowiła iść tym tropem podczas następnego seansu.

– Pani doktor? Co przed chwilą powiedziałaś?

Sharon: – Wspólniczki. Zasugerowałam ci, że ty i Jana jesteście czymś więcej niż siostrami. Nawet czymś więcej niż bliźniaczkami. Może właśnie wspólniczkami. Psychicznymi wspólniczkami.

Jot milczy, jest zamyślona, próbuje się uśmiechnąć.

Sharon: – Twoim zadaniem jest to możliwe?

– Raczej tak, tylko że jeśli ona jest moją wspólniczką, to cichą wspólniczką. Nigdy ze sobą nie rozmawiamy. Nie chce ze mną rozmawiać. – Cisza, szeroki uśmiech. – Ciche wspólniczki. Jaką firmę prowadzimy?

Sharon: – Firmę, która nazywa się: życie.

Jot, rozbawiona: – Może i racja.

Sharon: – Chciałabyś jeszcze o tym porozmawiać? O tym, jak się czuje cicha wspólniczka?

Jot: – Bo ja wiem.. Chyba chciałabym.. A może nie. Nie. Ona jest taka ordynarna, niesympatyczna, naprawdę trudno mi ją tolerować. Zmieńmy temat, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Jot nie przyszła na następny seans i jeszcze na następny. Gdy po dwóch miesiącach wreszcie się pojawiła, sprawiała wrażenie osoby opanowanej i spokojnej. Oznajmiła, że wie o niej się świetnie, chciałyby tylko dojść jakoś ze sobą do ładu.

Sharon wróciła do hipnoterapii, ponowiła wysiłki, by doszło do spotkania obydwu bliźniaczek. Gdy po pięciu miesiącach całkiem zwątpiła we własne możliwości, doszła do wniosku, że Jocie przydałby się inny terapeuta, „z większym doświadczeniem, może mężczyzna”.

Lecz Kruse w dalszym ciągu dodawał jej odwagi, zachęcał do kontynuowania terapii i poradziłby jej działania, nie tylko słowa, cechowało większe zaufanie do pacjentki.

Minął miesiąc i Jot znowu zniknęła. Pojawiła się po pięciu tygodniach; wpadła jak burza do gabinetu, w czasie gdy Sharon przyjmowała inną pacjentkę. Krzyczała, że ta „baba gównem potrafi”, a do pacjentki, że powiedziała jej: „Szkoda czasu na twoje bzdurne problemy” i kazała wynosić się z gabinetu.

Mimo że Sharon starała się zapanować nad sytuacją, pacjentka, którą przyjmowała, wybiegła z płaczem. Sharon zapowiedziała Jocie, że to się nigdy więcej nie może powtórzyć. Jot stała się Janą i oskarżyła Sharon, że jest „złą i samolubną cipą. Wyczyniasz te pieprzone sztuczki, żeby wyciągnąć ze mnie wszystko, co mam, wszystko, czym jestem. Jedyne twoim celem jest to, żeby, do kurwy nędzy, zrobić mnie na szaro i puścić z torbami”. Po kilku groźbach, że pozwie Sharon do sądu i zrujnuje, wybiegła z gabinetu.

I nigdy już nie wróciła.

Koniec leczenia. Dla pechowego terapeuty nadszedł czas na refleksję.

Stustronicowy rozdział polemiczny. Zacząłem w poniedziałek rano i myślałem, że nigdy się z tym nie uporam. Konkluzja: Sharon uznała, że jej wysiłki, by pogodzić Jot z Janą, były z góry skazane na niepowodzenie, a to dlatego, że „bliźniaczki” żywiły do siebie nieprzejednaną wrogość; triumf jednej oznaczał bowiem śmierć drugiej – psychiczną śmierć, choć żywotność i apodyktyczność jednej mogła również doprowadzić do faktycznej śmierci drugiej. Uświadomiła sobie, że zamiast dążyć do integracji, powinna była pracować nad wzmocnieniem tożsamości pozytywnej Joty, sprzymierzyć się z „dobrą bliźniaczką”, by zniszczyć tę „destruktywną, notoryczną awanturnicę Janę”.

W psychice tej młodej kobiety – utrzymywała Sharon – nie ma miejsca dla nikogo; zostawmy więc własnemu losowi owe skonfliktowane ciche współniczki, tworzące zdezintegrowaną osobowość. Ludzka natura jest tak skonstruowana, że firmą o nazwie życie musi kierować jedna osoba. Czasami samotność jest gorzka, lecz siła woli, determinacja, w pełni zintegrowane ego nagradza ową gorycz.

„W samotności przychodzimy na świat, w samotności umieramy”.

Piekielny problem! Jeśli w ogóle można tu mówić o problemie.

Znałem Jotę, kochałem się z nią, tańczyliśmy na tarasie.

Janę też znałem, patrzyłem, jak rzuca szklanką z daiquiri o kominiek, jak wyslizguje się z czerwonej sukienki i robi ze mną, co chce.

Rozdział o psychice rodzeństwa bliźniaczego – ale nawet słowem w nim nie wspomniała, że ma siostrę bliźniaczkę. Jej własną cichą współniczkę.

Wyparcie się? Kłamstwo?

Autobiografia.

Grzebała się we własnej udręczonej psychice, przedkładając zmyśloną historię jako opartą na badaniach pracę doktorską.

Solidnie opracowany materiał. Rodzaj awangardowej terapii?

Prawie jak ten film porno.

Kruse był jej przewodnikiem.

Tak, śmierdzi tu Kruse'em.

Ale co z Shirleee? Prawdziwą cichą współniczką. Czy Sharon porzuciła ją, zostawiła na pastwę tego niemego, złego świata?

I kim, do diabła, jest ten Jasper?

„Szczere słowa podziękuję kieruję do Alexa, który, nawet jeśli go nie ma, stale mnie inspiruje”.

Pruderyjna, bierna Jot, prawdziwa dama. Staroświeckie podejście do seksu i romansów... i choć była aktywna seksualnie z mężczyzną, na którym jej bardzo zależało... wszystko się kończyło wraz z wkroczeniem Jany na scenę.

Zważyłem w dłoniach ową dysertację. Czteryście stron z okładem cikliwych, pseudonaukowych wypocin. Kłamstwo.

Jakim cudem zdołała to przepchnąć?

Chyba wiem, jak dotrzeć do prawdy.

Rozdział 26

Zanim wyszedłem, zadzwoniłem do biura Olivii.

– Przykro mi, kochanie, ale system wciąż nie działa. Może pod koniec dnia.

– Okay. Dzięki. Zadzwonię później.

– Chwileczkę, ten szpital w Glendale, o który pytałeś. Rozmawiałam z moją przyjaciółką, która pracuje często u Adwentystów w Glendale. Powiedziała, że przy Brand był taki dom, nazywał się Resthaven Terrace, nie dawno go zamknęli. Konsultowała się z nim w sprawach ośrodka opieki medycznej.

– Zamknęli na amen?

– Tak mi powiedziała Arlene.

– Jak można się z nią skontaktować?

– St John, w Santa Monica. Zastępca dyrektora do spraw socjalnych. Arlene Melamed. – Gdy skończyła dyktować numer, dodała: – Ale ci się pali do tej Shirlee!

– To skomplikowana historia, Olivio.

– Jak wszystko u ciebie.

Zadzwoniłem do biura Arlene Melamed, odebrała sekretarka, a ja powołałem się na nazwisko Olivii. Po paru sekundach usłyszałem w słuchawce ostry głos kobiety:

– Kiedy pan ją leczył, doktorze?

– Sześć lat temu.

– To nie za moich czasów. Pracuję tu dopiero rok.

– Ta pacjentka była głęboko upośledzona, wymagała stałej opieki. Rok temu mogła tu również być.

– Nazwisko?

– Shirlee Ransom, Shirlee przez dwa e.

– Przykro mi, nic mi to nie mówi, ale to nie ma większego znaczenia. W jakiej sali leżała?

– W prywatnym mieszkaniu, na tyłach budynku.

– Nie mogę panu pomóc, doktorze. Miałam do czynienia tylko z osobami z ośrodka opieki

medycznej, prowadziłam księgowość.

Chwilę się zastanawiałem.

– Opiekował się nią mężczyzna, który miał na imię Elmo. Murzyn, barczysty.

– Elmo Castelmaine?

– Pani go zna?

– Kiedy zamknięto Resthaven, zatrudniłam go u Adwentystów. Bardzo przyzwoity człowiek. Niestety mieliśmy trudności finansowe i musiałam go zwolnić; nie miał ukończonej szkoły zawodowej, a to przeszkadzało kadrom.

– Nie wie pani, gdzie on teraz pracuje?

– W domu spokojnej starości w okolicach Fairfax. Nie mam pojęcia, czy jeszcze tam jest.

– Pamięta pani nazwę tego domu?

– Nie, ale chwileczkę. Wciągnęłam go do ewidencji. To taki przyzwoity człowiek, że nie chciałam tracić z nim kontaktu; może się jeszcze przydać, jeśli sytuacja ulegnie zmianie. Oto adres: Elmo Castelmaine, King Solomon Gardens Edinburgh Street.

Zapisałem adres i numer telefonu.

– Kiedy zamknięto Resthaven? – zapytałem.

– Pół roku temu.

– Co to był za dom?

– Nie bardzo rozumiem.

– Kto go prowadził?

– Korporacja. Przedsiębiorstwo państwowe o nazwie „Opieka nad Przewlekłe Chorymi”. Na Zachodnim Wybrzeżu mają całą sieć takich placówek. Wszystko pięknie, ale z Resthaven nie mogli sobie poradzić.

– Od strony medycznej?

– Administracyjnej. Jeśli idzie o sprawy kliniczne, tam był niezły poziom. Nie najlepszy, ale i nie najgorszy. Natomiast interes żaden, kompletne fiasko. Bałagan w księgowości. Zatrudnili niekompetentnego urzędnika, nie potrafił rozliczyć się z dotacji stanowych. Zwracali się do mnie, żebym zrobiła porządek w finansach, ale to było po prostu niemożliwe. Nie było z kim rozmawiać – główne biuro znajdowało się w El Segundo; nikt nie odpowiadał na moje telefony. Tak jakby nie

zależało im na zyskach.

– A co po likwidacji placówki zrobiono z pacjentami?

– Umieszczono ich chyba w innych szpitalach, tak przypuszczam. Ja już wtedy tam nie pracowałam.

– El Segundo – powtórzyłem. – Nie wie pani, czy owo przedsiębiorstwo wchodziło w skład większej korporacji?

– Wcale bym się nie zdziwiła – powiedziała. – Dziś wszystko jest możliwe.

Podziękowałem jej i zadzwoniłem do mojego agenta, Lou Cestare’a w Oregonie, który potwierdził moje przypuszczenia. „Domy Opieki nad Przewlekłe Chorymi” były subsydiowane przez korporację Magna.

– Tylko pamiętaj, ja ci o tym nie powiedziałem, Alex. Magna nie lubi rozgłosu.

Pogadaliśmy jeszcze chwilę. A potem zadzwoniłem do King Solomon Gardens. Sekretarka powiedziała, że tak, Elmo Castelmaine pracuje u nich. Ale w tej chwili jest zajęty i nie może podejść do telefonu. Poprosiłem o przekazanie wiadomości, żeby zatelefonował do mnie, chodzi o Shirlee Ransom. I pojechałem do kampusu.

Okolo drugiej wszedłem do biura Milтона Fraziera. Na drzwiach jego gabinetu tabliczka z godzinami urzędowania była pusta. Zapukałem, cisza, ale drzwi nie były zamknięte. Otworzyłem i zobaczyłem pochylonego nad biurkiem „Szczurka” – w tweedowym garniturze i okularach bez oprawek. Podkreślał coś w leżącym przed nim maszynopisie. Okna były częściowo zasłonięte, co nadawało pokojowi żółtawy kolor. Frazier miał potarganą brodę, jakby właśnie skończył ją wyskubywać.

Na moje „witam, panie profesorze” skrzywił się i machnął ręką kilkakrotnie, co równie dobrze mogło oznaczać „wejdz”, jak i „wynoś się do diabła”.

Po drugiej stronie biurka stało krzesło. Usiadłem i czekałem, a Frazier wciąż coś podkreślał, wykonując lewą ręką gesty wyraźnie nieprzyjazne. Na biurku piętrzyły się stosy maszynopisów. Pochyliłem się i przeczytałem tytuł. Rozdział podręcznika.

A on nie przerywał pracy. Czekałem. Ściany gabinetu były beżowe, wisiało na nich mnóstwo dyplomów, świadectw, winylowa podłoga aż popękała pod ciężarem dwóch rzędów metalowych regałów. Nic, co by świadczyło o osobowości i zwyczajach dziekana wydziału. Na jednej półce stał rząd pojemników ze szkła – mózgi zwierzęce zanurzone w formalinie. W pokoju unosiła się woń starych papierzyk i stęchlizny.

Długo czekałem. Frazier skończył z jednym maszynopisem, sięgnął po następny i znów pograżył się w pracy. Tym razem robił więcej znaczków żółtym flamastrem, potrząsał głową, tarmosił brodę i nic nie świadczyło o tym, by zamierzał wreszcie mnie zauważyć.

– Alex Delaware – powiedziałem. – Rocznik siedemdziesiąt cztery.

Wyprostował się nagle, wbił we mnie wzrok, obciągnął poły marynarki. Koszula zwisała na nim; krawat był istnym koszmarem i z tak zamierzchłej epoki, że tylko patrzeć, a stanie się znów modny.

Wpatrywał się we mnie.

– Hmm. Delaware. Jakoś sobie nie przypominam.

Łgał, ale niech mu tam.

– Zdaje się, że był pan moim studentem – powiedział. Jak gdyby ów fakt upoważniał go do ignorowania mojej osoby. Wracając wzrokiem do maszynopisu dodał: – Jeśli w sprawach wydziału, to trzeba poczekać. Nie przyjmuję nikogo nieumówionego. Terminy wydawnicze.

– Nowa książka?

Przeczący ruch głową.

– Poszerzone wznowienie „Paradygmatów”. – Ruch dłoni, szelest kartki papieru.

„Paradygmaty nauczania o kręgowcach”. W jego głębokim przekonaniu powód do sławy od trzydziestu lat.

– Dziesiąte wydanie – dodał.

– Moje gratulacje.

– Tak, gratulacje są tu na miejscu. Ale praca włożona w każde kolejne wydanie to taka katorga, że człowiek zaczyna żałować, że się w ogóle tego podjął. Natrętne żądania nastawionych na zysk wydawców, by dołączyć nowe zupełnie zbędne rozdziały, często kosztem spójności tekstu. – Poklepał stos maszynopisów. – Po zapoznaniu się z tymi śmieciami widzę, jak tragicznie obniżył się poziom. Amerykańscy psychologowie, którzy zdobyli stopnie naukowe po roku sześćdziesiątym, nie potrafią prawidłowo zbudować zdania.

Skinąłem głową.

– To wstyd. W ogóle zaczynają się dziać dziwne rzeczy.

Uniósł na mnie udręczone spojrzenie, ale słuchał dalej.

– A mianowicie – ciągnąłem – kiedy niewykwalifikowany szarlatan zostaje dziekanem wydziału.

Flamaster zawisł w powietrzu. Frazier piorunował mnie wzrokiem, lecz ja się nie poddałem.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, pozwolił pan sobie na wyjątkowo drastyczne sformułowanie – rzekł.

– Ale to nie zmienia postaci rzeczy.

– O czym pan właściwie mówi, doktorze?

– Jak udało się Kruse'owi ominąć wszystkie prawa?

– To jest doprawdy wysoce niesmaczne. Co to wszystko pana obchodzi?

– Obchodzi, powiedzmy, jako abiturienta tej uczelni.

Wciągnął z sykiem powietrze przez zęby. – Wszystkie pana zarzuty stają się nieaktualne wobec przedwczesnej, tragicznej śmierci profesora. Jeżeli, jak pan głosi, dobro wydziału leży panu na sercu, to proszę nie zajmować mojego czasu, ani czasu kogokolwiek z nas tymi brudnymi osobistymi sprawami. Wszyscy tu jesteśmy bardzo zajęci i ta cała przerażająca historia wprowadza zamęt do naszej pracy.

– Niewątpliwie. Szczególnie, gdy chodzi o tych członków fakultetu, którzy liczyli na całość funduszu Białocka. Śmierć Kruse'a jest zagrożeniem dla was wszystkich.

Odłożył flamaster, z dużym wysiłkiem zapanował nad drżeniem ręki.

– Sądząc po dywanie pod pana stopami – ciągnąłem – rozumiem, dlaczego tak panu zależy na dziesiątym wydaniu.

Powoli, sztywno jak automat, odchylił się na oparcie krzesła, starając się zachować obojętny wyraz twarzy, lecz z mizernym skutkiem.

– Myśli pan, że jest pan taki sprytny, prawda? Zawsze tak było. Zawsze pańskie musiało być na wierzchu, żeby nie wiem co.

– Sądziłem, że pan mnie nie pamięta.

– Pańskie grubiaństwo wbiło mi się w pamięć, młody człowieku. Przypominam sobie teraz przedwcześnie rozwiniętego młodzieńca po trzech latach nauki. Na naradzie, o której pan nie wie, byłem przeciwny zaliczeniu przez pana studiów przed terminem, nawet jeśli spełnił pan wszystkie wymogi. Uważałem, że powinien pan nabrać ogłady. Dojrzałości. Ale, jak widać, czas nie miał na to żadnego wpływu.

Przesunąłem się na sam skraj krzesła, wziąłem do ręki flamaster, położyłem go z powrotem.

– Problem nie tkwi w mojej dojrzałości, profesorze. Tylko w żalonym poziomie pańskiej etyki. Sprzedał pan wydział człowiekowi, który dawał najwięcej. Ile Kruse panu zapłacił za rezygnację z urzędu i dopuszczenie do tego, by to on wszystko przejął? Czy był to ryczałt, czy miesięczne dotacje? Czek czy karta kredytowa? A może przyniósł worek z gotówką?

Zbladł, uniósł się z miejsca, usiadł i pogroził mi drżącym palcem.

– Niech pan się liczy ze słowami! To jest karygodne!

– Karygodny jest – powiedziałem – łatwy pieniądz i bezsensowne prospekty na temat rzucania palenia. Jakimi naukowymi przesłankami pan się kierował?

Otworzył usta, zamknął, poruszył głową, ramionami, skulił się, i wyglądało to tak, jakby ubranie wchłonęło go w siebie.

– Pan nie ma rozeznania w sytuacji, Delaware. Najmniejszego.

– To proszę mnie oświecić. Za jaką cenę pan to zrobił?

Obrócił się, popatrzył na tysiące książek, udawał, że studiuje grzbiet jednego z woluminów.

– Jeśli ma pan blokadę, to może ja przejmę ster. Kruse dał do dyspozycji pańskiej małej komórki wszystkie pieniądze na ogłoszenia, druk, maszynopisanie... Albo swoje własne, albo zwrócił się do pani Blalock. Jaka to była kwota? Dziesięć tysięcy? Piętnaście? Więcej wydawał na swoją letnią garderobę. Ale dla pana był to pokaźny kapitał.

Milczał.

– Niewątpliwie utrzymywał, że chodzi o naukę – ciągnąłem. – Więc i ogłoszenia na ostatniej stronie magazynu, gdzie miał swoją kolumnę.

Milczał, ale zbladł jeszcze bardziej.

– Trzeba dodać do tego nieustający napływ pieniędzy od pani Blalock, przeznaczonych na pańskie badania naukowe. To był świetny interes dla was obu. Koniec z upokarzającymi prośbami o dotacje, z wmawianiem, że to się panu należy. A Kruse dostał stanowisko i stał się z dnia na dzień człowiekiem powszechnie szanowanym. A żeby ludzie nie strzępili sobie języków i żeby zazdrośnikom utrzcęć nosa, stworzył prawdopodobnie jakąś fundację również dla innych członków wydziału. Wszyscy wy, rygorystyczni naukowcy, zaczęliście nieźle lądować, wykonując to, co do was należało. Choć podejrzewam, że niektórzy z szacownych uczonych bardzo by się zdziwili na wieść, ile dodatkowej forsy Kruse'a wraca do pana, i wybuchłby skandal, nieprawdaż, profesorze?

– Nie – odparł słabym głosem. – Ja nie mam się czego wstydzić. Opracowana przeze mnie metoda rzucania palenia bazuje na zdrowych, behawiorystycznych zasadach. A dotacje od osób prywatnych na cele naukowe to przecież chlubna tradycja. Gdy się weźmie pod uwagę stan naszej gospodarki, należy mniemać, że owa tendencja stale będzie rosła, pieśń przyszłości.

– Kruse wrobił pana w tę pieśń przyszłości, sam pan by na to nie wpadł.

– Dlaczego pan się na nas wziął, Delaware? Na nasz wydział? Myśmy pana ukształtowali.

– Nie chodzi mi o wydział. Tylko o pana. I o Kruse'a.

Poruszył ustami, jakby coś żuł, jakby szukał właściwego słowa. Kiedy wreszcie przemówił, był to

niemal szept:

– Żadnego skandalu pan się nie doszuka. Wszystko zostało przeprowadzone prawidłowo, odpowiednimi kanałami.

– Chciałbym poddać próbie pańską hipotezę.

– Doktorze...

– Cały ranek strawiłem na lekturze fascynującego dokumentu. Cicha współpracowniczka. „Kryzys osobowości i dysfunkcje ego w wypadku rozdwojenia jaźni” et caetera... Mówi to coś panu?

Wyglądało, że naprawdę nic mu to nie mówi.

– Praca doktorska Sharon Ransom, doktora filozofii. Przedłożona wydziałowi i sukcesywnie uzupełniana. I zaaprobowana – przez pana, profesorze. Studium pewnej sprawy, żadnej metodologii; jawne pogwałcenie wszelkich zasad, którym pan patronował. Własnym nazwiskiem podpisał się pan pod tymi bzdurami. Jak jej się to udało? Ile Kruse panu za to zapłacił?

– Czasami – powiedział – idzie się na pewne ustępstwa.

– O żadnych ustępstwach nie może to być mowy. Popełniono oszustwo.

– Nie rozumiem...

– Ona napisała o sobie. O swoim własnym problemie. Opisała to jako przypadek będący przedmiotem jej badań i wcisnęła wam „dysertację”. Jak pan myśli, co zrobi z tym fantem Rada Uczelniana? Nie wspominając już o Komitecie do Spraw Etyki Zawodowej, „Time’ie” i „Newsweeku”?

Po jego opanowaniu nie było już śladu, a twarz nabrała niebezpiecznej barwy. Przypomniałem sobie słowa Larry’ego o zawale serca i zląkłem się, że zagrałem zbyt ostro.

– Jezu Chryste – powiedział. – Niech pan nie nadaje biegu tej sprawie. Nie wiedziałem, stan jakiejś aberracji. Zapewniam pana, że nigdy więcej to się nie powtórzy.

– To prawda. Kruse nie żyje.

– Niech zmarli spoczywają w spokoju, doktorze. Proszę!

– Żądam tylko od pana pewnej informacji – powiedziałem miękko. – Powie mi pan prawdę i nie ma sprawy.

– Jaką prawdę? Co pan chce wiedzieć?

– Co łączyło Sharon Ransom z Kruse’em?

– Niewiele wiem na ten temat. Bóg mi świadkiem. Tylko to, że była jego protegowaną.

Wiedziałem, że wkrótce po rozpoczęciu studiów przez Sharon Kruse nakręcił ten film.

– Przyprowadził ją, prawda? Sponsorował tok jej studiów?

– Tak, ale...

– Skąd on ją wziął?

– Stamtąd, skąd sam przyjechał, tak sędzę.

– A skąd przyjechał?

– Z Florydy.

– Palm Beach?

Skinął głową.

– Czy ona też pochodziła z Palm Beach?

– Nie mam pojęcia.

– Można to sprawdzić w aktach.

– Kiedy uzyskała stopień naukowy?

– W osiemdziesiątym pierwszym.

Podniósł słuchawkę, zadzwonił do biura wydziału i wydał kilka poleceń. Chwilę później zmarszczył brwi i powiedział do kogoś: – Jest pani tego pewna? Proszę sprawdzić jeszcze raz. – Cisza. – Dobrze. Dziękuję. – Odłożył słuchawkę. – Nie ma jej akt.

– Najwygodniej.

– Doktorze...

– Niech pan zadzwoni do biura rejestracji.

– Mogą mieć najwyżej odpis.

– Na odpisie są odpowiednie odnośniki.

Skinął głową, nakręcił numer, władczym tonem powiedział urzędnikowi, co ma zrobić, i czekał. Wziął żółty flamaster, zanotował coś na marginesie maszynopisu i odłożył słuchawkę.

– Nie z Florydy. Z Long Island, stan Nowy Jork. College Forsythe Teachers.

Wziąłem z biurka kartkę papieru i zapisałem tę informację.

– Nawiasem mówiąc – powiedział – stopnie miała znakomite przez całe studia. Prymuska bez skazy. Adnotacje o jej wyjątkowej erudycji. I bez jego pomocy świetnie by sobie radziła.

– Co jeszcze pan o niej wie?

– Po co panu te wszystkie informacje?

Bez słowa zmierzyłem go wzrokiem.

– Nie miałem z nią nic wspólnego – rzekł. – Tylko Kruse był nią osobiście zainteresowany.

– Co pan rozumie pod określeniem „osobiście”?

– Jeżeli ma pan na myśli coś... brzydkiego, to nic mi o tym nie wiadomo.

– Dlaczego miałbym zakładać „coś brzydkiego”?

Wahał się, minę miał niewyraźną. – Nie jest tajemnicą, że cechowały go pewne... skłonności.

– Czy te skłonności przejawiał wobec Sharon Ransom?

– Nie... Ja nie zwykłem zwracać uwagi na takie rzeczy.

Wierzyłem mu.

– Czy te jego skłonności pomagały jej w osiągnięciu tak wspaniałych wyników?

– Absolutnie nie. To po prostu...

– Jak mu się udało tak ją ustawić?

– On jej nie ustawił. Był jej sponsorem. Miała doskonałe oceny. Jego opieka przemawiała tylko na jej korzyść – normalna rzecz. Członkowie fakultetu mają prawo do nadzoru naukowego nad studentami.

– Uprzywilejowany fakultet – rzekłem. – Co się kryje za uprzywilejowaną pozycją zespołu profesorów?

Długa chwila milczenia.

– Zna pan przecież odpowiedź.

– Ale proszę mi powiedzieć.

Chrząknął, jakby z trudem już panował nad nerwami. I wydusił z siebie tylko jedno słowo:

– Pieniądze.

– Pieniądze pani Blalock?

– Równie dobrze mogły być jego własne. Pochodził z zamożnej rodziny, obracał się w tych samych kręgach co pani Blalock i jej krewni. Orientuje się pan, jak rzadkie są takie kontakty w świecie akademickim, szczególnie na państwowym uniwersytecie. Uważano powszechnie, że Kruse jest kimś więcej niż jeszcze jednym profesorem w naszym zespole.

– Profesor z praktyką w dziedzinie wojny psychologicznej.

– Słucham?

– Nieważne – odparłem. – Więc on był waszym pomostem do wielkiego świata.

– Tak. Nie ma w tym nic gorszego, prawda?

Przypomniały mi się słowa Larry’ego, że Kruse leczył jedno z dzieci pani Blalock.

– Czy jego kontakt z panią Blalock miała charakter czysto towarzyski? – zapytałem.

– O ile wiem, tak. Proszę, niech pan nie robi z tego sensacji, czegoś naganego, i nie wciąga jej osoby w to wszystko. Wydział miał poważne kłopoty finansowe; Kruse zaoferował nam znaczną kwotę i obiecał, że użyje swoich wpływów, by pani Blalock wyasygnowała na ten zbożny cel okazałą dotację. Dotrzymał obietnicy. A my w zamian zaproponowaliśmy mu honorowe, niepłatne stanowisko.

– Niepłatne w sensie uposażenia. Daliście mu do dyspozycji laboratorium. Na jego prace badawcze dotyczące pornografii. Prawdziwie akademicki rygoryzm.

Aż nim zatrzęsło.

– To nie takie proste. Wydział to nie prostytutka. Minęły miesiące, zanim zatwierdzono go na tym stanowisku. Rada Seniorów długo nad tym debatowała, były głosy sprzeciwu, między innymi mój. Miał poważne braki w akademickich uprawnieniach. Kolumna, jaką prowadził w tym obrzydliwym magazynie, urągała wręcz przyzwoitości. Jednakże...

– Jednakże oportunizm w końcu zwyciężył.

Tarosił brodę coraz gwałtowniej, niemal posypały się z niej iskry. – Kiedy dowiedziałem się o tych jego... badaniach, uświadomiłem sobie, jak poważny popełniliśmy błąd. Ale nie sposób było go odwołać, nie wywołując skandalu.

– Więc mianowaliście go dziekanem.

Wciąż szarpał brodę. Kilka siwych włosów spadło na biurko.

– Wracając do dysertacji Sharon Ransom – zacząłem. – Jak to się stało, że zyskała aprobatę rady wydziału?

– Kruse zgłosił się do mnie z prośbą, by jedna z jego studentek mogła prowadzić pracę badawczą. Kiedy oznajmił mi, że ona nosi się z zamiarem przedstawienia pewnego problemu naukowego, stanowczo odmówiłem. Był natarczywy, mówił o jej wspaniałych wynikach, że jest niezwykle zdolną klinicystką – co miało duże znaczenie – i że przypadek, jaki zamierza opisać, jest niezwykle i może się odbić głośnym echem w świecie nauki.

– W jakim sensie?

– Czołowe pisma zechcą to opublikować. Mimo to nie dałem się przekonać. Lecz on nie dawał mi spokoju. Codziennie przychodził do mojego gabinetu, wiercił mi dziurę w brzuchu, utrudniał mi pracę. W końcu uległem.

„W końcu”. Kropla draży kamień.

– Po przeczytaniu dysertacji nie żałował pan swojej decyzji? – zapytałem.

– Stwierdziłem, że jest marna, ale nie różniła się od innych prac. Psychologia powinna zostać w laboratorium, być wierna własnym korzeniom naukowym, nie wolno nią igrać i wykorzystywać do chybionych terapii. Niech psychiatrzy się w tym babrzą.

– Nie przyszło panu na myśl, że to autobiografia?

– Skądże! Na jakiej podstawie? Widziałem ją tylko raz, podczas ustnego egzaminu.

– Musiał być trudny. Kruse i pan jako osoba aprobująca jego poczynania. I jeszcze ktoś z zewnątrz. Sandra Romansky. Pamięta ją pan?

– Zupełnie nie pamiętam. Czy pan wie, w ilu komisjach zasiadałem? Gdybym miał choć cień podejrzenia co do tej pracy, stanowczo bym zaprotestował, może być pan pewny.

Uspokoił mnie.

– Byłem w to zamieszany bardzo powierzchownie – powiedział.

– Czy dokładnie pan przeczytał ową dysertację? – zapytałem.

– Wręcz przeciwnie, po łebkach – zapewnił skwapliwie, jakby to miało być okolicznością łagodzącą. – Proszę mi wierzyć, doktorze, zaledwie rzuciłem okiem na to epokowe dzieło.

Zszedłem na dół do biura wydziału, powiedziałem sekretarce, że pracowałem właśnie z profesorem Frazierem. Spytałem jeszcze raz o teczkę Sharon i przekonałem się, że rzeczywiście tej teczki nie było. Zadzwoiłem do informacji w Long Island, prosząc o numer Forsythe College. Administracja potwierdziła, że Sharon Ransom uczęszczała do tej szkoły w latach 1972-75. Nigdy nie słyszeli o Paulu Peterze Kruse.

Zadzwońm jeszcze do mojej telefonistki. Nic od Olivii i Elma Castelmaine. Telefonowała natomiast pani Small i detektyw Sturgis.

– Ten detektyw powiedział, że sam do pana zadzwoni – rzekła telefonistka. Zachichotała. – Detektyw. Wdał się pan w jakąś fascynującą historię, doktorze?

– Nic specjalnego – odparłem. – Jak zwykle.

– Pańskie „jak zwykle” to dla mnie wielka sensacja. Życzę miłego dnia.

Pierwsza czterdzieści trzy. Zaczekałem siedem minut i zadzwoniłem do Ady Small, licząc, że dopadnę ją w przerwie między jednym pacjentem a drugim. Podniosła słuchawkę.

– Dzięki, Alex, że tak szybko zadzwoniłeś. Ta dziewczyna, którą do mnie skierowałeś, Carmen Seeber. Była na dwóch sesjach, na trzecią już nie przyszła. Telefonowałam do niej kilka razy, w końcu do niej poszłam i próbowałam z nią porozmawiać. Przyjęła postawę obronną, twierdząc, że czuje się już dobrze i dalsza terapia nie jest jej potrzebna.

– No to w porządku. Spiknęła się z jakimś narkomanem i oddaje mu prawdopodobnie każdy grosz.

– Skąd wiesz?

– Od policjantów.

– Aha. – Sekunda ciszy. – Dziękuję ci za pacjentkę. Przepraszam, że nic z tego nie wyszło.

– To ja powinienem cię przeprosić. Wyświadczyłaś mi przysługę.

– Drobiazg.

– Chciałem ją zapytać, czy Carmen nie powiedziała czegoś więcej o śmierci Rasmussena, byłoby to jednak naruszenie tajemnicy lekarskiej, czego wolałem uniknąć.

– W przyszłym tygodniu postaram się jeszcze do niej zadzwonić – powiedziała. – Nie wiąże z tym jednak nadmiernych nadziei. Oboje wiemy, co znaczy siła ludzkiego oporu.

Pomyślałem o Denise Burkhalter.

– Robimy, co możemy – stwierdziłem.

– Oczywiście. A co u ciebie, Alex?

– Świetnie – odpowiedziałem za szybko. – Dlaczego pytasz?

– Wybacz, że się wtrącam. Ale wydaje mi się, że jesteś jakiś spięty, na pełnych obrotach. Identyczne wrażenie odniosłam podczas naszej pierwszej rozmowy.

Tego samego określenia używałem, opisując stan własnego umysłu, gonitwę myśli, jaką przeżywam w sytuacji stresu. Robin nazywała to pokonywaniem hiperprzestrzeni. Z czułością wydobywała mnie z tego...

– Jestem tylko trochę zmęczony, Ado. Poza tym wszystko gra. Dzięki za zainteresowanie.

– Cieszę się. – Znowu przerwała. – Jak chciałbyś się kiedyś wygadać, pamiętaj – jestem do twojej dyspozycji.

– Będę pamiętał. Dziękuję, trzymaj się.

– I ty się trzymaj, Alex.

Zanim skierowałem swe kroki do biblioteki naukowej, napiłem się kawy z automatu.

I ponownie zagłębiłem się w lekturze zszywek czasopism. O Williamie Houcku Vidalu nie znalazłem nic, tylko kilka wzmianek o firmie sprzed procesu w sprawie „Przypadków miliardera”. Cofnąłem się i znalazłem w „Time’ie” artykuł na temat przesłuchań w wojskowej komisji senackiej, zatytułowany „Pogłoski o skandalu”. Nie zauważyłem go, gdy wertowałem zszywki szukając materiału o Beldingu.

Vidal stanął wtedy przed komisją po raz pierwszy i dziennikarz „Time’a” próbował przybliżyć czytelnikom jego sylwetkę. Na fotografii twarz prawie bez zmarszczek, gęsta jasna czupryna. Zniewalający uśmiech i rząd białych zębów, o jakich wspomniał Crotty. Mądre, budzące zaufanie spojrzenie. Został scharakteryzowany jako „człowiek z wyższych sfer, który dzięki własnej inteligencji, rozlicznym powiązaniom i urokowi osobistemu zyskał znaczącą pozycję w przemyśle filmowym”. Powołując się na źródło hollywoodzkie sugerowano, że to właśnie on namawiał Lelanda Beldinga do czynnego zaangażowania się w kinematografię.

Na uniwersytecie w Stanford Vidal był wtedy studentem drugiego roku, piastował funkcję prezesa klubu męskiego, do którego Belding również należał. Lecz w tym czasie ich kontakty były raczej przypadkowe; przyszły miliarder nie przepadał za jakimkolwiek zinstytucjonalizowanym życiem i nigdy nie pełnił w klubie żadnej funkcji.

Ich kontakty zacieśniły się w roku 1941: Vidal był pośrednikiem między przedsiębiorstwami Beldinga i Blalocka, które na dogodnych warunkach dostarczały Magnie stal przeznaczoną na produkcję broni. Vidal przedstawił Lelanda Beldinga Henry’emu Abbotowi Blalockowi; rzecz całkiem oczywista, ponieważ Blalock był jego szwagrem, ożenił się z siostrą Vidala, panną Hope Estes Vidal.

Rodzeństwo Vidalów określono jako ostatnich potomków starej szacownej rodziny, wywodzącej swe korzenie z „Mayflower”, która to rodzina z biegiem lat ubożała i traciła na znaczeniu. Henry Blalock, urodzony w Londynie, syn kominiarza, znalazł się w rejestrze Błękitnej Księgi, skupiającej ludzi z wyższych sfer, dzięki zawartemu w 1942 roku małżeństwu z Hope; nazwisko Vidal wciąż jeszcze wiele znaczyło. „Time” zastanawiał się, czy problemy Billy’ego z komisją senacką nie zachwieją jego dotychczasowej pozycji.

Billy i Hope, brat i siostra. To by wyjaśniało jego obecność na owym przyjęciu, nie wyjaśniało jednak jego powiązań z Sharon. I o czym rozmawiali...

Szukałem dalej jakichś wzmianek o rodzinie Blalock; na temat Hope nic nie znalazłem, tylko w kontekście interesów Henry'ego. Źródłem jego fortuny była stal, koleje i majątki ziemskie. Podobnie jak Leland Belding nie podawał do publicznej wiadomości stanu swego posiadania. Ale w odróżnieniu od Beldinga jego nazwisko nie pojawiała się na łamach prasy.

Blalock zmarł w roku 1953 na zawał serca, podczas safari w Kenii, zostawiając wdowę, panią Hope Estes Blalock z domu Vidal. Zamiast kwiatów wpłaty na rzecz fundacji serca...

Ani słowa o potomstwie. Czyje więc dziecko leczył Kruse? Czy wdowa wyszła ponownie za mąż? Nie ustawałem w poszukiwaniach i w końcu znalazłem jeden artykuł, który ukazał się pół roku po śmierci Harry'ego Blalocka. Była w nim mowa o sprzedaży jego przedsiębiorstwa korporacji Magna – nie wymieniono sumy – jak głosiły plotki, poniżej wartości. Holdingi Blalocka wyraźnie spadały w cenie, co przypisywano złemu zarządzaniu i braku elastyczności w przystosowywaniu się do nowych realiów, szczególnie do rosnącego znaczenia międzykontynentalnego transportu powietrznego.

Sytuacja była oczywista: samoloty Beldinga wyparły koleje Blalocka. Wówczas Magna położyła na tym łapę i zgarnęła zyski.

Sądząc po rezydencjach Hope Blalock, owe zyski były całkiem pokaźne. Zastanawiałem się, czy jej brat Billy wciąż pośredniczył; raczej tak, skoro interesy wdowy były tak skutecznie chronione.

Kolejna godzina szperania nie przyniosła nic nowego. Rozmyślałem, gdzie by tu jeszcze zajrzeć; zszedłem na parter i zapytałem w informacji o kromki towarzyskie. Bibliotekarka zajrzała do swoich spisów i powiedziała mi, że Błękitna Księga Los Angeles przechowywana jest w dziale Zbiorów Specjalnych, który to dział jest dziś nieczynny.

Pomyślałem o najniższym szczeblu drabiny społecznej, o innym rodzeństwie. Na miejscu, w dziale informacji, zacząłem przerzucać gazety, szukając jakiejś wzmianki o libacji narkotykowej, w której uczestniczyła Linda Lanier.

Nic nie mogłem znaleźć. Był tu tylko „Times”, i to od roku 1972. Zszywki „New York Times” obejmowały rok 1951 i nie było w nich wzmianki o Lindzie Lanier.

Poszedłem na pierwsze piętro – rzędy szuflad i komputery. Po okazaniu legitymacji z uczelni wypełniłem rewery i otrzymałem dyskietki.

Według Ellstona Crotty'ego sprawa narkotykowej libacji wybuchła w roku 1953. Zakładając, że Linda Lanier była matką Sharon, musiała żyć 15 maja, w dniu narodzin córki. A więc rzecz rozegrała się później. Zacząłem od „Timesa”, brnąłem przez wiosnę 53, mając w rezerwie „Heralda”, „Mirror” i „Daily News”.

Minęła godzina, zanim odszukałem tę historię. Dziewiątego sierpnia „Times”, nieprowadzący kroniki kryminalnej, zamieścił wzmiankę o tym wydarzeniu na którejś tam stronie, ale inne gazety –

na pierwszej, opis soczystą prozą, fotografie „handlarzy” i policjantów, którzy ich zabili.

Wszystko się zgadzało z opowieścią Crotty’ego, z tym że nasz detektyw był bardziej cyniczny. Linda Lanier vel Eulalie Johnson oraz jej brat Cable Johnson, para największych „handlarzy heroiną”, otworzyli ogień do detektywów z oddziału narkotyków i w trakcie wymiany ognia zostali zastrzeleni. Podczas „błyskawicznej” operacji detektywi Royal Hummel i Victor DeGranzfeld zlikwidowali najgroźniejsze ogniwo handlu narkotykami w całej historii Los Angeles.

Na fotografiach detektywi klęczą, uśmiechają się szeroko, obok nich worki z białym proszkiem. Hummel – szeroki w barach i muskularny, w letnim ubraniu i słomkowym kapeluszu z szerokim rondem. Ostre rysy twarzy i wąskie usta coś mi przypominały – dostrzegłem podobieństwo do Cyrila Trappa. DeGranzfeld miał figurę gruszki, wąsy, szparki zamiast oczu, a ubrany był w pasiasty dwurzędowy garnitur, na głowie – ciemny kapelusz, model australijski. Minę miał nieswoja, jak gdyby uśmiechał się na siłę, bo tak mu kazano.

Rzut oka na zdjęcie Lindy Lanier vel Eulalie Johnson wystarczyłbym rozpoznać w niej ową seksbombę uwodzącą doktora Donalda Neuratha. Fotografia była pierwszorzędna, dobra, profesjonalna robota – trzy czwarte twarzy, ulubione ujęcie niedoszłych aktorek pozujących do reklamy.

Twarz Sharon w jasnoblond peruce.

Migawkowe zdjęcie Cable’a Johnsona w więzieniu okręgowym – nędzny człowieczyzna, byle jak ogolony, o zapadniętych oczach, z tłustymi włosami ostrzyżonymi w „kaczy kuper”. Wzrok miał bez wyrazu, ale wyczuwało się, że w walce o przetrwanie jego spojrzenie nabrałoby blasku. Raczej spryt niż inteligencja, typ człowieka, który w krótkim czasie potrafi się urządzać, potem wpada i tak w kółko, z powodu nadmiernego zaufania i braku cierpliwości w oczekiwaniu na efekty swoich działań.

W rejestrze kryminalnym określany był jako osobnik „ekstensywny”. Był wielokrotnie zatrzymywany za oszustwa, wyłudzenia, pijaństwo, awanturnictwo i złodziejstwo. Smutna, choć dość banalna litania, nic, co dawałoby asumpt prasie do obwołania jego i Lindy „największymi handlarzami narkotyków, działającymi bez skrupułów, wyrafinowanymi przestępcami, którzy zalewali miasto strumieniem trucizny”.

Dziennikarze, powołujący się na anonimowe źródła policyjne, oskarżali Johnsonów o powiązania z „bandą meksykańską”. Rodzeństwo pochodziło z południowo-teksańskiego przygranicznego miasta Port Wallace, „dobrze znanego organom ścigania jako punkt przerzutu heroiny”, i rzecz oczywista – przenieśli się do Los Angeles po to, by rozprowadzać białą śmierć w szkołach Brentwood, Pasadeny i Beverly Hills.

Postarali się o pracę w jakimś nikomu nieznanym studio filmowym, co stanowić miało ich zasłonę dymną, Cable – w charakterze operatora, Linda – aktorki od trzeciorzędnych epizodów. Co pozwoliło im „rozprowadzać narkotyki wśród filmowców, środowiska znanego od dawna ze skłonności do narkomanii i dysydenckich obyczajów”. Oboje „brali udział w spotkaniach lewicujących ugrupowań, na które uczęszczali znani komuniści oraz ich sympatycy”.

Narkotyki i bolszewizm – demony lat pięćdziesiątych. I to było wystarczającym powodem zastrzelenia pięknej młodej dziewczyny, szybko i sprawnie.

Przejrzałem jeszcze kilka dyskietek. Nic, co by wskazywało na powiązania Lindy z Lelandem Beldingiem, ani słowa o „przyjęciach kanapowych”.

I ani słowa o dzieciach. Ani o jednym, ani o dwójce.

Rozdział 27

Stare historie, stare koneksje, ale pętla pozostała pętlą, żaden węzeł nie został rozwiązany, i nie byłem ani o krok bliżej zrozumienia Sharon – jak żyła i dlaczego musiała umrzeć.

O wpół do jedenastej zadzwonił Milo i wprowadził w tok moich rozważań jeszcze większy mętlik.

– Ten skurwiel Trapp nie traci czasu, robi co może, żeby mnie wykończyć – powiedział. – Grzebanie się w rejestrach zmarłych – cholerna harówka. Urywam się na wagary, odstawiam słuchawki. Ta twoja Sharon miała alergię na mówienie prawdy. Żadnego śladu – w rejestrze urodzeń w Nowym Jorku, wśród Ransomów manhattańskich – nic w rejonie Park Avenue czy innych ekskluzywnych adresach, sięgając aż do lat czterdziestych. To samo Long Island: Southampton skupia zwarte środowisko, a wszyscy lokalni żandarmi zgodnie twierdzą, że nie słyszeli o żadnym Ransomie, a zwłaszcza o Ransomie, właścicielu wielkiej tamtejszej nieruchomości.

– Uczęszczała tam do college’u.

– Forsythe. Nie tam, w pobliżu. Skąd wiesz?

– Z dokumentów uczelnianych. A ty skąd wiesz?

– Ubezpieczalnia. Zgłosiła się do nich w siedemdziesiątym pierwszym i podała adres college’u. I tu jej nazwisko pojawiło się po raz pierwszy. Jak gdyby do tej pory w ogóle nie istniała.

– Jeśli masz jakiś kontakt z Palm Beach na Florydzie, tam poszukaj. Do siedemdziesiątego piątego Kruse miał tam praktykę. Przenosząc się do Los Angeles zabrał Sharon ze sobą.

– Hm. Tu ja jestem górą. Gdy chodzi o niego, znalazłem sporo dokumentów. Urodzony w Nowym Jorku, właśnie przy Park Avenue. Duże mieszkanie, które sprzedał w sześćdziesiątym ósmym. Zadzwoniłem do zarządu nieruchomościami w Palm Beach, dokąd, jak mi powiedziano, się przeprowadził. W tych ekskluzywnych miastach nie są skłonni do udzielania informacji – chronią swoich. Powiedziałem im, że dokonano włamania do domu Sharon Ransom – odzyskaliśmy jej mienie i chcemy owe zrabowane dobra jej przekazać. Szukali jej. Ale nic. Dotąd bez skutku. Więc Kruse musiał zaszyć się z nią gdzieś indziej. A skoro o nim mowa, to nie był takim rozchwytywanym terapeutą, jak mówiłeś. Sięgnąłem do swoich informatorów w urzędzie skarbowym. Z praktyki wyciągał zaledwie trzydzieści tysięcy rocznie; zakładając sto dolców za godzinę, to pracował raptem pięć, sześć godzin tygodniowo. Nie zaliczał się do pracowitych psychologów. No i dochody z pisania. Reszta, jakieś pół melona, to lokaty, akcje na giełdzie, obligacje, nieruchomość oraz niewielki biznes o nazwie Stowarzyszenie Twórców Wyobrażeń.

– Filmy porno.

Zarejestrował to jako instytucję „kształtującą zdrowe podstawy edukacji”. On i jego żona byli jedynymi udziałowcami. Przez pięć lat deklarowali poniesione straty, po czym zwinęli interes.

– Jakie to były lata?

– Zaraz sprawdzę, mam. Od siedemdziesiątego czwartego do siedemdziesiątego dziewiątego.

Ostatni rok college'u Sharon i pierwsze cztery lata na uczelni.

– A wynika z tego tyle, że facet był bogaty z domu. I używał życia.

– I mącił w życiu innych – powiedziałem. – W armii go nauczyli, jak prowadzić wojnę psychologiczną.

– Co to warte? Jak byłem sanitariuszem, to napatrzyłem się na tę wojnę psychologiczną. Na ogół głównie z tego wynikało. Vietcong śmiał się w żywe oczy – agencje reklamowe robią to znacznie lepiej. Tak czy owak z tego wszystkiego wyłania się obraz tej twojej Sharon Ransom jako zjawiskowej damy z bogatym sponsorem. Operując konkretami, spadła nam z nieba w roku siedemdziesiątym pierwszym.

– Martini w oszklonym salonie.

– O czym ty mówisz?

– Nieważne – odparłem. – Jest jeszcze jedna możliwość. Przejrzałem doniesienia prasowe o Lindzie Lanier vel Eulalie Johnson. Linda i jej brat pochodzili z Teksasu, miasteczko Port Wallace. Może tam są jakieś dokumenty.

– Możliwe – rzekł. – Czy znalazłeś coś, o czym Crotty nie mówił?

– Poza sprawą narkotyków podniesiono problem czerwonej zarazy, że jakoby Johnsonowie knuli z komunistami. Zważywszy panujące wówczas nastroje, strzelanina w lokalu mogła zyskać przez to poparcie społeczeństwa. Hummel i DeGranzfeld wyszli z tego na narodowych bohaterów.

– Wujek Hummel – rzekł Milo. – Dzwoniłem do Vegas. Jeszcze żyje i wciąż pracuje dla Magny, szef ochrony w Casbach i dwóch kasyn gry – własności korporacji. Ma rezydencję w ekskluzywnej części miasta. Grzech popłaca, nie uważasz?

– Jeszcze jeden kamyczek do naszego ogródka – powiedział. – Billy Vidal i Hope Blalock to rodzeństwo. Vidal nagrywał różne sprawy między swoim szwagrem a Beldingiem. Po śmierci Blalocka Vidal został prezesem Magny. Pani Blalock finansowała Kruse'a – podobno dlatego, że wyleczył jedno z jej dzieci. Tyle że ona nie miała dzieci.

– Jezu Chryste – westchnął Milo. – Zawsze miałem to uczucie, Alex, że prowadzimy czyjąś grę na czyichś zasadach. I na czyimś cholernym boisku.

Zanim odłożył słuchawkę, powiedział, że wykorzysta trop teksański i żebym dbał o własną skórę.

Miałem ochotę zadzwonić do Olivii, ale dochodziła jedenasta, a o tej porze ona i Albert już śpią. Nazajutrz rano o dziewiątej zatelefonowałem do niej do biura i dowiedziałem się, że pani

Brickerman pojechała służbowo do Sacramento i wkrótce wróci.

Usiłowałem zadzwonić do Elmo Castelmaine'a w King Solomon Gardens. Znowu miał dyżur przy pacjencie. Wsiadłem do swojej sevilla i pojechałem do Fairfax, ulicą Edinburgh.

Szereg starych domów, jednopiętrowych pudełek, wzdłuż wąskiej, bezbarwnej ulicy.

King Solomon Gardens nie było otoczone żadnymi ogrodami, tylko jedna niewydarzona palma, sięgająca zaledwie dachu, wyrastała po lewej stronie oszklonych, podwójnych drzwi. Dom był obłożony białą teksturą z szaroniebieskimi ozdobnymi elementami. Zamiast stopni – pochylnia pokryta niebieską wykładziną. A zamiast trawników – pomalowany na szpitalno-zielony kolor cement, na którym ustawiono fotele ogrodowe. Siedzieli na nich starzy ludzie, osłonięci przed słońcem, chłodzeni wodą z węża, wachlujący się – grali w karty albo tępym wzrokiem patrzyli przed siebie.

Znalazłem miejsce do parkowania i już miałem skierować się ku budynkowi, gdy zobaczyłem po drugiej stronie ulicy przysadzistą sylwetkę Murzyna pchającego wózek inwalidzki. Przyspieszyłem kroku i lepiej mu się przyjrzałem. Biały fartuch, dżinsy. Śladu po kędzierzawej brodzie, bez kolczyka w uchu. Czubek głowy prawie całkiem łysy; krępy, ale szczuplejszy. Policzki obwisłe, podwójny podbródek, tak, ta sama twarz, jaką zapamiętałem z Resthaven.

Przeszedłem na drugą stronę i dogoniłem go.

– Pan Castelmaine?

Staął, obejrzał się. W wózku siedziała stara kobieta. Nie zwracała na nic uwagi. Mimo upału miała na sobie zapięty pod samą szyję sweter, a jej nogi przykrywał indiański koc. Włosy rzadkie, wiotkie, ufarbowane na czarno. Podmuchy bryzy odsłaniały białe plamy skóry na czaszce. Wydawało się, że śpi z otwartymi oczami.

– Tak, to ja. – Ten sam głos o wysokiej tonacji. – Z kim mam przyjemność?

– Jestem Alex Delaware. Wczoraj dzwoniłem do pana i zostawiłem wiadomość.

– Niewiele mi to mówi. Nie jestem mądrzejszy niż zanim mi się pan przedstawił.

– Poznaliśmy się kilka lat temu. Dokładnie przed sześcioma laty. W Resthaven. Przyjechałem tam wtedy z panią Sharon Ransom. Do jej siostry Shirlee.

Kobieta na wózku zaczęła prychać i pojękiwać. Castelmaine nachylił się, pogłaskał ją po głowie, wyciągnął z kieszeni dżinsów bibułekę i przytknął jej do nosa.

– Już dobrze, pani Lipschitz, okay, on przyjedzie po panią.

Naburmuszyła się.

– Spokojnie, kochanie, pani skarb przyjedzie, niech się pani nie martwi.

Kobieta uniosła głowę. Ostre rysy, bezzębna i pomarszczona, wymięta jak wyrzucona na śmietnik torba na zakupy. Jasnobrązowe oczy i mocno utuszowane rzęsy. Jaskrawoczerwona plama szminki na pobrudzonych ustach. Za tymi zmarszczkami i fałdami, za maską makijażu można się było domyślać dawnej urody.

Oczy jej napęłniły się łzami.

– Spokojnie, złotko – powiedział Castelmaine.

Podciągnęła koc aż do ust i zaczęła żuć grube sukno.

Castelmaine obrócił się ku mnie i powiedział ściszym, ciepłym głosem:

– Dochodzą do pewnego wieku i zawsze marzną, bez względu na pogodę. Nigdy nie odczuwają żadnego zadowolenia.

Usta pani Lipschitz szukały przez chwilę, wreszcie ułożyły się w odpowiedni kształt i kobieta krzyknęła:

– Przyjęcie!

Elmo ukląkł przy niej, odsunął koc z jej podbródka i szczelnie ją nim owinął: – Pójdzie pani na to przyjęcie, złotko, ale proszę uważać, bo rozmaże sobie pani łzami cały makijaż. Okay? – Dwoma palcami uniósł brodę starej kobiety i uśmiechnął się. – Okay?

Spojrzała na niego, skinęła głową.

– Dooobrze. Pięknie dzisiaj wyglądamy, złotko. Buzia usłiczniona i gotowiśmy na przyjęcie.

Stara kobieta wyciągnęła skurczoną dłoń owiniętą grubym, czarnym kawałkiem materiału.

– Przyjęcie – powtórzyła.

– Oczywiście, będzie przyjęcie, a pani jest tak piękna, Claro Celio, że zostanie pani królową balu. Wszystkie przystojne chłopaki ustawią się w kolejce, żeby z panią zatańczyć.

Strumień łez.

– Dosyć już, Cece, nie wolno płakać. Przyjedzie i zabierze panią na przyjęcie. Musi pani ładnie wyglądać.

Walka, żeby wymówić to słowo:

– Spóźnia się.

– Trochę się spóźnia, Claro Celio. Prawdopodobnie utknął w korku, mówiłem pani, jakie bywają teraz korki. A może poszedł do kwiaciarni po piękny bukiet dla pani? Przepiękny bukiet z orchidei,

taki jak pani lubi.

– Spóźnia się.

– Jeszcze trochę poczekajmy – uspokajał kobietę i pchnął wózek do przodu.

Szedłem obok.

Elmo śpiewał, przyjemnym, kojącym tenorem, brał tak wysokie tony, że aż przypominało to falset.

– A teraz Cece jedzie, jedzie. Zaraz zobaczymy, co dziecko zrobiło.

Melodia i jednostajny szum kół toczących się po chodniku działały usypiająco. Kobieta rozluźniła się, rozparła wygodniej.

– ...Cece, zaraz zobaczymy, co pani zrobiła...

Zatrzymaliśmy się dokładnie naprzeciwko King Solomon. Castelmaine spojrzął w obie strony i przepchnął wózek przez krawężnik.

– ...Wszyscy piękni chłopcy kochają cię... i właśnie przyszedł twój mąż.

Pani Lipschitz spała. Elmo pchał wózek przez zielony cement. Wymieniając ukłony z innymi starymi ludźmi, dojechał do pochylni i powiedział:

– Niech pan tu na mnie zaczeka. Przyjdę jak tylko będę mógł.

Stałem rozglądając się wkoło. Zagadnął mnie stary gruby mężczyzna z opaską na oku; oświadczył, że walczył z Teddym Rooseveltem w San Juan Hill; czekał chwilę z wojowniczą miną, jakby spodziewając się, iż podam jego słowa w wątpliwość. A skoro tego nie uczyniłem, zaczął mi opowiadać o polityce Stanów Zjednoczonych wobec Ameryki Łacińskiej, i gdy po dziesięciu minutach pojawił się Elmo, on wciąż mówił.

Uścisnąłem mu dłoń i powiedziałem, że to było bardzo pouczające.

– Bystry chłopak – rzekł stary do Castelmaine'a.

Sanitariusz uśmiechnął się.

– Pewno dlatego, że się z panem nie spierał.

– A o co się tu spierać? Fakt jest faktem, że trzeba krótko trzymać tych pinkos, bo inaczej wejdą człowiekowi na głowę.

– Fakt jest faktem, że musimy iść, panie Cantor.

– A kto was zatrzymuje? Idźcie! Chodu stąd!

Znowu przechodzimy przez zielony cement.

– Może napijemy się kawy? – zapytałem.

– Nie piję kawy. Przejdźmy się.

Skręciliśmy w lewo, w ulicę Edinburgh, szliśmy spacerkiem, mijając wielu starych ludzi. Z otwartych okien wydobywał się zapach potu, gotowanej stawy i stęchlizny.

– Nie pamiętam pana – powiedział. – To znaczy konkretnej osoby. Pamiętam, że doktor Ransom odwiedziła siostrę z mężczyzną, bo to zdarzyło się tylko raz. – Przyjrzał mi się uważnie. – Nie, naprawdę nie pamiętam.

– Zmieniłem się – rzekłem. – Miałem wtedy brodę, dłuższe włosy.

– Możliwe. A jaką ma pan do mnie sprawę? – Wzruszył ramionami. Wyglądało na to, że nic nie wiedział o Sharon.

– Doktor Ransom nie żyje – powiedziałem.

Stanął. Ukrył twarz w dłoniach.

– Nie żyje? Kiedy umarła?

– Tydzień temu.

– Jak to się stało?

– Samobójstwo. Pisały o tym gazety.

– Nigdy nie czytam gazet. Dosyć zła widzę w życiu, to mi wystarcza. O Boże, taka sympatyczna, wspaniała kobieta. Wprost nie do wiary.

Milczałem.

A on nie przestawał kręcić głową z niedowierzaniem.

– Co ją takiego spotkało, co ją pchnęło do tego kroku?

– Właśnie tego chciałbym się dowiedzieć.

Oczy miał wilgotne i zaczerwienione.

– Pan jest jej przyjacielem?

– Byłem, przed kilkoma laty. Od dłuższego czasu nie widzieliśmy się i spotkaliśmy się przypadkiem na przyjęciu. Powiedziała, że ma jakieś zmartwienie. Nie dowiedziałem się, jakie. Dwa dni potem już nie żyła.

– Boże, to straszne!

– Straszne.

– W jaki sposób odebrała sobie życie?

– Pigułki. I strzał w głowę.

– O Boże! Gdzie tu sens, taka piękna i bogata, i robi coś takiego. Całymi dniami wożę tych starych, ledwie dyszą, są kompletnie zniedołężniali, ale kurczowo trzymają się życia, i żyją wspomnieniami. A taka pani doktor Ransom za nic to życie miała.

Szliśmy dalej.

– Gdzie tu sens? – powtórzył.

– Liczyłem na to – powiedziałem – że pomoże mi pan odnaleźć ów sens, coś z tego zrozumieć.

– Ja? Niby w jaki sposób?

– Jeśli powie mi pan wszystko, co o niej wie.

– Co wiem? Niewiele wiem. Była elegancka, zawsze wyglądała na szczęśliwą, zawsze miła i uprzejma. Uwielbiała tę swoją siostrę, a nieczęsto to się zdarza. Niektórzy na początku zgrywają się na szlachetnych, czują się winni, że zostawiają tu swoją ukochaną osobę, zaklinają się, że będą ją często odwiedzać, troszczyć się o wszystko, dbać. Ale bardzo szybko, gdy nie ma żadnej poprawy, pojawiają się coraz rzadziej i rzadziej. Wielu znika na zawsze. Ale nie doktor Ransom, nie ona. Tak się poświęcała dla biednej Shirlee. Co tydzień, jak w zegarku, każdej środy po południu, między drugą a piątą. A bywało, że i trzy razy w tygodniu. I nie, żeby przyjechać i siedzieć – karmiła ją, poprawiała pościel i tuliła – i wszystko za nic, bo ta biedna dziewczyna nic nie mogła jej z siebie dać.

– Czy ktoś oprócz niej odwiedzał Shirlee?

– Nikt. Tylko wtedy, kiedy pan z nią przyjechał. Tylko pani doktor Ransom, jak w zegarku. Była najlepszą rodziną dla takiego człowieka jak ci tutaj, lepszej nie widziałem, dawała z siebie wszystko, a nic nie dostawała. Obserwowałem ją cały czas, dopóki nie odszedłem.

– Kiedy pan odszedł?

– Osiem miesięcy temu.

– Dlaczego?

– Chcieli, żebym odszedł. Pani Ransom powiedziała mi, że zamierzają zamknąć ośrodek. Mówiła, że jest mi wdzięczna za to, co robiłem dla Shirlee, że żałuje, że nie może mnie zabrać razem z nią, no i że Shirlee w dalszym ciągu będzie miała dobrą opiekę. Jeszcze dodała, że byłem Shirlee bardzo

oddany. Potem wręczyła mi półtora tysiąca w gotówce jako dowód uznania. To daje panu wyobrażenie, jaka była. I żeby tak skończyć...

– Zatem wiedziała, że zamkną Resthaven?

– I się nie myliła. Parę tygodni później wszyscyśmy dostali pisma, że fora ze dwora. Od drogiego chlebodawcy. Moja dziewczyna była salową, uprzedzałem ją, ale nie chciała mi wierzyć. Jak to się stało, to nie dali jej nawet wypowiedzenia ani odprawy, tylko cześć, cześć, Charlie. Zbankrutowaliśmy. Nie mamy roboty, tak jak i ty.

– Czy nie domyśla się pan, dokąd doktor Ransom zabrała Shirlee?

– Nie, ale niech mi pan wierzy, na pewno dobrze ją gdzieś urządziła – kochała tę dziewczynę, traktowała ją jak królową. – Zamilkł, sposepniał. – A teraz... kto będzie dbał o to biedactwo?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, gdzie ona jest. Nikt tego nie wie.

– O Boże. Wygląda to beznadziejnie.

– Na pewno jest jej dobrze – powiedziałem. – Rodzina ma pieniądze. Czy ona coś mówiła o swojej rodzinie?

– Mnie nie.

– Ale pan wie, że była bogata?

– Musiała być, skoro płaciła rachunki w Resthaven. Poza tym już to jak wyglądała świadczyło o bogactwie – ubrana, zadbana. Pani doktor.

– Doktor Ransom płaciła rachunki?

– U góry na karcie choroby było napisane: „Całą finansową korespondencję należy kierować bezpośrednio do pani doktor Ransom”.

– Co jeszcze było na tej karcie?

– Przebieg leczenia – temperatura, ciśnienie. Pani Ransom załatwiła, że zaczął przychodzić terapeuta od mowy, ale była to tylko strata czasu. Shirlee nigdy nawet się nie zająknęła, żeby coś powiedzieć. To samo z uczeniem braille’a. Doktor Ransom chwyciła się wszystkiego. Kochała tę dziewczynę – nie mieści mi się w głowie, że podniosła na siebie rękę, zostawiając to biedactwo na łasce losu.

– Czy na tej karcie była historia choroby?

– Parę słów na początku i potem ręką pani doktor Ransom krótki opis wszystkich problemów.

– Może dane o urodzeniu?

Potrząsnął głową.

– Czy inni lekarze opiekowali się Shirlee?

– Tylko doktor Ransom.

– Żadni lekarze interniści?

– A jakim lekarzem ona była?

– Psychologiem. Czy nie mówiła panu, że jest doktorem psychologii?

Chwilę się zastanawiał.

– Zaraz, niech no pomyślę. Nie, nie mówiła. Ale sposób, w jaki opiekowała się Shirlee, jak wypisywała zlecenia terapeutom, świadczył, że ma uprawnienia.

– Shirlee musiała mieć fizyczne dolegliwości. Kto się nią opiekował pod tym kątem?

– Pan powiada, że musiała mieć, ale śmieszne, bo poza tymi jej problemami była naprawdę zdrowa, silne serce, prawidłowe ciśnienie, czyste płuca. Jedyne, co trzeba było przy niej robić, to zmieniać pozycje, karmić, przebierać, podłączać cewnik, i tak to trwało. – Spojrzał w niebo, potrząsnął głową. – Ciekawe, gdzie to biedactwo teraz się podziewa.

– Czy pani Ransom opowiadała panu o tym wypadku?

– Jakim wypadku? – Uniósł w górę brwi.

– Tonięcie, potem się to stało...

– Już jestem głupi zupełnie.

– Jako dziecko topiła się. Doktor Ransom opowiadała mi o tym wypadku, że właśnie wskutek tego mózg Shirlee został uszkodzony.

– Nic mi o tym nie wiadomo, bo ona mi mówiła coś zupełnie innego, że biedna dziewczynka taka już przyszła na świat.

– Ślepa, głucha i bezwładna?

– Tak. Głębokie upośledzenie. Wrodzone. Bóg mi świadkiem, że nieraz czytałem te słowa w opisie pani doktor Ransom. – Znowu ruch głową. – Biedactwo było takie od urodzenia, nie miało żadnych szans.

Zbliżało się południe. Pojechałem do najbliższej stacji benzynowej i zadzwoniłem do Olivii. Poinformowano mnie, że owszem, pani Brickerman wróciła z Sacramento, ale dziś już jej nie będzie. Pojechała do domu. Zadzwoniłem do domu, po dziesięciu sygnałach miałem odwiesić słuchawkę,

gdy zdyszana odebrała telefon.

– Alex? Dopiero co weszłam. Prosto z lotniska. Byłam na śniadaniu z wysokimi urzędnikami. Przekonywałam ich, że powinni dać nam więcej pieniędzy. Co za typy – jeśli kiedykolwiek mieli jakieś ideały, to już dawno je sprzedali. Tanio.

– Przykro mi, że zawracam ci głowę – powiedziałem. – Ale przyszło mi na myśl, że może...

– To wszystko stoi na głowie. Tak, nie ulega kwestii, sądząc po dzisiejszym ranku. Lecz żeby ci udowodnić, jak cię kocham, dorwałam się do największego w okręgu komputera i poszukałam Shirlee. Niestety, nikt taki nie figuruje. Odnalazłam natomiast osobę o tym nazwisku i imieniu, tak samo się pisze. W rejestrach ośrodków opieki społecznej. Data urodzenia 1922, nie 53.

– Masz jej adres?

– Nie. Powiedziałaś pięćdziesiąt trzy, więc nie przypuszczałam, że będziesz nią zainteresowany.

– Słusznie rozumowałaś – powiedziałem.

– A może jesteś zainteresowany?

– Możliwe... Jeśli nie sprawi ci to za wiele...

– W porządku, robi się. Zrzucę tylko z siebie te służbowe ciuchy i zadzwonię do biura; spróbuję przełamać w asystentce tę jej komputerofobię. Zajmie mi to trochę czasu. Gdzie mam do ciebie zadzwonić?

– Dzwonię z automatu.

– Cóż to za tajemnicze poczynania? Alex, w co ty się wdałeś?

– W odkopywanie kości.

– Ojoj! Jaki masz tam numer?

Podyktowałam jej.

– To gdzieś koło mnie. Skąd dokładnie dzwonisz?

– Stacja benzynowa przy Melrose, blisko Fairfax.

– Rany boskie, to do mnie dwie minuty. Przyjdź i sam zobaczysz, jaki ze mnie wyspecjalizowany detektyw.

Brickermanowie mieli niewielki domek, pomalowany na biało, dach pokryty hiszpańską dachówką. Wąskie klomby petunii wzdłuż podjazdu, który zajmował od brzegu do brzegu olbrzymi chrysler Olivii.

Drzwi były już otwarte. Albert Brickerman siedział w salonie, w kapciach i szlafroku kąpielowym, i wpatrywał się w szachownicę. W odpowiedzi na moje pozdrowienie mruknął coś pod nosem.

Olivia była w kuchni, smażyła jajecznicę; miała na sobie białą marszczoną bluzę i szeroką marynarską spódnicę. Włosy rozjaśnione, świeżo uczesane, policzki pyzate i różowe. Była już po sześćdziesiątce, ale skórę miała gładką jak młoda dziewczyna. Wyściskała mnie, przytuliła do jędrnych piersi.

– Co o tym myślisz? – Przebiegła dłońmi po spódnicy.

– Bardzo konferencyjnie.

Roześmiała się, odwróciła do patelni. – Gdyby mój socjalistyczny ojciec mnie teraz zobaczył! Nie do wiary, żeby w moim wieku wciągnąć mnie, kopiącą i wrzeszczącą, do tej całej szczeniacko-yuppiesowskiej hecy.

– Powiedz sobie, że obalasz system od środka.

– No tak. – Usadziła mnie przy kuchennym stole. Wyłożyła jajka na talerze, obok pojemnika z zębnymi chrupkami, na półmisku pomidory pokrajane w plasterki; naląła kawę do kubków. – Tak sobie myślę, że zostało mi jeszcze rok albo dwa. Wtedy pożegnaj, te wszystkie bzdury i zabiorę się poważnie za podróżowanie – nie, księżę Albert się nie ruszy, ale mam przyjaciółkę, przed rokiem straciła męża. Zamierzamy wybrać się na Hawaje, do Europy, Izraela. To jest to.

– Świetny pomysł.

– Pomysł pomysłem, ale ty aż się palisz do komputera.

– Kiedy ci będzie wygodnie.

– Zadzwoń zaraz. Potrwa to trochę, zanim Monica wejdzie w system.

Zatelefonowała do swojej asystentki, udzieliła jej szczegółowej instrukcji, powtórzyła ją dwukrotnie i odłożyła słuchawkę.

– No, trzymaj kciuki. A tymczasem coś zjedzmy.

Oboje byliśmy głodni i pałaszowaliśmy w milczeniu. Właśnie sięgałem po nową porcję jajecznicy, gdy zadzwonił telefon.

– W porządku, Monica, okay. Wystukaj wszystko dużymi literami. Dobrze. Teraz duże O, kreska, duże O, duże R, naciśnij RETURN, i dwa razy MED, też duże litery, trzy, pięć, sześć, kreska, zero, zero dziewięć. Dobrze. Teraz duże LA, kreska, duże W, kreska, raz, kreska, dwa, trzy, sześć. Okay? Spróbuj jeszcze raz. Poczekam... Dobrze. Teraz wciśnij RETURN, jeszcze raz i klawisz HOME... pod siódemką... Naciśnij guzik kontrolny, u góry, po lewej stronie, CTRL. Tak, dobrze. I co teraz masz na ekranie? Dobrze. Okay. A teraz wystukaj nazwisko RANSOM, przecinek, SHIRLEE, dwa e

na końcu zamiast ey. SHIRLEE... Okay? Dobrze. Co wychodzi?... Świetnie, Monico. Wezmę coś do pisania, a ty podasz mi datę urodzenia i adres.

Pisała. Wstałem i czytałem jej przez ramię.

Ransom, Shirlee. Data ur. 1.01. 1922.

Rural Route 4, Willow Glen 92399.

– Okay, dziękuję ci, Monico.

– Zapytaj o Jaspera Ransoma – powiedziałem.

Spojrzała na mnie badawczo i rzekła: – Nie likwiduj ekranu, Monico. Wystukaj ADD SRCH. Czekaj na sygnał świetlny... Masz? Teraz RANSOM, to samo nazwisko przecinek JASPER... Nie. J. W porządku. JASPER. Dobrze. Masz. Okay, podaj mi datę urodzenia.

Napisała: *Data ur. 25.12. 1920. Adres ten sam.*

– Jeszcze raz ci dziękuję, Monico. Masz jeszcze dużo pracy?... No to wyjdź wcześniej. Do jutra. – Położyła słuchawkę. – Dwoje starszych Ransomów masz za jedną cenę, kochanie. – Spojrzała na papier i wskazała na daty urodzenia. Nowy Rok i Boże Narodzenie. Fajnie. I co ci to dało? Kim są ci ludzie?

– Nie wiem – odparłem. – Willow Glen. Masz mapę Stanów?

– Niepotrzebna ci mapa. Byłam tam. Na tym cmentarzysku. Okręg San Bernardino, niedaleko Yucaipy. Jak dzieci były małe, jeździliśmy tam na jabłka.

– Jabłka?

– Tak, kochanie. Małe czerwone jabłuszka. Jak się je jadło, lekarz był niepotrzebny. Dlaczego się dziwisz?

– Nie wiedziałem, że tam rosną jabłka.

– Rosły. I któregoś roku przyjechaliśmy i pustka. Punkty skupu pozamykane, drzewa martwe albo umierające. Nazywamy to cmentarzyskiem. Nic tam nie ma. Oprócz pani Nowy Rok i pana Boże Narodzenie.

Rozdział 28

Autostrada do San Bernardino gnała mnie do przodu, leciałem jak ziarnko grochu wystrzelone z korkowca, mijając plamy zakładów przemysłowych, tereny budowy domków oraz parkingi większe niż niejedno małe miasteczko. Między Pomoną a okręgiem Fairgrounds krajobraz się zmienił, pojawiły się rancho, farmy kurze i magazyny zbożowe. Po południowej stronie autostrady biegły tory kolejowe. Sunęły nimi godnie kontenery przedsiębiorstw Cotton Bowl i Southern Pacific. Na platformach ostatnich wagonów – trzecia część pociągu – stały jedna przy drugiej małe, lśniące japońskie limuzyny. Za Claremont nagła eksplozja architektury i potem już spokój i cisza.

Prułem wśród wypalonych przez słońce wzgórz, mijałem małe farmy i rancho, pochyłe tereny pól lucerny, stada koni pasących się w upale. Zjazd do Yucaipy zwężał się w wąską szosę biegnącą obok cmentarzyska traktorów. Jechałem coraz wolniej, wzdłuż rzędu błyszczących aluminiowych przyczep – na jednej z nich dostrzegłem napis „Wielki Deptak” – opuszczonych meksykańskich szałasów, zbitego z desek sklepu, opatrzonego szyldem „Unikatowe Antyki”.

Na drogowskazie pod nazwą Willow Glen znajdował się napis wskazujący odległy o dwadzieścia mil na południe college oraz rolniczą stację przeładunkową. Strzałka kierowała mnie w stronę mostku pokrytego asfaltem, dalej biegła stromym nasypem droga, przecinająca rolniczy krajobraz – plantacja cytrusów i avocado, potem rząd walących się stajni, jałowe pola. Między pustymi połaciami brązowej ziemi stały przyczepy mieszkalne, budy o blaszanych dachach, kościoły z wypalanego drewna, a wokół – granitowa draperia gór San Bernardino.

Góry, na pierwszym planie ciemnobrązowe, w oddali nabierały barwy lawendowej szarości, ich wierzchołki wtapiały się w perłową mgłę nieba. Z nizin sączył się upał, zamazywał kontury sosen przyczepionych do poboczy gór; grzywiaste sylwetki drzew były jak maźnięte pędzlem na papierze.

Droga wiodąca do Willow Glen okazała się odnogą bulwaru, który nagle się urywał i dalej nie było już nic; ostry zakręt tuż za nadłamanym drogowskazem kierującym ku „świeżym plonom” oraz ku dawno opuszczonemu „Jumbo Turkey Ranch”. Droga wiła się i pełzła w stronę gór, później pięła się ich środkiem. Powietrze było coraz chłodniejsze i coraz czystsze.

Po dziesięciu milach pojawiło się kilka sadów jabłoni; niewielkie działki na tyłach domków, ogrodzone drutem kolczastym i osłonięte wierzbami chroniącymi przed wiatrem; drzewa nisko ucięte, szeroko rozgałęzione – przystosowane do ręcznego zbioru owoców. Kulki wielkości czereśni przezierały przez baldachim listowia. Zbiór zapowiadał się nie wcześniej niż za jakieś dwa miesiące. Do słupków przy drodze przymocowane były deseczki z napisami witającymi zbieraczy jabłek, lecz nie wyglądało na to, by owoców starczyło na dłużej niż jedną dniówkę.

W miarę jak droga pięła się coraz wyżej, coraz więcej było sadów. Były zaniedbane – duże, pokryte kurzem połacie ziemi, z której sterczały martwe drzewa; sporo już leżało, inne wyglądały jak pokrzywione, ostrugane do rdzenia i wsadzone w glebę kije.

Asfalt kończył się przy dwóch słupkach grubości słupów telegraficznych; do jednego przymocowany był znak Izby Handlowej, do drugiego – szyld klubu. Na łańcuchu łączącym słupki

wisiała tabliczka: Willow Glen, liczba mieszkańców – 432.

Zatrzymałem się i rozejrzałem dokoła. Wieś okazała się wąską uliczką ze sklepami po obydwu stronach. Rosły tu wierzby i sosny, a u wlotu znajdował się duży, pusty parking z rzadkimi drzewami w tle. Zaparkowałem samochód i wysiadłem, wdychając żar czystego suchego powietrza.

Pierwsze, co zobaczyłem, to dużą, biało-czarną lamę skubiącą trawę w niewielkiej zagrodzie. Za ową zagrodą stał wąski, ciemnoczerwony budynek z białymi framugami. Napis nad drzwiami obwieszczał: Centrum Rozrywki i Małe ZOO. Poszukałem wzrokiem jakiejś ludzkiej siedziby – na próżno. Pokiwałem do lamy, w zamian obdarzyła mnie melancholijnym spojrzeniem.

Kilka innych budyneczków połączono pomostem z desek, wszystkie były małe, wszystkie drewniane, miały gontowe dachy nieskalane farbą. RAJ DRZEWORYTNIKA. CUDOWNY LAS ANTYKÓW. SKARBY GRANNY’EGO, upominki i pamiątki. Wszędzie pozamykane na głucho okiennice.

Ziemia usłana była igłami sosen i liśćmi wierzby. Szedłem szukając śladu człowieka i nagle za sklepem drzeworytnika mignęło mi coś białego i smuga dymu uniosła się nad domem. Zwisające nisko gałęzie zasłaniały mi widok. Minąłem je i zobaczyłem rząd drewnianych budek przykrytych jednym, wyraźnie nowym, czerwonym dachem. Podchodząc bliżej czułem wzmagający się z każdym krokiem słodki zapach – ciężka słodycz miodu zmieszanego z wonią jabłek. Drzewa jakby same się cofnęły, a ja stałem na jasnej polance.

Nad jedną budką napis: Mus jabłkowy i jabłecznik, nad drugą: Miód koniczynowy. Lecz ten słodki zapach dobywał się z następnymi drzwiami – budki o zielonych okiennicach z napisem: Znakomita Złota Kawa, Zapiekanek z Jabłkami, Mrożony Napój Firmowy. Fasadę kawiarenki tworzyła ściana z białych desek i okna ze szkła witrażowego – czarne konary drzew, białoróżowe kwiaty jabłoni, jabłuszka zielone, czerwone i żółte. Drzwi były otwarte, wszedłem.

Wnętrze bez zarzutu, jasne drewno – stoliki i ławy, biały wiatrak pod sufitem mieszający gorące, miodowe powietrze, lada, trzy białe stołki barowe, pnące rośliny, staroświecka mosiężna kasa, afisz reklamujący astrologa z Yucaipy. Za ladą siedziała młoda dziewczyna – piła kawę zatopiona w lekturze podręcznika biologii. Przez okienko wewnętrzne widać było kuchnię – czyściutką – stal i szkło.

Usiadłem. Spojrzała na mnie. Lat dziewiętnaście albo dwadzieścia, nosek mocno zadarty, krótko ostrzyżona, kręcone blond włosy, oczy duże, ciemne. Była w białej koszuli i czarnych dżinsach, szczupła, ale bioderka zaokrąglone. Na jabłkowo-zielonej plakietce na koszuli widniał napis: Wendy.

Uśmiechnęła się. Mniej więcej w wieku Maury Bannon. Oczywiście nie tak zmanierowana i chyba jednak trochę od niej starsza.

– Dzień dobry. Czym mogę panu służyć?

Wskazałem na jej filiżankę.

– Poproszę o kawę na początek.

– Ze śmietanką i z cukrem?

– Nie, czarną.

– Życzy pan sobie kartę?

– Bardzo proszę.

Podawała mi oprawny w plastik jadłospis. Bogaty wybór wprowadził mnie w zdumienie. Myślałem, że będą tu same burgery z frytkami, tymczasem lista potraw była długa i urozmaicona, z zaznaczeniem „nowość”, przy każdym daniu literka odpowiedniego wina, C – chardonnay, Jr – johannesburg riesling. Na odwrocie pełny spis win, dobrych, francuskich, również z winnic kalifornijskich, a także produkowanych na miejscu jabłeczników, określanych jako „lekkie owocowe”, o zapachu zbliżonym do sauvignon blanc.

Przyniosła kawę.

– Życzy pan sobie coś zjeść?

– Może lunch zbieraczy jabłek? – zapytałem.

– Oczywiście. – Otworzyła lodówkę, sięgnęła do różnych szufladek i przegródek, coś tam przyrządzała; położyła na ladzie sztucę, płócienną serwetkę i postawiła przede mną półmisek z plasterkami jabłek oraz trójkątem sera ugarniowanym liśćmi mięty, – Proszę bardzo – rzekła, dodając do tego świeżą bułkę i masło w kształcie kwiatka. – Kozi ser jest naprawdę smaczny. Wyrób rodziny Basków spod Loma Linda. Zwierzęta karmione paszą organiczną.

Jajecznica Olivii leżała mi kamieniem w żołądku. Spróbowałem sera.

– Wyśmienite – rzekłem.

– Dziękuję panu. Uczę się w college’u, na wydziale gastronomii, i w przyszłości chciałabym otworzyć własną restaurację. Pracę tutaj traktuję jako uzupełnienie moich indywidualnych studiów.

Wskazałem na podręcznik.

– Kursy wakacyjne?

– Ostatnie egzaminy. – Skrzywiła się. – Testy to nie moja specjalność. Może jeszcze kawy?

– Proszę – rzekłem dopijając resztę z filiżanki. – Ruch dzisiaj niewielki – stwierdziłem.

– Tak jest codziennie. W sezonie, od września do stycznia, na każdy weekend przyjeżdża sporo turystów. Ale nie tyle co dawniej. Ludzie wiedzą o zbiorze wiśni w Beaumont, a o nas mało się mówi i pisze. Tak dawniej nie było; wieś została zbudowana w roku 1867. Ludzie wracali wtedy do

domów z ogromnymi kosztami spartanów i jonatanów. Ci z miasta przyjeżdżają i kupują coś na wsi. Ale specjalnie im nie zależy.

– Po drodze widziałem wymarłe sady.

– Czy to nie smutne? O jabłka trzeba się troszczyć jak o dzieci. Wszyscy ci doktorzy i prawnicy z Los Angeles i San Diego kupują sady, bo mogą to sobie odpisać z podatków, a dalej niech się dzieje co chce. Staraliśmy się – moi rodzice i ja – żeby miejscowość odzyskała znaczenie. Urząd okręgu do Spraw Hodowli Pomarańcz mógłby wydzierżawić nam kawałek ziemi, to na pewno by nam pomogło. Tymczasem zajmujemy się wyrobem dżemów, zbieramy miód i handlujemy, rozkręca się nawet sprzedaż wysyłkowa. A oprócz tego gotuję dla strażników leśnych i przyjezdnych, no i zajmuję się studiami. Pan tu służbowo?

– Nie – odparłem. – Skąd tutaj ta lama?

– Cedric? To nasza lama, mojej rodziny. Nasz dom stoi za jej zagrodą, nasz wiejski dom. Mama i moi bracia są teraz tutaj, i chcą założyć małe ZOO. W przyszłym roku w lecie. Dzieciaki będą miały zajęcie, a ich rodzice wolny czas. Cedric to samiczka. Tatuś ją dostał od pacjenta. Jest lekarzem, praktykuje w Yucaipie jako specjalista-kręgarz. I tam mieszkamy przez większą część roku. Przejeżdżał tędy cyrk – Cyganie, czy jacyś tacy... pięknie pomalowane wozy, akordeony, chodzenie po linie. Rozłożyli obozowisko na polu, zbierali datki. Jeden z nich w czasie akrobacji uszkodził sobie kręgosłup. Tata mu go nastawił, ale facet nie miał pieniędzy, żeby zapłacić, więc tata wziął za to Cedrica. Kocha zwierzęta. Wtedy wpadliśmy na pomysł założenia małego ZOO. Moja siostra studiuje rolnictwo, hodowlę zwierząt, w Cal Poly. Będzie je prowadzić.

– Wspaniałe perspektywy. Cała wioska należy do pani rodziny?

Roześmiała się. – Dobrze by to było. Nasz jest dom, zagroda Cedrica i te sklepiki. Sklepy od frontu należą do kogo innego, ale im specjalnie na nich nie zależy. Granny – właściciel tego sklepu z pamiątkami – umarł zeszłego lata, a rodzina nie może się zdecydować, co zrobić z tym fantem. Nikt nie wierzy, że rodzinie Terrych uda się tchnąć ducha w Willow Glen, ale my spróbujemy.

– Jak głosi napis, mieszkańców jest czterystu trzydziestu dwóch. Gdzie się oni podziewają?

– Liczba jest chyba trochę zawyżona, ale mieszka tu kilka rodzin, sadowników; pozostali pracują w Yucaipie. Wszyscy – po drugiej stronie wioski. Przejeżdżał pan tamtędy?

– Za drzewami?

– Tak – roześmiała się. – Nic stąd nie widać, prawda? Taka pułapka dla przyjezdnych. – Spojrzała na mój talerz. Więc szybko zacząłem jeść, lecz i tak pół porcji zostało. Miała strapioną minę. – A co pan powie na zapiekankę? Zrobiłam przed dwudziestoma minutami.

W jej spojrzeniu było tyle gorliwości, że powiedziałem: – Chętnie.

Położyła przede mną ogromny kawał ciasta, obok talerza – łyżkę.

– Jest taka gruba, że lepiej je się ją łyżką niż widelcem – rzekła. Po czym dołała mi kawy.

Wpakowałem pełną łyżkę do ust. Gdybym był głodny, uznałbym, że jest świetna. Cienka, słodka skórka, kruche kawałki jabłka przesączone syropem, całość posypana cynamonem i polana odrobiną białego hiszpańskiego wina.

– Wyśmienite, Wendy. Kariera pewna.

Rozpromieniła się.

– Bardzo się cieszę. Jeśli pan sobie życzy, podam jeszcze jedną porcję na koszt firmy. Mam tego dużo. Moi łakomi braciszkuje pochłaniają straszne jej ilości i żaden nie powie dobrego słowa.

Poklepałem się po brzuchu.

– Obawiam się, że nie dam już rady.

W czasie gdy dzielnie pokonywałem kęs za kęsem, Wendy spytała:

– Skoro nie jest pan tu służbowo, to co pana do nas sprowadza?

– Szukam kogoś.

– Kogo?

– Shirlee i Jaspera Ransomów.

– Czego pan od nich chce?

– Są krewnymi mojej przyjaciółki.

– Jakimi krewnymi?

– Nie wiem dokładnie. Możliwe, że rodzicami.

– To nie mogła być bliska przyjaciółka.

Odłożyłem łyżkę. – Sprawa jest dość skomplikowana, Wendy. Wiesz, gdzie oni mieszkają?

Wahała się. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, wyczytałem w jej oczach podejrzliwość.

– O co chodzi? – zapytałem.

– O nic. Tylko lubię, jak ludzie mówią prawdę.

– A na jakiej podstawie sądzisz, że kłamię?

– Przyjechał pan tutaj, pyta o Shirlee i Jaspera, i mówi, że może są czyimiś rodzicami... zrobił pan taki kawał drogi tylko po to, aby przekazać im pozdrowienia?

– Nie kłamię.

– Jeśliby pan wiedział... – Urwała i po chwili: – No dobrze, żeby pan nie myślał, że jestem niegrzeczna. Otóż pierwsze słyszę, że oni mają jakichś krewnych. A mieszkam tu od pięciu lat. I nigdy nikt ich nie odwiedza. – Spojrzała na zegarek, zabębniła palcami w kontuar. – Skończył pan? Bo chcę zamknąć kafejkę, muszę się uczyć.

Odsunąłem talerz.

– Jak dojadę do Rural Route cztery?

Wzruszyła ramionami, odeszła od lady, sięgnęła po książkę. Wstałem.

– Proszę o rachunek.

– Równo pięć dolarów.

Dałem jej pięć dolarów. Ujęła banknot koniuszkami palców, jak gdyby bała się zetknięcia z moją dłonią.

– O co chodzi, Wendy? Dlaczego jesteś taka wzburzona?

– Wiem, kim pan jest.

– Kim?

– Z banku. Chce pan położyć łapę na reszcie wsi, tak jak już pan to zrobił z Hugh i Grannym? Pozbawił ich pan prawa wykupu. Słodkie słówka do dzierżawców i wykupienie wszystkiego za grosze, a potem przeznaczenie terenu na jakieś inwestycje.

– Jest pani wspaniałą kucharką, ale marnym detektywem. Nie mam nic wspólnego z żadnymi bankami. Jestem psychologiem z Los Angeles. Nazywam się Alex Delaware. – Wyjąłem z portfela dokumenty; prawo jazdy, legitymację uniwersytecką. – Proszę, niech pani sama się przekona.

Minę miała niby to znudzoną, lecz moje świadectwa tożsamości przestudiowała starannie.

– Okay. I co z tego? Załóżmy, że pan nie kłamię, po co właściwie pan tu przyjechał?

– Pewna pani psycholog, moja dawna przyjaciółka, Sharon Ransom, zmarła. Nie miała żadnej bliskiej rodziny. Przypuszczam, że jest spokrewniona z Shirlee i Jasperem Ransomami. Odszukałem ich adres i pomyślałem sobie, że może chcieliby ze mną o niej porozmawiać.

– Na co umarła ta Sharon?

– Samobójstwo.

Wszystka krew odpłynęła z jej twarzy.

– Ile miała lat?

– Trzydzieści cztery.

Odwróciła wzrok bawiąc się sztuccami.

– Sharon Ransom – powiedziałem. – Słyszała pani o niej?

– Nie. Nigdy nie słyszałam, żeby Jasper i Shirlee mieli dzieci. Błąd w założeniu.

– Możliwe – odrzekłem. – Dziękuję za lunch.

Gdy byłem już w drzwiach, zawołała: – Całe Willow Glen to Rural Route cztery. To będzie jakąś milę za szkołą. Zobacz pan starą nieczynną już tłocznię. Proszę potem skręcić na prawo i cały czas prosto. Ale szkoda pańskiego czasu.

Wyjechałem z wioski; przebrnąłem przez pięćset jardów wybojów, zanim wyostałem się na wiejską, ale w miarę gładką drogę i oto pojawił się drogowskaz: Rural Route cztery. Znów mijałem sady, gospodarstwa z ładnymi, drewnianymi domkami, ogrodzonymi niskim trzcinowym płotkiem, i nagle słupek z flagą przed piętrowym murowanym budynkiem szkolnym, przypominającym kartonowy pojemnik na mleko, z ocienionym dębami boiskiem. A boisko przechodziło w las, a las wchodził w góry. Wzdłuż drogi skrzynki na listy z imiennymi wywieszkami: Skup jabłek u Rileya i Pumpkinsa (nieczynny). Leidecker, Broward, Sutcliffe...

Nie zauważyłem, że przejechałem obok starej tłoczni jabłek, więc cofnąłem się i stanąłem na poboczu. Tłocznia była istną ruiną; ściany z blachy falistej, pogiete, zżarte rdzą, zapadające się; zostały tylko strzępy dachu z papy, spod którego wyzierały szerniałe ze starości krokwie, wszędzie chwasty wysokości człowieka, pnące się ku światłu. Budynek stał na nizinnym terenie zaśmieconym złomem i spalonym przez słońce zielskiem.

„Skręcić na lewo i cały czas prosto”. Nie widziałem żadnej drogi, żadnego zakrętu. Pomyślałem o podejrzliwości Wendy i zaraz potem przyszło mi do głowy, czy czasem umyślnie nie wprowadziła mnie w błąd.

Nie wyłączając silnika wysiadłem. Dochodziła godzina czwarta, ale słońce niezmiennie paliło i po chwili byłem mokry od potu. Na drodze – pustka. Wyczułem smród skunksa. Przysłoniłem dłonią oczy, rozejrzałem się wokół i dostrzegłem wśród chwastów łyse ciało – biały ślad na ścieżce biegnącej wzdłuż tłoczni. Błyszczące zagłębienie w słomie – tu zużyte opony pokonały płataninę zielska.

Zastanawiałem się, czy iść dalej piechotą, ale nie wiedziałem, jaką mam do przebycia odległość. Gdy wróciłem do wozu, zacząłem się cofać, aż poczułem gwałtowny przechył na prawo i chcąc nie chcąc wjechałem na pole.

Moja sevilla nie przepada za wiejskimi rozłogami, więc ślizgała się i miotała na wyschłej, gładkiej słomie. W końcu wjechałem w jakąś koleinę i czyniłem wysiłki, by dobrnąć do drogi. Naciskając z lekka pedał gazu jechałem w oceanie zielska.

Na nizinnym bezdrożu znalazłem wreszcie drogę, zwiększyłem prędkość i przejechałem przez szerokie pole. W oddali zobaczyłem kilka niskopiennych wierzb płaczących. Wśród liści dostrzegłem błysk metalu – kolejne budynki z blachy falistej.

Państwu Ransomom nie zależy widocznie na gościach.

Wendy twierdziła, że absolutnie wykluczone, by Ransomowie mieli kiedykolwiek dzieci, i urwała nie wyjaśniając przyczyny.

Nie chciała nikomu uchybić?

A może się czegoś przestraszyła?

Może Sharon uciekła od rodziców, uciekła z tej wioski, może miała jakiś ważny powód, i by raz na zawsze odciąć się od strasznych wspomnień, zaczęła snuć fantazję na temat wspaniałego dzieciństwa w zamożnej rodzinie.

Zastanawiałem się, co ja tu właściwie robię? I puściłem wodze własnej fantazji, wyobrażając sobie Shirlee i Jaspera Ransomów: obrzydliwe wiejskie mamuty, bezzębne, o wyszczerzonych ślepiach, w niechlujnych, brudnych kombinezonach, otoczone sforą kundli, którym piana cieknie z pyska... A na powitanie para staruchów unosi w górę dubeltówki...

Zatrzymałem samochód, by usłyszeć szczekanie psów. Cisza. Wróciłem więc do rzeczywistości i dodałem gazu.

Dojechałem do wierzb i stwierdziłem, że nie sposób przejechać przez lasek. Wyłączyłem silnik i wysiadłem; przeszedłem pod pochylonymi ku ziemi konarami, odgarniając gałęzie. Moich uszu dobiegł szum wody. I jakiś jednostajny pomruk. I oto stałem przed posiadłością Jaspera i Shirlee Ransomów. Na małej błotnistej działce ujrzałem dwie prymitywne budy o drewnianych, byle jak skleconych ścianach i dachach z blachy falistej. Okna zaklejone woskowanym papierem zastępującym szyby. Między tymi budami – drewniany wychodek. Między tym wychodkiem a jedną z bud przeciągnięty był sznurek do wieszania bielizny. Wisiała na nim wypłowiała, zniszczona odzież, poprzipinana klamerkami. Za wychodkiem, wsparta na metalowych szynach, stała cysterna na wodę; obok – mały elektryczny generator.

Połowę działki zajmował sad – kilkanaście młodych drzewek jabłoni przywiązanych do palików. Manipulując węzłem przymocowanym do cysterny z wodą, kobieta starannie je podlewała. Woda przeciekała jej przez palce, co stwarzało wrażenie, że to ona jest źródłem tej wody i poi drzewka płynem własnego organizmu. Woda spływała na ziemię, tworząc błotnistą maź.

Nie słyszała moich kroków. Sześćdziesiąt parę lat, zgarbiona, bardzo niska, siwe włosy ostrzyżone na pazia, twarz płaska, rysy zwiotczałe. Zmrużyła oczy, otworzyła usta, co jeszcze bardziej

uwypadniało cofnięty podbródek. Była ubrana w niebieski chałat – wyglądała, jakby narzuciła na ramiona prześcieradło. Dół tej szaty był oczywiście nierówny. Nogi białe i grube, owłosione. Trzymała wąż obydwoma dłońmi, jakby był żywy, i z wielką uwagą obserwowała strumień wody.

– Dzień dobry – powiedziałem.

Obejrzała się, zamrugała powiekami, uniosła wąż do góry. Woda strzyknęła na pień jabłonki. Uśmiech. Szczery. Pomachała mi ręką, jakby na próbę, jak dziecko, które spotyka obcego.

– Dzień dobry – powtórzyłem.

– Ńdobry. – Kiepsko wymawiała słowa.

Podszedłem bliżej.

– Pani Ransom?

Zmieszała się wyraźnie.

– Shirlee?

Kilka szybkich skłonów głowy. – To ja. Shirlee. – Z emocji upuściła wąż, który zaczął się wić i parskać. Usiłowała go chwycić, nie mogła, chlusnął wodą prosto w jej twarz, krzyknęła, uniosła rękę. Chwyciłem umazany błotem wąż, zwinąłem go, splukałem i podałem właścicielce.

– Kuje. – Ocierała twarz rękawem chałata – nic z tego nie wychodziło.

Wyjąłem z kieszeni czystą chustkę i osuszyłem jej twarz.

– Kuje, panie.

– Shirlee, ja mam na imię Alex. Jestem przyjacielem Sharon.

Nastawiłem się na wybuch żalu, tymczasem ona znów się uśmiechnęła. Jeszcze promienniej.

– Ładna Sharon.

Poczułem ukłucie w sercu. Słowa z trudem przechodziły mi przez gardło, szczególnie ten czas teraźniejszy.

– Tak, jest ładna.

– Moja Sharon... list... chce pan go widzieć?

– Bardzo bym chciał.

Spojrzała na gumowego węża i jak gdyby zgubiła wątek. – Poczekaj pan. – Powoli, z namysłem odwróciła się od drzewek i ruszyła w stronę cysterny. Dużo czasu jej zajęło zakręcanie kurka,

jeszcze dłużej trwało ułożenie zwoju na ziemi. Gdy uporała się z tym, spojrzała na mnie dumnym wzrokiem.

– Świetnie – powiedziałem. – Ładne drzewka.

– Piękne. Jabłka. Myśmy z Jasperem dostali od panny Leiderk. Młodziaki.

– Zasadziliście je sami?

– Nie, Gaabel – zachichotała.

– Gabriel?

Skinienie głową.

– My o drzewka dobrze dbamy.

– Nie wątpię, Shirlee.

– Tak, dba się.

– Mogę zobaczyć ten list od Sharon?

– Tak.

Człapała powłócząc nogami, ja za nią, i weszliśmy do jednej z bud. Ściany były drewniane, niepomalowane, ze smugami zacieków, podłoga z płyt pilśniowych; sufit – gołe belki. Ściana ze sklejki dzieliła owo pomieszczenie na dwa. W jednym znajdowała się mała lodówka, płytką elektryczną, staroświecka umywalka z rolką na ręczniki. Obok stało pudełko z mydłem w proszku i takie samo ze środkiem owadobójczym. Drugie pomieszczenie było niskim pokojem wyłożonym pomarańczową wykładziną. Żelazne, na biało pomalowane łóżko, przykryte kocem z demobilu, wypełniało niemal całą przestrzeń. Koc był solidnie powtykany pod materac, brzegi na kant, jak w koszarach. Przy ścianie stał piecyk elektryczny. Przez szyby z woskowanego papieru przenikały złociste, łagodne promienie słońca. W rogu stała miotła. Musiała być często używana. Panowała tu nienaganna czystość.

Drugim i ostatnim meblem była mała komoda z surowego drewna sosnowego. Na komodzie – pudełko z kredkami. Kilka ołówków i kilka arkuszy papieru, ułożonych porządkie, przyciśniętych kawałkiem skały. Na leżącym na wierzchu arkuszu – rysunek. Jabłka. Prymitywny. Jak rysowany ręką dziecka.

– Czy to pani narysowała?

– Jasp. On to umie.

– Ładny. A gdzie jest Jasp?

– Wyszła i wskazała ręką na wychodek.

– Robi.

– Aha.

– A rysować to on umie – powtórzyła.

Skinąłem głową potwierdzając ów fakt.

– A ten list, Shirlee?

– No właśnie. – Uśmiechnęła się szeroko, walnęła pięścią w głowę. – Zupełnie zapomniałam.

Wróciliśmy do sypialni. Otworzyła jedną z szuflad komody.

Zobaczyłem starannie poukładane części garderoby, podobnie spranej i wypłowiałej jak odzież na sznurku. Sięgnęła pod bieliznę, wyjęła kopertę i podała mi.

Papier noszący liczne ślady palców, tylekroć dotykany, że zdawałoby się, zdarty do żywego. Stempel na znaczku Long Island 1971. Adres dużymi drukowanymi literami:

PAŃSTWO J. i SH. RANSOM

Rural Route 4

Willow Glen, Kalifornia

W kopercie pojedynczy arkusz papieru. U góry nadruk: College Pedagogiczny dla dziewcząt, Woodburn Manor, Long Island, N.J. 11946. Takimi samymi drukowanymi literami napisany był list:

Kochani Rodzice! Jestem już w szkole. Podróż samolotem była przyjemna. Wszyscy tu są dla mnie bardzo dobrzy. Cieszę się z tego, ale strasznie mi do Was tęskno. Nie zapomnijcie uszczelnić okien przed porą deszczową. Wkrótce może zacząć padać, więc proszę Was, bądźcie ostrożni. Pamiętajcie, jak w zeszłym roku Was zalało? W razie czego poproście o pomoc panią Leidecker. Obiecała mi, że będzie się dowiadywać, czy u Was wszystko w porządku. Tatusiu, dziękuję Ci za piękne rysunki. W samolocie obejrzałam je sobie. Inni pasażerowie też oglądali i mówili, że są piękne. Aż chciałoby się je zjeść. Rysuj, Tatusiu, i przyślij mi więcej tych jabłuszek. Pani Leidecker pomoże Ci na pocztce. Bardzo do Was tęsknię. Ciężko mi było rozstawać się z Wami, ale chcę zostać nauczycielką i wiem, że Wy też tego chcecie. To dobra szkoła. Jak zostanę nauczycielką, wrócę do Was i będę uczyć w szkole w Willow Glen. Będę do Was pisać, obiecuję. Dbajcie o siebie.

Całuję Was mocno

Wsunąłem list z powrotem do koperty. Shirlee Ransom wpatrywała się we mnie z uśmiechem. Minęło parę sekund, zanim zdołałem wykrztusić słowo.

– Piękny list, Shirlee. Naprawdę.

– O, tak. Podałem go jej.

– Ma pani jeszcze jakieś listy?

Potrząsnęła głową.

– Mieliśmy. Okropnie dużo. Ale przyszedł wielki deszcz i pooszło. – Machnęła ręką. – Wszystko zmyło. Lalki, zabawki, papiery. – Wskazała na papierowe okna. – Deszcz przez nie włązi.

– Dlaczego nie wstawi pani szyb?

– Pani Leider mówi, oszklij, Shirlee. Szkło jest dobre. Oszklij. A Jasper mówi – nie. Jasper lubi powietrze.

– Pani Leidecker jest waszą przyjaciółką?

– Tak.

– Czy... z Sharon też się przyjaźniła?

– Nauczycielka. – Dotknęła palcami skroni. – Prawdziwie mądra.

– Sharon również chciała zostać nauczycielką – powiedziałem. – Pojechała do szkoły nauczycielskiej do Nowego Jorku.

Skinęła głową.

– College four-set.

– Forsythe College?

Znowu potakujący ruch głową.

– Daleko.

– A po skończeniu szkoły wróciła do Willow Glen?

– Nie. Była za mądra. Calfurna.

– Kalifornia?

– Tak. Szmata drogi stąd.

– Pisała do was z Kalifornii?

Pełne smutku spojrzenie. Nie trzeba było o to pytać.

– Tak.

– Kiedy ostatnio miała pani od niej wiadomość?

Przygryzła kciuk, skrzywiła się.

– Bożnarodzenie.

– Ostatnie Boże Narodzenie?

– Tak. – Bez przekonania.

Mówiła o tym liście sprzed szesnastu lat, jakby otrzymała go dzisiaj. Kalifornia to według niej bardzo odległa kraina. Zastanawiałem się, czy umie czytać. Zapytałem:

– Dawno temu było Boże Narodzenie?

– O, tak.

Pewna rzecz na komodzie przykuła mój wzrok: spod rysunków jabłek wystawał róg plastikowej okładki. Wyciągnąłem ją. Książeczka czekowa wydana w banku w Yucaipie. Shirlee nie okazała zdziwienia moim wścibstwem. Czując się niemal jak złodziej, otworzyłem książeczkę.

Wpłaty tej samej kwoty w ciągu kilku lat; pierwszego każdego miesiąca pięćset dolarów. Nieregularnie. Pozostało na koncie 78 tysięcy z drobnymi. Książeczka wydana na nazwisko małżonków Jaspera i Shirlee Ransom. Upoważniona do podejmowania gotówki: Helen Leidecker.

– Pieniądze – powiedziała Shirlee. Dumny uśmiech.

Wsunąłem książeczkę pod rysunki.

– Shirlee, gdzie Sharon się urodziła?

Wyraz zakłopotania na twarzy.

– Czy pani ją urodziła? Wyszła z pani brzucha?

Chichot.

Usłyszałem kroki. Obejrzałem się.

Wszedł mężczyzna. Na mój widok podciągnął portki, uniósł pytająco brwi i szybko podszedł do

żony, stanął przy niej.

Był niewiele od niej wyższy i mniej więcej w jej wieku. Łysiejący, podbródek znacznie cofnięty i bardzo duże niebieskie oczy o łagodnym wyrazie. Mięśnisty, wydatny nos przysłaniający niemal wysuniętą górną wargę. Uchylone usta. Kilka pożółkłych zębów. Twarz Andy Gumpa, pokryta bujnym siwym zarostem jak pianą mydlaną. Był tak wąski w barach, że sprawiało to wrażenie, jakby jego krótkie ramiona wyrastały wprost z szyi. Zwisały wzdłuż ciała. Palce kluskowate, rozstawione. Miał na sobie o wiele za dużą białą trykotową koszulkę, szare robocze spodnie wiązane sznurkiem i tenisówki z wysoką cholewką. Spodnie rozpięte, wszystko na wierzchu.

– Ojej, Jasp! – zawołała Shirlee, zasłaniając usta dłonią i palcem drugiej ręki wskazując kierunek.

Wyraźnie się zawstydził. Shirlee roześmiała się, zapięła mu rozporek i poklepała dobrotliwie po policzku. Stał zaczerwieniony ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Dzień dobry – powiedziałem wyciągając rękę. – Mam na imię Alex.

Zignorował mnie. Wpatrywał się w swoje tenisówki.

– Panie Ransom, Jasper... Shirlee przerwała mi:

– Nie słyszy. Nic. Nie mówi.

Popatrzył na mnie. Ułożyłem usta w słowo halo.

Puste spojrzenie.

Znowu wyciągnąłem do niego rękę.

Rozbiegany wzrok spłoszonego królika.

– Proszę mu powiedzieć, że jestem przyjacielem Sharon – powiedziałem do Shirlee.

Podrapała się po brodzie, zastanawiała chwilę, w końcu krzyknęła przenikliwie, obracając ku niemu głowę:

– On zna Sharon! Sha-ron! Sha-ron!

Oczy małego człowieczka rozszerzyły się, ale uciekł nimi w bok.

– Niech mu pani powie, że podobają mi się jego rysunki.

– Rysunki! – krzyknęła. Czyniła nieudolne gesty naśladowujące rysowanie. – On gustuje w twoich rysunkach! Rysunki!

Jasper wykrzywił się boleśnie.

– Ry-sun-ki! Ty głupi Jasp. – Znów ruchy ręką imitujące poruszanie ołówkiem. Ujęła jego dłoń i przytknęła do stosu papierów na komodzie, potem obróciła nim i wskazała na mnie.

– Rysunki.

– Są bardzo ładne – powiedziałem z uśmiechem.

– Uhm. – Wydał niski, gardłowy dźwięk.

Uderzyło mnie podobieństwo do głosu, który kiedyś słyszałem. W Resthaven.

– Rysunki! – wciąż krzyczała Shirlee.

– W porządku – powiedziałem. – Dziękuję, Shirlee.

Ale ona miała już własne plany. Dała mu kuksańca w te jego płaskie pośladki. Wybiegł truchcikiem z budy.

– Jasp migiem pokaże rysunki – powiedziała.

– Świetnie. Shirlee, rozmawialiśmy o tym, gdzie Sharon się urodziła. Pytałem, czy wyszła z pani brzucha.

– Głupota! – Spojrzała w dół i wygładziła na brzuchu sukienkę. Poklepała się po nim. – Dziecko tu nie siedziało.

– Więc jak to się stało, że Sharon była pani „małą jedynaczką”?

W jej oczach zapaliły się chytre ogniki.

– Prezent.

– Sharon była prezentem?

– Tak.

– Od kogo?

Potrząsnęła głową.

– Kto dał ją pani w prezencie?

Kilkakrotny ruch głową, stanowczy.

– Dlaczego nie chce mi pani powiedzieć?

– Nie można.

– Dlaczego, Shirlee?

– Nie można. Tajemnica.

– Kto pani nakazał tę tajemnicę?

– Nie można! Ta-jemnica.

Piana zebrała się w kącikach jej ust, przestraszyłem się, że zacznie krzyczeć.

– Okay – powiedziałem. – To ładnie z pani strony, że dochowuje pani tajemnicy, o którą ktoś panią prosił.

– Tajemnica.

– Rozumiem, Shirlee.

Pociągnęła nosem, uśmiechnęła się i powiedziała: – Ooo, czas lania wody – i wyszła.

Podążyłem za nią. Jasper też wyszedł z drugiej budy i zmierzał ku nam, ściskając w garści kilka arkuszy papieru. Na mój widok machnął nimi. Zbliżył się i pokazał rysunki. Jabłuszka.

– Wspaniale, Jasper. Piękne.

– Czas lania wody – powiedziała Shirlee i utkwiała wzrok w gumowym wężu.

Jasper zostawił otwarte drzwi drugiej budy, więc wszedłem.

Jedno pomieszczenie, bez ścianki działowej. Czerwona wykładzina. Łóżko z baldachimem na środku, przykryte pikowaną kołdrą obszytą koronką. Materiał pokryty czarnozielonymi plamami pleśni, zbutwiały. Dotknąłem koronki. Rozsypała się w palcach. Czoło łóżka i baldachim przegniłe – w powietrzu unosił się gorzki odór. Nad łóżkiem, na wbitym ukośnie gwoździu, wisiał oprawiony w ramki afisz Beatlesów. Szkło popękane, brudne, upstrzone przez muchy. Po drugiej stronie komoda, przykryta jeszcze bardziej zniszczoną koronkową serwetką, buteleczki po perfumach, figurynki ze szkła. Chciałem przyjrzeć się bliżej jednej buteleczce, ale przylepiła się do koronki. Zauważyłem ślady po mrówkach. Między buteleczkami jakieś zasuszone owady.

Szuflady były spaczone i z trudem się otwierały. Górna – pusta, jeśli nie liczyć pluskiew. Tak samo pozostałe.

Shirlee i Jasper stali w progu, podtrzymując się wzajemnie, jak dzieci przerażone nadciągającą burzą.

– Jej pokój – powiedziałem. – Wszystko tak jak wtedy, kiedy tu mieszkała?

Shirlee skinęła głową. Jasper popatrzył na nią i powtórzył jej gest.

Próbowałem wyobrazić sobie Sharon mieszkającą tutaj z nimi. „Martini w oszklonym salonie...”

Uśmiechnąłem się, próbując ukryć smutek. Oni też się uśmiechnęli, a za ich uśmiechem kryła się... pełna obaw gotowość do usług. Czekali na moje polecenia. Tyle pytań chciałem im jeszcze zadać, wiedziałem jednak, że to, co mieli do powiedzenia, już powiedzieli. Dostrzegłem lęk w ich oczach i szukałem w myśli właściwych słów, które przywróciłyby im spokój.

Zanim je znalazłem, ktoś stanął tuż za nimi, wypełniając sobą całe drzwi.

Młodzieniec – siedemnaście, osiemnaście lat, cera brzoskwińowa, okrągła buzia dziecka. Ale olbrzym. Jedna trzecia to zwały dziecięcego tłuszczu, różowiutki, krótka szyja, okrągła jak księżyc w pełni twarz. Jasne włosy ostrzyżone na jeża; i niewątpliwie – choć bezskutecznie – starał się wyhodować wąsy. Usta małe, teraz wykrzywione grymasem rozdrażnienia, oczy ledwo widoczne w fałdach różowych okrągłych policzków. Ubrany był w wypłowiałe džinsy i przeogromną, czarną kowbojską koszulę z białymi lamówkami i guzikami z masy perłowej. Rękawy miał podwinięte tak wysoko, jak to tylko było możliwe – opinały różowe przedramiona, każde grubości mojego uda. Stał za Ransomami ociekający potem, zionący żarem, co wzmagało zaduch w pomieszczeniu.

– Kim pan jest? – Mówił przez nos i nie widząc go, nikt by się nie domyślił, że to głos mężczyzny.

– Nazywam się Alex Delaware. Jestem przyjacielem Sharon Ransom.

– Ona już tu nie mieszka.

– Wiem. Przyjechałem...

– Zawracał ci głowę? — zwrócił się do Shirlee.

Drgnęła.

– Ndobry, Gabeel.

Dzieciak łagodnym już tonem powtórzył pytanie, jakby z przyzwyczajenia.

– On gustuje w rysunkach Jaspaa – powiedziała Shirlee.

– Nie zamierzam, Gabrielu, sprawiać nikomu...

– Nie obchodzi mnie, co pan zamierza, czy nie zamierza. Ci ludzie są... wyjątkowi. I trzeba odnosić się do nich wyjątkowo.

Położył swoje wielkie łapska na ramionach obojga.

– Pani Leidecker to twoja matka? – zapytałem.

– I co z tego?

– Chciałbym z nią porozmawiać.

Skulił się, a zamiast oczu miał już tylko szparki. Gdyby nie te jego rozmiary, wyglądałby komicznie – smarkacz udający mocarza.

– A co tu ma do rzeczy moja mama?

– Była nauczycielką Sharon. A ja byłem jej przyjacielem. Są pewne sprawy, o których chciałbym z twoją mamą porozmawiać. A o których tutaj nie mogę mówić. Domyślasz się chyba, o co mi chodzi?

Sądząc z wyrazu jego twarzy – domyślał się.

Cofnął się krok do tyłu i powiedział:

– Mama też nie lubi się denerwować, proszę pana.

– Nie mam zamiaru jej denerwować. Po prostu chcę pogadać.

Milczał.

– Okay, zaprowadzę pana do niej – powiedział po chwili. – Ale cały czas będę przy was, więc niech pan sobie nic nie wyobraża. – Wycofał się za próg. I od razu zrobiło się widno.

– Dobra jest, ludzie – powiedział do Shirlee i Jaspera. – Idźcie do swoich drzewek i dopilnujcie, żeby miały co pić.

Zadarli głowy i popatrzyli na niego. Jasper wręczył mu rysunek.

– Piękny, Jasp – powiedział chłopak. – Dołączę go do swojej kolekcji.

Mówił wolno, otwierając szeroko usta. Po czym dziecko w postaci mężczyzny pochyliło się i poklepało po głowie mężczyznę o umyśle dziecka. Shirlee chwyciła go za rękę, a on musnął ustami jej czoło.

– Uważajcie na siebie, słyszysz, co mówię? Podlewajcie drzewka, bo tylko patrzeć, jak będziemy razem zbierać owoce. I nie gadaj z obcymi!

Shirlee skinęła głową z miną pełną powagi, po czym klasnęła w dłonie i zachichotała. Jasper uśmiechnął się szeroko i dał mu jeszcze jeden rysunek.

– Dzięki. Pracuj dalej, Rembrandcie. – I do mnie: – Idziemy, proszę pana.

Jasper pobiegł za nimi, wydając gardłowe dźwięki. Stanęliśmy. Wręczył mi rysunek i, zawstydzony, odwrócił głowę.

Pochyliłem się, ująłem go pod brodę i powiedziałem: – Bardzo dziękuję – podobnie jak chłopak, wymawiając wyraźnie każde słowo. Uśmiechnął się, więc zrozumiał. Wyciągnąłem do niego rękę.

Tym razem podał mi ufnie wiotką dłoń, trzymał, nie puszczał.

– Chodźmy, proszę pana – powiedział Gabriel. – Niechaj pozostaną w spokoju.

Położyłem lewą rękę na jego dłoni. I odszedłem.

Podążałem za Gabrielem w stronę wierzb, starając się dotrzymać mu kroku. Zanim wszedłem pomiędzy zielone, płaczące gałęzie, obejrzałem się jeszcze. Zobaczyłem ich dwoje stojących ramie przy ramieniu pośrodku działki, przed budami. Patrzyli na nas, jakbyśmy byli podróżnikami-konkwistadorami, którzy zdobędą nowy wspaniały świat, o jakim oni nie mogą nawet marzyć.

Rozdział 29

Zaparkował swój duży, świeżo odnowiony motocykl marki „Triumph” tuż za moją sewillą. Z kierownicy zwisały dwa kaski, jeden czerwony, drugi w barwach amerykańskiego sztandaru. Włożył czerwony, usadowił się na siodełku i włączył silnik.

– Kto ci powiedział, że pojechałem do nich? Wendy?

Pogładził dłonią swojego języka, piorunując mnie wzrokiem.

– Troszczymy się o siebie nawzajem, proszę pana.

Dodał gazu, wzbijając tuman kurzu wśród suchych chwastów, zatoczył koło i popruł do przodu. Wskoczyłem do sevilla, uruchomiłem wóz, jak mogłem najszybciej, ale on już zniknął mi z oczu za porzuconą tłocznią. Po chwili dostrzegłem go, jak skręcał w stronę wsi. Minęliśmy skrzynkę na listy, na której wypisane było jego nazwisko, i dojechaliśmy do szkoły, tam zwolnił i dał sygnał, że skręca w prawo. Przemknął przez podjazd, okrążył boisko i zatrzymał się przed schodami budynku.

Wbiegł po schodach, po trzy stopnie naraz. Przed drzwiami zauważyłem drewnianą tabliczkę z napisem:

SZKOŁA W WILLOW GLEN

założona w 1938 roku

na terenie dawnego rancho Blalocka

Litery były proste, wypalane w drewnie. Ten sam krój pisma widniał na drogowskazie do La Mar Road, prywatnej drogi w Holmby Hills. Zatrzymałem się, żeby przeczytać, tymczasem Gabriel był już na górze, otworzył drzwi, które lada chwila miały się za nim zatrasnąć. Wbiegłem na górę, przytrzymałem drzwi i znalazłem się w przestronnej pustej klasie, w której unosił się ledwo uchwytny zapach farb wodnych i wiórków po temperowanym ołówku. Na jasnych ścianach wisiały plakaty reklamujące zdrowy i bezpieczny styl życia. Żadnych jabłuszek. Na trzech ścianach wisiały tablice. Nad dużym okrągłym zegarem, wskazującym godzinę czwartą czterdzieści, powiewała flaga amerykańska. Naprzeciwko każdej tablicy stało około dziesięciu ławek szkolnych – model staroświecki, z wąskimi pulpitemi i wpuszczanymi kałamarzami.

Nauczyciel, zajmujący miejsce przy biurku, miał przed sobą wszystkie trzy grupy uczniów. Teraz siedziała przy nim jasnowłosa kobieta z ołówkiem w ręku. Gabriel coś do niej szeptał. Gdy mnie zobaczył, wyprostował się i odchrząknął. Kobieta odłożyła ołówek i uniosła na mnie wzrok.

Z początku pomyślałem, że dopiero co minęła czterdziestkę – miała krótkie falujące włosy i kwadratowe ramiona. Ubrana była w białą bluzkę z krótkimi rękawami. Ramiona pulchne, opalone,

długie, wypielęgnowane paznokcie.

Gabriel znowu coś jej szepnął.

Powiedziałem:

– Dzień dobry – i zrobiłem kilka kroków w jej kierunku.

Wstała. Wysoka, starsza niż sądziłem – czterdzieści dziewięć albo tuż po pięćdziesiątce. Bluzkę miała wsuniętą w płócienną brązową spódnicę do kolan. Bujne piersi, w pasie cienka jak osa, co podkreślało szerokość jej ramion. Spod opalenizny przebijały całe pokłady soczystych rumieńców – co by świadczyło, że ma ten sam typ karnacji jak jej syn. Twarz podłużna, sympatyczna, delikatny, poprawiający urodę makijaż, pełne wargi i duże błyszczące oczy koloru bursztynu. Nos wydatny, dołek w brodzie. Szczery, ale zarazem stanowczy wyraz twarzy.

– Dzień dobry – powiedziała chłodno. – Czym mogę panu służyć?

– Chciałbym porozmawiać z panią o Sharon Ransom. Jestem Alex Delaware. Na dźwięk mojego nazwiska wyraz jej twarzy się zmienił. – Och – rzekła innym już tonem.

– Mamo – odezwał się Gabriel, ujmując ją pod ramię.

– W porządku, kochanie. Wracaj do domu, a ja porozmawiam z tym panem.

– Wykluczone, mamo. Nie znamy go.

– Gabe, nie rób problemu.

– Mamo!

– Jeśli ci mówię, że wszystko jest w porządku, to tak właśnie jest. Wracaj do domu i zabierz się za robotę. Trzeba przyciąć spartany za grządką dyni. Kukurydza czeka na wyłuskanie i czas, żeby podwiązać winorośla.

Burknął coś, obrzucił mnie złym spojrzeniem.

– No idź, Gabey – powiedziała.

Puścił jej ramię, jeszcze jedno nieprzyjazne spojrzenie w moją stronę, po czym wyjął z kieszeni kluczyk i wyszedł mrużąc pod nosem.

– Dziękuję ci, kochanie! – krzyknęła za nim. – Wiosną straciliśmy pana Leideckera, mego męża – powiedziała, gdy chłopca już z nami nie było. – Od tej pory Gabe stara się zastąpić ojca i chyba jest trochę nadopiekuńczy.

– Dobry syn – powiedziałem.

– Wspaniały! Ale to jeszcze dziecko. Ludzie są na ogół wstrząśnięci jego budową. Nie zdają sobie sprawy, że on ma dopiero szesnaście lat. Nie słyszałam, żeby odjechał. A pan?

– Też nie słyszałem.

Podeszła do okna.

– Powiedziałam, wracaj do domu, Gabrielu! – krzyczała. – Jak przyjdę, winorośla mają być podwiązane, bo inaczej się nie pozbierasz, synu!

Z dołu dobiegły odgłosy protestu. Stała w oknie z rękami na biodrach.

– Co za dziecko – powiedziała. – Prawdopodobnie to moja wina, wobec jego braci byłam znacznie surowsza.

– Ile pani ma dzieci?

– Pięcioro. Pięciu chłopaków. Poza Gabrielem wszyscy już żonaci. Prawdopodobnie to działa moja podświadomość: chcę, żeby jak najdłużej był dzieckiem. Zmiataj! – krzyknęła, machając do syna przez okno.

Dał się słyszeć warkot zapalonego triumpha.

Gdy wszystko wreszcie ucichło, wyciągnęła do mnie rękę i powiedziała:

– Jestem Helen Leidecker. Proszę mi wybaczyć to oschłe powitanie. Gabe nie powiedział mi, kim pan jest i z czym pan przychodzi. Tylko że jakiś obcy myszkuje u Ransomów i chce ze mną rozmawiać. – Wskazała na ławki szkolne. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, proszę usiąść w ławce.

– Wspomnienia z dawnych lat – powiedziałem, wciskając się do pierwszego rzędu.

– Naprawdę? Chodził pan do takiej samej szkoły?

– Mieliśmy więcej sal, ale wyglądały podobnie.

– Gdzie to było, panie doktorze?

Doktorze? Nie mówiłem jej, że jestem doktorem.

– Missouri.

– Środkowy Zachód – rzekła. – A ja pochodzę z Nowego Jorku. Gdyby ktoś mi powiedział, że wyląduję kiedyś w takiej zabitej deskami dziurze jak Willow Glen, wyśmiałabym go.

– Z jakiej dzielnicy Nowego Jorku pani pochodzi?

– Long Island. Hamptons – niezbyt bogata dzielnica. Moi rodzice pracowali u bogacza.

Usiadła przy biurku.

– Może chciałby się pan napić? – zapytała. – Mam tu dobrze zaopatrzoną lodówkę, ale chyba tylko w napoje mleczne i sok pomarańczowy. – Uśmiechnęła się i znowu wyglądała młodo. – Powtarzam to tyle razy, że już mi się wryło w mózg.

– Nie, dziękuję – rzekłem. – Jadłem obfity lunch.

– Wendy jest świetną kucharką, prawda?

– I świetnie działa jej system wczesnego ostrzegania.

– Jak już wspomniałam, panie doktorze, żyjemy tu w małej wiosce i wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą.

– Czy to także dotyczy Shirlee i Jaspera Ransomów?

– Szczególnie ich. Potrzebują ludzkiej życzliwości.

– Zwłaszcza teraz – powiedziałem.

Policzki jej opadły, jakby nagle zwiotczały.

– Straszne – mruknęła i otworzyła szufladę biurka. Wyjęła z niej haftowaną chusteczkę i przyłożyła do oczu. Gdy znów na mnie spojrzała, stwierdziłem, że smutek powiększył jej duże oczy.

– Oni nie czytają gazet – powiedziała. – Z dużą czcionką to może by sobie poradzili. Jak ja mam im to powiedzieć?

Nie znalazłem odpowiedzi. W ogóle byłem już zmęczony nieustannym szukaniem odpowiedzi.

– Czy oni mają jakąś rodzinę?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Mieli tylko ją. I mnie. Jestem dla nich jak matka. Muszę jakoś uporać się z tym problemem, wiem o tym.

Przysłoniła chustką całą twarz, jakby robiła sobie okład.

– Proszę mi wybaczyć – ciągnęła. – Jestem tym wciąż wstrząśnięta, tak jak wtedy, pierwszego dnia, kiedy o tym przeczytałam. To straszne, przerażające. Nie mogę wprost uwierzyć. Była taka piękna, taka pełna życia.

– Tak, to prawda.

– Ja ją wychowywałam, pod każdym względem. I teraz ona nie żyje, skreślona z rejestru. Jakby nigdy nie istniała, ona, zawsze pierwsza... Idiotycznie zmarnowane życie. Kiedy o niej myślę, to czuję złość. A to nieładnie. To było jej życie. Nigdy mnie o nic nie prosiła, nigdy... O Boże, nie wiem.

Odwróciła twarz. Makijaż spływał wraz ze łzami. Przypominała koktajl, który został z poprzedniego wieczora.

– To było jej życie – powtórzyłam. – Ale wielu ludzi nosi w sercu żal po niej.

– To coś więcej niż żal – powiedziała. – Coś znacznie gorszego. Strach pomyśleć. Myślałam, że tak dobrze ją znam, jakby była moją córką, a tymczasem przez te wszystkie lata tyle bólu musiała w sobie nosić. A ja nic nie wiedziałam.

– Nikt nie wiedział – rzekłam. – Tak naprawdę to ona zawsze była skryta, zamknięta w sobie.

Helen uniosła w górę obie dłonie, a potem opuściła je siłą bezwładu.

– Cóż takiego mogło ją spotkać, że straciła wszelką nadzieję?

– Nie wiem. Dlatego właśnie tu jestem, proszę pani.

– Helen.

– Alex.

– Alex – powtórzyła. – Alex Delaware. Dziwne, że po tylu latach spotkaliśmy się. Bo właściwie tak jakbym ciebie znała. Opowiadała mi o tobie, mówiła jak bardzo cię kocha. Twierdziła, że jesteś w jej życiu jedyną prawdziwą miłością, choć przecież wiedziała, że z powodu twojej siostry nic z tego nie wyjdzie. A mimo to podziwiała cię za twoje oddanie Joan.

Zdębiałam. Zaskoczenie, jakie niewątpliwie odmalowało się na mojej twarzy, musiała uznać za przejaw bólu, bo spojrzała na mnie ciepło, z sympatią.

– Joan – powiedziałam.

– Biedactwo. Jak ona się czuje?

– Bez zmian.

Pokiwała ze smutkiem głową.

– Sharon wiedziała, że jej stan nigdy nie ulegnie poprawie. I choć twoje poświęcenie dla Joan oznaczało, że nigdy nie będziesz się mógł związać z żadną kobietą, uwielbiała cię za to. Powiedziałabym, że w dwójnasób cię za to kochała. Mówiła o tobie jak o świętym. W naszych czasach to doprawdy wyjątkowe.

– Jaki tam ze mnie święty – rzekłem.

– Ale jesteś dobrym człowiekiem. Ze świecą takich szukać. – Zamyśliła się. – Mój mąż też był taki. Małomówny, uparty Duńczyk, ale złote serce. Gabe ma coś z tej jego dobroci, to porządny chłopak. Mam nadzieję, że strata ojca w tak młodym wieku nie pozbawi go wrażliwości.

Wstała, podeszła do jednej z tablic i kilka razy przejechała po niej ściereczką. Wyglądało jakby ta prosta czynność kosztowała ją sporo wysiłku. Usiadła przy biurku, wygładziła dłonią leżące na nim papiery.

– Rok śmierci – powiedziała ze smutkiem. – Biedni Shirlee i Jasper. Boję się im powiedzieć. To moje zadanie. Odmieniłam ich życie, a teraz ta odmiana zaowocowała tragedią.

– Dlaczego miałabyś siebie obwiniać...

– Proszę cię – przerwała mi łagodnie. – Tak, nie ma po temu racjonalnych podstaw, ale nie potrafię pozbyć się tego uczucia. Gdybym nie wtrąciła się w ich życie, wszystko potoczyłoby się inaczej.

– Wcale nie musiałyby być lepiej.

– Bo ja wiem. – Oczy jej napęłniły się łzami. – Bo ja wiem... – Spojrzała na wiszący na ścianie zegar. – Siedziałam nad tymi papierzyskami całe popołudnie. Muszę trochę rozprostować kości.

– Ja też – powiedziałem.

Gdy wychodziliśmy z budynku, wskazałem na drewnianą tabliczkę.

– Rancho Blalocka. Zdaje się, że zajmuje się transportem morskim, prawda?

– Stal i koleje. Właściwie to nigdy nie było prawdziwe rancho. W latach dwudziestych konkurowali z „South Pacific”, jeśli idzie o połączenia kolejowe Kalifornii z resztą kraju. Przymierzali się do budowy lokalnej linii kolejowej San Bernardino-Riverside i kupili w obydwu okręgach spory kawał ziemi, należącej wówczas do wiosek. Zapłacili wysoką cenę za dużą działkę sadownikom w Willow Glen, którzy uprawiali tę ziemię od czasu wojny secesyjnej. W efekcie powstało coś, co oni nazywali ranchem. Ale nie było tam żadnych upraw ani hodowli, ogrodzili po prostu teren i zbudowali przed bramą wieżyczki strażnicze. A linia kolejowa nigdy nie powstała – kryzys. Po wojnie odsprzedali ludziom małe działki. A kilka większych przechwyciła inna korporacja.

– Jaka?

Przejechała dłonią po włosach.

– Jakiś koncern lotniczy, którym kierował ten zwariowany miliarder Belding. – Uśmiechnęła się. – I tyle na dziś o historii Kalifornii, doktorze, koniec lekcji.

Wkroczyliśmy na boisko. Szliśmy wolnym krokiem, mijając bieżnię, huśtawki, kierując się w stronę lasu, który jak dywan mienił się zielenią u stóp gór.

– Czy Magna wciąż jest właścicielem tego terenu? – zapytałem.

– Większości. Ale oni nie chcą sprzedawać ziemi. Ludzie chcieli kupować, ale nic z tego nie wyszło. W ten sposób Willow Glen zaczęło podupadać. Żadnych szans rozwoju. Więc stare rodziny dały za wygraną; sprzedali swoje posiadłości bogatym lekarzom i adwokatom, którzy jako niby sadownicy mogli zrobić odpis podatkowy, i koniec na tym. Zatkane rowy irygacyjne, drzewa nieprzycinane, gleba nieużywna. Na ogół nie fatygują się nawet, by przyjechać na zbiór plonów. W wielu miejscach ziemia wyschła, stwardniała jak cement. Więc ci nieliczni, którzy zostali w Willow Glen, zrobili się bardzo podejrzliwi i nieufni – są przekonani, że istnieje jakiś tajemny plan doprowadzenia wioski do całkowitego upadku, wtedy ludzie z miasta wykupią za bezcen ziemię i ustanowią tu coś w rodzaju kondominium.

– O tym właśnie mówiła Wendy.

Jej rodzice są tutaj nowi, przybysze z innych stron, dosyć naiwni. Ale ich przedsiębiorczość jest godna podziwu.

– Kto jest właścicielem tego skrawka ziemi, na którym mieszkają Shirlee i Jasper?

– Magna.

– Czy wszyscy o tym wiedzą?

– Dowiedziałam się o tym od męża, a on nie rzucał słów na wiatr.

– Jak do tego doszło?

– Tego nikt nie wie. Według słów mego męża – mnie tu wtedy nie było – Ransomowie zjawili się w Willow Glen w roku pięćdziesiątym szóstym, przyszli do supermarketu po zakupy, bo wtedy był tu supermarket. Kiedy ludzie ich zagadywali, Jasper machał rękami, mruzczał coś pod nosem i chichotał. Było jasne, że są upośledzeni umysłowo, dzieci, które nigdy nie dorosły. Panowała opinia, że uciekli z jakiegoś zakładu, może po prostu wysiedli z autobusu i znaleźli się w tym supermarkecie całkiem przypadkowo. Ludzie im pomagali, gdy było trzeba, ale nikt się nimi specjalnie nie interesował. Nie stanowili żadnego zagrożenia.

– Ktoś się jednak interesował – powiedziałem. – Pięćset dolarów miesięcznie.

Obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem.

– Słucham?

– Widziałem ich książeczkę czekową. Leżała na komodzie.

– Na komodzie? I co ja mam z nimi zrobić? Tyle razy mówiłam, żeby nie trzymali jej na wierzchu,

albo żeby dali mi ją na przechowanie. Ale nie chcą, jest dla nich chyba jakimś symbolem wolności. Potrafią być uparci. Szczególnie Jasper. Widziałeś te okna z woskowanym papierem? Tyle lat minęło, a on wciąż nie chce się zgodzić na wstawienie szyb. Biedna Shirlee marznie w zimie. Zanosimy im z Gabrielem stopy koców, a pod koniec zimy są zapleśniałe, nie do użytku. Jasper w ogóle nie przejmuje się zimnem. Trzeba biedakowi powiedzieć, żeby schronił się przed deszczem, bo inaczej zmókłby do suchej nitki. – Potrząsnęła głową. – Na komodzie! Nie chodzi o to, że ktoś z okolicy mógłby im zrobić krzywdę, ale taką kupą pieniędzy nie należy się afiszować. Szczególnie w ich wypadku – dwoje bezbronnych, naiwnych ludzi.

– Kto im to przysyła?

– Nigdy się tego nie dowiedziałam. Nadchodzą każdego pierwszego dnia miesiąca, z Los Angeles. Zwykła biała koperta, adres napisany na maszynie, bez nadawcy. Shirlee nie ma wyczucia czasu, więc nie umiała mi powiedzieć, od kiedy dostają te pieniądze, wie tylko, że od dawna. Do roku sześćdziesiątego dostarczał im pocztę Ernest Halverson, potem przeszedł na emeryturę. Jego zdaniem, bo przypomina sobie tę białą kopertę, zaczęło się to w roku pięćdziesiątym szóstym albo siódmym, ale kiedy z nim rozmawiałam, był już po kilku wylewach i niewiele pamiętał. Inni starzy mieszkańcy od dawna nie żyją.

– Zawsze ta sama kwota?

– Nie. Najpierw trzysta, potem czterysta. Wzrosła do pięciuset, gdy Sharon skończyła college.

– Przemysłny dobroczyńca – powiedziałem. – A jak oni sobie radzili z tymi pieniędzmi?

– Nie radzili sobie. Zanim zaczęliśmy się nimi opiekować, żyli jak zwierzęta. Co parę tygodni wędrowali do miasta po zakupy z trzema lub dwoma dwudziestodolarowymi banknotami – nie wiedzieli, jak je rozmiąć, nie wiedzieli, ile co kosztuje. Na szczęście ludzie u nas są uczciwi i nikt nigdy nie wykorzystał ich naiwności.

– A nie byli ciekawi, skąd ci biedacy mają pieniądze?

– Na pewno, ale mieszkańcy Willow Glen nie są wścibscy. Nikt zresztą nie wiedział, ile mają tych pieniędzy. Dopóki Sharon ich nie znalazła – banknoty pochowane pod materacem albo poniewierające się po szufladach. Jasper użył kilku jako tworzywa do swojej artystycznej działalności. Domalowywał wąsy prezydentom, a z kilku zrobił samolociki.

– Ile lat miała Sharon, gdy dokonała tego odkrycia?

– Niespełna siedem. W roku sześćdziesiątym. Pamiętam dobrze ten rok, bo zimowe deszcze były wyjątkowo obfite. Te ich budy były przeznaczone na magazyn, pod podłogą jest tylko cienka warstwa cementu, więc pomyślałam, że na pewno ich zalało. I wybraliśmy się tam oboje z mężem. Rzeczywiście sytuacja była dramatyczna. Wszędzie pełno brudnej wody, kurz pływał jak rozpuszczona czekolada. Woda wlewała się przez okna. Shirlee i Jasper stali po kolana w błocie, przerażeni i kompletnie bezradni. Sharon nie było, więc wysłałam, żeby ją znaleźć. Stała na łóżku w swojej budzie, zawinięta w koc, trzęsła się i mówiła coś o zielonej zupie. Nie mogłam zrozumieć, o

co jej chodzi. Przytuliłam ją do siebie, chciałam ją ogrzać, ale ona wykrzykiwała bez ustanku o tej zielonej zupie.

Kiedy weszliśmy z powrotem do ich budy, mój mąż stanął jak osłupiały i wskazał mi palcem całą masę pieniędzy. Z początku pomyślałam, że to takie pieniądze do zabawy – dawałam Sharon różne gry – lecz nic podobnego. Banknoty były prawdziwe. Oboje z mężem staraliśmy się trochę z tego uratować. Wysuszyliśmy je nad kominkiem, potem włożyliśmy do pudełka po cygarach. A potem, jak tylko ustały deszcze, zabrałam Jaspera i Shirlee do Yucaipy i założyłam im konto bankowe. Podpisałam, gdzie było trzeba i zostawiłam im pewną kwotę na doraźne wydatki. Wtedy dopiero się uspokoiłam. Starłam się ich nauczyć podstawowej arytmetyki, jak planować budżet, jak rozmieniać pieniądze. W końcu coś z tego chwycili i jakoś sobie radzą. Ale w gruncie rzeczy nie rozumieją, do czego służą pieniądze. Mogliby żyć za nie wygodnie i bezpiecznie aż do śmierci. Mam na myśli ośrodki opiekuńcze.

– Ile oni mają lat?

– Nie wiem, i oni też nie wiedzą. Nie mają żadnych dokumentów, nie wiedzą nawet, kiedy są ich urodziny. Władze też nigdy o nich nie słyszały. Gdy zgłosiliśmy ich do ośrodka opieki, podaliśmy ich wiek z sufitu, także datę urodzenia.

Pani Nowy Rok i pan Boże Narodzenie.

– To było wtedy, gdy Sharon wyjechała do college'u?

– Tak. Chciałam zabezpieczyć im przyszłość...

– Jak sobie poradziłaś z datą urodzenia Sharon?

– Kiedy miała dziesięć lat, obie ustaliłyśmy pewną datę. – Uśmiechnęła się. – Czwarty lipca. Jej Deklaracja Niepodległości. Przyjęłam rok urodzenia – 1953. Oparłam to na danych, jakie uzyskałam od lekarzy – kości po prześwietleniu, zęby, wzrost, rozmiary ciała.

Obchodziliśmy kiedyś jej urodziny. Piętnasty maja. Piętnasty maja 1975 roku. Bardzo uroczyście. Wspólny obiad, tańce, uprawianie miłości. Kolejna fikcja. Zastanawiałam się wówczas, co ta data symbolizuje.

– A czy nie sądzisz – zapytałam – że była ich biologiczną córką?

– To raczej mało prawdopodobne. Lekarz zbadał wszystkich troje i orzekł, że Shirlee prawie na pewno jest bezpłodna. Więc skąd się Sharon wzięła, prawda? Jakiś czas dręczyło mnie podejrzenie, że może ją porwali. Pojechałam do San Bernardino i przejrzałam sześć roczników gazet z całego kraju; znalazłam dwie sprawy, które mogłyby dotyczyć Sharon, ale dalej przeczytałam, że ową dwójkę dzieci zamordowano. Więc jej pochodzenie wciąż okrywała tajemnica. Gdy pytałam o to Shirlee, odpowiadała chichocząc, że Sharon dostali w prezencie.

– Mnie powiedziała, że to tajemnica.

– Wciąż ta sama zabawa – zgrywanie się na tajemniczość. Zachowują się naprawdę jak małe dzieci.

– Jaka teoria przeważa w kwestii pochodzenia Sharon?

– Prawdę mówiąc, nie ma żadnej teorii. Weź pod uwagę, że lekarz nie był absolutnie pewny bezpłodności Shirlee, powiedział „prawie na pewno”. Wszystko na tym świecie jest możliwe. Choć myśl o tym, że dwoje takich ludzi jak oni mogło powołać do życia kogoś tak niezwykle, wydaje się... – Urwała. – Nie, Alex, nie mam pojęcia, co o tym sądzić.

– Ale chyba Sharon pragnęła dowiedzieć się prawdy?

– To ty tak uważasz. Tymczasem ona nigdy nie przejawiała zainteresowania własną tożsamością. Nawet jako dorosła już dziewczyna. Wiedziała, że różni się od Shirlee i Jaspera, ale kochała ich takimi, jakimi byli. Jedyne jej rozterka, jakiej byłam świadkiem, miała miejsce w lecie, przed ukończeniem przez nią college’u. Przeżywała wtedy ciężkie chwile – była podekscytowana, przestraszona i pełna poczucia winy, że będzie musiała ich opuścić. Wiedziała, że skacze na głęboką wodę i że w jej życiu wszystko się zmieni.

Helen zatrzymała się, podniosła z ziemi dębowy liść i owinęła go między palcami. Nad drzewami niebo już ciemniało. Gwiazdy, których nie przyćmiewały światła wielkiego miasta, rozjaśniały zapadający wokół mrok.

– Kiedy ostatnio Sharon odwiedziła Willow Glen?

– O, dawno temu – odparła, i zabrzmiało to tak, jakby przyznawała się do winy. – Skoro już raz zerwała z tym światem, powrót do niego byłby chyba dla niej bardzo bolesny. Może to wyglądać na brak wrażliwości, ale ona naprawdę była kimś wyjątkowym.

Szliśmy krok za krokiem. Okna szkoły świeciły w ciemności; pomarańczowo-żółte prostokąty. Nie odeszliśmy daleko – krążyliśmy wciąż wokół boiska.

– Ostatnio była tu w roku siedemdziesiątym piątym – powiedziała Helen. – Skończyła college i została przyjęta na studia. Przenosiła się do Los Angeles. Urządziłam na jej cześć skromne przyjęcie. Mój mąż i chłopcy włożyli białe wykrochmalone koszule, odpowiednie krawaty, a dla Shirlee i Jaspera kupiłam co potrzeba, ubrałam ich od stóp do głów. Sharon wyglądała uroczo, jak z obrazka. Wszystkim nam wręczyła podarunki: drewniane liczydła ręcznej roboty dla Shirlee, a dla Jaspera angielskie kolorowe ołówki. Podarowała im także fotografię z uroczystości rozdania dyplomów.

– Nie widziałem tego zdjęcia w ich budzie.

– Tak, gdzieś się im zapodziało. Tak jak pieniądze. Nigdy nie wiedzą, co mają. Rozumiesz chyba, że to nie było miejsce dla Sharon. To cud, że w ogóle przeżyła... zanim ją znalazłam...

– Shirlee pokazała mi list. Jak często do nich pisała?

– Nieregularnie, ale jakie to ma znaczenie? Oni są właściwie analfabetami. Za to regularnie do

mnie dzwoniła, żeby dowiedzieć się, co u nich słyszeć. Naprawdę troszczyła się o nich. – Rzuciła liść. – Było jej bardzo ciężko, musisz to zrozumieć. Walczyła ze sobą, przygniatało ją poczucie winy. Często jej powtarzałam, że ma rację, że postępuje słusznie. Co innego mogła zrobić? Zostać tu na zawsze w charakterze opiekunki niepełnosprawnych, siostry miłosierdzia? – Zatrzymała się. – Och, tak mi przykro, zawsze coś palnę...

Przez chwilę nie mogłem się zorientować, o co jej chodzi.

– Aha, Joan – powiedziałem.

– Jestem pełna podziwu dla twojego poświęcenia.

– Jestem zadowolony z wyboru, jakiego dokonałem – wzruszyłem ramionami.

– Tak. Sharon mi o tym mówiła. I właśnie o to mi chodzi. Ona też musiała dokonać wyboru. Nie mogła stać się niewolnikiem pokrętnego losu.

– Kiedy opowiedziała ci o Joan?

– Jakies sześć miesięcy po tym przyjęciu. Była już wtedy na pierwszym roku studiów. Zadzwoniła, żeby zapytać o Shirlee i Jaspera. Wydała mi się bardzo smutna, wyczułam, że ma jakieś zmartwienie. Zapytałam, czy może chce się ze mną zobaczyć, i ku memu zdziwieniu powiedziała, że tak. Spotkałyśmy się na lunchu w Redlands. Wyglądała jak kobieta na stanowisku, dojrzała, o świetnej prezencji. Tylko smutna – błękitny anioł. Zapytałam ją o powód. Powiedziała, że spotkała mężczyznę swoich marzeń. Bardzo długo opisywała twoje zalety... „Sądząc z twoich słów, jest chodzącą doskonałością – powiedziałam. – Dlaczego więc ta smutna mina?” I właśnie wtedy opowiedziała mi o Joan, że z jej powodu wasz związek nie ma przyszłości.

– Czy wspomniała, co było powodem kalectwa Joan?

– Że się topiła? Tak, mówiła. To straszne, i ty jako mały chłopiec byłeś tego świadkiem.

By mnie pocieszyć ujęła mnie za ramię.

– Ona cię rozumiała, Alex. Nie było w niej ani odrobiny gorzkości, ani złości.

– Czy to był jedyny powód jej smutku?

– O niczym innym nie mówiła.

– A kiedy spotkałyście się znowu?

– Już nigdy – przygryzła wargę. – To było nasze ostatnie spotkanie. Ale dzwoniła. Tyle że coraz rzadziej. Pół roku później telefony się urwały. Dostawaliśmy tylko kartki na Boże Narodzenie i paczki z owocami. – Po chwili dodała z uśmiechem: – Oprócz jabłek.

Szliśmy kilka kroków w milczeniu.

– Rozumiałam ją – ciągnęła. – Choć namawiałam ją do wyrwania się stąd, byłam przecież częścią jej dawnego świata. A ona chciała zapomnieć. Po latach, kiedy obroniła pracę doktorską, przysłała mi zaproszenie na uroczystą promocję. Dotarła do pewnego punktu i poczuła się na tyle bezpieczna, by nawiązać zerwane kontakty.

– I pojechałaś.

– Tak, ale się spóźniłam, przyjechałam dzień za późno. Poczta nawaliła, na naszych wiejskich trasach często to się zdarza.

Ale pieniądze dla Ransomów zawsze docierały terminowo. Nic nie powiedziałem.

– Przez wszystkie te lata – mówiła dalej – sądziłam, że ją rozumiem, teraz jednak wiem, że było to złudzenie. Mało ją znałam.

Szliśmy ku żółtym oknom.

– W jakich okolicznościach zetknęłaś się z Sharon po raz pierwszy? – zapytałem.

– Stało się to dzięki mojej wścibskiej naturze i potrzebie pomagania ludziom. To było niedługo po moim ślubie, w pięćdziesiątym siódmym roku, kiedy mój mąż sprowadził mnie tutaj. – Potrząsnęła z niedowierzaniem głową. – Trzydzieści lat – powiedziała i zamilkła.

– Przeniesienie się z miasta do Willow Glen musiało być dla ciebie nie lada wstrząsem.

– Tak, oczywiście. Po skończeniu college’u otrzymałam posadę nauczycielki w szkole prywatnej przy Upper East Side of Manhattan – dzieci bogatych rodziców. Wieczorami uczyłam jako wolontariuszka na kursach wieczorowych i tam właśnie poznałam pana Leideckera. Służył w wojsku i dzięki Wujowi Samowi uczęszczał na kursy do Miejskiego College’u. Pewnego wieczoru wszedł do sali z miną człowieka kompletnie zagubionego. Zaczęliśmy rozmawiać. Był bardzo przystojny i tak bardzo różnił się od tych wszystkich płytkich młodzieńców, jakich spotykałam w mieście. Opowiadał o Willow Glen tak, jakby to był raj na ziemi. Kochał te strony – jego korzenie sięgały tu głęboko. Jego rodzina przybyła tu z Pensylwanii w poszukiwaniu złota. Dojechali do Willow Glen i zostali, z powodu Złoty Delicji – jak mówił. Po dwóch miesiącach wysłałam za mąż i zostałam nauczycielką w wiejskiej szkole.

Doszliśmy do budynku szkolnego. Spojrzała w niebo.

– Mój mąż nie lubił dużo mówić, ale jak już zaczął, to opowiadał ciekawe historie. Pięknie grał na gitarze i śpiewał jak marzenie. Dobrze nam się razem żyło.

– Wyobrażam sobie.

– Dlatego pokochałam ten skrawek ziemi. Ludzie tutaj są dobrzy, uczciwi; dzieci wzruszająco niewinne... zwłaszcza zanim dotarła tu telewizja kablowa... Ale to cena jaką płacimy za postęp. Kiedyś uważałam się za intelektualistkę – nie, żebym była nią naprawdę, ale lubiłam chodzić na wieczory poetyckie w Greenwich Village, zwiedzać galerie sztuki, słuchać koncertów w muszli w

Central Parku. W ogóle lubiłam miasto. Nowy Jork był kiedyś piękny. Czystszy niż teraz, znacznie bezpieczniejszy. A różne idee i pomysły rodziły się, można powiedzieć, na kamieniu.

Staliśmy przed schodami. Światło z góry padało na jej twarz, zapalało ogniki w oczach. Dotknęła mnie biodrem. Szybko się odsunęła, poprawiając włosy.

– Willow Glen to kulturalna pustynia – mówiła, wchodząc po stopniach na górę. – Należę do czterech Klubów Książki, prenumeruję około dwudziestu miesięczników, ale wierz mi, to tylko namiastka. Na początku zmuszałam męża, by mnie woził do Los Angeles na koncerty w filharmonii, do San Diego na festiwal szekspirowski... Godził się zawsze bez słowa sprzeciwu, poczciwy był z niego człowiek. Ale ja wiedziałam, że on tego nie cierpi – na każdym spektaklu zasypiał, aż wreszcie dałam mu święty spokój. Jedyna sztuka, jaką widziałam ostatnimi laty, to ta, którą sama napisałam, widowisko Bożonarodzeniowe, wystawione przez dzieci. Kolędy przy akompaniamencie mojego rozstrojonego fortepianu. – Roześmiała się. – Ale dzieciom się podobało, nie mają zbyt wyrafinowanych gustów. W domach mówi się wyłącznie o zarabianiu pieniędzy. Sharon była inna. Miała chłonny umysł, lubiła się uczyć.

– Zdumiewające – powiedziałem. – Jeśli się weźmie pod uwagę jej domowe środowisko.

– Tak, zdumiewające. Tym bardziej dla mnie, bo widziałam, w jakim była stanie, gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy. Rozkwitła, rozwinęła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nie mówiąc o tym, jak sprawy potoczyły się dalej.

Przełknęła łyżę, weszła do sali i usiadła na swoim miejscu za biurkiem. Obserwowałam jej wysiłki, by nad sobą zapanować.

– W jakich okolicznościach zetknęłaś się z Sharon po raz pierwszy? – powtórzyłem pytanie.

– Niedługo po przyjeździe. Słyszałam, jak moi uczniowie opowiadają sobie o pewnej rodzinie umyślowo upośledzonej – oni tak mówili, nie ja – że mieszkają za starą, porzuconą tłocznią. Dwoje dorosłych i mała dziewczynka, która biega nago po obejściu i piszczy jak małpka. Z początku sądziłam, że to fantazje, dzieci ubóstwiają takie opowieści. Lecz kiedy wspomniałam o tym mężowi, powiedział: „Tak, to prawda. Mieszkają tam Jasper i Shirlee Ransomowie, upośledzeni, ale nieszkodliwi”. Nie przejęłam się tym zbyt, każda wieś ma swoich „miejscowych głupków”. „Ale co z dzieckiem? – zapytałam po chwili. – Też jest niepełnosprawne? Dlaczego nie chodzi do szkoły? Czy była szczepiona? Czy ktoś się nią zainteresował, sprawdził, czy na przykład odżywia się prawidłowo?” Moje pytania wzbudziły jego niepokój. „Przyznam się, Helen, że nigdy o tym nie pomyślałem” – powiedział. Był wyraźnie zawstydzony – już taki był.

Nazajutrz po szkole pojechałam drogą, o jakiej mówił, minęłam tłocznię i zaczęłam się rozglądać. Było tak, jak opisywały dzieci: „Droga tytoniowa”. Te żałosne budy – były wtedy w znacznie gorszym stanie. Bez bieżącej wody, bez elektryczności, ogrzewania gazowego... Wodę brali ze starej pompy z Bóg wie jakimi bakteriami. Zanim posadziliśmy im drzewka, budy otaczał splacheć wysuszonej, zachwaszczonej ziemi. Zobaczyłam Shirlee i Jaspiera. Uśmiechali się do mnie, potem oprowadzili mnie po swoim nędznym obejściu i nie zauważyłam ani cienia sprzeciwu czy podejrzliwości, gdy wyraziłam chęć wejścia do ich domostwa. I tu pierwsze zaskoczenie.

Przypuszczałam, że zastanę straszny brud i bałagan, tymczasem wszystko było wyszorowane ługowym mydłem, szczególnie porządnie ułożone były ubrania, łóżka zasłane tak równo, że można by było toczyć po nich monetę. Oboje też czysti, zadbani, tylko uzębienie pozostawiało sporo do życzenia.

– Dobra szkoła – powiedziałam.

– Tak. Ktoś musiał im wpoić pewne podstawy, co potwierdzałoby teorię, że wcześniej byli w jakimś zakładzie. Niestety owe podstawy nie obejmowały pielęgnacji dziecka. Sharon była okropnie brudna, te jej wspaniałe czarne włosy były aż szare od kurzu, splątane, skołtunione. Po raz pierwszy zobaczyłam ją na wierzbie, zwiniętą w kłębek, golutką, jak ją Pan Bóg stworzył. W rękach trzymała coś błyszczącego. Patrzyła w dół tymi swoimi ogromnymi niebieskimi oczami. Rzeczywiście przypominała małpkę. Poprosiłam Shirlee, żeby kazała jej zejść z drzewa. Shirlee zawołała ją...

– Po imieniu?

– Tak. Sharon. Jeśli chodzi o imię, od początku nie było wątpliwości. Shirlee wciąż wołała, prosiła, żeby dziewczynka zeszła na dół, ale Sharon ignorowała ją kompletnie. Widać było, że o żadnym rodzicielskim autorytecie nie ma tu mowy, nie potrafili jej wychowywać i kontrolować. W końcu, kiedy udałam, że nie zwracam na nią najmniejszej uwagi, zeszła z drzewa i stojąc koło pnia, przyglądała mi się uważnie. Nie była przestraszona, wręcz przeciwnie, odnosiłam wrażenie, że cieszy się na widok obcej twarzy. Potem zrobiła coś, co po raz drugi wprowadziło mnie w zdumienie. Ta błyszcząca rzecz w jej ręczce to był otwarty słoik z majonezem. Zanurzyła w nim palec, zagarnęła sporą porcję i zabrała się do jedzenia. Zapach znęcił muchy, które zaczęły krążyć wokół jej głowy. Wyraźnie ją to bawiło. Wyjęłam słoik z jej rączek. Piszczęła, ale nie za głośno. Otoczyłam ją ramieniem. Chyba jej się to spodobało, bo minę miała zadowoloną. Okropnie cuchnęła i wyglądała jak dzikuska – często się słyszy o takich dzieciach. Ale mimo to była fantastyczna – ta twarz, te oczy.

Posadziłam ją na pieńku, wskazałam na majonez i powiedziałam: „To się je z tuńczykiem albo z szynką. Nie je się majonezu bez niczego”. Shirlee też słuchała. I nagle zaczęła chichotać. Sharon poszła za jej przykładem, roześmiała się i brudnymi, umazanymi majonezem rączkami przeczesła włosy. Powiedziała: „A ja lubię sam majonez”. Głosem dźwięcznym jak dzwonek. Zdumiałam się. Myślałam, że ona też jest upośledzona umysłowo, że mówi słabo albo wcale. Przyjrzałam się jej z bliska i zauważyłam bystre spojrzenie jej oczu, żywą reakcję na każdy mój ruch. Stanowczo nie była dzieckiem upośledzonym. Była również bardzo sprawna fizycznie. Kiedy jej powiedziałam, że podoba mi się jak wspina się po drzewach, zaczęła się przede mną popisywać – weszła na drzewo nie pomagając sobie rękami, zeskoczyła, zrobiła kilka fikołków, stanęła na rękach. Shirlee i Jasper przyglądali się i klaskali w dłonie. Była ich zabawką.

Zapytałam, czy mogę wziąć ją do siebie na kilka godzin. Zgodzili się bez wahania, choć przecież widzieli mnie po raz pierwszy. Żadnej więzi, jaka łączy rodziców z dzieckiem, byli po prostu szczerze nią zachwyceni. Na pożegnanie wyściskali ją i wycalowali.

– A jak Sharon zareagowała!

– Nie była uszczęśliwiona, ale też nie stawiała oporu. Szczególnie nie lubiła, kiedy przykrywałam ją kocem. Zabawne: jak już przyzwyczaiła się do ubrania, to zawsze się broniła, kiedy usiłowałam ją

rozebrać – jakby nagość wracała ją tamtemu życiu.

– Na pewno – powiedziałem i przypomniałem sobie, jak kochaliśmy się na tylnym siedzeniu samochodu.

– Stała się istną modnisią – oglądała wszystkie moje żurnale i wycinała te fasony, które przypadły jej do gustu. Nie lubiła spodni, tylko sukienki.

Setki sukienek.

– Jak to było, kiedy po raz pierwszy zabrałaś ją do siebie? – zapytałem.

– Pozwoliła wziąć się za rączkę i wsiadła bez protestów do samochodu. Jakby nie była to dla niej pierwszyna. W czasie jazdy coś do niej mówiłam, ale ona tylko siedziała i wyglądała przez okno. Kiedy zatrzymałam się przed moim domem, wysiadła, kucnęła na podjeździe i zrobiła kupkę. Dech mi zaparło i spojrzałam na nią przerażona, a na jej buzi odmalowało się szczere zdziwienie; po prostu nie wiedziała, o co mi chodzi! Nie ulegało wątpliwości, że nie istniały dla niej żadne ograniczenia w żadnej dziedzinie. Zaprowadziłam ją do łazienki, wyszorowałam i zaczęłam rozczesywać te jej skołtunione włosy – wrzeszczała co sił w płucach. Ubrałam ją w starą koszulę męża, posadziłam przy stole, by zjadła normalny obiad. Wyglądało, że robi to po raz pierwszy w życiu. Potem wstała i znowu kucnęła. Zaciągnęłam ją do łazienki, i pouczyłam, co ma robić. Tak się zaczęło. Zrozumiała, że ktoś o nią dba.

– Czy mówiła płynnie, poprawnie?

– To dziwne, ale bywało rozmaicie. Czasami wypowiadała całe zdania, a innym razem nie potrafiła opisać najprostszej rzeczy. Niesamowite luki w podstawowej wiedzy o świecie. Kiedy coś się jej nie podobało, mruzczała i gestykulowała jak Jasper. Ale to nie był język migowy – uczyłam się języka migowego – i ani ona, ani Jasper nie posługiwali się nim. Potem zdołałam trochę pouczyć Jaspiera. Jednak on woli swój własny prymitywny język – jeśli zależy mu, by coś komuś przekazać. Takie właśnie było środowisko Sharon, gdy ją znalazłam.

– Od dziecka natury do doktora filozofii – powiedziałem.

– Mówiłam ci, że to był cud. Uczyla się zadziwiająco szybko. Trzy miesiące i już mówiła prawidłowo, następne trzy i umiała czytać. Miała chłonny umysł, była jak pusta szklanka, która tylko czeka, by napełnić ją wodą. Im dłużej przebywałam z Sharon, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że nie tylko nie jest dzieckiem upośledzonym umysłowo, ale jest wręcz utalentowana. Niezwykle utalentowana. I że ktoś już przedtem coś jej przekazał. Oswoił ją z samochodem, nauczył co znaczą słowa... i potem koniec... dziura w wiedzy o świecie.

Zamilkła, oddychając ciężko. Przesłoniła usta dłonią. – I wszystko na marne. – Spojrzała na zegar. – Przepraszam, ale muszę już iść. Obiecałam Gabe’owi przejażdżkę. Kupił mi kask za własne pieniądze, więc jakżebym mogła mu odmówić. Biedny chłopak, pewnie podejrzuwa Bóg wie co.

– Chętnie cię podrzucę.

Po chwili wahania rzekła:

– Dobrze. Poczekaj tylko, aż wszystko pozamykam.

Rozdział 30

Dom był duży – spadzisty dach, dobre oświetlenie, dużo białych, dość tandetnych ornamentów. Stał w głębi dorodnego sadu. Motocykl Gabe’a zaparkowany był w pobliżu werandy, obok starej ciężarówki i hondy accord. Helen poprowadziła mnie do bocznych drzwi – weszliśmy przez kuchnię. Gabe siedział przy stole, tyłem do drzwi, łuskał kukurydzę i słuchał muzyki rap płynącej z głośnika niewiele mniejszego niż honda. Obok wznosiła się góra kołczanów kukurydzy. Pracował powoli, ale rzetelnie, przytupując od czasu do czasu w rytm muzyki.

Helen pocałowała go w czubek głowy. Spojrzał na nią ciepło, choć trochę smutno. Na mój widok ów smutek przerodził się w złość. Obrócił się i przyciszył muzykę.

– Po co go sprowadziłaś? – zapytał.

– Jak ty się zachowujesz, Gabrielu. Nie tak uczył cię tatuś!

Na wspomnienie o ojcu skulił się – wyglądał teraz jak mały, zagubiony chłopczyk. Siedział nadąsany, łuskał kolejny kołczan, szarpiąc jedwabne kukurydziane włoski.

– Doktor Delaware jest naszym gościem – powiedziała matka zwracając się do niego. – Zostaniesz na kolacji, doktorze?

Nie tyle byłem łasy na jedzenie, ile na fakty.

– Z przyjemnością – powiedziałem. – Bardzo dziękuję.

Gabe mamrotał coś nieprzyjaźnie. Muzyka, choć ściszona, zagłuszała jego słowa, lecz nie ich brzmienie.

– Sprzątnij i nakryj do stołu, Gabrielu. Może kolacja poprawi ci humor i maniery.

– Jadłem już, mamo.

– Co jadłeś?

– Zapiekanego kurczaka, resztę kartofli, fasolkę szparagową, ciasto z dyni.

– Całe ciasto z dyni?

Szeroki, dziecięcy uśmiech.

– Taaa...

– A deser?

– Lody.

– Zostawiłeś coś dla mamusi-łakomczuszki?

Po uśmiechu nie było już śladu.

– Nie, przepraszam.

– Trudno, słoneczko – powiedziała mierzwiąc mu włosy. – Powinnam zgubić parę kilogramów, wyświadczyłeś mi tylko przysługę.

Rozpostarł ramiona na stercie kołczanów i popatrzył na nią błagalnie.

– Zobacz, ile zrobiłem. Może już wystarczy?

Splotła dłonie, przybrała surowy wyraz twarzy.

– No dobrze. Jutro dokończysz. Odrobiłeś lekcje?

– Odrobiłem.

– Wszystkie?

– Tak, psze pani.

– Dobrze. Zwolniony za kaucją.

Wstał, obrzucił mnie spojrzeniem, które mówiło: „Nie łudź się, że dam ci spokój”, i strzyknął demonstracyjnie stawami palców.

– Mówiłam ci, żebyś tego nie robił, Gabrielu, zeszpecisz sobie dłonie.

– Przepraszam.

– A teraz zmykaj – pocałowała go.

Ruszył ku drzwiom, ale jeszcze się obejrzał.

– Mamo...

– Co takiego?

– Mogę pojechać do miasta?

– Zależy, co tam będziesz robił.

– Dzwonili Russel i Brad. W Redland idzie film.

– Jaki?

– „Broń klasy zero”.

– Kto będzie prowadził?

– Brad.

– Dobrze. Byle tylko nie Russel tym swoim wyścigowym jeepem, który ledwo zipie. Wyraziłam się jasno, młody człowieku?

– Tak, psze pani.

– Okay. Nie spraw mi zawodu, Gabe. I o jedenastej masz być w domu, pamiętaj.

– Dziękuję, mammo.

Wytoczył się z kuchni tak uszczęśliwiony, że aż zapomniał zmierzyć mnie nienawistnym spojrzeniem.

Jadalnia była duża i mroczna, ściany pokryte tapetą o zapachu lawendy. Stare meble z orzechowego drewna. Ciężkie zasłony w oknach rzucały cień na portrety rodzinne oprawione w staroświeckie ramy – ilustrowana historia Leideckerów w rozmaitych stadiach rozwoju. Helen była kiedyś piękna – urody dodawał jej cudowny uśmiech, którego z pewnością nie dałoby się już wskrzesić. Jej czterej starsi synowie byli drągalami z bujnymi czuprynami, podobnymi do mamy. Ojciec – rudobrody, o beczkowatej posturze pierwowzór Gabe’a, który przyszedł na świat jako łysa różowa kulka tłuszczu ze szparkami zamiast oczu. Fotografii Sharon nie było.

Pomogłem nakryć do stołu – chińska porcelana, srebro, płócienne serwetki. Gdy wyjmowałem zastawę z serwantki, zauważyłem leżącą na podłodze gitarę.

– Mego męża – powiedziała Helen. – Żeby sto razy go prosiłaby jej tu nie kładł, gitara zawsze w końcu lądowała koło serwantki. Nie robiłam z tego problemu – on tak pięknie grał. Teraz specjalnie ją tu trzymam. Czasem myślę, że najbardziej tęsknię do jego muzyki.

– Gram na gitarze – powiedziałem, by ją pocieszyć.

– Naprawdę? Zagraj coś, koniecznie.

Otworzyłem futerał. Stary instrument, „Gibson L-5”, lata trzydzieste. Jak prosto ze sklepu, inkrustacja bez jednej rysy, świeża politura, błyszczące struny. Poczulem zapach typowy dla starych instrumentów. Wyjąłem gitarę, szarpnąłem struny – zabrzmiały.

Helen zawołała z kuchni:

– Chodź tutaj, żebyś mogła lepiej słyszeć.

Usiadłem przy kuchennym stole i podczas gdy ona szykowała kurczaka, podsmażała kartofle,

kukurydzę, fasolkę, nalewała lemoniadę do szklanek, ja zagrałem kilka jazzowych akordów. Gitara miała ciepły, głęboki ton. Grałem „La Mer” w powolnej, cygańskiej aranżacji Djanga.

– Bardzo ładnie – powiedziała, ale widziałem, że jazz, nawet ten melodyjny nie przemawia do niej. Zmieniłem styl, zagrałem coś jeszcze bardziej melodyjnego, utrzymanego w tonacji C-der – jej twarz w jednej chwili odmłodziła.

Podawała do stołu – mnóstwo jedzenia. Odłożyłem gitarę. Posadziła mnie na honorowym miejscu, sama zasiadła po mojej prawej stronie i uśmiechnęła się niepewnie.

Zająłem miejsce jej zmarłego męża, czułem, że czegoś ode mnie oczekuje, jakiegoś konwencjonalnego gestu, a ja nie wiedziałem jakiego. Fakt ów, jak i ceremonialny sposób nalewania mi zupy wprowadziły mnie w melancholijny nastrój.

Patrzyła z rozbawieniem jak zmuszam się do jedzenia. Ładowałem w siebie ile mogłem, nie szczędząc komplementów między łykami, i czekałem z utęsknieniem, aż sprzątnie ze stołu. Gdy przyniosła zapiekankę z jabłkami na deser, zapytałem:

– To zdjęcie z jej promocji, które Ransomowie zgubili. Sharon nie dała ci odbitki?

– A... to zdjęcie. – Opuściła ramiona w geście rezygnacji, a jej oczy znów napęłniły się łzami. Miałem uczucie, że cudem wyratowanego topielca wrzucam ponownie do lodowatej wody. Zanim zdołałem cokolwiek powiedzieć, poderwała się z miejsca i znikła w holu.

Wkrótce wróciła. Trzymała w dłoniach około dziesięciu fotografii w brązowych zamszowych ramkach z podpórką; wręczyła mi je z miną księdza podającego sakrament, i potem przez cały czas stała nade mną.

Sharon, promiennie uśmiechnięta, w karmazynowym birecie i todze, ze złotym fontaziem i plecionką naramienników. Długie czarne włosy opadające na ramiona, twarz radosna, nieskazitelnie piękna. Doskonały wzór amerykańskich abiturientek college’u. Patrzyła na mnie z fotografii z młodzieńczym optymizmem.

Wizja wspaniałej przyszłości? A może lokalny fotograf wydobył z jej twarzy to, co dumni z latorośli rodzice chcieliby widzieć na gzymsie swego kominka?

Na dole po lewej stronie złocił się napis:

Rocznik 1974

PEDAGOGICZNE FORSYTHE COLLEGE DLA DZIEWCZĄT

Long Island N.J.

– To była też twoja uczelnia? – zapytałem.

– Tak. – Usiadła. Przytuliła fotografię do piersi. – Zawsze chciała zostać nauczycielką. A ja wiedziałam, że Forsythe to najbardziej odpowiednia dla niej szkoła. Ucząca dyscypliny, ale i dająca poczucie bezpieczeństwa, co bardzo było wtedy Sharon potrzebne. Rozpocząła nowe życie, wchodziła w nowy świat. Lata siedemdziesiąte to trudny dla niej okres, wiodła życie jak w pancerzu ochronnym. Lubiła ten college – szybko została prymuską i skończyła szkołę z najwyższym wyróżnieniem.

Lepsza niż Leland Belding.

– Była bardzo inteligentna – powiedziałem.

– Była dziewczyną wybitnie zdolną. Co nie znaczy, że na początku nie miała trudności. Przede wszystkim przestrzeganie higieny osobistej, no i inne problemy związane z życiem wśród ludzi. Nie szczędziłam wysiłku, padałam na nos i dopięłam celu – miałam zresztą praktykę, wychowałam własnych synów. Ale intelektualnie była jak gąbka, wchłaniała w siebie wszystkie mądrości.

– Jak układały się stosunki między nią a twoimi chłopcami?

– Nie było między nimi typowej dla rodzeństwa rywalizacji, jeśli to masz na myśli. Była wobec nich czuła, kochająca, jak najlepsza starsza siostra. I nie zagrażała im, bo co wieczór wracała do domu... Z początku nie mogłam się z tym pogodzić. Tak bardzo pragnęłam ją adoptować, chciałam, żeby należała tylko do mnie, żeby mogła żyć w normalnych warunkach, w normalnym domu. Jasper i Shirlee kochali ją na swój sposób i ona też ich kochała. Burzenie tego byłoby niemoralne, niegodne – odebranie im jedyne skarbu, jaki posiadali. Jakimś cudem ów klejnot został im podarowany. Tak więc moim zadaniem było nadanie mu blasku i zabezpieczenie przyszłości dziewczyny. Uczyłam ją, jak powinna zachowywać się dama, dawałam jej różne ładne rzeczy, piękne łóżko z baldachimem... Wszystko tam, u nich.

– Czy nigdy nie nocowała u ciebie?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Odwoziłam ją do domu. Tak było lepiej.

Po latach, kiedy była ze mną, zawsze chciała wracać do domu. „W nie swoim łóżku mam kłopoty z zasypianiem”. Dawne nawyki... Uraz z lat dzieciennych...

– Była szczęśliwa, zadowolona z życia. Rozkwitała. Dlatego nigdy nie zgłosiłam całej tej sprawy władzom w miasteczku. Przysłaliby pracownika socjalnego, zobaczyłby Shirlee i Jaspiera i na resztę życia umieściłby ich w jakimś zakładzie, a Sharon – w domu dziecka. Bezduszna biurokracja. A ona by tego nie zniosła. Byłam pewna, że postępuję słusznie.

– Summa cum laude – powiedziałem kładąc dłoń na fotografii. – Najlepszy dowód, że miałaś rację.

– Uczenie jej to była prawdziwa przyjemność. Pracowałam nad nią intensywnie, póki nie skończyła siedmiu lat, potem zapisałam ją do mojej szkoły. Uczyła się tak dobrze, że wkrótce była

najlepsza w klasie. Gorzej z kontaktami z rówieśnikami – zawsze czuła się skrępowana, niepewna, wolała bawić się z Edkiem i Michaeliem, znacznie młodszymi chłopcami.

– A jak się do niej odnosili jej koledzy?

– Z początku uważali ją za dziwaczkę, odmienca. Dokuczali jej, aż musiałam wkroczyć i położyć temu kres. Zresztą ona nigdy nie była towarzyska, powszechnie lubiana, jak to się mówi, ale nauczyła się dostosowywać, jeśli było to potrzebne. Z biegiem lat chłopcy zaczęli zwracać na nią uwagę. Jednak to ją nie interesowało, zależało jej tylko na dobrych stopniach. Chciała zostać nauczycielką, być kimś. A zawsze była najlepsza w klasie, prymuska, i nie mówię tego stroniczo, bo kiedy przeszła już do szkoły średniej w Yucaipie, od razu była najlepsza. Mogła się dostać wszędzie, na każdą uczelnię. Nie potrzebowała mojej protekcji do college’u Forsythe. Toteż otrzymała pełne stypendium.

– Kiedy zmieniła zdanie co do przyszłego zawodu?

– Na początku ostatniego roku college’u. Wybrała psychologię. Jeśli weźmie się pod uwagę przez co sama przeszła, to całkiem zrozumiałe, że interesowała ją natura ludzka. Wspomniała o tym, że zamierza zostać psychologiem, dopiero po dniu konsultacji zawodowej na uniwersytecie w Long Island. Wtedy poznała kilku psychologów, między innymi pewnego profesora, który wywarł na niej duże wrażenie. I widocznie ona na nim również. Powiedział jej, że będzie wspaniałym psychologiem, był tego tak pewny, że zaproponował, iż zostanie jej opiekunem na studiach. Przenosił się właśnie do Los Angeles i przekonywał ją, że jeśli ona tylko zechce, to bez problemu ukończy pomyślnie studia. To był dla niej nie lada bodziec – widziała już siebie jako lekarza – psychologa.

– Jak się nazywał ten profesor?

– Nie powiedziała.

– A ty nie zapytałaś o jego nazwisko?

– Zawsze sobie ceniła prywatność, mówiła mi tylko to, co chciała powiedzieć. Przekonałam się zresztą, że zadając pytania, nic z niej nie wydobędę. Dołożyć ci zapiekanki?

– Jest świetna, ale naprawdę nie mogę.

– A ja sobie dołożę. Przepadam za słodyczami.

Półgodzinne oglądanie fotografii i słuchanie rodzinnych anegdot nic mi już nie dało, nic więcej się nie dowiedziałem. Na niektórych zdjęciach była również Sharon – szczuplutka, uśmiechnięta, piękne dziecko, czarująca nastolatka opiekująca się chłopcami. Gdy o tym powiedziałem, Helen nie skomentowała.

Okolo dziewiątej zapanowało między nami kłopotliwe milczenie. Zamknęliśmy się w sobie, jak para nastolatków, którzy podczas pierwszej randki posunęli się za daleko. Gdy dziękowałem jej, że

poświęciła mi tyle czasu, czułem, że marzy o tym, bym wreszcie sobie poszedł. Pięć minut później wyjeżdżałem już z Willow Glen, a po czterdziestu pięciu minutach znalazłem się na autostradzie numer 10.

Wymijałem samochody dostawcze, którymi przewożono piękne okazy drzewek i snopy siana. Poczulem znużenie i usiłowałem słuchać muzyki, ale szybko znużenie zastąpiła senność, toteż w pobliżu Fontany skręciłem na parking przy stacji Shella, gdzie stało sporo ciężarówek transportowych.

Wszedłem do kawiarni; szary zniszczony blat baru, czerwone plastikowe stoliki, naprawiane taśmą izolacyjną, obracające się wieszadła z maskotkami i ciężka, przytłaczająca cisza. Przy barze siedzieli dwaj potężnie zbudowani kierowcy i jakiś włóczęga o zapadniętych oczach. Ignorując ciekawe spojrzenia usiadłem przy narożnym stoliku, by mieć choćby iluzję prywatności. Chuda kelnerka nalała mi do kubka ciecicy zwanej tu kawą, mnie zaś przygniotła lawina myśli.

Sharon, Królowa Konfabulacji. Wyłoniła się dosłownie z pyłu, została „kimś”, spełniło się marzenie wiejskiej nauczycielki.

Marzenie powodowane samolubstwem – Helen Leidecker w osobie Sharon zadośćuczyniła swoim własnym wielkomiejsko-intelektualnym pragnieniom. Co nie umniejsza jej zasług. Dokonała niewiarygodnego wprost dzieła: oswoiła małą dzikuskę. Wycyzelowała i wypolerowała wzorzec erudycji i dobrego wychowania. Pierwsza uczennica. Summa cum laude.

Lecz Helen nie było dane poznać wszystkich elementów tej łamigłówki, nie miała pojęcia, co działo się z Sharon w ciągu pierwszych czterech lat życia. Lat kształtujących człowieka, kiedy wyłania się osobowość, cechy charakteru utrwalają się i pozostają niezmiennie.

Znów przypomniałem sobie ten wieczór, kiedy zastałem ją z fotografią jej bliźniaczej siostry. Nagą. Cofniętą do poziomu, w jakim odnalazła ją Helen.

Pomyślałem o napadzie złego humoru dwuletniego chłopca.

Uraz z wczesnego dzieciństwa. Zablockowanie przerażenia.

Jak to się ma do Sharon?

Kto ją wychowywał przez pierwsze lata życia, kto wypełnił pustkę między Lindą Lanier a Helen Leidecker?

Nie Ransomowie. Byli zbyt ograniczeni umysłowo, by wozic ją samochodem. By uczyć posługiwania się językiem.

Stanąła mi przed oczami ta dziwna para, gdy odprowadzali wzrokiem mnie i Gabe'a. Jedyne dowód rodzicielstwa, list.

„Wasza mała jedynaczka”.

To samo zdanie, ale w odniesieniu do innych rodziców. Bon vivant Noel Coward, który nigdy nie istniał – ani na Manhattanie, ani w Palm Beach, Long Island czy Los Angeles.

Martini w oszklonym salonie.

Woskowany papier zamiast szyb.

Rozdzielenie tych dwu elementów, otchłan, galaktyka – nierealny skok między upragnioną fikcją a ponurą rzeczywistością.

Próbowała, kłamiąc czy tylko upiększając fakty, przerzucić most nad tą otchłanią. Tworzyła własną tożsamość z fragmentów życiorysów innych ludzi.

Zagubiła się w fikcji?

Ból, wstyd, musiało to być dla niej straszne. Po raz pierwszy od jej śmierci pomyślałem o niej ze współczuciem.

Fragmenty.

Park Avenue zaczerpnięte z życia Kruse'a urodzonego w zamożnej rodzinie.

Historia z kraksą samochodową i sieroctwem – z biografii Lelanda Beldinga.

Sposób bycia damy i snobowanie się na erudytkę – Helen Leidecker.

Niewątpliwie chłonęła opowieści Helen o tym, jakie to wiodą życie „rozpróżniaczeni bogacze” w ekskluzywnych dzielnicach miast. W Forsythe College poszerzyła swą wiedzę również i w tej dziedzinie, mijając zamknięte dla intruzów bramy rozległych posiadłości na Wybrzeżu. Kolekcjonowała owe obrazki, składała je niczym kawałki rozbitej muszli – a potem przedstawiała mi je w jakże barwny i przekonujący sposób – szoferzy, szum fontanny, dwie małe dziewczynki w domu z basenem.

Shirlee. „Joan”.

Sharon. Jean.

Obracała tą historią tonącej bliźniaczki – inna wersja dla Helen, inna dla mnie – okłamując ludzi, których rzekomo kochała. I przychodziło jej to tak łatwo, jakby szczotkowała włosy.

Pseudobliźniactwo. Problemy tożsamości. Dwie małe dziewczynki z lodami. Identyczne bliźniaczki, lustrzane odbicie.

Pseudowielokrotna osobowość.

Elmo Castelmaine był przekonany, że Shirlee jest kaleką od urodzenia, co by oznaczało, że nie była jedną z tych dziewczynek, które widziałem na fotografii. Ale przecież on wiedział o tym od

Sharon.

Albo i on kłamał. Nie, żebym miał powody, by mu nie wierzyć, tylko po prostu byłem już chory na podejrzliwość.

A jeśli ta kaleka dziewczyna jest naprawdę jej bliźniaczką? A może po prostu krewną? Niewątpliwie były podobne – kolor włosów, kolor oczu – ale mogły być zwykłymi siostrami. Przyjąłem za dobrą monetę to, co Sharon opowiadała mi o Shirlee, bo wówczas nie miałem powodu, by jej nie wierzyć,

Shirlee. Jeżeli naprawdę tak miała na imię.

„Shirlee przez dwa e na końcu”. Sharon podkreślała zawsze te dwa e. Imię jej przybranej matki.

Symbolizm.

Joan.

Jeszcze jedna zgadywanka.

„Przez wszystkie te lata – mówiła Helen – sądziłam, że ją rozumiem, teraz jednak wiem, że było to złudzenie. Mało ją znałam”.

Witaj w naszym klubie, pani nauczycielko.

Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że życie Sharon i jej śmierć były skutkiem jakichś wydarzeń, które rozegrały się, nim Helen przyłapała ją na pochłanianiu majonezu ze słoika.

Wczesne dzieciństwo...

Wciąż błądziłem ślepych uliczkami. Przyszedł mi na myśl Darren Burkhalter, głowa jego ojca na tylnym siedzeniu, jak piłka unurzana we krwi...

Wczesne dzieciństwo.

Niezakończona sprawa.

Mał zapisał na swoje konto kolejne zwycięstwo: on dostanie nowego mercedesa, a chłopiec będzie wzrastał w dobrobycie. Lecz żadne pieniądze na świecie nie pomogą mu zapomnieć o tym, co stało się pewnego dnia na szosie...

Pomyślałem o dzieciach, które leczyłem, dzieciach niechciany, cierpiących. Wątle ciała rzucone w wir życia z determinacją mniszki brudnicy. Przypomniały mi się słowa jednego z moich pacjentów, gorzkie słowa pewnego siebie ongiś człowieka, który pochował swoje dziecko.

„Jeśli Bóg istnieje, doktorze, to ma cholernie paskudne poczucie humoru”.

Czy nad wczesnym dzieciństwem Sharon ciążył jakiś potworny żart? Jeśli tak, to kto był autorem tej komedii?

Dziewczyna z małego teksańskiego miasteczka, Linda Lanier, była połówką biologicznej równoważni; kto dostarczył pozostałe dwadzieścia trzy chromosomy?

Jakiś hollywoodzki pasożyt czy włóczęga bez stałego miejsca zamieszkania? Lekarz – położnik, który po godzinach zajmuje się skrobkami? Miliarder?

Siedziałem w tej kawiarni i długo rozmyślałem. I znowu wróciłem do osoby Lelanda Beldinga. Sharon wzrastała w kraju Magny, mieszkała w domu Magny. Jej matka miała romans z Beldingiem – chłopcy z policji wiedzieli o tym.

Martini w jego oszklonym salonie?

Lecz jeśli Belding ją spłodził, to dlaczego porzucił? Ukrył ją u Ransomów w zamian za zrzeczenie się praw i dolary w kopercie bez nadawcy.

Po dwudziestu latach dom, samochód.

Uгода?

Czy on ją w końcu uznał? Zapisał jej spadek? Tylko że umarł chyba jakieś sześć lat wcześniej.

A druga spadkobierczyni – ta mała amatorka lodów?

Podwójne porzucenie? Dwa obrzydliwe piętna?

Pomyślałem, jak mało wiem o Beldingu: obsesja na punkcie techniki, precyzji. Pustelnik. Zimny.

Aż tak zimny, by pozbyć się matki swoich dzieci?

Hipoteza. Ohydna. Upuściłem łyżeczkę. Brzęk zakłócił ciszę parkingu dla ciężarówek.

– Dobrze się pan czuje? – zapytała kelnerka stojąca przy mnie z dzbankiem kawy.

Spojrzałem na nią.

– Oczywiście. Świetnie.

Wyraz jej twarzy świadczył, że już to ode mnie słyszała.

– Kawy? – Uniosła dzbanek.

– Nie, dziękuję.

Położyłem pieniądze, wstałem i po chwili wyjeżdżałem już z parkingu. Senność minęła jak ręką odjął.

Rozdział 31

Dotarłem do domu tuż po północy, naładowany adrenaliną i aż pijany od mnożących się znaków zapytania. Milo rzadko chodził spać przed pierwszą. Zadzwoiłem do niego. Odebrał telefon Rick, wyraźnie zaspany, ale od razu przytomny, gotowy do udzielenia pomocy. Profesjonalista, lekarz pogotowia.

– Słucham, Silverman.

– Cześć, Rick, mówi Alex.

– O, Alex. Która godzina?

– Dziesięć po dwunastej. Przepraszam, że cię zbudziłem.

– Okay, nie przejmuj się. – Ziewnięcie. – Alex? Która to może być godzina?

– Dwunasta dziesięć, Rick.

Przeciągłe ziewnięcie.

– Och, prawda, widzę. Podświetlona tarcza. – Znowu ziewnięcie. – Dopiero przed godziną się położyłem. Podwójna szychta. Dwie godziny przerwy przed kolejnym delikwentem. Trzeba było się zdrzemnąć.

– Masz prawo być zmęczony, Rick. Wracaj do łóżka.

– Nie. Wezmę prysznic i zejdem coś zjeść. Mila nie ma. Jest na nocnym dyżurze.

– Nocny dyżur? Od dawna już nie miał nocnych dyżurów.

– Nie musiał. Wiek. Ale wczoraj Trapp wprowadził zmiany do przepisów. Świnia.

– To draństwo.

– Spoko, Alex.

Mądry facet wyrównuje rachunki. Milo chodził, szperał i przekonał się na własne oczy – pół kurestwa, pół łobuzerki.

– Wiem coś o tym. Dobra, zatelefonuję do niego na komendę. A na wszelki wypadek zostaw mu wiadomość, żeby zadzwonił.

– W porządku.

– Dobranoc, Rick.

– Dzień dobry, Alex.

Zatelefonowałem do detektywów z Zachodniego Los Angeles. Gliniarz, który odebrał telefon, wydawał się jeszcze bardziej zaspany niż Rick. Powiedział, że detektywa Strugisa nie ma i nie wie, kiedy wróci.

Poszedłem do łóżka i natychmiast zasnąłem. Obudziłem się o siódmej i od razu zacząłem się zastanawiać, jakie też postępy zrobił Trapp w sprawie Kruse'ów. Kiedy wyszedłem na taras, żeby wyjąć gazety ze skrzynki, Milo już tam był. Leżał półzgięty na hamaku, czytając wiadomości sportowe.

– Jak toczą się sprawy, mądry facecie? – zapytałem. Głos miałem jakiś inny, zachrypnięty, niski.

Opuścił gazetę, popatrzył na mnie i zmienił pozycję.

– Jakiej armii wydawałeś rozkazy?

Wzruszyłem ramionami.

Odetchnął głęboko, podziwiając widok.

– Życie nie umierać. Nakarmiłem twoje rybki – głowę daję, że tej dużej, czarno-złotej rosną zęby.

– Tresowałem ją na rekina. Jak ci minął dyżur?

– Wspaniale. – Wstał, wyprostował się. – Skąd wiesz?

– Od Ricka. Dzwoniłem do ciebie późnym wieczorem, obudziłem go. Wygląda na to, że Trapp znowu wszedł na ścieżkę wojenną.

Mruknął coś pod nosem. Weszliśmy do domu. Przygotował sobie talerz płatków z mlekiem, stanął przy barku i zaczął pracować łyżką, przerywając tylko dla zaczerpnięcia oddechu.

– Podaj mi serwetkę. Kapitalny ubaw, jak człowiek bierze się za to bagno. Chłopaki mają za nic dokumentację spraw, bo szybko chcą mieć z głowy dochodzenie; sporo meldunków o przedawkowaniach. Pod koniec dyżuru większość telefonów to takie gadki-szmatki, pieprzenie – gadają wolno, dobitnie – źli faceci, dobrzy faceci. Dwa śmiertelne wypadki, ale oba poza podejrzeniami. Pod koniec zwłoki heteroseksualnych. – Uśmiechnął się. – Wszyscy gnijemy tak samo.

Podszedł do lodówki, wyjął sok pomarańczowy, nalał mi do szklanki, a cały karton zachował dla siebie.

– Czemu mam zawdzięczać tak wczesną wizytę? — zapytałem.

– Dobra pora na wymianę zdań. Jechałem do domu z włączonym radiem i raptem słyszę, że coś ciekawego dzieje się na częstotliwości Beverly Hills – włamanie w dzielnicy North Crescent Drive.

Wymienił adres.

– Rezydencja Fontaine'ów – powiedziałem.

– Zielone domostwo, otóż to. Zawróciłem, aby popatrzeć. Zgadnij, kto już tam był. Nasz stary kumpel Dickie Cash – przypuszczam, że nie sprzedał jednak swego scenariusza. Wstawiłem mu mowę, że może to ma jednak związek z tym głośnym morderstwem w Brentwood i wtedy podał mi kilka szczegółów: włamania dokonano we wczesnych godzinach rannych. Skomplikowana robota – działał tam najnowocześniejszy system alarmowy, ale przecięto odpowiednie przewody i nawet nie zaćwierkało. Wczesnym rankiem sąsiad zauważył otwarte drzwi wychodzące na główną aleję i zawiadomił policję. Niewątpliwie nasz mały przyjaciel odgrywa teraz Jamesa Bonda. Cash wprowadził mnie do rezydencji. Urządzona w cholernie dobrym guście – ściany sypialni pana domu całe w malowidłach olbrzymich, różowych, wilgotnych ust.

Typowa kradzież – porcelana, srebra, kilka szerokoekranowych telewizorów, sprzęt stereo. Zostały jeszcze trzy telewizory, biżuteria, futra, srebra wysokiej próby... przedmioty tak łatwe do opędzlowania paserom. Przecięte przewody nie wywołały specjalnych komentarzy. Dickie był tym zaintrygowany, ale wobec nieobecności poszkodowanych nie nadał biegu sprawie; także dlatego, że właściciele nie byli na tyle uprzejmi, by przed wyjazdem skontaktować się z policją.

– A co z muzeum w suterenie?

– Dickie nic nie wiedział o jego istnieniu, moja wina, że go nie oświeciłem. Pokazał mi windę, ale nie było klucza ani kodu, nie byli więc jej w stanie uruchomić. Muzeum nie było też wymienione na liście agencji alarmowej. Ale gdyby zeszli na dół, to jak dwa i dwa cztery – zobaczyliby Pompeję po erupcji wulkanu.

– Trzeba by wypełnić brakujące ogniwa.

Skinął głową.

– Tylko problem: kto.

– Masz jakie takie pojęcie, gdzie są teraz Fontaine'owie?

– Na Bahamach. Tatuś Bijana niewiele nam pomógł. Przedsiębiorstwo taksówkowe Beverly Hills miało tylko notatkę, że odwieziono ich na lotnisko. Dotarłem do firmy transportu samochodowego, a przez nich do biura podróży. Pierwsza klasa, Los Angeles – Miami, to samo do Nassau. Przemieszczali się tą trasą, ale agent albo nie wiedział, albo nie chciał powiedzieć dokąd. Nie miałem więc możliwości wysłać zawiadomienia. Przypuszczam, że zatrzymali się na jednej z tych małych, odległych od lądu wysepek – kiepskie połączenia telefoniczne, nazwy drinków pochodzą od kwiatów albo małp, banki takie, że Szwajcarom oko by zbieleło. Kraina z cyklu tych, w których facet z gotówką może spokojnie sobie żyć przez długie lata.

Wypił sok i wrócił do płatków; podniósł talerz do ust, wypił mleko.

– Właśnie, a gdzie ciebie nosiło? – zapytał. – I po co do mnie w nocy dzwoniłeś?

Powiedziałem mu, czego się dowiedziałem w Willow Glen.

– Dziwne – orzekł. – Bardzo dziwne. Ale nie słyszę nic o zbrodni, chyba że jako dziecko została porwana. Coś przegapiłem?

Potrząsnąłem głową przecząco.

– Mam pewien pomysł, który chciałbym z tobą omówić.

Uzupełnił talerz płatkami i mlekiem.

– Wal.

– Załóżmy, że Sharon i jej bliźniacza siostra są owocem romansu między Lelandem Beldingiem a Lindą Lanier, dziewczyną do towarzystwa. Tak jak Crotty zdołał zaobserwować – często bywała u niego w biurze. Nic mu nie powiedziała o ciąży, bojąc się, że Belding będzie ją zmuszał do aborcji.

– Skąd miała tę pewność?

– Może wiedziała, że on nie lubi dzieci, albo może doszła do całkiem słusznego wniosku, że ostatnią rzeczą, o jakiej marzyłby Belding, to niezaplanowany spadkobierca. Na razie wszystko gra?

– Mów.

– Crotty widział Lindę Lanier i Neuratha, jak sobie gruchają. A co powiesz, jeśli Neurath był jednocześnie jej lekarzem i jej kochankiem? Spotykali się u niego w gabinecie, ale sprawy zaszły dalej.

– Temat pornosu.

– Pornos był karykaturą ich związku, obliczoną na zysk.

Odłożył łyżkę i oparł się wygodnie.

– Zaczyna jako panna do towarzystwa Beldinga i kontakty się zacieśniają. Jest pacjentką doktora Neuratha... i kontakty się zacieśniają.

– Była piękna. Mało tego. Była specjalistką od uwodzenia. Musiała mieć w sobie coś szczególnego, skoro Belding spośród innych zatrudnionych u niego dziewcząt wybrał właśnie ją. Neurath, będąc jej ginekologiem, dowiedział się o jej ciąży jako jeden z pierwszych, może w ogóle pierwszy. Jeżeli żywił do niej głębokie uczucie, to fakt, że jest w ciąży z innym mężczyzną, mógł go doprowadzić do wściekłości. Był zazdrosny. A co powiesz, jeśli chciał zrobić jej skrobankę, a ona odmówiła? Zagroził jej, że doniesie Beldingowi. Przyparł ją do muru. Opowiedziała o tym swemu bratu, a w jego zachłannym na forsy umyśle zrodził się pomysł: nakręcić film o uwodzeniu Neuratha. Pracował w studio, miał dostęp do wyposażenia. Tak więc w zasadzie poszło wszystko gładko.

Milo dłuższą chwilę przeżuwał to, co powiedziałem, wreszcie rzekł:

– A Cable, facet nieciekawym, miernota, główkuje, jakby tu wyciągnąć ekstra forszę z tego interesu – i sprzedaje kopię pewnemu kolekcjonerowi.

Skinąłem głową.

– Od razu Gordonowi Fontaine albo komuś innemu, kto z kolei sprzedał pornos Gordonowi. Po latach Paul Kruse natyka się na ten film, widzi niesamowite podobieństwo do Sharon i to go intryguje. Ale powoli, nie uprzedzamy faktów. Przejdźmy do Lindy. Gdy jej ciąża staje się widoczna, wyjeżdża z miasta, rodzi bliźniaczki – gdzieś na przełomie wiosny i lata pięćdziesiątego trzeciego roku. Uważa, że teraz już może powiedzieć o tym fakcie Beldingowi. Pozbycie się płodu to jedno, a porzucenie dwóch uroczych dziewczynek – drugie. Tymczasem braciszek Cable robi co może – migoczą mu przed oczami stopy zielonych dolców. Linda składa Beldingowi wizytę, pokazuje mu dziewczynki i stawia żądania: przywróć mi cześć i ożeń się ze mną albo wybul tyle szmału, żebyśmy – ja, dziewczynki i wujek Cable – żyli godziwie do końca naszych dni.

Milo spojrział na mnie z przyganą.

– Brzmi to niepoważnie, głupie oszustwo, jakie popełniają przegrani naiwniacy. Oni poszli do piachu, a ty złożyłeś do kupy idiotyczną układankę z ich życia.

– Bo to było głupie. Johnsonowie mieli pecha. Nie doceniali zagrożenia, jakim się stali dla Beldinga – i że on nie zna uczucia litości. Bliźniaczki byłyby jego jedynymi spadkobierczyniami. Stawką był cały jego majątek, co mogło oznaczać utratę władzy. A tego Belding nie mógłby znieść. Był panem swojego losu i nie miał zamiaru dzielić się z nikim swoim bogactwem. Nie zniósłby jeszcze jednej takiej wizyty, podczas której stawia mu się warunki. Linda przemawiała do niego jak wyżej, a jego szare komórki już pracowały. Nic po sobie nie okazał, przybrał radosny wyraz twarzy dumnego tatusia. Przejawem jego dobrej woli było umieszczenie ich wszystkich w luksusowym domu przy Fountain. Kupił im samochód, futra, biżuterię – nagle wkroczenie w Wielki Świat Dobrobytu. Jedyne, czego się domagał, to zachowania tajemnicy – nikt nie mógł się dowiedzieć o istnieniu dziewczynek. Na razie, póki w odpowiedniej chwili nie poda tego faktu do publicznej wiadomości – zyskiwał w ten sposób na czasie. Johnsonowie oczywiście poszli na wszystko – parweniusze znaleźli się w siódmym niebie. Dopóki nie zginęli. A bliźniaczki pozostały tajemnicą.

– Koszmar – powiedział Milo.

– Ale to ma sens, nie uważasz? Hummel i DeGranzfeld byli na usługach Beldinga. Sekcja do zwalczania narkotyków, świetna pozycja do pozorowanego rozwalenia narkotykowej libacji. Opłacani przez Beldinga mogli wejść w posiadanie dużej ilości heroiny. Sprowokowali strzelaninę, podczas której doszło do przelewu krwi. Lecz pozbycie się Lindy i Cable'a to tylko część problemu Beldinga. Istniała dwójka dzieci, których on sobie nie życzył. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach wychowywanie bliźniaczek to nie lada zadanie. Dla kogoś takiego jak Belding perspektywa nie do przyjęcia, stokroć gorsza niż projektowanie układów transmisyjnych czy wykupywanie przedsiębiorstw. Wobec tego postąpił zgodnie ze swym obyczajem – po prostu się wykupił. A transakcja z Ransomami kosztowała go mniej niż to, czego żądali Linda i Cable. Dla

bliźniaczej siostry Sharon też kogoś znalazł.

Ohydztwo. Helen Leidecker nie miała z tym nic wspólnego. Druga dziewczynka uległa wypadkowi i została kaleką albo...

– Uśmiercić matkę własnych dzieci, a potem je sprzedać. Superkoszmar.

– Bo też był to koszmarny człowiek, Milo, mizantrop, który wolał maszyny od ludzi. Nie ożenił się, nie miał normalnych ludzkich kontaktów i skończył jako pustelnik.

– Jak w tej paszkwilanckiej książce?

– Według relacji innych ludzi. Cross upiększył rzeczywistość. Wiadomo, że zawsze istnieją dzieci porzucone. Z różnych powodów. W Casa de los Ninos mogliby wiele na ten temat powiedzieć.

– Dlaczego właśnie Ransomowie? – zapytał Milo. – Co mogło łączyć miliardera z takimi ludźmi?

– Pewno nic. Mówiąc o postępach Beldinga nie rozumiem tego dosłownie. Prawdopodobnie sam się do tego nie mieszał, miał pośredników, na przykład takich jak Billy Vidal; weź pod uwagę, że to była jego specjalność – wyszukiwanie ludzi przydatnych Beldingowi. Gdzie ów pośrednik znajdował takich amatorów, nie wiadomo. Fakt, że nie odznacжали się sprawnością, był ich plusem, nie minusem. Powinni być bierni, posłuszni, nie zachłanni na mamonę, niezadający zbędnych pytań. Rzeczowi, uparci – godni zaufania. Albo tacy o krótkiej pamięci. Wczoraj miałem tego typowy przykład. A co najważniejsze – ci ludzie byli kompletnie anonimowi – nie znali nawet dnia własnych urodzin; w żadnym urzędzie nie byli odnotowani. Po prostu nie istnieli. Dopiero w siedemdziesiątym pierwszym roku, w roku wstąpienia Sharon do college’u, Helen Leidecker uznała za stosowne, i zrobiła to na własną odpowiedzialność, by zarejestrować ich w Ośrodku Zdrowia i Ubezpieczalni Społecznej. Gdyby nie to, nigdy bym nie wpadł na ich trop.

– Gdyby Sharon Ransom nie nadała tej kalekiej dziewczynie imienia Shirlee.

– Tak. Nie jestem w stanie tego zrozumieć. Uwielbiała tajemniczą symbolikę. A więc zakładając, że wypadki toczyły się tym torem, to powierzenie dziecka Shirlee i Jasperowi pozbawiało je automatycznie tożsamości. Może nawet Belding zakładał, że dziewczynka nie przeżyje. Ale Helen Leidecker odkryła ją, ucywilizowała i pchnęła w świat.

– W ramiona Kruse’a.

– Kruse wziął udział w tym dniu konsultacji zawodowej, powodując się rzekomo wyższym dobrem. W gruncie rzeczy był to nienasycony łupieżca, bezustannie poszukujący żeru. Być może zachwyił się urodą Sharon, a może widział pornos z Lindą i uderzyło go podobieństwo dziewczyny do tej quasi-aktorki. Tak czy owak rzucił na nią urok, doprowadził do tego, że zaczęła mówić o sobie, a on, widząc, że unika tematu własnej przeszłości, stawał się coraz bardziej nią zainteresowany. Oboje stanowili idealnie dobraną parę samokontrolujących się rozmówców. Ona, ukształtowana przez Helen – żadnych korzeni. On – odgrywający z satysfakcją rolę Svengaliego.

– Jim Jones i gang Kool-Aida – Milo aż poczerwieniał ze złości.

– Jeden do jednego – powiedziałem.

Wstał i poszedł po piwo. Pił, a ja mówiłem dalej:

– Zaopiekował się nią. Przekonał, że będzie świetnym psychologiem – zresztą jej wysokie oceny mogły na to wskazywać; zabrał ją ze sobą do Kalifornii, zapisał na studia i został jej naukowym opiekunem. Nadzorował jej prace, co zawsze łączy się ze stosowaniem pewnej terapii. Pewna terapia przemieniła się w intensywną terapię. A intensywna terapia w rozumieniu Kruse'a oznaczała manipulację hipnozą. Podobnie jak wielu ludzi o zachwianym poczuciu tożsamości – była doskonałym medium. Jego silna osobowość, dominująca rola w ich wzajemnych stosunkach powodowały, że stawała się coraz bardziej uległa. Cofał ją w czasie, wydobywał wspomnienia z dzieciństwa, które nieustannie go intrygowały. Domyślał się pewno, że w pierwszych latach życia doznała urazu, którego potem sobie nie uświadamiała, może nawet przyszło mu na myśl, że ma to jakiś związek z osobą Beldinga. I zaczął ryc.

– I kręcić filmy.

Skinałem głową.

– Opatrzona późniejszą datą wersja filmu porno jej matki wchodziła w skład tej jego „terapii”. Prawdopodobnie chciał ją tym przykuć do korzeni, powiedzieć, co oznacza miłość do matki. Jego gra polegała na kontrolowaniu jej zachowań – jedną część jej osobowości odbudowywał, drugą niszczył. Za pomocą hipnozy mógł też jej zasugerować amnezję, utrzymywać ją w nieświadomości. I w ostatecznym rachunku wiedzieć o niej więcej, niż ona sama wiedziała o sobie. Karmił ją skrawkami jej własnej podświadomości, dawkowanymi odpowiednio, uzależnił ją od siebie, odebrał poczucie bezpieczeństwa. Wojna psychologiczna. A on był w tej dziedzinie mistrzem. I wtedy uznał, że nadeszła pora, i napuścił ją na Beldinga.

– Duża sprawa, dobra orientacja w czasie.

– Wydaje mi się, że wiem, kiedy to nastąpiło. Lato siedemdziesiąt pięć. Zniknęła wtedy bez słowa wyjaśnienia, na dwa miesiące. Kiedy wróciła, miała już sportowy samochód, dom i jak na niepracującą studentkę żyła na cholernie wysokiej stopie. Pierwsze, co przyszło mi na myśl, to to, że jest utrzymanką Kruse'a. Wiedziała o tym i nawet stroiła sobie ze mnie żarty; opowiedziała mi wtedy historyjkę o spadku – jak już wiemy, wyssaną z palca. Ale być może tkwiło w tym jakieś źdźbło prawdy. Zażądała świadczeń przysługujących jej z racji urodzenia. Wprowadziło to jednak wielki zamęt w jej umyśle – nasiliły się zaburzenia tożsamości. Kiedy wpatrywała się w fotografię swej siostry – bliźniaczki, była niemal w transie, prawie katatonicznym. Na mój widok wpadła w szal. Myślałem, że to koniec. Ale potem kochała się ze mną i zachowywała się jak nimfomanka. Po latach robiła to samo ze swoimi pacjentami, których kierował do niej Kruse. Nigdy nie otrzymała licencji, była wciąż jego asystentką, przyjmowała w gabinecie, który on wynajmował.

Teraz ja czułem, że gniew dusi mnie za gardło.

– Kruse mógł jej pomóc, ale ten skurwysyn eksperymentował z jej umysłem. Zamiast ją leczyć, kazał jej opisać swój własny przypadek jako przypadek pacjentki i przedstawić to jako dysertację. Zakpił sobie – pokiwał palcem w bucie na obowiązujące reguły.

– Ale jest tu pewien problem – powiedział Milo. – W roku siedemdziesiątym piątym Belding dawno już nie żył.

– A może żył?

– Cross przyznał się, że kłamał.

– Milo, ja nie wiem, co jest prawdą, a co prawdą nie jest. Ale nawet jeśli Belding już nie żył, żyła Magna. Kupa forsy, którą można wyciskać na różne sposoby. Przypuśćmy, że Kruse miał oparcie w korporacji. W Billym Vidalu.

– Dlaczego pozwolono mu szastać tą forszą przez całe dwanaście lat? Dlaczego zostawiono go w spokoju?

– Rozwazałem ten problem na wszystkie sposoby i nadal nie mam odpowiedzi. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to to, że Kruse miał jakiegoś haka na siostrę Vidala. Załatwiła mu profesurę, uczyniła go dziekanem. Podobno w dowód wdzięczności za wyleczenie jej dziecka, tyle że ona nie miała chyba dzieci. Zamierzałem to sprawdzić, zanim dowiedziałem się o Willow Glen.

– A może – zaczął Milo – sprawa pani Blalock jest tylko przykrywką; Vidal otrzymywał pieniądze niby to od siostry, a w gruncie rzeczy od Magny.

– Możliwe, ale wciąż nie wiemy, dlaczego pozwolono mu obracać tą forszą tak długo.

Wstał, przespacerował się w tę i z powrotem, wypił jedno piwo, drugie.

– Co o tym wszystkim myślisz? – zapytałem.

– Myślę, że sporo się tam dowiedziałeś. I myślę, że równie dobrze możemy nigdy nie dotrzeć do sedna. Ludzie nie żyją od trzydziestu lat. A wszystko sprowadza się do tego, czy Belding został tatuśkiem. Ale jak, do cholery, mamy to sprawdzić? Jakim cudem zyskać pewność, że został?

– Nie wiem.

Wciąż chodził, nie przestając mówić.

– Wróćmy na sekundę do „tu i teraz”. Dlaczego Sharon Ransom popełniła samobójstwo?

– Może z rozpaczy po śmierci Kruse’a? A może to nie było samobójstwo? Nie mam dowodu, stawiam tylko taką hipotezę.

– A co powiesz o zamordowaniu Kruse’a? Jak już mówiliśmy, ty byś Rasmussena nie typował.

– Tylko dlatego uczepiliśmy się Rasmussena, bo w tym czasie, kiedy ich zamordowano, wygadywał naokoło, że zamierza zrobić coś strasznego.

– Nie tylko dlatego – powiedział Milo. – Ten chłopak miał paskudny życiorys: gwałty, zabójstwo własnego ojca. Lubilem słuchać, jak opowiadałeś mi o tych jego wariackich bredniach – w kółko powtarzał, że zabił własnego tatusia.

– Każdy ekspert powie ci, że to nie żaden dowód. Zważywszy życiorys Rasmussena, to jego gadanie o strasznych rzeczach nic nie znaczy.

– Pieprzony frajer – powiedział Milo. – Żeby w kółko gadać jedno i to samo.

– Jest ktoś, kto mógłby nam sporo wyjaśnić.

– Vidal?

– Żyje. Mieszka w El Segundo.

– Fakt – zgodził się Milo. – No to siup do jego biura i zameldujemy gońcowi jego asystentki sekretarki, że ubiegamy się o audiencję u wielkiego szefa – parę słów o porzuceniu dziecka, szantażu, roszczeniach spadkowych, wielokrotnym morderstwie.

Rozłożyłem ramiona i tym razem ja poszedłem po piwo.

– Nie dąsaj się! – zawołał za mną. – Nie mam zamiaru robić z ciebie durnia, tylko po prostu myślm logicznie.

– Wiem, wiem. Ale jestem już tym wszystkim cholernie udręczony.

– Czym? Jej śmiercią? Czy jej życiem?

– I jednym, i drugim, sierżancie Freud.

Na zamrożonym szkle narysował roześmianą gębę.

– Jest jeszcze coś. Fotografia bliźniaczek. Ile lat mogły wtedy mieć?

– Około trzech.

– Zatem nie mogły być rozdzielone zaraz po urodzeniu. Co znaczy, że albo ktoś opiekował się nimi obiema, albo obie oddano Ransomom. Więc co, do cholery, stało się z siostrą?

– Helen Leidecker nic nie mówiła o żadnej drugiej dziewczynce w Willow Glen.

– Pytałeś ją o to?

– Nie.

– Nie ukryła przed tobą zdjęcia tamtej drugiej?

– Nie. Sprawiała wrażenie...

– Uczciwej?

– Nie o to chodzi. Po prostu jakoś się nie zgadzało...

Milczał.

– Okay – powiedziałem. – Ciągnij dalej przesłuchanie.

– Chętnie. Trzeba się postarać o tę fotografię.

– Jak ją zdobędziesz, to daj mi znać. Kurczę blade, Milo, może na tym zdjęciu to wcale nie była Sharon i jej siostra. Ja już zupełnie się pogubiłem.

Odczekał chwilę i oznajmił:

– Jeśli chcesz machnąć na wszystko ręką, to moim zdaniem postępujesz głupio.

Milczałem.

– Zanim osiągniesz stan kompletnej demencji, Alex, spróbuj zadzwonić do pani Helen Leidecker. Zapytaj ją o tę fotografię, a jeśli da ci wymijającą odpowiedź, to ani chybi nie jest takim niewiniątkiem, za jakie się podaje. Znaczyłoby, że coś przed tobą zataiła, na przykład, że bliźniaczka została w jakichś tajemniczych okolicznościach okaleczona, a ona kogoś kryje.

– Kogo? Ransomów? Nie sposób ich posądzić o przestępstwo.

– Nie o przestępstwo, ale o zaniedbanie. Sam powiedziałaś, że rodzice z nich żadni, że ledwo radzili sobie z jednym dzieckiem. Dwoje to byłoby dla nich za dużo. Na przykład odwrócili się w złym momencie i dziecko uległo wypadkowi.

– Tonęło?

– Dajmy na to.

Nie potrafiłem już myśleć logicznie. Przez całą noc myśli kłębiły mi się w głowie i teraz już ledwie żyłem...

Milo pochylił się i poklepał mnie po ramieniu.

– Nie łam się. Nawet jeśli nie uda nam się pójść z tym do prokuratora, to zawsze możemy sprzedać parę kawałków do filmu. Pokażemy Cashowi, jak się do tego zabrać.

– Zadzwońię do mojego agenta – powiedziałem.

– Twoi ludzie zadzwonią do moich i gównu z tego wyjdzie.

Zdobyłem się na uśmiech.

– Sprawdziłeś rejestr urodzin w Port Wallace?

– Jeszcze nie. Jeśli miałaś rację, pojechała do domu urodzić dziecko – rodzinne miasto świetnie się do tego nadaje, zakładając, że nigdy nie czytała Thomasa Wolfe’a. A może byś tam zadzwonił i trochę powęszył? Zaczynij od Izby Handlowej i dowiedz się o szpitalu, działające w roku pięćdziesiątym trzecim. Może dopisze ci szczęście i będą jeszcze mieli stare rejestry; wtedy coś nakłamię, niech myślą, że jesteś upartym biurokratą. Wtedy wszystko dla ciebie zrobią, bylebyś tylko dłużej nie zawracał im głowy. Jeżeli to nie wypali, zadzwoń do Urzędu Hrabstwa.

– Zadzwoń do Helen; zadzwoń do Port Wallace. Jeszcze jakieś polecenia, prezesie?

– Jeśli tak bardzo chcesz odgrywać detektywa, to przekonaj się, jak smakuje ta nudna dłubanina.

– Bezpieczna dłubanina?

Wykrzywił się.

– Cholernie dobre pytanie, Alex. Przypomnij sobie, jak wyglądali Kruse’owie i ta dziewczyna Escobar. I jak szybko państwo Fontaine dali nogę do Kokosowego Kraju. Jeśli choć w dziesięciu procentach masz rację, to mamy do czynienia z ludźmi, których macki sięgają bardzo daleko.

Zatoczył koło kciukiem i palcem wskazującym, odchylił palec, jakby strzepywał kurz. Dmuchnął.

– Życie jest kruche, tego się dowiedziałem z „Filozofii” Freshmana. Siedź w domu; pilnuj, żeby drzwi były stale zamknięte; nie przyjmuj cukierków od nieznajomych.

Wstawił talerz do zlewozmywaka. Pokiwał mi ręką i ruszył ku wyjściu.

– Dokąd się wybierasz?

– Mam coś do załatwienia.

– Czy to coś przeszkadza ci zadzwonić do Port Wallace? Ścigasz dzikiego Trappa?

Spojrzał na mnie spode łba.

– Rick powiedział, że chcesz go załatwić.

– Rick powinien pilnować krajania ludzi dla zabawy i zysku. Taa... Polowałem na jaja, a trafiłem na cenną skorupkę. Poza wszystkimi cnotami ma jeszcze i tę, że ubóstwia niepełnoletnią płęć piękną.

– Jak bardzo niepełnoletnią?

– Podpadającą pod paragraf. Po powrocie do komendy udzielał się w skautingu – dorobił się nawet pochwały z departamentu za pracę społeczną. W zakres jego obowiązków wchodziło otaczanie szczególną osobistą opieką co bardziej nadobnych młodych skautek.

– Jak do tego doszedłeś?

– Klasyczne źródło: konflikt osobisty. Kobieta oficer, Hiszpanka, kilka lat po mnie na akademii. Pracowała w hollywoodzkim biurze ewidencji, wzięła urlop, żeby urodzić dziecko. Gdy wróciła do pracy, Trapp tak zatruł jej życie, że pod pozorem braku odporności na stresy złożyła wymówienie. Przed kilku laty udałem się do komendy śródmieścia w dniu jej ostatniego przesłuchania. A teraz, gdy szukałem haka na Trappa, przypomniałem sobie o niej. Ona go naprawdę nienawidziła. Odszukałem ją i złożyłem wizytę. Wyszła za męża księgowego, ma ładne, tłuściutkie dziecko, wygodne dwupokojowe mieszkanie w Simi Valley. I nawet teraz, po tylu latach, gdy mówi o Trappie, oczy jej wyłażą z orbit. Obmacywał ją, opowiadał rasistowskie dowcipy – jak to meksykańskie dziewczyny tracą cnotę wcześniej niż mlecze zęby, co naprawdę oznacza brązowy nos, i tak dalej, a wszystko obrzydliwym, lubieżnym tonem.

– Dlaczego nie zameldowała o tym w porę?

– A dlaczego wszystkie te dzieci z Casa de los Ninos nie opowiadają nikomu, co się z nimi wyprawia? Strach. Są zastraszone. Kiedyś nie wierzono przecież, że istnieje coś takiego jak molestowanie seksualne. Złożenie skargi znaczyło upublicznienie czegoś, czego należało się wstydić... Urzędnicy w departamencie spraw wewnętrznych, dziennikarze... i dziewczyna staje się znana w swoim środowisku. Dziś to ona myśli już inaczej. Zdaje sobie sprawę, jak podłe była traktowana, i wściekłość ją roznosi. Ale nie mówiła o tym nikomu, na pewno nie mężulkowi. Wyłożyła mi, co i jak było, i zaraz kazała przysiąc, że nie będę jej w nic wciągał. Oczywiście przysiągłem i teraz nie mogę zrobić z tego użytku. Gdyby jednak udało mi się zebrać inne dowody, to skurczybyk jest załatwiony.

Podszedł do drzwi.

– I na tym, przyjacielu, skupiam całą swoją pozasłużbową uwagę.

– Życzę ci szczęścia.

– Taaa... Będę rozpracowywał sprawę od tej strony; ale może nici się powiążą i spotkamy się obaj w Glocamorra. A tymczasem pilnuj własnego tyłka, żeby ci go nie przypiekli.

– Ty też, Sturgis. Twój także nie jest żaroodporny.

W informacji San Bernardino sprawdziłem numer telefonu Helen Leidecker. Zatelefonowałem. Cisza. Zawiedziony, ale z uczuciem ulgi – wcale mi się nie podobało to testowanie jej uczciwości – odnalazłem atlas Stanów Zjednoczonych i zlokalizowałem Port Wallace, w stanie Teksas. Miasteczko leżało w najbardziej wysuniętej na południe części stanu na zachód od Laredo. Wzdłuż granicy Teksasu biegła wyblakła czarna nitka Rio Grande.

Zadzwońłem do centrali, a potem wykręciłem 512, informację, prosząc o numer Izby Handlowej w Port Wallace.

– Chwileczkę, proszę pana – ktoś niespiesznie wycedził odpowiedź, po czym nastąpiły trzaski i piski komputerowe. – Nie mamy na liście żadnej Izby Handlowej, proszę pana.

– Czy na pani liście znajdują się jakieś urzędy w Port Wallace?

– Zaraz sprawdzę. – Trzask. – Urząd Pocztowy Stanów Zjednoczonych, proszę pana.

– Proszę mi podać numer.

– Już panu podaję.

Zadzwońłem na pocztę. Też cisza. Spojrzałem na zegarek. Ósma, tam dwie godziny później. Być może mają tam dużo wolnego czasu.

Znowu zadzwońłem. To samo. Tyle, jeśli idzie o zlecone mi zadanie. Ale i tak miałem sporo do roboty.

W bibliotece naukowej pod nazwiskiem Neurath znajdowała się jedna pozycja. Wydana w 1951 roku książka na temat płodności, opublikowana przez wydawnictwo uniwersyteckie, znajduje się w bibliotece uniwersyteckiej i w księgarni biomedycznej. Data i temat pasują, choć trudno sobie wyobrazić specjalistę od skrobanek jako autora owego naukowego dzieła. Powędrowałem jednakże do Biomedu, gdzie zajrzałem do indeksu medycznego, odnalazłem tam dwa inne artykuły na temat płodności, opublikowane w 1951 i 52 roku, autorstwa Donalda Neuratha, zamieszkałego w Los Angeles, pod takim a takim adresem. W Zarządzie Okręgowego Towarzystwa Lekarskiego w Los Angeles dotarłem do fotografii członków Towarzystwa. Odszukałem zdjęcie Neuratha z roku 1950.

Piękny portret – przyлизane włosy, cienki wąsik nad wargami, kwaśny wyraz twarzy, jak u człowieka pokrzywdzonego przez los. Albo może ów los popchnął go na niebezpieczną krawędź...

Jego gabinet znajdował się przy Wilshire, dokładnie w tym miejscu, o którym mówił Crotty. Członek Towarzystwa Lekarskiego w Los Angeles, absolwent prestiżowej uczelni, doskonała praktyka lekarska, rezydencja, akademickie rekomendacje...

Dwa oblicza doktora N.

Następny z rozdwojeniem jaźni.

Sięgnąłem na półki w Biomedzie, odszukałem jego książkę i te dwa artykuły. Książka była podsumowaniem najnowszych badań dotyczących płodności. Osiem rozdziałów autorstwa innych autorów, ostatni, dziewiąty, napisał Neurath.

Jego badania, dotyczące leczenia bezpłodności metodą hormonalną, okazały się przełomowe w czasach, gdy bezpłodność była tajemniczą chorobą, z którą medycyna nie umiała sobie poradzić.

Neurath silnie to podkreśla, wymienia poprzednie metody, uznając je za generalnie nieskuteczne: biopsje błony śluzowej, chirurgiczne rozszerzanie jajowodów, implantacja w macicy radioaktywnego metalu, nawet długofalowa psychoterapia połączona z leczeniem farmakologicznym, mająca przewyciężyć „niepokój blokujący owulację, którego praprzyczyną jest wrogość między osobowościami matki i córki”.

Wprawdzie we wczesnych latach trzydziestych rozpoczęto badania wpływu hormonów na owulację, lecz eksperymenty przeprowadzano wyłącznie na zwierzętach.

Neurath poszedł krok dalej, sześciu bezpłodnym kobietom wstrzykiwał hormony pozyskane z jajników i gruczołów śluzowych zmarłych kobiet. Zastrzyki połączone z systematycznym mierzeniem temperatury oraz testami krwi umożliwiały precyzyjne określenie czasu owulacji. Po tego typu zabiegach, powtarzanych regularnie przez kilka miesięcy, trzy kobiety zaszły w ciążę. Dwie poroniły, ale trzecia urodziła w terminie zdrowe dziecko.

Neurath twierdził przezornie, że wnioski mogą być przedwczesne. Metoda hormonalna wymaga jeszcze dodatkowych studiów i badań laboratoryjnych, jednakże są szanse na sukces, a wiele bezdzietnych małżeństw może mieć szanse na potomstwo.

Artykuł z 1951 roku był skróconą wersją jednego z rozdziałów książki. Artykuł zaś z roku 1952 zawierał list do wydawcy, w którym grupa lekarzy poddawała krytyce artykuł z 1951 roku: uważali, że stosowana przez Neuratha terapia jest niewłaściwa, jego badania opierają się na błędnych przesłankach, odkrycia zaś – na kruchych podstawach naukowo-badawczych. Medycyna, podkreślano w liście, wie jeszcze bardzo mało o skutkach, jakie gonadotropiczne hormony wywierają na ludzki organizm. Neurath, mało, że nie pomaga pacjentkom, to jeszcze stwarza zagrożenie dla ich zdrowia.

Neurath odpowiedział im w czterech punktach, które dają się krótko podsumować: cel uświęca środki.

I to była jego ostatnia publikacja.

Bezpłodność i aborcja.

Neurath daje, Neurath odbiera.

Moc, która upaja. Moc pożądania, która daje siłę wielu ludziom, obróciła się przeciwko Sharon.

Bardzo bym chciał porozmawiać z doktorem Donaldem Neurathem. Przejrzałem bieżącą książkę telefoniczną okręgu – nie figurował w spisie.

Sięgnąłem do starych. Znalazłem go w książce z roku 1953.

Bardzo pracowity rok.

Przewertowałem rocznik pisma amerykańskiego towarzystwa lekarskiego w poszukiwaniu jego nekrologu. Interesującą mnie wzmiankę znalazłem w numerze z dnia 1 czerwca 1954 roku. Zmarł w sierpniu poprzedniego roku w wieku lat czterdziestu pięciu podczas urlopu w Meksyku. Przyczyny

zgonu nie podano.

Tego samego miesiąca i tego samego roku co Linda Lanier i jej brat Cable.

Skutki gonadotropicznych hormonów...

Przedwcześnie.

Fragmenty zaczęły się układać w całość. Nowe spojrzenie na stary problem – nieprawdopodobne, ale to tłumaczyło tak wiele innych spraw. Pomyślałem o innym kawałku puzzla domagającym się wyjaśnienia. Wyszedłem z Biomedu, kierując się ku północnej stronie kampusu. Biegłem, same nogi mnie niosły – od dawna nie było mi tak lekko na sercu.

Sala zbiorów specjalnych mieściła się w podziemiach biblioteki naukowej; prowadził do niej długi, ponury korytarz, który skutecznie zniechęcał przypadkowych przybyszów. Niewielkie, dębowe stoliki do czytania, dobrane z gustem do wyłożonych boazerią ścian. Wetknąłem bibliotekarzowi legitymację uniwersytecką i podałem mu rewersy. Szukał na półkach i wkrótce przyniósł wszystko, czego chciałem; wręczył mi dwa długopisy, arkusz liniowanego papieru i powrócił do swojej książki chemicznej.

Poza mną były jeszcze tylko dwie osoby, pilnie coś studiowały: dziewczyna w kretonowej sukience wpatrywała się przez lupę w starą mapę oraz tłuścioch w niebieskiej bluzie, szarych spodniach i fontaziu na szyi – skupiał całą uwagę bądź na dziele Audubona, bądź na komputerze.

Położyłem na stoliku kilka niepozornych książek w niebieskich okładkach. Tomy z rejestru towarzyskiego Los Angeles. Cienki papier, drobny druk. Starannie sporządzone spisy country clubów, imprez na cele dobroczynne, stowarzyszeń genealogicznych, ale przede wszystkim wykazy liczących się osobistości: adresy, numery telefonów, kilka słów o przodkach, słowa uznania dla tych, których fascynacja ową grą my-oni sięgnęła poza szkołę średnią.

Szybko odnalazłem to, czego szukałem. Wynotowałem nazwiska, połączyłem pewne dane, docierając do prawdy albo zatrzymując się tuż obok niej, i zacząłem składać to wszystko do kupy.

Coraz bliżej. Ale wciąż tylko teoria.

Wyszedłem z sali, poszukałem telefonu. Numer Helen Leidecker w dalszym ciągu nie odpowiadał. Ale w Port Wallace w Teksasie odezwał się wreszcie zaspany głos.

– Słucham, Brothertonowie.

– Czy to urząd pocztowy?

– Urząd pocztowy, wędki i przynęty, jajka marynowane, zimne piwo. Gry i zabawy.

– Mówi Baxter, Biuro Archiwum stanu Kalifornia, oddział w Los Angeles.

– Los Angeles? Trzęsie tam u was?

– Trzęsie.

Śmiech przechodzący w kaszel.

– Czego ode mnie chcecie, Kalifornijczycy?

– Pewna osoba zgłosiła się do nas z prośbą. Chodzi nam o pełny zestaw danych personalnych, łącznie z poświadczeniem o obywatelstwie i rejestrem urodzin. Osoba, o której mowa, zgubiła metrykę, twierdzi, że urodziła się w Port Wallace.

– Dane personalne. Hm... Ładnie to brzmi... Tajemniczo...

– Przykro mi, panie Brotherton.

– Deeb. Brotherton nie żyje. – Chichot. – Zwalił ten ciężar na moje barki w zamian za dług pokerowy... Na trzy miesiące przed śmiercią. Kpina z za grobu.

– Nie jestem upoważniony do podania bliższych szczegółów...

– Nie ma sprawy, Kalifornijczyku. Chętnie pomógłbym koledze z administracji, ale z obywatelstwem to kiepsko, bo w Port Wallace nie mamy ani tych danych, ani rejestru świadectw urodzenia. Słabo u nas ze wszystkim poza robotnikami na czarno. Imigracja łapie ich za dupę wzdłuż całej rzeki. Rejestr jest w San Antonio, niech pan tam zadzwoni.

– A szpitale?

– Tylko jeden, Kalifornijczyku. Mały, prowadzony przez baptystów – zielarzy. Nawet nie wiem, czy mają uprawnienia. Przeważnie obsługują Meksykanów.

– Czy ten szpital istniał w roku pięćdziesiątym trzecim?

– Owszem.

– Wobec tego zadzwonię najpierw tam. Zna pan numer?

– Jasne. – Podał mi go. – Ta osoba tutaj się urodziła? To mała miejscowość. Jak się nazywa?

– Johnson z domu, imię matki Eulalie. Matka może być zapisana jako Linda Lanier.

Roześmiał się.

– Eula Johnson? Rodziła w pięćdziesiątym trzecim? Czy to nie jest ta babka, którą nakryli i tak dalej? To tajemnica poliszynela. Cholera, kalifornijczyku, nie musisz mieć żadnych urzędowych rejestrów, to znana u nas sprawa.

Znowu się roześmiał, powiedział jaka to sprawa i dodał:

– Pytanie tylko, czy mówimy o tym samym.

– Nie wiem – odparłem i położyłem słuchawkę. Ale wiedziałem już, gdzie szukać.

Rozdział 32

Te same porośnięte winoroślą kamienne mury, ten sam zapach mięty, ta sama cieniasta droga za drewnianym drogowskazem. Tym razem przybyłem z Los Angeles samochodem, jak każdy porządny człowiek. Ale panująca wokół cisza, pustka i przede wszystkim to, co zamierzałem zrobić, sprawiły, że czułem się jak przestępca.

Zatrzymałem się przed bramą i podniosłem słuchawkę stojącego w niszy telefonu. Cisza. Spróbowałem jeszcze raz. Usłyszałem męski głos, akcent środkowoatlantycki: – Rezydencja Blalock.

– Chciałbym mówić z panią Blalock.

– Kogo mam zapowiedzieć?

– Doktora Alexa Delaware.

Chwila ciszy.

– Czy pani Blalock oczekuje pana?

– Nie, ale na pewno mnie przyjmie, Ramey.

– Przykro mi, lecz nie ma jej...

– Powiedz, że sprawa dotyczy Marchesy di Orano.

Cisza.

– Mam to przeliterować?

Cisza.

– Jesteś tam, Ramey?

– Jestem, panie doktorze.

– Naturalnie, w przeciwnym razie mogę porozmawiać z dziennikarzami. Ubóstwiają ciekawe historyjki o różnych ludziach. Szczególnie takie historyjki...

– Nie ma potrzeby, panie doktorze. Chwileczkę.

Po minucie brama stanęła otworem. Wsiadłem do samochodu i wjechałem na podjazd wyłożony kostką imitującą rybią łuskę,

Pokryty śnieżką dach posesji złocił się na szczycie, odbijając promienie słoneczne. Pusty teren przed rezydencją, bez parasoli i stolików jak wtedy, wydawał się teraz bardziej rozległy. Fontanny

tryskały opalizującymi strumieniami, które rozpraszają się w górze i opadały lukiem w dół. Baseny migotały, jakby pływały w nich kulki rtęci.

Zaparkowałem przed stopniami wiodącymi do domu. Wszedłem na olbrzymi podest strzeżony przez posągi lwów. Jedne z podwójnych drzwi były otwarte. Stał przy nich Ramey, różowolicy, czarnobiałej uniformy.

– Tędy, doktorze. – Twarz – nieruchoma maska, ani drgnienia powieki, że mnie poznał. Minąłem go i wszedłem do środka.

Larry mówił wtedy o ogromnym holu, po którym można jeździć na łyżwach. Ja zaś stwierdziłem, że nadaje się na boisko do gry w hokeja; dwa piętra białego marmuru, ozdobne gzymsy, rzeźbienia, wzory. W głębi szerokie schody również z białego marmuru, których mogłaby pozazdrościć starożytna Tara. Wielki jak w sali koncertowej żyrandol zwisał z sufitu o kasetonach ze złotych liści. Podłoga była z jeszcze bielszego marmuru i płytek czarnego granitu, wypolerowana do połysku. Portrety w pozłacanych ramach, z których spoglądali smętnie przodkowie o wyraźnie brytyjskiej proveniencji, wisiały między precyzyjnie udrapowanymi czerwonymi aksamitnymi kotarami, przewiązanych złotym ozdobnym sznurem.

Ramey z płynnością limuzyny skręcił w prawo – prowadził mnie teraz przez tonącą w mroku galerię portretów, po czym otworzył następne podwójne drzwi. Wszedłem do tonącego w promieniach słońca oszklonego salonu – sufit szklany w kształcie dachu, jedną ścianę stanowiło lustro, trzy – ze szkła – wychodziły na ciągnący się w nieskończoność trawnik porośnięty drzewami powyginanymi w przedziwne kształty. Podłoga z malachitu i granitu w kunsztowne wzory. Dorodne palmy w donicach z chińskiej porcelany. Fotele gięte, wiklinowe, w kolorze kasztana, na nich ciemnozielone poduszki, stoliki ze szklanymi blatami.

Hope Blalock siedziała na wiklinowej otomanie. W zasięgu jej ręki stał barek na kółkach z całym asortymentem karafek i oszronionym kryształowym dzbanem.

Nie wyglądała tak dorodnie jak jej rośliny. Była ubrana w czarną jedwabną suknię i czarne pantofle. Bez makijażu, bez biżuterii. Kasztanowate włosy ściągnięte do tyłu i upięte w kok błyszcząły jak posmarowane politurą. Siedziała na samym skraju otomany, prawie wisiała w powietrzu, zadając kłam grawitacji.

Zignorowała moje przybycie. Wpatrywała się w milczeniu w jedną ze szklanych ścian. Nogi skrzyżowane w kostkach, jedna dłoń wsparta o udo, w drugiej szklanka z jakimś napojem, w którym pływała oliwka.

– Madame – powiedział kamerdyner.

– Dziękuję ci, Ramey. – Głos miała gardłowy, ze spiżową nutą. Machnęła ręką na Rameya, żeby wyszedł, kiwnęła na mnie, wskazując krzesło.

Usiadłem naprzeciwko niej. Nasze spojrzenia się spotkały. Cerę miała barwy przegotowanego spaghetti, pokrytą siatką zmarszczek. Wodnisto-niebieskie oczy można by nawet uznać za piękne,

gdyby nierzadkie rzęsy i gdyby te oczy nie były tak głęboko osadzone, że wyglądały jak drogie kamienie w zszarzałym srebrze. Wzdłuż ust biegły bruzdy. Nie upudrowaną twarz otaczała aureola wieku przekwitania i depresji.

Spojrzałem na jej szklanke.

– Martini?

– Życzy pan sobie, doktorze?

– Dziękuję, chętnie.

To był błąd. Zmarszczyła brwi, jednym palcem dotknęła oszronionego dzbanka.

– Wódka z martini – powiedziała.

– Na pewno dobry trunek.

– Mocny, bardzo wytrawny, aż zabolalo mnie podniebienie. Poczekała, aż przełknę, zanim sama upiła solidny łyk.

– Ładny oszklony salon – powiedziałem. – W każdym domu ma pani taki salon?

– Jaką dziedzinę medycyny pan reprezentuje?

– Jestem psychologiem. Mógłbym powiedzieć: czarnoksiężnik.

– Zatem czego pan sobie życzy?

– Chciałbym potwierdzić pewną teorię, jaką wysnułem na temat historii pani rodziny.

Skóra wokół jej ust zbielała.

– Historii mojej rodziny? A co panu do tego?

– Wracam właśnie z Willow Glen.

Odłożyła okulary. Jej niepokój odbił się z brzękiem o szklany blat stolika.

– Willow Glen – powiedziała. – Mieliliśmy tam rancho, ale dawno temu. Nie rozumiem...

– Wstąpiłem po drodze do Shirlee i Jaspera Ransomów.

Oczy jej się rozszerzyły, zacisnęła powieki, po czym otworzyła je szeroko. Spojrzała na mnie ostro, władczo, jakby miała nadzieję, że rozsypię się w proch spiorunowany jej spojrzeniem.

– Doprawdy nie wiem, o czym pan mówi.

– Dlaczego zatem zgodziła się pani mnie przyjąć?

– Wybrałam mniejsze zło. Wspomniał pan o mojej córce, stosował ordynarne groźby, że pójdzie pan do prasy z jakimiś rewelacjami. Jesteśmy stale przedmiotem ataków. Powinniśmy wiedzieć, jakie bezpodstawne plotki o nas krążą.

– Bezpodstawne? – zapytałem.

– I wulgarne.

Oparłem się wygodnie, założyłem nogę na nogę i wolno sączyłem trunk.

– Musiała pani ciężko to znosić – powiedziałem. – Osłaniając ją przez wszystkie te lata. Palm Beach, Rzym. Tutaj.

Jej usta ułożyły się w literę O. Usiłowała coś powiedzieć, potrząsnęła głową, zaszczyliła mnie jeszcze jednym machnięciem ręki i obrzuciła spojrzeniem, jakie kieruje się do służącej, która zaniedbuje swoje obowiązki.

– Psychologowie. Właściciele sekretów. – Śmiech. – Ile pan chce, doktorze?

– Nie interesują mnie pani pieniądze.

Głośny śmiech.

– Wszystkich interesują moje pieniądze. Jestem jak worek krwi, do którego przyssały się pijawki. Rzecz tylko w tym, ile krwi która dostanie...

– Trudno sobie wyobrazić Jaspera i Shirlee w charakterze pijawek – powiedziałem.

Wstałem, przyglądałem się jednej z roślin. Szarozielone paski liści. Różowe kwiaty. Dotknąłem płatka. Jedwab. Wszystkie te rośliny są takie delikatne.

– Oni dobrze sobie radzą – powiedziałem. – Znacznie lepiej niż mogła pani sądzić. Ile czasu pani zdaniem im jeszcze zostało?

Milczenie.

– Gotówka w kopercie wysyłana ludziom, którzy nawet nie wiedzą, jak rozmiąć banknot. Zielsko, dwie budy i wszystkiego najlepszego! Bardzo wspaniałomyślnie. Tyczy to również ofiarowanego im podarunku. Chociaż w owym czasie, tak sobie przynajmniej wyobrażam, nie traktowała pani tego jako podarunku. Był to raczej datek. Tak jak oddaje się stare ciuchy ubogim.

Zerwała się na równe nogi. Wygrażała mi pięścią, która tak drżała, że musiała ją przytrzymać drugą ręką.

– Kim pan jest, do diabła?! I czego pan ode mnie chce?

– Jestem dawnym przyjacielem Sharon Ransom. Znanej również jako Jewel Rae Johnson. Sharon Jean Blalock. Teraz pani ruch.

Opadła ciężko na otomanę.

– O Boże!

– Bliskim przyjacielem – ciągnąłem. – Na tyle bliskim, że zależy mi... chcę zrozumieć pewne rzeczy.

Spuściła głowę.

– Nie powinien pan z tym przychodzić. Znowu...

– Nic się złego nie stało. Ja nie jestem Kruse'em. Nie zamierzam wykorzystywać pani problemów. Jedyne, czego się domagam, to prawdy. Od samego początku.

Potrząsnęła głową, jej włosy załśniły.

– Nie. Ja... To niemożliwe – źle pan postąpił.

Wstałem, sięgnąłem po dzbanek i napełniłem jej szklanę.

– Ja zacznę – powiedziałem. – Pani będzie tylko uzupełniać.

– Proszę – powiedziała unosząc na mnie wzrok. Nagle stała się przeciętną starą kobietą. – Wszystko już się skończyło. To przeszłość. Chyba pan rozumie, ile wycierpiałam.

– Nie ma pani patentu na cierpienie. Nawet Kruse cierpiał...

– Och, proszę mi tego oszczędzić! Ludzie czasem piją piwo, którego sobie nawarzyli.

Twarz jej wykrzywiła nienawiść, zmieniła ją, zniekształciła, jakby dotknął ją paraliż.

– A co pani mi powie o Lourdes Escobar? Dlaczego ona musiała wypić to piwo?

– Nie znam tego nazwiska.

– Tak przypuszczałem. Była służącą u Kruse'ów. Dwadzieścia dwa lata. Zdarzyło się, że znalazła się w złym miejscu o złej porze i zginęła, a wyglądała tak, jakby rozszarpały ją psy.

– To obrzydliwe! Nie mam nic wspólnego z niczyją śmiercią.

– Wprawiła pani w ruch tryby maszyny. By rozwiązać swój mały problem. Teraz sam się rozwiązał. O trzydzieści lat za późno.

– Niech pan przestanie! – Oddychała ciężko, ręce przycisnęła do piersi.

Odwróciłem spojrzenie. Dotknąłem jedwabnego liścia palmy. Jeszcze przez chwilę te teatralne spazmy, a kiedy przekonała się, że to nie działa, usiadła i oburzała się już w milczeniu.

– Nie ma pan prawa – powiedziała. – Nie jestem zbyt silna.

– Proszę o prawdę – rzekłem.

– Prawda! Prawda – i co dalej?

– I nic dalej. I sobie pójdę.

– O, tak... Oczywiście, tak jak ten pański... trener. Pan z pustymi kieszeniami. I bajeczka się ziści.

Podszedłem bliżej, spojrzałem na nią z góry.

– Nikt mnie nie trenował – powiedziałem. – Ani Kruse, ani nikt inny. A teraz ja opowiem pani bajeczkę: żyła sobie pewna młoda kobieta, piękna i bogata, istna księżniczka. I podobnie jak księżniczka z bajki miała wszystko oprócz jednej rzeczy, której pragnęła najgoręcej.

Przymrużonymi oczami spojrzała na mnie ostro. Ale gdy znowu otworzyła je szeroko, odniosłem wrażenie, że coś w niej jakby zamarło. Dwoma rękami uniosła szklankę do ust i wypła duszkiem. Znowu sobie naląła. Znowu do dna.

– Księżniczka modliła się i modliła – ciągnąłem – wszystko na próżno. Wreszcie, któregoś dnia, jej modlitwy zostały wysłuchane. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ale sprawy potoczyły się całkiem inaczej niż myślała. Dobry los nie był manną z nieba. Wymagał działania.

– Powiedział panu ten potwór... A obiecał mi... Niech go jasna cholera...

Potrząsnąłem głową.

– Nikt mi nic nie powiedział. Informacje są tam do wglądu. W notatce pośmiertnej o pani mężu z roku pięćdziesiątego trzeciego nie ma ani słowa o dzieciach. Ani we wpisach do Błękitnej Księgi – dopiero w następnym roku. Dwa wpisy: Sharon Jean. Sherry Marie.

Przycisnęła ręce do piersi.

– O Boże!

– Człowiek taki jak on musiał bardzo przeżywać brak spadkobierców.

– On! Supermężczyzna, tylko że jego nasienie to była sama woda! – Duży łyk martini. – Co wcale nie przeszkadzało, że to mnie obwiniał.

– Dlaczego nie adoptowaliście państwo tej dwójki dziewczynek?

– Henry nie chciał o tym słyszeć! Blalock pełnej krwi. Nie wchodziło to w ogóle w rachubę.

– A jego śmierć otworzyła nowe możliwości – rzekłem. – Pani brat, Billy, od razu to zrozumiał i kuł żelazo póki gorące. Kilka miesięcy po pogrzebie zgłosił się do pani z pewną propozycją; wtedy właśnie pomyślała pani: oto Bóg wysłuchał modlitw. Wszystko się zgadzało w czasie. Ludzie nic nie będą podejrzewać – stary Henry osiągnął w końcu cel, po śmierci. Obdarował panią nie jedną, ale dwiema pięknymi dziewczynkami.

– To prawda, były piękne – zgodziła się. – Takie malutkie, a już piękne. Moje małe dziewczynki.

– Zmieniła im pani imiona.

– Piękne nowe imiona – rzekła. – Nowe życie.

– Skąd je wziął pani brat?

– Tego mi nie powiedział. Tyle że matka jest w ciężkiej sytuacji i nie jest w stanie sprawować opieki...

Ciężka sytuacja. Najcięższa z możliwych.

– A nie była pani ciekawa?

– Absolutnie nie. Billy powiedział, że im mniej wiem, im mniej wiemy my wszyscy, tym lepiej. Na przykład, kiedy podrosną i zaczną zadawać pytania. Będę mogła uczciwie powiedzieć, że nic nie wiem. Na pewno ma mi pan to za złe, doktorze. Wy, psychologowie, głosicie ewangelię otwartości. Każdy wszystko o każdym. Ale to podłe wścibstwo i od tego ludzie nie stają się lepsi.

Opróżniła szklankę. Już czekałem z dzbankiem.

Gdy wypięła prawie trzy czwarte, zapytałem:

– A kiedy zaczęło być źle?

– Źle?

– Między dwiema dziewczynkami.

Zamknęła oczy, oparła głowę o poduszkę.

– Na początku było wspaniale – jakby ziściły się moje marzenia. Cudowne dziewczynki, jak z bajki. Piękne niebieskie oczy, czarne włosy, różowe policzki. Dwie laleczki z porcelany. Moja stylistka zaopatrzyła je we wszystko co niezbędne: sukienki, czapeczki, koszulki, buciki – miały takie małe stopki, więc buciki niewiele większe od napałka. Po zakupy leciałam do Europy i kupowałam tam najpiękniejsze rzeczy do pokoju dziecinnego: komplet lalek z prawdziwej porcelany, drukowane ręcznie tapety, dwie wykwintne kołyski, model Louis Quatorze. W ich sypialni unosił się zawsze orzeźwiający zapach – świeże kwiaty i specjalnie komponowane przeze mnie wonne saszetki.

Ramiona jej obwisły, szklanka przekrzywiła się w dłoni. Strużka trunku sączyła się na posadzkę. A

ona siedziała bez ruchu.

Przerwałem milczenie:

– Kiedy zaczęły się kłopoty?

– Niech pan mnie nie męczy, doktorze.

– Ile miały lat, kiedy wystąpił konflikt między nimi?

– Niewiele... Nie pamiętam dokładnie. Wpatrywałem się w nią, czekałem.

– Ojej! – pogroziła mi pięścią. – To było tak dawno. Jak, na litość boską, może pan wymagać, żebym pamiętała to wszystko?! Siedem, osiem miesięcy, nie wiem! Zaczęły właśnie raczkować i chwytać wszystko w rączki. W jakim wieku dzieci to robią?

– Prawdopodobnie kiedy mają siedem, osiem miesięcy, Proszę mi o tym opowiedzieć.

– Co tu jest do opowiadania? Fizycznie były identyczne, ale miały skrajnie różne charaktery. Konflikt był nieunikniony.

– Na czym polegała ta różnica charakterów?

– Sherry była aktywna, dominująca, silna – fizycznie i psychicznie. Wiedziała, czego chce, i konsekwentnie zmierzała do celu. Nie znosiła sprzeciwów.

Uśmiechnęła się. Radośnie. Dziwnie.

– A jaka była Sharon?

– Krachy kwiatuszek – efemeryczna, zamknięta w sobie. Siedziała i bawiła się bez końca jedną zabawką. Nigdy niczego się nie domagała. Nie wiadomo, co roiło się w jej główce. Jakby podzieliły między siebie role – przywódca i poddany, jak na małej dziecinnej scenie. Jeśli obie miały ochotę na słodycze albo jakąś zabawkę, Sherry po prostu przewracała Sharon i brała to, co chciała mieć. Na początku Sharon próbowała stawiać opór, ale zawsze wychodziła na tym źle i wkrótce rozumiała, że tak czy owak to Sherry odniesie sukces.

Znowu ten dziwny uśmiech. Jakby to pochwalą.

Znałem taki uśmiech. Widywałem go często na twarzach bezradnych rodziców, załamanych szczególnie trudnym charakterem swoich dzieci.

„On jest taki agresywny, napastliw”. Uśmiech.

„Pobiła córkę sąsiadów, przewróciła ją i biła biedaczkę”. Uśmiech.

„Prawdziwy drań z tego mojego chłopca. Źle się to skończy”. Uśmiech.

Uśmiech: to-co-czuję-nie-to-co-mówię. Przyznający prawo agresji i przemocy. Przyzwalający na bicie, oszukiwanie, znęcanie się, walenie pięściami, a przede wszystkim promujący zwycięstwo.

Fatalnie. Kończy się na wizytach u terapeuty, który odnotowuje w karcie „niewłaściwe emocje”. I wie, że leczenie będzie trudne.

– Biedna Sharon ciągle obrywała – powiedziała pani Blalock.

– A jak pani sobie z tym radziła?

– Cóż mogłam zrobić? Próbowałam tłumaczyć. Mówiłam Sharon, że powinna walczyć z siostrą, być bardziej pewną siebie. A Sherry strofowałam, że młoda dama nie powinna się tak zachowywać. Ale zdążyłam zamknąć za sobą drzwi i wszystko było jak przedtem. Chciałam wierzyć, że to jakiś rodzaj zabawy. Współzawodnictwo.

Co do tego miała rację, tylko że wybrała nieodpowiednich aktorów.

– Długo robiłam sobie wyrzuty. Ale ich charaktery były zaprogramowane od początku. Natura zawsze zwycięża. I dlatego pańskie zawodowe poletko daje tak marne plony.

– Czy było coś pozytywnego w ich wzajemnych stosunkach?

– Hm, przypuszczam, że się jednak kochały. Kiedy nie walczyły, całowały się i przytulały. I miały swój własny śmieszny język, zupełnie niezrozumiały dla innych. Mimo tej wiecznej rywalizacji były nierozłączne – Sherry przewodziła, a Sharon za nią krok w krok, obrywając po drodze. Walka na pierwszym planie. Współzawodnictwo we wszystkim.

„Dziwny fenomen, lustrzane odbicie monozygot... jeśli wziąć pod uwagę identyczną strukturę genetyczną, nie powinno być żadnej różnicy...”

– Sherry zawsze była górą – ciągnęła pani Blalock. Uśmiech. – W wieku dwóch lat była już przywódcą, reżyserem – wydawała polecenia Sharon, gdzie ma stać, co mówić i kiedy mówić. Jeśli Sharon ośmieliła się nie posłuchać, Sherry wybuchała złością – bila ją, kopała, gryzła. Próbowałam je rozdzielać, zabraniałam bawić się razem, miały nawet dwie niańki.

– Jak reagowały na owo rozdzielanie?

– Sherry wpadała we wściekłość, tłukła co popadło. A Sharon chowała się w kącie albo biegła na taras. W końcu jakoś tak się działo, że wpadały na siebie i znowu były razem. Potrzebowały się wzajemnie. Razem stanowiły całość.

– Ciche współniczki – powiedziałem.

Nie zareagowała na moje słowa.

– Ja zawsze byłam obca – mówiła dalej. – Fatalna sytuacja dla każdej z nas. Żyłam w ciągłej rozterce. Przymykanie oczu na krzywdę Sharon znaczyło również krzywdę Sherry. Może nawet

większą – kości się zrosną, ale w umyśle na zawsze pozostaną rysy.

– Czy rzeczywiście Sharon miała złamaną jakąś kończynę?

– Skądże! – I popatrzyła na mnie jak na idiotę. – To przerośnia.

– Jak poważne były te uszkodzenia ciała?

– Nic, co mogłoby wywołać szok, jeśli do tego pan zmierza. Nigdy nie trzeba było wzywać lekarza – pukiel wyrwanych włosów, ślady po ukąszeniu, zadrapania. Sherry szybko pojęła, co trzeba zrobić, by został tylko paskudny siniak, nic poważniejszego...

– Aż do wypadku na basenie.

Drżącą ręką podała mi szklankę. Nalałem, poczekałem, aż wypła do dna, trzymając cały czas dzbanek w pogotowiu.

– Ile miały lat, kiedy to się stało?

– Ponad trzy. Pierwsze lato, kiedy wyjechałyśmy razem.

– Dokąd?

– Do mojego domu w Southampton.

Shoals. Pierwsza pozycja w rejestrze posiadłości. Skylark w Holmby Hills. Le Dauphin w Palm Beach. Mieszkanie bez nazwy w Rzymie. To jej prawdziwe dzieci.

– Jeszcze jeden oszklony salon – powiedziałem. – Dom z basenem.

Moja wiedza wciąż ją szokowała. Przełknęła ślinę.

– Wszystko pan wie. Nie widzę potrzeby...

– Daleko mi do tego. – Dolałem jej trunku. Uśmiechnąłem się. Spojrzała na mnie z wdzięcznością. – Do dna.

Wypła, wzdrygnęła się, znowu łyk, i powiedziała: – Zbliżamy się do odkrycia tajemnicy.

– Tonicie – rzekłem. – Jak do tego doszło?

– Ostatni dzień wakacji. Wczesna jesień. Ja byłem w moim oszklonym salonie, ubóstwiałem oszklone salony. Wtapiam się w naturę. We wszystkich moich domach są oszklone salony. Ten w Shoals był najładniejszy, przypominał raczej pawilon, miał prawdziwie staroangielski charakter. Wygodny, ciepły. Siedziałam i podziwiałam Atlantyk – to najpiękniejszy, przyjazny ludziom ocean, prawda?

– Zdecydowanie tak.

– W porównaniu z Pacyfikiem, który jest taki nijaki... Przynajmniej takie mieliśmy zawsze odczucie.

Uniosła szklankę, oczy przymrużone, wodniste, nieprzytomne.

– Gdzie w tym czasie były dziewczynki?

Zacisnęła dłoń na szklance, mówiła teraz podniesionym głosem: – Gdzie były dziewczynki? Bawiły się, jak to dziewczynki. Bawiły się na plaży, Z niańką – okrągła twarz, taki angielski pudding. Opłaciłam jej podróż z Liverpoolu, dałam moje najlepsze stare sukienki, uroczy pokój. Miała rekomendacje, cholerna dziwka! Flirtowała z Rameyem, naszym służącym, z każdym, kto nosił spodnie. Tego dnia strzelała ślepiami do ogrodnika i nie pilnowała dziewczynek. Wymknęły się i pobiegly do krytego basenu, ogrodzonego. Powinien być wtedy zamknięty, a nie był. Poleciały głowy tego dnia, oj, poleciały.

Opróżniła szklankę, beknęła, co ją bardzo speszyło.

Udałam, że nie zauważyłam.

– I co się stało?

– W końcu Pudding zorientowała się, że nie ma dziewczynek. Pobiegnęła ich szukać. Usłyszała śmiech dobiegający od strony basenu. Kiedy tam dotarła, Sherry stała na jego skraju, klepiąc się po brzuszku. Śmiała się. Ta idiotka zapytała, gdzie jest Sharon. Sherry wskazała na basen. Pudding zobaczyła rączkę wystającą z wody. Skoczyła, wyciągnęła Sharon. Woda w basenie była brudna, na zimę się ją spuszczało. Obie były unurzane w mule – dobrze tak tej dziwce!

– A Sherry wciąż się śmiała? – zapytałam.

Szklanka wypadła jej z dłoni i rozbiła się na posadzce. Skorupy ułożyły się w lśniącą mozaikę, która przykuła jej wzrok.

– Tak, śmiała się – odparła. – Miała uciechę. Prawdziwą uciechę.

– Czy Sharon doznała poważnych obrażeń?

– Nie, absolutnie nie. Tyle że ucierpiała jej duma. Nałykała się wody; to dziewuszysko, niańka, wsadziło jej palec do ust i wszystko zwymiotowała. Wtedy właśnie nadeszłam – strumień brązowej wody wylewał się z niej. Obrzydlistwo.

– Kiedy się pani zorientowała, że to nie był wypadek?

– Sherry podeszła do nas, wskazując na siebie paluszkami. „Pchnęłam ją” – powiedziała. Właśnie to powiedziała: „Pchnęłam ją”. Jakby była z tego dumna. Myślałam, że żartuje, że chce sobie dodać odwagi i kazałam Rameyowi zaprowadzić ją do domu, dać jej ciepłego mleka z herbatnikami. Ale

ona opierała się, krzyczała: „Pchnęłam ją, pchnęłam!” Domagała się, żebyśmy jej uwierzyli. Wyrwała się Rameyowi i podbiegła do leżącej na ziemi Sharon; zaczęła ją kopać, spychać z powrotem do basenu.

Ruch głową na boki. Uśmiech.

– Kiedy Sharon poczuła się lepiej, powiedziała to samo: „Sherry pchnęła mnie do basenu”. Na plecach miała siniak. Od zaciśniętych w pięść małych paluszków.

Spojrzała tęsknie na kałużę na podłodze. Nalałem kilka kropel martini do szklanki i podałem jej. Zmierzywszy wzrokiem mizerną porcję, zmarszczyła brwi, ale wypła i wylizała brzegi, z miną dziecka, które ma za nic dobre maniery.

– Chciała znowu ją pchnąć, przy mnie. Żebym się przekonała na własne oczy. Żebym uwierzyła. Wtedy zrozumiałam, że to poważna sprawa... Nie mogły... Trzeba je było rozdzielić. Nie mogły być razem.

– Wkracza pani brat Billy.

– Zawsze się o mnie troszczył.

– Dlaczego Ransomowie?

– Pracowali u nas, u Billy’ego.

– Gdzie?

– W Palm Beach. Słała łóżka, sprzątała.

– Skąd oni pochodzą?

– Stamtąd. Spod Everglades. Jeden z naszych znajomych, lekarz, bardzo porządny człowiek, zajmował się ludźmi upośledzonymi umysłowo, uczył ich uczciwej pracy, robił z nich dobrych obywateli. I miał efekty, ci ludzie bardzo dobrze pracowali.

„Wszystko wyszorowane ługiem... ubrania ładnie złożone, łóżka zasłane równiutko, pod kant... jak gdyby ktoś kiedyś ich tego uczył!”

Życie w pobliżu bagien. Wszędzie błoto. Czują się tam jak w domu. Zielona breja...

– Doktor i Henry grywali razem w golfa – mówiła. – Henry uważał za punkt honoru zatrudniać u siebie pacjentów doktora, brał ich do różnych prac domowych, do zrywania owoców i różnych robót sezonowych. Twierdził, że pomaganie im to nasz obywatelski obowiązek.

– A pani kontynuowała tę pomoc, oddając im Sharon.

Nie pojęła sarkazmu i ochoczo podjęła:

– Właśnie! Wiedziałam, że nie mogą mieć dzieci. Shirlee była... wykastrowana. Freddy wszystkich kastrował... dla ich własnego dobra. Billy powiedział, że powierzając ją Ransomom, dajemy im cudowny prezent, prawdziwy skarb, a jednocześnie pozbywamy się problemu.

– I w ten sposób wszyscy zostali zwycięzcami.

– Właśnie tak jak pan mówi.

– Dlaczego tak państwo postąpili? – zapytałem. – Dlaczego nie zatrzymaliście Sharon i nie wysłali Sherry na leczenie?

Jej odpowiedź brzmiała jak wyuczona recytacja.

– Sherry bardziej mnie potrzebowała. Naprawdę wymagała większej opieki – i czas to potwierdził.

W Błękitnej Księżce dwóch potomków, od 1954 do 1957 roku włącznie. Potem już tylko jeden.

Więc miałem rację, części układanki pasowały jak ulał. Zrobiło mi się słabo, jakby oznajmiono mi, że niedługo umrę. Rozluźniłem krawat, zacisnąłem szczęki.

– Co powiedzieliście państwo swoim przyjaciołom?

Milczenie.

– Że umarła?

– Zapalenie płuc.

– Odbył się pogrzeb?

Potrząsnęła głową.

– Daliśmy do zrozumienia, że chcemy, by się odbył w ścisłym gronie rodzinnym. Uszanowano nasze życzenie. Zamiast kwiatów dotacja na rzecz Towarzystwa Planowania Rodziny. Ofiarowano tysiąc dolarów.

– Kolejni zwycięzcy – powiedziałem. Chciałem, żeby coś wreszcie do niej dotarło. Ale dałem spokój, przybrałem maskę terapeuty, udając sam przed sobą, że jest moją pacjentką. Powtarzałem sobie w duchu, że muszę być wyrozumiały, że mi nie wolno przybierać mentorskiego tonu.

Uśmiechałem się, lecz uczucie zgrozy nie opuszczało mnie ani na chwilę. Najgorsze stadium choroby, inny jej rodzaj, ohydny przypadek wykorzystania dziecka, psychopatia, której źródłem jest okrucieństwo. Słaba, niezaradna kobieta – pogardza własną słabością i tę pogardę przenosi na dziecko, które postrzega jako słabe. A za przejaw siły uznaje podłość drugiego. Zazdrości mu, jest dumna z tej siły.

Tak czy owak Sherry miała odnieść sukces.

Odchyliła głowę i wyssała ostatnią kroplę z pustej szklanki. A mnie dławiała wściekłość, chłód przenikł całe moje ciało.

Wyczuła to – nawet w przesłaniającej jej umysł mgłę zamroczenia. Uśmiech zniknął z jej ust. Podniosłem dzbanek. Wyciągnęła rękę, gotowa dać odpór ciosowi.

Potrząsnąłem głową i nalałem jej martini.

– Co pani chciała przez to osiągnąć? – zapytałem.

– Spokój – wyrzekła ledwie dosłyszalnie. – Stabilizację. Dla każdej z nas.

– I osiągnęła to pani?

Brak odpowiedzi.

– Nic dziwnego – powiedziałem. – Dziewczynki kochały się, potrzebowały się wzajemnie. Obie żyły w tym świecie, który stworzyły. Rozdzielając je, zburzyła pani ten świat. Sherry zapłaciła za to wyższą cenę. Znacznie wyższą.

Spuściła oczy.

– Sherry wymazała to z pamięci – powiedziała.

– Jak pani tego dokonała?

– Co pan ma na myśli?

– Rozdzielenia ich. Jak pani tego dokonała?

– Sharon знаła Shirlee i Jaspera – bawili się z nią, miło się do niej odnosili. Lubiła ich. Była szczęśliwa, że mogła z nimi jechać.

– Jechać? Dokąd?

– Na wycieczkę, po zakupy.

– Która się nigdy nie skończyła.

Znów ramię uniesione obronnym gestem.

– Była szczęśliwa! Nikt jej więcej nie będzie bił.

– A co na to Sherry? Jak jej to pani wytłumaczyła?

– Powiedziałam jej, że Sharon... – Koniec zdania przełknęła razem z resztką wódki.

– Że Sharon umarła?

– Że miała wypadek i już nie wróci.

– Jaki wypadek?

– No... wypadek.

– Sherry skojarzyła to sobie z basenem; była przecież mądrą dziewczynką i pomyślała, że to ona zabiła siostrę.

– Nie, to śmieszne, co pan mówi, niemożliwe. Widziała przecież Sharon przez kilka dni po tym wydarzeniu.

– Dla dziecka w jej wieku nie jest to żaden argument.

– No nie, nie może pan przecież mnie oskarżać... Nigdy w życiu nie byłabym tak okrutna... wobec Sherry.

– Wciąż dopytywała się o Sharon, prawda?

– Przez pewien czas. Potem przestała. Wymazała ją z pamięci.

– Nie miała już nocnych koszmarów?

Wyraz jej twarzy świadczył, że moje stadia i lata praktyki nie poszły na marne.

– Jeżeli pan wie wszystko... to po co skazuje mnie pan na takie męki?

– Wiem nawet i to, że po zniknięciu Sharon Sherry była przerażona. Rozstanie zwielokrotniło jej agresję. Która stale rosła. Dziewczynka wpadała w furję. Obiektem jej ataków stała się również pani.

Kolejny strzał w dziesiątkę.

– O, tak – powiedziała marząc o tym, by przywdziać szaty ofiary. – Miała takie napady złości, jakich nigdy przedtem nie widziałam. Ataki, niemal zwierzęce ataki wściekłości. Nie mogłam jej powstrzymać, kopała mnie, kąsała, pluła na mnie, niszczyła wszystko co tylko wpadło jej w ręce. Któregoś dnia wbiegła do mojej sypialni i umyślnie stłukła moją ulubioną wazę Tang. Dosłownie na moich oczach. Kiedy ją złażałam, chwyciła przybory do manicure i skaleczyła mnie w ramię. Miałam założone szwy.

– I jak sobie pani poradziła z tym nowym problemem?

– Zaczęłam się poważnie zastanawiać nad jej pochodzeniem... biologią. Zapytałam Billy'ego. Powiedział, że jej rodowód nie jest... najwyższej klasy. Ale postanowiłam się nie zniechęcać i dalej nad nią pracować – stało się to głównym celem mojego życia. Przyszło mi na myśl, że może zmiana

otoczenia coś pomoże... Zamknęłam ten dom i zabrałam ją do Palm Beach. W mojej tamtejszej rezydencji panuje taki spokój. Rzadkie odmiany palm, urocze, przestronne loggie. Łudziłam się, że ta piękna przyroda, szum fal wpłyną na nią kojąco.

– Parę tysięcy mil od Willow Glen – powiedziałem.

– I co z tego? To nie miało nic do rzeczy! Sharon przestała dla niej istnieć.

– Czyżby?

Wytrzeszczyła na mnie oczy. Zaczęła płakać, ale bez łez, jak gdyby wszystkie łzy już wypłakała.

– Robiłam co mogłam – powiedziała w końcu zdławionym głosem. – Posłałam ją do jednego z lepszych przedszkoli, do najlepszego przedszkola. Sama do niego chodziłam. Miała lekcje tańca, jazdy konnej, dobrych manier... Przejazdźki statkiem, zabawy dziecięce. Wszystko na próżno. Źle się czuła wśród innych dzieci, nie przystawała do nich. Ludzie zaczęli plotkować. Doszłam do wniosku, że potrzebuje mojej opieki, i poświęciłam się dla niej. Wyjechałyśmy do Europy.

– Jeszcze kilka tysięcy mil.

– Do Rzymu, gdzie ma pani mieszkanie.

– Atelier – sprostowała. – Dostałam je w prezencie od Henry’ego, gdy studiowałam sztuki piękne. Zwiedziłyśmy po drodze Londyn, Monte Carlo, Wiedeń, Paryż – cudowna trasa. Kupiłam jej komplet podróży, miniaturowe ubrania; ubrałam ją od stóp do głów, wszystko nowe, szyte specjalnie dla niej, nawet małe futerko i odpowiednio dobrany kapelusik. Uwielbiała stroje. Kiedy chciała, to potrafiła być taka urocza... Śliczna i wyniosła, jak królewna. Zamierzałam otoczyć ją pięknem tego świata.

– Zablokować jej instynkty...

– Tak! Nie wierzyłam, że nie uda się jej zmienić, nie przyjmowałam tego do wiadomości. Kochałam ją!

– A jak było na tej wycieczce?

Milczała.

– Nie przyszło pani na myśl, żeby połączyć ją z Sharon?

– Hm... Owszem. Lecz nie wiedziałam, w jaki sposób. I czy byłoby to najlepsze wyjście... Proszę tak na mnie nie patrzeć. Robiłam to, co moim zdaniem było najlepsze.

– Czy kiedykolwiek pomyślała pani o Sharon, jak jej się wiedzie?

– Billy składał mi sprawozdania. Czuje się dobrze, jest jej dobrze. To byli uroczy ludzie.

– Są, nie byli. I zważywszy ich możliwości, zrobili dla niej cholernie dużo. Ale czy naprawdę pani

wierzyła, że potrafią ją wychować?

– Naturalnie, że wierzyłam. O co pan mnie posądza? Wspaniale się rozwijała. To było dla niej najlepsze wyjście.

Pałaszowanie majonezu ze słoika. Papier woskowany zamiast szyb.

– Aż do ubiegłego tygodnia – powiedziałem.

– Nie rozumiem...

– Oczywiście, że pani nie rozumie. Ale wracając do Sherry. Jak radziła sobie w szkole, skoro miała trudności z przystosowaniem się do środowiska?

– W ciągu trzech lat była w dziesięciu szkołach. W końcu zatrudniliśmy prywatnych nauczycieli.

– Kiedy po raz pierwszy zaprowadziła ją pani do Kruse'a?

Zajrzała do pustej szklanki. Znowu wydzieliłem jej minimalną dawkę. Łyk i po wszystkim.

– Ile miała lat, kiedy zaczął ją leczyć?

– Dziesięć.

– Dlaczego wcześniej nie szukała pani fachowej pomocy?

– Miałam nadzieję, że sama się z tym uporam.

– Co wpłynęło na zmianę pani stanowiska?

– Zrobiła... krzywdę dziecku na przyjęciu urodzinowym.

– Jaką krzywdę?

– Po co to panu? No dobrze, co za różnica. I tak obnażył mnie pan całkowicie. Bawili się w ciuciubabkę na osiołkach. Pomięła jednego osiołka i była wściekła. Nie lubiła przegrywać. Zerwała opaskę z oczu i wbiła szpilkę w pupę tego chłopca. Solenizanta. To był mały brzdąc, a jego rodzice – nowobogaccy, z uporem wspinający się po drabinie społecznej, zupełnie stracili umiar. Zrobili dosłownie z igły widły, grozili, że wezwą policję, że Sherry powinna się leczyć.

– Dlaczego wybrała pani Kruse'a?

– Znałam go, towarzysko. Nasze rodziny znały się od pokoleń. Miał ładny dom, blisko mojego, gabinet na parterze. Doskonale wyposażony, oddzielne wejście. Myślałam, że mogę polegać na jego dyskrecji. – Roześmiała się. Pijackim piskliwym chichotem. – Nie wyglądam na osobę zbyt przezorną, prawda?

– Proszę mi powiedzieć o przebiegu leczenia.

– Cztery sesje tygodniowo. Sto dwadzieścia pięć dolarów sesja. Płatna z góry.

– Jaką postawił diagnozę?

– Nigdy mi tego nie powiedział.

– Co przez tę swoją terapię chciał osiągnąć? Jakie stosował metody?

– Nie, nic nie mówił. Chyba tylko to, że dziewczynka ma poważne problemy charakterologiczne i wymaga intensywnej terapii. Gdy próbowałam czegokolwiek się dowiedzieć, dał mi wprost do zrozumienia, że wszystko, co między nimi się odbywa, ma charakter poufny. A ja mam się nie wtrącać. Nie podobało mi się to, ale on był lekarzem. Zakładałam, że wie, co robi. Byłam kompletnie z tego wyłączona. Ramey ją do niego odwoził.

– Czy Kruse jej pomógł?

– Z początku tak. Wracała od niego uspokojona, może nawet zbyt spokojna.

– Co pani ma na myśli?

– Śpiąca, ospała. Teraz wiem, że ją hipnotyzował. Lecz nawet jeśli następowała poprawa, to nie na długo. Po godzinie, dwóch była znów tą samą Sherry.

– To znaczy?

– Napastliwa, wulgarna. Łatwo wpadała w złość i rzucała przedmiotami. Chyba że chciała coś osiągnąć, zdobyć – wtedy była najbardziej czarującą laleczką na świecie. Słodka, kochana. Prawdziwa aktorka. Wiedziała, jak wykorzystać ludzi, jak ich sobie podporządkować. On ją tego nauczył. Przez cały czas byłam pewna, że on ją leczy, tymczasem uczył ją, jak manipulować ludźmi.

– Czy powiedziała mu pani o Sharon?

– Nie chciał ode mnie żadnych informacji.

– A gdyby chciał, powiedziałaby mu pani?

– Nie. To już była... przeszłość.

– Ale w końcu mu pani powiedziała.

– Znacznie później.

– To znaczy?

– Po latach, Sherry miała już wtedy piętnaście czy szesnaście lat. Zadzwonił do mnie późnym

wieczorem. Zaskoczył mnie. On to lubił. I nagle z dnia na dzień zmienił ton. Ni stąd, ni zowąd zażądał ode mnie, żebym się w to włączyła, żebym przyszła na terapię.

Przez pięć lat nie byłam u niego, a teraz żąda wizyty. Odmówiłam – wówczas uważałam, że nie przyniosłoby to żadnego efektu, i tak jej osobowość się nie zmieni. Była więzieniem własnych... genów. Nie przyjął do wiadomości mojej odmowy, dzwonił do mnie, zadrezczał mnie. Wpadał niezapowiedziany, kiedy właśnie przyjmowałam gości. Mówił, że ona i ja jesteśmy... Jak on to nazwał? Aha, że jesteśmy parą dyad. Destrukcyjną parą. Dwie osoby na psychicznej huśtawce i każda usiłuje zepchnąć drugą. Jej zachowanie działa negatywnie na mnie, i odwrotnie – moje, również negatywnie – na nią. Żeby powstrzymać ją przed robieniem tych wszystkich okropnych rzeczy, musimy odnaleźć stan równowagi, osiągnąć emocjonalne homeostasis, czy coś w tym sensie. Czułam, że on po prostu chce mieć nade mną kontrolę, i nie zamierzałam się poddać. Ale on... wiercił mi dziurę w brzuchu. Obstawał przy swoim, nie dawał za wygraną. A ja wciąż się opierałam. – Uśmiech pełen dumy. – Potem sprawy przybrały gorszy obrót, i poddałam się.

– W jakim sensie?

– Problemy... nastolatki.

– Uciekła z domu?

– Znikała. Czasem na kilka dni... bez uprzedzenia. Posyłałam Rameya, by jej szukał. Ale na ogół bez rezultatów. Po czym zjawiała się, spadała jak z księżyca, przeważnie w nocy, obdarta, brudna, zapłakana i obiecywała, że już nigdy więcej to się nie powtórzy. I wciąż się powtarzało.

– Mówiła, gdzie się podziewała?

– O, tak. Nazajutrz rano przechwalała się, opowiadała straszne rzeczy, żeby tylko zadać mi ból – że przeszła przez most do tej części miasta, gdzie mieszkają kolorowi, i temu podobne bzdury. Nigdy nie wiedziałam, ile było w tym prawdy. Po prostu nie chciałam jej wierzyć. Później, kiedy była już na tyle dorosła, że mogła prowadzić samochód, brała jeden z moich wozów i znikała. Wyglądało na to, że włóczyła się po całym kraju – Georgia, Luizjana, różne małe miasteczka zabite deskami, o których w życiu nie słyszałam. Co tam robiła, Bóg jeden wie. Pewnego razu pojechała do Mardi Gras i wróciła całą pomalowana na zielono. Gdy zniszczyła mój ulubiony samochód – uroczego starego bentleya w kolorze lila, z oknami z kryształowego szkła, odebrałam jej prawo jazdy. Henry podarował mi ten wóz na dziesięciolecie naszego ślubu. Wjechała nim do oceanu i tam go zostawiła. Ale zawsze udawało jej się jakoś znaleźć kluczyki i znowu znikała.

„Tak czy owak Sherry zawsze będzie górą”.

Tym razem bez uśmiechu.

Przypomniały mi się słowa Dela o śladach po nakłuciaczach i zapytałem:

– Kiedy zaczęła brać narkotyki?

– Miała trzynaście lat. Paul przepisał jej wtedy środki uspokajające.

– Nie był lekarzem. Nie miał prawa wypisywać recept.

Wzruszyła ramionami.

– Zdobywał dla niej te prochy. Środki uspokajające.

– A działki sprzedawane na ulicach?

– Nie wiem. Chyba też. Czemu nie? Nic nie mogło powstrzymać jej przed robieniem tego, czego chce.

– Jak często w tym okresie bywała u Kruse'a?

– Kiedy przyszła jej na to ochota. Brała ode mnie pieniądze, nawet jeśli tam nie szła.

– A ustalony harmonogram wizyt?

– Bez zmian – cztery sesje tygodniowo.

– I nigdy go pani nie zapytała? Dlaczego lata terapii nie dają żadnego rezultatu?

– To był trudny człowiek. Kiedy raz podniosłam tę kwestię, rozłościł się, powiedział, że Sherry cierpi na nieodwracalne zaburzenia osobowości i nigdy nie będzie normalna, że musi całe życie się leczyć, żeby utrzymać się w takim stanie, w jakim jest obecnie. Że przyprowadziłam ją za późno, że nie ma cudów – jak wjadę do garażu gruchotem, to nie wyjadę rolls-royce'em. I znowu zaczął mnie męczyć, żebym przyszła do niego na psychoanalizę. Tymczasem z nią było coraz gorzej i gorzej. Złamał mnie, zgodziłam się na rozmowę.

– O czym była ta rozmowa?

– Bzdury. Pytał mnie o moje dzieciństwo, czy mam sny, dlaczego wyszłam za mąż za Henry'ego. Jak się czuję w tym otoczeniu. Mówił cichym, monotonnym głosem, w gabinecie miał różne błyskotki – takie zabaweczki poruszające się w tę i z powrotem. Wiedziałałam, do czego to zmierza – próbuje mnie zahipnotyzować. Wszyscy w Palm Beach znali te jego talenty. Hipnotyzował ludzi na przyjęciach, na balu Towarzystwa Planowania Rodziny – kazał dla zabawy kwakać ludziom jak kaczkę. Postanowiłam się nie poddać. Trudna sprawa. Jego głos był jak ciepłe mleko. Ale ja się broniłam. Powiedziałam, że nie widzę, by miało to jakiś związek z Sherry. On nie rezygnował. W końcu oświadczyłam, że traci tylko czas, bo ona nie jest moją rodzoną córką i nosi w sobie jakieś niedobre, kurewskie geny. Wtedy przestał buzczyć tym swoim głosem i spojrzał na mnie dziwnie.

Westchnęła, zamknęła oczy.

– Serce we mnie zamarło. Próbowałam zaprzeczać, chciałam się wycofać. Zrozumiałam, że powiedziałam za dużo, że wymusił to na mnie, żeby mnie wykończyć.

– Nie poinformowała go pani przedtem, że to przybrana córka?

– Nigdy nikogo nie informowałam, od samego początku, kiedy dostałam... ją.

– Jak na to zareagował?

– Złamał fajkę na pół. Uderzył dłońmi w blat biurka. Chwycił mnie za ramiona i zaczął mną potrząsać. Krzyczał, że przez te wszystkie lata tracił na próżno czas i że wyrzuciłam Sherry wielką krzywdę. Że ona mnie nic nie obchodzi, że jestem podłą matką, egoistką – wszystkie moje informacje były kłamstwem. I że to moja mania tajemniczości doprowadziła Sherry do takiego stanu. Gadał, gadał, i wciąż mnie atakował. Rozpłakałam się, chciałam sobie pójść, ale on stał w progu i miotał obelgami pod moim adresem. Zagroziłam mu, że zacznę krzyczeć. Uśmiechnął się i powiedział: „A krzycz, jutro całe Palm Beach o tym się dowie. Nie wyłączając Sherry”. Gdy przekraczałam próg oznajmił mi, że zadzwoni do Sherry i powie jej, że ją okłamywałam. To mnie całkiem załamało. Zdawałam sobie sprawę, że po czymś takim już jej nie zatrzymam. Prosiłam, żeby nic jej nie mówił, błagałam go o litość. Uśmiechnął się, zasiadł przy biurku i zapalił dragą fajkę. Siedział, pykał i patrzył na mnie jak na kupę śmieci. Popłakiwałam jak dziecko. W końcu powiedział, że się zastanowi pod warunkiem, że od tej chwili będę z nim zupełnie szczerą. I... powiedziałałam mu wszystko.

– Co mu pani powiedziała?

– Że ojciec nieznany, że matka lekkich obyczajów, która uważała się za aktorkę. Że wkrótce po urodzeniu dziecka umarła.

– W dalszym ciągu ani słowa o Sharon?

– Tak.

– Nie obawiała się pani, że Sherry mu powie?

– Jak mogła powiedzieć o czymś, o czym nie wiedziała? Wymazała ją z pamięci, z całą pewnością, bo nigdy nawet o niej nie wspomniała, a przecież gdy wpadała we wściekłość, wypominała mi wszystko, Mówiła takie straszne rzeczy...

– A gdyby zajrzała przypadkowo do Błękitnej Księgi?

Potrząsnęła głową.

– Nie lubiła żadnych książek, nigdy nie czytała, nawet się dobrze nie nauczyła. Jakaś blokada, której nauczyciele nie potrafili przełamać.

– Jednak Kruse wiedział o Sharon. Skąd?

– Nie mam pojęcia.

– A ja mam. Dzień konsultacji zawodowej w college'u, gdzie spotkał swoją byłą pacjentkę. I szybko się przekonał, że to nie Sherry, ale jej kopia, kalka, lustrzane odbicie...

– Ten potwór dręczył mnie przez całe lata – powiedziała. – Życzę mu z całego serca, żeby się

smażył w piekle.

– Dlaczego pani brat nie zajął się tą całą sprawą?

– Nie wiem... Mówiłam mu. Zawsze powtarzał, żebym była cierpliwa.

Odwróciła się. Nalałem jej trochę martini, lecz nie wypila. Siedziała wyprostowana ze szklanką w dłoni. Oczy miała zamknięte, oddech płytki. Wytrzymałość alkoholika, ale nie na długo. Wypowiadałem możliwie najdobitniej następane pytanie, gdy drzwi otworzyły się na oścież.

Do oszklonego salonu wkroczyli dwaj mężczyźni. Pierwszy – to Cyril Trapp, w białej koszulce polo, obcisłych dzinsach i czarnej kurtce. Napięcie malujące się na jego białej, pokrytej plamami twarzy oraz niebieski rewolwer w prawej dłoni zdradzały kalifornijską sekcję policji.

Drugi mężczyzna trzymał rękę w kieszeni i spojrzeniem szeryfa lustrował pokój. Był starszy od Trappa, jakieś sześćdziesiąt kilka lat – wysoki i potężny. Miał na sobie ubranie w kolorze irchy, w stylu kowbojskim; brązowa jedwabna koszula, wąska taśma krawata spięta ozdobną klamrą, buty z jaszczurczej skóry barwy jasnego orzecha i słomkowy kowbojski kapelusz. Karnacja odpowiadała kolorowi butów. Waga ciała większa od Trappa o dobrych dwadzieścia kilogramów, ale z twarzy podobny – ostre rysy, cienkie usta.

Spojrzał na mnie. Wpatrywał się we mnie okiem zoologa, który ma oto przed sobą rzadki i wyjątkowo obrzydliwy okaz.

– Co słyhać w Las Vegas, panie Hummel? – zapytałem.

Nie odpowiedział, tylko ruch warg, typowy dla posiadaczy sztucznej szczęki.

– Cicho bądź! – rzekł Trapp, kierując we mnie lufę rewolweru. – Ręce na kark i nie ruszaj się!

– Czy to pani przyjaciele? – zapytałem Hope Blalock.

Potrząsnęła głową. W oczach miała przerażenie.

– Przyszliśmy, żeby pani pomóc, madame – powiedział Hummel. Głos miał ochrypły, basso profundo, zdarty od papierosów i alkoholu.

Wszedł Ramey, nieskazitelna czerń i biel wykrochmalonej koszuli.

– W porządku, madame – powiedział. – Wszystko w porządku. – Popatrzył na mnie z wściekłością i nie wątpiłem już, kto wezwał „pomoc”.

Trapp postąpił do przodu, machając mi przed nosem rewolwerem. – Łapy na kark!

Jak na jego gust nie uczyniłem tego zbyt skwapliwie, więc lufa wylądowała pod moim nosem.

Hope Blalock z trudem chwyciła powietrze. Ramey stanął przy niej.

Trapp przycisnął mocniej broń do mojej twarzy. Spojrzałem zezem na ten lśniący metal. I odchyliłem odruchowo głowę. Jeszcze mocniejszy ucisk.

– Spoko – powiedział Royal Hummel. Zaszedł mnie od tyłu. Usłyszałem brzęk i poczułem chłód metalu na przegubach dłoni. – Nie za mocno, synku?

– W sam raz, wujku Roy.

– Zamknij mordę! – wrzasnął Trapp.

Hope Blalock drgnęła.

– Spoko – powtórzył Hummel i poklepał mnie po karku. Okropne. – Zamknij oczy, synku – rzekł, i wykonałem polecenie. Zamiast ucisku stali poczułem, że elastyczna taśma owija mi głowę. Przylegała tak ściśle do oczu, że nie mogłem uchylić powiek. Silne ręce ujęły mnie pod ramiona. Uniosłem się niemal w powietrzu, ledwo koniuszkami palców dotykając podłogi; prulem do przodu niczym latawiec na wietrze.

To bardzo duży dom. Ciągnęli mnie długo, zanim usłyszałem trzask otwieranych drzwi i gorące powietrze uderzyło mnie w nieosłoniętą część twarzy.

Wybuch śmiechu Trappa.

– Co jest, CeTe? – zapytał go Roy, rozciągając sylaby.

– Zwinęliśmy fagasa. Właściwie nie tyle my, co ten pieprzony kamerdyner.

Rozdział 33

Zrewidowali mnie, zabrali zegarek, klucze, portfel i wsadzili do pojazdu, który pachniał nowością.

– Rozgość się, synku – powiedział Hummel, pakując mnie na tylne siedzenie i uwalniając z kajdanków. Zatrzasnął drzwi. Słyszałem, jak obchodzi samochód i siada na przodzie; potem ciche mruczenie zapalonego silnika.

Odchyliłem odrobinę opaskę na oczach, aby zobaczyć, gdzie jestem: zaciemnione okna przepuszczały tylko trochę światła. Czarna szyba oddzielała kabinę kierowcy. Moja wyłożona była szarym plastikiem, twarde jak skała siedzenia, plastikowa podłoga, podsufitek z materiału. Brak górnego oświetlenia. Żadnych ozdób, żadnego oznakowania modelu. Gładka tapicerka wskazywałaby, że jest to niewielka, ekonomiczna amerykańska limuzyna – gorsza klasa dodge'a, forda albo oldsa, ale zmodyfikowana: brak klamek u drzwi, popielniczek, pasów bezpieczeństwa. Żadnych metalowych elementów.

Sięgnąłem dłonią ku drzwiom w poszukiwaniu jakiejś ukrytej klamki. Nic z tych rzeczy. Walnąłem w szklaną przegrodę – żadnego dźwięku. Istne San Quentin na kółkach.

Ruszyliśmy. Ściągnąłem opaskę. Taśma elastyczna, bez metki. Zimny pot lęku zrosił mi czoło. Usłyszałem chrzęst żwiru, tak samo przytłumiony jak praca silnika. Dowody dźwiękowe.

Przycisnąłem twarz do szyby i w przyciemnionym szkle zobaczyłem tylko własne odbicie. Wyglądałem paskudnie...

Przyspieszenie. Żołądek podszedł mi do gardła jak w ruszającej gwałtownie windzie. Odcięty od świata mogłem słyszeć tylko swój lęk. Ten pojazd mógł się stać moją kryptą.

Nagły skręt powalił mnie na bok. Gdy wjechaliśmy na prostą, zacząłem kopać w drzwi. Nic. Waliłem w szyby, atakowałem przegrodę, aż rozboleły mnie ręce. Nic nawet nie drgnęło.

Wreszcie sobie uświadomiłem, że pozostanę tu tak długo, jak oni zechcą. Wziąłem się w garść. Wszelkie dźwięki z zewnątrz zagłuszało bicie mojego serca.

Pozbawili mnie wzroku, słuchu, dotyku. Najważniejsze – to odzyskać orientację. Odwołałem się do drogowskazów umysłu; jedyne, czego mi nie odebrali, to czas. Ale bez zegarka.

Zacząłem liczyć. Tysiąc jeden. Tysiąc dwa. Dodałem ten tysiąc za przebytą już drogę.

Po mniej więcej czterdziestu pięciu minutach samochód się zatrzymał. Ktoś otworzył lewe przednie drzwi. Hummel nachylił się i go zobaczyłem. Na nosie miał lustrzane okulary przeciwsłoneczne, u boku długi chromowany colt 45. Stał na cementowej nawierzchni. Ciemność o żółtawym odcieniu. Poczulem woń benzyny.

Uniósł rękę i rozpiął rozporek.

– Przesiadka, synku. Trza cię znowu skuć. Wychyl się do przodu.

Ani słowa o tym, że ściągnąłem opaskę. Wcisnąłem ją za siedzenie. Zrobiłem, co mi kazał – dobry, posłuszny więzień. Miałem nadzieję, że ową uległością zasłużę sobie na przywilej widzenia. Ale skuł mi ręce i założył opaskę.

– Dokąd mnie wieziecie? – zapytałem. Idiotyczne pytanie. Bezradność odbiera człowiekowi rozum.

– Na przejażdżkę. Zasuwasz, CeTe. Szybko!

Trzask drzwiczek. Głos Trappa:

– Bierzemy fagasa do turkawki.

Ciekawe. Chwilę potem poczułem zapach wody po goleniu i usłyszałem szept tuż nad uchem: – To ten pieprzony kamerdyner. Usrać się można ze śmiechu, no nie?

– Wolnego, wolnego – powiedziałem. – Uszy więdną.

Nagły ból za uchem, jak od ukąszenia pszczoły: trzepnięcie palcem. – Zamknij się, pier...

– CeTe – to powiedział Hummel.

– No dobrze, dobrze.

Chwytność pod ramiona. Echo kroków. Coraz silniejsza woń spalin.

Podziemny parking.

Dwadzieścia dwa kroki. Stop. Czekanie. Szum mechanizmu. Zgrzyty, coś się przesuwa, zatrzymuje.

Drzwi do windy.

Pchnięcie do środka. Odgłos zasuwaszających się drzwi. Pstryk. Szybko w górę. Znowu pchnięcie. Na zewnątrz żar, smród benzyny nie pozwala oddychać.

Cementowa nawierzchnia. Głośny warkot, coraz głośniejszy. Bardzo głośny. Benzyna... Nie, coś o mocniejszym zapachu. Zapach lotniska. Paliwo odrzutowców. Szum, szum. Gwałtowny podmuch zimna wdziera się w gorące powietrze.

Śmigła. Opadanie zwiększa szybkość. Helikopter.

Pchają mnie do przodu. Przypomniałem sobie Grossa, którego, z opaską na oczach, zawieziono na pas startowy – niecałą godzinę drogi od Los Angeles. I poleciał do siedziby Lelanda Beldinga.

Gdzieś na pustyni.

Warkot śmigłowca ogłuszał mnie, wwierał mi się w mózg. Podmuchy turbulencji waliły mnie w twarz, przyklejały ubranie do ciała.

– Stopień! – wrzasnął Hummel. Trzymał mnie za łokieć, popychał, unosił niemal do góry. – Krok wyżej, synku! Dobra jest!

Wspinam się. Jeszcze jeden stopień, dwa. Matko boska, czy ja... Sześć i jeszcze nie koniec.

– Wchodź, wchodź! – ponaglał Hummel. – Już koniec. Noga do przodu. Fajnie. Dobry chłopiec. – Dłoń na mojej głowie. Pchnięcie w dół. Pochyl się, synku.

Posadził mnie na składanym siedzeniu, zapiął pas. Trzaśnięcie drzwi. Szum w uszach. Hałas odrobinę mniejszy, ale wciąż głośno. Usłyszałem pojękiwanie radia i zaraz inny głos dobiegający z przodu: męski, wojskowo-bezosobowy, coś mówił do Hummela. Ten odpowiedział. Coś ustalali. Słowa ginęły w warkocie.

Po chwili unieśliśmy się w górę – huštało mną i trzęsło, jakbym był piłeczką pachinko. Śmigłowiec zakotłosał się, zwiększył wysokość i wyrównał lot.

Wisiałem w powietrzu.

Znowu pomyślałem o Crossie – od sławy do śmierci. O notatkach, które zginęły. Książkach, które wycofano. Zamknięty, porwany. Mknący w epokę pieców.

„Jeżeli mam rację choć w dziesięciu procentach, to i tak obdarzamy ludzi bardzo hojnie”.

Śmigłowiec wciąż wznosił się do góry. Walczyłem z ciągłymi wstrząsami, desperacko udając, że jadę kolejką w Disneylandzie.

Coraz wyżej i wyżej.

Według moich obliczeń lecieliśmy już przeszło dwie godziny, kiedy z przodu kabiny dobiegły mnie trzaski radiowe i poczułem, że śmigłowiec obniża wysokość.

Jakieś trzaski w radiu. I wyraźnie – jedno nic nieznaczące słowo: „Roger”.

Zniżaliśmy się do lądowania. Gdzieś czytałem, że śmigłowce latają z szybkością od 90 do 125 węzłów. Jeśli moje obliczenia są mniej więcej dokładne, oznaczałoby to, że zrobiliśmy 200-250 – milową wycieczkę. Zatoczyłem w myślach krąg o tej średnicy z samego centrum Los Angeles. Długość od Fresno do Mexico. Od pustyni Colorado do jakiejś wyspy na Pacyfiku na osi wschodnio-zachodniej.

Kolejne szarpnięcie w dół. Chwilę później stanęliśmy na twardym gruncie.

– Gładko poszło – powiedział Hummel. I zaraz poczułem na twarzy jego oddech, gorący, przesycony miętą. Słyszałem jak mruczy, odpinając mi pas: – Przyjemnie było, synku?

– Nieźle – powiedziałem, pożyczając od kogoś głos, jakiś rozedrgany tenor. – Jak w głównianym filmie.

Zachichotał, ujął mnie za ramię i wyprowadził ze śmigłowca.

Potknąłem się kilka razy. Hummel trzymał mnie mocno pod rękę i szliśmy dalej, nie zatrzymując się nawet na pół kroku.

Ciężki marsz – on prawdopodobnie był do czegoś takiego przyzwyczajony, po tylu ostrych popijawach w Vegas.

Lekko licząc, przeszliśmy około czterystu kroków. Powietrze było gorące, suche. Pustynna cisza.

– Zostań tu – powiedział i usłyszałem ciężki, koński tupot jego kroków. I nic.

Stałem sam, nikt mnie nie pilnował. Doliczyłem do trzystu. I jeszcze raz. Dziesięć minut. Według moich kalkulacji.

Jeszcze pięć minut, i zacząłem się zastanawiać, czy on w ogóle wróci. Trzy minuty, i chyba już na niego czekałem.

Może dał mi szansę ucieczki? Nie, to byłoby czyste szaleństwo. Starłem się sobie wyobrazić, gdzie jestem – na skraju przepaści? Będę tarczą strzelniczą?

Albo może zostawili mnie w środku nicości? Lunch dla skorpionów i innych drapieżników?

Przyszedł mi na myśl nekrolog Donalda Neuratha... Podczas urlopu w Meksyku... Przyczyny śmierci nie podano.

Może Hummel blefował? Rozwazałem możliwość ruszenia z miejsca. Niepewność paraliżowała mi stawy. Byłem człowiekiem, który właśnie postawił jedną nogę na polu minowym. Ruch – to egzekucja. Bezruch – wyrok dożywocia.

Stałem, liczyłem, pociłem się, starałem się trzymać nerwy na wodzy. Strach jeszcze bardziej spowalniał rozciągający się w nieskończoność upływ czasu. W końcu zmusiłem się do zrobienia kroku do przodu – jednego małego kroku dziecka. O matko! Mogę? Proszę cię!

Stały grunt pod stopą. Żadnego fajerwerku wybuchających min.

Jeszcze jeden krok. Moja stopa zatoczyła wolny łuk – sprawdzić, czy nie ma pułapki – jeszcze kilka cali do przodu, i wtedy gdzieś z tyłu usłyszałem elektryczny brzęczyk.

Przerwa i krok. Brzęczyk, przerwa, brzęczyk.

Wózek golfowy, czy coś podobnego. Zbliża się. I kroki.

– Ładnie tańczysz, synku – powiedział Hummel. – Przydałoby się trochę deszczu.

Wsadził mnie do wózka. Płytkie siedzenia, bez dachu. Przez piętnaście minut jechaliśmy w słonecznym skwarze. Wreszcie zatrzymał wózek, wywlókł mnie i wprowadził przez obrotowe drzwi do budynku z dobrze działającą klimatyzacją. Poczulem chłód na plecach. Minęliśmy jeszcze troje drzwi, każde otwierały się po kilkakrotnym naciśnięciu guzika, po czym gwałtowny skręt w prawo, jeszcze trzydzieści kroków i weszliśmy do pomieszczenia cuchnącego środkami dezynfekcyjnymi.

– Stój spokojnie, nikt ci nie zrobi krzywdy – powiedział Hummel.

Szybkie kroki. Zdjęto mi kajdanki. Kilka par rąk pętało mi ramiona i nogi, ścisnęło mi głowę, odchyłało ją do tyłu. Usta miałem pełne czyichś palców, wciskały się pod język. Zemdliło mnie.

Zerwali ze mnie ubranie, ręce biegały po moim ciele, targały mi włosy, sprawdziły pod pachami, w odbytnicy, zręcznie, szybko, fachowo, bez cienia seksualnego zainteresowania. Po czym ubrano mnie, zapięto guziki, zasunięto zamek w rozporku – a wszystko to w ciągu kilku minut.

Szedłem przez kolejne drzwi z kodowanymi zamkami i wreszcie posadzono mnie w dużym, głębokim skórzanym fotelu, rozkosznie chłodnym.

Drzwi się zamknęły.

Gdy już sobie poszli, zerwałem opaskę z oczu.

Pokój był duży, ciemny, urządzone w stylu „domu na skraju”. Ściany z desek, na zniszczonej, sosnowej podłodze dywaniki Nawajo, żyrandol z koła od wozu, zwisający z sufitu o belkowanym stropie, kilka foteli obciągniętych skórą wołu, z elementami rogów zwierzyny płowej, obrazy olejne wielkości ściany, przedstawiające utrudzonych życiem kowbojów i konie rasy kalifornijskiej.

Na środku stało oparte na lwich łapach wielkie biurko obite skórą. Za nim, od podłogi po sufit, wystawa rusznic skałkowych i grawerowanych antycznych strzelb.

Za biurkiem siedział Billy Vidal – jasne oczy, twarz o kwadratowych szczękach, doskonale zakonserwowana. Opalenizna koloru mocnej herbaty ładnie się odcinała od golfa koloru kości słoniowej, wylaniającego się z białej kaszmirowej koszulki polo. Żaden tam kowbojski styl. Prezes Magny reprezentował polar i szyk mieszkańca Palm Beach, ekskluzywnego gracza w golfa. Ręce złożone na biurku, staranny manicure, skóra gładka jak u dziecka.

– Dziękuję, doktorze, za przybycie.

Głos nie pasował do wyglądu – ochryply, nieprzyjemny, skrzekliwy, dzielący słowa na sylaby.

Milczałem.

Wpatrywał się we mnie przenikliwie jasnymi oczami. Po chwili powiedział:

– Nieprzyjemna trzęsionka. – Ostatnie słowo zamarło mu na ustach. Odchrząknął, wydusił z siebie jeszcze kilka gardłowych szeptów: – Przepraszam za wszelkie niewygody, na jakie był pan narażony. Ale nie miałem innego wyjścia.

– Innego wyjścia?

– By z panem porozmawiać.

– Wystarczyło zwrócić się do mnie z tą propozycją.

Potrząsnął głową.

– Problem wymagał ustalenia. Aż do ostatniej chwili nie byłem pewny, czy to będzie rozsądne. Myślałem o tym, odkąd zaczął pan zadawać pytania. – Kaszlnął, dotknął jabłka Adama. – Ale dzisiaj, kiedy złożył pan wizytę mojej siostrze, podjął pan za mnie decyzję. Wszystko musiało się odbyć szybko i sprawnie. Zatem jeszcze raz przepraszam pana za niewygody, i mam nadzieję, że obaj uznamy to za niebyłe i przystąpimy do rzeczy.

Wciąż czułem stalowy chłód kajdanków na przegubach dłoni, nie opuszczała mnie myśl o podróży śmigłowcem, głównie zaś o tym dojmującym, obezwładniającym strachu, kiedy czekałem na Hummela i jego wózek.

„Ładnie tańczysz, synku”. Wiedziałem, że jeśli dam się ponieść gniewowi, stracę punkty.

– Do jakiej rzeczy mamy przystąpić? – zapytałem z uśmiechem.

– Do dyskusji.

– O czym?

– Proszę, doktorze – wychrypiał. – Nie traćmy cennego czasu na zgrywa nie się.

– Pana cennego czasu?

– Tak.

Znów utkwiał we mnie wzrok. Nie mrugał powiekami, ale jego oczy straciły ostrość i miałem wrażenie, że błądzi myślami gdzieś daleko.

– Przed trzydziestu laty – zaczął – miałem okazję brać udział w eksperymencie nuklearnym, prowadzonym przez korporację Magna i Armię Stanów Zjednoczonych. Niebywałe wydarzenie, wstęp tylko za zaproszeniami, miejsce akcji – pustynia Nevada. Noc spędziliśmy w Las Vegas, na wspaniałym przyjęciu, a przed wschodem słońca – odjazd. Bomba wybuchła, jak tylko niebo zaczęło się rozjaśniać – wtopiła się we wschodzące słońce. Ale coś było nie tak – wiatr zmienił nagle kierunek i wszyscy zostaliśmy wystawieni na działanie pyłu radioaktywnego. Eksperci twierdzili, że ryzyko skażenia jest minimalne, więc nikt się tym specjalnie nie przejmował. Dopiero piętnaście lat temu... Trzy czwarte spośród osób wówczas tam obecnych już nie żyje. Kilkoro jest chorych

terminalnie. A ja czekam...

Przyglądałem się jego twarzy – zdrowa cera, ciemna opalenizna.

– Wygląda pan na zdrowszego ode mnie – powiedziałem.

– A głos mam też zdrowy?

Nic nie odpowiedziałem.

– Teraz jestem zdrowy – rzekł. – Jak na razie. Niski poziom cholesterolu, wspaniałe lipidy, serce jak dzwon. W ubiegłym roku usunięto mi chirurgicznie parę guzków z przełyku, na razie nie ma przerzutów – odchylił golf i pokazał różowe, nabrzmiące blizny. – Skóra jest tu delikatna, myśli pan, że warto się poddać operacji plastycznej?

– Pańska decyzja.

– Zastanawiałem się nad tym, ale byłaby to głupia próżność. W końcu i tak pojawią się przerzuty. Jak na ironię, leczenie polega na napromieniowaniu. Tyle że rzadko pomaga.

Poprawił golf. Poklepał się po jabłku Adama.

– A Belding? – zapytałem. – Został napromieniowany?

Uśmiechnął się, potrząsając przecząco głową.

– Leland był zabezpieczony. Jak zwykle.

Wciąż z tym samym uśmiechem na ustach otworzył szufladę, wyjął mały, plastikowy pojemnik, nacisnął guzik i zwilżył gardło płynem w aerozolu. Kilka głębokich wdechów, schował pojemnik z powrotem do szuflady, rozparł się wygodnie z fotelu i uśmiechnął jeszcze promienniejsze.

– O czym chce pan ze mną mówić? – zapytałem.

– O sprawach, które pana interesują. Zamierzam zaspokoić pana ciekawość. Ale pod warunkiem, że przestanie pan szperać. Wiem, że pańskie intencje są szlachetne, ale nie wyobraża sobie pan nawet, ile szkody może to przynieść.

– Nie rozumiem, dlaczego miałbym zaszkodzić czemuś, co już się stało.

– Panie doktorze, chciałbym zejść z tego świata ze świadomością, że zrobiłem wszystko co w mojej mocy, by ochronić pewnych ludzi.

– Na przykład siostrę? Czy ostatnie wydarzenia nie świadczą, że ma wystarczającą ochronę?

– Nie, pańskie rozumowanie jest nieścisle – zna pan tylko część prawdy.

– A pan ujawni całą?

– Tak. – Kaszel. – Lecz musi mi pan dać słowo, że skończy pan z tym śledztwem, niech te sprawy umrą wreszcie śmiercią naturalną.

– W jakim celu pan udaje? Dobrze pan wie, że nie mam wyboru. Jeśli będę się upierał przy swoim, to załatwi mnie pan, tak jak załatwił pan Crossa, Eulalie i Cable Johnsonów, Donalda Neuratha, Kruse'ów.

Moje słowa wyraźnie go ubawiły.

– Pan jest naprawdę przekonany, że jestem perfidnym mordercą?

– Pan, Magna, co za różnica?

– Aha. Amerykańskie korporacje jako wcielenie szatana?

– Nie, tylko ta konkretna korporacja.

Roześmiał się – było to raczej sapanie niż śmiech.

– Doktorze, gdybym nawet chciał pana załatwić, jak był pan łaskaw to ująć, nie mógłbym. Dostał pan pewnej łaski...

– Co?

– O, tak. Komuś bardzo na panu zależy. Istocie uroczej i dobrej, drogiej nam obu.

Nie na tyle drogiej, by ujawnił, kim jest owa istota.

– Widziałem, że na przyjęciu u Kruse'a ktoś z panem rozmawiał. Ktoś się od pana czegoś domagał. Czego?

Zamknął oczy, przycisnął palcami skronie.

– Z Holmby Hills do Willow Glen – powiedziałem. – Pięćset dolarów miesięcznie w kopercie bez nadawcy. Coś mi nie wygląda, że owa istota jest panu aż tak droga.

Spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Pięćset dolarów? Helen panu o tym powiedziała? – Znowu wydał z siebie ten sam sapiący śmiech, odsunął się z fotelem, położył nogi na biurku. Miał czarne sztruksowe spodnie, brązowe mokasyny z jagnięcej skóry i jasne skarpetki. Podeszwy wypolerowane do połysku, jakby nigdy nie chodził po ziemi.

– Okay – rzekł. – Dość już tej zabawy. Niech mi pan powie to, co pańskim zdaniem pan wie, a ja będę wiódł pana ku prawdzie.

– Czyli dowie się pan, ile mogę sprawić panu kłopotu, i podejmie stosowne działania.

– Rozumiem, że może to pan tak odbierać, doktorze. Ale ja myślę o edukacji prewencyjnej. Przedstawię panu całą prawdę i nie będzie pan miał więcej powodu, by sprawiać mi kłopot.

Cisza.

– Jeśli odrzuca pan moją propozycję, każe natychmiast odstawić pana do domu.

– Jaką mam szansę, że dotrę tam żywy?

– Sto procent. Za rękę boską nie odpowiadam.

– A korporacja Magna nie zapragnie nią być?

Roześmiał się.

– Muszę to zapamiętać. No jak, doktorze? Wybór należy do pana. Byłem na jego łasce i niełasce. Jeżeli się zgodzę, to czegoś się dowiem. I zyskam na czasie.

– A więc dobrze. Proszę mnie edukować – powiedziałem.

– Świetnie. Porozmawiamy przy kolacji, jak na dżentelmenów przystało. Nacisnął guzik przy blacie biurka. Ściana z wystawą broni przesunęła się i moim oczom ukazał się niewielki pasaż i zasłonięte kotarą drzwi, które gospodarz otworzył, wpuszczając do środka powiew świeżego powietrza.

Weszliśmy do podłużnego patio krytego dachem. Szarobrązowe drewniane kolumny, ludowa meksykańska ceramika. Bugenwille o grubych pniach w glinianych donicach pięły się po kolumnach na dach, na którym rozścielały dywan liści. Z krokwi zwisały słomiane kosze z różnymi tropikalnymi roślinami. Duży okrągły stół, przykryty niebieską adamaszkową serwetą – zastawa na dwie osoby: naczynia z wypalanej glinki, srebro stołowe, kryształowe czary, na środku stołu kompozycja z ziół i kwiatów.

Pewny był mojego wyboru.

Spod ziemi wyrósł meksykański kelner i wysunął dla mnie krzesło. Minąłem go, wyszedłem na zewnątrz. Położenie słońca świadczyło o zbliżającym się zmierzchu, ale upał był taki jak w południe.

Oddaliłem się na tyle, aby móc ogarnąć wzrokiem cały dom: podłużne, niskie ściany – imitacja gliny namulowej, ramy okien z takiego samego szarobrązowego drewna jak kolumny. Wyłożone flizą ścieżki przecinały dwuakrowy mniej więcej trawnik, obsadzony żółtymi gazaniami. Za trawnikiem była pusta piaszczysta zagroda dla koni, a za nią jeszcze więcej piasku, całe mile piasku, równina o barwie biszkoptu, tylko gdzieniegdzie kępy aloesu, yukki i bure plamy cienia. W dali – źródło tego cienia: granitowe góry. Majestatyczne, o czarnych wierzchołkach, odcinające się ostro od szafiru nieba. Widok jak z pocztówki. Cudowne tło dla fotografa.

Ogarnąłem spojrzeniem trawnik, szukając drewnianej ławki. Nic. Ale w mojej pamięci istniała ta ławka.

A w tle granitowe góry.

Dwie małe dziewczynki w kowbojskich ubrankach, jedzące lody.

Obejrzałem się na Vidala. Siedział, rozkładał serwetkę na kolanach i mówił coś do kelnera.

Kelner roześmiał się, napełnił kieliszki winem i odszedł.

Były Billy-Rajfur wskazywał mi dłonią krzesło.

Jeszcze rzut oka na góry, lecz widziałem teraz tylko kamień i piasek. Gra światła i cienia na martwej płaszczyźnie.

Wymazane z pamięci wspomnienia.

Vidal przywoływał mnie skinieniem ręki.

Wróciłem do patio.

Rozdział 34

Jadł łapczywie, żarłocznie, nienaganne maniery kobry. Celował w kawałek mięsa, ciął go na drobne kęsy i przed włożeniem do ust rozdłubywał widelcem. Guacamola ostentacyjnie miażdżona przez kelnera w kamiennym moździerzu. Sałatka z zieleniny i marynowanej cebuli. Domowego wyrobu placuszki kukurydziane, świeże masło, wędzone steki z ryby-miecza, sześć gatunków salsefii, wieprzowina pieczona w jakimś słodkawym, pikantnym sosie. Zadał sobie trud, by poinformować mnie, że chardonnay i pinot noir pochodzą z prowadzonej przez Magnę prywatnej wytwórni win w Sonomie.

Zauważyłem, że parokrotnie po połknięciu wykrzywił się boleśnie, i pomyślałem, ile w jego życiu znaczyło jedzenie, ile satysfakcji sprawiał mu fakt, że jego usta jeszcze mogą pracować.

Zanim zabrał się do drugiej porcji wieprzowiny, spojrzął na mój nie tknięty talerz.

– Nie smakuje panu, doktorze?

– Wolałbym być raczej edukowany niż karmiony.

Uśmiech. Rozdrabnianie mięsa. Papka. Wyrozumowana wegetacja.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytałem. – W Meksyku?

– Meksyk – zaczął – jest pewnym stanem ducha. Ktoś mądry kiedyś to powiedział – choć jako żywo nie mogę sobie przypomnieć kto, możliwe, że Dorothy Parker. Ona wypowiadała same mądre myśli, prawda?

Krajanie, żucie, połykanie.

– Dlaczego Sharon odebrała sobie życie? – zapytałem.

Opuścił widelec.

– To jest finał, doktorze. Trzymajmy się chronologii.

– Proszę bardzo, niech pan zaczyna.

Wypił łyk wina, skrzywił się, zakaszał, zjadł trochę, powoli sączył trunek. Patrzyłem na pustynię, która ciemniała, przybierała barwę czarno-brązową. Martwa cisza. Może zwierzęta znają tajemnicę...

W końcu odsunął talerz, brzęknął widelcem o stół. Pojawił się meksykański kelner oraz dwie potężne, czarnowłose kobiety w długich, brązowych sukniach. Vidal powiedział coś szybko po hiszpańsku. Stół uprzątnięto i przed każdym z nas stanęła cynowa wazka z zielonymi lodami.

Spróbowałem. Słodkie aż do mdłości.

– Kaktus – powiedział Vidal. – Bardzo kojące działanie.

Zapatrzył się w pustynię. Kelner przyniósł kawę pachnącą anyżkiem. Vidal podziękował mu, powiedział, że jest wolny. Dotknął dłonią warg.

– A więc w porządku chronologicznym – zacząłem. – Może zaczniemy od Eulalie i Cable’a Johnsonów?

Skinął głową.

– Co pan o nich wie?

– Ona była jedną z dziewcząt do towarzystwa Beldinga; drobna oszustka. Para małomiasteczkowych kanciarzy, którzy przyjechali po łupy do Hollywoodu. Trzecioliigowi handlarze narkotyków.

– Linda – powiedział. – Zawsze znałem ją pod tym imieniem.. Ona była istotą naprawdę niezwykłą. Brylant w wulgarnej oprawie, fizycznie zniewalająca – miała w sobie jakiś nieuchwytny czar, coś, czego nie da się osiągnąć za żadne pieniądze. W tamtych czasach pełno było wokół nas pięknych kobiet, ale ona się wyróżniała, była inna niż wszystkie – nie tak cyniczna, pewien rodzaj uległości.

– Pasywność?

– Możliwe, że w pańskim środowisku określono by to jako wadę. W moim mniemaniu była osobą o pogodnym charakterze i czułem, że właśnie ona mogłaby pomóc Lelandowi.

– W czym?

– Pomóc mu stać się mężczyzną. Leland nie rozumiał kobiet. W ich towarzystwie usztywniał się, nie potrafił... funkcjonować. Był zbyt inteligentny, by nie rozumieć tej ironii losu – pieniądze, władza, najwspanialszy w kraju kawaler do wzięcia i wciąż w wieku czterdziestu lat – dziewica. Nie był człowiekiem znerwicowanym, ale każdy ma jakiś słaby punkt, a jego nękały frustracje związane z pracą. Wiedziałem, że nie jest w stanie rozwiązać żadnego problemu. Na moje barki spadło więc zadanie znalezienia mu... przewodnika. Wyjaśniłem Lindzie całą sytuację. Nie wyrażała sprzeciwu. Więc zorganizowałem to tak, żeby byli razem. Była kimś więcej, doktorze, niż dziewczyną do towarzystwa.

– Usługi seksualne za opłatą – powiedziałem. – Po prostu.

Nie zamierzał się obrazić.

– Wszystko ma swoją cenę, doktorze. Ona pełniła wtedy taką rolę, jaką dziś spełniają kupowane w sex-shopach akcesoria.

– Nie wybrał jej pan tylko dlatego, że miała takie, a nie inne usposobienie – rzekłem.

– Była piękna. Jej uroda stanowiła czynnik pobudzający.

– Nie to miałem na myśli.

– Nie? – Pił powoli kawę. – Letnia. – Trzykrotnie uderzył łyżką w stół. Z mroku wyłonił się kelner z dzbankiem świeżej kawy. Ciekawiło mnie, co ten dzbanek jeszcze zawierał.

Wypił parujący płyn i miał taką minę, jakby ktoś dolał mu octu do kawy. Upłynęło parę chwil, zanim spróbował mówić, a gdy już spróbował, to musiałem pochylić się ku niemu, by cokolwiek usłyszeć.

– Co właściwie miał pan na myśli? – zapytał.

– Jej bezpłodność – powiedziałem. – Wybrał ją pan dlatego, bo był pan przekonany, że ona nie może mieć dzieci.

– Jest pan bystrym młodym człowiekiem – rzekł, podnosząc filiżankę do ust i chowając twarz w obłoku pary. – Leland był człowiekiem bardzo nieśmiałym – stanowiło to w dużej mierze jego problem. Toteż wielkim plusem Lindy było to, że nie musiał martwić się o środki zabezpieczające. Minusem natomiast – jej, powiedzmy, bałaganiarstwo, z czym trudno było mu się pogodzić.

– Miałem na myśli inną rzecz, z którą trudno było się pogodzić. – Następce z nieprawego łoża.

Parę łyków kawy.

– Dlaczego pan sądził, że Linda nie może zajść w ciążę? – zapytałem.

– Dziewczęta musiały się poddać wszystkim badaniom, przejść przez wszelkie możliwe testy. Okazało się, że Linda kilka razy zachodziła w ciążę i prawie natychmiast po zapłodnieniu ronila. Nasi lekarze orzekli, że cierpi na poważne zaburzenia hormonalne. Rokowali, że nie ma szans na donoszenie dziecka.

Dla hodowcy zwierząt – klęska.

– Jak ona sobie radziła ze starym Lelandem? – zapytałem.

– Cudownie. Po kilku seansach stał się innym człowiekiem.

– Co do niej czuł?

Odstawił filiżankę.

– Leland Belding nigdy nic nie czuł, doktorze. Był to człowiek stworzony na podobieństwo maszyny, mało go od niej dzieliło.

Przypomniały mi się słowa Ellstona Crotty'ego: „Cholerna kamera na ludzkich nogach. Pamiętam, że pomyślałem sobie, jaki to musi być zimny skurwysyn”.

– Założmy, że tak było – powiedziałem. – Ale nawet między pacjentem i terapeutą wytwarza się swoista więź uczuciowa. Twierdzi pan, że nic takiego między nimi nie istniało?

– Tak twierdę. Pełniła po prostu funkcję domowej nauczycielki, na przykład od francuskiego. Leland przyjmował ją w swoim biurze. Kiedy już było po wszystkim, brał prysznic, ubierał się i wracał do pracy. Ona też. Znałem go lepiej niż inni, co wcale nie świadczy, że znałem go dobrze – nie dzielił się ze mną swoimi myślami. Według mnie on traktował ją jak część swoich maszyn, jeden z tych sprawnie działających automatów. Nie można powiedzieć, by ją lekceważył. Ale kochał tylko swoje maszyny.

– A jej uczucia wobec niego?

Chwila milczenia. Bolesny skurcz twarzy.

– Niewątpliwie była pod wrażeniem jego pieniędzy i władzy. Władza fascynuje kobiety – gotowe są wybaczyć mężczyźnie wszystko, poza słabością. Lecz ona знаła jego słabość... Toteż przypuszczam, że żywiła do niego pełen szacunek podziw i trochę litości; podobnie chyba patrzy lekarz na pacjenta, u którego odkrył rzadko spotykaną chorobę.

Oprawiał swoje słowa w teoretyczną ramkę. Ale wyraz bólu przebijał się przez maskę spokoju.

Wiedziałem już, że Linda Lanier stała się dla Beldinga kimś więcej niż dziewczyną pracującą na zlecenie. Wiedziałem, i nie mogłem tego z niego wydobyć.

– Była to po prostu umowa – powiedział.

– Całkiem wygodna, dopóki Cable nie wkroczył na scenę.

Z maski spokoju niewiele już zostało.

– Cable Johnson był typem spod ciemnej gwiazdy. Kiedy mieli po kilkanaście lat, sprzedał siostrę tamtejszym chłopakom, dosłownie sprzedał; miała wtedy czternaście czy piętnaście lat. Dlatego tyle razy zachodziła w ciążę. Obrzydliwy facet.

Jeden stręczyciel oskarża drugiego.

– Zatrudniając Lindę w charakterze pogotowia seksualnego, narażał się pan na niebezpieczeństwo z jego strony. Nie brał pan tego pod uwagę?

– Oczywiście, że brałem, ale sądziłem, że problem mam z głowy. W tym samym czasie Johnson poszedł siedzieć za kradzież jako recydywista. Był kompletnie zrujnowany, miał dziesięć dolarów i studolarową kaucję do zapłacenia. Wyciągnąłem go stamtąd, dałem pracę w Magnafilm i wysoką pensję. Ten idiota nie raczył nawet pokazać się w pracy – wysyłałem mu pocztą czeki; mieszkał w wynajmowanym pokoju. Wszystko to robiłem po to, by trzymał się od niej z daleka. Byłem wspaniałomyślny, nie sądzi pan?

– Owa wspaniałomyślność nijak się miała nawet do części fortuny Beldinga.

– Głupiec – powiedział. – Nie miał żadnej szansy na zarobek, a był nałogowym kryminalistą, nie mógł pohamować własnych instynktów.

– Na scenę wkracza Donald Neurath, doktor medycyny, specjalista od leczenia niepłodności i przyszłe źródło dochodu.

– Ho! Ho! – burknął Vidal. – Przechodzi pan samego siebie.

– Czy Neurath znał plan Cable’a?

– Twierdził, że nie. Przedstawili się jako małżeństwo – biedni, bezdzietni państwo Johnsonowie. Neurath powiedział, że nie dał się nabrać, wyczuwał, że coś jest nie tak, i odmówił leczenia jej. Ale w końcu Johnson go przekonał.

– Wie pan, w jaki sposób – rzekłem. – Handel wymienny. Pornos w zamian za hormonalne leczenie Lindy.

– Obrzydliwe.

– Tak więc Neurath za dużo wiedział – powiedziałem. – Toteż trzeba go było uciszyć, wysyłając do Meksyku, niedaleko stąd, jak śmiem przypuszczać.

– Doktorze, doktorze, za dużo mi pan przypisuje zasług. Nigdy nikogo nie „uciszałem”, jak pan się wyraził. Donald Neurath przyjechał tu z własnej woli, z pewną dla mnie informacją. Winien był lichwiarzom pieniądze, więc liczył na zapłatę. Odmówiłem. W drodze powrotnej rozbił samochód – tak mi powiedziano. Umarł na pustyni... Jako lekarz powinien słyszeć o udarze słonecznym...

I w ten sposób włączył go pan do planu Cable’a?

– Nie. Linda przyszła do mnie i powiedziała, że nie może dłużej pracować dla Lelanda. Przyniosła pismo z orzeczeniem lekarskim, podpisanym przez Neuratha. Stwierdzał w nim, że Linda cierpi na jakąś infekcję pochwy. Z początku nie budziło to moich podejrzeń. Miało wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Dałem jej tysiąc dolarów odprawy i życzyłem pomyślności. Dopiero później zacząłem kojarzyć pewne fakty.

– Jak Belding zareagował na jej odejście?

– W ogóle nie zareagował. W tym czasie kipiał energią, wypróbowywał na innych kobietach swoje nowo odkryte talenty. Zagarniał wszystkie dziewczyny, jakie mu tylko wpadły pod rękę. Chełpił się tym.

Cudowna przemiana pustelnika w playboya. Nadrabianie zaległości.

– Co dalej?

– Po mniej więcej roku Cable zadzwonił do mnie. Powiedział, że powinienem się z nim spotkać, jeśli dobro Lelanda leży mi na sercu. Spotkaliśmy się w jakimś okropnym śródmiejskim hotelu,

Johnson pijany, ale władcze spojrzenie, pewny siebie, promieniejący dumą. Poinformował mnie, że Linda urodziła dzieci Lelandowi. Na poród zabrał ją do Teksasu; właśnie wrócili i będą „dopominać się o swoje prawa”.

Vidal podniósł filiżankę do ust, chwilę się namyślał i mówił dalej:

– Sądził, że jest sprytny. Że sobie wszystko dobrze skalkulował. Chwycił mnie za ramiona, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi, podał mi tani dzin w ohydnej butelce. Wyśpiewywał wulgarne piosenki, bełkotał, że teraz Johnsonowie i Beldingowie to jedna rodzina. Potem kazał mi czekać, wyszedł z pokoju i po paru minutach wrócił z Lindą i malutkimi „prezencikami”.

– Trzema „prezencikami” – powiedziałem.

Skinął głową.

– Trojaczki. Hormonalne leczenie wyprawia cuda z jajeczkiem, zwiększa szansę ciąży mnogiej. Medycyna współczesna ma już pełną wiedzę na ten temat, ale Neurath wyprzedził swoją epokę.

– Powód do chwały dla Port Wallace. – powiedziałem. – Jewel Rae, Jana Sue. I biedna Joan Dixie, która przyszła na świat ślepa i głucha. Sparaliżowana.

– Nieszczęsne maleństwo – rzekł. – Porażenie mózgowe. Szpital, do którego Cable zaciągnął Lindę, był poniżej poziomu, prymitywne warunki. Mało brakowało, a Joan umarłaby zaraz po urodzeniu. – Potrząsnął głową, zamknął oczy. – Była taka maleńka, niewiele większa niż dłoń dorosłego człowieka. Cud, że przeżyła. Linda nosiła ją w koszyku, pieściła, masowała jej ciało. Udawała przed sobą, że te jej skurcze są normalne. Że jest normalna.

– Wstrząsający widok dla człowieka wrażliwego – powiedziałem.

– Wszystkie trzy budziłyby w nim odrazę. Zawsze miał do dzieci stosunek pogardliwy, a już sama myśl o trojaczkach zwaliłaby go z nóg. Był inżynierem z krwi i kości – precyzyjne maszyny, idealne proporcje, itd... Nie tolerował absolutnie niczego, co nie było zgodne z jego oczekiwaniami. Rzecz jasna, że kalectwo Joan byłoby dlań dodatkową zniewagą – świadomość, że oto uczestniczył w tworzeniu tak wadliwej konstrukcji. Znałem go dobrze, wiedziałem, jak zareaguje. Chciałem go przed tym wszystkim uchronić, podjąć działania na własną rękę. Ale Cable nastawał – już, zaraz. Rodzina. Linda miała klucz do biura Lelanda. I pewnego wieczora, kiedy pracował, przyniosła mu te dzieci.

Potrząsnął głową i po chwili mówił dalej:

– Biedna, głupia dziewczyna wierzyła, że niemowlęta obudzą w nim ojcowską dumę. Wysłuchał jej, powiedział to, co chciała usłyszeć. A gdy poszła, zadzwonił do mnie i kazał mi przyjechać, by omówić „ostateczne rozwiązanie problemu”. Nie, żeby oczekiwał ode mnie rady – on decyzję już podjął. Mają zostać wyeliminowane. Na zawsze. A ja mam być tym aniołem śmierci.

– Skazał na śmierć niemowlęta?

– Tak.

– Wszystkie łotrostwa na konto człowieka, który nie żyje – powiedziałem. – Pewien sprawny strzelec z brygady szturmowej wykonał rozkaz.

Wypił kawę, odkaslnął, wyciągnął z kieszeni swój plastikowy pojemnik i zwilżył gardło.

– Uratowałem te dzieci – oświadczył. – Tylko ja mogłem to zrobić, tylko ja cieszyłem się takim zaufaniem Lelanda, że mogłem mu się przeciwstawić i wybrnąć jakoś z sytuacji. Oznajmiłem, że dzieciobójstwo absolutnie nie wchodzi w grę. Gdyby ktoś coś wywęszył, to czeka go ruina; i Magnę też.

– Pragmatyczne podejście.

– Tylko to mogło go przekonać. Powiedziałem, że dzieci można oddać do adopcji, z zastrzeżeniem, że pochodzenie dziewczynek musi na zawsze pozostać tajemnicą. Że powinien sporządzić nowy testament, w którym zaznaczy wyraźnie, że żadni jego krewni, znani czy nieznani, nie nabędą praw dziedziczenia po nim majątku. Na początku nie chciał o tym słyszeć, obstawał przy swoim, twierdził, że istnieje tylko „jedyna możliwość”. Przypomniałem mu, że zawsze wykonywałem wszystkie jego polecenia, ale tego – nie wykonam. A jeśli dzieci zginą, nie gwarantuję, że będę milczał. Więc czy bierze pod uwagę wyeliminowanie również i mnie?

Rozzłościło go to, i chyba był to dla niego szok. Od najwcześniejszego dzieciństwa nikt nigdy nie powiedział mu nie. Lecz widocznie ten mój sprzeciw wzbudził jego szacunek, bo w końcu przystał na mój plan.

– Elegancki – stwierdziłem. – Łącznie z nagrodą pocieszenia dla pańskiej siostry.

– Było to już po śmierci Henry’ego. Popadła w głęboką depresję – wdowieństwo, bezdzietność. Od pogrzebu żyła jak samotnica. Pomyślałem, że te dziewczynki to jej szansa. Nie zalicza się do kobiet dociekliwych. Nie pytała, skąd się wzięły, nie chciała o tym wiedzieć.

– Czy transakcja obejmowała również Joan?

– Nie. Tego Hope by nie wytrzymała. Korporacja nabyła sanatorium w Connecticut i umieściliśmy tam Joan. Miała troskliwą opiekę. W tych czasach mieliśmy już rozeznanie w sprawach ochrony zdrowia i dokupiliśmy jeszcze kilka szpitali.

– Nowe imiona, nowe życie – powiedziałem. – Ale Johnsonów to już nie dotyczyło. Kto był autorem pomysłu o wielkiej akcji policyjnej? Pan czy Belding?

– To... nie miało się tak stać.

– Dla Lindy i Cable’a wiadomość bardzo pocieszająca – zauważyłem z ironią.

Usiłował coś powiedzieć. Nie mógł. Zwilżył sprayem gardło, czekał, w końcu wydobył z siebie ciche tony, przypominające agonalne rżenie.

– Nigdy nie było naszym zamiarem, żeby Lindę... Jej tam miało nie być, miała robić zakupy. Nie była dla nas zagrożeniem. Z nią samą można było dojść do ładu. Ja bym to załatwił. Ale nawalił jej wóz. Telefonowała po taksówkę, gdy to wszystko się zaczęło. Cable chwycił ją, kawał drania, i użył jej jako tarczy. Zginęła przypadkowo.

– Stanowiłaby zagrożenie – bo nie oddałaby dzieci bez sprzeciwu, narobiłaby szumu. Musiała umrzeć. Wiedział pan o tym od samego początku, albo udawał pan sam przed sobą, że tak nie jest. Kosztowne stroje, biżuteria, futra, samochody – wszystko to miało przekonać Cable’a, że Belding zgodził się na jego warunki. Ale w chwili, gdy Linda weszła z dziećmi do jego biura, oboje już byli martwi.

– Myli się pan, doktorze. Ja to wszystko organizowałem.

– No więc pójdźmy na ustępstwa i powiedzmy, że ktoś przeorganizował pańską organizację.

Chwycił się brzegu stołu. Widziałem tylko jego spojrzenie – zniknęła opalenizna, wytworny strój i manieri.

– Nie! – wykrakał. – To była pomyłka! Zabił ją ten idiota, ten drański braciszek, użył jej jako tarczy, tak jak zwykle.

– Możliwe. Lecz Hummel i DeGranzfeld zabiliby ją tak czy owak, taki bowiem otrzymali rozkaz od Beldinga. Był z nich zadowolony i w nagrodę załatwił im robotę w Vegas.

Vidal długo milczał. Coś – czy to możliwe – dręczyło go, pożerało jego duszę. Zapadł się w siebie. Nie widział mnie.

– Nonsens – powiedział.

– Ma pan dzieci? – zapytałem.

Znowu długa cisza.

– Nie wiem. – I po chwili: – Ja i Leland mieliśmy tę samą grupę krwi: 0+. Tak jak trzydzieści dziewięć procent ludności.

– Obecnie stosuje się testy bardziej precyzyjne.

– Po co to wszystko? – Podniósł głos, zacharczał i ucichł. – Uratowałem dzieci. Umieściłem je w dobrym domu. To mało?

– A Sharon? Biegała na golasa i wyjadała majonez prosto ze słoika. Kolejny błąd w organizacji?

Zamknął oczy, skrzywił się i w jednej chwili zrobił się z niego stary człowiek.

– Tak było lepiej dla nich obu.

– Już to słyszałem.

– Sherry była przerażającym dzieckiem. Odkąd postawiła pierwsze kroki. Martwiło mnie to. Myślałem o genach. Johnsonowie wywodzili się z łajdackiej rodziny. W końcu stało się jasne, że Hope nie poradzi sobie z nimi dwiema. Sharon była prześladowana, bita. Im dalej, tym gorzej. Trzeba było coś z tym zrobić. Gdy Sherry próbowała ją utopić, wiedziałem, że nadeszła pora. Lecz Belding nie mógł się o tym dowiedzieć. Zresztą zupełnie o nich zapomniał, odkąd rozpoczął swoje nowe życie playboya, nawet słowem nie napomknął o dziewczynkach. Wiedziałem, że jakakolwiek zmiana planów będzie dla niego dowodem, że nie panuję nad sytuacją. Znow wróciłby do swojej wersji.

– I pan mu powiedział?

– Że Sharon miała wypadek i utonęła. To mu pasowało.

Wargi zaczęły mu drżeć. Przyłożył wypielęgnowane dłonie do ust. Nie chciał, żebym był świadkiem jego słabości.

– Dlaczego skazano na banicję Sharon, a nie Sherry? – zapytałem.

– Bo nad Sherry trzeba było czuwać – była niezrównowazona, bomba z zapłonem. Puszczanie jej samopas, bez nadzoru, było zbyt ryzykowne – dla obydwu dziewczynek.

– To nie jedyny powód – rzekłem.

– Nie. Takie było życzenie Hope. Z Sherry czuła się bardziej związana. Sherry bardziej potrzebowała jej opieki.

– Ukaranie ofiary – powiedziałem. – Z pałacu do obskurnej budy. Oddana po opiekę dwojga upośledzonych umysłowo ludzi.

– To dobrzy ludzie. – I rozkaszłał się, nie mógł przestać kaszleć, poruszał głową z boku na bok, chwytając powietrze. Oczy zaszyły mu łzami, chwycił się stołu, by nie stracić równowagi.

Odzyskał w końcu głos, ale mówił tak cicho, że znowu musiałem się ku niemu pochylić, by coś usłyszeć.

– Dobrzy ludzie. Pracowali u mnie. Wiedziałem, że mogę im zaufać. Umieściłem ją tam tymczasowo, potem pomyślałbym o czymś innym.

– Ta tymczasowość miała pozbawić ją tożsamości – powiedziałem.

– Dla jej dobra! – Mówił ochryplym szeptem, dobitnie zaznaczając każde słowo. – Nie miałem zamiaru jej skrzywdzić.

Dłoń przy ustach. Atak kaszlu. Przyłożył chusteczkę do ust, splunął do niej.

– Przepraszam – powiedział. I po chwili: – Miała twarz swojej matki.

– Tak jak Sherry.

– Nie, nie. Sherry miała jej rysy. Ale nie twarz.

Dłuższy czas trwaliśmy w milczeniu. I nagle, przełamując sentymentalne odurzenie, wyprostował się, pstryknął palcami. Kelner przyniósł mu szklankę wody z lodem i zniknął. Vidal wypił, odchrząknął, dotknął dłonią jabłka Adama, przełknął z trudem ślinę. Zmusił się do uśmiechu, ale wyglądał na wykończonego, pokonanego. Człowiek, który płynął przez życie pierwszą klasą i raptem zobaczył, że zmierza donikąd.

Przybyłem tu pełen nienawiści, pragnąłem zemsty, a teraz czułem się tak, jakbym otaczał go przyjacielskim ramieniem.

I pomyślałem zaraz o ludziach, którzy zginęli, o tych wszystkich trupach.

– Pana tymczasowy plan nabrał cech trwałości – powiedziałem.

Skinął głową.

– Cały czas szukałem innego wyjścia, chciałem inaczej ją urządzić. Po jakimś czasie Helen odkryła Shirley, zaopiekowała się nią, nadała właściwy kierunek. Orzekłem, że nic lepszego nie mogło się wydarzyć. Skontaktowałem się z Helen. Zawarliśmy umowę.

– Pan jej płacił?

– Nie pieniędzmi – ona i jej mąż byli na to za dumni. Ale w inny sposób mogłem się jej odwdzięczyć. Stypendia dla synów, cofnięcie planu sprzedaży parceli korporacji w Willow Glen przeznaczonej na zabudowę. Przez trzydzieści lat Magna skupowała wszelkie rolnicze nadwyżki i do pewnego poziomu pokrywała ewentualne straty. Tyczyło to nie tylko Helen, ale całego miasteczka.

– Płaciliście im, żeby nie sadzili jabłoni – powiedziałem.

– Stara amerykańska tradycja – rzekł. – Powinien pan spróbować miodu Wendy i jabłeczniaka. Nasi pracownicy przepadają za tym.

Przypomniały mi się słowa Helen.

„Nie chcą sprzedać... Wszystko to zmierza do tego, by Willow Glen stało się zabitą deskami dziurą”.

Shirlee i Jaspera trzymali z daleka od ludzkich oczu...

– Co Helen wiedziała o tej sprawie?

– Niewiele. Dla jej własnego dobra.

– Co się stanie z Ransomami?

– Nic się nie zmieni. Nadal będą wiedli to swoje cudowne pierwotne życie. Czy widział pan na ich twarzach choćby cień cierpienia, doktorze? Nie mają żadnych potrzeb, Helen się nimi opiekuje. Przedtem robiłem to ja.

Pozwoliłem sobie na uśmiech. Dyskretny.

– W porządku – powiedziałem. – Jest pan Matką Teresą. Więc jak to się stało, że zginęło tylu ludzi?

– Niektórzy na to zasłużyli – odparł.

– Brzmi to jak cytaty z prezesa Beldinga.

Brak reakcji.

– A Sharon? Czy ona zasłużyła na śmierć, bo chciała się dowiedzieć, kim właściwie jest?

Wstał, patrzył na mnie z góry szeroko otwartymi oczami. Porzuciłem wszelkie wątpliwości. Znow był Człowiekiem Pełniącym Obowiązków.

– Słowa są tylko słowami – powiedział. – Proszę za mną.

Ruszyliśmy w stronę pustyni. Małą latarką oświetlał drogę przed nami, wychwytywał wszelkie wgłębienia, rzucał światło na kępy krzewów, smukłe kaktusy saguaryjskie wspinające się ku niebu.

Po mniej więcej pół mili promień objął mały, o opływowych kształtach pojazd – wózek golfowy, którym Hummel przywiózł mnie tutaj. Ciemny, opony przystosowane do pustynnych bezdroży. Na drzwiach wielka, pochyła litera M.

Usiadł za kierownicą i zaprosił mnie do środka. Tym razem podróż bez opaski na oczach, co oznacza, że albo godzin już byłem zaufania, albo śmierci. Nacisnął kilka guziczków. Przednie światła. Cichy szum elektrycznego silnika. Jeszcze jedno pstryknięcie, zwiększenie częstotliwości drgań, i ruszyliśmy. Z zadziwiającą szybkością, dwukrotnie szybciej, niż podczas jazdy z sadystą Hummelem. Nigdy bym nie przypuszczał, że silnik o napędzie elektrycznym ma taki zryw. Ale przecież znajdowałem się na Terytorium Wielkiej Techniki. Rancho Patentów.

Przeszło godzinę jechaliśmy w milczeniu, przecinając jałową ziemię. Wciąż było upalnie, a w powietrzu unosił się błogi zapach, łagodny aromat ziół.

Gdy pojazd wznosił chmury brązowego piasku, Vidal kaszłał, co jednak nie przeszkadzało mu prowadzić. Granitowe góry wyglądały jak delikatny szkic ołówkiem na czarnym papierze.

Jeszcze jedno naciśnięcie guzika i pojawił się księżyc, gigantyczny, mlecznobiały, tuż nad ziemią.

Nie żaden księżyc, tylko olbrzymia piłka golfowa, oświetlona od wewnątrz.

Kopuła o średnicy około dziesięciu metrów.

Vidal dojechał do niej i zaparkował pojazd. Powierzchnię kopuły tworzyły białe, plastikowe, sześciokątne płyty, poprzedzielane rurkami z białego metalu. Szukałem wzrokiem namiotu, jaki opisywał Cross, tego, z którego komunikował się z Beldingiem.

– „Przypadki miliardera” – powiedziałem.

– Idiotyczna chała – rzekł Vidal. – Leland ubrdał sobie, że winna powstać kronika jego żywota.

– Dlaczego wybrał Crossa?

Wysiedliśmy z wózka.

– Nie mam zielonego pojęcia; już panu mówiłem, że mi się nie zwierzał, nie dopuszczał mnie do siebie. Nie było mnie w kraju, gdy montował tę całą imprezę. Później zmienił zdanie i za odpowiednią gotówkę kazał mi zwinąć ów namiot. Cross wziął pieniądze, ale nie przestał pisać. Leland był bardzo niezadowolony z takiego obrotu spraw.

– Kolejna misja badawczo-destrakcyjna.

– Wszystko było przeprowadzone legalnie, na drodze sądowej.

– Włamanie się do jego sejfu nie było aktem zgodnym z prawem. Czy wynajął pan do tego te same typy, które przeprowadziły akcję w domu przy Fontaine?

Wyraz jego twarzy świadczył dobitnie, że pytanie nie jest godne odpowiedzi. Szliśmy dalej.

– A co pan powie o samobójstwie Crossa?

– Cross był człowiekiem słabym, nie potrafił dojść ze sobą do ładu.

– Twierdzi pan zatem, że to było autentyczne samobójstwo?

– Oczywiście.

– A gdyby sam nie podniósł na siebie ręki, pozwoliłby pan mu żyć?

Uśmiechnął się, potrząsnął głową.

– Już panu mówiłem, doktorze, że ja nie zajmuję się wykańczaniem ludzi. Poza tym Cross nie był groźny. I tak nikt mu nie wierzył.

Drzwi były białe, bez jednej szczeliny, wtopione w ścianę. Położył dłoń na gałce, spojrzął na mnie i przekazał wiadomość:

„Cross zatruł źródło płynące z opowieści Beldinga”.

Nikt by mi nie uwierzył. Tego dnia w ogóle nie było.

Spojrzałem na kopułę. Migotała w blasku gwiazd niczym olbrzymia meduza. Plastikowe płyty dawały zapach nowego samochodu. Przekręcił gałkę.

Weszliśmy do środka. Drzwi zamknęły się za nami. Po chwili usłyszałem szum odjeżdżającego wózka.

Rozglądałem się, szukając wzrokiem ekranów, klawiatur, plątaniny przewodów elektrycznych.

Tymczasem był to po prostu duży pokój o ścianach wyłożonych białym plastikiem. Poza tym jak w przeciętnym domu na peryferiach miasta. Jasnoniebieski dywan. Dębowe meble. Stolik z telewizorem. Odtwarzacze stereo na szafce z płytami. Biblioteczka ze sztucznego tworzywa, obok mały stolik na pisma. Po jednej stronie część kuchenna. Rośliny w doniczkach. Obrazki.

Rysunki jabłek.

Trzy łóżka, jedno przy drugim, jak w koszarach. Albo w sali szpitalnej, z regulowanymi oparciami i ruchomymi metalowymi stolikami. Trzecie nie było w nic wyposażone, tylko na poduszce leżał jakiś przedmiot. Był to mały samolocik, bombowiec, pomalowany na ciemno. Z pochyłą literą M na drzwiczkach.

Na drugim łóżku – przykryta kolorową kołdrą – ta nieszczęsna kobieta. Nieruchoma, otwarte usta, czarne włosy przyprószone siwizną, ale poza tym taka sama jak przed sześciu laty, gdy widziałem ją po raz ostatni. Jakby kalectwo tak zdominowało jej ciało, że upływ czasu nie miał do niej dostępu. Wciągała powietrze i ze świstem wypuszczała.

Woń perfum przebiła się przez zapach plastiku. Mydło, woda, świeża trawa.

Rozdział 35

Sharon siedziała na skraju trzeciego łóżka, dłonie złożyła na biodrach. Ledwo zauważalny uśmiech rozjaśniał jej twarz.

Miała na sobie długą białą suknię, zapinaną na guziki od góry do dołu. Bez makijażu, bez biżuterii. Jej oczy dziwnie błyszczały.

Wpatrywałem się w nią; pod moim spojrzeniem poruszyła się niespokojnie. Długie palce. Ramiona gładkie jak aksamit. Prężne piersi pod materiałem sukienki. Jedwab. Drogi, choć strój przypominał fartuch pielęgniarki.

– Cześć, Alex.

Na stoliku Shirlee stała butelka z gorącą wodą, pochłaniacz śluzu, dzbanek, pusta szklanka. Wziąłem szklankę do rąk, obróciłem ją w dłoniach, postawiłem z powrotem.

– Chodź – powiedziała.

Usiadłem przy niej.

– Powstałaś jak Łazarz – powiedziałem.

– Nigdzie nie zstępowałam – rzekła.

– Ktoś inny?

Skinęła głową.

– Czerwona sukienka? Daiquiri?

– Ona.

Spała z twoimi pacjentami? Poruszyła się i nasze ramiona się zetknęły.

– Ona. Chciała mi zaszkodzić, nie przejmowała się tym, że szkodzi innym. Niczego się nie domyślałam, póki nie zaczęli rezygnować... Nie rozumiałam, co się dzieje. Wszystko tak dobrze mi szło, najczęściej krótkotrwałe terapie, ale pacjenci mnie lubili. Dzwoniłam do nich. Nie chcieli ze mną rozmawiać. Kilka telefonów odebrały żony, wyzywały mnie rozwścieczone. To było jak zły sen. I potem Sherry powiedziała mi, że to ona. Śmiała się. Mieszkała ze mną, ukradła klucz do mojego gabinetu i dorobiła sobie drugi. Dostała się do kart pacjentów i wybrała sobie takich, których uznała za interesujących. Zaproponowała trzy kolejne wizyty za darmo i... wykorzystywała ich, a potem wyrzucała. Tak to wyglądało. Kiedy odzyskałam jaki taki spokój, zapytałam ją, dlaczego? Powiedziała mi, że za cholerę nie pozwoli mi odstawiać doktorki i wywyższać się nad nią.

Położyła dłoń na moim udzie. Była wilgotna.

– Wiedziałałam, że mnie nie lubi, ale nie przypuszczałam, że posunie się aż tak daleko. Kiedy spotkałyśmy się po raz pierwszy, udawała, że mnie kocha.

– Kiedy nastąpiło to spotkanie?

– Jak byłam na drugim roku. Jesienią.

– Nie latem? – zapytałem ze zdziwieniem.

– Nie, jesienią. W październiku.

– A jakie sprawy rodzinne przeszkodziły ci w wyjeździe do San Francisco?

– Terapia.

– Prowadziłaś, czy byłaś pacjentką?

– Pacjentką.

– Kruse’a, tak?

Skinęła głową.

– To był krytyczny okres. Nie mogłam wyjechać. Roztrząsaliśmy problemy... naprawdę rodzinne.

– Gdzie mieszkałaś?

– U niego.

Byłem tam, szukałem jej, obserwowałem twarz Kruse’a.

„Życzę miłego dnia...”

– Pracowaliśmy bardzo intensywnie – powiedziała. – Chciał prześledzić wszystkie fazy...

– Nie miałaś problemu z zasypianiem?

– Nie... Pomagał mi. Relaksował.

– Hipnozą?

– Tak. Przygotowywał mnie na spotkanie z siostrą. Przypuszczał, że to będzie proces uzdrawiający. Nas obie.

– Nie wziął pod uwagę jej nienawiści do ciebie?

Była spokojna, tylko coraz mocniej przyciskała rękę do mojego uda.

– Udawała, Alex. Umiała to robić – studiowała aktorstwo. „Coś ją ciągnęło do sceny i filmu”.

– Interesujący wybór zawodu – powiedziałem.

– Żaden wybór zawodu, wyskok. Jak wszystko inne. Z początku chciała w ten sposób zbliżyć się do mnie. Potem znalazła sobie inny cel – postanowiła zniszczyć to, co było dla mnie najcenniejsze – nasz związek. Później, po latach, moją pracę. Wiedziała, ile praca dla mnie znaczy.

– Dlaczego nie zrobiłaś licencji?

Pociągnęła się za ucho.

– Miałam zbyt... rozproszoną uwagę. Nie byłam przygotowana.

– To opinia Paula?

– I moja.

Coraz mocniej uciskała mi nogę. Było to już trochę uciążliwe.

– Jesteś jedynym mężczyzną, którego kochałam, Alex.

– A Jasper? A Paul?

Na dźwięk imienia Kruse'a drgnęła.

– Mam na myśli miłość romantyczną. Fizyczną miłość. Jesteś jedynym mężczyzną, który był we mnie.

Nic nie powiedziałem.

– To prawda, Alex. Wiem, że podejrzewasz różne rzeczy, ale ja i Paul nigdy nie byliśmy razem w ten sposób. Byłam jego pacjentką – spanie z pacjentką to niemal jak kazirodztwo. Nawet w przerwach terapii.

Coś w jej głosie kazało mi nawiązać do przeszłości.

– Okay. Ale nie zapominajmy o Mickeyu Starbucku.

– O kim?

– Koledze – artyście...

– Jak on się nazywał? Mickey? Jedyne, co o nim wiem, to to, że Paul leczył go z uzależnienia od kokainy. Na Florydzie. Ja nigdy nie byłam na Florydzie.

– Ona?

Skinęła głową.

– Kto wpadł na cały ten pomysł?

– Wiem, że to dziwnie brzmi, ale zdaniem Paula mogłoby to dać pożądany efekt terapeutyczny.

– Kuracja wstrząsowa. Przecięcie.

– Trzeba na to spojrzeć w określonym kontekście, Alex. Paul pracował z nią całe lata, bez skutku.

Musiał próbować różnych metod.

Odwróciłem od niej wzrok, spojrzałem na pokój. Na niebieskim dywanie chodnik robiony szydełkiem. Makatki z wydrukowanymi komunałami. Żadnego przytulnego kącika, który by przypominał dom.

Przestrzeń mieszkalna. Jak gdyby jakieś pozaziemskie siły spadły na upatrzony teren i ograbiły Amerykę Środkową ze wszystkich stereotypów.

Gdy znowu na nią popatrzyłem, uśmiechała się. Promiennie. Zbyt promiennie. Błyszczące szkło, z którego za chwilę zostaną same skorupy.

Też się uśmiechnąłem, lecz był to uśmiech konfuzji.

– Niesamowita jest ta dynamika wydarzeń. Jak wszystko do siebie pasuje.

– Staralam się jak mogłam, by ci wyjaśnić, byś zrozumiał.

– W pełni to doceniam.

– Gdzie mamy zacząć?

– Na początek każde miejsce jest dobre.

Złożyła głowę na moim ramieniu.

– Otóż właśnie. Sedno tkwi w tym, że to nie żaden początek – powiedziała tym samym bezbarwnym, matowym głosem, jakim przed laty opowiadała o śmierci „rodziców”. – Pierwsze lata mojego życia to biała plama. Opowiadałam ci o nich, a czułam się tak, jakbym słuchała czyjejś historii. Dlatego potrzebna mi była terapia. Paul starał się mnie odblokować.

– Regresja w czasie?

– Regresja w czasie. Dowolne kojarzenie. Ćwiczenia porządkujące emocje – wszystkie standardowe techniki. To, co sama przerabiałam z pacjentami. Ale bez skutku. Nie mogłam niczego pamiętać. To znaczy intelektualnie panowałam nad wszystkim, wiedziałam, że byłam prześladowana. Ale to nie wystarczało. – Położyła moją dłoń na swoim brzuchu.

– Jak daleko sięgasz pamięcią?

– Od szczęśliwego okresu w moim życiu. Shirlee i Jasper. Helen. Wujek Billy mówił mi, że wczoraj widziałeś się z nią. Prawda, że jest wyjątkowa?

– Tak, oczywiście. – Wczoraj, całe wieki temu. – Czy ona wie, że żyjesz?

Drgnęła, jakby ją coś ukaśliło. Silny ucisk w okolicy wątroby.

– Wujek Billy obiecał się tym zająć.

– Na pewno spełni obietnicę. O czym rozmawialiście na tamtym przyjęciu?

– Ona. Znowu zaczęła mnie prześladować. Przychodziła do mnie o każdej porze dnia i nocy, budziła mnie, wrzeszczała i przeklinała, albo wchodziła do mojego łóżka i okładała mnie pięściami, próbowała ssać moje brodawki. Kiedyś przyłapałam ją z nożyczkami – chciała mi obciąć włosy. Innym razem przychodziła naćpana albo pijana tym swoim daiquiri. Zarzygała cały pokój. Sikała na dywan. Zmieniłam zamki. Ale zawsze potrafiła dostać się jakoś do środka. Łykała prochy jak cukierki.

„Stare blizny między palcami u nóg”.

– Czy wstrzykiwała sobie narkotyki?

– Tak, przed kilku laty. Nie wiem, może znowu w to wpadła – kokaina, inne rzeczy. Przynajmniej ze dwanaście razy przedawkowała. O każdej porze dnia i nocy mogłam dzwonić do pewnego lekarza wujka Billy’ego, żeby przepłukał jej żołądek. W dniu tego przyjęcia u Kruse’a była rzeczywiście w okropnym stanie. Powtarzała bez przerwy, że będziemy na wieki nierozłączne. Byłam przerażona, nie mogłam już tego wytrzymać. Więc poprosiłam wujka Bikly’ego, by się nią zajął. Ale nawet po tym wszystkim, co mi zrobiła, co przez nią przesłam, ciężko mi było się z nią rozstać. Więc gdy zauważyłam cię na przyjęciu, inny duch we mnie wstąpił. Przed tygodniem byłam u Paula – Suzanne kaligrafowała zaproszenia. Zobaczyłam na liście twoje nazwisko i poczułam taki przyływ uczucia do ciebie, że...

Położyła moją rękę na zgięciu ud. Krew uderzyła mi do głowy; miękka siateczka włosów łonowych pod jedwabiem.

– Liczyłam na to, że przyjdiesz – powiedziała. – Sprawdziałam kilka razy, czy przysłałeś potwierdzenie, ale nic nie znalazłam. Więc kiedy cię zobaczyłam, nie mogłam wprost uwierzyć. Los. Musiałam nawiązać z tobą kontakt. – Pocałowała mnie w policzek. – A teraz jesteś tutaj. Jak się masz, przybyszu z daleka!

Siedziałem i pozwoliłem się całować, przebierała palcami w moich włosach, dotykała mnie. Poddawałem się temu, i ja ją całowałem, i wiedziałem już, co czują dziwki. Pot wystąpił mi na czole. Otarłem je rękawem.

– Chcesz wody? – zapytała. Wstała i nalała mi z dzbanka Shirlee.

Przez ten czas starałem się zebrać myśli. Kiedy wróciła, zapytałem:

– Czy poza regresją Paul stosował jeszcze jakąś terapię?

– Z początku nie była to terapia w pełnym tego słowa znaczeniu, po prostu nadzór kliniczny, obserwacja, w jaki sposób moje uczucia i sposób bycia wpływają na tok mojej pracy. Lecz w miarę głębszego poznawania mnie doszedł do wniosku... że mam problemy z tożsamością – nikła percepcja własnej osoby, brak pewności siebie, poczucie winy.

– Z jakiego powodu?

– Z wielu powodów. Że opuściłam Shirlee i Jaspera – a tacy byli dla mnie dobrzy. Naprawdę ich kochałam, ale zawsze miałam uczucie, że do nich nie należę. I Helen. Choć mnie wychowała, nie była moją matką – między nami wznosił się mur. To było bardzo krępujące.

Skinąłem głową.

– Ostatni rok przed otrzymaniem stopnia – ciągnęła – czułam się pod presją. Spodziewano się po mnie, że pomogę innym. Przerazało mnie to – i właśnie dlatego się załamalam. Głęboka depresja. Godziłam się z tym, co ludzie o mnie mówili, czułam się jak oszustka.

– Każdy ma na początku takie odczucia.

Uśmiechnęła się.

– Nigdy nie przestajesz być terapeutą. Dlatego właśnie przyszedłeś tego wieczoru. Moja opoka. Kiedy zobaczyłam twoje nazwisko na liście gości, pomyślałam chyba, że wszystko między nami może wrócić.

– Zanim spotkałaś Sherry, zanim się o niej dowiedziałaś, czy przyszło ci kiedyś do głowy, że masz siostrę-bliźniaczkę?

– Tak, cały czas, kiedy byłam mała. Ale nie dawałam temu wiary. Byłam typem dziecka, któremu wszystko przychodzi do głowy. Bujna fantazja.

– Czy pamiętałaś siostrę?

– Aha. Dziewczynka w moim wieku, o identycznym wyglądzie, ale pewna siebie, tego co mówi, powszechnie lubiana. Nazywałam ją w myślach Duża Sharon, choć była dokładnie mojego wzrostu, ale chodziło o jej osobowość. Paul mówił, że ja uważam się za niedojdę. Kogoś, kto się nie liczy. Duża Sharon stała za kulisami, ale w razie potrzeby mogłam na niej polegać. Po latach, na seminarium z psychologii, dowiedziałam się, że to całkiem normalne – dzieci zawsze roją sobie różne rzeczy. Sęk w tym, że ja roiłam sobie te różne rzeczy już jako dorastająca dziewczyna, nawet w college'u. Byłam tym szczerze zmartwiona, bałam się, że będę mówić przez sen, i usłyszą koleżanki... Świadomie więc pozbyłam się Dużej Sharon i wtedy zaczęłam dorastać. Udało mi się w końcu wyrzucić ją z mojego życia. Ale wracała, gdy byłam w hipnozie, podczas terapii z Paulem. Mówiłam o niej. Potem do niej. Paul powiedział, że jest moją współniczką. Cichą współniczką, wciąż obecną.

Mówił, że dotyczy to każdego człowieka. Freud określał to jako ego, id, superego. Dobrze, że ją mam – jest po prostu częścią mnie. Wierzyłam mu.

– A jesienią postanowił przedstawić cię twojej cichej współniczce.

Zesztywniała. Gładki uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Tak. Do tej pory wszystko przebiegało jak należy.

– Jak on to zorganizował?

– Zaprosił mnie do swego gabinetu, że chce mi coś powiedzieć. Poprosił, żebym usiadła, bo mogę przeżyć wstrząs. Ale będzie to miało ogromne znaczenie, ukoronowanie eksperymentu. Wprowadził mnie w stan hipnozy i zalecił głęboki relaks. Kiedy byłam już zupełnie gotowa, powiedział mi, że jestem jedną z najszcześliwszych istot na świecie, ponieważ mam prawdziwą cichą współniczkę, właściwie dwie. Że jestem jedną z trzech. Trojaczki.

Obróciła się ku mnie twarzą, ujęła mnie za obie ręce.

– Uczucie, że jestem niepełna, niekompletna, próba zatkania dziury Dużą Sharon – to wszystko składało się na moją podświadomość. Fakt, że podczas terapii rozmawiałam z Dużą Sharon, oznaczał dla niego, że osiągnęłam wyższy poziom, że mogę już nawiązać kontakt z moim odbiciem – z jedną trzecią całości.

– Jak się czułaś, kiedy poinformował cię o tej rewelacji?

– Z początku fantastycznie. Fala szczęścia spłynęła na mnie, byłam pijana radością. A potem nagle zrobiło się zimno i ciemno, i ściany zaczęły się na mnie walić.

Objęła mnie ramionami, z całych sił.

– Coś nieprawdopodobnego, Alex, rzecz przerażająco niewiarygodna. Jakby ktoś stanął mi na piersi, miażdżył mnie. Byłam pewna, że zaraz umrę. Usiłowałam krzyczeć, ale żaden dźwięk nie wydobywał się z mojego gardła. Chciałam wstać i upadłam, i zaczęłam się czołgać w stronę drzwi. Paul podniósł mnie, trzymał mocno, przekonywał, że wszystko jest w porządku, powtarzał, żebym oddychała powoli i głęboko. To był typowy napad lęku. W końcu doszłam do siebie, ale nie czułam się normalnie. Wszystkie moje zmysły były jak... pozatykane. Lada chwila nastąpiłby wybuch. I wtedy wydobył się ze mnie, z mojego wnętrza – okropny wrzask, nigdy tak głośno nie krzyczałam. To ktoś inny wrzeszczał, nie moim głosem. Usiłowałam odciąć się od niego, usiąść w fotelu i obserwować, jak ten ktoś wrzeszczy. Ale to ja wrzeszczałam i nie mogłam przestać. Paul przyciskał mi rękę do ust. Kiedy nie dało to żadnego rezultatu, uderzył mnie w twarz. Mocno. Zabolalo, ale poczułam się lepiej, jeżeli jesteś w stanie to zrozumieć... że ktoś o ciebie dba, przejmuje się tobą.

– Rozumiem – powiedziałem.

– Dziękuję ci. – I znowu mnie pocałowała.

– Co dalej?

– Trzymał mnie, póki się nie uspokoiliam. Ułożył mnie na podłodze, kazał się wyprostować i wprowadził w jeszcze głębszy trans. Potem polecił mi otworzyć oczy, sięgnął do kieszeni koszuli – i podał mi zdjęcie. Dwie małe dziewczynki. Ja i jeszcze jedna ja. Kazał spojrzeć na odwrotną stronę, coś tam przedtem napisał. Spojrzałam: S i S, ciche spółniczki. Powiedział, że to mój katechizm, uzdrawiająca mantra. A fotografia jest moją ikoną – zdobył ją dla mnie. Kiedy ogarną mnie wątpliwości czy jakieś problemy, mam się na niej położyć. Więc kazał mi to zrobić i zaczął opowiadać o tej drugiej dziewczynie. O Sherry. Była jego pacjentką przez długie lata, zanim mnie poznał. Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, myślał, że ja to ona. To prawdziwy cud, że tak się stało, i od tamtej pory celem jego życia jest połączenie nas w prawdziwą rodzinę.

– Jak długo nie mówił ci o jej istnieniu?

– Zanim uzyskał jej zgodę. Była jego pacjentką – obowiązuje tajemnica lekarska.

– Ale w tym celu musiał jej powiedzieć o tobie.

Zmarszczyła brwi, jakby rozwiązywała skomplikowaną krzyżówkę.

– Nasza terapia opierała się na współpracy. Byłam jego koleżanką po fachu, i sądził, że wytrzymam tę dawkę wiedzy. Trzeba było od czegoś zacząć, Alex. Przełamać ten zaklęty krąg.

– Oczywiście – rzekłam. – A jak ona zareagowała na wiadomość o twoim istnieniu?

– Najpierw mu nie wierzyła, nawet gdy pokazał jej odbitkę zdjęcia. Uznała to za fotomontaż, i trochę trwało, zanim zaakceptowała fakt mojego istnienia. Paul mówił mi, że wychowała się bez miłości, miała problemy emocjonalne. Teraz dopiero rozumiem, że mnie ostrzegał, od samego początku. Lecz ja go nie słuchałam. Wiedziałam tylko, że moje życie odmieniło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Trojaczki. Pustka się wypełniła.

– Dwie spośród trzech.

– Tak, po chwili zdałam sobie z tego sprawę i zapytałam o drugą spółniczkę. On na to, że posunęliśmy się już za daleko, i skończył sesję. Podał mi ziołową herbatę, lekki obiad, Suzanne zrobiła mi masaż, odwiozła do domu i powiedziała, żebym doszła do ładu z moją nową tożsamością.

– Do domu – powtórzyłam. – Kto ci dał ten dom?

– Paul. Powiedział, że to jego własność, że go wynajmuje, ale teraz stoi pusty, więc żebym sobie w nim mieszkała – w nowym życiu potrzebne mi nowe miejsce. Dom był fantastyczny, pełen harmonii, kojąco działał na moje rozdygotane nerwy.

– Samochód też od niego?

– Moja mała alfa, czyż to nie był zgrabny wozik? Dopiero w zeszłym roku ostatecznie się z nim rozstałam. Paul powiedział, że kupił go dla Suzanne, ale ona nie mogła się nauczyć zmiany biegów w

tym typie samochodu. Powiedział, że po tym wszystkim, co przeżyłam, zasługuję na trochę luksusu, i podarował mi go. Wtedy oczywiście nie wiedziałam, że był pośrednikiem – mówił przekonująco i z jego słów wynikało, że to on jest ofiarodawcą.

– Wyobrażam sobie. Co pewnego razu wydarzyło się w tym twoim nowym domu?

– Byłam wykończona. Sesje mnie wykańczały. Poszłam do łóżka i spałam jak niemowlę. Ale tej nocy obudziłam się zrana zimnym potem, przerażona, powtórzył się atak lęku. Chciałam zadzwonić do Paula, ale byłam w takim stanie, że nie mogłam nakręcić numeru. Postanowiłam głęboko oddychać i sama się uspokoić, i wtedy coś się we mnie odmieniło i lęk przeszedł w głęboką depresję – nie chciałam z nikim rozmawiać. Czułam się tak, jakbym spadała głową w dół, w studnię bez dna – i w końcu tam wpadłam. Zaszłam się w koce, chciałam od siebie uciec. Przez trzy dni nie wstawałam z łóżka, nie jadłam. Tylko wpatrywałam się w to zdjęcie. Trzeciego dnia ty przyszedłeś. Na twój widok wpadłam w szal. Straciłam panowanie nad sobą.

Dotknęła mego policzka.

– Nie ma sprawy – powiedziałem. – Dawno już o tym zapomniałem. Co się stało po moim wyjściu?

– Jakiś czas trwałam w tym stanie. Potem – nawet nie wiem kiedy – przyszedł Paul, żeby się dowiedzieć, co ze mną. Doprowadził mnie do porządku, uczesał i zabrał do siebie. Przez cały tydzień relaksowałam się w moim... jednym z jego pokoi. I znowu odbyła się sesja, głęboka hipnoza, wtedy powiedział mi o tym, że nas rozdzielono.

– Co mianowicie powiedział?

– Że zaraz po urodzeniu oddano nas do adopcji i rozdzielono w wieku trzech lat, bo Sherry wciąż mnie atakowała. Że niedobrze się stało, ale nasza przybrana matka miała własne problemy i nie mogła sobie poradzić z nami dwiema. Bardziej lubiła Sherry, więc pozbyła się mnie.

Ta sucha relacja sprawiała jej ból, ale oczy lśniły lodowatym chłodem.

– Co dalej? – zapytałem.

– Nic. Po prostu ironia losu. Żyła jak księżniczka przez całe życie, lecz duchem była uboga. A ja byłam szczęśliwa...

– Czy spotkałaś się kiedykolwiek z panią Blalock?

– Nie. Na tym przyjęciu też nie. A po co? Była dla mnie nazwiskiem, nawet nie twarzą. Czyjaś matka.

Popatrzyłem na plastikowe ściany i potem na trzecie łóżko.

– Kiedy Paul ci powiedział o współniczce numer dwa?

– Na trzeciej sesji, lecz niewiele miał do powiedzenia. Wiedział tylko tyle, że jest od urodzenia upośledzona i przebywa w jakimś zakładzie.

– Kto powiedział resztę? Wujek Billy?

– Tak.

– Przystojny, opiekuńczy adwokat.

– Po tych wszystkich latach, pamiętasz? Interesujące. – Siliła się na pogodny ton, ale była wyraźnie zdenerwowana. – Właściwie wujek Billy zawsze chciał być adwokatem. Zapisał się nawet na prawo, lecz pochłonęły go inne problemy i nic z tego nie wyszło.

– Kiedy cię odnalazł?

– Gdy Paul powtórnie odesłał mnie do domu. Możliwe, że tydzień po... naszym rozstaniu.. Czułam się znacznie lepiej, snułam plany na przyszłość. Ktoś zadzwonił do drzwi. W progu stał starszy pan o ujmującym uśmiechu. Z bombonierką, kwiatami i butelką wina. Powiedział, że jest bratem kobiety, która mnie oddała – przeproszał mnie za to, powiedział, że nie powinnam jej nienawidzić, lecz jeśli nienawidzę, to on to rozumie. Że ona nie nadaje się do roli matki, ale że zawsze o mnie dbała. Tak jak wujek, który występował w imieniu mojego ojca.

Popatrzyła na puste łóżko.

– I wtedy powiedział mi, kto był moim ojcem.

– Jak przyjęłaś wiadomość, że jesteś spadkobierczynią Lelanda Beldinga?

– Nie było to dla mnie tak wstrząsające, jak sądzisz. Oczywiście słyszałam o nim, wiedziałam, że był kimś wyjątkowym, człowiekiem genialnym i bogatym, a świadomość, że łączą mnie z nim więzy krwi, wprawiła mnie w niemałe zdziwienie. Ale on już nie żył i żaden kontakt nie wchodził w grę. Bardziej interesowały mnie więzi z żyjącymi.

Nie wracałem już do tego.

– W jaki sposób wujek Billy cię odnalazł?

– Paul, szukając moich korzeni, wpadł na jego trop. Wujek oznajmił Paulowi, że już od lat chciał się ze mną spotkać, ale był w kłopotcie, bo nie wiedział, co miałby mi powiedzieć. I dlatego trzymał się ode mnie z daleka. Teraz, skoro już tyle zostało ujawnione, chce, żebym się dowiedziała wszystkiego, od samego początku.

Powiedziałam mu, że wiem o Sherry. Trochę o niej rozmawialiśmy – czułam, że jej nie lubi, więc nie podtrzymywałam tematu. Chciałam dowiedzieć się jak najwięcej o mojej drugiej siostrze i o moich rodzicach. Siedzieliśmy, popijaliśmy wino i opowiedział mi o wszystkim – że my trzy byłyśmy owocem miłości pana Beldinga i pewnej aktorki, którą on bardzo kochał, lecz ze względów towarzyskich nie mógł się z nią ożenić. Miała na imię Linda. Umarła w wyniku poporodowych

komplikacji. Pokazał mi fotografię. Była bardzo piękna.

– Aktorka – powiedziałem. Milczała, więc dodałem: – Jesteś do niej podobna.

– To dla mnie komplement – rzekła. – Byłyśmy cudownymi dziećmi. Przedwcześnie urodzone malutkie dziewczynki, o których sądzono, że nie przeżyją. Linda zachorowała, infekcja krwi, ale myślała o nas. Tuż przed śmiercią nadała nam imiona: Jana, Joan i ja, Jewel Rea. Udało nam się przeżyć, lecz Joan była głęboko upośledzona. Pan Belding, choć taki bogaty i potężny, nie zajął się nią, ani nami. Był patologicznie nieśmiały, miał fobię na punkcie ludzi, szczególnie dzieci. Ze słów wujka Billy’ego wynikało, że cierpiał na rodzaj agorafobii. Tak więc wujek Billy załatwił nam adopcję, naszą przybraną matką została jego siostra. Myślał, że wszystko będzie w porządku, ale stało się inaczej. Przez te wszystkie lata on i pan Belding mieli ogromne poczucie winy, że zostawili nas na lodzie. Powiedziałam mu, że Paul chce zorganizować spotkanie z Sherry, on na to, że wie. Wtedy zapytałam go, czy mógłby mi załatwić spotkanie z Joan.

– Zatem Vidal i Paul mieli ze sobą kontakt.

– Tak. Wujek na początku dawał mi wykrętne odpowiedzi, ale ja byłam uparta i w końcu powiedział, że Joan przebywa gdzieś w Connecticut. Oświadczyłam, że chcę ją zobaczyć. On, że to nie ma sensu, że ona nie mówi, nie słyszy. Powiedziałam, że nie tylko chcę ją zobaczyć, ale chcę z nią być, chcę się nią opiekować. On, że to niemożliwe, Joan ma dobrą, całodobową opiekę, a ja powinnam myśleć o studiach. Powiedziałam mu, że ona jest częścią mnie, że dopóki nie będę miała jej przy sobie, nie będę mogła na niczym się skoncentrować. Zastanawiał się nad tym, a potem zapytał mnie, czy mogłabym wziąć kilka wolnych dni. Oczywiście było to możliwe i pojechaliśmy na prywatne lotnisko, odrzutowcem korporacji skoczyliśmy do Nowego Jorku, a stamtąd taksówką do Connecticut. Wujek sądził, że jak ją zobaczę, to zmienię zdanie. Tymczasem było zupełnie inaczej. Położyłam się na łóżku obok niej, pieściłam ją, całowałam. Czułam jej wibracje. Wtedy wujek zgodził się zabrać ją stamtąd. Korporacja kupiła Resthaven i urządziła dla niej całe skrzydło. Rozmawiałam ze służbą i wybrałam Elma na jej opiekuna. Stała się częścią mojego życia. Naprawdę ją pokochałam. Innych pacjentów też kochałam – wśród ludzi upośledzonych czułam się jak w domu. Gdybym miała zacząć życie od nowa, poświęciłabym im cały mój czas.

„W domu”. Jedyne prawdziwe dom stworzyli jej ludzie opóźnieni w rozwoju. Typowo podręcznikowa reakcja, ale ona o tym nie wiedziała.

– Zmieniłaś jej imię – powiedziałem.

– Tak. Nowe imię symbolizuje nowe życie. Jana i ja otrzymałyśmy nowe imiona zaczynające się na S. Joan też musi mieć imię na S, żeby pasowało do naszych.

Wstała, usiadła przy siostrze i pogładziła jej zapadłe policzki.

– Tak będzie zawsze – powiedziała. – Jest czymś stałym w moim życiu. To ma dla mnie ogromne znaczenie.

– W przeciwieństwie do twojej drugiej współniczki.

Chłód w oczach.

– Tak, w przeciwieństwie do niej. – Uśmiech. – No, Alex, masz mnie teraz jak na dłoni. Odkryłam przed tobą sporo nieznanych lądów.

– Zostało jeszcze trochę, nie uważasz?

Milczenie. Po raz pierwszy, odkąd ją znałem, zobaczyłem na jej twarzy wyraz znużenia.

– Nic nie zostało. Co jeszcze chciałbyś wiedzieć?

– Wiele rzeczy. Patrzyłem na jej uśmiech – sztuczny, nienaturalny, jak maska clowna. Zbyt szeroki, zbyt promienny. Zapowiedź czy ostrzeżenie? Zebrałem poplątane myśli i rzekłem:

– Opowiedziałaś mi, jak zostałam sierotą, ten wypadek samochodowy na Majorce. Skąd to się wzięło?

– Fantazja – odparła. – Coś w rodzaju naginania rzeczywistości do własnych potrzeb.

– Jakich potrzeb?

– Romantyzmu.

– Prawdziwa historia twoich rodziców jest znacznie bardziej romantyczna. Po co ta konfabulacja?

Zbladła.

– Nie wiem... co ci powiedzieć, Alex. Kiedy zapytałeś wtedy o mój dom, ta historia jakoś się tak ze mnie wylała. Ale czy to w ogóle ważne, po tylu latach?

– Naprawdę nie wiesz, skąd się wzięła?

– Co masz na myśli?

– W taki właśnie sposób zginęli rodzice Lelanda Beldinga.

Wyglądała okropnie.

– Nie, to niemożliwe! – I znowu ten przyklejony uśmiech. – Dziwne... Tak, rozumiem, dlaczego to cię intryguje. – Chwilę się zastanawiała, pociągnęła się za ucho. – Może Jung miał rację? Podświadomość zbiorowa – pamięć genetyczna przekazuje obrazy równie dobrze jak cechy fizyczne. Pamięć. Może kiedy zapytałeś mnie o to, odezwała się moja podświadomość.

– Być może – powiedziałem. – Lecz przychodzi mi do głowy coś zupełnie innego.

– Co?

– Paul opowiedział ci o tym podczas seansu hipnotycznego, a potem kazał zapomnieć. Coś jednak

wydostało się na powierzchnię.

– Nie... Nie było mowy o amnezji.

– A gdyby była mowa, to byś zapamiętała?

Stała. Ramiona sztywno opuszczone, zaciśnięte dłonie.

– Nie, Alex. On by tego nie zrobił. – Chwila milczenia. – A jeśli nawet, to co? Może chciał po prostu mnie chronić?

– Na pewno masz rację – powiedziałem. – Wybacz mi tę dociekliwość. Skrzywienie zawodowe.

Spojrzała na mnie z góry. Ująłem jej dłoń i wyraźnie się rozluźniła.

– W końcu – rzekłem – to on ci opowiedział o tonięciu, co było ewidentną bzdurą o silnym ładunku emocjonalnym.

– Utonięcie – powtórzyła. – Tak. Opowiedział mi o tym. Pamiętam dokładnie.

– A ty opowiedziałaś to mnie. I Helen. Kręcąc i obracając prawdę na wszystkie strony.

– Tak. Bo oboje byliście mi bliscy. I chciałam, żebyście wiedzieli.

Odsunęła się, usiadła po drugiej stronie łóżka. Była wyraźnie zakłopotana.

– To musiało być okropne, nagle jesteś pod wodą i ktoś usiłuje odebrać ci życie – powiedziałem. – Szczególnie w tym wieku. Wczesne dzieciństwo.

Obróciła się znowu w moją stronę. Wsłuchiwałem się w arytmiczny oddech Shirlee.

– Alex?

– Słucham.

– Czy twoim zdaniem kłamstwa... są zespołem różnych czynników? – Głos miała głuchy, martwy, jak głos torturowanego więźnia. – Fikcja połączona z tłumioną prawdą. Że kiedy kłamiemy, to mówimy prawdę, zmieniając jej czasowy kontekst – przenosimy ją z przeszłości w teraźniejszość.

– Interesująca teoria – rzekłem. I po chwili: – Jeśli czujesz się na siłach, to powiedz mi, jak przebiegło twoje spotkanie z Sherry.

– Kilka dni po wizycie wujka Billy’ego przyszedł Paul i powiedział, że ona jest już przygotowana.

– I znowu pojechałaś do niego?

– Tak. Ulokował mnie w moim pokoju i kazał medytować, żebym dobrze spała tej nocy. Nazajutrz rano zaprowadził mnie do salonu. Wszędzie duże, miękkie poduszki, przyćmione światło. Kazał mi

czekać i poszedł. Po chwili wrócił. Z nią.

Na jej widok poczułam się jak rażona prądem. Zamurowało mnie, nie byłam w stanie się poruszyć. Ona musiała czuć to samo, bo przez dłuższy czas tylko patrzyłyśmy na siebie. Wyglądała dokładnie tak jak ja, poza tym, że włosy miała ufarbowane na platynowo i była ubrana w seksowne ciuchy. Uśmiechnęłyśmy się – dokładnie w tym samym momencie. Potem zaczęłyśmy chichotać, potem śmiałyśmy się głośno, i z wyciągniętymi ramionami podbiegłyśmy do siebie; jak biegnie się do lustra. Po paru minutach gadałyśmy jedna przez drugą, jakby nic nigdy nas nie dzieliło.

Była zabawna, urocza – wcale nie taka, jak mówił Paul. Nie żadna zepsuta egoistka, jak sugerował wujek Billy. Miała wyraźne luki w wykształceniu, co mnie zdziwiło, bo przecież wychowała się w bogatej rodzinie. Ale inteligentna. I dobrze ułożona – postawa, sposób, w jaki zakładała nogę na nogę. Powiedziała, że studiowała w szkole aktorskiej, występowała już nawet w jednym filmie. Zapytałam, w jakim, ale ona tylko się roześmiała i zmieniła temat. Chciała wiedzieć wszystko o moich studiach, o psychologii, powiedziała, że jest ze mnie dumna. Naprawdę świetnie się ze sobą zgadzałyśmy, lubiłyśmy te same potrawy, używałyśmy tej samej pasty do zębów, płynu do płukania ust, dezodorantu. Spostrzegłyśmy, że mamy te same drobne odruchy.

– To? – pociągnąłem się za małżowinę uszną.

– Nie – roześmiała się. – To chyba tylko moja właściwość.

– Czy opowiadała ci o swoim życiu domowym?

– Za pierwszym razem nie. Nie chciałyśmy rozmawiać o niczym innym, tylko o sobie. Przesiedziałyśmy w tym pokoju cały dzień. Po raz pierwszy uderzyło mnie coś niemile, gdy poruszyłyśmy temat mężczyzn. Powiedziała mi, że zaliczyła ich tylu, że straciła rachubę. Sondowała mnie – chciała koniecznie poznać moją opinię; czy to aprobuję, czy nie. Nie pouczałam jej, powiedziałam tylko, że ja się zaliczam do kobiet wiernych jednemu mężczyźnie. Najpierw wyraziła wątpliwość, czy aby to prawda, a potem orzekła, że to na pewno szalowy mężczyzna. Wtedy właśnie opowiedziałam jej o tobie. Przez chwilę w jej oczach pojawił się jakiś zły błysk – drapieżnego zwierzęcia. Głód. Jakby błysk nienawiści za to, że darzę kogoś miłością. Ale trwało to sekundę, i uznałam, że tylko tak mi się wydawało. Gdybym nie zlekceważyła tego impulsu, ustrzegłabym ciebie, Alex. Ustrzegłabym nas oboje.

– Kiedy zaczęło się źle dziać między wami?

W jej oczach pojawiły się łzy.

– Wkrótce. Choć w porę to do mnie nie dotarło. Miałyśmy iść razem po zakupy, ale się nie pojawiła. Pojechałam do Paula, a on mi powiedział, że Sherry zapakowała się i wyjechała, nikomu nie mówiąc dokąd. Taka była – za grosz samokontroli. Żebym się nie przejmowała, że to nie moja wina. Po dwóch tygodniach wróciła, w strasznym stanie – cała posiniaczona, pijana. Pamiętała tylko, że wylądowała w barze w Reno. Wtedy to się zaczęło – ucieczki, powroty, narkotyki, alkohol.

– Jana. Twoja dysertacja.

Aż podskoczyła.

– Czytałem tę twoją pracę – powiedziałem. – Byłem zainteresowany – tobą. Kto wpadł na taki pomysł?

– Z początku to miał być żart. Przeżyłam z nią ciężki okres, cały miesiąc – przedawkowała prochy, wyzywała mnie, przeklinała. Poza tym musiałam już podać temat dysertacji. Zwierzyłam się Paulowi, jak bardzo jestem udręczona, że nie mogę już tego wszystkiego wytrzymać. Że łatwiej bym to zniosła, gdyby była moją pacjentką, nie siostrą. Roześmiał się i powiedział, że i dla terapeuty to ciężki orzech do zgryzienia. Rozmawialiśmy o utracie kontroli nad tego typu ludźmi. I wtedy padło zdanie, że powinnam podjąć się jej terapii i spróbować zapanować nad naszymi wzajemnymi stosunkami. I wszystko to opisać.

– A on przepchnie tę dysertację, tak?

– Powiedział, że jest mi to winien.

– Wygląda na to, że Paul też miał jej dość.

– Był rozgoryczony, tyle lat pracy i wszystko na nic, coraz gorzej. Była na granicy paranoi.

– Na jakim podłożu?

– Na każdym. Podczas ostatniego powrotu – gdy postanowiła zrujnować moją praktykę – była przekonana, że to ja na nią dybię, że aby ją upokorzyć, odsłaniam przed moimi pacjentami jej najskrytsze tajemnice. Przyczyna tkwiła w jej cierpieniu, ale winą obarczała mnie, i tak samo się do mnie odnosiła.

– Opowiedz mi o tym.

– Stare dzieje, Alex.

– Wciąż mnie interesują.

Zastanawiała się jakiś czas, wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się.

– Skoro to dla ciebie takie ważne...

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi.

– Wyszła za mąż – zaczęła opowieść – za włoskiego arystokratę, markiza Benito di Orano, którego przedstawiła jej matka. Dziesięć lat młodszego od niej, sympatycznego i przystojnego spadkobiercę firmy produkującej buty czy coś równie finezyjnego. Znali się zaledwie tydzień, polecili do Lichtensteinu, gdzie wzięli ślub cywilny. Kupił jej lamborghini i zamieszkali w jego willi z widokiem na Schody Hiszpańskie. Oboje z Pauliem mieliśmy nadzieję, że wreszcie się ustatkuje. Ale Benito okazał się sadystą i narkomanem. Bił ją, wstrzykiwał jej narkotyki, a potem któregoś dnia zabrał ją do pałacu rodzinnego w Wenecji i kompletnie zaćpaną podarował swoim gościom. Kiedy

się ocknęła, powiedział, że małżeństwo jest anulowane, bo ona jest dziwką, szmatą, i wyrzucił ją z domu. Dosłownie.

Przypelzła do Stanów jak gąsienica i ni stąd, ni zowąd wpadła do mojego gabinetu, wrzeszcząc, wymyślając mi i jednocześnie błagając o pomoc. Wezwałam Paula. Oboje staraliśmy się ją uspokoić. Ale ona nie chciała. Nie chciała z nami współpracować. Nie stanowiła ani dla nas, ani dla nikogo zagrożenia, więc nie mogliśmy podjąć żadnych zgodnych z prawem kroków. Walila o podłogę, przeklinała nas oboje.

Po kilku dniach wszystko wróciło do normy, dawna, dobrze nam znana Sherry – obrzydliwe słownictwo, prochy, wypadki gdzieś w Amerykę, ucieczki, powroty... Od czasu do czasu dawała o sobie znać – telefony w środku nocy, pocztówki z miłymi pozdrowieniami. Raz czy dwa pojechałam nawet na lotnisko, by ją zobaczyć, zanim wyruszy w następną podróż. Pogadałyśmy, wypiliśmy drinka i obie udawałyśmy, że wszystko między nami jest okey. Lecz nic się nie zmieniło. Następnym razem przyjechała do Los Angeles, do mnie, i wtedy zaczęły się te „nadprogramowe wizyty”. O Boże, ja kochałam swoją pracę, Alex. Wciąż mi tego brakuje.

– Kiedy zrodził się ten pomysł?

– Tamto przyjęcie. Ona ubóstwiała przyjęcia w równym stopniu jak ja ich nie cierpiałam. Ale Paul chciał, żebym to ja przyszła – kazał jej trzymać się od tego z daleka. Kłóciła się z nim, miała napady wściekłości. Powiedział, że obie nie możemy tam być. Tylko ja. Spotkanie psychologów. Profesjonalistów. Dla niego jest to szczególnie ważne spotkanie i nie życzy sobie, by ona wszystko popsukała. To ją dopiero podnieciło – rzuciła się na niego z nożyczkami, chciała go pchnąć tym ostrzem. Po raz pierwszy go zaatakowała. Obezwładnił ją, dał jej sporą dawkę środków uspokajających i zamknął w pokoju. W sobotę późnym wieczorem, tuż po przyjęciu, wypuścił ją. Podobno była spokojna, nawet sympatyczna, skruszona. Wybacz i zapomnij.

– Jak zniosłaś to przyjęcie? – zapytałem. – Spotkanie z przyjaciółmi pani Blalock?

– Dla jednych byłam Sherry – uśmiechnięta, zalotna. Nie było to trudne, nikt się nią specjalnie nie interesował. Natomiast dla wszystkich psychologów ja to byłam ja. Te dwie grupy gości trzymały się oddzielnie, ja zaś przebywałam głównie w towarzystwie wujka Billy’ego.

Sroki i łabędzie...

– „Wybacz i zapomnij” – powiedziałem. – Ale ona ani nie wybaczyła, ani nie zapomniała.

Sharon utkwiała we mnie wzrok. – Czy musimy ciągnąć tę rozmowę, Alex? Takie to wstrętne. Umarła. Zniknęła z mojego życia, z naszego życia. A ja zyskałam szansę, by zacząć wszystko od nowa.

Uniosła rękę do ust. Liznęła kostki dłoni.

– Trudno zaczynać nowe, nie skończywszy ze starym – powiedziałem. – Zamknięta księga. Dla nas obojga.

Westchnęła.

– Dla ciebie – rzekła. – Tylko dla ciebie. Bo ty wciąż znaczysz dla mnie bardzo wiele.

– Dzięki. Wiem, że to niełatwe, ale to najlepsze wyjście, naprawdę.

Zacisnęła dłoń na mojej ręce.

– W niedzielę dostałam od ciebie wiadomość. Byłam zawiedziona, ale coś wyczułam w twoim głosie – że to nie pożegnanie, nie koniec, że zostawiasz mi furtkę.

Nie zaprzeczyłem.

– Zastanawiałam się, czy zadzwonić do ciebie, czy czekać na twój telefon z propozycją spotkania. Postanowiłam czekać, aż ty zrobisz pierwszy ruch. Przez cały dzień o tobie myślałam i kiedy usłyszałam pukanie do drzwi, byłam przekonana, że to ty. Ale to była ona. Cała we krwi. I śmiała się. Zapytałam, co się stało, czy miała wypadek. Czy nic jej nie jest. Wtedy mi powiedziała, wciąż się śmiejąc. Co za koszmar, a ona się śmiała.

Sharon wybuchnęła płaczem, trzęsła się, pochylała i odchyłała głowę.

– Nie zrobiła tego sama – powiedziałem. – Kto jej pomógł?

Coraz bardziej się trzęsła, nie mogła wypowiedzieć słowa.

– DJ. Rasmussen?

Popatrzyła na mnie, strumienie łez, usta uchylone. – Znałeś DiJota?

– Raz go spotkałem.

– Gdzie?

– W twoim domu. Obaj myśleliśmy, że nie żyjesz. Chcieliśmy ci oddać ostatni hołd.

Chwyciła się za policzek. – O Boże, biedny DiJot! Dopóki mi nie powiedział, co ona... co oni robili, nie miałam pojęcia, że był jedną z jej ofiar.

– Był jedynym, do którego się przywiązała – powiedziałem. – Najbardziej czuły, najbardziej nieokiełznany.

Jęknęła, wyprostowała się, wstała i zaczęła równym krokiem okrążyć pokój, powoli, jak lunatyczka, potem coraz szybciej i szybciej, pociągała się za ucho tak gwałtownie, że bałem się, że zaraz je sobie urwie.

– Tak, to był DiJot. Śmiała się, kiedy mi o tym mówiła, śmiała się, gdy opowiadała, w jaki sposób go do tego zmusiła – narkotyki, alkohol. Jej ciało. Głównie jej ciało. Nigdy nie zapomnę, jak to

określiła: „Załatwiłam go, żeby załatwił ich”. Śmiała się, cały czas się śmiała, że wszystko we krwi, jak Paul i Suzanne błagali. I biedna Lourdes, taka urocza, chciała uciec, wtedy dopadli ją, kiedy schodziła po schodach. Śmiała się mówiąc, jak ich pętała i patrzyła, jak DiJot ich „załatwia” – kijem baseballowym i rewolwerem. A DiJot myślał cały czas, że on dla mnie to robi, że to ja go tak wykorzystalam.

Przebiegła kilka kroków, padła na kolana.

– I to ją najbardziej bawiło, Alex! Że on nigdy nie pozna prawdy – cały czas myślał, że robi to dla mnie!

Rozpięła mi gwałtownie koszulę, przyciągnęła z całych sił do siebie, do piersi.

– Oświadczyła, że zrobiła ze mnie morderczynię, że ja też jestem morderczynią. Że jak się temu bliżej przyjrzeć, to jesteśmy identyczne.

Pomogłem jej wstać, ułożyłem na łóżku. Położyła się, skuliła w pozycji embrionalnej, oczy szeroko rozwarte, ramionami owinęła się jak kaftanem bezpieczeństwa.

Pogłaskałem ją, poklepałem po ramieniu i powiedziałem:

– Ona to nie ty i ty to nie ona.

Rozwarła ramiona i objęła mnie. Pociągnęła na łóżko i obsypała pocałunkami.

– Dzięki, Alex! Dziękuję, że to powiedziałeś!

Powoli, spokojnie wysunąłem się z jej objęć, nie przestając gładzić jej ręki. Powtarzałem słowa otuchy.

– Dobrze, mów dalej, wyrzuć to z siebie.

Słowa, gesty terapeuty.

– Ten śmiech to był już śmiech szalonej – niesamowity, histeryczny. Nagle ni stąd, ni zowąd przestała się śmiać, popatrzyła na mnie, na siebie, na krew, i zaczęła zrzucać z siebie ubranie. Opamiętała się. Uprzytomniła sobie, co zrobiła. Zabijając Paula, zrujnowała siebie. Potrzebowała go, polegała na nim, stanowił jej opokę, a teraz nie żyje i ona jest temu winna. Czowała się rozdarta, kompletnie rozbita. Rozkojarzona. Szlochała – nie zgrywała się teraz, prawdziwe łzy lały się z jej oczu, zawodziła jak bezradne dziecko. Prosiła mnie, żebym go uratowała, że jestem taka mądra, że potrafię tego dokonać.

Mogłabym ją uspokoić. Tak jak robiłam to już tyle razy. Ale nie chciałam. Powiedziałam, że Paul nigdy nie wróci, że to jej wina i musi ponieść karę i nikt jej przed tym nie uchroni, nawet wujek Billy. Popatrzyła na mnie jak nie patrzyła nigdy przedtem – śmiertelnie przerażona, jak potępieniec. I znowu swoje, żebym przyprowadziła z powrotem Paula. Powtórzyłam, że on nie żyje. Bez końca powtarzałam to zdanie. Trup, trup, trup. Podeszła do mnie i szukała pocieszenia. Odepchnęłam ją,

uderzyła w twarz, raz, drugi. Cofnęła się, potknęła, upadła, sięgnęła do torebki, wyjęła buteleczkę z daiquiri. Wypiła, śliniąc się i płacząc, napój spływał jej po brodzie. Potem wzięła prochy, całą garść, i pożerała je szybko, jeden za drugim. Co kilka sekund robiła przerwę i patrzyła na mnie szeroko rozwartymi oczami – czekała, żebym kazała jej przestać, tak jak robiłam to tyle już razy. Ale ja nic nie mówiłam. Przemknęła do mojej sypialni, z torebką, goła, ale z torebką w ręce, wyglądała tak... patetycznie.

Poszłam za nią. Wyjęła coś z torebki. Broń. Mały pozłacany pistolet – nigdy go u niej nie widziałam. „Moja nowa zabawka – powiedziała. – Podoba ci się? Dostałam na tym pieprzonym rodeo. Dzisiaj to wypróbuję”. I wycelowała we mnie. Położyła palec na spuście. Byłam przekonana, że mnie zabije, ale zachowałam spokój, o nic nie prosiłam, tylko patrząc jej prosto w oczy powiedziałam: „No śmiało, przelej jeszcze trochę niewinnej krwi. Splugaw się jeszcze bardziej, ty podła, wredna zdziro!”

Twarz jej dziwnie się zmieniła. Wyjąkała: „Przepraszam, współniczko”, przystawiła lufę do skroni i nacisnęła spust.

Cisza.

– Siedziałam i patrzyłam na nią przez chwilę. Patrzyłam, jak się wykrwawia, jak dusza z niej uchodzi. Zastanawiałam się, dokąd. Potem zadzwoniłam do wujka Billy’ego. On wszystkim się zajął.

Coś mnie dławiło. Uświadomiłem sobie, że wstrzymałem oddech, i wypuściłem powietrze z płuc.

Leżała, stopniowo się rozluźniając, oczy jej zachodziły mgiełką rozmarzenia.

– I to wszystko, kochanie. Koniec. I początek. Dla nas.

Usiadła, poprawiła włosy, odpięła górny guzik sukni, pochyliła się ku mnie.

– Jestem teraz oczyszczona. Wolna. Dla ciebie, Alex. Dam ci z siebie wszystko, zobaczysz, czegoś takiego nie zasnął ode mnie żaden mężczyzna. Długo czekałam na tę chwilę. Nie łudziłam się nawet, że nadejdzie. – Wyciągnęła do mnie ramiona.

Wstałem i zacząłem przechadzać się po pokoju.

– Z wieloma sprawami trzeba się uporać – powiedziałem.

– Wiem, kochanie, ale mamy czas. Mnóstwo czasu. Nareszcie jestem wolna.

– Wolna – powtórzyłem. – I bogata. Nie nadaję się na księcia małżonka.

– I nim nie będziesz. Nie jestem niczyją spadkobierczynią. Zgodnie z testamentem Beldinga pieniądze zostaną w korporacji.

– Jednakże – ciągnąłem – wujek Billy zarządza całym majątkiem, a biorąc pod uwagę fakt, jak jest do ciebie przywiązany, życie w luksusie masz zapewnione.

– Nie, nie musi tak być. Nie jest mi to wcale potrzebne. Pieniądze nigdy nie miały dla mnie większego znaczenia – pieniądze jako takie, czy też rzeczy, jakie mogłam za nie kupić. To jej dziedzina. Kiedy dowiedziała się, kim jest, zupełnie zwariowała, wydzierała się na wujka Billy’ego, oskarżała go, że ją okradł, groziła sądem. Chciwość – miała więcej niż potrzebowała. Zwróciła się nawet do mnie, byśmy razem podjęły działania, ale odmówiłam. Okropnie to ją rozzłościło.

– Jak daleko posunęła się w tych swoich groźbach?

– Nic z tego nie wynikło. Wujek Billy ją uspokoił.

– W jaki sposób?

– Nie mam pojęcia. Ale nie mówmy o niej więcej. Ani o pieniądzach, ani o żadnych nieprzyjemnych rzeczach. Jestem tutaj, z tobą. W tym cudownym miejscu, gdzie nikt nas nie znajdzie i nie obrzuci błotem. Ty, ja i Shirlee. Stanowimy rodzinę, będziemy już na zawsze razem.

Podeszła jeszcze bliżej, rozchyliła usta jak do pocałunku. Trzymałem ją z dala, na długość ramienia.

– To nie takie proste, Sharon.

Zrobiła wielkie oczy. – Nic... nic nie rozumiem.

– Problem polega na tym – zacząłem – że coś tu nie pasuje.

– Alex. – Łzy. – Proszę cię, nie baw się ze mną w kotka i myszkę. Po tym, co przeżyłam...

Usiłowała się do mnie przytulić. Zachowywałem odległość.

– Alex, proszę cię, chodź do mnie. Chcę cię dotknąć, przytulić.

– Sherry zabiła Kruse’a – powiedziałem. – Ale nie miało to związku z przyjęciem, to mogło tylko przyspieszyć decyzję; bo ona to zaplanowała, dwa tygodnie wcześniej opłaciła Rasmussena. Tysiąc dolarów. Wynajęła go do mokrej roboty.

Oddech miała przyspieszony, odsunęła się. Próbowwała się uwolnić z mojego uścisku. Ale trzymałem ją mocno za ramię.

– Nie! – powiedziała. – Nie wierzę w to! To nieprawda!

– To prawda. I ty dobrze o tym wiesz.

– Co masz na myśli? – W jednej chwili jej twarz, ta nieskazitelnie piękna twarz, zbrzydła.

Zbrzydła złością. Piętno duszy.

– To mianowicie mam na myśli, że ty wszystko zmontowałaś. Zasiałaś nasienie. Dałaś jej swoją

dysertację sprzed sześciu lat i obudziłaś w niej najgorsze instynkty.

Oczy jej miały dzikie błyski.

– Idź do diabła!

Wiła się, chciała się uwolnić.

– Dobrze wiesz, że to prawda, Sharon.

– Kłamstwo! Ona tego nie czytała. Była głupią, najgłupszą dziewczuchą, jaką znałam, nigdy niczego nie przeczytała! A ty jesteś głupi, że mówisz coś takiego;

– Jedyne lektura, przez którą przebrnęła. Bo ją przygotowałaś, stosując te same metody, jakich Kruse używał wobec ciebie. Skojarzenia, sugestie, hipnoza. Zasugerowałaś jej to, gdy była w hipnozie, i kazałaś jej zapomnieć – o Krusie i o tobie, o tym, że woli ciebie. Od samego początku była osobowością borderline, ale ty popychałaś ją w dół. Tragedia polega na tym, że to ty pierwsza przekroczyłaś granicę.

Wydała chrapliwy okrzyk, zgięła palce i wbiła mi paznokcie w dłonie. Szamotanina, spazmy. Udało mi się objąć jedną ręką oba przeguby jej dłoni, drugą wciąż mocno ją trzymałem.

Odczep się ode mnie, ty draniu! Ojej, to boli! Niech cię cholera, spieprzaj stąd!

– Jak długo to trwało, Sharon? Łamanie jej, nastawianie przeciwko Paulowi?

– Nic podobnego! Czyś ty oszalał! Jaki miałabym w tym cel?

– Chciałaś oczyścić przedpole. Zyskać wolność. Pozbyć się człowieka, który, jak się w końcu przekonałaś, manipulował tobą zamiast ci pomóc. Co się stało, że się załamałaś? Zastałaś ich oboje? Na górze, w jej pokoju, robili to, co prawdopodobnie robili od lat? Albo może sama ci o tym powiedziała, gdy wprowadziłaś ją w stan hipnozy? Kazirodztwo. Najohydniejszy rodzaj kazirodztwa. Tatuś ją pieprzył. To był też twój tatuś. I pieprząc ją, ciebie puścił kantem.

– Nie! Nie! Nie! Ty skurwysynie! Ty pierdolony kłamco! Nie! Zamknij mordę! Wynoś się stąd, gówniarzu!

Potok obrzydliwych wyzwisk, ten sam ton, te same słowa, jakie słyszałem od jej siostry. Jej twarz – twarz dziewczyny w czerwonej sukience, agresywnej, atakującej. Twarz morderczyni.

Dwie pieczenie przy jednym ogniu. Napuściłaś Sherry na Kruse'a, a potem na nią przyszła kolej. Planowałaś to od miesięcy, przynajmniej od pół roku. Dlatego zwolniłaś z pracy Elma. Resthaven miało być zamknięte, bo wujek Billy urządził Resthaven dla Shirlee, a ty ją stamtąd zabrałaś. Do swojego nowego domu. Ty, ja i Shirlee równa się trzy. Nowe spółnictwo.

– Nie! Nie! Cholerne bzdury, we łbie ci się pomieszało! Wzięła do pomocy DiJota – niezrównoważonego, groźnego typu, sam to mówiłaś. Dwóch na jednego. Byłabym skończoną idiotką,

gdybym się narażała na takie niebezpieczeństwo!

Zdołała uwolnić jedną rękę i wbiła mi paznokcie w ramię. Ból, krew, z całych sił ją odepchnąłem. Poleciała do tyłu, upadła na wznak na łóżko. Dyszała ciężko. Szlochała, szeptem miotała najohydniejsze przekleństwa.

– DiJot nie stanowił dla ciebie zagrożenia. Przecież przez cały czas myślał, że to z tobą wyprawiał te wszystkie harce, że to ty mu zapłaciłaś za zabójstwo Kruse’a. Sherry nie odważyłaby się wyprowadzić go z błędu, powiedzieć, że został oszukany, bo zwróciłby się przeciwko niej. Dla własnego bezpieczeństwa musiała chronić ciebie. Sądziła, że jest w stanie cię zaskoczyć. Ale ty miałaś nad nią przewagę. Wpadła w twoje sidła, a ty tylko czekałaś. Z tą swoją pozłacaną dwudziestką dwójką.

Kopała nogami powietrze, machała ramionami. Atak. Uraz z wczesnego dzieciństwa. Obciążenie dziedziczne...

– Pierdolony sukinsyn...

– Najpierw ją zastrzeliłaś – powiedziałem – a potem wlałaś jej do gardła alkohol i narkotyki. Analiza w laboratorium medycyny sądowej wykazałaby, że przeszło to jej przez przełyk dopiero po śmierci, tyle że nie przeprowadzono sekcji zwłok, bo wujek Billy już się o to postarał, jak również o inne sprawy.

– Łżesz, łżesz, ty łobuzie!

– Raczej nie, Sharon. Teraz masz już wszystko. Ciesz się tym!

Odwróciłem się od niej.

– Za cholerę nic mi nie udowodnisz!

– Wiem o tym – rzekłem. I skierowałem się do drzwi.

Wrzaski, wycie, rechot – jedyne porównanie, jakie przychodziło mi do głowy, to przelewająca się kloaka. A to wszystko wydobywało się z niej. Wzięła szklankę, którą jej wtedy podałem, zamachnęła się i rzuciła nią we mnie. Gdyby trafiła, nieźle bym oberwał. Zrobiłem unik. Szklanka roztrzaskała się, nie osiągnąwszy celu, o ścianę i z głuchym brzękiem wylądowała na dywanie.

– Prawa ręka – powiedziałem. – Nareszcie wiem, na którą stronę lustro patrzyłem.

Spojrzała błyskawicznie na tę swoją rękę, szeroko rozwartymi oczami wpatrywała się w nią z nienawiścią.

Zamknąłem za sobą drzwi. Długo czekałem w ciemności, zanim umilkły jej wrzaski.

Rozdział 36

Usłyszałem szum wózka, nim go zobaczyłem – buczenie ćmy dobiegające z lewej strony. Potem światła omiotły pustynię niczym ścigające zbiega reflektory, zatrzymały się na mnie, otoczyły jak okazy owadzi zastygły w bursztynie.

Jeszcze sekunda i wózek stanął przy mnie.

– Proszę wsiadać, doktorze. – Chrapliwy głos Vidala. Sam.

Usiadłem, a on spojrzał na krew na mojej dłoni. Powietrze pustyni wysuszyło ranę – zasklepiona pręga barwy kasztana.

– Powierzchowne zadrapanie – powiedziałem.

– Po powrocie zajmiemy się tym.

Nie dociekał przyczyny.

– Słyszał pan wszystko – rzekłem.

Stałe monitorowanie jest niezbędne – odparł. – Ona wymaga ciągłej troski, obserwacji. Sam pan się przekonał.

– Jest pan wielkim miłośnikiem demonstracji-i-relacji – oświadczyłem. – Zawiózł pan Sharon do Joan licząc na to, że jej nie zaaprobuje. Pokazując mi Sharon, łudził się pan, że zamknie mi to usta.

Ruszył.

– Dlaczego pan sądził – zacząłem – że będzie pan miał więcej szczęścia?

– Trzeba próbować – rzekł.

Przecinaliśmy pustynię. Na niebie pojawiło się już sporo gwiazd oświetlających ziemię lodowatym blaskiem. Wyglądała jak tafla ze szkła.

– Kiedy umarł Belding? – zapytałem.

– Przed laty.

– Przed iloma laty?

– Zanim rozłączono dziewczynki. Chce pan znać dokładną datę?

– Wcześniej niż Cross?

– Nie mówimy tu o Crossie, prawda?

– Jaka była diagnoza? – zapytałem.

– Alzheimer. Zanim lekarze postawili diagnozę, uważaliśmy, że to początki sklerozy. Stale postępujący, koszmarny proces uwiądu.

– Musiało to mieć skutki dla korporacji.

– Tak, ale mieliśmy czas, żeby się odpowiednio przygotować. Wczesne objawy – zapominanie, rozstrzelona uwaga – z tym że on zawsze był ekscentrykiem. Różne jego sztuczki przesłaniały obraz, do czasu. Nawiązanie kontaktu z Crossem było dla mnie pierwszą wskazówką. On, który tak obsesyjnie strzegł swojej prywatności... Nie cierpiał dziennikarzy, żadnych. Zmiana obyczajów wskazywała, że dzieje się coś złego.

– Podobnie jak tamto załamanie psychiczne?

Tu sprawa była znacznie poważniejsza. Miała charakter stały. Organiczny. Teraz rozumiem, że chciał pozostawić po swoim umyśle materialny ślad.

– To, co opisał Cross – długie włosy, nieobcinane paznokcie, ołtarz, wypróżnianie się na oczach innych. Wszystko to była prawda. Objawy choroby.

– Ta książka to jedno wielkie oszustwo. Bzdury wyssane z palca.

Jechaliśmy.

– Śmierć Beldinga nastąpiła w samą porę. Oszczędziło to jemu i panu konfrontacji z Sharon i Sherry.

– Natura, choć rzadko, bywa łaskawa.

– Gdyby jednak nie okazała się łaskawa, na pewno coś by pan wymyślił. W jej oczach pan Belding to dobroczyńca. Nigdy się nie dowie, że chciał ją zabić.

– Czy pańskim zdaniem ta wiedza w czymś by jej pomogła? W sensie terapeutycznym?

Nie odpowiedziałem.

– Moim zdaniem – mówił – chodzi o rozwiązywanie problemów, a nie ich tworzenie. Pod tym względem jestem uzdrowicielem. Tak jak pan.

– To porównanie mniej mnie dotknęło, niż mogłem przypuszczać. Troszczenie się o innych to rzeczywiście pańska rola – powiedziałem. – Belding, wszystko co go dotyczyło – począwszy od życia seksualnego po wizerunek na użytek publiczny... A kiedy zaczęły się trudności, gdy zaczął odchodzić w mrok, to pan musiał przejąć całą odpowiedzialność wykonawczą. Siostra, Sherry, Sharon, Willow Glen, korporacja – czy nie za dużo?

Zdawało mi się, że widzę w ciemności jego uśmiech, a już na pewno dotknął gardła i skrzywił się, jakby trudno mu było o tym rozmawiać. Po przejechaniu kilku mil zapytał:

– Podjął pan już decyzję, doktorze?

– W jakiej sprawie?

– Dalszego śledztwa.

– Zdobyłem odpowiedź na nękające mnie pytania, jeśli to pan ma na myśli.

– Mam na myśli mianowicie to, czy zamierza pan dalej tropić i rujnować życie bardzo chorej młodej kobiety.

– Co to za życie...

– Najlepsze z możliwych. Ma troskliwą opiekę. Jest chroniona. I świat jest chroniony przed nią.

– A co się stanie po pańskiej śmierci?

– Mam zastępców – odparł. – Kompetentnych. Całą drużynę. Wszystko jest już z góry ustalone.

– Całą drużynę – powtórzyłem. – Belding był samotnym kowbojem i nie miał drużyny. Ale skoro umarł, sytuacja się zmieniła. By nie dopuścić nikogo do patentów, pan sam musiał przejąć wszystko w swoje ręce, zreorganizować strukturę korporacji. A ponieważ w wyniku tych działań Magna była zagrożona, musiał pan wzmocnić własną bazę. Pierwszym poważnym krokiem w tym kierunku była opieka nad wszystkimi trzema córkami Beldinga. Jak udało się panu skłonić Sherry, by odstąpiła od swoich roszczeń dotyczących zarządzania Magna?

– Całkiem zwyczajnie – odparł. – Zwiedziła ze mną kwaterę główną korporacji, nasze ośrodki badawcze i rozwojowe, miała wgląd w produkcję o najwyższej technologii. Powiedziałem jej, że spokojnie zamknę oczy wiedząc, iż ona to wszystko dalej poprowadzi – przyszła pani prezes korporacji Magna, odpowiedzialna za pięćdziesiąt dwa tysiące pracowników, tysiące projektów. Ta perspektywa ją przeraziła. Nie miała wykształcenia, nie znała się na finansach, obrotach czekowych. Uciekła przerażona. Przedstawiłem jej więc inną propozycję.

– Pieniądze?

– Więcej niż byłaby w stanie wydać w kilku wcieleniach.

– Nie żyje – powiedziałem. – Więc nikt już nie będzie rościł sobie prawa do finansów.

– Doktorze, pana podejście do życia cechuje wyjątkowa naiwność. Pieniądz jest środkiem, nie celem. A korporacja przeżyła – i przeżyje, ze mną czy beze mnie, czy z kimkolwiek innym. Gdy sprawy nabierają pewnego wymiaru, zaczynają żyć własnym życiem. Można odwołać staw, ale nie ocean.

– A jaki jest cel?

– Rytm. Równowaga. Utrzymywanie wszystkiego w ruchu, swego rodzaju ekologia, jeśli pan chce.

Po paru minutach:

– Ale nie odpowiedział pan na moje pytanie, doktorze.

– Nie zamierzam niczego tropić. Jaki to miałyby sens?

– Świetnie. A ten pański przyjaciel detektyw?

– On jest realistą.

– Tym lepiej dla niego.

– Nawiasem mówiąc, czy zamierza mnie pan zabić? Czy zlecił to pan Royalowi Hummelowi?

– Oczywiście, że nie – roześmiał się. – Zabawne, ale wciąż uważa mnie pan za Atyllę. Nie, doktorze, nie grozi panu żadne niebezpieczeństwo. Że powtórzę za panem: jaki miałyby to sens?

– Po pierwsze, znam pana rodzinne sekrety.

– Wypociny Grossa. Jeszcze jakąś książkę?

Śmiech. Śmiech przeszedł w kaszel.

Parę mil i dotarliśmy do rancho. Doskonałe, nierealne, jak dekoracja do filmu.

– Skoro mowa o Royalu Hummelu – zaczął – to chciałbym panu coś powiedzieć. Hummel nie będzie już pracował w ochronie. Pana komentarze na temat śmierci Lindy dały mi co nieco do myślenia – ciekawe, ile może wyjaśnić spojrzenie z innej perspektywy... Royal i Victor byli profesjonalistami. A wypadki profesjonalistom się nie zdarzają. W najlepszym razie była to fuszerka. W najgorszym... Zastanowię się później, doktorze, co zrobić z tym fantem. Pod tym względem jestem pana dłużnikiem.

– Ja tylko rozważałem rzecz teoretycznie – zastrzegłem się. – Nie chcę mieć nikogo na sumieniu, nawet Hummela.

– Na litość boską, niech pan przestanie dramatyzować, młody człowieku! O niczym takim nie ma tu mowy! Royal dostanie po prostu inną pracę. Sprzątanie kurników. Codziennie trzeba stamtąd usunąć kilka ton guana. Ma swoje lata, trochę za wysokie ciśnienie, ale poradzi sobie.

– A jeżeli odmówi?

– O, nie ma obawy.

Skierował wózek w stronę pustej zagrody.

– Dał pan Kruse'owi zdjęcie cichych współpracowniczek – powiedziałem. – Sfotografowano dziewczynki gdzieś tutaj.

– Na starych poddaszach znaleźć czasem można fascynujące rzeczy.

– Dlaczego? – zapytałem. – Dlaczego tak długo znosił pan tego Kruse'a?

– Mówiąc konkretnie, do niedawna. Wierzyłem, że pomaga Sharon, że pomaga obu dziewczynom. Był człowiekiem z charyzmą. Autentyczną.

– Zanim spotkał Sharon, zdążył obłupić z pieniędzy pańską siostrę. Dwadzieścia lat szantażu i matactwa.

Włączył jałowy bieg i spojrzał na mnie. Cały jego urok gdzieś się rozwiął, i w jego oczach dostrzegłem ten sam zimny błysk, jaki widziałem w oczach Sharon. Geny... Podświadomość zbiorowa...

– Mniejsza o to, doktorze. Mniejsza o to.

Podjechał szybko do rancho, zatrzymał wózek, zaparkował.

Wysiedliśmy i skierowaliśmy się w stronę patio. Stali tam, czekając na nas, dwaj mężczyźni w ciemnych ubraniach i osłonach na twarzach, jakich używają narciarze. Jeden trzymał w ręku kawałek czarnej taśmy.

– Proszę się nie bać – powiedział Vidal. – To dla naszego wspólnego bezpieczeństwa. Zdrów i cały dotrze pan na miejsce. Życzę przyjemnej jazdy.

– Dlaczego znów to samo?

Śmiech, nieprzyjemny, wymuszony.

– Doktorze, to swego rodzaju zachęta. Kto wie, może znowu spotkamy się na jakimś przyjęciu.

– Nie sądzę. Nie cierpię przyjęć.

– Szczerze mówiąc, ja też. – I już poważnym tonem:

– Ale założmy, że spotkamy się kiedyś twarzą w twarz, a wszystko w życiu jest możliwe, byłbym panu bardzo wdzięczny, gdyby pan udał, że mnie nie zna. Odwołuję się do pańskiej zawodowej dyskrecji.

– Nie ma sprawy.

– Dziękuję, doktorze. Postępuje pan jak prawdziwy dżentelmen.

– Czy o coś jeszcze chciałby pan zapytać?

– Lourdes Escobar, służąca. Niewinna ofiara.

– Wypłacono odszkodowanie.

– Do jasnej cholery, Vidal, pieniądze nie załatwiają wszystkiego!

– Niczego nie załatwiają – powiedział. – Jeśli poprawi to panu samopoczucie, to dodam, że w czasie jej pobytu w Stanach połowa jej rodziny zginęła z rąk guerillas. Ta sama śmierć, tyle że bez odszkodowania. Ci, co przeżyli, byli torturowani, domy spalone... Otrzymali dokumenty imigracyjne, sprowadziłem ich tutaj, zapewniłem pracę, dałem ziemię. Słaba to pociecha, ale zrobiłem co mogłem, co uważałem za najlepsze. Wystarczy to panu?

– A wymiar sprawiedliwości?

– Ma pan jakieś propozycje w kwestii naprawy wymiaru sprawiedliwości?

Milczałem.

– No dobrze. Co jeszcze mógłbym dla pana zrobić?

– Prosiłbym pana o pewną drobną przysługę. Taki układ.

Gdy powiedziałem, o co mi chodzi i jak moim zdaniem powinno to wyglądać, roześmiał się tak serdecznie, że znowu dopadł go atak kaszlu. Wyjął chustkę, wytarł usta, splunął i jeszcze chwilę się śmiał. Na chustce pozostała ciemna plama.

Chciał coś powiedzieć. Nie mógł wykrztusić słowa. Ubrani na czarno mężczyźni wymienili spojrzenia.

Odzyskał w końcu mowę.

– Świetnie, doktorze – powiedział. – Wielkie umysły zmierzają w tym samym kierunku.

Rozdział 37

Wysadzono mnie w kampusie. Zerwałem z oczu opaskę i już pieszo poszedłem do domu. Ale gdy tylko przekroczyłem próg, poczułem, że nie mogę tu zostać. Wrzuciłem trochę rzeczy do torby podróżnej i zadzwoniłem do centrali, że wyjeżdżam na kilka dni. Po powrocie zgłoszę się po informacje.

– Poda pan numer, gdyby było coś pilnego, doktorze?

– Nie jestem umówiony z pacjentami, nie przewiduję żadnych pilnych wezwań. – Nie, sam się zgłoszę – powiedziałem.

– Aha, prawdziwy odpoczynek.

– Mniej więcej. Dobranoc.

– A informacje, które już mam dla pana?

– Dziękuję. Jak wrócę.

– Okaaaay, tylko że jakiś facet doprowadza mnie do szału. Dzwoni już trzeci raz, a kiedy nie chciałam mu podać pana domowego numeru, prawie mnie zwymyślał.

– Jak się nazywał?

– Sanford Moretti. Chyba to adwokat. Mówił, że chodzi o jakąś sprawę sądową, czy coś w tym rodzaju. Stale powtarzał, że panu na tym zależy, że pan czeka na jego telefon.

Reakcją na moją odpowiedź był wybuch śmiechu.

– Panie doktorze! Nie posądzałam pana o takie słownictwo!

Wsiadłem do samochodu i pojechałem na zachód. Wylądowałem przy Ocean Avenue, za Pico. Niedaleko mola Santa Monica widać było kępy pokrytych strzechą parasoli. W pobliżu (wulgarnego) Pacyfiku. Ale żadnego napisu „OC VU” na bloku skalnym. Morska bryza minęła; ocean śmierdział jak śmietnik. Na ulicach było pełno barów ze wzmocnionym piwem, oraz moteli „na dzień, tydzień, miesiąc” – w bezpiecznej odległości od klubu samochodowego. Na szyldach nazwiska polinezyjskie.

Zatrzymałem się przed pensjonatem o nazwie „Błękitne Marzenia” – dwanaścioro brązowych, z nalotem soli drzwi, w środku parking wymagający pilnie nowej nawierzchni. Neonowe świecące rurki, mające reklamować wolne pokoje, powyginane, niektóre popsute. W recepcji zasiada facet o obwisłych policzkach, wyglądzie motocyklisty, z dyndającym w uchu kolczykiem w kształcie krzyża. Zrobił mi łaskę, przyjmując ode mnie pieniądze, pochłonięty całkowicie kawałkiem smażonego suma na tacce i reklamą kalifornijskich rodzynek. Obok stały, jeden przy drugim, automaty ze słodyczami i kondomami – w pomieszczeniu, gdzie dwu osobom trudno było się przecisnąć – dalej automat z grzebieniami i cytaty z Kalifornijskiego Kodeksu Karnego dotyczące sankcji wobec złodziei i oszustów

dybiących na właściciela pensjonatu.

Wziąłem pokój od strony południowej. Zapłaciłem z góry za tydzień. Smród środków owadobójczych – ani muszki nie zauważyłem – jedno wąskie zamglone okno z widokiem na skrawek muru, który w świetle latarni ulicznych przybierał barwę jasno-fioletową; meble od sasa do lasa, ze sklejki; wąskie łóżko, narzuta w nijakim kolorze, sprana aż do dziur; telewizor przytwierdzony do podłogi, płatny. Za ćwierćdolarówkę otrzymywało się godzinę wrzasków i dźwięków mrozących krew w żyłach. W kieszeni miałem trzy ćwierćdolarówki. Wrzuciłem dwie.

Leżałem na łóżku, telewizor coś tam nadawał, a ja wsłuchiwałem się w dobiegające z zewnątrz hałasy. Grzmoty basów z szafy grającej w barze – łomot drzwi obok – tak donośny, jak gdyby ktoś w regularnych odstępach walił czyjaś głową o ścianę; śmiechy i kaleczony brakowy język angielski, hiszpański i inne, których nie sposób było rozróżnić; dudniący śmiech z telewizora w sąsiednim pokoju, splukiwanie wody w toalecie, syk wody z kranów, odgłosy kroków, trzaskanie drzwiami, klaksony samochodów, przenikliwe huki nieznanego pochodzenia... A w tle – szum autostrady.

Krajowa symfonia. W ciągu kilku minut obrabowano mnie z dwunasta lat.

Pokój był jak sauna. Siedziałem tam trzy dni, żywiąc się pizzą i colą na zamówienie; pierwsze miało być gorące, drugie zimne, a było dokładnie na odwrót. Przez większość czasu robiłem to, czego tak długo unikałem. Tropiłem niekompetencję innych, rzucałem perły przed wieprze. Introspekcja. To takie pruderyjne określenie grzebania się we własnej duszy. Przy użyciu ostrych, zadających ból narzędzi.

W ciągu tych trzech dni przeszedłem wszystko: wściekłość, łzy, lęk, napięcie tak dojmujące, że ząb uderzał o ząb, a mięśnie tężały. Samotność skutecznie znieczulana przez ból.

Czwartego dnia poczułem się wyczerpany, ale i uspokojony wewnętrznie, i byłem dumny z siebie, że podjąłem taką kurację. Po południu wyszedłem z hotelu, by wypełnić umowę, jaką ze sobą zawarłem. Skoczyłem do automatu z gazetami. Ostatnia ćwierćdolarówka – i wieczorne wydanie było moje; wcisnąłem je chciwie pod pachę niczym jakiś pornograficzny szmatławiec.

Pierwsza strona, u dołu, po lewej, obok fotografia.

KAPITAN KOMENDY GŁÓWNEJ W LOS ANGELES

OSKARŻONY O PRZESTĘPSTWO SEKSUALNE

PODAJE SIĘ DO DYMISJI

Kapitan policji w Los Angeles, oskarżony o molestowanie seksualne nieletnich, w dniu dzisiejszym, na posiedzeniu Komisji Dyscyplinarnej domagającej się jego dymisji, sam złożył rezygnację. Trzyosobowa Komisja Praw zażądała natychmiastowego zwolnienia z pełnionych obowiązków Cyrila Leona Trappa, lat 45, z jednoczesną degradacją, utratą świadczeń oraz pozbawieniem go wszelkich przywilejów. Zgodnie z przyjętym wcześniej oświadczeniem adwokata

Trappa i rzecznika policji, Trapp przyznał się do przypisywanych mu czynów, odstąpił od prawa odwołania się od decyzji Komisji, podpisał zobowiązanie, że nigdy nie podejmie pracy w organach władzy wykonawczej i zapłaci „pełne finansowe odszkodowanie, łącznie z honorarium za leczenie ginekologiczne i psychiatryczne” wszystkim swoim ofiarom, których liczbę szacuje się na około 15 dziewcząt. W zamian za to odstępuje się od doniesienia do prokuratury, co mogłoby za sobą pociągnąć odpowiedzialność karną. Przepiękstwa, do których Trapp nie zgłaszał zastrzeżeń, miały miejsce w ciągu pięciu lat, kiedy to służył w stopniu sierżanta w hollywoodzkiej komendzie policji, i możliwe, że kontynuował ów proceder już jako porucznik w komendzie Los Angeles-Zachód, gdzie w ubiegłym roku, wobec nagłej śmierci kapitana Roberta Rogersa, awansowano go do stopnia kapitana. Podczas służby w komendzie Hollywood nazwisko Trappa pojawiło się w związku ze skandalem dotyczącym włamania, w które zamieszana była policja. Nie wdrożono wówczas przeciwko Trappowi żadnego śledztwa, a oskarżyciel określił go jako „wiarygodnego, chętnego do współpracy świadka”.

Wracając do obecnej sprawy, Trapp został oskarżony o zwabianie do swego biura młodych skautek; oferując im „opiekę nad dalszą ich karierą” i przed czynieniem im awansów natury seksualnej częstował je piwem, winem, koktajlami i marihuaną. W trzynastu wypadkach udowodniono mu czyny lubieżne, stosunki płciowe odbył przynajmniej z siedmioma dziewczętami w wieku od 15 do 17 lat. Choć Komisja Praw nie wyszczególniła przypadków, które stały się powodem wszczęcia dochodzenia przeciwko Trappowi, wiadomo ze źródeł policyjnych, że jedna z ofiar wskutek seksualnego molestowania miała problemy natury psychicznej, udała się po poradę do lekarza i powiedziała mu, co się jej przydarzyło. Terapeuta poinformował Wydział Spraw Socjalnych, który z kolei złożył doniesienie na policji.

Kilka innych dziewcząt, które padły ofiarą Trappa, złożyło podobne doniesienie. Jednakże żadna z ofiar nie zgodziła się zeznawać w sądzie, w związku z czym prokurator okręgowy stwierdził, że postępowanie sądowe przeciwko Trappowi ma „nikłe szanse powodzenia”.

Gdy napomknięto w oświadczeniu, że osobnikowi, który dopuścił się takich czynów, grozi proces sądowy i wyrok skazujący na pobyt w więzieniu, przewodniczący Komisji, komendant Walter Smith, powiedział: „Departament policji stawia sprawę jasno: nie będziemy tolerować jakichkolwiek tego typu wykroczeń żadnego funkcjonariusza, bez względu na jego stopień służbowy. Jednakże, mając na względzie dobro poszkodowanych, nie możemy ich nakłonić do zeznawania w sądzie, co może stać się przyczyną głębokich urazów. Komisja gwarantuje natomiast, że ów oficer nigdy nie będzie pracował w organach władzy wykonawczej i straci każdy cent, który zarobił jako funkcjonariusz policji. Moim zdaniem jest to właściwe podejście do sprawy”. Adwokat Trappa, Thatcher Friston, odmówił ujawnienia planów na przyszłość swego klienta poza tym, że oficer ów „wyjedzie prawdopodobnie z tego stanu, a nawet może z kraju, i zamierza zająć się rolnictwem. Pana Trappa zawsze interesowała hodowla drobiu. Teraz nadarza się okazja, by spróbował sił w tej dziedzinie”.

Maura Bannon

Przeczytałem jeszcze raz, wyrwałem tę stronę z gazety i zrobiłem z niej samolocik. Gdy samolocik wylądował w końcu w toalecie, wyniosłem się z motelu.

Przyjechałem do domu i poczułem się prawie jak odnowiony. Usiadłem za biurkiem, zamierzając przewertować plik czekających na mój powrót gazet, gdy usłyszałem pukanie do drzwi.

Przyszedł Milo, z policyjnym identyfikatorem na klapie brązowej marynarki, przesiąknięty dymem komisariatu. Patrzył na mnie spode łba, nachmurzony, zasepiony.

– Gdzie cię, do diabła, nosiło?

– Byłem poza miastem.

– Gdzie?

– Nie mam ochoty teraz o tym mówić.

– To miej ochotę.

Milczałem.

– Rany boskie! – wykrzyknął. – Przecież miałeś wykonać kilka telefonów, zabezpieczyć materiał, nie pamiętasz? I raptem znikasz jak kamfora. Żadnej cholерnej sprawy nie wyświetliłeś!

– Przepraszam cię, stary. – Ale kiedy zobaczyłem wyraz jego twarzy, dodałem: – Zabezpieczyłem materiał, Milo. I dopiero wtedy zniknąłem. Zostawiłem ci wiadomość w centrali.

– Faktycznie. Wiele mówiącą. – Ścisnął nos dwoma palcami. – „Doktor Delaware wyjechał na parę dni”. – Puścił nos. – „Dokąd, skarbie?” – Ścisnął nos. – „Nie po-owiedział”.

– Musiałem wyjechać – rzekłem. – Wszystko gra. Nic mi nie groziło.

Zaklął, klasnął w dłonie i wyprężył się, jak gdyby usiłował swoją posturą pogrozić mnie całkowicie. Poszedłem do gabinetu, on za mną, wygrzebał w kieszeni pognieciony kawałek gazety. Gdy go rozprostowywał, powiedziałem:

– Już to czytałem.

– Nie wątpię. – Oparł się o biurko. – I co ty na to, Alex? Ale gówno śmierdzące!

– Poczekamy – rzekłem.

– Raptem wszyscy chcą się bawić w chowanego, tak?

– Nie mam ochoty teraz się za to brać.

– Bye, bye, Cyril – powiedział do sufitu. – Po raz pierwszy w życiu moje życzenia się spełniają i czuję się tak, jakbym to ja dopadł tego cholernego geniusza. Sęk w tym, że nie wiem, do czego on dąży, kogo albo co chce nacisnąć.

– A nie lepiej zaakceptować ten uśmiech losu? Machnąć ręką i cieszyć się tym co jest?

– Sam wolałbym ten los ukształtować.

– Zrób wyjątek.

– A ty byś zrobił?

– Raczej tak.

– Daj spokój, Alex! W czym rzecz, do cholery? Najpierw opracowujemy teorię; później Trapp jest po szyję w gównie, a łodzie ratunkowe pracują na szybkich obrotach.

– Trapp jest tylko jednym pociągnięciem pędzlem – powiedziałem. – Nie chce mi się teraz malować całego obrazu.

Wytrzeszczył na mnie oczy, poszedł do kuchni, skąd wrócił z kartonem mleka i czerstwą bułką. Oderwał kawałek, popił mlekiem i rzekł:

– Czuj się, bracie, zawieszony czasowo w obowiązkach służbowych! Ale nadejdzie dzień, niebawem, że zrobimy sobie małą naradę.

– Nie będzie nad czym radzić, Milo. Pewien biegły powiedział mi kiedyś: nie ma dowodów, nie ma sprawy.

Patrzył na mnie chwilę, zanim twarz mu nieco złagodniała.

– Okay – powiedział. – Mam za swoje. Po co owijać w bawełnę. Sprawa policjanta-kurwiarza. Wdałeś się w romans z maleńką panną Sprawiedliwość, po czym stwierdziłeś, że nie możesz iść na całość. Ale, do diabła, chodziłeś przecież do szkoły i jak dorosłeś, radziłeś sobie z takimi problemami, to dlaczego teraz nie potrafisz?

– Jak naprawdę dorosnę, to dam ci znać.

– Wypchaj się. – I po chwili: – Pytam teraz serio: jak twoje sprawy?

– W porządku.

– Wszystko sobie rozważyłeś?

Skinąłem głową.

– Masz taką minę, jakbyś istotnie wiele rzeczy przemyślał.

– Trzeba się dostosować, Milo... Dzięki, że się o mnie troszczysz, dzięki za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. A teraz chciałbym zostać sam.

– Jasne, nie ma sprawy – powiedział.

– No to na razie...

Wyszedł bez słowa.

Nazajutrz wróciła Robin, w sukience, której nigdy u niej nie widziałem, z miną uczennicy, która ma recytować wiersz przed całą klasą. Przyjąłem jej powitalny uścisk i zapytałem, co też ją sprowadza do domu.

– Nie cieszysz się, że jestem – powiedziała.

– Cieszę się. Zaskoczyłaś mnie po prostu. – Zaniósłem jej walizkę do salonu.

– Ciągle myślałam o – powrocie – oznajmiła. Jej ramię ześliznęło się z mojego. – Tęskniłam do ciebie, wczoraj wieczorem chciałam z tobą porozmawiać i dzwoniłam. Telefonistka powiedziała, że wyjechałeś, nie mówiąc gdzie i na jak długo. Że głos twój brzmiał dziwnie, jakbyś był zmęczony albo zły. Zaniepokoiłam się.

– Nastął czas miłosierdzia – powiedziałem, cofając się o krok.

Spojrzała na mnie, jakby widziała mnie po raz pierwszy.

– Przykro mi – rzekłem – ale akurat teraz nie jestem mężczyzną, jakiego byś sobie życzyła.

– Przeciągnęłam strunę.

– Nie. Tylko muszę wiele rzeczy przemyśleć. Mam ogromne zaległości. Zamrugła powiekami, miała łzy w oczach, odwróciła głowę.

– Cholera!

– Niektóre dotyczą ciebie; ale większość nie. Wiem, że chcesz się o mnie troszczyć, że jest to dla ciebie ważne. Lecz właśnie teraz nie jestem na to przygotowany, nie tak, jak ty byś chciała.

Opuściła bezradnie ramiona, usiadła na kanapie. Siedząc naprzeciwko niej, powiedziałem:

– Nie przemawia przeze mnie gniew. Może w jakimś niewielkim stopniu, ale to nie takie proste. Są pewne sprawy, z którymi sam się muszę uporać. Trzeba mi czasu.

Znów zamrugła powiekami, uśmiechnęła się, lecz był to tak bolesny uśmiech, jakby wymusiła go na sobie torturą.

– Czy ja jestem temu winna?

– Nie – odparłem. – To nie żadna zemsta. Nie mam za co się mścić, w końcu wyświadczyłaś mi

przysługę.

– Dziękuję za słowa uznania – powiedziała. Łzy popłynęły jej z oczu, lecz zdołała się opanować. – Nie, nie powinnam była tak postąpić, nie zasłużyłeś sobie na takie traktowanie. Święta prawda: jeśli nie chcesz siedzieć, nie popełniaj zbrodni.

Wyciągnęła rękę. Potrząsnęła głową, przygryzła wargę.

– Był inny mężczyzna – powiedziała. – Nic poważnego, dawna sympatia z college’u, taki od kawy z ciastkiem. Zerwałam. Ale sprawy zaszły za daleko. Wciąż mam uczucie, że cię zdradziłam.

– Ja też cię zdradziłem – rzekłem.

Jęknęła i zamknęła oczy.

– Z kim?

– Dawna sympatia z college’u.

– Czy ona... czy wy w dalszym ciągu...?

– Nie, to nie jest tak, jak myślisz. Zawładnęła moją głowę, nie penisem. Już jej nie ma na świecie. Jednakże dokonała się we mnie jakaś zmiana.

Poszła na drugi koniec pokoju, splotła ramiona na piersi, milczała. Dopiero po chwili:

– Alex, co z nami będzie?

– Nie wiem. Happy end byłby mile widziany. Tylko że jeszcze sporo różnych rzeczy muszę zrobić, zanim będzie ze mnie jaki taki pożytek – dla ciebie i dla innych.

– Lubię cię takim, jaki jesteś.

– Ja też. – Powiedziałem to tak spontanicznie, że oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

Patrzyła mi prosto w oczy. Wyciągnąłem rękę. Podeszła, spojrzała na mnie unosząc głowę. Przytuliliśmy się do siebie i bez słowa zaczęliśmy się wzajemnie rozbierać; padliśmy na kanapę i kochaliśmy się. Uprawialiśmy seks. Kompetentnie, bez najmniejszego uchybienia, efekt praktyki – rytualna jedność; zgranie na pograniczu kazirodztwa.

Już po wszystkim usiadła i powiedziała:

– Nie będzie to łatwe, prawda?

Potrząsnąłem głową.

– Czy warte zachodu?

Odsunęła się ode mnie, wstała, podeszła do okna. Naga. Włosy zwisały jej na plecach jak kiść winogron.

– Wszędzie chyba straszny bałagan – powiedziała. – Koperty wetknięte pod drzwi, wszystkie te nieaktualne zlecenia.

– Bierz się za to – rzekłem. – Rób, co uważasz za stosowne.

Podbiegła, położyła się na mnie i szlochała na mojej piersi. Leżeliśmy tak, policzek przy policzku, aż zapanował w nas spokój; po czym każde poszło swoją drogą.

Sharon. Kruse. „Szczurek”. Nawet Larry. Tyle problemów, że wyszedłby z tego cały podręcznik.

Znowu sam – rozmyślałem o moim problemie, o wszystkich tych niedokończonych sprawach. Wybrałem najłatwiejszą drogę – odnalazłem numer w notesie i zadzwoniłem.

Cztery sygnały i: – Halo?

– Pani Burkhalter? Denise? Mówi Delaware.

– O, cześć!

– Jeśli dzwonię nie w porę...

– Nie, skądże... Właśnie... Zabawna historia. Właśnie myślałam o tobie. Darren stale, hm, wciąż płacze.

– W pewnym stopniu należało się tego spodziewać.

– Płacze, krzyczy. Strasznie. Od tamtego czasu – gorzej. Nie sypia, kiepsko je.

– Czy coś się zmieniło od naszego ostatniego spotkania?

– Kwestia pieniędzy. Na razie nic. To nierealne. Pan Wbrthy twierdzi, że może dopiero za kilka miesięcy. A tymczasem dostajemy pisma z banku, a towarzystwo ubezpieczeniowe mojego męża zwleka i zwleka. Co mam robić w takiej sytuacji? Nie takie wiadomości chciałbyś usłyszeć.

– Chcę usłyszeć wszystko, co masz mi do powiedzenia.

Cisza.

– Naprawdę przykro mi, że tak się rozgadałam.

– To zrozumiałe. Tyle przeżyłaś...

– Co prawda, to prawda. Jednego dnia... – Głos jej się załamał. – Staram się zajmować różnymi

sprawami, ale wciąż jestem w szoku, przecież to moje dziecko, krzyczy, płacze, rzuca się na mnie, nie chce mnie znać, a taki był zawsze czuły. Na razie czekamy. I nic się nie dzieje. Nie wiem już, co robić. Nie rozumiem, dlaczego musiało się tak stać.

Tym razem ja milczałem. Terapeutycznie. Pociągnęła nosem przerywając ciszę.

– Przykro mi, Denise. Wszystko bym zrobił, żeby ulżyć ci w nieszczęściu.

– No to zrób. Wsadź to moje nieszczęście do worka i wrzuć do kloaki – powiedziała. – Nie tylko moje.

– Niezły pomysł.

– Owszem. – Cichy śmiech. – Co ja mam począć, doktorze? Z Darrenem?

– Czy bawi się tak, jak się bawił w moim gabinecie?

– Otóż to – rzekła. – Nie. Dałam mu samochodziki, powiedziałam, co ma z nimi zrobić, ale on patrzy, patrzy i zaczyna krzyczeć.

– Przyrowadź go do mnie, bardzo bym chciał go zobaczyć. – I dodałem po chwili: – Jeśli to dla ciebie za daleko, to polecę cię komuś, kto mieszka bliżej.

– Nie, nie, to wszystko... Nie za daleko. Co mi pozostało, jak nie jeździć przez cały dzień.

– No to koniecznie przyjedź. Od razu jutro.

– Świetnie. Bardzo się cieszę.

Umówiliśmy się na konkretną godzinę.

– Jesteś porządnym człowiekiem – powiedziała. – Naprawdę chcesz pomóc człowiekowi.

To mnie zdopingowało do ponownego sięgnięcia po słuchawkę.

Za piętnaście dwunasta. Przerwa na lunch.

– Small, słucham?

– Cześć, Ada. Mówi Alex. Jesz kanapki?

– Wiejski ser i owoce – odparła. – Walka z tyciem. Cieszę się, że dzwonisz. Usiłowałam dopaść Carmen Seeber, ale wyłączono jej telefon i nie ma szans na nową linię.

– Ja nie w jej sprawie – powiedziałem. – W swojej własnej.

Teraz ona milczała – terapeutycznie.

- Sporo mi się nagromadziło różnych spraw – powiedziałem. – Pomyślałem sobie, czy czasem ty sobie nie pomyślałaś, że byłoby wskazane, gdybym przyszedł...
- Zawsze chętnie cię widzę, Alex – odparła. – Czy za słowem „wskazane” kryją się jakieś problemy?
- Nie, skądże... Nieprawda. Kryją się. Między nami wiele się zmieniło. Zważywszy moją bezradność, trudno mi porzucić rolę kolegi.
- Ty i bezradność! Masz na tyle intuicji, że zdajesz sobie sprawę, iż nie jesteś z kamienia.
- Intuicja! – Roześmiałem się. – Ja i intuicja!
- Ty dzwonicz, prawda? No właśnie. Rozumiem, Alex, o co ci chodzi. Zmiana ról to jak krok do tyłu. Ale wierz mi, jak tak nie uważam.
- Cieszę się, że słyszę to od ciebie.
- Bo to prawda. Skoro jednak masz wątpliwości, to mogę cię polecić komuś innemu.
- I wszystko od początku? Nie, nie chcę.
- Może się jednak zastanowisz, może potrzebujesz czasu?
- Nie, nie. Raczej zginę niż znajdę jakiś sposób, by samemu odbudować swój system obronny.
- W porządku. Umowa stoi. Sprawdzę w notatniku. – Szelest kartek. – Odpowiada ci jutro godzina szósta? Będzie tu spokój, cisza, nie wpadniesz na nikogo, z kim nie chciałbyś się widzieć.
- Wspaniale, szósta mi odpowiada. Do zobaczenia, Ado.
- Cieszę się na to spotkanie.
- Ja też. Cześć.
- Alex?
- Tak?
- Dobrze, że zadzwoniłeś.

Table of Contents

[Lecz](#)